Stu piłkarzy reprezentacji Polski otwiera drzwi do szatni

MOJE NAJWAŻNIEJSZE 90 MINUT

Zygmunt ANCZOK, Jarosław BAKO, Jan BANAŚ, Marcin BASZCZYŃSKI, Józef BAK, Zbigniew BONIEK, Bartosz BOSACKI, Jerzy BRZĘCZEK, Krzysztof BUKALSKI, Mirosław [illegible]ZACKI, [illegible] BUNOL[illegible]CZACHOWSKI, Sylwester CZ[illegible]RESZEWSKI, Lesław GMIKIEWICZ, [illegible]an DOMARSKI, Jerzy DU[illegible], Dariusz D[illegible], [illegible] D[illegible]ERKA[illegible]WSKI, Marek [illegible]OZIUBA, [illegible] FRANKOWSKI, Jan FURTOK, Dariusz GĘSIOR, Jacek GMOCH, [illegible] G[illegible]LARSKI, [illegible] GORGON[illegible]UE[illegible]REIRO, [illegible]HALLO, Dariusz IWAN, Bartosz IWAN, Paweł JANAS, Mariusz JOP, Andrzej JUS[illegible]WIAK, Zbigniew KA[illegible]ZMAREK, [illegible] KA[illegible]ZNY, [illegible] KASP[illegible]CZAK, Jacek KAZIMIERSKI, Tomasz KŁOS, Kazimierz KMIECIK, Roman KOSECKI, Kamil KOSOWSKI, Hubert KOSTKA, [illegible] KOWALCZYK, Wojciech KOWALEWSKI, Marek KOŹMIŃSKI, Jerzy KRASKA, Paweł KRYSZAŁOWICZ, Jacek KRZYNÓWEK, Janusz KUPCEWICZ, Marek KUSTO, Grzegorz LATO, Mariusz LEWANDOWSKI, Leszek LIPKA, Włodzimierz LUBAŃSKI, Sławomir MAJAK, Bartosz MAJDAN, Stefan MAJEWSKI, Joachim MARX, Radosław MATUSIAK, Adam MATYSEK, Waldemar MATYSIK, Krzysztof MĄCZYŃSKI, Radosław MICHALSKI, Sebastian MILA, Józef MŁYNARCZYK, Piotr MOWLIK, Adam [illegible], [illegible]ADEBE, Bronisław OŚLIZŁO, Krzysztof PAWLAK, Michał PAZDAN, Sławomir PEŁKO, Waldemar PRUSIK, Arkadiusz RADOMSKI, Grzegorz RASIAK, Tomasz RZĄSA, Marek SAGANOWSKI, Piotr SKROBOWSKI, Eugeniusz SMOLAREK, Roman [illegible], [illegible] SZYMANOWSKI, Mirosław SZYMKOWIAK, Piotr ŚWIERCZEWSKI, Ryszard TARASIEWICZ, Jan TOMASZEWSKI, Jan URBAN, Tomasz WAŁDOCH, Józef WANDZIK, Robert WARZYCHA, Henryk WAWROWSKI, Jakub WAWRZYNIAK, Henryk WIECZOREK, Roman WÓJCICKI, Jacek ZIELIŃSKI, Marcin ŻEWŁAKOW, Michał ŻEWŁAKOW, Januisz ŻMIJEWSKI, Władysław ZMUDA, Maciej ŻURAWSKI

Jacek Janczewski
Emil Kopański

POLSKA

WYDAWNICTWO SINE QUA NON

MOJE NAJWAŻNIEJSZE

90 MINUT

MOJE NAJWAŻNIEJSZE 90 MINUT

Jacek Janczewski
Emil Kopański

Kraków 2021

WSTĘP

Tysiące przejechanych kilometrów, setki godzin spędzonych w podróży i rozmowy z setką zawodników, którzy tworzyli historię reprezentacji Polski w piłce nożnej – to książka *Moje najważniejsze 90 minut* w pigułce.

Projekt rozpoczął się już w 2015 roku. Wtedy jednak jeszcze nikt się nie spodziewał, że znajdzie finał w wydaniu książkowym. Im bardziej wszak przybywało rozmów z najważniejszymi postaciami polskiego futbolu, tym pomysł ten nabierał bardziej realnych kształtów. W końcu zapadła decyzja – wydajemy! Dzięki udanej współpracy Polskiego Związku Piłki Nożnej z wydawnictwem Sine Qua Non mogą Państwo trzymać dziś w rękach efekt pięcioletniej pracy.

O wyprawie do wnętrza szatni reprezentacji Polski przed, w przerwie i po ważnym meczu marzy każdy kibic. Nie wszyscy mogą spełnić to pragnienie, więc naprzeciw wychodzi im 100 kadrowiczów, którzy odnosili największe sukcesy w historii rodzimego futbolu. Zdobywali medale igrzysk olimpijskich, mistrzostw świata, brali udział w turniejach finałowych mistrzostw Europy. Dziś otwierają drzwi do stref, do których nie mają wstępu osoby postronne. Opowiadają o kulisach najistotniejszych spotkań w historii reprezentacji Polski, pozwalając kibicom na dotarcie tam, gdzie jeszcze nikt nie był.

Podczas naszej pracy skupiliśmy się głównie na zawodnikach, którzy zakończyli już karierę piłkarską. Byliśmy w każdym zakątku kraju, wyruszyliśmy także za granicę. Bywały trudne momenty, ale się nie poddawaliśmy. Kilku naszych potencjalnych rozmówców – mimo wcześniejszej zgody – ostatecznie nie znalazło dla nas czasu, nie informując nas

o zmianie planów. Cieszy jednak fakt, że zdecydowana większość osób, do których się zwróciliśmy, przyjęła naszą inicjatywę bardzo ciepło. Odwiedziliśmy ludzi, którzy przez wiele lat wywoływali u milionów kibiców ogromne emocje. Czasami powodowali smutek po porażkach, ale zdecydowanie częściej radość po zwycięstwach. Trzy medale igrzysk olimpijskich oraz dwa wywalczone na mundialach nie wzięły się przecież z przypadku.

Chcemy zabrać Państwa we wspaniałą podróż po meandrach rodzimego futbolu. Wybraliśmy 100 przewodników – i są to przewodnicy najlepsi z najlepszych. To oni sami wybrali najważniejsze dla nich mecze. Nikomu niczego nie sugerowaliśmy. Pragnęliśmy po prostu wysłuchać, a następnie przelać na papier historie opowiedziane przez bohaterów muraw. Wszyscy znajdą więc coś dla siebie – i ci, których idolami byli Stanisław Oślizło, Zygmunt Anczok oraz podopieczni Kazimierza Górskiego, i ci, którzy fascynowali się popisami Michała Pazdana w meczu z Niemcami podczas Euro 2016. Najstarszy z naszych bohaterów w roku wydania książki ma 84 lata, najmłodszy urodził się pół wieku później. To gwarantuje wspaniałą podróż przez dekady naznaczone zarówno sukcesami, jak i porażkami. Niczego nie ukrywamy i… zapraszamy na boisko!

Miłej przygody wewnątrz reprezentacyjnej szatni!
Jacek Janczewski, Emil Kopański

ZYGMUNT
ANCZOK

Fot. Wikimedia Commons / CC BY-SA 2.0

UZNANIE „SYNÓW ALBIONU”

5 lipca 1966, Chorzów
Polska – Anglia 0:1 (0:1)

Bramka: Roger Hunt 14.
Polska: Marian Szeja – Roman Strzałkowski, Henryk Brejza, Walter Winkler,
Zygmunt Anczok – Jacek Gmoch, Piotr Suski – Józef Gałeczka, Włodzimierz Lubański (46. Jerzy Wilim), Jan Liberda, Janusz Kowalik.
Anglia: Gordon Banks – George Cohen, John Charlton, Robert Moore, Ramon Wilson – Norbert Stiles, Robert Charlton, Martin Peters – Alan Ball,
James Greaves, Roger Hunt.
Sędziował: István Zsolt (Węgry).

Nie zawsze mecz o najwyższą stawkę jest dla zawodnika tym najbardziej pamiętnym. Choć zagrałem w wielu spotkaniach o wysokie cele, najmilej wspominam towarzyską potyczkę z Anglią, która odbyła się w lipcu 1966 roku w Chorzowie. Grało mi się po prostu rewelacyjnie. Jako obrońca mogłem w tym meczu często włączać się do akcji ofensywnych. Miałem okazję zaangażować się w ataki, oddać kilka strzałów na bramkę rywala. Myślę, że właśnie to spotkanie pozwoliło mi później sięgnąć po tytuł najlepszego piłkarza roku na Śląsku. Dla mnie było to dość niespodziewane wyróżnienie, bo rzadko ceniło się obrońców. Defensor zawsze musiał zrobić dużo więcej, by zostać w taki sposób uhonorowany.

Reprezentację prowadził wówczas Antoni Brzeżańczyk, był to też trudny okres przejściowy, bo graliśmy jeszcze systemem 1-4-

2-4, a później futbol zaczął się pod tym względem zmieniać. Zupełnie inne czasy… Także pod względem jakości sprzętu sportowego. Kiedyś podczas wyjazdu osoba odpowiedzialna za stroje oddała je do prania. Okazało się, że nasze koszulki i spodenki tak się skurczyły, że nie było szans, aby je założyć. Rywale pożyczyli nam stroje, żebyśmy w ogóle mogli wystąpić. Graliśmy w butach kolarskich, w które wbijało się gwoździami korki. Gdy raz przyjechały solidne buty, musieliśmy zamalować logo producenta, bo PZPN miał umowę z inną firmą. I tak siedzieliśmy, malując obuwie farbkami…

Na Stadionie Śląskim z okazji meczu z Anglią zasiadło ponad 70 tysięcy kibiców. Doping był fantastyczny i pomagał nam znacząco w grze. Rywale szykowali się do mistrzostw świata rozgrywanych na własnym terenie, które zresztą wygrali, jedyny raz w historii. To był kapitalny zespół, naszpikowany gwiazdami. Bobby Moore, Norbert Stiles, Bobby Charlton, Alan Ball… Było z kim rywalizować. Walczyliśmy jednak z nimi jak równy z równym. Mieliśmy dużo okazji, sam również stanąłem przed możliwością strzelenia gola, ale nie trafiłem w bramkę.

Musiałem sporo się nabiegać za Alanem Ballem. Walka z nim przypominała boje, jakie toczyłem na murawie z Garrinchą. Anglik był bardziej waleczny, starał się sporo przeciskać, Brazylijczyk natomiast stawiał na boiskową zabawę z obrońcami. My jeździliśmy na tyłkach, a on puszczał nam piłkę między nogami i nie zawsze od razu ruszał z nią do przodu, tylko nadal szukał okazji do pojedynku. Kibice go za to kochali. Ball był niższy ode mnie, zwrotny, szybki, ale pod tym względem mu nie ustępowałem, ponieważ wówczas też miałem swoją dynamikę. W tamtym spotkaniu grałem bardzo ofensywnie. Mogłem się rozpędzić na skrzydle, odbierałem dużo piłek, podciągałem pod pole karne i dogrywałem.

Mimo że czuliśmy przed Anglikami respekt, bo byli lepszym zespołem, to mecz okazał się bardzo wyrównany. Obie ekipy miały swoje sytuacje. Bramka dla naszych rywali padła po uderzeniu zza pola karnego – można powiedzieć, że dość przypadkowo. Wiedzieliśmy, że Anglicy nie będą walczyć z całych sił, za tydzień czekał ich bowiem start mistrzostw świata. Chcieliśmy zabiegać rywala, zapędzić do narożnika. Mecz był bardzo otwarty. Po ostatnim gwizdku czuliśmy, że mimo porażki rozegraliśmy dobre spotkanie i byliśmy lepsi.

Na wspólnej pomeczowej kolacji usłyszeliśmy sporo słów uznania. Zostaliśmy docenieni przez wielkich Anglików. Oni też byli zdziwieni, gdy zobaczyli nasz stadion i tyle tysięcy ludzi na trybunach. Największe wrażenie zrobił na nich tunel. Był wykopany głęboko pod trybunami, porównałbym go do górniczego wyrobiska. Im bliżej byliśmy wyjścia, tym głośniejszy stawał się tumult. Gdy już z niego wyszliśmy, przeszły nas dreszcze. „Kocioł Czarownic" – to najbardziej trafny przydomek Stadionu Śląskiego. Anglicy, przyzwyczajeni do innej kultury kibicowania, nigdy wcześniej się z czymś takim nie spotkali. Dobrze, że wszystko skończyło się po myśli organizatorów, bo niejednokrotnie na meczach latały butelki, systematycznie opróżniane przez co bardziej spragnionych kibiców.

Do tej pory nie mogę niestety znaleźć nagrania z tego meczu. Szukałem go w kilku telewizjach, pytałem też znajomych dziennikarzy, którzy na pewno byli wtedy na stadionie. Nikt niestety nie potrafił mi pomóc. Mam nadzieję, że gdzieś się ono zachowało, bo to dla mnie przepiękna pamiątka z bardzo dobrego – choć finalnie przegranego – meczu rozegranego w barwach reprezentacji Polski.

Mogę czuć się zawodnikiem spełnionym. Karierę niestety skończyłem przedwcześnie, z powodu kontuzji stopy. Nie

przeszedłem wszystkich badań w porę i uraz się pogłębiał. Między innymi przez to zakończyłem karierę w kadrze narodowej, mając zaledwie 27 lat. Mój organizm wyczerpał swoje zasoby dość szybko. Nic dziwnego, bo zawsze dawałem z siebie wszystko, a nie uzupełniałem ubytków. Takie to były czasy – brakowało odżywek, właściwego dla sportowców odżywiania. Trochę meczów mnie ominęło, z perspektywy czasu cieszę się jednak z tego, co udało mi się osiągnąć. Mistrzostwa olimpijskiego i pięknych chwil spędzonych z orłem na piersi nikt mi nie odbierze.

ZYGMUNT ANCZOK

Data i miejsce urodzenia: 14 marca 1946 r., Lubliniec.

W reprezentacji Polski: 48 meczów.

Debiut: 13 października 1965, Szkocja – Polska 1:2.

Osiągnięcia: złoty medal na IO 1972. Członek Klubu Wybitnego Reprezentanta.

Kariera klubowa: Sparta Lubliniec, Polonia Bytom, Górnik Zabrze, SAC Wisła Chicago (USA), Chicago Cats (USA), FK Skeid (Norwegia).

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (1972), Puchar Polski (1972), Puchar Karla Rappana (1965).

JAROSŁAW

BAKO

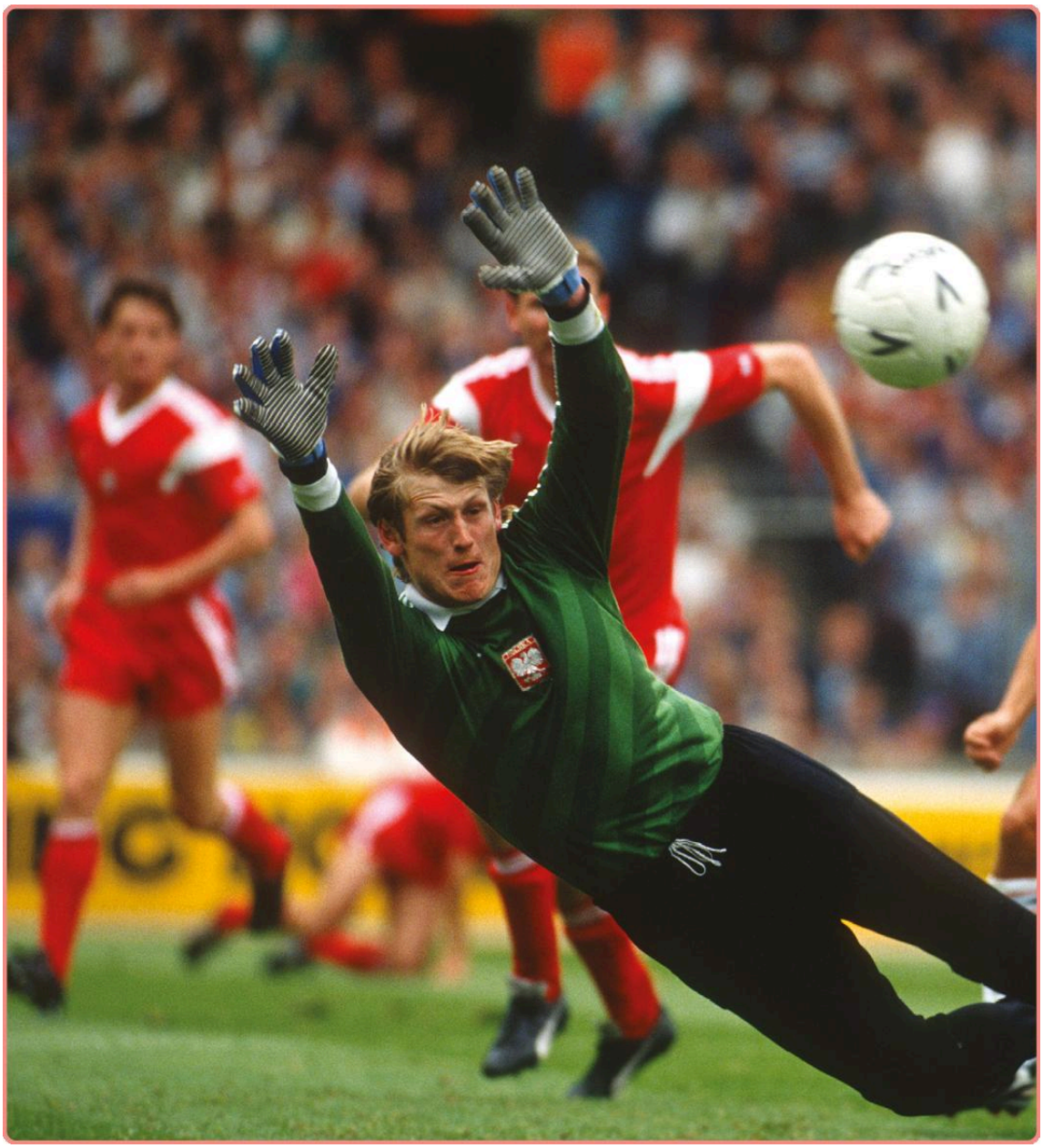

Fot. Mark Leech / Offside / Getty Images

DYWAN LEPSZY NIŻ W POKOJU

3 czerwca 1989, Londyn
Anglia – Polska 3:0 (1:0)

Bramki: Gary Lineker 25., John Barnes 70., Neil Webb 83.
Anglia: Peter Shilton – Gary Stevens, Terence Butcher, Desmond Walker, Stuart Pearce – Christopher Waddle (78. David Rocastle), Neil Webb, Bryan Robson, John Barnes – Gary Lineker, Peter Beardsley (78. Alan Smith).
Polska: Jarosław Bako – Waldemar Prusik, Roman Wójcicki, Damian Łukasik, Dariusz Wdowczyk – Krzysztof Warzycha, Waldemar Matysik, Jerzy Wijas, Jan Urban (70. Ryszard Tarasiewicz) – Jan Furtok, Marek Leśniak (60. Roman Kosecki).
Żółte kartki: Walker – Bako.
Sędziował: Luigi Agnolin (Włochy).

Przez wiele lat w świecie piłkarskim Anglików traktowało się niczym naród wybrany. To oni wymyślili futbol, zawsze byli pewni siebie, uznawano ich za najlepszą drużynę świata i słynęli z ogromnych tradycji. Namiastki tego miałem okazję doświadczyć w 1989 roku, gdy reprezentacja Polski zaczynała kwalifikacje do mistrzostw świata. Na legendarnym Wembley w Londynie ujrzałem coś nieprawdopodobnego: dzień przed rywalizacją z „Synami Albionu" wyszliśmy na trening i zobaczyłem taką murawę, o jakiej w Polsce mogliśmy tylko pomarzyć. Była idealna, nie mogłem sobie wyobrazić lepszej. Po prostu dywan, jakiego nie miałem nawet w pokoju. Gdy rozpoczęliśmy zajęcia przy pustych trybunach, obsługa nagle

puściła doping kibiców z głośników. Poczułem się, jakby obserwowało nas sto tysięcy ludzi! Byłem tym wszystkim piekielnie oszołomiony.

Spotkanie z Anglikami było dla mnie piątym występem w reprezentacji Polski. Szansę zaistnienia w kadrze dał mi rok wcześniej trener Wojciech Łazarek, za co jestem mu bardzo wdzięczny. A gdy grałem, to nie zawodziłem i nie popełniałem błędów. Przynajmniej nie dawałem powodów, by trener ze mnie rezygnował. O miejsce w bramce na przełomie lat 80. i 90. wcale nie było łatwo, bo przecież moim największym konkurentem był Józef Wandzik. Jego jednak wtedy w kadrze na Wembley zabrakło. Naszą rywalizację mimo wszystko wspominam miło. Wiadomo, że jeden zazdrościł drugiemu gry w podstawowym składzie, ale nie było między nami jakichś tarć. Nasza rywalizacja była zdrowa.

Anglicy byli niekwestionowanym faworytem tego spotkania. Przed meczem mówiło się nawet, że jesteśmy bez szans, bo rywal znajduje się poza naszym zasięgiem. Gospodarze ruszyli naprzód i obijali naszą bramkę z każdej strony. Wywarli na nas dużą presję, defensywa miała olbrzymie problemy, żeby ich powstrzymać. Już na początku spotkania sam na sam ruszył Gary Lineker. Sfaulowałem go za polem karnym i na szczęście zostałem ukarany tylko żółtą kartką. Był wtedy w wysokiej dyspozycji i sprawiał nam mnóstwo kłopotów. To właśnie on otworzył wynik. Ruszyłem do interwencji, ale był sprytniejszy i z ostrego kąta wcisnął piłkę do siatki. Długo nam się ten Gary czkawką odbijał… Gospodarze wciąż atakowali, ale do przerwy skończyło się tylko jednobramkowym prowadzeniem. Nam też udało się kilka razy stworzyć zagrożenie pod ich bramką. Bliski szczęścia był między innymi Janek Urban, ale piłka po jego uderzeniu głową poszybowała niestety nad poprzeczką Petera Shiltona.

Jak łatwo się domyślić, w szatni drużyny trenera Łazarka wesoło nie było, ale w drugiej połowie scenariusz był dokładnie taki sam: angielska nawałnica i nasze próby powstrzymywania rywala. Rozmontowali nas jeszcze dwukrotnie i skończyło się wynikiem 3:0 dla wyspiarzy. Mówiło się, że to spotkanie było totalną kompromitacją, media nie zostawiły na nas suchej nitki. W moim odczuciu aż tak tragicznie nie było. Mieliśmy swoje sytuacje, tylko niestety w końcowej fazie brakowało postawienia kropki nad i. Od Anglików dostaliśmy zasłużoną srogą lekcję futbolu. Potrzebowaliśmy trochę czasu, żeby po tym wszystkim się odkręcić.

Udało mi się zaliczyć jeszcze kilka skutecznych interwencji, dzięki czemu rozmiary porażki były mniejsze, ale czy schodząc z boiska, miałem przekonanie, że zanotowałem dobry występ? Nic z tych rzeczy. Wiadomo, że każdy starał się wypaść jak najlepiej, ale po meczu nie zabierało się z miejsca do podsumowań. Jedyne, co miałem w głowie po końcowym gwizdku, to żeby wymienić się koszulką z rywalem. Wówczas to byli zawodnicy ze światowego topu, którzy cieszyli się karierami, o jakich my mogliśmy pomarzyć. Dla mnie wymiana trykotu po takim meczu to była najlepsza pamiątka. Najbardziej zależało mi na koszulce bramkarza, ale niestety się nie udało. Bluzę Petera Shiltona zdobyłem kilka miesięcy później, po meczu rewanżowym w Chorzowie.

Po starciu na Wembley z pracą pożegnał się trener Wojciech Łazarek. O jego dymisji dowiedzieliśmy się nie od razu po meczu, ale trochę później. Niestety, taka jest kolej rzeczy. Szkoleniowca mają bronić wyniki, a w tym momencie ich brakowało. Można było się spodziewać, że selekcjoner straci pracę. Zaprzepaściliśmy szansę na awans do mistrzostw świata, ale to nie był jeszcze koniec rywalizacji w grupie. Trenera

Łazarka na stanowisku zastąpił Andrzej Strejlau, który dokończył te kwalifikacje.

Karierę w reprezentacji Polski zakończyłem w październiku 1993 roku po meczu z Norwegią. Czy mogłem grać w kadrze częściej? Człowiek zawsze się zastanawia, czy mógł osiągnąć coś więcej. Chyba każdy ambitny zawodnik, choćby osiągnął wszystko, powie, że zawsze można było zrobić coś jeszcze. Wydaje mi się, że po prostu nie ma takiej osoby, która stwierdzi, że osiągnęła maksimum. Przede wszystkim boli mnie, że nie udało się w tamtych latach wywalczyć z kadrą awansu na żaden międzynarodowy turniej.

Niemniej jestem dumny, że mogłem występować z orzełkiem na piersi. Kiedyś tata mi powiedział: „Słuchaj, Jarek, pieniądze nie są najważniejsze. Ważne jest to, co osiągniesz, zobaczysz i co będziesz mógł później wspominać". Wziąłem sobie jego słowa do serca. Dla mnie występy w reprezentacji były dużym wyróżnieniem. Dzięki drużynie narodowej zobaczyłem kawał świata i wiem, że ktoś jeszcze będzie o mnie pamiętał, gdy już mnie nie będzie.

JAROSŁAW BAKO

Data i miejsce urodzenia: 12 sierpnia 1964 r., Olsztyn.

W reprezentacji Polski: 35 meczów.

Debiut: 1 czerwca 1988, ZSRR – Polska 2:1.

Kariera klubowa: Stomil Olsztyn, ŁKS Łódź, Olimp Złocieniec, Legia Warszawa, ŁKS Łódź, Zagłębie Lubin, Beşiktaş JK (Turcja), Lech Poznań, Hapoel Tel Awiw (Izrael), Hapoel Jerozolima (Izrael), Stomil Olsztyn, Jeziorak Iława, GKS Stawiguda, Tęcza Biskupiec.

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (1991), mistrzostwo Turcji (1992).

JAN
BANAŚ

Fot. Mieczysław Świderski / Reporter / East News

SŁODKO-GORZKI SMAK ZWYCIĘSTWA

7 maja 1972, Warszawa
Polska – Bułgaria 3:0 (1:0)

Bramki: Jan Banaś 20., 75., Joachim Marx 85.
Polska: Hubert Kostka – Jan Wraży, Lesław Ćmikiewicz, Jerzy Gorgoń, Zygmunt Anczok – Zygfryd Szołtysik, Kazimierz Deyna, Zygmunt Maszczyk (70. Tadeusz Polak) – Jan Banaś, Włodzimierz Lubański, Robert Gadocha (83. Joachim Marx).
Bułgaria: Stojan Jordanow – Iwan Zafirow, Dobromir Żeczew, Dimitar Penew, Stefan Ładżiow (80. Stefan Weliczkow) – Todor Kolew, Christo Bonew, Georgi Denew – Dinko Dermendżijew (55. Mładen Wasiliew), Petar Żekow, Wasil Mitkow.
Żółta kartka: Zafirow.
Sędziował: Alois Kessler (Austria).

Jednym z najważniejszych spotkań, jakie zdarzyło mi się rozegrać w narodowych barwach, był z pewnością mecz w ramach eliminacji do igrzysk olimpijskich w Monachium przeciwko Bułgarii. Wszyscy mieliśmy w pamięci pierwsze starcie z tym rywalem, które przegraliśmy w Starej Zagorze 1:3. Wówczas gospodarzom bardzo pomógł sędzia. W rewanżu musieliśmy wygrać 3:0, by zachować szansę na awans. I swój cel osiągnęliśmy.

Wszyscy byli wściekli i żądni zemsty za pierwsze spotkanie. Na trybunach pojawił się nawet transparent: „Sędzia wygrał mecz w Zagorze, a wam nikt tu nie pomoże!”. Czuliśmy się oszukani, bo w Starej Zagorze nie byliśmy słabsi od przeciwnika. Nie rozumieliśmy, jak można było nas tak „przerobić”. Nieważne, że boiskowy rozjemca był z Rumunii,

a graliśmy w Bułgarii, co już mogło wywołać pewne kontrowersje. Arbiter jak arbiter, ale trzeba było po prostu umieć sędziować. Dlatego przed własną publicznością musieliśmy udowodnić, że jesteśmy lepsi. Stawka była ogromna – awans do igrzysk olimpijskich.

Przed tym spotkaniem zmagałem się z kontuzją. Przez dwa tygodnie trenowałem indywidualnie, starając się dojść do pełnej dyspozycji. Na zgrupowanie dotarłem kilka dni przed meczem. Zespół przygotowywał się do tego starcia w Wołominie. Potrenowałem, wszedłem w rytm i trener Kazimierz Górski zadecydował, że jednak znajdę się w podstawowym składzie. Usłyszałem od trenera tylko jedną wskazówkę – bym grał najlepiej, jak potrafię. Kazimierz Górski był fantastycznym człowiekiem i kapitalnym trenerem, a do tego doskonałym psychologiem. Wiedział, czego potrzebują jego podopieczni, a co jest im zbędne. Miał do dyspozycji naprawdę świetny zespół, więc wszyscy wiedzieli, jak mają grać. Bardziej skupiał się więc na podejściu mentalnym niż kwestiach taktycznych.

Na pewno pomagał nam też fakt, że wielu z nas występowało w jednym zespole. Dość powiedzieć, że w podstawowej jedenastce na mecz z Bułgarią wybiegło aż siedmiu piłkarzy, którzy grali na co dzień w Górniku Zabrze. Wcześniej zdarzało się, że w barwach drużyny narodowej wychodziło na murawę nawet ośmiu takich zawodników. Znaliśmy się więc jak łyse konie i to znajdowało swoje odzwierciedlenie na boisku w meczach reprezentacji: mieliśmy wypracowane automatyzmy, w ciemno wiedzieliśmy, gdzie pojawi się kolega, w jaki sektor pobiegnie, dokąd zagra piłkę.

Stawka była niezwykle wysoka, ale ja traktowałem ten mecz jak każdy inny. Na trybunach Stadionu Dziesięciolecia zasiadło kilkadziesiąt tysięcy kibiców, ale mieliśmy już do czynienia

z większymi obiektami. W Brazylii graliśmy na słynnej Maracanie, na której pojawiło się 130–140 tysięcy fanów. Nawet na Stadionie Śląskim bywało więcej ludzi. Mnie presja kibiców zawsze pomagała, dlatego czułem się bardzo dobrze. Paraliżu na pewno nie było. Zresztą gdyby kogoś miała w takich warunkach zjadać trema, byłoby lepiej, żeby został w domu. W tamtym zespole jednak takich piłkarzy nie było.

Przeciwko Bułgarom zaprezentowaliśmy się ze świetnej strony. Rywale właściwie nam nie zagrażali, a my strzelaliśmy kolejne gole. Najpierw znalazłem się we właściwym miejscu i po strzale Kazimierza Deyny wpakowałem piłkę do siatki z niewielkiej odległości. Na kwadrans przed końcem świetnym podaniem obsłużył mnie Włodek Lubański i było już 2:0. Ostatni cios wyprowadził Joachim Marx, któremu wrzuciłem futbolówkę na głowę. Wygraliśmy 3:0 i mogliśmy myśleć o awansie. Gdyby nie to, nie pomógłby nam nawet remis Hiszpanów z Bułgarią.

Zapanowała euforia, ale ja już czułem, że nie będę mógł uczestniczyć w igrzyskach. Zdawałem sobie sprawę, że nie dostanę zgody na wyjazd do RFN. Było to pokłosie sytuacji sprzed kilku lat, kiedy to przy okazji meczu Pucharu Intertoto z Polonią Bytom zdecydowałem się nie wracać do Polski. Namówił mnie do tego ojciec, który wcześniej przez długi czas się do mnie nie odzywał. Obiecał mi kontrakt w Niemczech, ale ostatecznie zostałem z niczym. Nie spodziewałem się, że przez to ucieknie mi udział zarówno w igrzyskach olimpijskich, jak i mistrzostwach świata. A byłem w tym okresie w tak świetnej formie, że z pewnością znalazłbym się w kadrze na obie te imprezy… Zwycięstwo nad Bułgarią miało zatem dla mnie słodko-gorzki smak.

Naszą siłą była niesamowicie bogata linia ofensywna. Grali w niej Włodek Lubański, Robert Gadocha, później do kadry

wskoczył jeszcze Grzesiek Lato. Nieprzypadkowo na początku lat 70. polski futbol święcił największe sukcesy, sięgając po dwa medale igrzysk olimpijskich oraz trzecie miejsce na mistrzostwach świata. Jak na polskie warunki też byłem chyba całkiem niezłym piłkarzem. Szkoda, że moja kariera nie została potwierdzona konkretnym dorobkiem medalowym. Tak widać jednak musiało być.

Na decyzję Komitetu Centralnego PZPR nie mógł wpłynąć nikt, nawet tak wielka postać jak Kazimierz Górski. Wiedziałem, że w normalnych okolicznościach na pewno znalazłbym się w tej kadrze. Tym większy czułem żal, że nie mogłem wyjechać. Gdy oglądałem mecze reprezentacji, czułem kłucie w sercu. Cieszyłem się jednak przy tym z sukcesu kolegów, mając pewną satysfakcję, że dołożyłem wcześniej cegiełkę do tych wyników.

JAN BANAŚ

Data i miejsce urodzenia: 29 marca 1943 r., Berlin.

W reprezentacji Polski: 31 meczów, 7 goli.

Debiut: 13 września 1964, Polska – Czechosłowacja 2:1.

Kariera klubowa: AKS Mikołów, WKKF Katowice, Zryw Chorzów, Polonia Bytom, Górnik Zabrze, Wisła Chicago (USA), Polonia Chicago (USA), AAC Eagles (USA), Atlético Español (Meksyk), KSC Lokeren (Belgia), US Melun (Francja), US Boulogne (Francja), AC Cambrai (Francja), AS Porto-Vecchio (Francja), ES Saintes (Francja), CA de Mantes-la-Ville (Francja).

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (1971, 1972), Puchar Polski (1970, 1971, 1972), finał Pucharu Zdobywców Pucharów (1970).

MARCIN
BASZCZYŃSKI

Fot. Laurence Griffiths / Getty Images

„POUKŁADAJ, ILE SIĘ DA”

9 czerwca 2006, Gelsenkirchen
Polska – Ekwador 0:2 (0:1)

Bramki: Carlos Tenorio 24., Agustín Delgado 81.
Polska: Artur Boruc – Marcin Baszczyński, Mariusz Jop, Jacek Bąk, Michał Żewłakow – Euzebiusz Smolarek, Radosław Sobolewski (69. Ireneusz Jeleń), Mirosław Szymkowiak, Arkadiusz Radomski, Jacek Krzynówek (79. Kamil Kosowski) – Maciej Żurawski (82. Paweł Brożek).
Ekwador: Cristian Mora – Ulises de la Cruz, Iván Hurtado (68. Jorge Guagua), Giovanny Espinoza, Néicer Reasco – Édison Méndez, Segundo Castillo,
Edwin Tenorio, Antonio Valencia – Agustín Delgado (82. Patricio Urrutia),
Carlos Tenorio (64. Iván Kaviedes).
Żółte kartki: Smolarek – Hurtado, Méndez.
Sędziował: Tōru Kamikawa (Japonia).

Zanim przejdę do najważniejszego przeżycia w biało-czerwonych barwach, chciałbym zacząć od małego wprowadzenia, czyli od mojego debiutu w reprezentacji Polski. Było to także pierwsze spotkanie Jerzego Engela w roli selekcjonera kadry narodowej. W 2000 roku mierzyliśmy się towarzysko z Hiszpanami na Estadio Cartagonova w Kartagenie. Gospodarze szybko objęli prowadzenie, później dołożyli nam kolejne bramki. Obserwowałem to wszystko z ławki rezerwowych, a trener dał mi szansę dopiero w końcówce, wprowadzając na boisko na kilka minut za Ryśka Czerwca na… środek pomocy! Na chwilę przed wejściem

powiedział tylko: „Baszczu, poukładaj, ile się da”. Dobry żart… Wynik już się nie zmienił, mecz przegraliśmy 0:3.

Abstrahując od debiutu, jedno spotkanie siedzi mi w głowie do dziś – wyjazd na mistrzostwa świata, mecz z Ekwadorem i związane z tym niespełnione ambicje. Wspominam to jako ogromne przeżycie. Trzeba przy tym pamiętać o otoczce, jaka towarzyszyła nam przed mundialem. Najpierw słynne powołania i niezrozumiałe dla wielu ludzi decyzje trenera. Później mecz z Kolumbią na Stadionie Śląskim i kuriozalny gol bramkarza. Do tego krytyka po wygranym spotkaniu z Chorwacją, naszym ostatnim sprawdzianie przed mistrzostwami świata. Ciśnienie rosło, także w mojej głowie. Teraz piłkarze mogą spotykać się z rodzinami, zresetować głowy, wyluzować. Nawet dostępność drużyny dla kibiców jest większa. W roku 2006 było jednak zupełnie inaczej – skoszarowano nas i nie mieliśmy możliwości spotykania się z najbliższymi.

Mundial to niewątpliwie ogromne wydarzenie w świecie futbolu. Występowałem wcześniej na arenie międzynarodowej z klubem, ale mistrzostwa świata to zupełnie inna para kaloszy. Ludzie zaczepiali mnie na ulicy, życzyli powodzenia – jak to u nas w kraju bywa, balonik rósł z każdym dniem. Do dziś jestem zresztą pamiętany przez kibiców. Zdarza mi się nawet, że ojciec bierze syna do fotografii ze mną, syn pyta: „Tato, ale kto to jest?”, a ojciec odpowiada: „Zrób zdjęcie, później ci wszystko wytłumaczę”. To bardzo miłe, że jeszcze pamięta się o tamtym pokoleniu piłkarzy.

Wracając do mistrzostw świata, w końcu nadszedł nasz pierwszy mecz – z Ekwadorem w Gelsenkirchen. Stadion znałem już wcześniej, bo kilka lat wcześniej występowałem na nim w barwach Wisły Kraków, grając przeciwko Schalke 04 w europejskich pucharach. Obiekt zawsze był niebieski, ale na

czas meczu zmienili to nasi kibice. Wychodząc na przedmeczową rozgrzewkę, zobaczyłem biało-czerwony stadion, co było dla mnie ogromnym zaskoczeniem. Nie przypuszczałem, że w Niemczech zjawi się aż tylu naszych fanów. Patrząc na późniejsze wydarzenia na boisku, największy bój musiałem stoczyć z własną głową. To był nierówny pojedynek, który niekorzystnie wpłynął na moje umiejętności piłkarskie i podejście do rywalizacji.

Uważam, że sfera mentalna zawiodła wtedy najbardziej. Byłem za bardzo zmotywowany, co później przełożyło się na myślenie na boisku. Myślałem głównie o tym, żeby czegoś nie zawalić, nie popełnić jakichś głupich błędów. Brakowało mi nastawienia, że to okazja, by się pokazać, zagrać ofensywniej, z werwą. Dawałem z siebie wszystko, ale miałem pewną blokadę, która sprawiała, że nie potrafiłem podjąć większego ryzyka. W drużynie pojawiło się za dużo niepewności, może wręcz minimalizm – stąd wzięły się stracone gole i błędy, które popełniliśmy w defensywie. Choć na odprawie przedmeczowej wałkowaliśmy w kółko, że Ekwadorczycy będą w ten sposób szukać drogi do bramki, zawiodła asekuracja przy wrzucie z autu, a później wszystko się posypało. Złe ustawienie, spóźniona obrona i stracony gol – to był początek złego w tym meczu.

Ekwador nie grał wielkiego, spektakularnego spotkania. Przeciwnicy po prostu wykorzystali nasze pomyłki. Uważam, że byliśmy przygotowani, próbowaliśmy tworzyć zagrożenie, ale zwyczajnie zabrakło nam bramek. Sam toczyłem fajne boje z ekwadorską ofensywą. Nie byliśmy źle przygotowani pod kątem fizycznym, ale tego dnia na boisku lepiej czuli się rywale. Robili swoje, grali piłką i miałem wrażenie, że w pewnym momencie zaczęli się z nami bawić. Im dłużej trwał mecz, tym przeciwnicy nabierali większej pewności siebie. Ale problem

był w nas, a nie w drużynie Ekwadoru. Rywale wygrali siłą spokoju, nas pokonała niestety presja. Za dużo było myślenia, że grupa jest w naszym zasięgu, że musimy z niej wyjść. Nasza ofensywa nie była już tak mocna, jak w eliminacjach. Nie mogliśmy wykreować sytuacji, strzelić gola. Stanęliśmy pod ścianą. Na pewno nie można nam było odmówić zaangażowania, bo każdy się starał i robił, co mógł.

Po meczu czuliśmy ogromne rozczarowanie. Tę porażkę mocno przeżywano też w Polsce, zostaliśmy niemal medialnie zlinczowani. Celowały w tym zwłaszcza niektóre gazety, a ja wylądowałem nawet na jednej z okładek. Oberwało się też trenerowi Pawłowi Janasowi.

Wiedzieliśmy, że następny mecz, z Niemcami, musimy rozegrać z większym poświęceniem. Nie tylko grać w piłkę, ale też bić się na murawie. Może tym razem skoszarowanie w Barsinghausen nam pomogło. Udało się zresetować głowy, skupiliśmy się tylko na starciu z Niemcami. Mieliśmy naprawdę fajną ekipę, charakternych ludzi wychowanych w podobnych realiach. Potrafiliśmy się zmotywować, spiąć i zapomnieć o tym, co już było. Byliśmy przygotowani na walkę do upadłego. Porażka z Ekwadorem nie podzieliła naszej kadry.

Mimo że walczyliśmy z Niemcami zażarcie, przegraliśmy i nie wyszliśmy z grupy. Daliśmy jednak naszym kibicom odrobinę radości. Wygraliśmy ostatni mecz z Kostaryką i z mundialem pożegnaliśmy się zwycięstwem, choć początek spotkania nie był łatwy – znowu straciliśmy gola i fani głośno dawali wyraz swojemu niezadowoleniu. A na stadionie w Hanowerze było ich mnóstwo. Zwycięstwo cieszyło, bo udało nam się pożegnać z turniejem honorowo. Ale cały mundial zakończył się dla nas ogromnym rozczarowaniem. Gdy o nim myślę, nadal czuję zawód. Ale mam też fajne wspomnienia, bo mogłem spełnić marzenie o występie na dużym turnieju.

Wciąż siedzi mi w głowie to spotkanie z Ekwadorem z 2006 roku. Myślę, że każdy z nas mógł zrobić coś lepiej. Ten mecz należało bowiem rozegrać zupełnie inaczej. Z całej reprezentacyjnej kariery właśnie to starcie ciąży mi chyba na wątrobie najbardziej. Eksperci, kibice krytykowali nas i szukali przyczyn porażki. Złożyło się na nią wiele czynników. W moim przypadku sparaliżowały mnie ogromne, chyba zbyt wielkie, chęci, pragnienie pokazania się za wszelką cenę. Myślałem, że dzięki atmosferze na trybunach będę unosił się nad boiskiem. A trzeba było po prostu się cieszyć i grać swoje. Efekt na pewno byłby lepszy.

MARCIN BASZCZYŃSKI

Data i miejsce urodzenia: 7 czerwca 1977 r., Ruda Śląska.

W reprezentacji Polski: 35 meczów, 1 gol.

Debiut: 26 stycznia 2000, Hiszpania – Polska 3:0.

Osiągnięcia: uczestnik MŚ 2006.

Kariera klubowa: Pogoń Nowy Bytom, Ruch Chorzów, Wisła Kraków, Atromitos Ateny (Grecja), Polonia Warszawa, Ruch Chorzów.

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (2001, 2003, 2004, 2005, 2008, 2009), Puchar Polski (1996, 2003), Superpuchar Polski (2001), Puchar Ligi Polskiej (2001).

JACEK
BĄK

Fot. Nigel French / PA Images / Getty Images

DWA CIOSY I NOKAUT

11 października 2006, Chorzów
Polska – Portugalia 2:1 (2:0)

Bramki: Euzebiusz Smolarek 10., 19. – Nuno Gomes 90.
Polska: Wojciech Kowalewski – Paweł Golański, Arkadiusz Radomski, Jacek Bąk, Grzegorz Bronowicki – Jakub Błaszczykowski (67. Jacek Krzynówek),
Radosław Sobolewski, Mariusz Lewandowski, Euzebiusz Smolarek – Maciej Żurawski, Grzegorz Rasiak (75. Radosław Matusiak).
Portugalia: Ricardo – Luis Miguel, Ricardo Carvalho, Ricardo Rocha, Nuno Valente – Simão Sabrosa, Petit (69. Nani), Deco (84. Maniche), Costinha (46. Tiago),
Cristiano Ronaldo – Nuno Gomes.
Żółte kartki: Lewandowski, Kowalewski – Simão Sabrosa, Ricardo Rocha.
Sędziował: Wolfgang Stark (Niemcy).

Z blisko 100 spotkań, które miałem okazję rozegrać w narodowych barwach, za najbardziej pamiętne uznaję konfrontację z ówczesnymi wicemistrzami Europy, reprezentacją Portugalii, 11 października 2006 roku w Chorzowie. Było to zdecydowanie moje najważniejsze 90 minut w reprezentacji Polski.

Kwalifikacje do mistrzostw Europy 2008 rozpoczęliśmy wręcz fatalnie. Na samym starcie, po koszmarnej grze, ulegliśmy Finlandii w Bydgoszczy 1:3. Nie było łatwo podnieść się po takim ciosie. Media wylały na nas kubeł zimnej wody, choć trzeba uczciwie przyznać, że nasza gra była jedną wielką katastrofą. Następnie podejmowaliśmy w Warszawie wysoko

notowaną reprezentację Serbii. W tym spotkaniu zaprezentowaliśmy się o wiele lepiej niż w poprzednim, zremisowaliśmy jednak tylko 1:1. Na wyjeździe z Kazachstanem wymęczyliśmy zwycięstwo 1:0, także po słabej grze. W trzech meczach eliminacyjnych zgromadziliśmy zaledwie cztery punkty.

Wreszcie, w chyba najmniej spodziewanym momencie, przyszedł przełom, czyli mecz z Portugalią na Stadionie Śląskim. Byliśmy do tego spotkania przygotowani przez Leo Beenhakkera pod każdym względem. W drużynie panowała megamobilizacja, ale też wiedzieliśmy o rywalach niemal wszystko. Zdawaliśmy sobie doskonale sprawę, przeciw komu staniemy do walki. Przecież czekało nas starcie z reprezentacją Portugalii, naszpikowaną takimi gwiazdami, jak Cristiano Ronaldo, Deco, Ricardo Carvalho czy Maniche! A na ławce trenerskiej Luiz Felipe Scolari, który z reprezentacją Brazylii zdobył w 2002 roku tytuł mistrza świata, a z drużyną Portugalii srebrny medal w mistrzostwach Europy w 2004 roku.

Beenhakker kazał nam wyjść na boisko bez strachu, nie patrzeć na nazwiska i po prostu robić swoje. Uwierzyliśmy we własną siłę. Można powiedzieć, że bezdyskusyjne argumenty piłkarskie reprezentacji Portugalii przestały być dla nas groźne. Nie mogliśmy sobie wymarzyć lepszego początku meczu. Dośrodkowanie Maćka Żurawskiego w pole karne, zgranie Ebiego Smolarka do Mariusza Lewandowskiego, który zdecydował się na strzał. Ricardo wprawdzie odbił piłkę, ale tam czekał już na nią Ebi – bez skrupułów wpakował ją do siatki i objęliśmy prowadzenie 1:0! Na Stadionie Śląskim podniosła się wrzawa nie do opisania. Ryk radości kibiców i prezentowane przez nich dumnie biało-czerwone barwy… Mam ten widok przed oczami do dziś.

Po tej bramce nabraliśmy wiatru w żagle. Portugalczycy nadal gubili się w obronie. W końcu wykorzystaliśmy ich niemoc po raz drugi. Grzesiek Rasiak zagrał piłkę do Ebiego, ten tylko zerknął na sędziego liniowego, czy aby na pewno nie jest na spalonym, po czym „pociągnął po widłach", podwyższając wynik na 2:0. Portugalia na deskach! Nawiązując do terminologii bokserskiej, najpierw wyprowadziliśmy cios, przeciwnik się zachwiał, a my to wykorzystaliśmy, zadając nokautujące uderzenie. Portugalczycy tak naprawdę nie wiedzieli, co się dzieje. Przecież to oni mieli nami kręcić!

W drugiej połowie rywale troszkę się otrząsnęli i próbowali dojść do głosu, ale nasza formacja defensywna nie pozwalała im na zbyt wiele. Dopiero w końcówce Portugalczycy złapali drugi oddech, uzyskali przewagę i zdołali zdobyć bramkę kontaktową. Na kolejną było już jednak za późno. Trzy punkty zostały w Chorzowie!

W pełni zgadzam się z opiniami, że mecz przebiegał pod nasze dyktando. Wszyscy spodziewali się, że Portugalia rzuci się na nas od pierwszej minuty, lecz to my przeważaliśmy, narzuciliśmy swój styl gry i nie pozwalaliśmy gościom na zbyt wiele. Myślę, że nie było u nas tego dnia słabych punktów. Cała drużyna zagrała tak, jak powinna. Weszliśmy bardzo dobrze w mecz, rywale nie mogli za nami nadążyć. Nigdy nie zapomnę tego, jak Grzegorz Bronowicki co chwila wyłączał z gry Cristiano Ronaldo – jak chciał i kiedy chciał. Brał też udział w grze ofensywnej, zapuszczając się w pole karne rywali. Ba, nawet dryblował i kręcił obroną ekipy Scolariego. To była jego „życiówka", podobnie jak Pawła Golańskiego. To spotkanie ich wypromowało i umożliwiło im wyjazd za granicę.

Tym spotkaniem wszyscy udowodniliśmy sobie, że możemy wygrać nie tylko z lepszymi od siebie, ale i grać lepiej od nich. Duża w tym zasługa Beenhakkera, który wierzył w nas

bezapelacyjnie. Ta drużyna miała charakter i potencjał, który holenderski szkoleniowiec z nas wydobył. Leo zapamiętałem jako trenera niezbyt wylewnego. Jeśli już coś mówił, to dosadnie i do rzeczy. Przeważnie były to trzy albo cztery konkretne zdania. A nam to w zupełności wystarczało.

Po latach, gdy wspominam ten mecz, nabieram przekonania, że polska reprezentacja rozegrała niewiele takich spotkań. Do dziś przechodzą mnie dreszcze, kiedy przypominam sobie ryk zwycięstwa chorzowskiej publiczności.

JACEK BĄK

Data i miejsce urodzenia: 24 marca 1973 r., Lublin.

W reprezentacji Polski: 96 meczów, 3 gole.

Debiut: 1 lutego 1993, Cypr – Polska 0:0.

Osiągnięcia: uczestnik MŚ 2002, 2006, ME 2008. Członek Klubu Wybitnego Reprezentanta.

Kariera klubowa: Motor Lublin, Lech Poznań, Olympique Lyon (Francja), RC Lens (Francja), Al-Rajjan (Katar), Austria Wiedeń (Austria), FC Polska Wien (Austria).

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (1993), mistrzostwo Francji (2002), Puchar Kataru (2006), Puchar Austrii (2009).

ZBIGNIEW
BONIEK

Fot. Archiwum prywatne autora

PREZES BĘDZIE GRAŁ SAM

22 czerwca 1982, La Coruña
Polska – Peru 5:1 (0:0)

Bramki: Włodzimierz Smolarek 55., Grzegorz Lato 58., Zbigniew Boniek 61.,
Andrzej Buncol 69., Włodzimierz Ciołek 76. – Guillermo La Rosa 83.
Polska: Józef Młynarczyk – Stefan Majewski, Władysław Żmuda, Paweł Janas,
Jan Jałocha (26. Marek Dziuba) – Grzegorz Lato, Waldemar Matysik, Janusz Kupcewicz, Andrzej Buncol – Zbigniew Boniek, Włodzimierz Smolarek (74. Włodzimierz Ciołek).
Peru: Ramón Quiroga – Jaime Duarte, Rubén Toribio Díaz, Salvador Salguero,
Jorge Olaechea – César Cueto, José Velásquez,
Teófilo Cubillas (50. Gerónimo Barbadillo) – Germán Leguía, Guillermo La Rosa, Juan Carlos Oblitas (60. Julio César Uribe).
Żółta kartka: Velásquez.
Sędziował: Lamberto Mario Rubio Vázquez (Meksyk).

BONIE

Różne mecze pozostają w pamięci. Mnie mocno utkwiła potyczka z Peru podczas mistrzostw świata w Hiszpanii. Wcześniej nie szło nam najlepiej. Dwa pierwsze spotkania fazy grupowej – z Włochami i Kamerunem – bezbramkowo zremisowaliśmy. Inna sprawa, że same przygotowania do turnieju nie ułatwiły nam zadania. Nie mieliśmy pojęcia, jaką siłą dysponują nasi rywale, *who is who*. Nie posiadaliśmy żadnej skali porównawczej. Przez pół roku przed mundialem nie rozegraliśmy ani jednego oficjalnego spotkania jako reprezentacja Polski, odbywaliśmy jedynie sparingi z drużynami klubowymi. Żadna kadra nie chciała z nami grać, bo byliśmy uznawani za zespół z bloku komunistycznego. W Polsce panował stan wojenny, obowiązywała godzina milicyjna, uznawano nas więc niejako za reprezentację tego systemu. Nas to cholernie irytowało, bo nie mieliśmy przecież z tym nic wspólnego. Nie zmieniało to faktu, że nie byliśmy w stanie ocenić naszej realnej siły na tle przyszłych przeciwników. W towarzyskich meczach z zespołami klubowymi wygrywaliśmy i zdobywaliśmy mnóstwo bramek, ale nadal nie wiedzieliśmy, czego możemy się spodziewać na samych mistrzostwach.

Turniej zaczęliśmy od remisu 0:0 z Włochami. Takim samym rezultatem zakończyło się starcie z Kamerunem. Inna sprawa, że w tej drugiej batalii powinniśmy zdobyć co najmniej pięć bramek. Tylko po moich uderzeniach obrońcy dwukrotnie wybijali piłkę z linii bramkowej. Choć nasza gra była już całkiem niezła, spadła na nas potężna krytyka. Dziennikarze, którzy zostali oddelegowani do relacjonowania hiszpańskiego turnieju, powoli zaczynali przygotowywać się do pakowania. Wiadomo, że mając w perspektywie wyjazd ze słonecznej Hiszpanii i powrót do kraju, byli wkurzeni przede wszystkim na

nas. Liczyli, że na Półwyspie Iberyjskim będą przebywać nieco dłużej niż tylko przez fazę grupową.

Mnie obrywało się najmocniej, jeszcze przed wyjazdem na mistrzostwa świata podpisałem bowiem kontrakt z Juventusem. Dziennikarze uważali, że już na niczym mi nie zależy. Atmosfera przed meczem z Peru była więc bardzo gęsta. Trzy dni przed spotkaniem doszliśmy w gronie zespołu do wniosku, że trzeba ją nieco rozładować, zresetować umysły. W związku z tym kolegialnie zdecydowaliśmy, że wyjdziemy na piwo. Oczywiście, nie spodobało się to ówczesnemu prezesowi Polskiego Związku Piłki Nożnej, panu Włodzimierzowi Reczkowi. Stanął przed hotelem i gdy wychodziliśmy, rzucił: „Panowie, kto z was pójdzie na to piwo, więcej w reprezentacji nie zagra". Nie pozostało mi nic innego niż odpowiedzieć: „W porządku, w takim razie w kolejnym meczu wystąpi tylko pan". Do naszego wyjścia oczywiście doszło, wróciliśmy o „ludzkiej" porze. Nikt nie był w stanie upojenia, choć w tamtych czasach nie brakowało zawodników, którzy lubili zaglądać do kieliszka.

Po naszym wyjściu na piwo stosunki z prezesem nieco się ochłodziły. W dniu spotkania z Peru, o ósmej rano, usłyszałem pukanie do drzwi. Zakomunikowano, że wszyscy o dziewiątej mamy stawić się na dole w garniturach. Przestraszyliśmy się, że w kraju wydarzyło się coś niedobrego. Nie mogliśmy tego sprawdzić w internecie, jak dziś, więc nie mieliśmy pojęcia, co się dzieje. Zeszliśmy do sali, w której przywitał nas prezes Reczek. „Panowie, to bardzo ważny dzień dla całego kraju. Musimy zrobić wszystko, by nie zawieść naszego narodu" – usłyszeliśmy. Po chwili zaczął intonować Mazurek Dąbrowskiego. Ciarki przeszły mi po plecach. Zaśpiewaliśmy hymn narodowy, to nas nakręciło.

Po przyjeździe na stadion zobaczyliśmy pewnych siebie Peruwiańczyków, z Teófilo Cubillasem na czele. Biła od nich buta, byli pewni, że wygrają z tymi „Polaczkami". Brało się to z tego, że nikt nas właściwie nie znał. Czas pokazał, że popełnili fatalny błąd, nieco nas lekceważąc.

Co ciekawe, sam nie byłem pewien, czy w tym spotkaniu wystąpię. Pojawiły się naciski na naszego trenera, że Bońka trzeba posadzić na ławce rezerwowych. Dla wielu najprostszym wytłumaczeniem naszych niepowodzeń było hasło: „Ma kontrakt z Juventusem, jemu się już nie chce". Jedynym sposobem, by na to odpowiedzieć, była dobra postawa na boisku.

Mecz z Peru stał się spotkaniem historycznym, które odmieniło oblicze tej drużyny, wpłynęło na postrzeganie trenera Antoniego Piechniczka i mnie. Już w pierwszej połowie graliśmy fantastycznie, strzeliłem jak najbardziej prawidłowego gola. Z 16 metrów przerzuciłem piłkę nad bramkarzem, a będący na pozycji spalonej Włodek Smolarek „doprowadził" ją do bramki, nie dotykając jej. Sędzia nie zaliczył trafienia, a my nie protestowaliśmy, bo wówczas nie było takiego zwyczaju. Na przerwę zeszliśmy z bezbramkowym remisem i w szatni czuć było niepokój. W tamtym momencie byliśmy poza burtą mistrzostw. Musieliśmy ten mecz wygrać.

Zaczęły się bardzo nerwowe ruchy. Niektórzy działacze próbowali wejść do nas, żeby na swój sposób spróbować zmotywować zespół. Nie było to przez nas mile widziane, bo zapewniam – żaden z nas nie potrzebował dodatkowej motywacji. Musieliśmy więc postawić dwie, trzy osoby przy drzwiach, by powstrzymać zapędy działaczy. Pamiętam, że miałem w ręce butelkę wody mineralnej, którą tuż przed wyjściem rzuciłem w ścianę. „Kurwa, panowie, musimy to wygrać!" – wrzasnąłem.

Nie wiem, jak to podziałało na chłopaków, ale faktem jest, że w drugiej połowie zagraliśmy koncert. Zaczęło się od fantastycznego pressingu Włodka Smolarka. Zmusił do błędu peruwiańskich obrońców, piłkę przejął Jasiu Kupcewicz, oddał ją Włodkowi, a ten otworzył wynik meczu. Po przełamaniu niemocy posypały się kolejne gole. Do siatki trafili: Grzesiek Lato, ja, Andrzej Buncol, Włodek Ciołek. Skończyło się na 5:1. Najpiękniejszą akcję przeprowadziliśmy przy trafieniu Andrzeja. Euforia była niesamowita, bo zmieniało to diametralnie cały nasz występ na mistrzostwach. Z drużyny podłamanej, prawie spakowanej, która myślała, że wróci do domu, staliśmy się zwycięzcami.

Trener Antoni Piechniczek zawsze miał pozytywne nastawienie. Był typowym Ślązakiem, gorącym zwolennikiem ciężkiej pracy. Przykładał też dużą wagę do zagadnień taktycznych. Panował nad sytuacją w zespole. Działał nieco z dystansem, na chłodno. Nie dawał się ponieść emocjom, choć po pierwszych meczach nasze położenie nie było komfortowe. Tym bardziej że dziennikarze nie dawali nam chwili wytchnienia, szukając kogoś, kogo można by obarczyć winą za niesatysfakcjonujące wyniki. A my też nie byliśmy grupą grzeczniutkich chłopców, każdy miał swój wyrazisty charakter. Niełatwo było nami zarządzać.

Wszystkie trzy spotkania fazy grupowej rozgrywaliśmy o dość wczesnych, popołudniowych godzinach. Z nieba lał się żar, ale nie było to dla nas żadnym problemem, temperatura nam nie przeszkadzała. Patrząc z perspektywy czasu, trzeba podkreślić, jak doskonale byliśmy przygotowani. Robiliśmy kilkudziesięciometrowe sprinty, a nikt się specjalnie nie męczył. Podczas spotkania z Peru zespół narodził się na nowo. Po wyjściu z grupy pojechaliśmy do Barcelony na mecz z Belgią, wygrany przez nas 3:0 po moich trzech golach.

Już wcześniej czuliśmy swoją siłę, ale nie zastanawialiśmy się, jak daleko możemy dotrzeć w tych mistrzostwach. Podczas takich turniejów żyje się z meczu na mecz. Przed wyjazdem do Hiszpanii laliśmy wszystkich w sparingach, ale to nadal były tylko zespoły klubowe – nie mieliśmy nawet pojęcia, czy nasz rywal przyjeżdżał w najsilniejszym składzie. Nie czuliśmy się jednak słabsi od nikogo i myślę, że zależało to od naszych charakterów. To pozwoliło nam, począwszy od przełomowego meczu z Peru, rozpocząć marsz, który zakończyliśmy zdobyciem medalu mistrzostw świata. Po raz drugi w historii polskiego futbolu.

ZBIGNIEW BONIEK

Data i miejsce urodzenia: 3 marca 1956 r., Bydgoszcz.

W reprezentacji Polski: 80 meczów, 24 gole.

Debiut: 24 marca 1976, Polska – Argentyna 1:2.

Osiągnięcia: III miejsce MŚ 1982, uczestnik MŚ 1978, 1986.
Członek Klubu Wybitnego Reprezentanta.
Zawodnik Reprezentacji 100-lecia PZPN.

Kariera klubowa: Zawisza Bydgoszcz, Widzew Łódź,
Juventus FC (Włochy), AS Roma (Włochy).

Osiągnięcia: Puchar Europy Mistrzów Krajowych (1985),
Puchar Zdobywców Pucharów (1984),
Superpuchar Europy (1985),
mistrzostwo Polski (1981, 1982),
mistrzostwo Włoch (1984),
Puchar Włoch (1983, 1986).

BARTOSZ
BOSACKI

Fot. David Cannon / Getty Images

DWA RAZY NA GŁOWĘ

20 czerwca 2006, Hanower
Polska – Kostaryka 2:1 (1:1)

Bramki: Bartosz Bosacki 34., 67. – Rónald Gómez 25.
Polska: Artur Boruc – Marcin Baszczyński, Bartosz Bosacki, Jacek Bąk, Michał Żewłakow – Euzebiusz Smolarek (84. Grzegorz Rasiak), Arkadiusz Radomski (63. Mariusz Lewandowski), Mirosław Szymkowiak, Jacek Krzynówek – Ireneusz Jeleń, Maciej Żurawski (46. Paweł Brożek).
Kostaryka: José Hidalgo – Jervis Drummond (70. Harold Wallace), Luis Marin, Michael Umaña, Leonardo González – Christian Bolaños (78. Álvaro Saborío), Mauricio Solís, Gabriel Badilla, Walter Centeno – Paulo Wanchope, Rónald Gómez (82. Carlos Hernández).
Żółte kartki: Radomski, Bąk, Żewłakow, Baszczyński, Boruc – Umaña, Marin, Gomez, Badilla, Gonzalez.
Sędziował: Shamsul Maidin (Singapur).

W reprezentacji Polski rozegrałem 20 spotkań. Występowałem zarówno w meczach towarzyskich, jak i o stawkę, ale w pamięć zapadł mi szczególnie występ na mundialu w Niemczech.

Nie byłem pierwszym wyborem trenera Pawła Janasa i nie zostałem powołany do reprezentacji Polski w pierwszym terminie. Dowiedziałem się jednak, że Damian Gorawski nie może wziąć udziału w mistrzostwach, ponieważ nie przeszedł badań medycznych. Sztab szkoleniowy zdecydował, że to ja go zastąpię. Oczywiście, ucieszyłem się z tego powodu, lecz z drugiej strony bardzo szkoda było mi Damiana i czułem się nieco nieswojo ze świadomością, że mój wyjazd odbędzie się kosztem kolegi.

Wielu osobom nie podobało się, że na mistrzostwa świata w miejsce zawodnika ofensywnego jedzie obrońca. Niektórzy mówili nawet, że Bartosz Bosacki wybiera się na wycieczkę. Chciałem udowodnić, że się mylą. Nie było dla mnie zaskoczeniem, że pierwszy mecz finałów mistrzostw świata z Ekwadorem obserwowałem z ławki rezerwowych. Niestety, przegraliśmy to spotkanie 0:2. Wydawało się, że rywale są jak najbardziej w naszym zasięgu, bo przecież jakieś pół roku wcześniej pokonaliśmy ten zespół w Barcelonie aż 3:0. Tym razem jednak nas zaskoczyli.

Już w kolejnym meczu, z Niemcami, trener Janas zdecydował się na zmianę w linii obrony. Zastąpiłem na stoperze Mariusza Jopa, który w spotkaniu z Ekwadorem zagrał na środku w duecie z Jackiem Bąkiem. Wszyscy kibice zapewne pamiętają, jaką dramaturgię miał ten mecz. W 75. minucie spotkania, przy bezbramkowym wyniku, Radosław Sobolewski został ukarany drugą żółtą kartką. Od tej pory musieliśmy radzić sobie w dziesiątkę.

Gdy wydawało się już, że nic złego stać się nie może, w doliczonym czasie gry gola na 1:0 strzelił Oliver Neuville, który wszedł z ławki rezerwowych. Do osiągnięcia korzystnego rezultatu zabrakło nam bardzo niewiele, ale w sporcie „bardzo niewiele” to czasami wszystko. W tym spotkaniu właśnie tak było. Ponieśliśmy drugą porażkę i pozbyliśmy się złudzeń, że możemy wyjść z grupy. To był ogromny szok i rozczarowanie. Spadła na nas potężna fala krytyki, media nie zostawiły suchej nitki. Zawiedliśmy kibiców i samych siebie. Ostatni mecz był „o pietruszkę”, ale mieliśmy coś do udowodnienia sobie i rodakom, którzy w nas wierzyli. Tym spotkaniem chcieliśmy choć trochę zrehabilitować się za dwie poprzednie porażki.

Już w szatni, na minuty przed wyjściem na murawę, trener Janas mówił nam, żebyśmy ten mecz rozegrali przede

wszystkim dla siebie, dla kibiców. Chcieliśmy pokazać, że umiemy wygrywać. Może w spotkaniu z Niemcami nie stworzyliśmy sobie wielu sytuacji, ale myślę, że walczyliśmy z nimi jak równy z równym. Szczęście jednak nie było po naszej stronie.

Mecz z Kostaryką rozpoczął się bardzo spokojnie. Rywale skupili się na grze obronnej, a my nie potrafiliśmy przebić się przez ich formację defensywną. W końcu to oni zadali pierwszy cios. W 25. minucie spotkania, po faulu na Paulo Wanchopie, sędzia podyktował rzut wolny tuż przed linią pola karnego. Do jego wykonania podszedł Rónald Gómez, który sprytnym strzałem ominął nasz mur. Artur Boruc był kompletnie bez szans.

Można powiedzieć, że stracona bramka podziałała na nasz zespół jak kubeł zimnej wody, bo dość szybko potrafiliśmy odpowiedzieć. W 34. minucie gry wywalczyliśmy rzut rożny. Do piłki podszedł Maciek Żurawski, który dośrodkował futbolówkę na sam środek pola karnego. Kostarykański bramkarz minął się z piłką, a ja stanąłem przed szansą i błyskawicznie zdecydowałem się na strzał. Piłka odbiła się od poprzeczki i wpadła do siatki! Ale zamiast uśmiechu i radości na mojej twarzy pojawił się grymas i złość. Dlaczego? Bo zachowanie sędziego było niejednoznaczne. Najpierw wskazał na pole karne, dopiero potem na środek boiska. Jednak jest – 1:1! Wróciliśmy do gry.

W drugiej odsłonie spotkania mieliśmy swoje sytuacje, ale brakowało nam skuteczności. W 67. minucie o swoim silnym uderzeniu przypomniał Jacek Krzynówek, który zza linii pola karnego próbował pokonać José Porrasa. Ten jednak zdołał sparować futbolówkę na rzut rożny. Jacek popędził do wykonania kornera. Ustawił sobie piłkę i dośrodkował na piąty metr. Piłka spadła mi na głowę i… gol! Zdobyłem drugą bramkę

w tym meczu! Euforia kibiców na stadionie w Hanowerze była nie do opisania. 2:1 dla nas!

Rywale nie zdołali już poważniej zagrozić bramce Artura Boruca, ale do końca byliśmy czujni. Na pewno najwięcej kłopotów sprawiał mi Paulo Wanchope, wysoki i bardzo dynamiczny zawodnik. Co chwila musiałem się z nim szarpać, ale nie pozwoliłem mu rozwinąć skrzydeł. Korzystny rezultat utrzymaliśmy do końca spotkania. Sami przekonaliśmy się, że na tych mistrzostwach można było zdobywać punkty. Ja to zwycięstwo nazywam jednak pyrrusowym.

Po ostatnim gwizdku sędziego przyznano mi tytuł *man of the match*, ale czy się nim czułem? Niezupełnie. Podczas wieloletniej kariery piłkarskiej zawsze miałem w głowie, że wygrywa cały zespół. Ja w tym spotkaniu wykonałem tylko swoje zadania. Paradoksalnie ze swojej gry obronnej byłem bardziej zadowolony po meczu z Niemcami. Fajnie, że z Kostaryką udało mi się strzelić dwa gole i że w końcu wygraliśmy spotkanie na mundialu. Ale zwyciężył cały zespół. I nie mówię tylko o piłkarzach, ale także o sztabie szkoleniowym.

Słuchając Mazurka Dąbrowskiego przy ponad 40-tysięcznej publice, czułem ciarki na plecach. Tego uczucia nie da się opisać, bo żadne słowa nie są w stanie go wyrazić. Czegoś takiego trzeba po prostu doświadczyć. To był zastrzyk emocji, który do dziś na mnie działa. Cieszę się, że daliśmy kibicom trochę radości, chociaż stało się to w ostatnim meczu „o pietruszkę". Bardzo ich potrzebowaliśmy, zwłaszcza w tym ostatnim spotkaniu, i odpłaciliśmy im za wsparcie. Mogliśmy wrócić do kraju z odrobinę podniesioną głową.

BARTOSZ BOSACKI

Data i miejsce urodzenia: 20 grudnia 1975 r., Poznań.

W reprezentacji Polski: 20 meczów, 2 gole.

Debiut: 10 lutego 2002, Wyspy Owcze – Polska 1:2.

Osiągnięcia: uczestnik MŚ 2006.

Kariera klubowa: SKS 13 Poznań, Lech Poznań, Amica Wronki, Lech Poznań, 1. FC Nürnberg (Niemcy), Lech Poznań.

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (2010),
Puchar Polski (1999, 2000, 2004, 2009),
Superpuchar Polski (1999, 2004, 2010).

JERZY
BRZĘCZEK

OD BOHATERA DO KOZŁA OFIARNEGO

27 marca 1999, Londyn
Anglia – Polska 3:1 (2:1)

Bramki: Paul Scholes 11., 22., 71. – Jerzy Brzęczek 28.
Anglia: David Seaman – Gary Neville, Martin Keown, Sol Campbell, Graeme Le Saux – David Beckham (78. Phil Neville), Tim Sherwood, Paul Scholes (84. Jamie Redknapp),
Steve McManaman (70. Ray Parlour) – Alan Shearer, Andy Cole.
Polska: Adam Matysek – Tomasz Hajto, Tomasz Łapiński, Jacek Zieliński,
Krzysztof Ratajczyk – Piotr Świerczewski (46. Tomasz Kłos), Jacek Bąk, Jerzy Brzęczek, Rafał Siadaczka (69. Wojciech Kowalczyk) – Tomasz Iwan,
Mirosław Trzeciak (85. Andrzej Juskowiak).
Żółte kartki: Scholes, Sherwood – Ratajczyk, Hajto.
Sędziował: Vítor Manuel Melo Pereira (Portugalia).

31 marca 1999, Chorzów
Polska – Szwecja 0:1 (0:1)

Bramka: Fredrik Ljungberg 36.
Polska: Kazimierz Sidorczuk – Tomasz Wałdoch, Tomasz Łapiński, Jacek Zieliński,
Rafał Siadaczka (83. Dariusz Adamczuk) – Tomasz Iwan,
Radosław Michalski (89. Jacek Bąk), Jerzy Brzęczek,

Sławomir Majak (70. Wojciech Kowalczyk) – Andrzej Juskowiak, Mirosław Trzeciak.
Szwecja: Magnus Hedman – Pontus Kåmark, Patrik Andersson, Joachim Björklund, Teddy Lučić – Håkan Mild (73. Niclas Alexandersson), Stefan Schwarz, Johan Mjällby, Fredrik Ljungberg – Kennet Andersson, Henrik Larsson (89. Jörgen Pettersson).
Żółte kartki: Michalski, Adamczuk – Björklund.
Sędziował: Markus Merk (Niemcy).

W mojej pamięci utkwiły szczególnie dwa mecze, niestety, oba przegrane. Mowa o kwalifikacjach do turnieju finałowego mistrzostw Europy w 2000 roku. Po dobrym starcie i wygranych z Bułgarią oraz Luksemburgiem poprzeczka została podniesiona. W marcu 1999 roku mierzyliśmy się z Anglią i Szwecją. Po pierwszym z tych spotkań zostałem uznany za jednego z bohaterów, a cztery dni później straciłem piłkę, z tego błędu zrodziła się bramka dla Szwedów i stałem się kozłem ofiarnym.

Gdy stery w kadrze przejął trener Janusz Wójcik, wszyscy pamiętaliśmy, co razem przeżyliśmy podczas igrzysk olimpijskich w Barcelonie. Tworzyliśmy wówczas świetny zespół zarówno na boisku, jak i poza nim. To była drużyna pełna silnych charakterów, ludzi głodnych zwycięstw. Na pewno nie było łatwo nas prowadzić, ale wiedzieliśmy doskonale, co jest naszym głównym celem. W trudnym czasie przemian ustrojowych byliśmy świetnie zorganizowaną ekipą, mieliśmy wszystko, czego potrzebowaliśmy. Mogę nawet powiedzieć, że pod wieloma względami funkcjonowało to lepiej niż w kadrze seniorskiej. Było na tym tle trochę nieporozumień. My, jako drużyna olimpijska, byliśmy zabezpieczeni pod każdym względem i duża była w tym zasługa trenera Wójcika. Oczywiście, zdawaliśmy sobie sprawę z tego, jakim jest szkoleniowcem, mieliśmy świadomość jego silnych, ale

i słabszych stron. Eliminacje zaczęliśmy w bardzo dobrym stylu, od dwóch wygranych w meczach z Bułgarią i Luksemburgiem. O naszej faktycznej sile mieliśmy jednak przekonać się w starciach z Anglią i Szwecją. To miało dać nam odpowiedź, w jakim miejscu się znajdujemy.

Jadąc do Londynu, byliśmy pełni wiary, że możemy osiągnąć tam dobry wynik. Przez kilka dni przed tą wyprawą trenowaliśmy na bardzo wysokiej intensywności. Lekką konsternację wywołał skład, który wybrał trener – wyszliśmy na boisko z wieloma zawodnikami defensywnymi i nie mogliśmy pokazać tego, co potrafiliśmy. Jadąc do Anglii, mieliśmy wielkie nadzieje, ale na boisku nie zdołaliśmy zaprezentować naszych umiejętności. Było to dla nas ogromne rozczarowanie. Tym bardziej że w tamtym okresie Anglicy pod wodzą Kevina Keegana nie grali najlepiej. Czuliśmy, że to może być nasz moment, ale niestety, życie po raz kolejny pokazało, że nie potrafimy grać skutecznie z „Synami Albionu". Nieprzypadkowo w całej historii udało się naszej kadrze ograć ich tylko raz…

Na Wembley nie zrealizowaliśmy tego, co sobie zakładaliśmy. To na pewno bolało. Mimo naszego teoretycznie mocno defensywnego nastawienia pozwoliliśmy rywalowi na zbyt wiele. Straciliśmy trzy bramki, co było zdecydowanie kiepskim wynikiem. Nas było stać tylko na jedno trafienie. Świetną akcję lewą stroną boiska przeprowadził Mirek Trzeciak. Zabrał obrońcę „na walizę", co opanował do perfekcji, po czym odegrał piłkę na 16. metr. Wbiegłem idealnie w tempo i pokonałem Davida Seamana. To była ogromna radość, bo znów pojawiła się w nas nadzieja, że możemy powalczyć o dobry rezultat. Ten gol nie był przypadkiem, w starciu z Luksemburgiem zdobyłem podobną bramkę. Na Wembley nie mieliśmy jednak wiele więcej z gry, więc na pewno po końcowym gwizdku byliśmy

bardzo rozczarowani. Do tego Anglicy potraktowali nas po meczu bardzo niełądnie. Gdy wróciliśmy do hotelu, nasze pokoje były już opróżnione, a wszystkie rzeczy zrzucone w jednym magazynku.

Po powrocie do Polski musieliśmy szybko się pozbierać, bo już kilka dni później czekał nas kolejny kluczowy mecz, ze Szwecją. Coś na pewno udało się zrobić w dobrym kierunku, bo w Chorzowie zagraliśmy już zdecydowanie lepiej. W starciu ze Szwedami mieliśmy swoje okazje i nieskromnie powiem, że kilka z nich stworzyliśmy po moich podaniach. Niestety, kluczowy okazał się błąd, który popełniłem. Koledzy nie zdążyli mnie zaasekurować i Fredrik Ljungberg zrobił swoje. Był ode mnie zdecydowanie szybszy, nie miałem szans go dogonić. Dla mnie, jako kapitana zespołu, druga porażka w ciągu czterech dni była bardzo przygnębiająca. Musiałem wziąć za to odpowiedzialność, tym bardziej że to moja pomyłka zaważyła na losach spotkania ze Szwecją.

Gdy odtwarzałem sobie ten mecz, moją uwagę zwrócił komentarz Dariusza Szpakowskiego, który wielokrotnie podkreślał, że popełniłem w tej akcji błąd. Zgadzam się z tą opinią, nie sposób z nią dyskutować, ale trochę na mocy tych słów stałem się właściwie jedynym winowajcą porażki. Jak wspomniałem, potrafiłem w tym meczu stworzyć kolegom kilka okazji, niestety, nic nie wpadło do bramki gości. Liczy się tylko wynik, a ten był dla nas niekorzystny. Znalazłem się na marginesie drużyny narodowej, zagrałem jeszcze tylko po kilkanaście minut w rewanżowych meczach z Bułgarią i Luksemburgiem.

W cztery dni znalazłem się na dwóch biegunach. Po meczu z Anglią i golu na Wembley byłem wychwalany, a po meczu ze Szwecją stałem się głównym winnym porażki. Tak to bywa w futbolu, zwłaszcza w Polsce kibice często popadają ze

skrajności w skrajność. Trener Wójcik w pewnym sensie poświęcił mnie wtedy, żeby uspokoić fanów i dziennikarzy, choć tak naprawdę byłem wówczas w bardzo dobrej formie sportowej. Trochę mnie to zdziwiło, bo wiele razem przeszliśmy i zawsze mógł na mnie liczyć. Takie było jednak jego prawo, o personaliach w drużynie narodowej decyduje selekcjoner. Szkoda, że nie udało się wtedy awansować do mistrzostw Europy, bo byliśmy blisko sukcesu. I właśnie tego najbardziej żałuję. Nie wykorzystaliśmy swoich szans w meczach z Anglią i Szwecją, a w efekcie zabrakło nam jednego punktu do udziału w barażach.

W tamtych potyczkach dostałem prawdziwą lekcję życia. Dla mnie był to jeden z najtrudniejszych momentów w całej karierze. Pamiętam, że po meczu ze Szwecją trener Wójcik miał pretensje do zespołu, że nikt mnie nie zaasekurował. Dlatego tym bardziej zaskoczył fakt, że potem właściwie ze mnie zrezygnował. To się nie kleiło. Tak jednak bywa, gdy pojawia się duża presja. Zdobyłem kolejne doświadczenie, które mogę wykorzystywać w pracy trenerskiej. Z każdego, nawet najtrudniejszego momentu można wyciągnąć przecież coś pozytywnego.

JERZY BRZĘCZEK

Data i miejsce urodzenia: 18 marca 1971 r., Truskolasy.

W reprezentacji Polski: 42 mecze, 4 gole.

Debiut: 19 maja 1992, Austria – Polska 2:4.

Osiągnięcia: srebrny medal IO 1992.

Kariera klubowa: Raków Częstochowa, Olimpia Poznań,
Lech Poznań, Górnik Zabrze, GKS Katowice, Tirol Innsbruck (Austria),
Linzer ASK (Austria), Maccabi Hajfa (Izrael),
Tirol Innsbruck (Austria), Sturm Graz (Austria), FC Karnten (Austria),
FC Wacker Tirol (Austria),
Górnik Zabrze, Polonia Bytom.

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (1993),
mistrzostwo Austrii (2001, 2002).

KRZYSZTOF
BUKALSKI

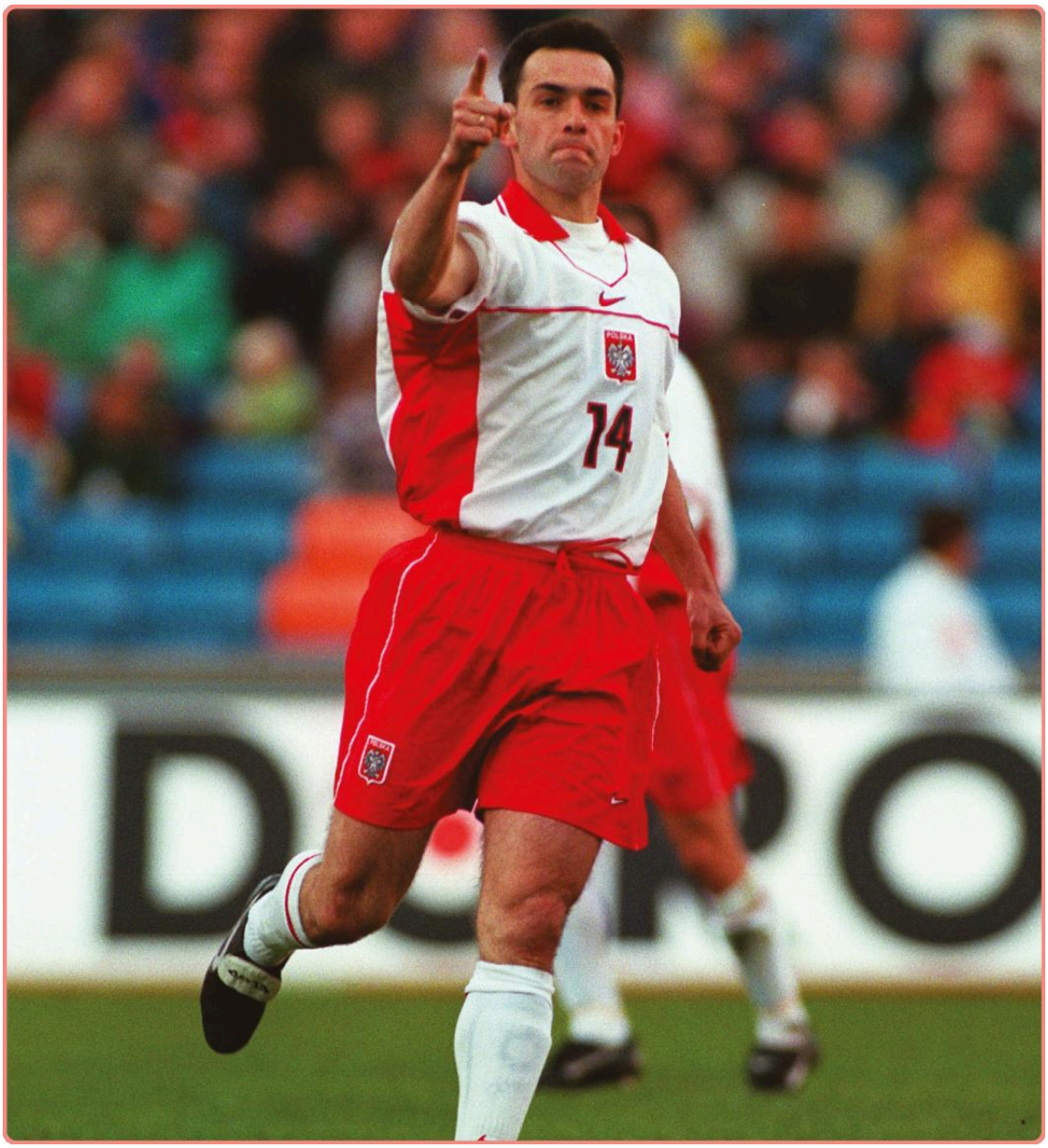

Fot. Matthew Ashton / EMPICS / Getty Images

ASYSTA NA URODZINY CÓRKI „KOWALA”

25 kwietnia 1995, Zabrze
Polska – Izrael 4:3 (1:2)

Bramki: Piotr Nowak 1., Andrzej Juskowiak 50., Wojciech Kowalczyk 55., Roman Kosecki 63. – Ronny Rosenthal 38., Chajjim Rewiwo 43., Icchak Zohar 78.
Polska: Józef Wandzik – Tomasz Łapiński, Marek Świerczewski, Tomasz Wałdoch – Piotr Świerczewski, Roman Kosecki, Piotr Nowak (46. Tomasz Wieszczycki), Marek Koźmiński – Henryk Bałuszyński (46. Krzysztof Bukalski), Andrzej Juskowiak, Wojciech Kowalczyk.
Izrael: Bonni Ginzburg – Felix Halfon, Nir Klinger, Alon Harazi, Mosze Glam – Ronny Rosenthal, Ejal Berkowic, Allon Chazzan, Tal Banin, Chajjim Rewiwo – Offer Mizrahi (72. Icchak Zohar).
Żółte kartki: Kowalczyk, Łapiński, Wieszczycki – Glam, Halfon, Chazzan, Harazi, Rewiwo, Klinger.
Sędziował: Anders Frisk (Szwecja).

W kwalifikacjach do mistrzostw Europy w 1996 roku nie szło nam najlepiej. W czterech meczach zebraliśmy zaledwie cztery punkty, a w piątym starciu mierzyliśmy się z Izraelem. Kadrę prowadził wówczas trener Henryk Apostel, którego bardzo dobrze wspominam. Nie może to jednak dziwić, bo to właśnie on był selekcjonerem, który pierwszy powołał mnie do reprezentacji narodowej i dawał w niej sporo szans. Niestety, na końcu zabrakło nam wyników, choć gra z meczu na mecz się poprawiała.

Odnoszę wrażenie, że brakowało nam nieco stabilizacji. Indywidualnie mieliśmy kapitalnych zawodników, zwłaszcza

w ofensywie, lecz nieco słabiej wyglądało to w linii pomocy czy obrony. Do tego dochodził deficyt szczęścia, bo w niektórych meczach spokojnie mogliśmy osiągnąć lepsze wyniki. Nie wszystko poszło jednak tak, jak byśmy sobie wymarzyli. Brakowało nam nieco organizacji gry, w tamtym okresie temat analiz dopiero raczkował. Potencjał mieliśmy ogromny, co udowodniliśmy w kilku spotkaniach. Wystarczy przypomnieć zdeklasowanie Słowacji 5:0 czy odwrócenie wyniku z Izraelem.

Spotkanie z Izraelem rozpocząłem na ławce rezerwowych, ale nie miałem z tym problemu. Gdy ktoś trafia do najważniejszej drużyny w kraju, powinien się cieszyć, że jest jej częścią. Już samo powołanie to zaszczyt. Gdy w przerwie dostałem sygnał do wejścia na murawę, bardzo się z tego ucieszyłem. Przegrywaliśmy wówczas 1:2 i chciałem zrobić wszystko, by pomóc zespołowi. Wraz ze mną na boisku zameldował się Tomek Wieszczycki i obaj dołożyliśmy cegiełkę do ostatecznego zwycięstwa.

Nie mam pojęcia, co działo się w przerwie w szatni, bo akurat rozgrzewałem się na murawie. Musiało jednak być dosyć ostro, co widać było po reakcji drużyny w drugiej połowie. Myślę, że zmiany, których dokonał trener, przyniosły zespołowi pozytywnego kopa. Ja i Tomek byliśmy niedoświadczonymi na poziomie reprezentacyjnym zawodnikami, ale selekcjoner nam zaufał. Ekipa była bardzo dobrze zmotywowana i to przyniosło efekty. Mam satysfakcję z tego, że wniosłem coś wymiernego do gry, a mianowicie asystę przy golu Wojtka Kowalczyka. Tak się złożyło, że był świeżo po narodzinach dziecka. Gdy spotkaliśmy się po latach, powiedział mi: „Pamiętam, kto dał mi asystę po urodzinach córki”. Mieliśmy okazję zrobić kołyskę i to na pewno przyjemne wspomnienie. Tym bardziej że odwróciliśmy losy meczu i wygraliśmy 4:3. Szkoda jedynie, że w ostatecznym rozrachunku nic nam to nie dało…

Na bieżąco nie mogliśmy jednak poświętować. Jak to zazwyczaj bywa na zgrupowaniach, po meczu zjedliśmy szybką kolację i rozjechaliśmy się każdy w swoją stronę. Ja akurat miałem bardzo krótką trasę do pokonania, więc błyskawicznie dotarłem do bliskich. Powrót przebiegał w przyjemnej atmosferze, bo zwycięstwo dawało nam nadzieję na lepsze dni dla kadry – mecz z Izraelem to był bardzo pozytywny akcent. Kibice także trochę bardziej nam zaufali. Niestety, nie udało się tego przełożyć na finalny wynik w eliminacjach.

Kwalifikacje nie układały się nam od samego początku. Nie było widać w zespole jedności, charakteru, zęba. Udało się to jakoś ułożyć dopiero w meczu z Izraelem. Wydawało się, że to zwycięstwo może być kamieniem węgielnym pod budowę czegoś nowego, lepszego. Niestety, kolejne rotacje w składzie okazały się nietrafione i musieliśmy obejść się smakiem w kwestii awansu.

Liderem tamtej drużyny był Romek Kosecki, bardzo ważna postać tej reprezentacji i jej kapitan. Nieco mniej odzywał się Andrzej Juskowiak, który piłkarsko był doskonały. Co ciekawe, niewiele mówił także Wojtek Kowalczyk, nie wychylał się zbytnio. Bardzo istotnym graczem był też Piotrek Nowak, świetnie spisujący się na co dzień w rozgrywkach Bundesligi. Szacunkiem cieszyli się Andrzej Woźniak i Maciek Szczęsny, również wyraziste osobowości. Szkoda tylko, że organizacja nie była na tak wysokim poziomie co zawodnicy. Mam wrażenie, że dopiero uczyliśmy się wtedy profesjonalizmu. Kraj był świeżo po przemianach ustrojowych, pewne przyzwyczajenia pozostały. Brakowało uporządkowania spraw wokół kadry, bywało, że graliśmy w niebieskich koszulkach, co było absurdem.

Zdarzały się trudne momenty. Gdy pewnego razu pojechaliśmy na mecz towarzyski do Rosji, właściwie nie

mieliśmy co jeść. Facet wjeżdżał windą z jednym półmiskiem, na którym miał kilka plasterków wędliny i sera. Kładł to na stół i wychodził. Kto pierwszy chwycił, ten cokolwiek zjadł. Zawodnicy, których było na to stać, stołowali się w innych restauracjach, omijając szerokim łukiem hotelowe „menu". Paranoja. A nasze miejsce zakwaterowania było ogromne, tysiące pokojów. Za oknem ktoś strzelał, po korytarzach chodziły prostytutki, szukając klientów... Niesamowity, przaśny klimat. I my, jako reprezentacja Polski, funkcjonowaliśmy w takich warunkach. Niektórzy zrezygnowali wtedy z gry w kadrze. Cokolwiek jednak na ten temat powiedzieć, dzięki temu mamy co wspominać. Myślę, że mogłem w reprezentacji osiągnąć więcej. Plany trochę pokrzyżowały mi kontuzje, w pewnym momencie miałem już nawet zakończyć karierę w wieku 30 lat. Udało mi się nieco przedłużyć przygodę z piłką, pograłem jeszcze kilka lat. Licznik w kadrze zatrzymał się jednak w moim przypadku na 17 występach, którymi muszę się zadowolić.

KRZYSZTOF BUKALSKI

Data i miejsce urodzenia: 22 września 1970 r., Kraków.

W reprezentacji Polski: 17 meczów, 2 gole.

Debiut: 15 marca 1995, Polska – Litwa 4:1.

Kariera klubowa: Wanda Nowa Huta, Hutnik Kraków, KRC Genk (Belgia), Wisła Kraków, GKS Katowice, Wisła Kraków, US Fiorenzuola (Włochy), Néa Salamís Ammochóstou (Cypr), Górnik Zabrze.

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (1999), Puchar Belgii (1998).

MIROSŁAW
BULZACKI

Fot. Eugeniusz Warmiński / East News

TRIUMF W ŚWIĄTYNI FUTBOLU

17 października 1973, Londyn
Anglia – Polska 1:1 (0:0)

Bramki: Allan Clarke 63. k. – Jan Domarski 57.
Anglia: Peter Shilton – Paul Madeley, Roy McFarland, Norman Hunter,
Emlyn Hughes – Colin Bell, Anthony Currie, Martin Peters – Michael Channon,
Martin Chivers (86. Kevin Hector), Allan Clarke.
Polska: Jan Tomaszewski – Antoni Szymanowski, Mirosław Bulzacki, Jerzy Gorgoń, Adam Musiał – Lesław Ćmikiewicz, Kazimierz Deyna, Henryk Kasperczak – Grzegorz Lato, Jan Domarski, Robert Gadocha.
Żółte kartki: McFarland – Musiał.
Sędziował: Vital Loraux (Belgia).

Mój początek przygody z kadrą przypada na rok 1973, gdy reprezentacja Polski rozpoczynała walkę o mistrzostwa świata. Zaczęło się od wyjazdowej porażki z Walijczykami, ale wtedy jeszcze nie było mnie w reprezentacji. Na zgrupowanie stawiłem się dopiero niespełna dwa miesiące później. Czekały nas towarzyskie spotkania, na które powołał mnie trener Kazimierz Górski. Znałem się z nim już dużo wcześniej, bo pracował w ŁKS i przez jakiś czas robotę w Łodzi łączył z funkcją selekcjonera drużyny narodowej. Wystawił mnie w pierwszym składzie na dwa mecze kontrolne. Najpierw zremisowaliśmy 2:2 z Jugosławią w Warszawie, a później pokonaliśmy Irlandczyków we Wrocławiu 2:0. W obydwu spotkaniach wystąpiłem od pierwszej do ostatniej minuty.

Wydaje mi się, że tymi dwoma meczami przekonałem do siebie trenera Kazimierza Górskiego. Zresztą pamiętam, że zaprezentowałem się wówczas z bardzo dobrej strony. Później selekcjoner zaczął szykować mnie do pierwszego składu na mecz z Anglikami w eliminacjach. Chciał coś zmienić w ustawieniu zespołu i najwyraźniej pomyślał, że będę mu pasował do wyjściowej jedenastki na wyspiarzy. Byłem młodym chłopakiem, ale nie ustępowałem nikomu pola i lubiłem twardą rywalizację, moim atutem była też dobra gra głową. Trenerowi musiało to odpowiadać i uznał, że mogę być mocnym ogniwem w następnym meczu z Anglią i w rewanżu z Walijczykami.

Byłem chyba najmłodszy w kadrze i miałem się od kogo uczyć. Co ciekawe, niektórym zawodnikom musiałem mówić na pan. Tylko na boisku nie używałem tego zwrotu grzecznościowego, bo po prostu nie było na to czasu. Nie biegałem przecież i nie mówiłem na murawie: „panie Deyna!”. Szacunek do starszych zawodników musiał jednak być. Trener Górski stworzył kolektyw. Jego podopieczni nie musieli się jakoś przesadnie lubić, ale drużyna była najważniejsza, dlatego jeden harował za drugiego. Byliśmy z różnych klubów, z różnych regionów Polski, ale mimo to umieliśmy tworzyć jedność.

Pamiętam ten olbrzymi jazgot w Chorzowie przed meczem z Anglikami. Zdecydowanie pomogła nam wtedy publiczność, która chyba trochę wystraszyła rywali. Bilety sprzedawano do oporu, nawet w ostatnich rzędach były miejsca stojące. Gdzieś słyszałem, że poszło na to spotkanie ponad 100 tysięcy wejściówek. Kibiców mobilizował Jan Ciszewski. Łapał za mikrofon i rządził dopingiem. To też dodało nam werwy i pozytywnej energii. W mecz weszliśmy bardzo dobrze, a przeciwnik chyba nas zlekceważył. Analizowaliśmy grę Anglików przed spotkaniem i wiedzieliśmy, jakie błędy mogą popełniać. Technologia nie była jakoś szczególnie rozwinięta,

ale mieliśmy dostęp do nagrań. Trener Górski mówił między innymi, że trzeba atakować Bobby'ego Moore'a, gdy ten próbuje kiwać. Dryblowanie jako obrońcy mu nie szło i rzeczywiście – to po jego błędzie padła druga bramka. Włodek Lubański czuł, że Moore się pomyli, i wyłuskał mu piłkę. Ruszył w stronę bramki, a rywale go dogonili, kiedy oddał już strzał. Zamknął mecz i skończyło się na 2:0.

I tak reprezentacja Polski zaczęła wracać do gry o awans na mundial w 1974 roku na boiskach w RFN. Rozgrywałem regularnie kolejne sparingi i na przedostatni mecz eliminacyjny z Walią wyszedłem w podstawowym składzie. Nie było powtórki z pierwszego spotkania i tym razem to biało-czerwoni byli górą po bramkach Roberta Gadochy, Grzegorza Laty i Janka Domarskiego. Rywale jeszcze utrudnili sobie grę, bo dostali czerwoną kartkę, co ułatwiło nam zadanie. W każdym razie najważniejsze było to, że wygraliśmy z dwoma silnymi przeciwnikami i mieliśmy realne szanse, by pojechać na mundial, na który czekał cały naród. Ostatni raz reprezentacja Polski na takim turnieju występowała przecież jeszcze przed wybuchem drugiej wojny światowej. Nasze marzenia były na wyciągnięcie ręki. Należało jeszcze tylko spełnić ostatni warunek: osiągnąć korzystny wynik w meczu z Anglią na Wembley, w kolebce futbolu. Oni musieli wygrać, a nam wystarczał zaledwie punkt, by znaleźć się w piłkarskim raju.

Gospodarze nie byli nam przychylni i spotkaliśmy się z wieloma nieuprzejmościami z ich strony. Bardzo dostawało nam się od kibiców, z którymi zetknęliśmy się na Wembley. Krzyczeli na nas, wyzywali. Nie znaliśmy języka angielskiego, ale takie obelgi jak „animals" i inne wulgarne słowa potrafiliśmy zrozumieć. Wyłapywaliśmy pojedyncze słówka i wiedzieliśmy, że nas obrażają. Pojawiła się w nas piłkarska złość, zadra. Chcemy grać w piłkę, więc dlaczego nas wyzywają?

Pomyślałem sobie: „Poczekajcie, już my wam pokażemy, Angole!”. Ta angielska furia bardzo dobrze na mnie podziałała. Zresztą nie tylko na mnie, ale na cały zespół. Nie ma co ukrywać – byliśmy wkurzeni tą sytuacją. Najlepsze, co mogliśmy zrobić, to dokopać im na boisku.

Przed meczem każdy z nas dostał wskazówki, jak ma grać z Anglikami. Na tablicy swój pomysł na mecz nakreślał Kazimierz Górski. „Dwójka! Grasz na jedenastkę! Trójka, grasz na dziesiątkę”. Oczywiście dodawał też nazwiska, ale nie pamiętam już tego dokładnie. Moim zadaniem było pilnowanie Martina Chiversa. Wówczas asystentem trenera Kazimierza Górskiego był Jacek Gmoch. Jego zadaniem było dostarczenie informacji o przeciwnikach. Wtedy nie tak łatwo było pozyskiwać wiadomości o rywalach, bo przecież nie było dostępu do internetu i innych cudów technologii. Usłyszałem coś w stylu: „Chivers, wysoki i szeroki napastnik. Dobrze grający głową”. Nie był więc to wykład ze strony Gmocha, tylko przekazywanie krótkich, ogólnych informacji, z kim będziemy rywalizować na Wembley. Graliśmy wtedy ustawieniem 1-4-3-3. Jeśli był rzut wolny, trener Górski miał przygotowany wariant naszego ustawienia – kto stoi pierwszy, drugi, trzeci.

Roboty na Wembley było co niemiara. Biegałem za dużo wyższym Martinem Chiversem. Kawał chłopa, a ja – szczupaczek – musiałem wyłączyć go z gry. Starałem się nie pozwolić mu oddawać strzałów, szczególnie głową, i to mi się udawało. Nie mogliśmy stracić pierwsi bramki. Gdyby tak się stało, pewnie byłoby po nas. Gospodarze nas gnietli, byli rozpędzeni. Ale przed nimi była jeszcze zapora naszej defensywy – ja z Jurkiem Gorgoniem, a po bokach Antek Szymanowski z Adamem Musiałem, którzy bardzo dobrze pilnowali swoich sektorów. Musieliśmy przyzwyczaić się też do gry na tej murawie. Wembley nie pełniło funkcji tylko stadionu

piłkarskiego, odbywały się na nim również mecze żużlowe. Na czas żużlowego spotkania zwijano trawę, a później ponownie ją rozkładano, więc w bocznych sektorach boiska było miękko i tylko długie kołki w butach pozwalały nam utrzymać się na nogach.

Chyba sporym zaskoczeniem dla Anglików był styl gry Janka Tomaszewskiego, który potrafił wychodzić daleko przed pole karne, ponieważ u nich golkiperzy tak nie grali. Zdarzały się sytuacje, że wybiegał na piętnasty metr i wybijał lub łapał piłki. A jak nie złapał, to ja lub któryś z kolegów już siedzieliśmy w bramce, żeby zapobiec stracie gola. Taki był też plan. Jeśli bramkarz wychodzi, trzeba go ubezpieczać. Przerabiałem zresztą taki model gry z Jankiem, będąc w ŁKS. Wybijałem piłki z linii bramkowej, Antek Szymanowski też ratował tyłek Jankowi. Broniliśmy się, jak tylko mogliśmy, a Anglicy nie dowierzali, co się dzieje w naszym polu karnym. Często grali wrzutkami, ale nie były to takie ostre dogrania jak teraz, tylko „wiszące banany". Wszystko zbierał Gorgoń, który był dużo wyższy i szerszy ode mnie, więc sprzątał to, czego ja nie zdołałem. A jak już piłka nas minęła, to zawodnik nie.

Prowadziliśmy po golu Janka Domarskiego, ale po kilku minutach gospodarze wyrównali. Belgijski arbiter uległ chyba presji Wembley. Moim zdaniem faul był przed polem karnym, a sędzia przyznał Anglikom jedenastkę zbyt pochopnie. Zresztą arbiter był w tamtej chwili na środku boiska. Anglik biegł jeszcze kilka metrów i wywrócił się dopiero w polu karnym. Leżący piłkarz, cały stadion ryczy – no i co? Rzut karny dla Anglików, który został zamieniony na gola wyrównującego. Gospodarze próbowali atakować dalej, bo mieli nóż na gardle. Musieli to wygrać. Strzelali z różnych stron, kilka uderzeń poszybowało obok słupka. A jak oni ryzykowali, to zaczęli coraz bardziej się otwierać, szczególnie w drugiej połowie, dlatego

niewiele zabrakło, żebyśmy strzelili drugiego gola. Grzegorz Lato myślał, że jest na spalonym, i zwolnił. A gdy zobaczył, że nie ma spalonego, to zaczął kiwać w polu karnym i akcja skończyła się niepowodzeniem.

Nie patrzyliśmy na zegar. Graliśmy normalnie, wykonując swoją robotę, i nie było odliczania do końcowego gwizdka sędziego. Koncentrowaliśmy się tylko na naszym przeciwniku. Harmider był ogromny, bo po trybunach cały czas niosło się: „England! England! England!". A ja tylko skupiałem się na swoim Chiversie. W głębi ducha każdy z nas chciał dowieźć ten remis i nie stracić drugiego gola. Dociągnęliśmy do końca.

W ostatniej akcji wybiłem piłkę i sędzia zagwizdał po raz ostatni. Chciałem zabrać futbolówkę na pamiątkę, ale zrobiło się ogromne zamieszanie. Ludzie zaczęli wbiegać na boisko, nastąpiła ogromna radość, a ja odpuściłem sobie tę piłkę. A potem było już tylko jedno wielkie świętowanie. W hotelu odwiedzili nas londyńscy polonusi, którzy chcieli się z nami napić. Trener Górski zawsze na to pozwalał. Nie musiał nas sprawdzać. Nawet na mistrzostwach świata dawał nam luz. Nikt nie pił wódki, a jak ktoś wypije kilka piwek, to przecież nic się nie stanie. Miał do nas zaufanie.

Po meczu Janka Tomaszewskiego ochrzczono człowiekiem, który zatrzymał Anglików. Tamtejsza prasa rozpisywała się, że dla nich to koniec świata i na czołówkach wszystkich gazet był właśnie Tomaszewski. Trochę nas to drażniło, bo przecież osiągnęliśmy ten sukces razem, jako drużyna. Potrafiliśmy jednak z tego żartować, co doskonale oddawało charakter tamtego fantastycznego zespołu.

Data i miejsce urodzenia: 23 października 1951 r., Łódź.

W reprezentacji Polski: 23 mecze.

Debiut: 13 maja 1973, Polska – Jugosławia 2:2.

Osiągnięcia: III miejsce MŚ 1974.

Kariera klubowa: ŁKS Łódź, Start Łódź, VfL Herzlake (Niemcy), TV Wehingen 1891 (Niemcy), Dozamet Nowa Sól.

ANDRZEJ
BUNCOL

Peter Robinson / PA Images / Getty Images

GŁOWĄ PRZEBIŁEM NIEMIECKI MUR

2 maja 1981, Chorzów
Polska – NRD 1:0 (0:0)

Bramka: Andrzej Buncol 56.
Polska: Jan Tomaszewski – Marek Dziuba, Władysław Żmuda, Paweł Janas, Jan Jałocha – Grzegorz Lato, Janusz Kupcewicz, Andrzej Buncol – Andrzej Iwan (80. Piotr Skrobowski), Andrzej Szarmach, Włodzimierz Smolarek.
NRD: Hans-Ulrich Grapenthin – Dieter Strozniak, Hans-Jürgen Dörner, Udo Schmuck, Lothar Kurbjuweit – Hans-Jürgen Riediger, Reinhard Häfner, Rüdiger Schnuphase, Wolfgang Steinbach – Joachim Streich (64. Andreas Bielau), Martin Hoffmann (70. Matthias Liebers).
Żółte kartki: Janas, Żmuda – Strozniak.
Sędziował: Vojtech Christov (Czechosłowacja).

Moim najważniejszym spotkaniem w reprezentacji Polski było to rozegrane 2 maja 1981 roku przeciwko Niemieckiej Republice Demokratycznej. Byłem wtedy bardzo młodym chłopakiem, dopiero zaczynałem grać w drużynie narodowej.

To nie był najlepszy okres dla reprezentacji Polski. Antoni Piechniczek chwilę wcześniej objął stanowisko selekcjonera, a pierwsze zgrupowanie za jego kadencji odbyliśmy w Krynicy-Zdrój. Wiosną osiągaliśmy, delikatnie mówiąc, niezbyt dobre wyniki. Tuż przed ostatnimi meczami kwalifikacji do mistrzostw świata przegraliśmy nawet sparing z GKS Tychy. Wszystkie media pisały, że nie mamy żadnych szans na awans. Tymczasem czekał nas mecz z NRD w Chorzowie, gdzie na trybunach zasiadło około 80 tysięcy kibiców.

Jako młody chłopiec chodziłem na mecze na Stadionie Śląskim, gdzie występowały choćby takie gwiazdy, jak Johan Cruijff. Moim absolutnym marzeniem był występ na tym obiekcie. Samo odśpiewanie hymnu robiło ogromne wrażenie. W meczu z NRD chcieliśmy udowodnić, że nie jest z nami tak źle, jak wszyscy sądzili. Bardzo mocno odczuwaliśmy nagonkę ze strony mediów. Trener również to podkreślał, co działało na nas niebywale motywująco. Musieliśmy się odgryźć. Sytuacja polityczna w kraju była też mocno napięta, więc zdawaliśmy sobie sprawę, jak wielką radością dla kibiców byłoby to zwycięstwo.

Byliśmy spisywani na porażkę, a tymczasem sprawiliśmy wszystkim, którzy tak uważali, sporego psikusa. Wygraliśmy 1:0, a ja zdobyłem jedyną bramkę meczu. Co nietypowe, strzeliłem gola głową, chociaż nigdy nie grzeszyłem wzrostem. To był dla mnie absolutnie przełomowy moment w kontekście gry w reprezentacji narodowej. Po zwycięstwie 1:0 na własnym terenie w rewanżu na stadionie w Lipsku wygraliśmy 3:2 i w ten sposób zakwalifikowaliśmy się do hiszpańskich mistrzostw świata.

Prowadził nas wówczas trener Antoni Piechniczek, którego bardzo mile wspominam z czasów współpracy w reprezentacji. To był okres mojej dobrej gry w lidze, co nie uszło uwadze selekcjonera. Nie bał się na mnie postawić także w zespole narodowym. Podobał mi się jego styl pracy, potrafił nas doskonale zmotywować. Po latach mamy czasem okazję się spotykać i za każdym razem jest to przyjemnie spędzony czas.

A co do samego mundialu, nikt nie liczył, że tak daleko na nim zajdziemy. Mówiąc szczerze, my sami się tego nie spodziewaliśmy. Mecz przeciwko ZSRR rozgrywaliśmy na stadionie w Barcelonie, dla mnie było to ogromne przeżycie. Dzień przed spotkaniem mogliśmy tam trenować, coś

fantastycznego dla takiego młodego chłopaka jak ja. Cały mundial był niesamowity, to była odskocznia od codziennej szarości. Najlepsi piłkarze świata, Zico, Sócrates, Zoff, Scirea, Antognoni, Gentile… Mieliśmy wtedy kapitalny zespół. Wszyscy doskonale się rozumieli, nie było żadnych podziałów. Gdy ktoś nie grał, nie chodził i nie robił problemów, tylko pomagał całej drużynie. To w piłce niesamowicie ważne. Można mieć najlepszych zawodników, ale jeśli nie tworzą oni zespołu, nic się nie osiągnie. Prym w ekipie wiódł Zbyszek Boniek, był też najlepszym naszym piłkarzem. Zabrakło go w półfinale, ale i tak z Włochami chyba byśmy sobie nie poradzili, to był świetny zespół. Turniej w Hiszpanii jest do dziś moim najlepszym wspomnieniem z całej kariery.

Ciekawa historia wiąże się także z powrotem do kraju. Gdy mieliśmy wylatywać z Madrytu, było bardzo gorąco. Start samolotu tymczasem mocno się opóźniał. W końcu jednak oderwaliśmy się od ziemi, ale po 10 minutach pilot oznajmił, że mamy usterkę i musimy zawrócić. Nie ukrywam, że pojawiały się różne myśli. Jak to, jesteśmy młodzi, zajęliśmy trzecie miejsce na mistrzostwach świata, wszystko przed nami, a nagle mamy zginąć w katastrofie? Na szczęście nie było to nic poważnego i bezpiecznie wylądowaliśmy. Po kilku godzinach udało się ściągnąć nowy samolot i do Polski wróciliśmy w nocy. Nie przeszkodziło to jednak ludziom czekać na nas na lotnisku, witały nas ogromne tłumy. Czekali cały dzień! Później przez dwa, trzy dni przebywaliśmy z żonami w hotelu Victoria, zresztą uczestniczyliśmy w wielu spotkaniach. To był niezapomniany czas.

Data i miejsce urodzenia: 21 września 1959 r., Gliwice.

W reprezentacji Polski: 51 meczów, 6 goli.

Debiut: 17 lutego 1980 r., Maroko – Polska 1:0.

Osiągnięcia: III miejsce MŚ 1982, uczestnik MŚ 1986.
Członek Klubu Wybitnego Reprezentanta.

Kariera klubowa: Piast Gliwice, Ruch Chorzów, Legia Warszawa, FC Homburg (Niemcy), Bayer 04 Leverkusen (Niemcy), Fortuna Düsseldorf (Niemcy).

Osiągnięcia: Puchar UEFA (1988).

PIOTR
CZACHOWSKI

Fot. Ross Kinnaird / EMPICS / Getty Images

PRZYSZŁA, NASZŁA, WESZŁA

16 października 1991, Poznań
Polska – Irlandia 3:3 (0:1)

Bramki: Piotr Czachowski 54., Jan Furtok 74., Jan Urban 85. – Paul McGrath 11., Andrew Townsend 60., Anthony Cascarino 69.
Polska: Józef Wandzik – Dariusz Kubicki (33. Andrzej Lesiak), Dariusz Wdowczyk,
Piotr Soczyński, Piotr Czachowski – Roman Kosecki, Ryszard Tarasiewicz,
Janusz Nawrocki (79. Dariusz Skrzypczak), Jacek Ziober – Jan Urban, Jan Furtok.
Irlandia: Patrick Bonner – Dennis Irwin, Kevin Moran, David O'Leary, Stephen Staunton (55. Terence Phelan) – Christopher Morris, Roy Keane, Paul McGrath,
Andrew Townsend, Kevin Sheedy – Anthony Cascarino.
Żółte kartki: Furtok – Staunton.
Sędziował: Guy Goethals (Belgia).

Mój najważniejszy mecz w barwach drużyny narodowej to zdecydowanie konfrontacja z Irlandią w ramach eliminacji do mistrzostw Europy z 16 października 1991 roku. Dlaczego akurat rywalizacja z Irlandczykami? Bo właśnie w tym meczu udało mi się zdobyć bardzo ładną bramkę i – jak się później okazało – był to mój jedyny gol w reprezentacji Polski. Nie tylko moim zdaniem, ale również innych, zagrałem naprawdę bardzo dobre zawody na stadionie w Poznaniu. Czułem wówczas, że jest we mnie *power*, który sprawiał, że grałem jak natchniony. Ale po kolei...

W grupie eliminacji do mistrzostw Europy, które odbywały się jeszcze na starych zasadach, trafiliśmy na wyspiarzy, czyli Anglię i Irlandię. To były dwie groźne drużyny, które do dzisiaj słyną z bardzo twardego stylu gry. Za rywali mieliśmy jeszcze Turków, ci jednak szybko odpadli z wyścigu. To między trzema zespołami toczyła się bitwa o to, kto wyjdzie z grupy i pojedzie na turniej w Szwecji. Sami czuliśmy, że po wielu latach niepowodzeń nasz zespół stanął przed ogromną szansą, aby po raz pierwszy w historii zakwalifikować się na mistrzostwa Europy.

Zanotowaliśmy słaby początek, bo zaczęliśmy od porażki z Anglikami, ale później poważnie włączyliśmy się do walki o awans. Kalendarz eliminacji mistrzostw Europy ułożył się nam tak, że ostatnie dwa spotkania odbywały się w Polsce. Najpierw w październiku z Irlandią, a później w listopadzie z Anglią. Oba mecze mieliśmy rozegrać w Poznaniu. Doskonale zdawaliśmy sobie sprawę, że przy zwycięstwach będziemy na pierwszym miejscu w grupie i zagramy w finałach. Niestety, mecze nie zakończyły się tak, jak byśmy sobie tego życzyli.

Przed meczem z Irlandią mogliśmy liczyć wyłącznie na siebie, bo po ewentualnym zwycięstwie nie trzeba byłoby oglądać się na pozostałych rywali. Tworzyliśmy naprawdę fajną ekipę, większość zawodników z naszej drużyny na kadrę przyjeżdżała z lig zagranicznych. Liczyliśmy na ich umiejętności, które pozwoliłyby wprowadzić Polskę do finałów. Anglicy mieli sześć punktów, a my z Irlandią po pięć. Zanim wybiegliśmy na murawę, czuliśmy ciążącą na nas presję. Mogliśmy przecież wykonać ogromny krok w stronę awansu…

Byliśmy bardzo zmotywowani. Mieliśmy też w głowach pierwsze spotkanie z Irlandczykami, które odbyło się na początku maja w Dublinie. Była tam niesamowita walka, ale udało nam się wrócić z remisem. Zagraliśmy na zero z tyłu,

złapaliśmy wiatr w żagle. Piłkarsko nie odstawaliśmy od swoich rywali. Ten mecz nas w pewien sposób zmotywował i pokazał, że można z nimi grać jak równy z równym i teraz ich „pogonić". A ja nawet mogłem strzelić gola, lecz piłka po moim uderzeniu poszybowała nad poprzeczką Pata Bonnera.

W Poznaniu emocji było mnóstwo, bo padała bramka za bramką. Rywale stworzyli sobie groźną sytuację w pierwszej połowie i po naszym błędzie strzelili pierwszego gola. Po zmianie stron udało nam się przeprowadzić bardzo ładną i składną akcję, która zakończyła się wyrównaniem. To ja byłem strzelcem gola. Wykorzystałem błąd bramkarza, który został zmylony i położył się na murawie. Dopadłem do piłki na skraju pola karnego i huknąłem z całych sił. Siadła mi idealnie i zrobiło się 1:1. Zacisnąłem dłoń w pięść, poczułem radość, ale trwało to tylko chwilę, bo trzeba było grać dalej i szukać kolejnych bramek.

Po moim golu chcieliśmy jak najszybciej wyjść na prowadzenie. Inicjatywa była po naszej stronie. Zyskaliśmy przewagę, graliśmy lepiej i tworzyliśmy więcej groźnych sytuacji. Nie ustrzegliśmy się jednak dwóch sytuacji, po których padły dwie bramki dla Irlandii… Najpierw po błędzie naszej obrony do siatki Józefa Wandzika trafił osamotniony Andy Townsend, a chwilę później podwyższył Tony Cascarino. Przegrywaliśmy 1:3. Trzecia bramka dla rywali praktycznie zamknęła mecz.

Tego dnia mieliśmy jednak wielkie serducha i ogromne ambicje. Nie traciliśmy nadziei i szukaliśmy swojej szansy, bo do końca spotkania pozostało jeszcze 20 minut. Walczyliśmy dalej, robiliśmy wszystko, co w naszej mocy, i udało nam się strzelić gola kontaktowego na 2:3. Po uderzeniu w stronę irlandzkiej bramki piłki nie zdołał złapać Pat Bonner – odbił ją wprawdzie, ale ta znalazła się pod nogami Jana Furtoka, który

umieścił futbolówkę w siatce. To sprawiło, że zaczęliśmy grać jeszcze szybciej. U rywali pojawił się moment zawahania w defensywie, co chcieliśmy prędko wykorzystać. Przyjąłem piłkę z prawej strony boiska i dośrodkowałem w kierunku Janka Urbana, który strącił ją „szczupakiem" i doprowadził do wyrównania. Do końca regulaminowego czasu gry pozostało tylko pięć minut, a my pragnęliśmy tej zwycięskiej bramki. I byliśmy jej bardzo bliscy. Stworzyłem groźną sytuację z Jackiem Zioberem, ale zabrakło nam szczęścia. Po uderzeniu z dość ostrego kąta strzał obronił irlandzki golkiper.

Ostatecznie wywalczyliśmy tylko remis. Z murawy schodziliśmy rozgoryczeni, zawiedzeni, bo musieliśmy wygrać. Przecież wszystko miało zależeć od nas, a tymczasem doszło do sytuacji, w której trzeba było patrzeć na innych. Byliśmy świadomi, że wymyka się nam z rąk ogromna szansa. Źli na siebie byli również Irlandczycy, którzy już witali się z gąską. Mieli nas na widelcu, a pozwolili sobie strzelić gola wyrównującego. Było widać, że są podłamani, zakrywali twarze dłońmi.

Ale to jeszcze nie był koniec, choć wiedzieliśmy, że Irlandia jedzie do najsłabszej w grupie Turcji, a my gościmy Anglię. Mimo wszystko tliła się w nas iskierka nadziei. I nawet po 45 minutach ostatniej kolejki byliśmy w finałach, bo prowadziliśmy z Anglikami 1:0, a Turcy remisowali z Irlandią. Ale Anglicy mieli Gary'ego Linekera, który zawsze znajdował sposób na naszą reprezentację – był naszym katem i wtedy też zdobył bramkę wyrównującą.

Często wspominam ten remis z Irlandią i swoją ładną bramkę. Spotkanie oglądałem nawet kilka razy na kasecie wideo. Na pewno ten gol dał mi dużo satysfakcji. Czułem, że rozgrywam bardzo dobre spotkanie. Nieśli mnie jeszcze dodatkowo kibice, którzy z emocji wychodzili z siebie. Na tego

gola pracowałem dosyć długo. Wiadomo, że zawodnik grający w formacjach defensywnych nie będzie zdobywał dużo bramek. W Poznaniu piłka świetnie mi jednak spadła, było dużo wolnego miejsca i nie miałem problemów, żeby wpakować ją do siatki.

Do dzisiaj cieszę się z tego, że mój bilans reprezentacyjny to 45 meczów i jeden gol. To ta jedna jedyna bramka, która sprawiła mi najwięcej radości ze wszystkich goli, które strzeliłem od czasów juniorskich aż po zakończenie kariery. Zawsze gdy mam chwilę wolnego, to ją sobie oglądam. Szkoda, że pan Dariusz Szpakowski spóźnił się z komentarzem, bo nawet nie powiedział, kto jest autorem tego trafienia (śmiech). Nie wymienił mojego nazwiska, bo był tym wszystkim zaskoczony i chyba nie za bardzo widział pole gry przed „szesnastką".

I na koniec jeszcze dygresja: trzon tamtego zespołu stanowili zawodnicy z lig zagranicznych, a w naszej kadrze było tylko kilku piłkarzy z polskiej ligi. W tym ja, wówczas zawodnik Zagłębia Lubin. Marzyłem o wyjeździe i robieniu kariery za granicą, tak jak moi starsi koledzy. Na mecz w Poznaniu z Irlandią przyjechali skauci… londyńskiej Chelsea. Na początku o tym nie wiedziałem, dopiero później poinformowano mnie, że będą mi się przyglądać. Po meczu zaproponowano mi testy w Londynie. Udałem się tam na 10 dni i uważam, że wypadłem dobrze. Kontrakt był blisko, warunki praktycznie uzgodnione. Na ostatniej prostej umowa jednak nie wypaliła. Do dzisiaj nie wiem dlaczego. Może poszło o kwestie finansowe? Losy mojej kariery potoczyły się inaczej, bo później trafiłem do włoskiego Udinese.

PIOTR CZACHOWSKI

Data i miejsce urodzenia: 7 listopada 1966 r., Warszawa.

W reprezentacji Polski: 45 meczów, 1 gol.

Debiut: 23 sierpnia 1989, Polska – ZSRR 1:1.

Kariera klubowa: Okęcie Warszawa, Stal Mielec, Legia Warszawa, Zagłębie Lubin, Udinese Calcio (Włochy), Legia Warszawa, Dundee FC (Szkocja), ŁKS Łódź, Aluminium Konin, Okęcie Warszawa, KS Piaseczno, UKS Łady.

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (1994).

SYLWESTER
CZERESZEWSKI

Fot. John Marsh / EMPICS / Getty Images

JAK PRZYĆMIŁEM CHRISTO STOICZKOWA

6 września 1998, Burgas
Bułgaria – Polska 0:3 (0:2)

Bramki: Sylwester Czereszewski 19., 45., Tomasz Iwan 47.
Bułgaria: Zdrawko Zdrawkow – Goszo Ginczew, Zlatomir Zagorčić (50. Iwajło Petkow), Iwajło Jordanow, Radostin Kiszisziew – Zachari Sirakow,
Georgi Baczew, Daniel Borimirow (46. Mitko Trendafiłow), Milan Petkow
(46. Ilija Gruew) – Donczo Donew, Christo Stoiczkow.
Polska: Kazimierz Sidorczuk – Jacek Bąk, Tomasz Łapiński, Jacek Zieliński,
Rafał Siadaczka – Tomasz Hajto (70. Tomasz Kłos), Jerzy Brzęczek, Sylwester Czereszewski, Piotr Świerczewski (78. Radosław Michalski) – Tomasz Iwan, Mirosław Trzeciak (85. Andrzej Juskowiak).
Żółte kartki: Zagorčić, Kiszisziew – Bąk, Świerczewski, Brzęczek, Hajto, Iwan.
Sędziował: Marc Batta (Francja).

Eliminacje do mistrzostw Europy w roku 2000 rozpoczynaliśmy spotkaniem w Burgas z Bułgarią i tamten mecz uważam za najważniejszy w mojej karierze w drużynie narodowej. Można powiedzieć, że start mieliśmy wymarzony, a nadzieje kibiców po tak dobrym i obiecującym spotkaniu rozpaliły się na nowo. Bułgarzy – jak na tamte czasy – byli bardzo silnym zespołem. Przecież zaledwie kilka lat wcześniej zostali czwartą drużyną świata. Kilku zawodników z tamtej kadry wciąż grało w reprezentacji, przede wszystkim dobrze znany wszystkim

kibicom Christo Stoiczkow. Do złotego pokolenia zaliczali się także Daniel Borimirow czy Iwajło Jordanow, którzy również znaleźli się w kadrze na mecz z naszym zespołem.

Przed przyjazdem do Burgas byliśmy przygotowani na to, że czeka nas bardzo trudny mecz. Dodatkowo nie sprzyjały nam okoliczności przed tym spotkaniem. Bułgarzy wszystko tradycyjnie musieli nam utrudniać. Dzień lub dwa przed spotkaniem musieliśmy trenować na jakimś boisku między blokami. Do tego dochodziła paskudna pogoda, deszcz. Podczas naszych zajęć tamtejsi mieszkańcy po prostu przechodzili sobie przez boisko. Nie wiem, czy było to zrobione specjalnie, ale Bułgarzy nas prowokowali, próbowali wybijać z rytmu na wszelakie sposoby. Można powiedzieć, że zawsze dobrze sobie z tym radzili. Trzeba było jednak zacisnąć zęby i skupić się na czekającym nas meczu. Uważam, że jak ktoś raz zagra na kartoflisku, to przecież nic się nie stanie.

Po niecodziennym treningu trudności spotkały nas także na płycie, na której mieliśmy rywalizować z Bułgarami. Dostaliśmy trochę czasu na rozruch, żeby oswoić się z boiskiem i stadionem, ale podczas treningu… nagle zgasło światło. Nie dość, że gospodarze robili nam problemy z dostępem do murawy, to jeszcze usiłowali skrócić nasz czas pobytu na obiekcie, gasząc jupitery. Teraz to nie do pomyślenia, dzisiaj szacunek do rywala jest o wiele większy.

Bułgarska maszyna ruszyła na naszą bramkę od pierwszego gwizdka arbitra. Trwało to jednak dość krótko, bo przeciwnicy cisnęli nas przez jakieś 10 minut. Później osłabli, a my z upływem czasu się rozkręcaliśmy. Dało się zauważyć, jakim respektem arbiter darzył Christo Stoiczkowa. Bułgar dyskutował z sędzią, wymuszał na nim korzystne dla swojej drużyny decyzje – gwiazdor sprawiał, że gospodarze byli w pewnych sytuacjach traktowani nieco łagodniej. Pod naszą

bramką było groźnie, ale rywale nie udokumentowali swojej przewagi.

A potem do głosu doszła reprezentacja Polski. Nasz zespół zaczął dyktować warunki na boisku, a w obozie rywala czuć było narastającą frustrację. Już po mojej pierwszej zdobytej bramce dało się zauważyć, jak bardzo Bułgarzy są wściekli. Nie umieli zachować zimnej krwi. Rozkładali ręce, denerwowali się. Stracili pierwszego gola i zaczęli grać, jakby do końca pozostało 10 minut. Atakowali większą liczbą zawodników, co nam sprzyjało, bo byliśmy nieźli w grze z kontry. Choć do bramki trafiliśmy po takiej akcji dopiero przy ostatnim golu. Pierwsza zdobyta bramka padła po dośrodkowaniu w pole karne. Nieczysto trafiłem w piłkę, strzał odbił się od obrońcy, a ponieważ bramkarz już szykował się do interwencji, to rykoszet zupełnie go zdezorientował – poprawiłem lewą nogą i otworzyłem wynik. Golkiper nie miał szans.

Podwyższyłem wynik jeszcze w pierwszej połowie, przed zejściem do szatni. Pamiętam tę akcję doskonale. Jurek Brzęczek otrzymał podanie z prawej strony i złamał na lewą nogę. Przez głowę przemknęło mi pytanie: będzie dośrodkowywał słabszą stopą? W pewnym momencie nie wiedziałem, czy mam iść w stronę golkipera. Pomyślałem, że Jurek nie wrzuci bardzo blisko bramki, bo piłka na pewno poleciałaby z mniejszą siłą. Trzeba znać zawodnika, z którym się gra i próbować wyczuć jego zamiary. Przewidziałem intencje Brzęczka, wyskoczyłem do piłki i pokonałem bramkarza uderzeniem głową. Mieliśmy rywali w garści. Najważniejsze było teraz wytrzymać ciśnienie i atmosferę zgotowaną przez tamtejszych kibiców.

Z Bułgarami toczyliśmy wiele pojedynków, było dużo walki i nerwów z obydwu stron. Arbiter często musiał tonować sytuację i sięgał po żółte kartki za przekraczanie przepisów.

Wiele było takich sytuacji na styku. W dzisiejszych czasach zapewne posypałyby się czerwone kartki. Udało nam się wytrzymać presję i nie daliśmy się sprowokować gospodarzom. W drugiej połowie powiększyliśmy przewagę – trzeciego gola strzelił Tomek Iwan. Mimo że Bułgarzy próbowali coś zdziałać i przedostać się w nasze pole karne, Kazimierz Sidorczuk zachował czyste konto. Wygraliśmy z silnym rywalem, na gorącym terenie i zaliczyliśmy znakomity start w eliminacjach.

Kibice reprezentacji Polski, którzy pamiętają tamto starcie, wiedzą też, w jakich okolicznościach rozgrywany był mecz w Burgas. Spotkanie nie było transmitowane w telewizji publicznej, co spotkało się z dużą krytyką wśród fanów biało-czerwonych. Przed meczem dostaliśmy polecenie, żeby nie udzielać wywiadów dziennikarzom. Zdobyłem dwie bramki, wyróżniłem się na boisku, a co za tym idzie – wszystkie kamery skierowały się w moją stronę. A że byłem młody i nieokrzesany, to coś tam chlapnąłem. Teraz nie dałbym się tak podpuścić.

Po meczu po Daniela Boromirowa specjalnie do Bułgarii przyleciał samolotem pewien pan z wąsem. Był to prezydent TSV 1860 Monachium. Podczas kolacji spotkał się także ze mną i stwierdził, że chciałby, abym reprezentował barwy jego klubu w Bundeslidze. Wówczas byłem zawodnikiem Legii Warszawa, ale transfer niestety nie wypalił. W stołecznym klubie rządziło wtedy Daewoo, były pieniądze i taki ruch nie wchodził w grę. Legia nie była zainteresowana negocjacjami, bo chciała Ligi Mistrzów i nie mogła pozwolić sobie na osłabienie zespołu.

Mimo udanego startu nie pojechaliśmy na Euro, bo wyżej od nas w tabeli znaleźli się Anglicy i Szwedzi. Lata 90. to pięta achillesowa reprezentacji Polski. Niby mieliśmy mocne nazwiska, nasi zawodnicy grali w bardzo dobrych klubach i stanowili o ich sile, ale często czegoś nam brakowało. Coś sprawiało, że nie potrafiliśmy awansować na wielką imprezę.

Zawsze mieliśmy swojego kata – jak nie Gary'ego Linekera, to Paula Scholesa. Ze Szwedami było tak samo: ciężko się z nimi grało, sprawiali nam mnóstwo problemów. Przeciwko obu tym drużynom wyjątkowo nam nie szło. Nie ma co ukrywać – rywale przewyższali nas piłkarsko.

Na koniec jeszcze kilka słów o Januszu Wójciku i moich relacjach z trenerami. Wójcik słynął z mocnego języka i charyzmatycznych przemów. W ten sposób motywował zawodników. Niektórzy byli z tym już oswojeni, a niektórzy potrzebowali trochę czasu, aby się do tego przyzwyczaić. Trener Wójcik na pewno był szkoleniowcem bardzo ostrym i wymagającym. Podziwiam niektórych, że wytrzymywali to ciśnienie. Znali go wcześniej między innymi z kadry olimpijskiej, więc wiedzieli, czego można się po nim spodziewać. Kogoś mogło to mobilizować, a na kogoś działało wręcz odwrotnie. Moje relacje z selekcjonerem były jednak bardzo dobre. Nie zdarzały mi się z nim kłótnie czy awantury. Trzeba było po prostu go znać, żeby wytrzymać psychicznie jego metody.

Generalnie zawsze starałem się utrzymywać dobre relacje z moimi trenerami, a podczas kariery piłkarskiej miałem ich około dwudziestu. Uważam, że jak ktoś prezentuje wysoki poziom, to poradzi sobie też z wymagającymi szkoleniowcami. Jeden z moich trenerów, Wojciech Niedźwiecki, ochrzcił mnie nawet mianem „Pelégo z Klewek". Pochodzę bowiem właśnie z Klewek, do tego mam ciemną karnację i ciemne włosy. Wszystko się ładnie połączyło i przez kolejne lata byłem tak nazywany. Tylko kariera jakby troszkę mniejsza…

Data i miejsce urodzenia: 4 października 1971 r., Gołdap.

W reprezentacji Polski: 23 mecze, 4 gole.

Debiut: 12 października 1994, Polska – Azerbejdżan 1:0.

Kariera klubowa: Korona Klewki, Stomil Olsztyn, Gwardia Szczytno, Stomil Olsztyn, Legia Warszawa, Jiangsu Sainty (Chiny), Legia Warszawa, Lech Poznań, Górnik Łęczna, Odra Wodzisław Śląski, Czereś Sport Olsztyn, Fortuna Dorotowo Gągławki, Start Nidzica, Fortuna Dorotowo Gągławki.

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (2002), Puchar Polski (1997), Superpuchar Polski (1997), Puchar Ligi Polskiej (2002), król strzelców ligi polskiej (1998).

LESŁAW
ĆMIKIEWICZ

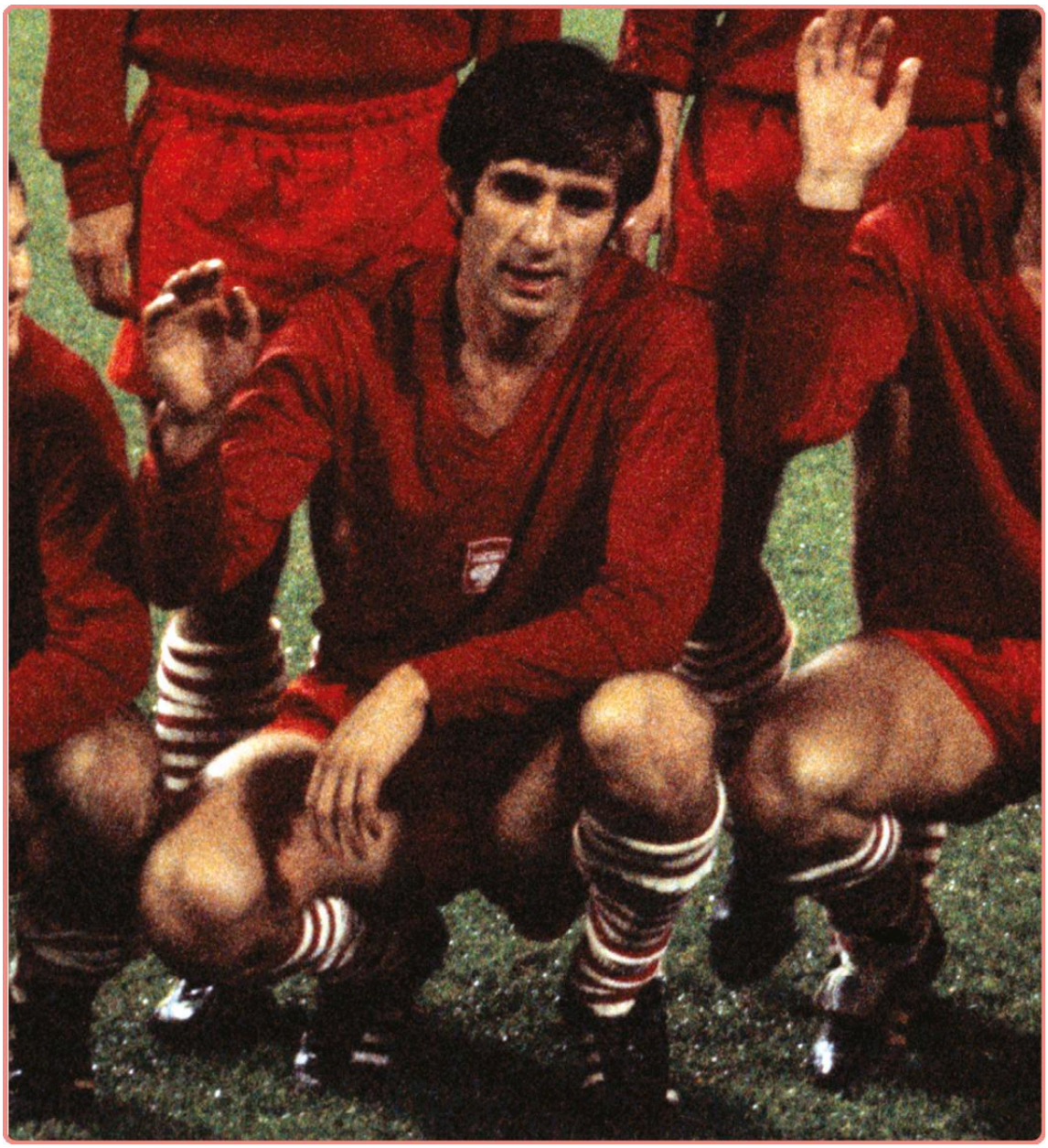

Fot. Peter Robinson / PA Images / Getty Images

„KONIEC Z TURYSTAMI” I ZAGINIONY MEDAL

5 września 1972, Augsburg
Polska – ZSRR 2:1 (0:1)

Bramki: Kazimierz Deyna 79. k., Zygfryd Szołtysik 87. – Oleg Błochin 29.
Polska: Hubert Kostka – Antoni Szymanowski, Marian Ostafiński, Jerzy Gorgoń (35. Jerzy Kraska), Zygmunt Anczok – Zbigniew Gut (69. Zygfryd Szołtysik), Lesław Ćmikiewicz, Kazimierz Deyna, Zygmunt Maszczyk – Włodzimierz Lubański, Robert Gadocha.
ZSRR: Jewhen Rudakow – Rewaz Dżodżuaszwili, Murtaz Churciława,
Władimir Kaplicznyj, Jewgenij Łowczew – Wiktor Kołotow, Jożef Sabo,
Oganes Zanazanjan (87. Anatolij Kuksow) – Wiaczesław Siemieniow (80. Władimir Oniszczenko), Gennadij Jerwużychin, Oleg Błochin.
Żółte kartki: Ćmikiewicz – Churciława.
Sędziował: Henry Øberg (Norwegia).

26 września 1973, Chorzów
Polska – Walia 3:0 (2:0)

Bramki: Robert Gadocha 29., Grzegorz Lato 34., Jan Domarski 53.
Polska: Jan Tomaszewski – Antoni Szymanowski, Mirosław Bulzacki, Jerzy Gorgoń, Adam Musiał – Lesław Ćmikiewicz, Kazimierz Deyna,
Henryk Kasperczak – Grzegorz Lato, Jan Domarski, Robert Gadocha.

Walia: Gareth Sprake – Peter Rodrigues, Harold England, John Mahoney
(84. Leighton Phillips), Roderick Thomas – John Roberts, Terence Yorath,
Trevor Hockey – Brian Evans (63. Gilbert Reece), Ronald Davies, Leighton James.
Żółte kartki: Musiał – Roberts.
Czerwona kartka: Hockey.
Sędziował: Ove Dahlberg (Szwecja).

Bardzo trudno jest mi zdecydować, który z meczów rozegranych w barwach reprezentacji Polski był dla mnie tym najważniejszym. Ogromną wartość miało na pewno spotkanie z Anglią na Wembley, które dało nam awans na mistrzostwa świata w 1974 roku oraz przepustkę do futbolu na najwyższym poziomie. Drugim takim starciem był finał igrzysk olimpijskich w Monachium, w którym zwyciężyliśmy i sięgnęliśmy po złoty medal. Nie byłoby jednak tych sukcesów, gdyby nie wcześniejsze spotkania, które otworzyły nam do nich drogę.

Pierwszym z nich był bój ze Związkiem Radzieckim, w drugiej fazie olimpijskich zmagań. Tego dnia w wiosce olimpijskiej zdarzyła się tragedia. Członkowie palestyńskiej organizacji Czarny Wrzesień przeprowadzili zamach na izraelskich sportowców, a w masakrze zginęło 11 Izraelczyków. Sektor został natychmiast odcięty przez policję, widzieliśmy to tylko z daleka i długo nie wiedzieliśmy, co tak naprawdę się stało.

O szczegółach dowiedzieliśmy się już w drodze na mecz w Augsburgu. Pojawiła się niepewność, czy spotkanie w ogóle się odbędzie. Trzykrotnie wychodziliśmy na rozgrzewkę i wracaliśmy do szatni. W końcu dostaliśmy jednak sygnał do rozpoczęcia meczu. Po pierwszej połowie przegrywaliśmy 0:1 i był to najniższy wymiar kary. W drugiej części spotkania

sytuacja się odwróciła. Sowieci myśleli, że bez problemu sobie z nami poradzą, ale stało się inaczej.

Kazimierz Górski chciał wprowadzić na boisko Andrzeja Jarosika. Ten jednak… odmówił, bo obraził się, że nie wyszedł na murawę w podstawowym składzie. Sytuacja była kuriozalna. Trener posłał mu niezłą wiązankę, zapowiedział, że „skończy z turystami". Andrzeja uratował później I sekretarz PZPR Edward Gierek, który sympatyzował z klubem Jarosika, Zagłębiem Sosnowiec. Tylko dzięki temu po powrocie do kraju wszystko rozeszło się po kościach. Gdyby nie to, Andrzej byłby skończony.

Zamiast Jarosika na boisko wszedł więc Zyga Szołtysik. To był idealny wybór. Wniósł wiele ożywienia do naszej gry. W końcu Włodek Lubański poślizgnął się w ich polu karnym, a sędzia przyznał nam jedenastkę. Do piłki podszedł Kazik Deyna. Bramkarz naszych rywali, Jewhen Rudakow, był potężnym chłopiskiem. Gdy rozłożył ręce, wydawało się, że właściwie nie ma wolnej przestrzeni. Nie mogłem na to patrzeć, odwróciłem wzrok, a Kazik spokojnie go pokonał. Doprowadziliśmy do wyrównania, musieliśmy jednak wygrać ten mecz. I tak się stało, bo kilka minut przed końcem gola strzelił Zyga. Później wszyscy twierdzili, że jego wejście na boisko było kapitalnym ruchem taktycznym trenera Górskiego. A przecież plan selekcjonera wyglądał zupełnie inaczej… Liczył się jednak efekt końcowy, a ten był taki, że wygraliśmy 2:1 i pozostaliśmy w grze o medal.

Nikt się tego nie spodziewał. Wygrana ze Związkiem Radzieckim była czymś bardzo cennym. Nie mówię tu o podtekstach politycznych – po prostu Sowieci byli wtedy bardzo silnym zespołem.

Atmosfera podczas igrzysk olimpijskich była fenomenalna. Na każdym kroku spotykaliśmy wspaniałych sportowców.

Wracając z treningu, mijaliśmy Leonida Żabotyńskiego, który leżał na trawie ze swoim wielkim brzuchem. W windzie spotkałem raz potężną kobietę, która jechała z jakąś drobną dziewczynką. Zastanawiałem się: jak to, ktoś przyjechał z dzieckiem? A tą drobinką była olimpijska multimedalistka w gimnastyce, Olga Korbut. Innym razem na deptaku natknąłem się na wybitnego aktora, Kirka Douglasa. Okazało się, że jeden z największych kinowych amantów jest mniejszym ode mnie kurdupelkiem z krzywymi nogami, tyle że szerokim w barkach. Na stołówce spotkałem amerykańskiego zapaśnika Chrisa Taylora. Zastanawiałem się, czy krzesło, na którym siedział, wytrzyma taki ciężar. Spośród polskich sportowców na samym początku igrzysk olimpijskich złoty medal wywalczył w strzelectwie Józio Zapędzki. Gdy się z nim pojawił, kazał mi wygłaskać swoją zdobycz, co miało przynieść mi szczęście. Czas pokazał, że miał rację…

Medale otrzymali tylko ci zawodnicy, którzy wystąpili w meczu finałowym. Doszło do sytuacji, w której zabrakło krążka dla Antka Szymanowskiego, mimo że zagrał w sześciu wcześniejszych meczach, a trafił on w ręce Ryśka Szymczaka, który na niespełna kwadrans przed końcem finału wszedł na murawę w miejsce Kazia Deyny, a wcześniej rozegrał na turnieju tylko kilka minut. Antek uznał, że medal należy się jemu, więc zabrał go Rysiowi. Gdy się jednak zorientował, że na każdym krążku jest wygrawerowane nazwisko, zwrócił go właścicielowi. Później wszyscy, którzy znaleźli się w kadrze, dostali swoje kopie.

A skoro jesteśmy przy medalach, zdobyłem ich na ważnych imprezach trzy: oprócz Monachium także podczas mistrzostw świata w RFN i na kolejnych igrzyskach olimpijskich, w Montrealu. Po ostatnim meczu na mundialu mieliśmy w hotelu bankiet, przyjechały nasze rodziny. Piętro było

przeznaczone tylko dla nas, więc zostawiliśmy otwarte pokoje. Gdy rano się obudziłem, spostrzegłem, że nie mam swojego medalu. Przewróciłem pokój do góry nogami, przepytałem chłopaków, czy ktoś przez pomyłkę go nie zabrał. Gospodarze hotelu zagwarantowali, że nikt z obsługi też go nie ukradł. Wróciłem do kraju bez swojej zdobyczy… PZPN wysłał do FIFA pismo z prośbą o wydanie duplikatu, ale nie było takiej możliwości. Pogodziłem się już z tą stratą, ale pół roku później zadzwonił do mnie mój serdeczny przyjaciel, Jurek Gorgoń. „Leszek, słuchaj, dziś otworzyłem walizkę z mundialu i znalazłem jakiś medal. To pewnie ten twój". W taki sposób odzyskałem krążek, ale do dziś nie mogę się nadziwić, jak to się stało, że Jurek przez tyle czasu nie zaglądał do bagażu…

Notowania trenera Kazimierza Górskiego znacznie wzrosły po mistrzostwie olimpijskim. Cała drużyna też znalazła się na świeczniku. To, że nie był to jednorazowy wyskok, potwierdziły kwalifikacje do mistrzostw świata w 1974 roku. To była dla nas przepustka do wielkiego futbolu. Wielu mówiło po sukcesie na igrzyskach olimpijskich, że Kazio miał szczęście. Później ci sami ludzie twierdzili, że taką ekipę mogłaby poprowadzić nawet ciocia Wiesia z Sochaczewa. Owszem, zespół był dobry, ale wcześniej nikt go nie znał. Poza tym nasz trener mocno zmienił skład personalny kadry przed mundialem. W drużynie z Monachium liderem był Włodek Lubański, którego z powodu kontuzji zabrakło na mistrzostwach świata. W bramce miejsce Huberta Kostki zajął Janek Tomaszewski. Coraz mniej grali także Zygmunt Anczok, Jurek Kraska, Rysiek Szymczak, zmalała też rola Zbyszka Guta, który na mistrzostwa świata do RFN pojechał, ale w finałach wystąpił tylko w dwóch spotkaniach.

Droga na mundial też nie była łatwa. Musieliśmy mierzyć się z Anglikami i Walijczykami. Szczególnie ci drudzy byli wybitnie nieprzyjemni. W pierwszym starciu ulegliśmy im 0:2.

Przegraliśmy, bo nie podjęliśmy walki. Uświadomił nam to Jacek Gmoch, wówczas asystent Kazia Górskiego. Pokazał nam fragmenty spotkania, w których przegrywaliśmy pojedynki. Tak nas nakręcił, że byliśmy gotowi grać z nimi od razu po odprawie.

Pierwsze 20 minut rewanżowego spotkania z Walią było dramatyczne. W życiu nie zdarzyło mi się zagrać w takim meczu. Kto zagapił się choćby na moment, od razu obrywał. Dziś kamery są w stanie uchwycić każdy detal, ale wtedy było to niemożliwe. Szczególnie za skórę zalazł nam Trevor Hockey, Rumcajs z brodą, nieprawdopodobny twardziel, który co chwila nas podszczypywał. Nie pozostaliśmy mu dłużni i udało się go sprowokować. Kopnął mnie bez piłki, sędzia to zobaczył i wyrzucił go z boiska. To nie był jednak koniec wojny. W pewnym momencie na ziemi leżał Robert Gadocha. Nagle podbiegł do niego jeden z Walijczyków i czubkiem buta kopnął go w kręgosłup. Zdębiałem. Mógł przecież okaleczyć Roberta na całe życie! Gadocha na szczęście się pozbierał. Podniósł głowę i zapytał: „Leszek, który numer?". „Ósemka, Yorath". Za chwilę winowajca miał rozkwaszoną, zalaną krwią twarz. Dostał od Roberta z główki. Wzajemne polowanie trwało przez cały mecz, ale to my byliśmy górą. Nie pękliśmy i wygraliśmy 3:0.

Później przyszedł czas na pamiętny mecz na Wembley z Anglią, który zremisowaliśmy 1:1. Wyrzuciliśmy pewnych siebie Anglików z mundialu i zaczęliśmy pisać historię, która zakończyła się na trzecim miejscu na świecie. Ale to wszyscy doskonale już pamiętają...

Data i miejsce urodzenia: 3 maja 1947 r., Wrocław.

W reprezentacji Polski: 57 meczów.

Debiut: 2 maja 1970, Węgry – Polska 2:0.

Osiągnięcia: złoty medal IO 1972, srebrny medal IO 1976, III miejsce MŚ 1974. Członek Klubu Wybitnego Reprezentanta.

Kariera klubowa: Lotnik Wrocław, Śląsk Wrocław, Legia Warszawa.

Osiągnięcia: Puchar Polski (1973, 1980).

JAN
DOMARSKI

„ANIMALSI” LEPSI NIŻ ANGLICY

17 października 1973, Londyn
Anglia – Polska 1:1 (0:0)

Bramki: Allan Clarke 63. k. – Jan Domarski 57.
Anglia: Peter Shilton – Paul Madeley, Roy McFarland, Norman Hunter, Emlyn Hughes – Colin Bell, Anthony Currie, Martin Peters – Michael Channon,
Martin Chivers (86. Kevin Hector), Allan Clarke.
Polska: Jan Tomaszewski – Antoni Szymanowski, Mirosław Bulzacki, Jerzy Gorgoń, Adam Musiał – Lesław Ćmikiewicz, Kazimierz Deyna,
Henryk Kasperczak – Grzegorz Lato, Jan Domarski, Robert Gadocha.
Żółte kartki: McFarland – Musiał.
Sędziował: Vital Loraux (Belgia).

Wiadomo, że moje nazwisko w kontekście reprezentacji Polski kojarzone jest z tym jednym jedynym meczem – potyczką z Anglikami w 1973 roku. Nie będę się rozwodził nad tym, o czym wszyscy kibice wiedzą i o czym przypominano im już wiele razy. Wspomnę tylko w skrócie, że mecz na Wembley był starciem o wszystko dla obydwu drużyn. Do tego czasu mieliśmy na koncie cztery punkty, a wyspiarze jeden mniej. Nas urządzał remis, a Anglików wyłącznie wygrana.

Już od przyjazdu Anglicy wszystko nam utrudniali. Spotykaliśmy się w angielskich mediach z obelgami, nazywano nas „animalsami”. Szczególnie dostawało się Jankowi Tomaszewskiemu, którego przed meczem ochrzczono małpą i błaznem. A to właśnie on zagrał na Wembley mecz życia.

Bronił fenomenalnie. Interweniował chyba kilkadziesiąt razy. Zawsze pewnie i… szczęśliwie. Oczywiście, pomagała mu w tym bardzo dobrze zestawiona przez sztab szkoleniowy obrona. Na środku zagrali Jerzy Gorgoń i Mirosław Bulzacki. Ten drugi był właściwie reprezentacyjnym nowicjuszem, a zatrzymywał ataki Anglików, jak chciał i kiedy chciał. Moim zdaniem to też był jego mecz życia. Nigdy wcześniej ani później nie zagrał tak dobrze.

Mój moment nadszedł w 57. minucie. Piłkę Anglikom odebrał Henryk Kasperczak i podał do Grzegorza Laty. Ten przebiegł z nią blisko 50 metrów, zszedł ze skrzydła do środka i pasówką wyłożył mi piłkę. Strzeliłem prawą nogą i futbolówka wpadła do bramki Petera Shiltona – 1:0 dla Polski! Właściwie mógłbym powiedzieć, że była to klubowa akcja Stali Mielec. Szał w głowach i sercach, ale sześć minut później z rzutu karnego wyrównał Allan Clarke. Znów zrobiła się nerwówka. Janek dwoił się i troił w bramce, środkowi obrońcy wybijali w pole niezliczone dośrodkowania Anglików.

Ostatnie minuty rzeczywiście były trudne, ale szczęśliwe dla nas. Dowieźliśmy remis. Anglia znalazła się za burtą finałów mistrzostw świata! Polska – nie do wiary – pierwszy raz po wojnie miała pojechać na mundial, eliminując z niego Anglię… Oni byli potęgą, a my kopciuszkiem, nieśmiało wchodzącym na salony światowego futbolu.

Wiele osób mnie pyta, co czułem, gdy pokonałem Petera Shiltona. Mogę powiedzieć tylko: radość, radość i jeszcze raz radość. Nawet po wielu latach to uczucie we mnie nie maleje, a wręcz przeciwnie – narasta. Myślę, że dotyczy to wszystkich chłopaków, którzy wystąpili 17 października 1973 roku na Wembley. Weszliśmy do elity!

Nie mogę pominąć atmosfery, jaka panowała wtedy w drużynie, oraz roli sztabu szkoleniowego. Byliśmy naprawdę zgraną paczką. Myślę, że duża w tym zasługa Kazimierza

Górskiego. W moim przekonaniu był nie tylko trenerem, ale i ojcem, kolegą, wychowawcą. Miał czas dla każdego z nas, z każdym rozmawiał i nikogo nie odtrącał. Był wielkim człowiekiem.

JAN DOMARSKI

Data i miejsce urodzenia: 28 października 1946 r., Rzeszów.

W reprezentacji Polski: 17 meczów, 2 gole.

Debiut: 4 sierpnia 1967, ZSRR – Polska 2:1.

Osiągnięcia: III miejsce MŚ 1974.

Kariera klubowa: Stal Rzeszów, Stal Mielec, Nîmes Olympique (Francja), Stal Rzeszów, Resovia, SAC Wisła Chicago (USA).

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (1973, 1976).

JERZY
DUDEK

SZCZĘŚLIWY PROCHOWIEC I NIESFORNA MASZYNKA

1 września 2001, Chorzów
Polska – Norwegia 3:0 (1:0)

Bramki: Paweł Kryszałowicz 45., Emmanuel Olisadebe 77., Marcin Żewłakow 88.
Polska: Jerzy Dudek – Tomasz Kłos, Tomasz Hajto, Tomasz Wałdoch, Michał Żewłakow – Bartosz Karwan, Radosław Kałużny, Piotr Świerczewski (89. Arkadiusz Bąk),
Marek Koźmiński (82. Jacek Krzynówek) – Emmanuel Olisadebe, Paweł Kryszałowicz (75. Marcin Żewłakow).
Norwegia: Thomas Myhre – Christer Basma, Ronny Johnsen, Henning Berg,
André Bergdølmo – Roar Strand (63. John Arne Riise), Petter Rudi, Øyvind Leonhardsen (80. Sigurd Rushfeldt), Steffen Iversen (89. Pål Strand) –
Ole Gunnar Solskjær, Jan-Derek Sørensen.
Żółte kartki: Hajto, Kałużny.
Sędziował: Miroslav Liba (Czechy).

Mecz w Kijowie, którym rozpoczynaliśmy kwalifikacje do mistrzostw świata w 2002 roku, miał być dla nas wielkim sprawdzianem. Kadrę przejął selekcjoner Jerzy Engel i tak naprawdę przez pierwsze pół roku jego pracy z reprezentacją poznawaliśmy nowy sztab szkoleniowy i nowe metody. Uczyliśmy się jako piłkarze, jako grupa. Jeśli wygrywa się mecze, to człowiek nie ma wątpliwości i dalej realizuje cel, ale jeśli piłkarz doświadcza porażek, to przestaje wierzyć, że ma to jakikolwiek sens i że są szanse powodzenia. Przez pierwsze pół

roku naszym udziałem było to drugie doświadczenie. W ostatnim towarzyskim meczu przed walką o mundial zremisowaliśmy z Rumunią, ale – jak się potem okazało – mieliśmy odpalić dopiero w konfrontacjach o stawkę. Wygraliśmy pierwsze spotkanie z Ukrainą na jej terenie i te trzy punkty dodały nam ogromnej pewności siebie. Wszystko zaczęło się fajnie zazębiać. Budowały się nasze relacje ze sztabem szkoleniowym, ale i powstała więź między zawodnikami. Byliśmy grupą, która bazowała na zaufaniu i wspaniałej atmosferze.

Umieliśmy wyciągnąć wnioski z towarzyskich potyczek jeszcze przed kwalifikacjami do mistrzostw świata. Mierzyliśmy się z Hiszpanami, Francuzami, Holendrami. Mecze te przegraliśmy, ale że przeciwnicy obnażyli w nich nasze błędy, to w jakiś sposób mogliśmy się dzięki temu uczyć i to w końcu zaprocentowało. Wygrywaliśmy kolejne spotkania, nasza reprezentacja miała już solidne fundamenty i wraz ze zwycięstwami rosła. Wszystko układało się pod nas i na trzy spotkania przed końcem eliminacji stanęliśmy przed szansą przypieczętowania naszej ciężkiej pracy – awans na mistrzostwa świata w Korei i Japonii był już bardzo blisko. Czuliśmy ogromną presję ze strony mediów i kibiców, bo przecież naszej kadry nie było na mundialu od wielu lat.

Tydzień przed meczem wiele się wokół mnie działo, bo kończyło się okienko transferowe. Przed wyjazdem na reprezentację rozgrywałem w barwach Feyenoordu Rotterdam ligowe spotkanie z Ajaxem Amsterdam, a kolejnego dnia miałem już lot do Warszawy, bo rozpoczynało się zgrupowanie kadry. Po meczu spotkałem się na parkingu z trenerem Gérardem Houllierem, ówczesnym szkoleniowcem Liverpoolu. Po tej rozmowie byłem świadomy, że Liverpool zacznie o mnie starania. Byłem rozdarty, bo wkrótce miałem rozegrać jeden

z najważniejszych meczów w reprezentacji, a z drugiej strony ważyły się losy mojego transferu do The Reds. Praktycznie nie sposób było się od tego odciąć. Dzwonił do mnie mój menedżer Jan de Zeeuw, mówił, że przenosiny do Premier League są w drodze i we wtorek przyjedzie lekarz Anglików, by mnie zbadać. Próbowałem się skupić na tu i teraz, ale cały czas miałem też w głowie Liverpool.

Zależało nam, aby wszystko zostało sprawnie sfinalizowane. Nie chcieliśmy, żeby kadra na tym ucierpiała. Prosiliśmy naszego doktora, żeby nam pomógł i by to nie kolidowało z zajęciami reprezentacji. Jeździłem na prześwietlenie kolan, łokci po treningu, żeby mieć to jak najszybciej za sobą. Później wyszło, że odczyn nie jest tak dokładny, jak powinien, i przedstawiciel Liverpoolu zaczął się tym martwić. Nie chciał brać na siebie odpowiedzialności. Docierało do mnie mnóstwo negatywnych wieści, zaczęli wydzwaniać inni menedżerowie, którzy mówili, że mają możliwość przeprowadzenia transferu, o ile moje przejście do Liverpoolu nie wypali.

Cały czas musiałem się zmagać z zamieszaniem. Nerwówka była spora, ale tuż przed zamknięciem okienka transferowego dostałem telefon, że wszystko zostało potwierdzone i od września zostanę nowym piłkarzem Liverpoolu. Odetchnąłem. Kolejnego dnia spotkałem się ze swoimi najbliższymi w Chorzowie. Podczas szybkiej herbaty mama wyciągnęła z torby szalik The Reds, który wisiał nad moim łóżkiem co najmniej dziesięć lat. Dostałem go podczas juniorskiego turnieju w Niemczech i trzymałem w pokoju. Wtedy pomyślałem: „Kurde, to chyba jednak przeznaczenie”.

Odprawa przed rywalizacją z Norwegią była nieco inna niż wcześniejsze. Mecz miał odbyć się pierwszego września, a w Polsce to szczególna data, bo to rocznica wybuchu drugiej wojny światowej. Był motywacyjny *speech* trenera Jerzego

Engela, ale i film mający nas dodatkowo zmobilizować. Pokazano nam Niemców łamiących polski szlaban i inne nagrania, które podkreślały znaczenie tej daty. Trener chciał dodać nam ducha walki, ale też uświadomić, w jakim miejscu jesteśmy, co możemy osiągnąć i że możemy zapisać się na kartach historii.

Nie chcieliśmy czekać na kolejne mecze. Zamierzaliśmy wygrać tu i teraz. To byłaby przecież cudowna historia dla wielu z nas i dla kibiców, którzy wierzyli w tę reprezentację. Wcześniej były niespełnione oczekiwania i odkładanie nadziei na kolejne lata. A wszystkie nasze marzenia miały się spełnić w wyjątkowym miejscu, czyli na Stadionie Śląskim. Uwielbialiśmy na nim grać. To legendarny obiekt, prawdziwy „Kocioł Czarownic". Gdy oglądałem sukcesy sportowców na tym stadionie – nie tylko piłkarzy, ale też kolarzy, żużlowców, lekkoatletów – zawsze czułem ciarki na plecach. Presja to nieodłączny element takiego wydarzenia. Najtrudniej było przetrwać napięcie przed rozpoczęciem meczu. Siedzisz w pokoju i wiesz, że za kilka godzin wszystko się zacznie. Włączysz jakikolwiek kanał w telewizji, wszyscy mówią o czekającym cię starciu. Emocje opadają dopiero po pierwszym gwizdku sędziego, bo wtedy zaczyna się praca do wykonania.

Mecz z Norwegią przy naszym jednobramkowym prowadzeniu wyglądał jak przeciąganie liny. Jeśli się prowadzi, człowiek z automatu się cofa i chce utrzymać rezultat. Pomogła nam strategia. Byliśmy zespołem, którego atutem były stałe fragmenty gry i kontratak. Linę w końcu puścili rywale, bo stracili drugiego gola. Przy wyniku 2:0 sytuacja na boisku się uspokoiła, choć wcześniej było bardzo nerwowo.

Formalności dopełnił Marcin Żewłakow, który wszedł z ławki rezerwowych i dobił przeciwnika. Po zdobyciu trzeciej bramki zeszło z nas całe ciśnienie, Norwegowie zaś odpuścili. Wiedzieli

już, że zabraliśmy im ostatnią nadzieję na remis w tym spotkaniu. Nie wyszedł im rewanż za porażkę w Oslo i kolejny raz ich pokonaliśmy. A przecież wtedy to był mocny zespół, mający w swoich szeregach prawdziwe gwiazdy. U nas dopiero zaczęły się one rodzić. W kadrze rywali był między innymi John Arne Riise, który też podpisał kontrakt z Liverpoolem. Wszyscy mi go pokazywali i mówili, że to będzie mój nowy kolega.

Byliśmy pierwszą reprezentacją po drużynie Antoniego Piechniczka, która przeżywała euforię towarzyszącą awansowi na mistrzostwa świata. Nasze sukcesy wykuwały się w trudach, ale byliśmy w takim gazie, że nic nie mogło nas powstrzymać. Do tego wszystko układało się pod nas. Po remisie z Armenią 1:1 nie interesowało nas to, że był to trudny mecz i że przeciwnicy nas pokopali. Pytaliśmy tylko: „Jak Ukraina? Jak Norwegia?”. Ten zespół żył tymi momentami, a mecz z Norwegią był dopełnieniem marzeń i nagrodą za ciężką i cierpliwą pracę. Chcieliśmy podziękować trenerowi i całemu zespołowi za to, że udało się stworzyć taką atmosferę i że wspólnie osiągnęliśmy ten sukces. Pojawiły się fajne obrazki. Na środku boiska z chłopakami wyrzuciliśmy w górę prochowiec trenera. Ale nawet wtedy wielu z nas nie przyszło do głowy, że trener jest przesądny i dlatego cały czas go nosi. Wyszło to na jaw dopiero później.

Po meczu musieliśmy z Chorzowa wracać do Warszawy. Innymi środkami transportu jechali nasi rodzice, żony, dziewczyny. W stolicy mieliśmy zaplanowaną kolację w hotelu i czekała nas kilkugodzinna podróż. Można się domyślać, że nikt nie spał i świętowanie kontynuowaliśmy w autobusie. Przeżyłem sezon mistrzowski w Rotterdamie i wiedziałem, że aby upamiętnić sukces, robi się poza boiskiem jakieś dziwne rzeczy: jakieś tańce, niszczenie marynarek, targanie rękawów. Ktoś z chłopaków wpadł na pomysł, żeby zrobić coś szalonego

i ogolić głowy. Wyszedłem z kontrpropozycją: „Dlaczego by nie zapalić jakiegoś zwycięskiego cygara?”. Ostatecznie kilku chłopaków zdecydowało się na ścięcie włosów, choć maszynka w pewnym momencie odmówiła posłuszeństwa i nie wszyscy zdążyli się ostrzyc.

W hotelu każdy sponsor chciał sobie zrobić z nami zdjęcie. Chodziliśmy od jednego do drugiego. To było dziwaczne. Później doszły jeszcze rozmowy z moim klubowym trenerem, który mówił: „Słuchaj, zrobiłeś już swoje, przyjeżdżaj do nas. Będziemy mieli cię tydzień przed meczem. Popracujesz, poznasz drużynę i zawodników”. Trener Engel nie chciał się na to zgodzić, bo zamierzał mnie zabrać na Białoruś, gdzie mieliśmy rozegrać następny mecz. Mimo tego, że mieliśmy już zapewniony awans na mistrzostwa świata, nie pojechałem do Liverpoolu, ale wystąpiłem w Mińsku.

Nasz występ na mistrzostwach świata w Korei i Japonii był niestety bardzo nieudany. Po dwóch porażkach zamknęliśmy sobie drogę do wyjścia z grupy i zakończyliśmy udział w mundialu na trzech meczach fazy grupowej. Po zmianie selekcjonera broniłem w kolejnych eliminacjach, ale drugi turniej finałowy nie był mi już dany. Mimo tego, że mam na koncie 60 występów w reprezentacji Polski, to uważam, że moja przygoda z kadrą mogła być efektywniejsza. Jako chłopak z Knurowa marzyłem, żeby grać w reprezentacji, ale jak już ma się tę szansę, to ambicja nie pozwala, żeby zadowalać się jednym meczem. Uważam, że mogłem zrobić jeszcze więcej, osiągnąć z kadrą coś ekstra, więc kiedy myślę o swojej karierze reprezentacyjnej, czuję pewien niedosyt.

Orange
POLSKA

JERZY DUDEK

Data i miejsce urodzenia: 23 marca 1973 r., Rybnik.

W reprezentacji Polski: 60 meczów.

Debiut: 25 lutego 1998, Izrael – Polska 2:0.

Osiągnięcia: uczestnik MŚ 2002. Członek Klubu Wybitnego Reprezentanta.

Kariera klubowa: Concordia Knurów, Sokół Tychy, Feyenoord Rotterdam (Holandia), Liverpool FC (Anglia), Real Madryt (Hiszpania).

Osiągnięcia: Liga Mistrzów (2005), Superpuchar Europy (2005), mistrzostwo Holandii (1999), mistrzostwo Hiszpanii (2008), Puchar Anglii (2006), Puchar Hiszpanii (2011), Puchar Ligi Angielskiej (2003), Superpuchar Holandii (1999), Superpuchar Hiszpanii (2008).

DARIUSZ
DUDKA

CZŁOWIEK (NIE) DO GIERKI TRENINGOWEJ

15 listopada 2006, Bruksela
Belgia – Polska 0:1 (0:1)

Bramka: Radosław Matusiak 21.
Belgia: Stijn Stijnen – Carl Hoefkens, Daniel van Buyten, Philippe Leonard
(79. Gaby Mudingayi), Thomas Vermaelen – Anthony Vanden Borre (46. Stein Huysegems), Timmy Simons, Karel Geraerts, Bart Goor – Émile Mpenza,
Kevin Vandenbergh (63. Luigi Pieroni).
Polska: Artur Boruc – Marcin Wasilewski, Michał Żewłakow, Jacek Bąk,
Grzegorz Bronowicki – Jakub Błaszczykowski, Radosław Sobolewski,
Dariusz Dudka (78. Rafał Murawski), Euzebiusz Smolarek – Maciej Żurawski
(63. Łukasz Garguła), Radosław Matusiak (88. Przemysław Kaźmierczak).
Żółte kartki: Geraerts, Vermaelen, Leonard, Simons, Goor – Sobolewski, Błaszczykowski.
Sędziował: Stuart Dougal (Szkocja).

Mecz w reprezentacji Polski, do którego najchętniej wracam myślami, to zdecydowanie spotkanie eliminacji mistrzostw Europy w Brukseli. Miałem zaszczyt wystąpić na mistrzostwach Europy i świata, ale potyczkę z Belgami wspominam najlepiej. Zapamiętałem ten mecz dobitnie, bo wówczas po ważnym zwycięstwie poczułem się reprezentantem Polski, odegrałem istotną rolę w awansie na mistrzostwa Europy.

Nie byłem pierwszym wyborem trenera Leo Beenhakkera w reprezentacji. Powołanie do kadry otrzymałem dopiero na czwarty mecz. Początkowo znajdowałem się na liście rezerwowej, ale dostałem szansę i przyjechałem na

zgrupowanie na konfrontację z Belgią w listopadzie 2006 roku. Myślałem jednak, że stawiam się na kadrze raczej w charakterze zawodnika do gierek treningowych, a nie jako kandydat do pierwszego składu…

Trener Leo Beenhakker przed meczem z Belgią zarządził dwie gierki, które miały decydować o wyjściowym ustawieniu. Musiałem zaprezentować się w nich z dobrej strony, bo zmienił początkową koncepcję. Planował, że od pierwszych minut wystąpi Rafał Murawski, ale zdecydował się, że posadzi go na ławce rezerwowych, by dać mi szansę. Holender bardzo mieszał składem i nie było takie oczywiste, kto zagra w Brukseli. Na odprawie przedmeczowej usłyszałem, że wyjdę w pierwszej jedenastce. Najpierw poczułem ogromne zdziwienie – kto mógłby przypuszczać, że spotka mnie takie wyróżnienie? Zdziwieni byli pewnie też pozostali kadrowicze. Po latach selekcjoner powiedział mi, że miał przeczucie, że powinien wystawić mnie w pierwszym składzie.

Założenia taktyczne na konfrontację z Belgami były takie jak w poprzednich meczach. Naszym zadaniem była gra z nisko ustawioną obroną i wychodzenie z groźnymi kontratakami. Taki był też plan na większość spotkań w eliminacjach i myślę, że zdawało to egzamin. Na odprawie trener mocno nas mobilizował. Potrafił do nas dotrzeć, jego słowa pozostawały w głowie. Sprawił też, że w drużynie nie było żadnych podziałów, nie pojawiały się większe i mniejsze grupki. Bezdyskusyjnie tworzyliśmy jedność. Nawet podczas posiłków nikt nie był z boku. Nie mieliśmy jakiejś największej gwiazdy i nie było też w tej kadrze zawodnika, na którego barkach spoczywała cała odpowiedzialność. Ta drużyna miała kilku liderów, w ryzach trzymali ją Michał Żewłakow, Marcin Wasilewski czy Mariusz Lewandowski.

Trener Leo Beenhakker był dla nas niekwestionowanym autorytetem. Miał niesamowity posłuch w szatni, zawodnicy musieli akceptować jego decyzje. Bardzo podobało mi się w nim to, że podchodził do piłkarzy indywidualnie. Trafiał zawsze w punkt, umiał znaleźć obszar, gdzie czegoś brakowało, i wypełniał to puste pole energią, tak że zawodnik zaczynał wierzyć w siebie. Udało się nie tylko na moim przykładzie, ale również pozostałych kadrowiczów. Czułem, że się przy nim rozwijam. Przy holenderskim szkoleniowcu rośli też Grzegorz Bronowicki, Paweł Golański, na wyższy poziom wskoczył Marcin Wasilewski.

Reprezentacja Belgii w tamtym czasie dopiero wchodziła na wysoki poziom. Nie była tak silnym zespołem jak teraz, ale to nie znaczy, że graliśmy ze średniakami. Renomę miał Daniel van Buyten, wówczas zawodnik Bayernu Monachium. Dużo mówiło się o Anthonym Vanden Borre, który miał opuścić Anderlecht za grube miliony euro. Ale zagraliśmy z nimi bardzo dobre spotkanie. Udało nam się prowadzić grę na terenie rywala. Nie przypominam sobie jakichś zabójczych ataków gospodarzy. Nasza drużyna przejmowała piłkę w środkowej strefie boiska i wychodziła z groźnymi kontrami. Nawet ja miałem okazję, żeby pokonać bramkarza. Co prawda zagraliśmy składem nieco „ligowym", ale nie wymiękliśmy przed rywalem. Uwierzyliśmy w siebie, w dużej mierze dzięki trenerowi Beenhakkerowi. To nie przypadek, że pokonaliśmy Belgów. A zwycięstwo z nimi, tak samo jak to się stało miesiąc wcześniej z Portugalią w Chorzowie, było dla wszystkich mocnym impulsem – udowodniliśmy sobie, że możemy liczyć się w tych eliminacjach.

Ta reprezentacja umiała się podnieść w trudnych chwilach. Po blamażu z Finlandią na początku eliminacji media nie były przychylne trenerowi. Skreślono między innymi Jerzego Dudka,

który później już nie zagrał w tamtych kwalifikacjach. Wszystkie pozaboiskowe sprawy poszły jednak na bok i naszym najważniejszym zadaniem było skupienie się na piłce. Trenerowi udało się wprowadzić fajną atmosferę w drużynie. Gdy do zespołu dołączał zawodnik z ligi polskiej, mógł czuć się doceniony, że jest w kadrze.

Eliminacje przeszliśmy pomyślnie, ale później pojawiły się problemy, pojawiła się presja turniejowa. Nie umieliśmy sobie z nią poradzić, odstawić jej na bok. Nie wiem, czym było to spowodowane. Może chodziło o zbyt duże oczekiwania ze strony kibiców i mediów... Balonik został napompowany zbyt mocno, a potem pękł. Moim zdaniem byliśmy średnim zespołem, ale trener Beenhakker zbudował drużynę, która zwyciężyła w grupie eliminacyjnej. Udało mi się zostać w kadrze na kolejne lata i zagrać kilkadziesiąt meczów w reprezentacji Polski. Dlatego mecz wyjazdowy z Belgią będzie dla mnie najważniejszy i przełomowy. Poczułem się wtedy etatowym kadrowiczem.

DARIUSZ DUDKA

Data i miejsce urodzenia: 9 grudnia 1983 r.,
Kostrzyn nad Odrą.

W reprezentacji Polski: 65 meczów, 2 gole.

Debiut: 11 lipca 2004, USA – Polska 1:1.

Osiągnięcia: uczestnik MŚ 2006, uczestnik ME 2008, 2012.
Członek Klubu Wybitnego Reprezentanta.

Kariera klubowa: Celuloza Kostrzyn nad Odrą, Amica Wronki, Wisła Kraków, AJ Auxerre (Francja), Levante UD (Hiszpania), Birmingham City (Anglia), Wisła Kraków, Lech Poznań.

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (2008),
Superpuchar Polski (1999, 2015).

DARIUSZ
DZIEKANOWSKI

Fot. Peter Robinson / PA Images / Getty Images

IDZIESZ SAM, MUSISZ!

15 listopada 1981, Wrocław
Polska – Malta 6:0 (1:0)

Bramki: Andrzej Buncol 6., Włodzimierz Smolarek 47., 64., Stefan Majewski 48., Dariusz Dziekanowski 80., Zbigniew Boniek 86.
Polska: Piotr Mowlik – Stefan Majewski, Władysław Żmuda, Tadeusz Dolny,
Jan Jałocha – Waldemar Matysik (68. Andrzej Pałasz), Zbigniew Boniek,
Andrzej Buncol – Włodzimierz Smolarek (68. Dariusz Dziekanowski), Andrzej Iwan, Mirosław Okoński.
Malta: Charles Sciberras – Emanuel Farrugia, John Holland, Norman Buttiegieg, Edwin Farrugia, Mario Farrugia – Joséph Xuereb, Emanuel Fabri,
Daniel Fenech – Raymond Xuereb, Ernest Spiteri-Gonzi.
Sędziował: Bo Helén (Szwecja).

Moje najważniejsze 90 minut w narodowych barwach to rok 1981 i eliminacyjny mecz mistrzostw świata 1982 z reprezentacją Malty. W poprzednich sezonach zdobyłem dwukrotnie wicemistrzostwo Europy w kategorii juniorów do lat 18, ale najcieplej wspominam właśnie debiut w kadrze seniorskiej, w meczu o punkty. Pewnie także dlatego, że był to okres sukcesów polskiej reprezentacji, która liczyła się w Europie i na świecie.

Miałem zaszczyt wystąpić w jednym zespole z zawodnikami o ustalonej już międzynarodowej marce, między innymi ze Zbigniewem Bońkiem, Andrzejem Buncolem, Włodzimierzem Smolarkiem czy Władysławem Żmudą. Wszyscy oni byli już

w pełni ukształtowanymi piłkarzami i zaraz po finałach mistrzostw świata w 1982 roku stali się ważnymi ogniwami w najlepszych europejskich drużynach klubowych. Występ w tym zaszczytnym gronie był dla mnie – wówczas 19-latka – niewątpliwym sukcesem.

W drugiej połowie meczu z Maltą trener Antoni Piechniczek wskazał na mnie i nakazał mi się rozgrzewać. Na murawie Stadionu Olimpijskiego we Wrocławiu pojawiłem się w 68. minucie, zmieniając Włodzimierza Smolarka. Byłem przeszczęśliwy, ale jednocześnie odczuwałem silną presję i stres. Pomyślałem sobie: „Musisz! Zmieniłeś przecież Smolarka…". A najlepszą metodą na pozbycie się napięcia byłaby szybko zdobyta bramka. Marzyłem o niej!

Nadeszła 80. minuta spotkania. Otrzymałem piłkę po lewej stronie boiska. Dość długo ją holowałem i schodząc do środka, starałem się szukać partnerów, którzy byli ustawieni lepiej ode mnie. Kątem oka spostrzegłem jednak lukę w bloku maltańskiej obrony. Pomyślałem: „Idziesz sam!". Wypuściłem sobie futbolówkę na prawą nogę i oddałem płaski, silny strzał z ponad 20 metrów. Ku mojej uciesze piłka wpadła tuż przy prawym słupku bramki, obok rozpaczliwie interweniującego maltańskiego bramkarza. To był naprawdę ładny gol! Tamtej radości nie da się opisać. Jestem przekonany, że wówczas na Stadionie Olimpijskim nie było człowieka uradowanego bardziej ode mnie. Maltę pokonaliśmy 6:0, a ja strzeliłem piątego gola w tym spotkaniu.

Po meczu udanego debiutu gratulowali mi szkoleniowcy i wszyscy koledzy z drużyny. Czułem się przeszczęśliwy. W kadrze Antoniego Piechniczka byłem najmłodszym zawodnikiem, ale miałem wewnętrzne przekonanie, że przekroczyłem pewną barierę, zrobiłem ważny krok do przodu. Po tym dobrym, powszechnie chwalonym występie

w pierwszym reprezentacyjnym meczu w drużynie narodowej seniorów pozostałem na dłużej.

Mecz z Maltą był ostatnim spotkaniem reprezentacji Polski w eliminacjach mistrzostw świata. W grupie zdobyliśmy osiem punktów, wyprzedzając drugą w tabeli reprezentację NRD, która mogła pochwalić się czterema „oczkami". Tym samym zakwalifikowaliśmy się do finałów mistrzostw świata w Hiszpanii, gdzie w meczu o trzecie miejsce pokonaliśmy Francję 3:2.

Ja na finały nie pojechałem, lecz czułem się częścią tej drużyny. Zdobyłem przecież bramkę w eliminacjach! W tym czasie sam pobyt w kadrze był czymś niesamowitym, czymś, czego się nie zapomina i co wspomina się jako jedno z najwspanialszych doświadczeń w piłkarskiej karierze.

DARIUSZ DZIEKANOWSKI

Data i miejsce urodzenia: 30 września 1962 r., Warszawa.

W reprezentacji Polski: 63 mecze, 20 goli.

Debiut: 15 listopada 1981, Polska – Malta 6:0.

Osiągnięcia: uczestnik MŚ 1986. Członek Klubu Wybitnego Reprezentanta.

Kariera klubowa: Polonia Warszawa, Gwardia Warszawa, Widzew Łódź,
Legia Warszawa, Celtic FC (Szkocja), Bristol City (Anglia),
Legia Warszawa, Alemannia Aachen (Niemcy),
1. FC Köln (Niemcy), Polonia Warszawa.

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (1994),
Puchar Polski (1985, 1989, 1994),
król strzelców ligi polskiej (1988).

MAREK
DZIUBA

Fot. Peter Robinson / PA Images / Getty Images

POPSULIŚMY HISZPANOM MUNDIAL

10 lipca 1982, Alicante
Polska – Francja 3:2 (2:1)

Bramki: Andrzej Szarmach 41., Stefan Majewski 45., Janusz Kupcewicz 47. – René Girard 13., Alain Couriol 72.
Polska: Józef Młynarczyk – Marek Dziuba, Władysław Żmuda, Paweł Janas, Stefan Majewski – Grzegorz Lato, Waldemar Matysik (46. Roman Wójcicki), Janusz Kupcewicz, Andrzej Buncol – Zbigniew Boniek, Andrzej Szarmach.
Francja: Jean Castaneda – Manuel Amoros, Marius Trésor, Gérard Janvion (64. Christian Lopez), Philippe Mahut – Jean Tigana (82. Didier Six), Jean-François Larios, René Girard, Gérard Soler – Bruno Bellone, Alain Couriol.
Żółte kartki: Buncol, Wójcicki – Soler.
Sędziował: António José da Silva Garrido (Portugalia).

Reprezentacja Polski dwukrotnie sięgnęła po trzecie miejsce na świecie. Ja miałem okazję być częścią ekipy, która zameldowała się na podium mundialu w 1982 roku. W starciu o – srebrny wówczas – medal mierzyliśmy się z Francją. I właśnie ten mecz, o tak niebagatelną stawkę, pozostaje dla mnie tym najistotniejszym spotkaniem rozegranym w biało-czerwonych barwach.

W piłce klubowej występowałem w silnym Widzewie Łódź, mającym w swoich szeregach świetnych zawodników, ale nie odnieśliśmy żadnego namacalnego międzynarodowego sukcesu. To jednak udało mi się w zespole narodowym. Spełniłem marzenie z dziecięcych lat i jestem do dziś niezwykle

wzruszony, że zdołałem wejść na szczyt, czyli zdobyć medal na mistrzostwach świata.

Podczas hiszpańskiego mundialu nie wystąpiłem w dwóch pierwszych meczach. Pojawiłem się na murawie dopiero w trzecim starciu fazy grupowej, przeciwko Peru. Tamto spotkanie miało wiele podtekstów. Wcześniej, po niezbyt porywającej grze, zaliczyliśmy dwa remisy. Przez wielu byliśmy stawiani na straconej pozycji, ale mecz z Peru okazał się przełomowy nie tylko dla całego zespołu, ale też dla mnie osobiście. Jak to w futbolu bywa – skorzystałem z nieszczęścia kolegi z drużyny, kontuzji doznał bowiem Janek Jałocha. Byłem jego naturalnym następcą i dostałem swoją szansę.

Nie byłem wtedy reprezentacyjnym żółtodziobem, miałem na koncie ponad 40 występów w koszulce z orłem na piersi. Mimo to czułem się jak nowicjusz, wiedziałem, że to jeden z najważniejszych meczów w moim życiu. Wydawało mi się, że jeżeli zaliczę jakąś wpadkę, stanę się kozłem ofiarnym. Emocje były niesamowite, presja ogromna. Byłem pomny doświadczeń meczu z 1977 roku, gdy przegraliśmy z ZSRR w Wołgogradzie 1:4. Po tym spotkaniu moja kariera reprezentacyjna została przerwana na półtora roku. Nie dostawałem powołań, mimo że znalazłem się w szerokiej, 40-osobowej kadrze na mundial w Argentynie. To też miałem z tyłu głowy, wchodząc na murawę przed meczem z Peru. Tym razem wszystko skończyło się jednak szczęśliwie. Po koncercie w drugiej połowie rozgromiliśmy rywali 5:1 i rozpoczęliśmy marsz po medal.

Naszą drogę przerwali Włosi, którzy w półfinale ograli nas 2:0. Pozostał nam „finał pocieszenia” z Francją. Wielokrotnie słyszałem w późniejszych latach, że nasi rywale wyszli na murawę drugim składem. Nie mogę się z tym zgodzić. Przecież zawodnicy, którzy zagrali przeciwko nam, znaleźli się w gronie 22 najlepszych w tamtym czasie francuskich piłkarzy! Na

boisku w Alicante w niebieskich koszulkach nie brakowało kozaków. Nikt mnie nie przekona, że Marius Trésor, Jean Tigana czy René Girard to byli przypadkowi gracze.

W Hiszpanii panowały wówczas niemiłosierne upały. Mimo to mecze odbywały się w dość wczesnych godzinach popołudniowych. My nie byliśmy do tego przyzwyczajeni, w Polsce taki klimat był czymś niezwykłym. W hotelu nie było klimatyzacji, nie mogliśmy się ochłodzić. Spałem w pokoju z Piotrkiem Mowlikiem. Cały czas mieliśmy zasunięte żaluzje, bo gdy tylko je podnosiliśmy, temperatura w pomieszczeniu przywoływała na myśl saunę. Zawijaliśmy się w mokre prześcieradła, które przynosiły ulgę na pięć minut. Nie było mowy o tym, żeby się dobrze wyspać. Dopiero przed meczem z Francją i po przeprowadzce do Alicante mogliśmy nieco odetchnąć, zregenerować siły, które traciliśmy nie tylko na boisku.

Tamte temperatury spowodowały dramatyczne odwodnienie Waldka Matysika. Za swoje zaangażowanie zapłacił ogromną cenę, bardzo długi czas musiał pauzować. Dobrze, że w ogóle wrócił do pełni sił. Sytuacja wyglądała tragicznie – dość powiedzieć, że w czasie jednego meczu zdarzało nam się tracić na wadze cztery–pięć kilogramów. Dobrze, że mieliśmy świetny sztab medyczny, który robił wszystko, byśmy byli w stanie przystąpić do każdego kolejnego spotkania.

Wiele rzeczy złożyło się wtedy przeciwko nam. Przed mundialem żadna reprezentacja nie chciała się z nami mierzyć, więc graliśmy towarzyskie mecze z jakimiś ogórkami. Mistrzostw też nie zaczęliśmy najlepiej, ale dotarliśmy do półfinału. Odnosiliśmy wrażenie, że nie było to w smak organizatorom. Drużyny, na które najbardziej liczyli, bo były najbardziej „dochodowe”, odpadły na wcześniejszym etapie turnieju. My byliśmy tym „kopciuszkiem”, który popsuł nieco

nastroje Hiszpanom. Bo kto przyjedzie w stanie wojennym z Polski na mundial? Nie było takiej możliwości, więc nie przynosiliśmy kasy.

W każdym razie zagraliśmy im na nosie. Przed meczem z Francją, mimo przegranego półfinału, wiedzieliśmy, jaka jest stawka tego boju. Chcieliśmy nawiązać do sukcesu, jaki osiem lat wcześniej odniosła drużyna Kazimierza Górskiego. Zaczęło się jednak od straconej bramki. Tuż przed przerwą do remisu doprowadził Andrzej Szarmach, którego moim zdaniem zabrakło w półfinale z Włochami. Dino Zoff, legendarny golkiper Azzurrich, otwarcie przyznawał, że gdy widział „Diabła", miał pełne portki. Decyzja trenera była jednak inna… W każdym razie Andrzej po zdobyciu bramki z Francuzami nawet nie okazywał radości. Był to raczej rodzaj manifestacji; chciał w ten sposób pokazać, że powinien znaleźć się na boisku już w półfinale. Na 2:1 w meczu o trzecie miejsce trafił Stefan Majewski i na przerwę zeszliśmy z prowadzeniem.

Na samym początku drugiej połowy trzeci cios wyprowadził Janusz Kupcewicz. Przymierzył z rzutu wolnego i sprytnym strzałem podwyższył nasze prowadzenie. Chociaż Francuzi strzelili jeszcze kontaktowego gola, nie dali rady już odrobić strat. Zostaliśmy trzecią drużyną świata!

Zgrzytem była jedynie ceremonia wręczenia medali, bo potraktowano nas po macoszemu. Władek Żmuda jako kapitan dostał tacę, z której każdy wziął sobie jeden z krążków. Dziwne było to, że Francuzom, którzy przecież przegrali, medale – bo wówczas za czwarte miejsce też przysługiwały – zawieszał na szyi jeden z oficjeli. Trudno, nie płakaliśmy. W końcu to my byliśmy górą.

MAREK DZIUBA

Data i miejsce urodzenia: 19 grudnia 1955 r., Łódź.

W reprezentacji Polski: 53 mecze, 1 gol.

Debiut: 13 kwietnia 1977, Węgry – Polska 2:1.

Osiągnięcia: III miejsce MŚ 1982.
Członek Klubu Wybitnego Reprezentanta.

Kariera klubowa: ŁKS Łódź, Łodzianka Łódź, ŁKS Łódź, Widzew Łódź, Koninklijke Sint-Truidense VV (Belgia).

Osiągnięcia: Puchar Polski (1985).

TOMASZ

FRANKOWSKI

„RZEP Z PSIEGO OGONA” OGRYWA AUSTRIĘ

9 października 2004, Wiedeń
Austria – Polska 1:3 (1:1)

Bramki: Markus Schopp 30. – Radosław Kałużny 10., Jacek Krzynówek 79.,
Tomasz Frankowski 90.
Austria: Alexander Manninger – Joachim Standfest, Martin Stranzl, Martin Hiden, Emanuel Pogatetz – Markus Schopp, Dietmar Kühbauer,
René Aufhauser (46. Markus Kiesenebner), Andreas Ivanschitz – Mario Haas
(39. Roland Kollmann), Ivica Vastić (81. Christian Mayrleb).
Polska: Jerzy Dudek – Marcin Baszczyński, Tomasz Hajto, Jacek Bąk,
Tomasz Rząsa – Marcin Zając (46. Kamil Kosowski), Radosław Kałużny
(73. Arkadiusz Radomski), Sebastian Mila, Jacek Krzynówek – Grzegorz Rasiak
(67. Tomasz Frankowski), Maciej Żurawski.
Żółte kartki: Schopp, Kiesenebner – Kosowski, Radomski, Krzynówek.
Czerwona kartka: Radomski.
Sędziował: Lucílio Batista (Portugalia).

Najważniejsze spotkanie w reprezentacji Polski rozegrałem przeciwko Austrii na wyjeździe w 2004 roku. W grupie eliminacyjnej mistrzostw świata w 2006 roku rywalizowaliśmy z Anglią, Austrią, Irlandią Północną, Walią i Azerbejdżanem. Po zwycięstwie z Irlandią Północną i porażce z Anglikami spotkanie wyjazdowe z Austrią było kluczowe dla naszych dalszych losów w grupie. Dostałem na nie oraz kolejne spotkanie z Walią powołanie, co było... dużym sukcesem!

Wszyscy, którzy kilka lat interesują się piłką nożną, wiedzą bowiem, jakie panowały wtedy realia. Z każdym kolejnym golem, którego strzelałem dla Wisły Kraków, dziennikarze wywierali coraz większą presję, żeby ponownie powołać mnie do reprezentacji Polski. Trener Paweł Janas pozostawał jednak nieugięty. Powiedział nawet, że gdyby to on grał w ataku Wisły, też nastrzelałby tyle goli co ja. Czułem, że pojawiło się między nami napięcie, ale któregoś razu Janas udzielił wywiadu, w którym wypalił: „Chcecie, to macie!". Te okoliczności sprawiły, że czułem się w kadrze trochę jak rzep przyczepiony do psiego ogona…

Powołanie na mecz z Austrią otrzymałem po czteroletnim rozbracie z reprezentacyjną piłką. W kadrze dobrym duchem i łącznikiem pomiędzy mną a Janasem był jego asystent – Maciej Skorża. To on wyjaśniał mi niuanse taktyczne przed treningiem, na treningu i tuż przed meczami. Dobrze się rozumieliśmy.

Nigdy nie byłem ulubieńcem selekcjonerów. W szczycie formy nie miałem szansy wystąpić w spotkaniach reprezentacji i nie mogłem udowodnić swojej wartości. W latach 2001–2004 zdobyłem na ligowych boiskach ponad 50 bramek. Byłem najlepszym ligowym strzelcem, kolejni selekcjonerzy niby mnie szanowali, ale konsekwentnie pomijali. Na przykład trener Jerzy Engel miał swoją twardą hierarchię napastników rozpisaną na kartce. Pierwszym wyborem był oczywiście Emmanuel Olisadebe, drugim Paweł Kryszałowicz, trzecim Marcin Żewłakow na zmianę z Maciejem Żurawskim. Ja kręciłem się koło piątego miejsca. W takiej samej sytuacji był Artur Wichniarek. Już pogodziłem się z tym, że nie rozegram w reprezentacji wymarzonego wielkiego meczu.

Dlatego udział w spotkaniu z Austrią był dla mnie szalenie ważny, choć zagrałem tylko niespełna 25 minut. Zaraz po

rozpoczynającym drugą połowę meczu gwizdku sędziego, przy wyniku 1:1, Paweł Janas wskazał na mnie i Mirosława Szymkowiaka. Nakazał nam rozgrzewkę, by po kwadransie powiedzieć: „Dawać mi tu Franka!”.

Nigdy nie zapomnę tego, jak bardzo licznie zgromadzeni na trybunach polscy kibice zaczęli skandować moje nazwisko: „Frankowski! Franek, Franek, łowca bramek! Franek…”. Pomyślałem sobie, że to musi być mój mecz! W 67. minucie wbiegłem na murawę, zmieniając Grześka Rasiaka. Pierwsza akcja i faul na mnie tuż przed linią pola karnego. Do piłki podszedł Jacek Krzynówek i mocnym strzałem, który przełamał dłonie austriackiego bramkarza Alexa Manningera, wyprowadził Polskę na prowadzenie. To nas jeszcze bardziej uskrzydliło; miałem wewnętrzne przekonanie, że jestem ważny i potrzebny tej drużynie. W 90. minucie, po znakomitej akcji Kamila Kosowskiego, zdobyłem ładną bramkę, rozstrzygającą losy tego spotkania.

Mecz z Austrią dodał nam wiary w nasze możliwości. Kolejne starcie z Walią w Cardiff również wygraliśmy – 3:2. Drużyna poczuła moc. Właśnie dlatego mecz z Austrią uważam za mój najważniejszy występ w reprezentacji, chociaż grałem bardzo krótko. Ostatecznie wyszliśmy z grupy z drugiego miejsca, premiowanego udziałem w finałach mistrzostw świata w 2006 roku w Niemczech. Ja, pomimo siedmiu bramek w eliminacjach na koncie, turniej oglądałem jednak z pozycji telewidza. Ale to już zupełnie inna historia.

Data i miejsce urodzenia: 16 sierpnia 1974 r., Białystok.

W reprezentacji Polski: 22 mecze, 10 goli.

Debiut: 28 kwietnia 1999, Polska – Czechy 2:1.

Kariera klubowa: Jagiellonia Białystok, RC Strasbourg (Francja), Nagoya Grampus Eight (Japonia), Stade Poitevin FC (Francja), FC Martigues (Francja), Wisła Kraków, Elche FC (Hiszpania), Wolverhampton Wanderers FC (Anglia), CD Tenerife (Hiszpania), Chicago Fire (USA), Jagiellonia Białystok.

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (1999, 2001, 2003, 2004, 2005), Puchar Polski (2002, 2003, 2010), Superpuchar Polski (2001, 2010), Puchar Ligi Polskiej (2001), król strzelców ekstraklasy (1999, 2001, 2005, 2011).

JAN
FURTOK

Fot. Eugeniusz Warmiński / East News

STRZELIŁEM JAK MARADONA

28 kwietnia 1993, Łódź
Polska – San Marino 1:0 (0:0)

Bramka: Jan Furtok 70.
Polska: Aleksander Kłak – Tomasz Wałdoch, Roman Szewczyk, Marek Koźmiński – Roman Kosecki, Piotr Czachowski, Leszek Pisz, Jerzy Brzęczek, Jacek Ziober – Jan Furtok, Andrzej Juskowiak (65. Ryszard Staniek).
San Marino: Pierluigi Benedettini – Claudio Canti, Mauro Valentini, Luca Gobbi, Mirco Gennari – Loris Zanotti (80. Fabio Francini), Marco Mazza,
Pier Angelo Manzaroli, Massimo Bonini, Pier Domenico Della Valle – Nicola Bacciocchi (71. Paolo Mazza).
Żółte kartki: Valentini, Gobbi, Della Valle.
Sędziował: Leslie Mottram (Szkocja).

W zespole narodowym rozegrałem 36 spotkań, ale i tak przez niemal wszystkich kibiców zostałem zapamiętany z meczu z San Marino w kwalifikacjach do mistrzostw świata w 1994 roku. Nic dziwnego, ta bramka, zdobyta przecież ręką, przeszła do historii polskiego futbolu. Mogę więc śmiało powiedzieć, że to zarówno najbardziej nietypowy, jak i najważniejszy mecz, jaki rozegrałem dla reprezentacji Polski.

Tamte kwalifikacje rozpoczęliśmy w niezłym stylu. Na starcie pokonaliśmy w Poznaniu Turcję 1:0, a trzy tygodnie później zremisowaliśmy na wyjeździe z Holandią. Prowadziliśmy 2:0, ale niestety nie udało nam się dowieźć prowadzenia do ostatniego gwizdka. Wielu uznawało pierwszą połowę meczu w Rotterdamie za jedną z najlepszych, jakie reprezentacja

rozegrała po mistrzostwach świata w Meksyku. Nic więc dziwnego, że przed starciem z San Marino byliśmy uznawani za zdecydowanych faworytów. Wszyscy zastanawiali się jedynie, ile goli zdołamy strzelić z amatorami. Czas jednak pokazał, że piłka nożna jest totalnie nieprzewidywalna.

Byłem już wtedy bardzo doświadczonym zawodnikiem, miałem na karku ponad 31 lat. Cały czas czułem się jednak bardzo dobrze. Siłę rażenia w ataku mieliśmy wtedy całkiem niezłą, w reprezentacji występowali Romek Kosecki, Jacek Ziober, Krzysio Warzycha czy młody Andrzej Juskowiak. Było z kim pograć, więc przed meczem z amatorską ekipą San Marino mogliśmy rzeczywiście być optymistami.

Tak jak się spodziewaliśmy, Sanmaryńczycy wyszli na boisko nastawieni bardzo defensywnie. Zależało im na tym, by stracić jak najmniej bramek. Zamurowali się we własnym polu karnym, ale naszym pomysłem na to były uderzenia z dystansu. O tym też mówił nam trener Andrzej Strejlau, więc próbowaliśmy zaskoczyć bramkarza, ale brakowało nam w tym wszystkim precyzji, choć okazji nie brakowało. Z każdą minutą bez strzelonego gola odsłanialiśmy się coraz bardziej. Doszło do tego, że i nasi rywale dwukrotnie bardzo poważnie zagrozili naszej bramce. Czas płynął, a my nadal nie potrafiliśmy skruszyć tego muru. Zaczynaliśmy odczuwać wstyd. Trybuny starego stadionu Widzewa były wypchane po brzegi, kibice przyszli zobaczyć festiwal strzelecki, a my nie mogliśmy się przebić…

Rosła w nas frustracja. Wiedzieliśmy, że strata punktów w potyczce z San Marino będzie totalną kompromitacją. Sam miałem kilka okazji, ale nic nie chciało wpaść. Wreszcie 20 minut przed końcem z prawej strony do piłki dopadł Romek Kosecki. Minął rywala i wrzucił miękko piłkę w pole karne. Gdy do niej dobiegałem, zorientowałem się, że wysokość, na której

leci, jest dość problematyczna. Trudno było uderzyć ją głową, bo szybowała za nisko, ale jednocześnie na tyle wysoko, by nie dało się strzelać nogą. Zadziałał instynkt, nie miałem nic do stracenia. Zagarnąłem futbolówkę ręką i wepchnąłem ją do siatki. Na pewno nie zrobiłem tego po przemyśleniu, to był po prostu impuls. Rywale zwracali uwagę sędziemu, że byłem na bakier z przepisami, ale ten uznał bramkę. Poczułem totalną ulgę, wpadłem w euforię. Trudno było nazwać to zagraniem fair play, ale liczyło się dla nas zwycięstwo. I to się udało, na naszym koncie pojawiły się trzy punkty.

Co ciekawe, przez pewien czas się do tego nie przyznawałem, nawet mojej ukochanej żonie nie od razu powiedziałem, co wydarzyło się na boisku w Łodzi. Dziś każdy pamięta mi tylko tę bramkę, choć rozegrałem jeszcze 35 innych spotkań dla drużyny narodowej, brałem też udział w mistrzostwach świata w 1986 roku. W pewnym momencie trochę mnie to wkurzało, ale dziś wiem, że to było coś wyjątkowego. Nie mam się przecież czego wstydzić. No, może troszkę tego, że tak męczyliśmy się z San Marino, ale takie mecze też się w piłce nożnej zdarzają. Żałuję natomiast, że w ostatecznym rozrachunku ta „polska odpowiedź" na gola Diego Maradony nie dała nam żadnych korzyści, nie zdołaliśmy bowiem awansować do amerykańskich mistrzostw świata. Tak jednak widocznie musiało być.

JAN FURTOK

Data i miejsce urodzenia: 9 marca 1962 r., Katowice.
W reprezentacji Polski: 36 meczów, 10 goli.
Debiut: 23 maja 1984, Irlandia – Polska 0:0.

Osiągnięcia: uczestnik MŚ 1986.

Kariera klubowa: Górnik MK Katowice, GKS Katowice, Hamburger SV (Niemcy), Eintracht Frankfurt (Niemcy), GKS Katowice.

Osiągnięcia: Puchar Polski (1986).

DARIUSZ

GĘSIOR

DWA DNI DROGI PO PREMIEROWĄ BRAMKĘ

29 listopada 1992, Montevideo
Urugwaj – Polska 0:1 (0:0)

Bramka: Dariusz Gęsior 84.
Urugwaj: Robert Siboldi – Milton Gomez, Fernando Kanapkis, Florendo Sánchez, Nelson Cabrera – Luis Sánchez, Diego Dorta (75. Héctor Rodríguez), Marcelo Saralegui, Sergio Martínez (70. Gerardo Miranda) – Peter Méndez (46. José García), Ricardo dos Santos.
Polska: Adam Matysek – Kazimierz Węgrzyn, Tomasz Wałdoch, Tomasz Łapiński – Marcin Jałocha (60. Piotr Jegor), Ryszard Staniek (89. Adam Fedoruk), Dariusz Gęsior, Jerzy Brzęczek, Piotr Świerczewski – Grzegorz Mielcarski (46. Wojciech Kowalczyk), Andrzej Kobylański (85. Tomasz Cebula).
Żółte kartki: F. Sánchez, Kanapkis – Staniek, Kowalczyk.
Sędziował: Javier Alberto Castrilli (Argentyna).

Gdy otrzymałem pierwsze powołanie do reprezentacji narodowej, czasy były nieco dziwne. Wiadomo, że na debiut w kadrze czeka się z wielką niecierpliwością, bo każdy chce reprezentować swój kraj. Miałem na to szansę już w wieku 19 lat. Zdobyłem wtedy w barwach Ruchu Chorzów mistrzostwo Polski, a po trzecim meczu kolejnego sezonu podszedł do mnie trener i oznajmił, że zostanę powołany na zgrupowanie drużyny narodowej. Niestety, dwie kolejki później doznałem kontuzji i wezwanie na kadrę przeszło mi koło nosa.

Później nie miałem okazji otrzymać powołania z uwagi na przygotowania do igrzysk olimpijskich w Barcelonie. Istniała bowiem umowa, na mocy której zawodnicy z kadry olimpijskiej nie byli powoływani do drużyny seniorskiej. Wyjątki zdarzały

się sporadycznie, trzymano się tej zasady bardzo sztywno. Mój debiut w kadrze A odkładał się zatem w czasie. Dopiero po wywalczeniu srebrnego medalu zostałem powołany na listopadowe tournée po Ameryce Południowej.

Nigdy nie zapomnę tej podróży. Najpierw polecieliśmy do Moskwy, tam czekaliśmy 12 godzin na lotnisku. Później odbyliśmy… cztery loty, każdy trwał około 4,5 godziny. Mieliśmy trzy przesiadki, w tym w Algierii, a cała eskapada trwała dwa dni. Pierwszy mecz graliśmy z Argentyną, ale ja i Rysiek Staniek w nim nie wystąpiliśmy. Wszystko z powodu zatrucia pokarmowego, którego doznaliśmy w samolocie. Wiadomo, człowiek w tym wieku jest zawsze głodny, więc jedliśmy, co nam podawano. Jak się okazało, był to nasz błąd.

Debiut musiałem więc ponownie odłożyć, na szczęście na niezbyt odległy termin. Drugi mecz rozgrywaliśmy z Urugwajem. Do spotkania doszło w Montevideo, a ja znalazłem się w podstawowej jedenastce. Oczywiście, zdecydowanym faworytem byli gospodarze, którzy od kilkunastu lat nie przegrali meczu na własnym terenie. A tu nagle przyjechała kadra Polski i dała im radę.

Premierowe spotkanie w narodowych barwach w seniorskiej reprezentacji nie przyniosło mi zbyt wielu nerwów. Nie wchodziłem do całkiem nowej szatni, bardzo dobrze znałem niemal wszystkich zawodników. Nawet jeśli ktoś nie grał w kadrze olimpijskiej, mieliśmy okazję się poznać i ze sobą porozmawiać. Na mecze zawsze lataliśmy razem, wówczas bowiem grupy kwalifikacyjne kadry seniorskiej i olimpijskiej były identyczne. Często spaliśmy też w tych samych hotelach. Tremy zatem nie było, choć wiadomo, że adrenalinka związana z występem nieco podskoczyła.

Hymn grany przed debiutem w seniorskiej kadrze nie wywołał we mnie dodatkowych emocji. Słyszałem go wiele razy

w reprezentacji olimpijskiej, także przed meczem o złoty medal igrzysk. Pierwsze starcie rozegrane w najważniejszej drużynie w kraju nie było więc dla mnie skokiem na głęboką wodę, a raczej kolejnym krokiem na naturalnej drodze rozwoju. Bardzo dobrze smakowała za to zwycięska bramka, którą zdobyłem. Na kilka minut przed końcowym gwizdkiem z prawej strony boiska dośrodkował Piotrek Świerczewski, a ja dołożyłem głowę. Byliśmy bardzo szczęśliwi, że zwyciężyliśmy na tak trudnym terenie, tym bardziej że mecz był wyrównany, dużo było w nim zaciętej walki. Pamiętam rosłego, dwumetrowego obrońcę, z którym starał się szarpać znany z twardego charakteru Grzegorz Mielcarski; tym razem jednak z przeciwnikiem sobie nie poradził i w przerwie został zmieniony.

Pozostała nam jedynie podróż powrotna, która odbyła się tą samą drogą co ta do Urugwaju, tyle że w odwrotnym kierunku. W wielu mediach pojawiła się później błędna informacja, że autorem decydującego trafienia był Piotr Jegor, choć dowiedziałem się o tym dopiero po latach, bo rzadko kiedy czytałem gazety z relacjami z meczów, w których wystąpiłem. Zawsze interesowały mnie tylko fakty, a te jako uczestnik tych spotkań zawsze znałem z pierwszej ręki.

Wątpliwości zostały chyba wyjaśnione, bo nawet podczas niedawnego meczu z Urugwajem komentujący to spotkanie trener Andrzej Strejlau wspomniał, że to ja trafiłem do siatki, a przecież to on wówczas prowadził kadrę. Pamiętam, że odprawa przed tamtym starciem nie należała do długich. To były troszkę inne czasy, nie istniały wówczas możliwości przeprowadzenia potężnych analiz wideo, jak to jest obecnie. Wiedzieliśmy o rywalach podstawowe rzeczy, takie jak skład i ich najsilniejsze strony. Być może to też nam pomogło, bo mogliśmy skupić się na konkretnych aspektach gry, nie mając

głowy zawalonej stertą informacji. Czasem taka świeżość umysłu jest bardzo istotna, co widać było po wyniku mojego debiutanckiego spotkania w kadrze narodowej.

DARIUSZ GĘSIOR

Data i miejsce urodzenia: 9 października 1969 r., Chorzów.

W reprezentacji Polski: 22 mecze, 1 gol.

Debiut: 29 listopada 1992, Urugwaj – Polska 0:1.

Osiągnięcia: srebrny medal IO 1992.

Kariera klubowa: Ruch Chorzów, Widzew Łódź, Pogoń Szczecin, Amica Wronki, Wisła Płock, Dyskobolia Grodzisk Wielkopolski.

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (1989, 1997), Puchar Polski (1996, 2006).

JACEK
GMOCH

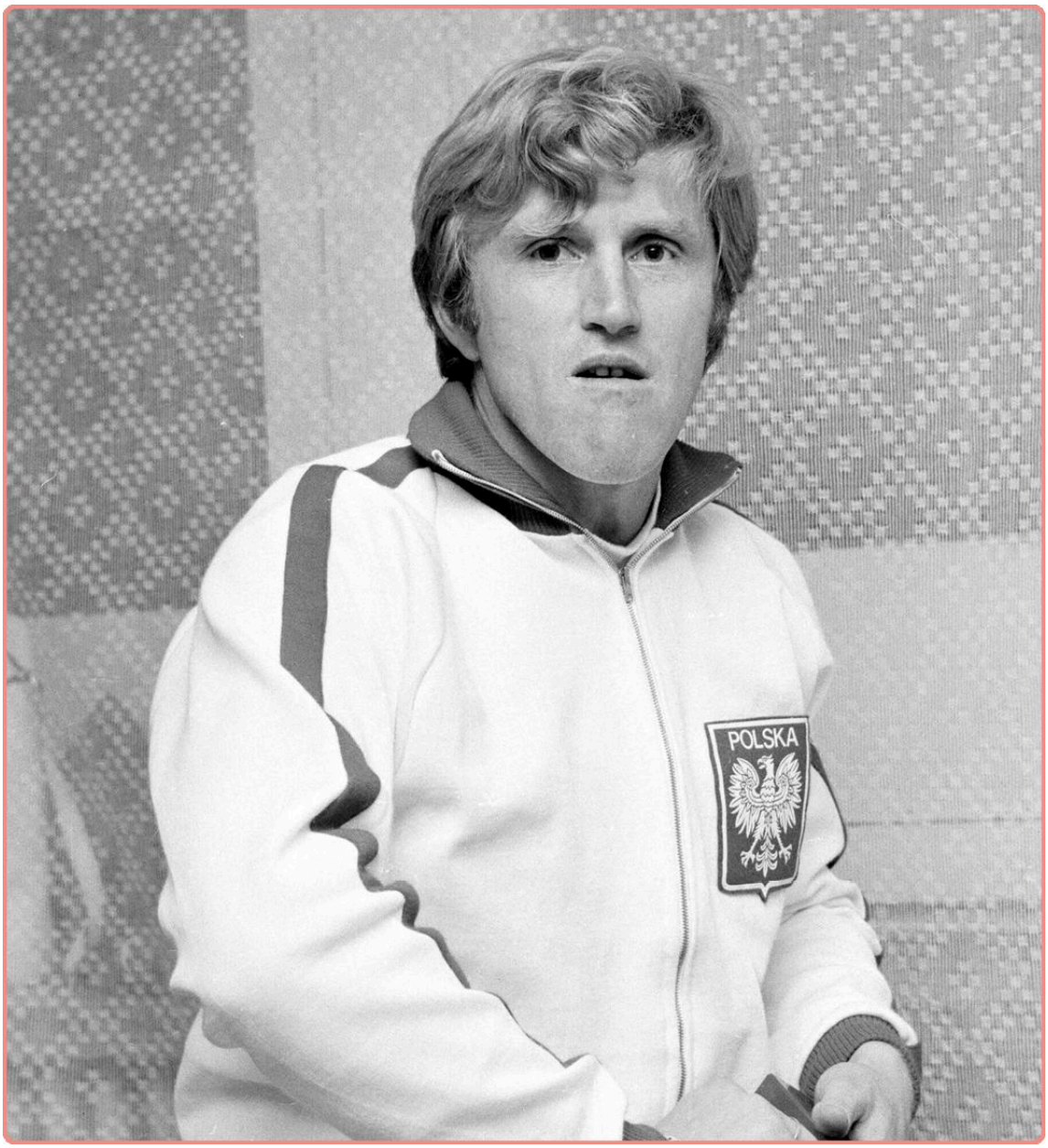

Fot. Eugeniusz Warmiński / East News

STAW SKOKOWY
ZA CIOS W SZCZĘKĘ

13 października 1965, Glasgow
Szkocja – Polska 1:2 (1:0)

Bramki: William McNeill 13. – Ernest Pol 85., Jerzy Sadek 87.
Szkocja: William Brown – Alexander Hamilton, William McNeill, Edward McCreadie, John Greig – Patrick Crerand, William Bremner – William Henderson, Alan Gilzean, Denis Law, William Johnston.
Polska: Konrad Kornek – Henryk Szczepański, Jacek Gmoch, Stanisław Oślizło, Zygmunt Anczok – Antoni Nieroba, Zygfryd Szołtysik – Jerzy Sadek, Ernest Pol, Jan Liberda, Eugeniusz Faber.
Sędziował: Hans Carlsson (Szwecja).

Jednym z najważniejszych spotkań, jakie rozegrałem w narodowych barwach, było zwycięstwo wywalczone w starciu ze Szkocją na Hampden Park w kwalifikacjach do turnieju finałowego mistrzostw świata w 1966 roku. Dodatkową satysfakcją dla mnie był fakt, że jako obrońcy udało mi się wyłączyć z gry legendarnego Denisa Lawa, wtedy wybranego na najlepszego piłkarza Europy. Niestety, finalnie nie zdołaliśmy awansować na angielski mundial. Z gospodarzami turnieju zmierzyliśmy się jednak w styczniu 1966 roku. Przed rozgrywanymi na własnym terenie mistrzostwami świata Anglicy chcieli się przekonać, jak w piłkę grają tak zwane demoludy. Był to dla nich jeden z etapów przygotowań. Dla nas z kolei był to kolejny, po meczach z Brazylią, atrakcyjny wyjazd.

I potrafiliśmy zremisować z tą wielką Anglią, która kilka miesięcy później zdobyła mistrzostwo świata. Prowadziliśmy 1:0 po golu Jurka Sadka, wyrównał na kwadrans przed końcem Bobby Moore.

Sytuację w kwalifikacjach bardzo skomplikował nam dziwny, przegrany 0:2 mecz z Finlandią, w którym dwa błędy popełnił Edward Szymkowiak, fantastyczny bramkarz i człowiek. Wcześniej zremisowaliśmy z Włochami i Szkocją. Kilka godzin przed starciem z Finami Edek dostał ataku śmiechu, zapewne na tle nerwowym. Nie pomagały nawoływania trenera Ryszarda Koncewicza, żeby przestał. Nikt nie umiał wytłumaczyć, co tak naprawdę się dzieje. Później Edzio się uspokoił, ale nie był to jego najlepszy mecz.

Na nasze starcie ze Szkocją na Hampden Park przyszło ponad 100 tysięcy kibiców. Jeden z sektorów bardzo mnie zaintrygował – stał tam na podwyższeniu jakiś człowiek, który mówił coś do reszty, a wszyscy jak na komendę patrzyli raz w lewo, raz w prawo, jak w trakcie meczu tenisowego. Nie miałem pojęcia, o co chodzi. Okazało się, że był to sektor dla niewidomych kibiców, którzy słuchali relacji człowieka na podeście. Zrobiło to na mnie piorunujące wrażenie.

Na samym początku spotkania dostałem w szczękę od Denisa Lawa. Zamroczyło mnie, a wtedy jeszcze nie można było dokonywać zmian. Gdy ktoś był kontuzjowany, musiał zejść z boiska (zespół zaś grał wtedy w dziesiątkę) albo mimo urazu pozostawał na murawie. W takiej sytuacji najczęściej wędrował na skrzydło. Ja nie pozostałem dłużny Szkotom, a konkretnie Alanowi Gilzeanowi – wszedłem w niego wślizgiem i coś stało mu się ze stawem skokowym. W efekcie to on powędrował na skrzydełko. Trzeba mu jednak przyznać, że zachował dużą klasę, po meczu przyszedł do mnie, podał mi rękę

i pogratulował dobrego spotkania. Co się dzieje na boisku, zostaje na boisku.

Jego zachowanie warto docenić tym bardziej, że wygraliśmy to spotkanie i musiał przełknąć gorycz porażki. Bardzo długo przegrywaliśmy, ale w ostatnich pięciu minutach zdobyliśmy dwa gole. Najpierw gospodarzy „ukąsił" Ernest Pol, a zwycięską bramkę dał nam Jurek Sadek. W końcówce broniliśmy się z całych sił, byliśmy już na skraju wyczerpania, ale dopięliśmy swego. Zgarnęliśmy komplet punktów i mogliśmy jeszcze marzyć o tym, że zagramy na angielskim mundialu. To była jedna z najważniejszych wygranych w polskiej piłce nożnej lat 60.

Nie udało nam się jednak wywalczyć awansu. Niewytłumaczalna jest dla mnie do dziś porażka z Włochami aż 1:6. Graliśmy w listopadzie, różnica temperatur pomiędzy Polską a Rzymem wynosiła około 30 stopni. W dniu meczu koło południa zjedliśmy jakąś lekką zupę z kury, na ryżu. Gdy rozpoczęliśmy rozgrzewkę, miałem wrażenie, że z minuty na minutę moje nogi robią się coraz cięższe. To samo odczuwali inni zawodnicy. W czasie meczu robiliśmy za pachołki treningowe. Nie chcę nikogo oskarżać, ale nieprzypadkowo Jock Stein, jeden z najwybitniejszych trenerów w historii, na każdy wyjazd zabierał własne produkty spożywcze… Cóż, wyciągnęliśmy z tego naukę. Dziś kucharze są pełnoprawnymi członkami sztabów szkoleniowych, jeżdżą z drużyną wszędzie i takie sytuacje są nie do pomyślenia.

Myślę, że mogę być zadowolony z reprezentacyjnej kariery. Została brutalnie przerwana przez poważną kontuzję, ale dzięki temu mogłem szybko zacząć pracę w charakterze trenera. Historia pokazuje, że wielu szkoleniowców, którzy docierali na szczyty, przedwcześnie kończyło swoją przygodę z boiskiem w roli piłkarza. Tak było choćby z Kazimierzem

Górskim, Alexem Fergusonem, przykłady można mnożyć. W obliczu takiego nagłego zakończenia kariery szuka się bowiem piłkarskiego spełnienia gdzie indziej, najczęściej na ławce trenerskiej. Ja poszedłem właśnie tą drogą i niczego nie chciałbym zmienić. Jestem szczęśliwym człowiekiem, z kochającą rodziną u boku. Żona mnie nie zostawiła, mimo że od wielu, wielu lat mam kochankę, którą jest piłka nożna. Spotkałem na swojej drodze wielu wspaniałych ludzi, więc nie mam prawa narzekać na cokolwiek.

JACEK GMOCH

Data i miejsce urodzenia: 13 stycznia 1939 r., Pruszków.

W reprezentacji Polski: 29 meczów.

Debiut: 11 października 1962, Polska – Maroko 1:1.

Osiągnięcia: uczestnik MŚ 1978 (jako trener).

Kariera klubowa: Znicz Pruszków, Legia Warszawa.

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (1969),
Puchar Polski (1964, 1966).

PAWEŁ
GOLAŃSKI

Fot. Adam Davy / PA Images / Getty Images

DLA TAKICH CHWIL ZOSTAJE SIĘ PIŁKARZEM

11 października 2006, Chorzów
Polska – Portugalia 2:1 (2:0)

Bramki: Euzebiusz Smolarek 10., 19. – Nuno Gomes 90.
Polska: Wojciech Kowalewski – Paweł Golański, Arkadiusz Radomski, Jacek Bąk, Grzegorz Bronowicki – Jakub Błaszczykowski (67. Jacek Krzynówek),
Radosław Sobolewski, Mariusz Lewandowski, Euzebiusz Smolarek – Maciej Żurawski, Grzegorz Rasiak (75. Radosław Matusiak).
Portugalia: Ricardo – Luis Miguel, Ricardo Carvalho, Ricardo Rocha, Nuno Valente – Simão Sabrosa, Petit (69. Nani), Deco (84. Maniche), Costinha (46. Tiago), Cristiano Ronaldo – Nuno Gomes.
Żółte kartki: Lewandowski, Kowalewski – Simão Sabrosa, Ricardo Rocha.
Sędziował: Wolfgang Stark (Niemcy).

Spośród 14 meczów, które rozegrałem w biało-czerwonych barwach, zdecydowanie najbardziej utkwiło mi w pamięci pierwsze spotkanie z reprezentacją Portugalii w eliminacjach do mistrzostw Europy w 2008 roku. Do tego meczu przystępowaliśmy po wymęczonym, zrodzonym w wielkich bólach wyjazdowym zwycięstwie 1:0 z Kazachstanem. Styl, jaki zaprezentowaliśmy w tym spotkaniu, spotkał się z ostrą krytyką. Mnie również się dostało. Nie mogłem być pewny, że w następnym meczu trener Leo Beenhakker ponownie da mi szansę. W sztabie szkoleniowym długo zastanawiano się, czy to właśnie ja powinienem wystąpić przeciwko szybkim i znakomicie wyszkolonym skrzydłowym portugalskiej drużyny.

Wszystkie nazwiska zespołu Luiza Felipe Scolariego robiły ogromne wrażenie w Europie i na całym świecie.

Trener Beenhakker mi zaufał. Zapytał mnie w hotelowej windzie, czy jestem gotowy, żeby wystąpić przeciwko jednym z najlepszych piłkarzy świata. Zdecydowanie odpowiedziałem, że jak najbardziej. To pytanie było dla mnie jasnym przekazem, że selekcjoner na mnie liczy, że będę grał.

Przed spotkaniem trener bardzo nas motywował, mówił, że jesteśmy silni i wygramy z Portugalią. Był bardzo pewny siebie i to przełożyło się na cały zespół. Docierał do każdego piłkarza. Do mnie też. Spowodował, że byłem niezwykle skoncentrowany i przekonany, że jeżeli wpuści mnie na boisko, to potrafię zagrać dobrze i zrehabilituję się za słaby występ przeciwko Kazachstanowi. Na zawsze zapamiętam Holendra jako bardzo dobrego psychologa. Gdy widział jakieś niepokojące sytuacje na treningach czy poza boiskiem, od razu z nami rozmawiał. Nie głaskał nas, zdarzały się mocne słowa. Ci, którzy mieli możliwość z nim pracować, potwierdzą to, co piszę.

Pamiętam, jak podczas rozgrzewki ujrzeliśmy stadion zapełniający się tysiącami flag i ludzi w barwach narodowych. To nas dodatkowo motywowało. Cała sportowa Polska – i nie tylko – trzymała za nas kciuki. Czułem, jak z każdą minutą rosną we mnie emocje. Wcześniej nie miałem jakiegoś dużego doświadczenia, szczególnie jeśli chodzi o arenę międzynarodową. Niewątpliwie był to dla mnie największy sprawdzian, największe sportowe wyzwanie, więc i presja była nieporównywalnie większa niż podczas innych rozgrywanych przeze mnie spotkań. Wyszedłem na boisko na największy mecz mojego życia!

Samo spotkanie z Portugalczykami niewątpliwie nam wyszło. Wojtek Kowalewski zastanawiał się nawet przed meczem, ile razy będzie musiał interweniować, żeby uchronić naszą

reprezentację przed utratą gola, a jak się okazało – nie miał dużo pracy. Wyłapywał piłki z dośrodkowań i tyle.

Beenhakker uczulał nas przed spotkaniem, żebyśmy nie dali się zepchnąć do defensywy. Twierdził, że pierwsze 20 minut będzie kluczowe, a strzelony gol otworzy nam furtkę do stwarzania następnych groźnych sytuacji pod bramką przeciwnika. I tak rzeczywiście było. Ebi Smolarek strzelił dwa piękne gole w 10. i 19. minucie spotkania. Mieliśmy kolejne sytuacje, jak choćby słupek Maćka Żurawskiego. Wynik 2:0 w pierwszej odsłonie spotkania to był zdecydowanie najniższy wymiar kary dla podopiecznych Luiza Felipe Scolariego.

Zagraliśmy bardzo dobrze w defensywie. Nie tylko obrońcy, ale cały zespół. Zgodnie z poleceniem Beenhakkera zakładaliśmy na rywala pressing. To my dyktowaliśmy warunki gry, utrzymywaliśmy się przy piłce. Po uzyskaniu dwubramkowego prowadzenia nie cofnęliśmy się, kreowaliśmy kolejne okazje. Rywale dopiero w 92. minucie spotkania strzelili gola kontaktowego. Tak naprawdę to była jedna z bardzo niewielu sytuacji, którą sobie stworzyli.

Czasami wynik nie odzwierciedla przebiegu gry. W tym meczu jednak wszystko ułożyło się idealnie – była bardzo dobra gra oraz bardzo dobry wynik. Portugalczycy wypadli słabo, bo nie pozwoliliśmy im zagrać lepiej. Tym meczem udowodniliśmy, że możemy rywalizować z najsilniejszymi reprezentacjami jak równy z równym. Oprócz samego spotkania zapamiętałem na całe życie hymn narodowy odśpiewany przez ponad 40 tysięcy gardeł. Dla takich chwil warto było zostać piłkarzem.

PAWEŁ GOLAŃSKI

Data i miejsce urodzenia: 12 października 1982 r., Łódź.

W reprezentacji Polski: 14 meczów, 1 gol.

Debiut: 16 sierpnia 2006, Dania – Polska 2:0.

Osiągnięcia: uczestnik ME 2008.

Kariera klubowa: ŁKS Łódź, UKS SMS Łódź, ŁKS Łódź, Legia Warszawa, ŁKS Łódź, Korona Kielce, Steaua Bukareszt (Rumunia), Korona Kielce, ŁKS Łódź, ASA Târgu Mureș (Rumunia), Górnik Zabrze, Chojniczanka Chojnice, LKS Różyca.

Osiągnięcia: Superpuchar Rumunii (2016).

JERZY
GORGOŃ

Fot. Alessandro Sabattini / Getty Images

W OBRONIE CAŁEGO NARODU

23 września 1970, Dublin
Irlandia – Polska 0:2 (0:2)

Bramki: Władysław Stachurski 26., Zygfryd Szołtysik 39.
Irlandia: Allan Kelly (46. Michael Kearns) – Seamus Brennan, Anthony Byrne,
John Dempsey, Eoin Hand – Patrick Mulligan, Eamon Dunphy, John Lawlor (46. Anthony Connell) – Stephen Heighway (46. Alfred Hale),
Raymond Treacy, Gerard Conroy.
Polska: Władysław Grotyński – Władysław Stachurski, Jerzy Wyrobek, Jerzy Gorgoń, Adam Musiał – Lesław Ćmikiewicz, Zygfryd Szołtysik, Bernard Blaut – Joachim Marx, Włodzimierz Lubański, Robert Gadocha.
Sędziował: Danny Lyden (Anglia).

Z reprezentacją Polski przeżyłem mnóstwo pięknych chwil. W 1972 roku sięgnąłem w Monachium z drużyną po złoty medal olimpijski. Dwa lata później byłem już także medalistą mistrzostw świata, a w 1976 roku do wygranej na igrzyskach olimpijskich dołożyliśmy jeszcze srebrny krążek. Znalazłem się także w kadrze na mundial w Argentynie w 1978 roku, gdy jednak sięgam pamięcią wstecz, największe wzruszenie wywołuje we mnie wspomnienie meczu, w którym po raz pierwszy założyłem trykot z orłem na piersi.

Stało się to 23 września 1970 roku w Dublinie, w meczu przeciwko Irlandii. Byłem „szczawikiem”, miałem 21 lat, a trafiłem do szatni z zawodnikami, którzy od lat stanowili o sile najważniejszej piłkarskiej drużyny w kraju. Mecz zapadł

mi w pamięć tym bardziej, że naszym przeciwnikiem byli Irlandczycy, z którymi nigdy wcześniej nie udało nam się wygrać na ich terenie. To nie była kiepska drużyna, a jednak podołaliśmy zadaniu. Dziś może się wydawać, że to nic wielkiego, że to tylko mecz towarzyski, ale dla mnie, jako młodego chłopaka stawiającego pierwsze kroki w kadrze narodowej, było to coś wyjątkowego. Coś, czego nie da się zapomnieć.

Gdy otrzymałem swoje pierwsze powołanie do kadry narodowej, od trzech lat byłem zawodnikiem wielkiego Górnika Zabrze. Widząc w szatni takich graczy jak Włodzimierz Lubański czy Stanisław Oślizło, nie byłem pewien, że w ogóle będę miał szansę występów w klubie, a co dopiero w reprezentacji Polski! Na szczęście dla mnie marzenie się spełniło. Występowałem regularnie w Górniku, a po trzech latach spisywałem się na tyle dobrze, że we trzech byliśmy na zgrupowaniu reprezentacji kraju.

To, że w kadrze miałem kolegów z drużyny klubowej, było dla mnie dużym ułatwieniem. Stasiek Oślizło był fantastycznym defensorem, od którego wcześniej i później mnóstwo się nauczyłem. Był dla mnie prawdziwym mentorem, kimś, na kim zawsze mogłem polegać. Podpowiadał mi często, dzięki niemu mogłem się rozwijać i stałem się dużo lepszym piłkarzem.

Wyjście na boisko w zespole narodowym było dla mnie niezwykle wzruszające. Niestety, nie było wówczas tradycji odgrywania i odśpiewywania hymnu państwowego. Jestem jednak pewien, że każdy z nas powtarzał w duchu jego słowa. Pozwalały one na maksymalną koncentrację i jeszcze większą motywację do walki. Jeden za drugiego, 11 w imieniu całego kraju. Mnie niejednokrotnie zdarzyło się uronić łezkę, gdy miałem świadomość, że znalazłem się w gronie 11 ludzi, którzy reprezentują cały naród.

W meczu z Irlandią nie straciliśmy bramki, co dla mnie, jako totalnego nowicjusza, grającego na środku obrony, było dodatkowym smaczkiem. Czułem, że wypełniłem należycie swoje zadanie, wynikające z gry na tak specyficznej i niezwykle odpowiedzialnej pozycji.

Liczyłem, że moja przygoda z drużyną narodową nie zakończy się na tym jednym spotkaniu. Czas pokazał, że nazbierało się ich 55. Zostałem też wybrany do najlepszego zespołu 100-lecia Polskiego Związku Piłki Nożnej, co jest dla mnie ogromnym zaszczytem. Cieszę się, że byłem częścią fantastycznej historii polskiego futbolu. Kazimierz Górski stworzył z nas niesamowity zespół, który dotarł na szczyty. Na każdej pozycji mieliśmy kapitalnych piłkarzy, którzy byli jednością.

Żałuję tylko jednego: że nie udało nam się awansować do finału mistrzostw świata. W 1974 roku byliśmy tego niezmiernie blisko. Gdy jednak patrzę na swoją reprezentacyjną karierę, mam poczucie, że osiągnęliśmy coś wielkiego. Przez kilka lat byliśmy jedną z najsilniejszych drużyn na świecie, z którą liczyć musiał się każdy rywal. Mam nadzieję, że doczekam czasów, w których będę mógł radować się z podobnych sukcesów naszej reprezentacji.

JERZY GORGOŃ

Data i miejsce urodzenia: 18 lipca 1949 r., Zabrze.

W reprezentacji Polski: 55 meczów, 6 goli.

Debiut: 23 września 1970, Irlandia – Polska 0:2.

Osiągnięcia: złoty medal IO 1972, srebrny medal IO 1976, III miejsce MŚ 1974, uczestnik MŚ 1978. Członek Klubu Wybitnego Reprezentanta. Zawodnik Reprezentacji 100-lecia PZPN.

Kariera klubowa: MGKS Mikulczyce-Rokitnica, Górnik Zabrze, FC Sankt Gallen (Szwajcaria).

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (1971, 1972), Puchar Polski (1968, 1969, 1970, 1971, 1972), Puchar Ligi Polskiej (1978), finał Pucharu Zdobywców Pucharów (1970).

ROGER
GUERREIRO

Fot. Christof Koepsel / Bongarts / Getty Images

PRZEKLĘTY RZUT KARNY

12 czerwca 2008, Wiedeń
Austria – Polska 1:1 (0:1)

Bramki: Ivica Vastić 90. k. – Roger Guerreiro 31.
Austria: Jürgen Macho – György Garics, Sebastian Prödl, Martin Stranzl, Emanuel Pogatetz – Christoph Leitgeb, René Aufhauser (75. Jürgen Säumel), Andreas Ivanschitz (65. Ivica Vastić), Ümit Korkmaz – Martin Harnik, Roland Linz (65. Roman Kienast).
Polska: Artur Boruc – Marcin Wasilewski, Mariusz Jop (46. Paweł Golański), Jacek Bąk, Michał Żewłakow – Marek Saganowski (84. Wojciech Łobodziński), Dariusz Dudka, Roger Guerreiro (85. Rafał Murawski), Mariusz Lewandowski, Jacek Krzynówek – Euzebiusz Smolarek.
Żółte kartki: Prödl, Korkmaz – Wasilewski, Bąk, Krzynówek.
Sędziował: Howard Webb (Anglia).

W mojej pamięci szczególnie utkwiły mistrzostwa Europy w 2008 roku. To była historyczna chwila i niezwykle się cieszę, że mogłem być częścią drużyny, która awansowała na rozgrywany w Austrii i Szwajcarii turniej. Otwierający rywalizację mecz z Niemcami niestety przegraliśmy, ale to była naprawdę świetna drużyna. Wszedłem na boisko w drugiej połowie, starałem się zrobić jak najwięcej dla zespołu. Myślę, że indywidualnie rozegrałem całkiem niezłe zawody, ale Lukas Podolski był tego dnia niestety nie do zatrzymania i zdobył dwie bramki. Jasne, czuliśmy się zawiedzeni finalnym rezultatem, bo w naszej drużynie też występowali nieźli piłkarze, ale braliśmy pod uwagę możliwość porażki. Mówiąc wprost, zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że w potyczce

z Niemcami o punkty będzie cholernie trudno. Byli po prostu za silni, musieliśmy skupiać się na starciach z Austrią i Chorwacją.

Musieliśmy zapomnieć o przegranej z Niemcami i walczyć o kolejne punkty. Znaliśmy swoją wartość, mieliśmy w drużynie sporo jakości. Treningi przed kolejnym meczem nie różniły się niczym od innych zajęć. Leo Beenhakker zawsze był świetnie przygotowany, wiedział, co chce wypracować, i zachowywał spokój. Odbywaliśmy sporo małych gierek, wszystko szło swoim torem.

Dla mnie te mistrzostwa były czymś wyjątkowym. Dostałem polski paszport, miałem możliwość reprezentować ten kraj na wielkiej międzynarodowej imprezie, cieszyłem się zaufaniem ze strony Leo Beenhakkera. Dawałem z siebie wszystko i myślę, że dobrą postawą w drugiej połowie meczu z Niemcami zapracowałem na to, by w starciu z Austrią wyjść na murawę w podstawowym składzie. Gdy zobaczyłem swoje nazwisko w wyjściowej jedenastce, poczułem ogromną radość, ale i odpowiedzialność.

Podczas treningów dostrzegałem jeden problem, który niestety zemścił się w kolejnych meczach. Zbyt łatwo traciliśmy piłkę, nie zabezpieczając odpowiednio defensywy. W efekcie po przejęciu futbolówki rywal często miał mnóstwo miejsca, by wyprowadzić kontratak. Tak było także w potyczce z Austrią, ale wtedy mieliśmy w bramce kapitalnie spisującego się Artura Boruca. Gdyby nie on, już po pierwszej połowie moglibyśmy pakować walizki i bukować powrotny lot do Polski. W naszej grze było mnóstwo nerwowości, myślę, że było to związane z presją, jaka na nas ciążyła. Nie mieliśmy wyboru – musieliśmy przecież wygrać spotkanie z gospodarzami turnieju. Mieliśmy problemy z opanowaniem sytuacji, ale po 30 minutach zaczęliśmy grać lepiej. Stworzyliśmy sobie sytuacje do zdobycia

bramki, a jedna z nich zakończyła się trafieniem do siatki. Tak się złożyło, że to ja dałem nam prowadzenie.

To był zdecydowanie najważniejszy gol strzelony przeze mnie w karierze. Ta bramka była wyjątkowa z kilku powodów. Przede wszystkim to pierwsze trafienie w historii występów reprezentacji Polski w mistrzostwach Europy. Dodatkowo to był dla mnie bardzo trudny czas. Kilka miesięcy wcześniej zmarł mój tata, dlatego zadedykowałem tę bramkę właśnie jemu. Miałem z nim fantastyczne relacje, zawsze mnie dopingował i był bardzo dumny z tego, co udawało mi się osiągnąć. Tęsknię za nim do tej pory. Szkoda, że nie zobaczył tego gola.

W kolejnych minutach utrzymywaliśmy korzystny dla nas wynik. Chciałbym kiedyś zapomnieć o tym, co wydarzyło się w ostatniej minucie, o tym przeklętym rzucie karnym. Moim zdaniem, gdybyśmy wygrali z Austrią, z Chorwacją również zdobylibyśmy punkty i wyszli z grupy. Sędzia nie powinien odgwizdać tamtego przewinienia, to nie był czysty rzut karny. Według mnie Howard Webb się wtedy pomylił, zabierając nam marzenia. Nie potrafię opisać rozczarowania, które wówczas odczuwałem. Po gwizdku wierzyłem jeszcze, że Artur zdoła obronić strzał, ale niestety tak się nie stało. Ten remis ostatecznie podciął nam skrzydła. Teoretycznie mieliśmy jeszcze szanse, by wyjść z grupy, ale już tylko matematyczne. Musieliśmy pogodzić się z faktem, że mistrzostwa się dla nas skończyły. To cholernie bolało, długo nie mogłem sobie z tym poradzić.

W każdym spotkaniu, w którym wychodziłem na boisko, dawałem z siebie absolutnie wszystko. Wiedziałem, że zarówno w klubie, jak i w reprezentacji, grając w meczu, tworzy się historię. Od tego, jak piłkarz się zaprezentuje, zależy to, jak zostanie zapamiętany w danym miejscu. Reprezentacja Polski otworzyła przede mną drzwi, choć wcale nie musiało tak być.

Dlatego jestem bardzo dumny, że mogłem być częścią tej drużyny. Kocham Polskę i jestem niezwykle wdzięczny za to, co od niej dostałem.

Zawsze powtarzam, że jestem polskim piłkarzem. Tak jestem też postrzegany w Brazylii, gdzie wiele osób podpytuje mnie o kadrę narodową, zwłaszcza o Roberta Lewandowskiego. Wciąż dostaję też mnóstwo bardzo miłych wiadomości z Polski, cieszę się, że ludzie jeszcze o mnie nie zapomnieli. Popełniłem błąd, decydując się na odejście z Legii do AEK Ateny. Nie odnalazłem się tam, zniknąłem z radarów i moja kariera reprezentacyjna siłą rzeczy też dobiegła końca. Mam nadzieję, że przyjdzie jeszcze czas, gdy wrócę do Polski.

ROGER GUERREIRO

Data i miejsce urodzenia: 25 maja 1982 r.,
São Paulo (Brazylia).

W reprezentacji Polski: 25 meczów, 4 gole.

Debiut: 27 maja 2008, Polska – Albania 1:0.

Osiągnięcia: uczestnik ME 2008.

Kariera klubowa: AD São Caetano (Brazylia),
SC Corinthians Paulista (Brazylia), CR Flamengo (Brazylia),
Celta Vigo (Hiszpania), EC Juventude (Brazylia), Legia Warszawa,
AEK Ateny (Grecja), Guaratinguetá EC (Brazylia),
Comercial FC (Brazylia), Rio Branco SC (Brazylia),
Aris Limassol (Cypr), Villa Nova AC (Brazylia),
Hercílio Luz FC (Brazylia), EC Rio Verde (Brazylia).

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (2006),
Puchar Polski (2008), Puchar Grecji (2011),
Superpuchar Polski (2008).

TOMASZ
HAJTO

Fot. Shaun Botterill / Getty Images

DLA HUSARII NA TRYBUNACH MOGŁEM UMIERAĆ

1 września 2001, Chorzów
Polska – Norwegia 3:0 (1:0)

Bramki: Paweł Kryszałowicz 45., Emmanuel Olisadebe 77., Marcin Żewłakow 88.
Polska: Jerzy Dudek – Tomasz Kłos, Tomasz Hajto, Tomasz Wałdoch,
Michał Żewłakow – Bartosz Karwan, Radosław Kałużny,
Piotr Świerczewski (89. Arkadiusz Bąk), Marek Koźmiński (82. Jacek Krzynówek) – Emmanuel Olisadebe, Paweł Kryszałowicz (75. Marcin Żewłakow).
Norwegia: Thomas Myhre – Christer Basma, Ronny Johnsen, Henning Berg,
André Bergdølmo – Roar Strand (63. John Arne Riise), Petter Rudi, Øyvind Leonhardsen (80. Sigurd Rushfeldt),
Steffen Iversen (89. Pål Strand) – Ole Gunnar Solskjær, Jan-Derek Sørensen.
Żółte kartki: Hajto, Kałużny.
Sędziował: Miroslav Liba (Czechy).

Największym sentymentem spośród meczów, które rozegrałem w kadrze, darzę spotkanie z Norwegami w kwalifikacjach do mistrzostw świata w 2002 roku. Mierzyliśmy się z nimi 1 września 2001 roku na Stadionie Śląskim w Chorzowie. Choć tak właściwie powinienem opowiedzieć o towarzyskim meczu Polska – Rosja z 1998 roku w Chorzowie, bo rozegrałem wtedy znakomite spotkanie i grając na pozycji obrońcy, zdobyłem dwie bramki. Oczywiście, ważniejsze są mecze o punkty, dlatego skupiłem się na rewanżu z Norwegią na Stadionie

Śląskim w eliminacjach mistrzostw świata 2002 w Korei Południowej i Japonii. Jak wiadomo, wygraliśmy grupę, mając za przeciwników tak uznane firmy, jak Ukraina, Norwegia i Walia, oraz mniej liczące się Białoruś i Armenię. Awans wywalczyliśmy w wielkim stylu, bo jako pierwsza drużyna europejska zapewniliśmy sobie prawo gry w finałach mistrzostw świata. Warto również przypomnieć, że był to nasz powrót po 16 latach do elity światowego futbolu.

Zaczęliśmy te eliminacje z wysokiego C, czyli od wygranej z Ukrainą na wyjeździe w stosunku 3:1. Potem „przysnęliśmy", stąd kilka remisów, które postawiły awans pod znakiem zapytania. W końcu jednak odzyskaliśmy prowadzenie w grupie. Wreszcie nadszedł arcyważny mecz z Norwegią u siebie, w którym wygrana dawała nam awans do finałów mistrzostw świata.

Do spotkania z Norwegią w Chorzowie przystąpiliśmy w pełni skoncentrowani, w dużej mierze dzięki trenerowi Jerzemu Engelowi, który perfekcyjnie wprowadził nas w to spotkanie. Na przedmeczowych treningach widać było, że cała drużyna jest w optymalnej formie. Nakreślając plan taktyczny, trener Engel zwrócił uwagę między innymi na organizację gry obronnej oraz zachowanie odpowiednich odległości między zawodnikami i poszczególnymi formacjami, tak aby skutecznie zastosować pressing. Podczas przygotowań do meczu na własną prośbę przedłużaliśmy treningi, doskonaląc niektóre z elementów taktyki. Atmosfera w drużynie była znakomita. Pamiętam, jak po wspólnych posiłkach nie rozchodziliśmy się, tylko długo rozmawialiśmy ze sobą przy kawie. Nie tylko o piłce.

Koniecznie trzeba również wspomnieć o niepowtarzalnej atmosferze Stadionu Śląskiego. To właśnie ona sprawiała, że zawodnicy nie potrzebowali żadnych dodatkowych bodźców

emocjonalnych. Na tym stadionie każdy dawał z siebie wszystko. Jeżeli zakłada się koszulkę z orzełkiem na Śląskim, to – nie powiem – łezka się w oku kręci. Pamiętam wiele spotkań reprezentacji, podczas których nasi kibice przebierali się za husarię. Czułem dreszcze na plecach i wiedziałem, że przez te 90 minut będę dla nich umierał na boisku.

Po zwycięskim meczu z Norwegami poszedłem do szatni, a w tym czasie chłopaki cieszyły się jeszcze na murawie. Emocje były naprawdę ogromne. Kibice świętowali wraz z kadrą – ci ludzie całkowicie utożsamiali się z drużyną narodową i jej sukcesem. Gdy wszyscy już wróciliśmy do szatni, przyszedł do nas Zbigniew Boniek. Widziałem w jego oczach olbrzymią radość. Pamiętam, jak powiedział: „Chłopaki, jedziecie na wielką imprezę. Ja już swoje zdobyłem, teraz kolej na was!".

Zdarzało mi się oglądać powtórki z tego meczu. Śmiało mogę powiedzieć, że pierwsza połowa była dosyć wyrównana. Później się rozkręciliśmy i zyskaliśmy przewagę, którą udokumentował gol Pawła Kryszałowicza w ostatniej minucie pierwszej odsłony i trafieniami Emmanuela Olisadebe i Marcina Żewłakowa w drugiej połowie. „Kocioł Czarownic" się zagotował. Oglądając to spotkanie, odnosi się wrażenie, że tamta ekipa była prawdziwym monolitem. Doskonale się rozumieliśmy i uzupełnialiśmy.

To był pierwszy oficjalny mecz polskiej reprezentacji, w którym wystąpiłem obok Tomka Wałdocha na środku obrony. Trener Engel zdecydował się na takie ustawienie zapewne dlatego, że wraz z Tomkiem zbieraliśmy wtedy bardzo dobre recenzje za grę w barwach Schalke 04 Gelsenkirchen. Również w meczu z Norwegią nie dopuszczaliśmy Skandynawów do groźnych sytuacji. Czy odczuwaliśmy przed spotkaniem stres? Absolutnie nie! Jeżeli ma się zawodników, którzy grają o najwyższe trofea za granicą, to jaki miał być stres? Przecież

w tej drużynie obok mnie i Tomka występowali zawodnicy o międzynarodowej marce.

Należałoby powiedzieć kilka słów o Jerzym Engelu. Był selekcjonerem, z którym zawsze można było porozmawiać. Nie dyskutowaliśmy z nim o pomyśle na grę, lecz nie wykonywaliśmy też jego poleceń na ślepo. Szanował zawodników tak, jak szanowano nas za granicą. Jego rola nie ograniczała się do selekcjonowania kadry. Był naszym partnerem, ale też niekwestionowanym szefem ekipy.

Blisko nas był wtedy również Zbigniew Boniek, który nie unikał rozmów z piłkarzami, udzielał nam naprawdę cennych wskazówek. Mieliśmy do siebie wzajemny szacunek. On – wielki piłkarz, my – na drodze do sukcesu. Polski futbol w tamtym okresie potrzebował sukcesu sportowego jak ryba wody. Daliśmy go, ale organizacyjnie dopiero raczkowaliśmy. Europa odjechała nam daleko. Wiadomo, że wynik sportowy w sposób decydujący wpływa na inne sprawy związane z daną dyscypliną. Jednak dzisiaj, z perspektywy czasu, patrzę na to z pełną pokorą i dumą.

TOMASZ HAJTO

Data i miejsce urodzenia: 16 października 1972 r., Maków Podhalański.

W reprezentacji Polski: 62 mecze, 6 goli.

Debiut: 27 sierpnia 1996, Polska – Cypr 2:2.

Osiągnięcia: uczestnik MŚ 2002. Członek Klubu Wybitnego Reprezentanta.

Kariera klubowa: Halniak Maków Podhalański, Góral Żywiec, Hutnik Kraków, Górnik Zabrze, MSV Duisburg (Niemcy),

Schalke 04 Gelsenkirchen (Niemcy),
1. FC Nürnberg (Niemcy), Southampton FC (Anglia),
Derby County (Anglia), ŁKS Łódź, Górnik Zabrze,
ŁKS Łódź, LUKS Gomunice.

Osiągnięcia: Puchar Niemiec (2001, 2002).

ANDRZEJ
IWAN

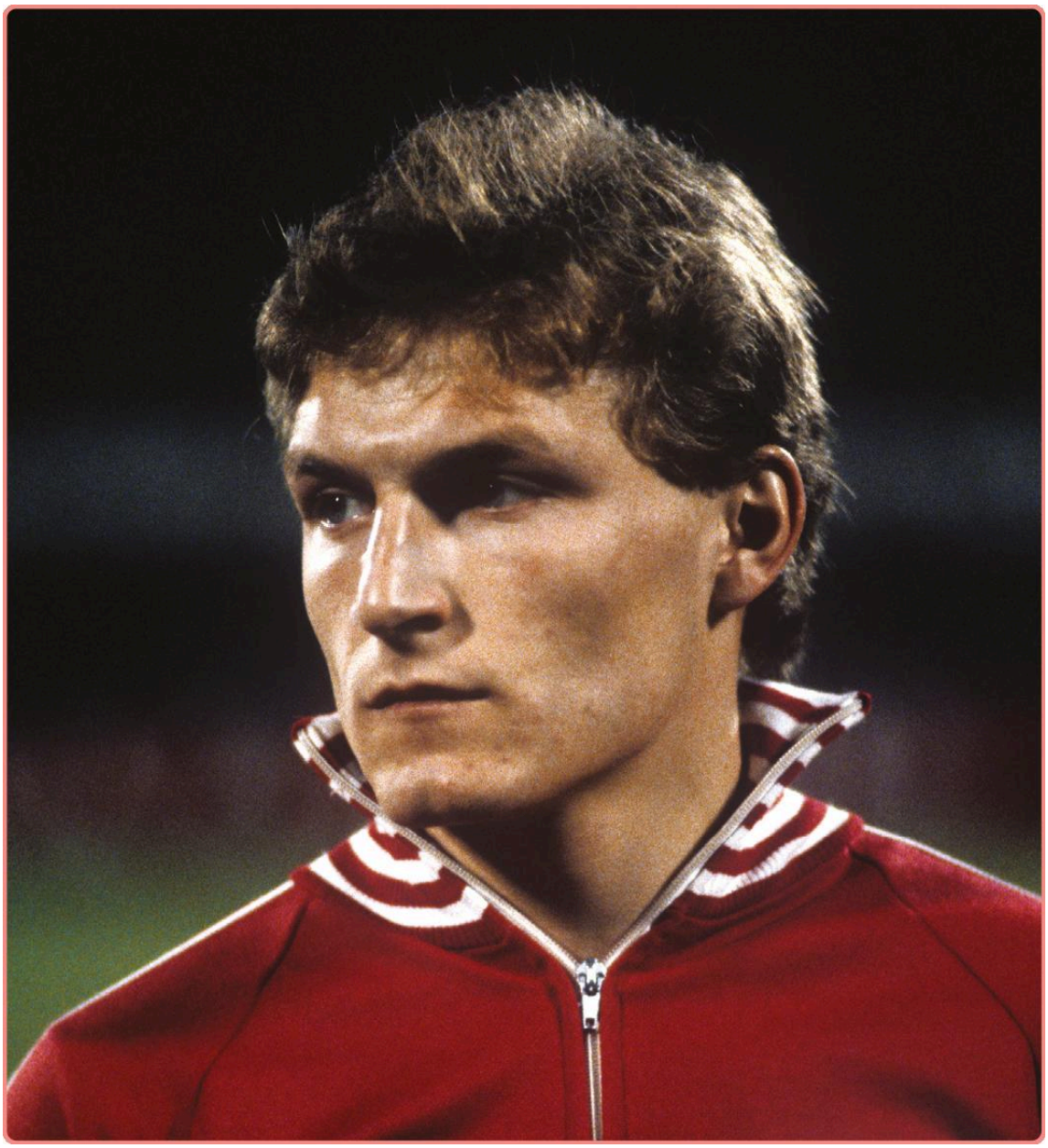

Fot. Peter Robinson / PA Images / Getty Images

ANDRZEJKU,
JAK SIĘ CZUJESZ?

12 listopada 1980, Barcelona
Hiszpania – Polska 1:2 (0:1)

Bramki: Dani 88. k. – Andrzej Iwan 19., 89.
Hiszpania: Luis Arconada – Genaro Celayeta, Miguel Tendillo, José Ramón Alexanko, Rafael Gordillo – Joaquín, Miguel Ángel Alonso Jesús María Zamora – Juanito (78. Dani), Santillana, Enrique Morán (78. Enrique Saura).
Polska: Józef Młynarczyk – Marek Dziuba (89. Edward Załężny), Paweł Janas, Władysław Żmuda, Adam Walczak (46. Wojciech Rudy) – Leszek Lipka, Piotr Skrobowski (72. Krzysztof Adamczyk), Zbigniew Boniek, Włodzimierz Ciołek – Andrzej Iwan, Włodzimierz Smolarek (46. Janusz Kupcewicz).
Żółta kartka: Młynarczyk.
Sędziował: Roger Schoeters (Belgia).

Brałem udział w finałach mistrzostw świata w 1978 i 1982 roku, na drugim z tych turniejów sięgnęliśmy nawet po medal, ale za swój najbardziej pamiętny mecz w narodowych barwach uznaję jednak towarzyskie starcie z Hiszpanią, wygrane 2:1, w którym dwukrotnie pokonałem bramkarza rywali. Mecz z Hiszpanią z całą pewnością był dla mnie spotkaniem wyjątkowym. To wciąż jak dotąd jedyny nasz triumf nad tą reprezentacją. Zdarzało się to na przykład w kwalifikacjach olimpijskich, nie były to jednak oficjalne mecze pierwszych zespołów narodowych. Nam w Barcelonie udało się odczarować tego rywala.

W tamtym czasie, nie wiedzieć czemu, reprezentacja Hiszpanii nie cieszyła się w kraju ogromnym zainteresowaniem. Hiszpański futbol rządził się wtedy swoimi prawami, na meczach ligowych stadiony były pełne, natomiast kadra narodowa nie przyciągała aż takich tłumów. Stąd też graliśmy na nieistniejącym już Estadio de Sarrià w Barcelonie, gdzie zresztą w 1982 roku swój udział w mistrzostwach świata zakończyła reprezentacja Brazylii. Obiekt był ulokowany wśród blokowisk, więc ludzie mieli możliwość oglądania spotkania z balkonów własnych mieszkań.

Niezależnie od tego magia reprezentacji Hiszpanii działała na wyobraźnię. Wybraliśmy się na mecz towarzyski, a trenerem naszej kadry był nieżyjący już niestety Ryszard Kulesza. Naszym głównym celem było zgrywanie reprezentacji Polski przed kwalifikacjami do mistrzostw świata w 1982 roku. Czas pokazał, że trener Kulesza nie miał okazji prowadzić kadry w rywalizacji o mundial. Cała drużyna bardzo go jednak szanowała, ponieważ był fantastycznym człowiekiem, który słuchał zawodników. Dzięki temu drużyna, jak i każdy z osobna, robiła wszystko, by mu pomóc. Tworzyliśmy świetny zespół.

W Hiszpanii trener nie musiał zbyt wiele mówić. Był z nami choćby Zbigniew Boniek, szykujący się powoli do zagranicznego wyjazdu. Kto wie, czy gdyby nie pewne uwarunkowania polityczne i współpraca Juventusu z Fiatem, który był produkowany w Polsce, Zbyszek nie trafiłby nawet do Realu Madryt. Przed wylotem do Barcelony odbyliśmy też fantastyczne tournée w Ameryce Południowej. Zagraliśmy z Brazylią, Kolumbią, Boliwią i reprezentacją… Amazonii. Pamiętam, że przywiozłem sobie na pamiątkę naszyjnik z drzewa sandałowego z piranią w środku. Inna sprawa, że nasza federacja honorarium za ten wyjazd, które wynosiło 20

tysięcy dolarów, otrzymała w… fałszywych banknotach. Później udało się to odkręcić, ale w pewnym momencie naszym przedstawicielom nie było do śmiechu.

W Ameryce Południowej mecze toczyliśmy w bardzo trudnych warunkach atmosferycznych, ale przeżycia były niesamowite. Trener Kulesza nie musiał nas za bardzo mobilizować, robiliśmy to sami. Dzięki takim zawodnikom, jak Zbyszek Boniek czy Władek Żmuda, byliśmy doświadczoną drużyną, choć uzupełnioną o młodzież. Ja w 1980 roku wracałem do reprezentacji Polski po ponad rocznej przerwie.

Moja współpraca z Ryszardem Kuleszą układała się fantastycznie, choć nie trwała zbyt długo. W efekcie „afery na Okęciu" trener złożył rezygnację z pełnionej funkcji. Dopóki jednak był selekcjonerem, darzył mnie dużym zaufaniem. Pozwolił mi też na sporo swobody na boisku, co było dla mnie ogromnie ważne. Zawsze byłem niepokorny, tak w życiu, jak i na murawie, więc szukałem sytuacji, które były dla mnie odpowiednie. A luz, który dostałem od trenera Kuleszy, znalazł swoje odzwierciedlenie także podczas meczu z Hiszpanią.

Wyszedłem na boisko w podstawowym składzie, ale w pierwszej połowie grałem fatalnie. Prowadziliśmy 1:0 po moim golu, ale wiem, że nie był to mój olśniewający występ, delikatnie mówiąc. W przerwie trener, który zawsze zdrabniał imiona, podszedł do mnie i zapytał: „Andrzejku, jak się czujesz?". Zdawałem sobie sprawę z faktu, że mimo zdobytej bramki jestem jednym z najsłabszych zawodników na boisku w naszym zespole, ale czułem, że to się może zmienić. Odpowiedziałem więc, że wszystko w porządku. Selekcjoner nie zdecydował się zdjąć mnie z boiska, choć widziałem, że miał na to ochotę. Postanowił mi jednak zaufać, a zmieniony został Włodek Smolarek.

Po przerwie rozegraliśmy bardzo dobre 45 minut. Tuż przed końcem do wyrównania z rzutu karnego doprowadził Dani. Zabrał piłkę i pobiegł z nią na środek boiska, bo Hiszpanie pragnęli za wszelką cenę zdobyć drugą bramkę. Nic z tego – to my rozegraliśmy bardzo dobrą, składną akcję, którą zakończyłem drugim golem. Pokonaliśmy Hiszpanów na ich terenie, po raz pierwszy i jak dotąd jedyny w historii polskiego futbolu. Zwłaszcza z perspektywy czasu było to kapitalne osiągnięcie, choć graliśmy przecież tylko towarzysko.

Po meczu wraz z Józkiem Młynarczykiem urwaliśmy się z hotelu i na chybił trafił weszliśmy do jednej z dyskotek. Okazało się, że był to jeden z najlepszych klubów w Barcelonie. Dziwnym trafem ochroniarze zaprowadzili nas do totalnie odizolowanej od reszty lokalu strefy. Weszliśmy do środka, a tam na kanapach siedziała spora część reprezentacji Hiszpanii – Jesús María Zamora, Juanito i inne gwiazdy kadry naszych rywali, wraz ze swoimi partnerkami. Zostaliśmy przez nich kapitalnie przyjęci. W ten sposób okazali nam szacunek za wygrany mecz – poczuliśmy się docenieni. Chyba zdawali sobie sprawę, że nie za bardzo nas stać na zabawę w takim lokalu, ale nie dali nam tego odczuć. Takie podejście spowodowało, że polubiłem Hiszpanię, którą uwielbiam do dziś.

ANDRZEJ IWAN

Data i miejsce urodzenia: 10 listopada 1959 r., Kraków.

W reprezentacji Polski: 29 meczów, 11 goli.

Debiut: 6 czerwca 1978, Tunezja – Polska 0:1.

Osiągnięcia: III miejsce MŚ 1982, uczestnik MŚ 1978.

Kariera klubowa: Wanda Kraków, Wisła Kraków, Górnik Zabrze, VfL Bochum (Niemcy), Górnik Zabrze, Aris Saloniki (Grecja), Górnik Zabrze, FC Azzurri (Szwajcaria), FC Pully (Szwajcaria), Kuchnie Izdebnik, Spartak Wielkanoc-Gołcza.

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (1978, 1986, 1987, 1988).

TOMASZ

IWAN

DEBIUTANT NA POTĘGĘ

16 sierpnia 1995, Paryż
Francja – Polska 1:1 (0:1)

Bramki: Youri Djorkaeff 87. – Andrzej Juskowiak 35.
Francja: Bernard Lama – Jocelyn Angloma (66. Christian Karembeu), Lilian Thuram, Frank Lebœuf (70. Youri Djorkaeff), Bixente Lizarazu – Didier Deschamps, Marcel Desailly, Vincent Guérin, Zinédine Zidane – Christophe Dugarry, David Ginola (64. Reynald Pedros).
Polska: Andrzej Woźniak – Tomasz Wałdoch, Jacek Zieliński, Tomasz Łapiński, Marek Koźmiński – Tomasz Iwan, Piotr Nowak (58. Ryszard Czerwiec), Roman Kosecki (73. Paweł Wojtala), Piotr Świerczewski – Andrzej Juskowiak, Wojciech Kowalczyk (62. Krzysztof Bukalski).
Żółte kartki: Guérin, Zidane – Zieliński, Iwan, Łapiński.
Czerwona kartka: Łapiński.
Sędziował: Manuel Díaz Vega (Hiszpania).

Moja kariera piłkarska mocno ruszyła do przodu, gdy zmieniłem klub na zagraniczny. Wyjeżdżałem z Warty Poznań jako nieznany zawodnik i zostałem graczem holenderskiej Rody Kerkrade. Wtedy niektórzy jeszcze nie przypuszczali, że trafię do reprezentacji Polski. Ja jednak nie traciłem nadziei, że wkrótce otrzymam powołanie do drużyny narodowej. Tymczasem w Holandii piąłem się po piłkarskiej drabince, a już w pierwszym sezonie wywalczyłem wicemistrzostwo kraju. Zdobywałem cenne doświadczenie, zaczęto doceniać mnie w rankingach, mediach, aż w końcu zaczęły rywalizować o mnie czołowe kluby holenderskie. Pojawiły się oferty

z Feyenoordu Rotterdam i PSV Eindhoven. Ostatecznie zakontraktował mnie Feyenoord – zostałem wówczas najdroższym polskim zawodnikiem.

Na upragnione powołanie czekałem do 24. roku życia. Trener Henryk Apostel zaprosił mnie na zgrupowanie reprezentacji Polski przed meczem z Francją w Paryżu. Mimo różnych problemów, z którymi borykał się zespół, panowała w nim bardzo dobra atmosfera. Zostałem bardzo fajnie przyjęty przez chłopaków, co szybko pozwoliło mi się zaaklimatyzować w nowej drużynie. Od razu złapałem kontakt z Piotrkiem Świerczewskim. Zaprzyjaźniliśmy się i do tej pory mamy świetne relacje. Do zespołu wprowadzał mnie ówczesny kapitan, czyli Roman Kosecki, prawdziwy i niekwestionowany autorytet w reprezentacji.

Nie byłem już młodym zawodnikiem i miałem swój bagaż doświadczeń, który zebrałem na Zachodzie. Swoją postawą na treningach zacząłem zdobywać sobie uznanie i szacunek chłopaków. Wysłałem sygnał, że mogę być ważnym ogniwem tej drużyny, a przede wszystkim, że będę mógł pomóc temu zespołowi w osiągnięciu lepszych wyników. Nie należałem do ludzi, którzy siedzą z boku i czekają na szansę. Byłem pewny siebie, odbyłem kilka treningów bez stresu i niepotrzebnych nerwów. Pokazałem, że przyjechałem jak po swoje. Można powiedzieć, że wszedłem do reprezentacji na 100 procent. Dostrzegł to trener Henryk Apostel i wydaje mi się, że poza dobrymi występami w klubie to właśnie moja postawa na zgrupowaniu była kluczowa.

Przeczuwałem, że będę miał szansę zadebiutować w spotkaniu z Francją na Parc des Princes. Nie spodziewałem się jednak, że wyjdę na plac gry od pierwszej minuty! Trener nie bał się jednak zaryzykować. Był przekonany, że jestem gotowy. Zapytał mnie, czy nie pękam przed tak silnym rywalem,

ale od razu wiedziałem, że dam radę. Przecież na taki moment czekałem całe życie. Dostać powołanie do reprezentacji Polski na taki mecz, zagrać z tak silnym przeciwnikiem, i to w dodatku na jego gorącym terenie, to spełnienie marzeń każdego piłkarza! Gdy w trykocie z orzełkiem na piersi stałem na murawie przed pierwszym gwizdkiem sędziego i słuchałem Mazurka Dąbrowskiego, przechodziło mi przez głowę wiele myśli. Przede wszystkim czułem dumę. Wiedziałem, że ogląda mnie cały kraj. Ja, chłopak z niewielkiej mieściny, z Ustki, znalazłem się w centrum piłkarskiego święta. Oglądali mnie rodzice, przyjaciele, znajomi, a nawet nauczyciele ze szkoły.

Oczywiste było, że będziemy mieli defensywne założenia na to spotkanie. Mieliśmy przecież zmierzyć się z przeciwnikiem ze światowego topu, z drużyną naszpikowaną gwiazdami. Zresztą mało kto mógłby się spodziewać, że to Polska będzie prowadziła grę w tym meczu. Każdy, kto widział to spotkanie, wie, że było ono dla nas niezwykle wymagające i trudne. Trzeba było biegać, harować i starać się nie popełniać błędów. Ja jednak czułem się znakomicie i wiedziałem, że rozgrywam bardzo dobry mecz. Byłem graczem o wysokiej wydolności, więc pokonywanie kolejnych metrów nie stanowiło dla mnie żadnego problemu. Zawsze było mnie wszędzie pełno. Moim zadaniem było pilnowanie prawej flanki i wracanie do kolegów z obrony. Ale umiałem też w odpowiednim momencie włączyć się do ataku i pomóc w ofensywie, co było moim dużym atutem.

Byliśmy skoncentrowani na obronie, a potem, w miarę możliwości, szukaliśmy szansy na kontratak. Właśnie po jednej z takich akcji udało nam się zdobyć bramkę. Wślizgiem odebrałem piłkę Zinédine'owi Zidane'owi, dograłem ją do Wojtka Kowalczyka, który podał do Andrzeja Juskowiaka i tak wyszliśmy na prowadzenie. Trudno opisać słowami, jak wielka euforia zapanowała w naszym zespole. Francuzi i kibice na

stadionie nie dowierzali w to, co widzą. Rywale jednak nie odpuszczali, dwoili się i troili, by zdobyć bramkę. Tamtego dnia jednak Andrzej Woźniak był w znakomitej dyspozycji i bronił prawie wszystko, co zmierzało w jego bramkę, a do tego w drugiej połowie obronił też rzut karny. Prawie każda jego parada była spektakularna. Interwencje „Księcia Paryża" tylko nas podkręcały. Jeszcze większej dramaturgii spotkaniu nadała czerwona kartka, którą ukarany został Tomasz Łapiński. Myślę, że to również podziałało na nas mobilizująco.

Podczas tej bijatyki z Francuzami spoglądaliśmy na zegar. Ile zostało? Dziesięć minut, pięć? Czuło się, że czas upływa, ale my motywowaliśmy się, żeby dociągnąć do końcowego gwizdka to, o co walczyliśmy od pierwszej minuty. Wierzyliśmy, że możemy dowieźć korzystny wynik, ale niestety tak się nie stało. W końcówce wyrównującego gola strzelili gospodarze i mecz zakończył się rezultatem 1:1. Ja sam nie odczuwałem jakiegoś wielkiego niedosytu, że nie udało nam się wygrać. Miałem świadomość, że remis jest sukcesem, a przed meczem brałbym taki wynik w ciemno. Patrząc na przebieg tamtego meczu, naszą grę w osłabieniu i multum sytuacji Francuzów pod naszą bramką, remis był dla nas bardzo dobrym rezultatem.

Cieszę się, że mogłem tamtego dnia zagrać w Paryżu. Śmiało mogę powiedzieć, że był to nie tylko mój najważniejszy, ale i najlepszy mecz w reprezentacji Polski. Każdy następny występ był oczywiście ważny, ale ten z Francją dał mi najwięcej satysfakcji. Cały czas miałem w głowie myśli, jak ciężką i wyboistą drogę musiałem pokonać, by trafić tam, gdzie się znalazłem.

Niestety, czegoś nam brakowało i jak wspomniałem na początku – reprezentacja Polski borykała się wtedy z wieloma problemami, które się skumulowały. Nie wyglądało to tak profesjonalnie jak obecnie. Pojawiały się problemy

organizacyjne, a często na kadrę zawodnicy musieli przyjeżdżać za własne pieniądze. Pamiętam spotkania z prezesem Marianem Dziurowiczem, który obiecywał nam premie, a kończyło się tylko na słowach. Brakowało też sprzętu, co jeszcze bardziej utrudniało nam przygotowania. W klubach mieliśmy zdecydowanie lepsze warunki niż na zgrupowaniach reprezentacji. Nie chcę mówić, że to zadecydowało, ale wydaje mi się, że był to jeden z powodów naszych niepowodzeń, bo gdzieś finalnie to wszystko się rozjeżdżało. Przyjeżdżając na reprezentację, nie czuło się, że jest się w tym „najważniejszym klubie", że o nic nie musisz się martwić. Tamte warunki w porównaniu z obecnymi to jak niebo a ziemia.

W karierze reprezentanta Polski zabrakło mi jedynie wyjazdu na mistrzostwa świata. Wiemy, w jakich okolicznościach to wszystko się niestety odbywało. Byłem podstawowym zawodnikiem, rozgrywałem mecze eliminacyjne, a nagle okazało się, że zabrało dla mnie miejsca w kadrze. Patrząc z perspektywy czasu na mój reprezentacyjny potencjał, to uważam, że był na pewno większy niż to, co osiągnąłem. Wszyscy wiemy, co wydarzyło się później na mundialu. Reprezentacja się posypała. Przed mundialem tworzyliśmy kolektyw, który był naszą siłą. Przeszliśmy przez eliminacje jak burza, dlatego niedosyt był tym większy. Zrekompensowała mi to praca w sztabie trenera Adama Nawałki. Pojechałem na mistrzostwa Europy i mistrzostwa świata, ale już w innej roli...

TOMASZ IWAN

Data i miejsce urodzenia: 12 czerwca 1971 r., Słupsk.

W reprezentacji Polski: 40 meczów, 4 gole.

Debiut: 16 sierpnia 1995, Francja – Polska 1:1.

Kariera klubowa: Jantar Ustka, Gryf Słupsk, Olimpia Poznań, ŁKS Łódź, Warta Poznań, Roda JC Kerkrade (Holandia), Feyenoord Rotterdam (Holandia), PSV Eindhoven (Holandia), Trabzonspor Kulübü (Turcja), RBC Roosendaal (Holandia), Austria Wiedeń (Austria), Admira Wacker Mödling (Austria), Lech Poznań.

Osiągnięcia: mistrzostwo Holandii (2000, 2001).

PAWEŁ

JANAS

MOKRE PRZEŚCIERADŁA I SEKRETARZ

10 lipca 1982, Alicante
Polska – Francja 3:2 (2:1)

Bramki: Andrzej Szarmach 41., Stefan Majewski 45., Janusz Kupcewicz 47. – René Girard 13., Alain Couriol 72.
Polska: Józef Młynarczyk – Marek Dziuba, Władysław Żmuda, Paweł Janas, Stefan Majewski – Grzegorz Lato, Waldemar Matysik (46. Roman Wójcicki), Janusz Kupcewicz, Andrzej Buncol – Zbigniew Boniek, Andrzej Szarmach.
Francja: Jean Castaneda – Manuel Amoros, Marius Trésor, Gérard Janvion (64. Christian Lopez), Philippe Mahut – Jean Tigana (82. Didier Six), Jean-François Larios, René Girard, Gérard Soler – Bruno Bellone, Alain Couriol.
Żółte kartki: Buncol, Wójcicki – Soler.
Sędziował: António José da Silva Garrido (Portugalia).

Po medal mistrzostw świata nie sięga się codziennie. Ja miałem szczęście być częścią reprezentacji Polski, która zdołała znaleźć się w najlepszej trójce mundialu w 1982 roku. Hiszpańskie boiska dały nam szczęście, którego nigdy nie zapomnimy. Dlatego za swój najważniejszy mecz rozegrany w narodowych barwach uznaję spotkanie przeciwko Francji, którego stawką było trzecie miejsce na świecie.

Z Francuzami potyczkowaliśmy się w Alicante. Nasi rywale mieli za sobą morderczy bój półfinałowy, w którym po dogrywce i serii rzutów karnych ulegli ostatecznie reprezentacji Republiki Federalnej Niemiec. Ja natomiast miesiąc po mundialu miałem wyjechać właśnie do Francji, by grać dla AJ Auxerre. Wygrana z reprezentacją tego kraju miała

więc dla mnie dodatkowe znaczenie, bo byłem zupełnie inaczej – dużo lepiej – postrzegany w nowym klubie.

W półfinale nie sprostaliśmy Włochom, z którymi mierzyliśmy się też w fazie grupowej. Wówczas padł remis 0:0 i liczyliśmy, że tym razem to my będziemy górą. Brakowało nam jednak w zespole Zbyszka Bońka, który musiał pauzować za obejrzane wcześniej żółte kartki. Wydawało się, że trener Antoni Piechniczek w jego miejsce postawi na Andrzeja Szarmacha. I rzeczywiście, na murawę wybiegł Andrzej, tyle że Pałasz, i to dopiero w drugiej połowie. Myślę, że „Diabeł" mógłby przydać się nieco bardziej, bo potrzebowaliśmy wtedy silnego napastnika. Włosi obawiali się Szarmacha, pamiętali go jeszcze z mundialu z 1974 roku. Selekcjoner podjął jednak wtedy inną decyzję.

Po spotkaniu półfinałowym byliśmy wkurzeni, bo zdawaliśmy sobie sprawę, że stać nas było na zwycięstwo. Rozkręcaliśmy się wtedy z meczu na mecz. Początek mistrzostw nie był zbyt imponujący. Dwa bezbramkowe remisy nie napawały wielkim optymizmem. Dopiero w trzecim spotkaniu, przeciwko Peru, worek z bramkami się rozwiązał. Ograliśmy jeszcze bardzo pewnie Belgię, zremisowaliśmy z ZSRR i znaleźliśmy się w gronie czterech najlepszych zespołów na świecie.

Andrzej Szarmach wyszedł na murawę dopiero w meczu z Francją i od razu wpisał się na listę strzelców. W ogóle bramki dla nas w tym spotkaniu zdobyli zawodnicy wszystkich formacji – obrońca Stefan Majewski, pomocnik Janusz Kupcewicz i właśnie Andrzej.

W Alicante panowała cholernie wysoka temperatura. Nawet gdy chcieliśmy wykąpać się w basenie, nie było możliwości do niego wejść, bo woda niemal wrzała – przypominało to gar gorącej zupy. Jedynym pozytywem była klimatyzacja w hotelu,

bo wcześniej – w Barcelonie – nie mieliśmy nawet tego. Stadion jednak już klimatyzacji nie miał i doszło do tego, że podczas meczu z Francuzami niesamowicie mocno odwodnił się Waldek Matysik.

Po naszych dwóch remisach na starcie fazy grupowej wszyscy myśleli, że nie przejdziemy do dalszego etapu mundialu, więc nikt nie poczynił starań, by zarezerwować dobry hotel. Gdy wygraliśmy z Peru, okazało się, że najlepsze obiekty są już dawno pozajmowane. Choć klimatyzacja działała, i tak było niesamowicie gorąco. Nie mogliśmy spać, staraliśmy się chłodzić mokrymi prześcieradłami, ale niewiele to pomagało. Połowa z nas paliła, więc dużo czasu spędzaliśmy na balkonach z fajkami. Nie przeszkodziło nam to jednak w osiągnięciu sukcesu.

Po meczu z Francją nie brakowało zgrzytów. Zaczęło się od ceremonii „wręczenia" medali. Nikt ich nam nie założył na szyje. Organizatorzy po prostu przekazali tacę z krążkami naszemu kapitanowi, Władkowi Żmudzie, który rozdał je całej drużynie. Potraktowano nas w bardzo lekceważący sposób. Może był to efekt tego, co działo się na scenie politycznej w naszym kraju? Przecież przed mundialem nikt nie chciał grać z nami nawet meczów towarzyskich. To też odbiło się na statystyce moich meczów w kadrze. Występowałem w niej przez tyle lat, a spotkań zebrało się 53.

Później ruszyliśmy do Madrytu, gdzie mieliśmy zobaczyć finał mundialu, w którym mierzyli się Niemcy i Włosi. Doszło jednak do bardzo nieprzyjemnej sytuacji, bo okazało się, że nie ma dla nas biletów. Ostatecznie decydującą rozgrywkę musieliśmy oglądać w telewizji.

Dziś profesjonalni piłkarze mają znacznie lepiej. W naszych czasach jeździliśmy na zgrupowania do Wisły, gdzie biegaliśmy po górach. Zdobyliśmy chyba wszystkie szczyty w okolicy. Miało

to niewiele wspólnego z piłką, ale byliśmy znakomicie przygotowani fizycznie, co w hiszpańskim klimacie też miało swoje znaczenie. Wspólny wysiłek budował też atmosferę i jedność zespołu.

Zajmując trzecie miejsce na mistrzostwach świata w Hiszpanii, dorównaliśmy osiągnięciu drużyny Kazimierza Górskiego z 1974 roku. Gdy wróciliśmy do kraju po dwóch miesiącach nieobecności, każdy z nas chciał jak najszybciej dotrzeć do domu, by spotkać się z bliskimi. Musieliśmy jednak jeszcze zameldować się w hotelu, bo następnego dnia przyjmował nas I sekretarz PZPR. Czekaliśmy, a spotkanie trwało jakieś trzy minuty. Powiedział dwa słowa, podał nam rękę i to wszystko. Szkoda było zachodu. My do kraju wróciliśmy, ale sporo kibiców, którzy wybrali się na mundial, wybrało inne rozwiązanie. Do Polski wracały puste autokary, bo ludzie decydowali się pozostać na Zachodzie...

PAWEŁ JANAS

Data i miejsce urodzenia: 4 marca 1953 r., Pabianice.

W reprezentacji Polski: 53 mecze, 1 gol.

Debiut: 24 marca 1976, Polska – Argentyna 1:2.

Osiągnięcia: III miejsce na MŚ 1982. Członek Klubu Wybitnego Reprezentanta.

Kariera klubowa: Włókniarz Pabianice, Widzew Łódź, Legia Warszawa, AJ Auxerre (Francja), Legia Warszawa.

Osiągnięcia: Puchar Polski (1980, 1981).

MARIUSZ
JOP

Fot. Clive Rose / Getty Images

CZAPKI Z GŁÓW PRZED „KRZYNKIEM”

8 września 2007, Lizbona
Portugalia – Polska 2:2 (0:1)

Bramki: Maniche 50., Cristiano Ronaldo 74. – Mariusz Lewandowski 43.,
Jacek Krzynówek 88.
Portugalia: Ricardo – José Bosingwa, Bruno Alves, Fernando Meira, Caneira (14. Luis Miguel) – Simão Sabrosa (82. João Moutinho), Petit, Deco,
Maniche, Cristiano Ronaldo – Nuno Gomes (70. Ricardo Quaresma).
Polska: Artur Boruc – Marcin Wasilewski, Mariusz Jop, Michał Żewłakow,
Grzegorz Bronowicki (56. Paweł Golański) – Jakub Błaszczykowski, Mariusz Lewandowski, Jacek Krzynówek, Dariusz Dudka,
Euzebiusz Smolarek (75. Wojciech Łobodziński) – Maciej Żurawski (57. Radosław Matusiak).
Żółte kartki: Boruc, Wasilewski, Bronowicki.
Sędziował: Roberto Rosetti (Włochy).

W kadrze narodowej rozegrałem 27 spotkań. Jeśli miałbym wskazać moje najważniejsze 90 minut w biało-czerwonych barwach, to byłby to mecz eliminacji EURO 2008 w Lizbonie przeciwko reprezentacji Portugalii w 2007 roku. Do tego spotkania przystępowaliśmy z czteropunktową przewagą nad ekipą Luiza Felipe Scolariego, więc naszym głównym celem było utrzymanie przewagi. Wiadomo było, że to starcie będzie dla nas bardzo trudne. Byliśmy liderami grupy, a Portugalia miała nóż na gardle i musiała wygrać, by zmniejszyć do nas dystans i zachować szanse na awans.

W naszym zespole mieliśmy problemy zdrowotne. Przede wszystkim kontuzjowany był Jacek Bąk, odgrywający w tamtym czasie pierwszoplanową rolę na środku obrony. Dla wszystkich wielką niewiadomą było to, kto go zastąpi. Byłem jednym z kandydatów do wyjścia w podstawowej jedenastce, więc ogromnie się ucieszyłem, gdy trener Leo Beenhakker zdecydował się zaufać właśnie mnie.

Ze względów logistycznych zgrupowanie odbywało się we Frankfurcie. Mieliśmy stamtąd wygodne połączenia lotnicze. Drugim powodem takiego rozwiązania, który wydaje mi się zresztą ważniejszy, było to, że trener chciał z nas zdjąć presję i oddalić od tego całego zainteresowania, które towarzyszy kadrze narodowej w przypadku tak ważnych spotkań. Selekcjonerowi zależało, aby odciąć się od całego świata – mediów, ale także kibiców.

Jak wspomniałem, skład linii obrony na ten mecz był dla nas wielką niewiadomą. W reprezentacji nie byłem podstawowym zawodnikiem, ponieważ w tym czasie na środku obrony świetnie spisywali się Jacek Bąk z Michałem Żewłakowem. Dla mnie zresztą już powołanie do kadry było ogromnym wyróżnieniem. Byłem jednak dobrze dysponowany i czułem to na treningach, więc miałem świadomość, że jestem blisko pierwszego składu, ale nie mogłem mieć stuprocentowej pewności, że wyjdę na murawę. A dobro całej reprezentacji znaczyło dla mnie zawsze więcej niż osobiste ambicje.

Na początku zgrupowania sztab medyczny pracował nad regeneracją poszczególnych piłkarzy. Chłopaki zjeżdżały się po meczach ligowych, które były rozgrywane w weekend. Dlatego pierwsze dwa dni w większości były poświęcane na odnowę biologiczną, a w kolejnych – jak to u Beenhakkera – dostawaliśmy małe partie informacji o przeciwniku. Trener uświadamiał nam, czego można spodziewać się po ekipie Luiza

Felipe Scolariego, prezentował też przypuszczalny skład Portugalczyków. Potem były zajęcia taktyczne, polegające na przygotowaniu schematów ustawienia zawodników w polu.

Leo preferował taktykę, według której na swojej połowie drużyna powinna zawsze grać szybko i prosto. Nie oznacza to jednak wykopywania piłki byle gdzie. Słowo „prosto" w jego słowniku było synonimem gry bez ryzyka. Jeżeli chodzi o ofensywę, powiedzmy 30–40 metrów od bramki, Beenhakker zostawiał nam bardzo dużo swobody w kreowaniu akcji indywidualnych. Co do defensywy założenia były takie, że boczni obrońcy mają starać się szukać „dziewiątki" czy „dziesiątki", czyli najbardziej wysuniętego zawodnika w polu. Mieliśmy też dużo piłkarskiego abecadła, w formie regeneracyjnej i na niskiej intensywności. Ćwiczyliśmy najprostsze zagrania, czyli mocne podania dołem, wyjście na pozycję i tym podobne. W treningu piłkarskim te elementy są niezwykle ważne. Leo był zwolennikiem małych gierek, na utrzymanie piłki. Akcentował, by w ofensywie szukać bocznego obrońcy.

Mieliśmy świadomość, że będziemy grać z wicemistrzami Europy, drużyną naszpikowaną wartymi miliony euro gwiazdami. Jeszcze raz jednak okazało się, że nazwiska nie grają. Zresztą już w pierwszym meczu w Chorzowie reprezentacja Polski pokazała, że nie taka Portugalia straszna, jak ją malują. Nigdy nie koncentrowałem się na nazwiskach. Piłkarze z wielkimi nazwiskami to przecież też ludzie i… popełniają błędy.

Niepodważalne było to, że w meczu z nami Portugalczycy są murowanymi faworytami. Grali u siebie, a do tego sytuacja w tabeli sprawiała, że potrzebowali zwycięstwa za wszelką cenę. Wiedzieliśmy, że przed nami twardy orzech do zgryzienia.

Przeciwko tak znakomicie wyszkolonym zawodnikom trzeba grać mądrze, sposobem, odpowiedzialnie się asekurując.

Podczas tego spotkania na własnej skórze przekonałem się, jak wielkie nazwiska mają wpływ na decyzje sędziów. W kilku sytuacjach Cristiano Ronaldo wymuszał rzuty wolne i sędziowie dawali się na to nabierać. Pamiętam do dziś, że w pierwszej połowie arbiter odgwizdał mój faul na portugalskim gwiazdorze, choć w ogóle go nie dotknąłem! Moja noga była od jego stopy w odległości przynajmniej 30 centymetrów! „Panie sędzio, jaki faul!?" – wykrzyknąłem. Na szczęście dla mnie, obyło się bez konsekwencji.

Sędzia nadskakiwał Ronaldo nawet w przerwie meczu. Starał się nawiązać z nim kontakt. Rozmawiał, poklepywał, uśmiechał się – może chciał zdobyć koszulkę Cristiano? Nie chcę, by to zabrzmiało tak, że sędziowie bywają stronniczy, bo jestem od tego daleki; chodzi mi o to, że największe gwiazdy mają niewątpliwy wpływ na decyzje arbitrów.

Wraz z pierwszym gwizdkiem liczyło się jednak tylko to, co dzieje się na boisku. W 43. minucie Mariusz Lewandowski strzelił gola na 1:0. Mieliśmy świadomość, co może się dziać w drugiej połowie. Było pewne, że rywale ruszą na nas z impetem. Raz, że grali u siebie, a dwa, że mieli w swych szeregach znakomitych ofensywnych zawodników. W 50. minucie nasze obawy się potwierdziły. Bramkę wyrównującą zdobył Maniche. Można powiedzieć, że gola straciliśmy po dość prostym błędzie. Z lewej strony Deco posłał prostopadłe podanie do Nuno Gomesa. „Żewłak" nie trafił w piłkę, zrobiło się zamieszanie, do futbolówki dopadł Maniche i wyrównał. A wystarczyło zostawić Gomesa na spalonym i byłoby po akcji…

W 74. minucie straciliśmy kolejną bramkę. Ryk portugalskich kibiców rozrywał Estádio da Luz. Tym razem naszym katem okazał się Cristiano Ronaldo, który strzelił niesamowitego gola.

Był dosyć mocno odchylony na lewej nodze i w ekwilibrystyczny sposób pokonał Boruca, który nie zdołał sięgnąć piłki. Ronaldo pokazał klasę, a my niestety popełniliśmy błąd w ustawieniu. W tej sytuacji zabrakło nam przesunięcia linii obrony i agresywnego wyjścia do przeciwnika.

Wydawało się, że stoimy na straconej pozycji. Teraz to my musieliśmy postawić wszystko na jedną kartę – zagrać odważniej w ofensywie, nie zapominając jednak o tym, że Portugalczycy słyną z zabójczych kontrataków. Gdy wszyscy już zaczęli dopisywać trzy punkty gospodarzom, do piłki dopadł Jacek Krzynówek. I to, co zrobił, przechodzi ludzkie pojęcie: długo holował piłkę przy nodze i szukał kolegów lepiej ustawionych od siebie, ale gdy Portugalczycy zostawili mu odrobinę wolnego miejsca, zdecydował się na oddanie strzału. Gol! 2:2!

Z mojej perspektywy wyglądało to tak, że piłka od razu wpadła do bramki, ale tak naprawdę futbolówka odbiła się od słupka, potem od pleców Ricardo i wtoczyła się do siatki. Coś niesamowitego! Gdy po latach odświeżam sobie ten mecz i widzę tego gola, wciąż przechodzą mnie dreszcze. Ta bramka sprawiła mi dużą radość, zresztą jak nam wszystkim. Raz, że to była bardzo nietypowa bramka, dwa – w tak bardzo trudnym spotkaniu, a trzy – w samej końcówce! Naprawdę świetny gol i rzadko spotykany. Czapki z głów, Jacek!

To był dla nas zwycięski remis. Naszym celem było zachować stan sprzed tego meczu, czyli czteropunktową przewagę nad Portugalią. I ta sztuka się nam udała. Punkt zdobyty na bardzo trudnym terenie w pełni nas satysfakcjonował. Nie pamiętam dokładnie, co powiedział nam po meczu Leo, ale na pewno padło wtedy jego tradycyjne good job, bo Holender bardzo lubił to sformułowanie. Była wielka radość, ale też myślenie, że to

tylko jeden z kolejnych kroków do tego, by awansować na mistrzostwa Europy.

Trenerowi należy się kilka osobnych słów. Zapamiętam go jako autorytet. Nie tylko ze względu na to, gdzie pracował wcześniej, lecz także przez to, jak się do nas odnosił. Każdy z nas mógł z nim szczerze porozmawiać. Uczciwie odpowiadał na wszystkie pytania, które mu się zadawało. Nie był mówcą, bo jego odprawy nie były długie, ale mówił za to bardzo treściwie. Słuchało się go z otwartą głową. Potrafił zmieniać tonację głosu, był otwarty i mówił jasno, więc jego komunikaty docierały do każdego z nas. Po prostu chciało się go słuchać i mu się wierzyło. To był typ trenera-partnera. Podchodził ze zrozumieniem do każdego z nas. Nawet gdy zdarzały nam się błędy w meczach, bo taka jest piłka, to było widać, że on to rozumie i wie, co czuje zawodnik. Przynajmniej ja tak to odbierałem i odbieram.

MARIUSZ JOP

Data i miejsce urodzenia: 3 sierpnia 1978 r., Ostrowiec Świętokrzyski.

W reprezentacji Polski: 27 meczów, 0 goli.

Debiut: 30 kwietnia 2003, Belgia – Polska 3:1.

Osiągnięcia: uczestnik MŚ 2006, ME 2008.

Kariera klubowa: KSZO Ostrowiec Świętokrzyski, Wisła Kraków, Widzew Łódź, Wisła Kraków, FK Moskwa (Rosja), Wisła Kraków, Górnik Zabrze.

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (2001, 2003, 2004), Puchar Polski (2002, 2003).

ANDRZEJ
JUSKOWIAK

Fot. Stu Forster / Allsport / Getty Images

SKRADZIONE WSPOMNIENIE

15 października 1991, Bydgoszcz
Polska – Irlandia 2:0 (0:0)

Bramki: Andrzej Juskowiak 79., 89.
Polska: Arkadiusz Onyszko – Tomasz Wałdoch, Tomasz Łapiński, Marek Koźmiński – Dariusz Adamczuk (35. Tomasz Wieszczycki), Dariusz Gęsior, Jerzy Brzęczek,
Piotr Świerczewski, Ryszard Staniek – Adam Grad (69. Andrzej Juskowiak),
Grzegorz Mielcarski.
Irlandia: Brian McKenna – David McDonald (46. Barry O'Connor), Scott Fitzgerald, Anthony McCarthy, Jeff Kenna – Matthew Rush (69. Kieran Michael Toal),
Fergus O'Donoughe, David Collins, Liam Dunne – Anthony Cousins, Vincent Arkins.
Żółte kartki: O'Donoughe, Rush.
Sędziował: Kaj Østergaard (Dania).

Mój najważniejszy mecz w reprezentacji, choć właściwie młodzieżowej, trwał tak naprawdę... 20 minut. Pod wodzą trenera Janusza Wójcika walczyliśmy o wyjazd na młodzieżowe mistrzostwa Europy i przepustkę na igrzyska olimpijskie w Barcelonie. Grupę eliminacyjną przeszliśmy jak burza, bo wygraliśmy wszystkie sześć meczów i miałem w tym spory udział. I dlatego nie finał w Barcelonie z Hiszpanią, nie mecze eliminacyjne w pierwszej drużynie biało-czerwonych, a potyczka z Irlandczykami w młodzieżówce jest dla mnie wyjątkowa. Uważam, że mecz w Bydgoszczy w 1991 roku zmienił bieg mojej kariery. Zaproszono mnie po nim na testy do

PSV Eindhoven, ale finalnie zostałem zakontraktowany przez portugalski Sporting Lizbona.

Do meczu z Irlandią w eliminacjach młodzieżowych mistrzostw Europy przystępowaliśmy po pasmach sukcesów. Ograliśmy Anglików na wyjeździe, Turków u nich i u siebie. Czekał nas mecz z Irlandią w Bydgoszczy. Czułem się dobrze przygotowany i myślałem, że jestem pewniakiem do wyjściowego składu, ale stało się zupełnie inaczej. Ku mojemu zdziwieniu, zamiast grać od pierwszej minuty, wylądowałem na ławce rezerwowych. Byłem zły na trenera, kompletnie nie rozumiałem jego decyzji. Tym bardziej że prezentowałem wysoką formę, byłem po prostu w gazie. Czego dotknąłem, to wpadało do siatki. Może też niepotrzebnie pokazywałem swoją frustrację, bo zdarzało mi się nerwowo odkopnąć piłkę. Trener na pewno widział, że nie byłem zadowolony.

Janusz Wójcik w meczu z Irlandczykami wpuścił mnie na boisko dopiero w 70. minucie. Pokazałem sportową złość i zacięcie. Zameldowałem się na placu gry przy bezbramkowym remisie i strzeliłem dwa gole. Wówczas poczułem się bardzo pewnym punktem młodzieżowej reprezentacji Polski. Z perspektywy czasu, patrząc na moją karierę w drużynach narodowych, te 20 minut okazały się przełomowe. Gdybym nie zdobył tych dwóch bramek z Irlandią, nie wiem, czy byłyby kolejne, wszystko bowiem mogłoby potoczyć się zupełnie inaczej…

Po tym meczu trener mówił, że zadziałał psychologicznie. Posadził mnie na ławce rezerwowych, więc byłem niezadowolony z tej decyzji, a potem odmieniłem losy spotkania. Jego zdaniem wyszło to super. Po fakcie rzeczywiście można ułożyć z tego niezłą historię. Pamiętam, że dla najlepszego zawodnika tego meczu firma Romet ufundowała rower. Dostałem składaka i ktoś wymyślił, że mam przejechać

się nim wokół boiska. Problem w tym, że koła nie były napompowane, ale wykonałem zadanie i zrobiłem jedno okrążenie.

Trener Wójcik nie miał zwyczaju tłumaczyć się ze swoich decyzji odnośnie do składu, dlatego nie wiem, dlaczego posadził mnie na ławce. Od początku postawił na Grześka Mielcarskiego i świętej pamięci Adama Grada. Na stałe wskoczyłem do składu dopiero później. Wcześniej zdarzyło mi się na przykład oglądać spotkanie z Turcją z trybun. Dużo spekulowano na ten temat i mówiono, że miałem złe relacje z trenerem Wójcikiem, bo podobno podczas zgrupowania dogadywałem transfer do innego klubu, mimo że szkoleniowiec wydał zakaz rozmów w hotelu z agentami. Według niektórych trybuny miały być dla mnie karą za złamanie zasad, ale tego nie mogę potwierdzić.

Tak naprawdę w kadrze mieliśmy naprawdę sporą konkurencję. Między nami, napastnikami, nie było jakichś animozji, tylko sportowa rywalizacja. Każdy chciał grać. Trener Wójcik zdecydował więc, że w meczu z Turkami postawi na napastników, którzy mieli inne atuty. Adam Grad był szybkim zawodnikiem, umiejącym rozerwać obronę rywala, z kolei Grzesiek świetnie grał tyłem do bramki. Przydawał się w trudnych meczach, a przecież grupę mieliśmy naprawdę wymagającą. Ograć Anglików, Irlandczyków i Turków – to był niewątpliwy sukces.

Naszą drużynę budowały wyniki. Znaliśmy się od dawna, ale zespół rósł w siłę, gdy odnosił zwycięstwa. Wszystko zaczęło się po pierwszym meczu z Anglikami. Wygraliśmy 1:0, a jeśli taki rezultat nie stworzy kolektywu, to chyba już żaden inny wynik tego nie zrobi. Dostaliśmy bodziec, pozytywny impuls, jakiego wcześniej nie otrzymaliśmy. Umieliśmy pokazywać charakter, wygrywając wszystkie mecze eliminacyjne. Awansowaliśmy na

młodzieżowe mistrzostwa Europy, byliśmy na najlepszej drodze do zrobienia karier.

Po wyjściu z grupy byliśmy jeszcze w grze o młodzieżowe mistrzostwa Europy. Niestety, trafiliśmy na nieszczęsnych Duńczyków. Pierwszy mecz zakończył się całkowitą klęską. Może cała otoczka podziałała na nas negatywnie, a może byliśmy przetrenowani? Obciążenia były bowiem bardzo duże. Wiedzieliśmy, że przed nami trudne spotkanie. Duńczycy byli wybieganym zespołem, grającym bardzo wysoko. Mieliśmy być bardzo dobrze przygotowani, ale wyjazdowe spotkanie zakończyło się fiaskiem. Brakowało nam świeżości, nie graliśmy już z takim rozmachem. Atak stanowił wcześniej naszą siłę, a w tamtym spotkaniu nie mogliśmy się rozpędzić. Byliśmy jacyś ociężali. Dodatkowo skrzydła podcięła nam kontuzja Alka Kłaka. Zanim wchodzący za niego Arek Onyszko zdążył się rozgrzać, było już po wszystkim.

Nie pomagało nam też zachowanie oficjeli w samolocie, którzy jedną nogą byli już na igrzyskach olimpijskich. Wokół tej reprezentacji za dużo się działo, było za dużo teatru. Nie byliśmy do tego przyzwyczajeni i wszystko się skomplikowało. Ostatecznie w Danii dostaliśmy potężne lanie – straciliśmy pięć bramek, nie strzeliliśmy żadnej. Zdawaliśmy sobie sprawę, że zawaliliśmy po całości – tego wyniku nie dało się już odrobić. Rewanżowe spotkanie z Duńczykami udało nam się zremisować i w dwumeczu skończyło się na 1:6. Remis w Zabrzu po moim golu dał nam jednak awans na igrzyska olimpijskie. Przepustkę zapewniły wyniki z meczów eliminacyjnych, bo zadecydował współczynnik punktów ze wszystkich meczów.

Nikt z nas nie bujał w obłokach, bardziej myśleliśmy o kolejnym meczu. Napędzała nas sportowa rywalizacja. To było widać po strzelanych przez nas golach. Nawet Alek Kłak

potrafił przebiec kilkadziesiąt metrów, by do nas dołączyć. Stanowiliśmy jedność, cieszyliśmy się razem. Każdy walczył od pierwszej minuty, bo występował dla reprezentacji Polski. Nie było jednak prosto zebrać ludzi o takich charakterach. Dużą rolę odegrał tu trener. Mocno przysłużył się nam też Jerzy Brzęczek, nasz ówczesny kapitan. Miał cechy, które potrzebne są dobremu kapitanowi. Potrafił tonować nastroje, ale też podostrzyć atmosferę, żeby nie było zbyt sielankowo. Czuliśmy przed nim respekt, miał posłuch w szatni. Jego autorytet był dla nas niekwestionowany. Stanowił przykład dla nas wszystkich. Gdy coś powiedział, musieliśmy to zaakceptować, nie było żadnej dyskusji.

Powołanie do olimpijskiej reprezentacji Polski wszyscy traktowali jako coś wyjątkowego. Każdy z nas czuł się wyróżniony, gdy mógł stawić się na zgrupowaniu. A trener miał w czym wybierać, bo mieliśmy znakomitą generację piłkarzy. Janusz Wójcik dysponował kadrą zawodników o wysokich umiejętnościach indywidualnych. Koniecznie muszę wspomnieć, jak o nas dbano. Stworzono nam bardzo dobre warunki, nawet lepsze niż w pierwszej kadrze. Wyjazdy, obozy, sprzęt sportowy… Dostawaliśmy buty, o których wcześniej mogliśmy pomarzyć. Jeździliśmy na zgrupowania do Malezji czy Niemiec. Zapewniono nam świetną infrastrukturę z bazą i boiskami. Do tego przepyszne jedzenie. Niektóre chłopaki żartowały nawet, że trzeba się bardziej pilnować, żeby nie przybrać na wadze.

Na igrzyska olimpijskie do Hiszpanii w 1992 roku wyjeżdżaliśmy w przekonaniu, że jesteśmy dobrze przygotowani. Nie było takich założeń, że planem jest wyjście z grupy, awans do kolejnych faz turnieju czy medal. Owszem, znaliśmy swoją wartość i wiedzieliśmy, że jeśli będziemy grać na swoim poziomie, to możemy zajść daleko. Wszystko było

sprawą otwartą. Dla nas wyjazd do Hiszpanii był ogromnym wydarzeniem, kiedyś bowiem nie jeździło się za granicę tak często jak teraz.

Igrzyska były dla nas nagrodą za ciężko przepracowany czas. Po meczu z Włochami poczuliśmy, że możemy zrobić coś więcej niż tylko wyjść z grupy. Moim zdaniem każda drużyna, która osiąga sukces, ma przełomowy mecz na turnieju. Albo wygra nieoczekiwanie z faworytem, albo zwycięży po słabym spotkaniu, bo ktoś zrobi różnicę. Dla nas było to starcie z Włochami. Byliśmy bardziej skoncentrowani, pokazaliśmy jakość. W moim przekonaniu pokonaliśmy zespół o wiele silniejszy, zdecydowanego faworyta. To nas zbudowało, poczuliśmy się mocniejsi, pewniejsi, lepsi, dzięki czemu ostatecznie awansowaliśmy do wielkiego finału i sięgnęliśmy po olimpijskie srebro na Camp Nou w Barcelonie.

Dla mnie wszystko jednak zaczęło się w Bydgoszczy. Przez długi czas niezwykle trudno było dotrzeć do jakiegokolwiek zapisu wideo spotkania z Irlandczykami. Miałem nagranie na kasecie VHS, którą trzymałem w domu u rodziców. Niestety, straciłem ją. Wszystko przez włamanie, podczas którego skradziono między innymi tę kasetę. Co ciekawe, rodzice nie przyznali się do tego, co się stało. Dowiedziałem się o tym dopiero po kilku latach. Na szczęście można już zobaczyć ten mecz w Bibliotece Piłkarstwa Polskiego PZPN. Miło jest czasem odświeżyć sobie tamte wspomnienia.

ANDRZEJ JUSKOWIAK

Data i miejsce urodzenia: 3 listopada 1970 r., Gostyń.

W reprezentacji Polski: 39 meczów, 13 goli.

Debiut: 7 maja 1992, Szwecja – Polska 5:0.

Osiągnięcia: srebrny medal IO 1992.

Kariera klubowa: Kania Gostyń, Lech Poznań, Sporting CP (Portugalia), Olympiakos SFP (Grecja), Borussia Mönchengladbach (Niemcy), VfL Wolfsburg (Niemcy), Energie Cottbus (Niemcy), New Jersey MetroStars (USA), FC Erzgebirge Aue (Niemcy).

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (1990, 1992), Puchar Portugalii (1995), Superpuchar Polski (1990), król strzelców ligi polskiej (1990).

ZBIGNIEW
KACZMAREK

Fot. Eugeniusz Warmiński / East News

NADZIEJA UMIERA OSTATNIA

11 października 1989, Chorzów
Polska – Anglia 0:0

Polska: Jarosław Bako – Piotr Czachowski, Zbigniew Kaczmarek, Dariusz Wdowczyk – Robert Warzycha, Janusz Nawrocki, Ryszard Tarasiewicz,
Jacek Ziober – Roman Kosecki, Dariusz Dziekanowski, Krzysztof Warzycha (58. Jan Furtok).
Anglia: Peter Shilton – Gary Stevens, Des Walker, Terry Butcher, Stuart Pearce – David Rocastle, Steve McMahon, Bryan Robson, Chris Waddle – Gary Lineker, Peter Beardsley.
Żółta kartka: Waddle.
Sędziował: Emilio Soriano Aladrén (Hiszpania).

Na początku reprezentacyjnej kariery nie dostawałem – co naturalne – zbyt wielu szans gry w meczach o punkty. Występowałem w spotkaniach towarzyskich, czekając na pierwsze starcie o stawkę. Los chciał, że premierową potyczką w kwalifikacjach do wielkiego turnieju, w której mogłem wziąć udział, był mecz z wielką Anglią. Nie było to jednak dla mnie niespodzianką. Chwilę wcześniej stery w kadrze narodowej przejął bowiem Andrzej Strejlau, z którym miałem okazję pracować wcześniej w Legii Warszawa. Znał mnie na tyle dobrze, by mi zaufać w swoim debiucie w roli selekcjonera, i to w spotkaniu z dużo silniejszym przeciwnikiem. Wiedział, że go nie zawiodę. Odczuwałem to na każdym kroku.

Rzadko się zdarza, by w trakcie kwalifikacji dochodziło do zmiany na stanowisku szkoleniowca kadry. Czasami może to jednak nieść dla zespołu dobre skutki – zawodnicy, którzy

wcześniej w meczach o stawkę grali nieco mniej, mogą dostać szansę, by się wykazać. W takiej sytuacji rywalizacja o miejsce w składzie wzrasta, a co za tym idzie – podnosi się także poziom całej drużyny. Ja pojawiałem się na zgrupowaniach za kadencji trenerów Antoniego Piechniczka i Wojciecha Łazarka, ale moje występy ograniczały się tylko do gier towarzyskich. Być może byłem w ich oczach po prostu zbyt słabym zawodnikiem, ale gdy na czele reprezentacji narodowej stanął Andrzej Strejlau, poczułem krew. Pomyślałem, że otwiera się przede mną wielka okazja. Część zawodników miała na pewno podobne odczucia.

Nasza sytuacja w grupie kwalifikacyjnej była w tamtym momencie bardzo skomplikowana, ale cały czas mieliśmy cień szansy na to, by pojechać na mistrzostwa świata do Włoch. Było w nas sporo optymizmu, ale warunkiem koniecznym było pokonanie reprezentacji Anglii w Chorzowie. Czuliśmy, jak wielką wagę ma to spotkanie. Niewątpliwie była to dla nas ostatnia możliwość, by włączyć się do walki o awans. Sztab szkoleniowy tchnął w nas wielką wiarę w to, że jesteśmy w stanie osiągnąć ten cel. Mieliśmy przed sobą mecze na własnym terenie z Anglią i Szwecją. I nadzieję, że będziemy w stanie odwrócić losy eliminacji…

W potyczce z Anglią pokazaliśmy się z bardzo dobrej strony. Od pierwszego gwizdka byliśmy stroną zdecydowanie bardziej aktywną, stwarzaliśmy sobie więcej okazji. W tamtym okresie Anglicy nastawieni byli mocno na grę defensywną. To przynosiło pożądane skutki, bo tracili bardzo mało bramek. Nie grali zbyt efektownie, za to niezwykle efektywnie. Nieprzypadkowo podczas włoskiego mundialu dotarli aż do półfinału. Tak samo było w meczu z nami – trener Bobby Robson skupił się na obronie, więc musieliśmy przejąć inicjatywę. Ale przecież to my musieliśmy wygrać.

Dobrze zorganizowani taktycznie Anglicy bronili się bardzo skutecznie. W dodatku mieli w bramce legendarnego Petera Shiltona, który był na tyle doświadczony i potrafił tak doskonale się ustawić, że właściwie nie musiał się rzucać. Kilka razy zmusiliśmy go do interwencji, świetną okazję miał Darek Dziekanowski, ale angielski golkiper poradził sobie i z jego strzałem głową. Rywale grali bardzo nisko ustawieni, ciężko było się przebić przez ten mur, próbowaliśmy więc strzałów z dystansu. Graliśmy zresztą bardzo ryzykownie, bo w składzie znalazło się zaledwie trzech obrońców. Musieliśmy postawić wszystko na jedną kartę, spróbować zdominować przeciwnika. Myślę, że taka odważna postawa była dobrą decyzją trenera Strejlaua.

Po pierwszej połowie wiedzieliśmy, że nie taki diabeł straszny, jak go malują. Stworzyliśmy sobie sporo dogodnych okazji i czuliśmy, że mamy szansę pokonać Anglików. Niestety, zabrakło nam skuteczności. W ostatnich sekundach byliśmy niezmiernie blisko powodzenia, strzał Rysia Tarasiewicza zatrzymał się jednak na poprzeczce. Nie sprzyjało nam szczęście, ale mimo to zebraliśmy sporo pochwał za naszą postawę. Bezbramkowy remis praktycznie wyeliminował nas z walki o awans, ale pożegnaliśmy się z marzeniami o Italii z honorem. Byliśmy bardzo blisko pokonania Anglii, pokazaliśmy, że można grać otwarty futbol z rywalem na tak wysokim poziomie i przeważać. Niestety, zabrakło nam tego gola…

Przełom lat 80. i 90. w naszej piłce nie był zbyt udany, choć zawodnicy grali w dobrych klubach. Nie potrafiliśmy jednak awansować do żadnego międzynarodowego turnieju. Jest we mnie uczucie sporego niedosytu, że nic z tego nie wyszło. Pamiętajmy jednak, że miejsc na mistrzostwach świata czy Europy było mniej, a w dodatku mieliśmy jeszcze do czynienia

z takimi drużynami, jak Jugosławia czy ZSRR. Mogę być zadowolony, że miałem w kadrze swoje pięć minut, jest to pewne osiągnięcie, ale można było wyciągnąć z tego więcej.

ZBIGNIEW KACZMAREK

Data i miejsce urodzenia: 1 czerwca 1962 r., Lębork.

W reprezentacji Polski: 30 meczów.

Debiut: 6 lutego 1985, Bułgaria – Polska 2:2.

Kariera klubowa: Stoczniowiec Gdańsk, Legia Warszawa, AJ Auxerre (Francja), EA Guingamp (Francja), AC Ajaccio (Francja), Polonia Gdańsk, Lechia/Polonia Gdańsk.

Osiągnięcia: Puchar Polski (1989, 1990), Superpuchar Polski (1989).

RADOSŁAW
KAŁUŻNY

Fot. Matthew Ashton/EMPICS via Getty Images

TELEFON OD PREMIERA

7 października 2000, Łódź
Polska – Białoruś 3:1 (1:1)

Bramki: Radosław Kałużny 24., 62., 73. – Nikołaj Ryndiuk 37.
Polska: Jerzy Dudek – Tomasz Kłos, Jacek Zieliński, Tomasz Wałdoch,
Michał Żewłakow – Bartosz Karwan (82. Tomasz Iwan), Piotr Świerczewski,
Radosław Kałużny, Jacek Krzynówek – Andrzej Juskowiak (46. Paweł Kryszałowicz), Emmanuel Olisadebe.
Białoruś: Witalij Wariwonczik – Aleksandr Łuchwicz, Andriej Ostrowskij,
Erik Jachimowicz, Siergiej Sztaniuk – Walentin Biełkiewicz, Siergiej Gurienko,
Wasilij Baranow (75. Andriej Ławrik), Maksim Romaszczenko – Roman Wasiluk
(34. Nikołaj Ryndiuk), Wadim Skripczenko (68. Radisław Orłowski).
Żółte kartki: Krzynówek, Kryszałowicz – Wasiluk, Jachimowicz, Sztaniuk,
Romaszczenko, Ostrowskij.
Sędziował: Anders Frisk (Szwecja).

Kwalifikacje do turnieju finałowego mistrzostw świata w 2002 roku rozpoczęliśmy od mocnego uderzenia. Choć niewielu kibiców w nas wierzyło, ograliśmy na wyjeździe silną Ukrainę 3:1. Był to kamień węgielny położony pod budowę tego zespołu. Tamto zwycięstwo dało nam mnóstwo pewności siebie, pozwoliło uwierzyć, że możemy w tych kwalifikacjach trochę namieszać. Dla mnie było to o tyle ważne starcie, że nie byłem

pewniakiem do gry w wyjściowym składzie. Przez długi czas zmagałem się z kontuzjami, nie brałem udziału w zgrupowaniach. Dopiero miesiąc przed rozpoczęciem walki o mundial dołączyłem do tej kadry, jako ostatni. Zagrałem w towarzyskim spotkaniu z Rumunią, zremisowanym 1:1. Wyszedłem w podstawowym składzie, a po ostatnim gwizdku trener Jerzy Engel powiedział mi, że dostanę powołanie na kolejne mecze. Nie spodziewałem się tego, bo wcześniej nie miałem okazji trenować z drużyną. To było bardzo duże zaskoczenie. Dziś mogę tylko podziękować trenerowi, że miał do mnie cierpliwość i czekał, aż będę w pełni sił. Odwdzięczyłem mu się golem w meczu z Ukrainą i tak zaczęła się moja piękna przygoda w tamtych eliminacjach.

Drugim przeciwnikiem byli Białorusini. Do dziś wszyscy kibice kojarzą ten mecz z moim nazwiskiem, a tak naprawdę tamten występ mi… nie wyszedł. Powiem więcej, uważam, że byłem najsłabszą postacią w naszym zespole. Jedyne, co mnie obroniło, to trzy strzelone gole. Nie wszedłem dobrze w ten mecz. Było na tyle kiepsko, że na początku spotkania Piotrek Świerczewski krzyknął do mnie: „Kałuża, uciekaj stąd, idź gdzieś do przodu, bo przeszkadzasz mi grać”. Nie dyskutowałem, przesunąłem się wyżej i to była chyba dobra decyzja. Trzeba przyznać, że „Świrek” miał nosa…

Cały czas mam bardzo mieszane uczucia, gdy wspominam ten mecz. Grałem słabo, a zdobywałem kolejne bramki. Po ostatnim gwizdku chłopaki śmiały się, że mogę zawsze grać tak kiepsko, byle wpadało. Nie czułem piłki, źle oceniałem dystans do przeciwnika. Białorusini byli na pewno bardzo niewygodnym rywalem. Obawialiśmy się trochę tego meczu, ale wiedzieliśmy, że po tak dobrym spotkaniu na Ukrainie musimy wygrać. Rywale grali twardo, świetnie się ustawiali, przesuwali formacje. Sprawiali nam sporo problemów. To, jak dobrym

zespołem byli, pokazali w rewanżowym meczu, gdy wygrali z nami 4:1. Wiadomo, byliśmy już pewni awansu i wkradło się pewne rozprężenie, ale bezlitośnie obnażyli wtedy nasze słabości.

W Łodzi też kilka razy nas postraszyli, ale byliśmy tego dnia bardzo skuteczni. Pierwsza bramka padła w 24. minucie. W zamieszaniu piłka spadła mi pod nogi, odbiłem ją piszczelem na głowę Bartka Karwana, a on odegrał do mnie. To było niewygodne zagranie. Zdołałem się jednak złożyć i oddać dość ekwilibrystyczny strzał. Sam byłem nieco zdziwiony, że udało mi się tak zgiąć, bo nigdy nie należałem do specjalnie gibkich zawodników i w ten sposób nie uderzałem. To było bardzo ważne trafienie, które dało nam kopa. Białorusini jeszcze przed przerwą nas przyhamowali, doprowadzając do wyrównania. Potwierdziło się, że potrafią być groźni i bardzo niewygodni.

W przerwie trener Jerzy Engel podkreślał, żebyśmy wciąż grali swoje. Zapewniał, że pojawią się kolejne okazje do zdobycia bramki. Mieliśmy konsekwentnie realizować założenia taktyczne i czekać, aż Białorusini się odkryją.

W drugiej połowie dołożyłem dwa kolejne gole, choć Michał Żewłakow do dziś zgłasza pretensje do ostatniego trafienia. Sorry, „Miszka”, to ja dotknąłem tej piłki. Skompletowałem hat-tricka, ale nigdy nie przywiązywałem do tego wielkiej wagi, nie miało to dla mnie ogromnego znaczenia. Cieszyłem się po prostu, że mogę grać w reprezentacji narodowej, że trener mi zaufał. Na początku do mnie nie docierało, że zapisałem na swoim koncie trzy bramki. Zrozumiałem, że wydarzyło się coś ważnego, dopiero w momencie, gdy przekazano mi telefon, a w słuchawce usłyszałem głos ówczesnego premiera Jerzego Buzka. Bardzo przyjemne uczucie – zrobić coś istotnego dla reprezentacji narodowej.

Po końcowym gwizdku miałem jeszcze coś do wyjaśnienia z jednym z rywali. Padło kilka mocnych słów, adrenalina dała o sobie znać. Zresztą nigdy nie dawałem sobie w kaszę dmuchać. Dbałem o to, by drużyna była jak najsilniej ze sobą związana, dlatego często wchodziłem w konflikty z przeciwnikami. Nigdy się tego nie bałem, zawsze można kogoś zabrać „za barierki" i przydusić. Wirtuozem futbolu nie byłem, ale nie można było mi odmówić zaangażowania i woli walki. Uwielbiałem to.

Po dwóch meczach kwalifikacyjnych mieliśmy na koncie sześć punktów, a ja dorzuciłem do tego cztery gole. Był to dla mnie świetny czas, tym bardziej że przez problemy z kolanami nie sądziłem, że w ogóle znajdę się w tej reprezentacji. Trener Engel uparcie na mnie czekał, był trochę moim „tatą", dbał o mnie cały czas. Potrzebowałem indywidualnego podejścia, a trener mi je zapewnił. Potrzebował takiego zawodnika jak ja. Ktoś musiał przecież nosić fortepian, na którym grali nieliczni wirtuozi. W tamtym zespole panowała fantastyczna atmosfera, co moim zdaniem miało ogromny wpływ na to, że ostatecznie awansowaliśmy do turnieju finałowego mistrzostw świata. To była świetna drużyna pełna zawodników o wielkiej klasie.

W kadrze rozegrałem 41 spotkań, co jest wynikiem przyzwoitym, ale na pewno tych meczów mogło być więcej. Sporo występów zabrały mi problemy z kolanami, zmagałem się z nimi bardzo często. Gdy patrzę z perspektywy czasu na swój potencjał, uważam, że wycisnąłem z kariery wszystko, co było możliwe. Pewnych rzeczy bym nie przeskoczył, byli ode mnie po prostu lepsi zawodnicy. Zweryfikował mnie choćby Bayer Leverkusen – to były dla mnie za wysokie progi. Z tego, co osiągnąłem w kadrze, mogę być bardzo zadowolony. Nie mam się czego wstydzić, jako defensywny pomocnik zdobyłem

w reprezentacji 11 bramek. Każdemu zawodnikowi grającemu na tej pozycji życzyłbym takiego bilansu.

RADOSŁAW KAŁUŻNY

Data i miejsce urodzenia: 2 lutego 1974 r., Góra.

W reprezentacji Polski: 41 meczów, 11 goli.

Debiut: 14 lutego 1997, Litwa – Polska 0:0.

Osiągnięcia: uczestnik MŚ 2002.

Kariera klubowa: Chojnowianka Chojnów, Zagłębie Lubin, Wisła Kraków, Energie Cottbus (Niemcy), Bayer 04 Leverkusen (Niemcy),
SC Rot-Weiss Ahlen (Niemcy), LR Ahlen (Niemcy), AEL Limassol (Cypr), Jagiellonia Białystok, Chrobry Głogów.

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (1999, 2001),
Puchar Ligi Polskiej (2001).

HENRYK
KASPERCZAK

Fot. Peter Robinson / PA Images / Getty Images

PĘKNIĘTY BUT KAZIA DEYNY

23 czerwca 1974, Stuttgart
Polska – Włochy 2:1 (2:0)

Bramki: Andrzej Szarmach 38., Kazimierz Deyna 45. – Fabio Capello 86.
Polska: Jan Tomaszewski – Antoni Szymanowski, Jerzy Gorgoń, Władysław Żmuda, Adam Musiał – Henryk Kasperczak, Kazimierz Deyna, Zygmunt Maszczyk – Grzegorz Lato, Andrzej Szarmach (78. Lesław Ćmikiewicz), Robert Gadocha.
Włochy: Dino Zoff – Luciano Spinosi, Tarcisio Burgnich (34. Giuseppe Wilson), Francesco Morini, Giacinto Facchetti – Romeo Benetti, Alessandro Mazzola,
Fabio Capello – Franco Causio, Giorgio Chinaglia (46. Roberto Boninsegna), Pietro Anastasi.
Żółte kartki: Musiał, Kasperczak – Boninsegna.
Sędziował: Hans-Joachim Weyland (RFN).

Choć rozegrałem w reprezentacji Polski ponad 60 meczów, a sukcesów też nie brakowało, w moim domu najczęściej wspomina się potyczkę z Włochami podczas mistrzostw świata w 1974 roku. To chyba najlepsze spotkanie, w jakim zagrałem w narodowych barwach. Padły w nim dwie przepiękne bramki, a ja asystowałem przy obu tych trafieniach.

Do meczu z Włochami przystępowaliśmy po dwóch zwycięstwach w grupie. Byliśmy już pewni awansu do fazy pucharowej mundialu, nasi rywale natomiast musieli to starcie wygrać. Nikt z nas nie zamierzał jednak oszczędzać sił, kalkulacje nigdy nie były dla nas istotne. Gdybyśmy zaczęli myśleć o remisie, moglibyśmy stracić koncentrację i przegrać

spotkanie przez jeden głupi błąd. Byliśmy więc nastawieni tylko na zwycięstwo. Chcieliśmy potwierdzić, że nasze dwa wcześniejsze triumfy nad Argentyną i Haiti nie były dziełem przypadku, potraktowaliśmy więc to spotkanie niezwykle poważnie.

Dla mnie mecz ułożył się fantastycznie. Najpierw zaliczyłem asystę przy golu Andrzeja Szarmacha, któremu wrzuciłem piłkę na głowę, a ten atomowym strzałem nie dał szans Dino Zoffowi. Chwilę przed przerwą było już 2:0. Dostrzegłem zbiegającego w moją stronę Kazimierza Deynę i skierowałem do niego podanie. Takiego uderzenia, jakim popisał się Kazik, nie powstydziłby się żaden piłkarz na świecie. Uderzył tak mocno, że pękł mu but! W przerwie Kazio sklejał go naprędce wymyślonymi sposobami. Inna sprawa, że ta para obuwia była już mocno zużyta. Deyna hołdował bowiem pewnemu przesądowi: nie zmieniał butów po dobrych meczach. A że wcześniej wygrywaliśmy, nadal grał w tej samej parze… Gdy korki nie nadawały się już do użytku, wymienił chyba tylko ten jeden pęknięty but.

Dzięki temu zwycięstwu wyeliminowaliśmy Włochów z mistrzostw świata już w fazie grupowej. Cały świat widział, jak wicemistrzowie świata w niesławie wracają do domu. W kraju zostali obrzuceni pomidorami, musieli zmierzyć się z falą potężnej, zjadliwej krytyki. Wielu kibiców dopiero wtedy zwróciło na nas uwagę. Zostaliśmy dostrzeżeni, zaczęto na nas spoglądać z ciekawością. Co to za zespół, który ograł Argentynę i Włochy?

A przecież już wcześniej potrafiliśmy wyprzedzić w kwalifikacjach Anglię, która należała do czołowych zespołów świata. Myślę, że to wtedy narodziła się drużyna, która później odnosiła sukcesy. Anglicy byli pewni siebie, a tymczasem w Chorzowie dostali od nas „w czapę”, a z Wembley

wywieźliśmy remis, który dał nam awans na mistrzostwa świata. Dzięki temu zaczęliśmy myśleć, że na samym mundialu możemy coś osiągnąć.

Mieliśmy fantastyczny skład, a siła ofensywna tej drużyny była potężna. Tercetu Grzegorz Lato-Andrzej Szarmach-Robert Gadocha obawiała się każda defensywa na świecie. Gdy później na mistrzostwach przyszło nam mierzyć się z gospodarzami, Franz Beckenbauer nie zapuszczał się na naszą połowę, choć z innymi rywalami grał bardzo odważnie, podłączając się do akcji ofensywnych. To była miara naszej siły.

Moje zadania były podzielone. Miałem angażować się zarówno w ataki, jak i wspierać obrońców. Co ciekawe, w klubie grałem na zupełnie innej pozycji – w środku pola. W kadrze było nieco inaczej, ale potrafiłem się dostosować. Na prawej stronie doskonale współpracowało mi się z Antkiem Szymanowskim, z którym rozumiałem się niemal w ciemno. Lubił zapuścić się pod bramkę rywala, więc wtedy go asekurowałem. Taktycznie byliśmy doskonale poukładani. Wiedziałem, jak ustawiać się na boisku, jaka jest moja rola, i starałem się wywiązywać z niej najlepiej, jak potrafiłem.

Do tego na ławce rezerwowych mieliśmy maga. Trener Kazimierz Górski był wyśmienitym psychologiem i pedagogiem. Umiał zjednywać sobie ludzi, obdarzał ich zaufaniem i otrzymywał to samo w rewanżu. To była jego ogromna siła. Myślę, że wiele osób nie docenia także jego doświadczenia, które wyniósł z szatni, będąc piłkarzem. Dzięki temu, że sam był zawodnikiem, doskonale wiedział, co czują jego podopieczni. Potrafił z nimi rozmawiać, dotrzeć do nich, zmobilizować ich. Nie było w tym żadnej sztuczności. Swoje doświadczenia przekładał na cały nasz zespół.

Trener nie bał się też zmian. W stosunku do naszego meczu na Wembley na mistrzostwach świata w wyjściowym składzie

pojawiło się trzech nowych piłkarzy. W miejsce Mirka Bulzackiego wskoczył młody Władek Żmuda, który grał wcześniej głównie w młodzieżowej reprezentacji kraju. Zamiast Leszka Ćmikiewicza występował Zyga Maszczyk, a za Jasia Domarskiego, bohatera z Wembley, w składzie pojawił się Andrzej Szarmach. Czas pokazał, że decyzje selekcjonera przyniosły pozytywny skutek już w meczu z Włochami. Gdy to „odpaliło", trener już nie mieszał w składzie. Zaufał tym, którzy zapewniali mu zwycięstwa. Zmian dokonywał tylko wtedy, gdy były one wymuszone urazami czy kartkami.

W RFN spotkały się w 1974 roku najlepsze piłkarskie reprezentacje świata. Tymczasem w fazie grupowej pokonaliśmy wicemistrzów z 1970 roku, Włochów, a później, w starciu o trzecie miejsce, odprawiliśmy z kwitkiem broniących tytułu Brazylijczyków. To był ogromny sukces całego polskiego futbolu. W całym turnieju przegraliśmy tylko jeden mecz, z gospodarzami, po słynnej potyczce „na wodzie". Uważam, że tamtym spotkaniem przegraliśmy mistrzostwo świata.

HENRYK KASPERCZAK

Data i miejsce urodzenia: 10 lipca 1946 r., Zabrze.

W reprezentacji Polski: 61 meczów, 5 goli.

Debiut: 20 marca 1973, Polska – USA 4:0.

Osiągnięcia: srebrny medal IO 1976, III miejsce MŚ 1974, uczestnik MŚ 1978. Członek Klubu Wybitnego Reprezentanta, Zawodnik Reprezentacji 100-lecia PZPN.

Kariera klubowa: Stal Zabrze, Stal Mielec, Legia Warszawa, Stal Mielec, FC Metz (Francja).

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (1973, 1976).

JACEK

KAZIMIERSKI

POD CZUJNYM OKIEM PAPIEŻA

8 grudnia 1984, Pescara
Włochy – Polska 2:0 (0:0)

Bramki: Alessandro Altobelli 78., Antonio Di Gennaro 90.
Włochy: Franco Tancredi – Giuseppe Bergomi (46. Roberto Tricella), Pietro Vierchowod, Ubaldo Righetti, Antonio Cabrini – Salvatore Bagni
(61. Giuseppe Dossena), Marco Tardelli, Antonio Di Gennaro, Bruno Conti
(70. Pietro Fanna) – Paolo Rossi, Alessandro Altobelli (79. Aldo Serena).
Polska: Jacek Kazimierski – Dariusz Kubicki, Władysław Żmuda, Roman Wójcicki, Dariusz Wdowczyk – Jerzy Wijas, Waldemar Matysik (80. Waldemar Prusik),
Zbigniew Boniek, Ryszard Komornicki – Andrzej Pałasz, Mirosław Okoński
(53. Marek Ostrowski).
Żółte kartki: Vierchowod – Wdowczyk.
Czerwona kartka: Wdowczyk.
Sędziował: Robert Bonar Valentine (Szkocja).

Z reprezentacyjnej kariery szczególnie utkwił mi w pamięci wyjazd na towarzyski mecz do Włoch. Może nie było to spotkanie o wielkiej wadze, ale z pewnością dla mnie bardzo istotne ze względu na okoliczności. Wyjechaliśmy w nietypowym, bo grudniowym terminie. Dwa lata wcześniej Włosi sięgnęli w Hiszpanii po tytuł mistrzów świata, zwyciężywszy z nami w półfinale. W organizacji tego spotkania pomagał mocno Zbyszek Boniek, występujący wówczas w Juventusie. I tak znaleźliśmy się w Pescarze. Mimo zimowej pory przywitała nas bardzo przyjemna pogoda. Aura sprzyjała, nadmorska miejscowość miała swój wyjątkowy klimat.

Pozostało nam tylko wyjść na boisko i stawić czoła najsilniejszej drużynie globu.

Ktoś mógłby marudzić, że jedziemy tam po sezonie, zamiast odpoczywać. Nigdy jednak nie rozumiałem takich malkontentów. Nie jechaliśmy do Wygwizdowa Dolnego, tylko do Włoch, w bardzo fajne miejsce, zagrać ze świetnym rywalem. Dodatkowo, jako że było to spotkanie towarzyskie, nie ciążyła na nas żadna presja. Zagraliśmy w mocno „warszawskim" składzie, choć trener Antoni Piechniczek dorzucił oczywiście zawodników ze Śląska, zawsze miał zresztą sentyment do tego rejonu. Ostatecznie przegraliśmy 0:2, ale w moim odczuciu rozegraliśmy całkiem niezłe spotkanie.

Dla nas niezwykle ważnym wydarzeniem towarzyszącym tamtemu meczowi była nasza wizyta w Rzymie i spotkanie z Ojcem Świętym, Janem Pawłem II. Co ciekawe, papież oglądał nasz mecz, więc mogliśmy sobie troszkę na ten temat porozmawiać. Przy oficjalnym przywitaniu oczywiście wszystko przebiegało bardzo dostojnie, ale później atmosfera się rozluźniła. Dostałem nawet od papieża pochwałę za kilka udanych interwencji, czego nie zapomnę do końca życia. Jan Paweł II wiedział o nas prawie wszystko, doskonale orientował się w kwestiach piłkarskich. Cieszyliśmy się bardzo, że była to całkowicie zamknięta, prywatna audiencja, więc nikt nie spoglądał na zegarek, żeby pilnować czasu.

Do dziś nie wiem, kto i jak zorganizował nam to spotkanie. Władze krajowe, powiązane oczywiście z ustrojem komunistycznym, raczej nieprzychylnie patrzyły na takie wydarzenia. Cały czas pozostawaliśmy pod pełną kontrolą, partia wysyłała razem z reprezentacją swoich „przedstawicieli", którzy bacznie obserwowali, co robimy, jak się zachowujemy. Niemniej gdy papież zaprasza, pułkownik nie za bardzo ma cokolwiek do gadania.

Za kadencji trenera Antoniego Piechniczka bardzo dużo jeździliśmy po świecie. Niemal tradycją stały się tournée po różnych zakątkach globu. Także w kadrach młodzieżowych zaliczyłem wiele interesujących podróży. W pierwszej reprezentacji miałem nieco pecha, bo trafiłem na erę Józka Młynarczyka. To był świetny bramkarz, nie do wygryzienia ze składu. Tak to w piłce bywa – czasem trzeba po prostu znaleźć się w odpowiednim miejscu i czasie.

Współpracowałem z kilkoma selekcjonerami i zauważyłem, że można ich podzielić na kilka kategorii. Nie zawsze trener z dobrym warsztatem jest też dobrym człowiekiem, i na odwrót. Kazimierz Górski był doskonałym psychologiem i nie przeszkadzał zespołowi. Inny – nie będę wymieniał nazwiska – chciał wszystkim rządzić, wszystko zrobić według własnej koncepcji. To nie jest dobre rozwiązanie, bo czasami trzeba dać zawodnikom trochę luzu. Andrzej Strejlau był znakomitym fachowcem, choć nie potwierdzają tego osiągane przez jego drużynę rezultaty. Ale nie zawsze wyniki idą w parze z umiejętnościami. Bywa, że ktoś jest nie do końca kompetentny w kwestiach warsztatowych, lecz dopisuje mu szczęście. Zawodnicy jednak nie wybierają przełożonych.

Piłka nożna jest w dużej mierze zależna od okoliczności. Myślę, że ja – mimo wszystko – mogę być zadowolony ze swojej reprezentacyjnej przygody. W życiu trzeba być pozytywnie nastawionym, bez tego nie ma przyjemności z gry. Nie każdy może przecież zrobić karierę na miarę Roberta Lewandowskiego.

JACEK KAZIMIERSKI

Data i miejsce urodzenia: 17 sierpnia 1959 r., Warszawa.

W reprezentacji Polski: 23 mecze.

Debiut: 25 stycznia 1981, Japonia – Polska 0:2.

Osiągnięcia: III miejsce MŚ 1982, uczestnik MŚ 1986.

Kariera klubowa: Agrykola Warszawa, Legia Warszawa, Olympiakos SFP (Grecja), KAA Gent (Belgia).

Osiągnięcia: Puchar Polski (1980, 1981), Superpuchar Grecji (1987).

TOMASZ
KŁOS

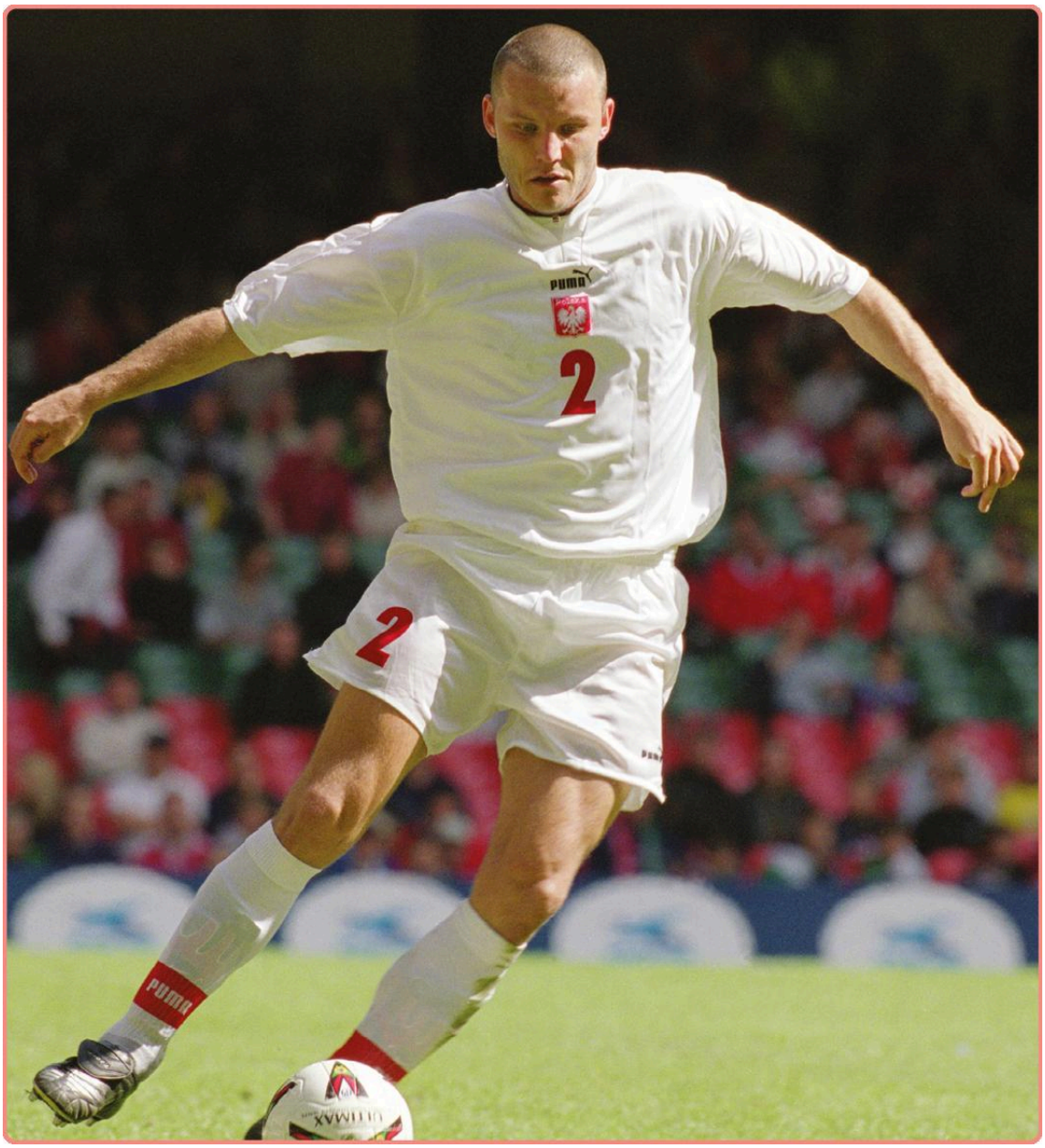

Fot. Stu Forster / Allsport / Getty Images

NA PRZEKÓR KAZIKOWI STASZEWSKIEMU

24 marca 2001, Oslo
Norwegia – Polska 2:3 (0:2)

Bramki: John Carew 59., Ole Gunnar Solskjær 67. – Emmanuel Olisadebe 23., 30., Bartosz Karwan 81.
Norwegia: Thomas Myhre – André Bergdølmo, Claus Lundekvam, Henning Berg,
Ståle Stensaas (85. Tore André Flo) – Jo Tessem, Thomas Svindal Larsen,
Thorstein Helstad (60. Steffen Iversen), Fredrik Winsnes – Ole Gunnar Solskjær,
John Carew.
Polska: Adam Matysek (66. Jerzy Dudek) – Tomasz Kłos, Jacek Zieliński,
Tomasz Hajto, Michał Żewłakow – Tomasz Iwan (66. Bartosz Karwan),
Radosław Kałużny, Piotr Świerczewski (89. Tomasz Zdebel),
Marek Koźmiński – Emmanuel Olisadebe, Paweł Kryszałowicz.
Żółte kartki: Svindal Larsen – Świerczewski.
Sędziował: Stuart Dougal (Szkocja).

Za swój najważniejszy mecz w narodowych barwach mogę uznać wyjazdowe spotkanie z Norwegią w kwalifikacjach do mistrzostw świata w 2002 roku. Rozgrywaliśmy je na słynnym stadionie Ullevaal w Oslo. Przyszło nam stoczyć ten bój w marcu, a pogoda była typowo norweska – bardzo chłodna i nieprzyjemna. Do tego stan boiska był tragiczny, właściwie graliśmy na piachu. Ten mecz utwierdził nas jednak w przekonaniu, że awansujemy do mistrzostw świata.

Pierwszy i jedyny raz po spotkaniu reprezentacji rozpłakałem się ze wzruszenia. W szatni, gdy doszliśmy już do siebie, patrzyliśmy na siebie z Jurkiem Dudkiem z pewnym niedowierzaniem, ale także ogromną dumą. Jurek wszedł na boisko po przerwie, zastępując kontuzjowanego Adama Matyska. Mieliśmy w tamtych kwalifikacjach dwóch bramkarzy, którzy bronili naprawdę świetnie.

Sama kontuzja Adama była dla nas trudnym momentem tego spotkania. Matysek wychodził przed bramkę, a Norwegowie brutalnie w niego wbiegli. Później, już po zmianie, zachowali się podobnie w stosunku do Jurka Dudka, który upadł na plecy. Mieliśmy już przed oczami najgorszy scenariusz, w którym jeden z nas musiałby stanąć między słupkami. Wyglądało to bardzo nieciekawie, ale na szczęście dzięki świetnej koordynacji i wygimnastykowaniu Jurkowi nie stało się nic poważnego i mógł dokończyć to spotkanie.

Norwegowie dysponowali świetnym atakiem, o którego sile decydowali John Carew oraz Ole Gunnar Solskjær. Mieli olbrzymi potencjał, ale nie działała na nas magia nazwisk czy lig, w końcu sami też nie byliśmy ułomkami. Wiedzieliśmy, co nas czeka, ale byliśmy przy tym świadomi swoich atutów. Doskonale radziliśmy sobie w grze z kontry, mieliśmy opanowane stałe fragmenty gry, na które trener kładł spory nacisk. I to się potwierdziło – trzecia, zwycięska bramka, którą głową zdobył niski przecież Bartek Karwan, była wynikiem sprytnego rozegrania rzutu wolnego.

Przed meczem z Norwegami wiedzieliśmy, że to starcie może nam tak naprawdę pokazać, na co nas stać. Zwycięstwo dodało tej drużynie mnóstwa pewności siebie. Przyzwyczailiśmy się, że marcowe spotkania kwalifikacyjne bywają dla naszej reprezentacji wyjątkowo trudne, zdarzało się nam w nich gubić punkty. Tym razem jednak udało się wygrać na wyjeździe

z bardzo groźnymi Norwegami, a kilka dni później rozbiliśmy na własnym terenie Armenię. Jako reprezentacja byliśmy oceniani jako trzecia siła tej grupy eliminacyjnej, a jednak zaskoczyliśmy i jako pierwszy zespół w Europie awansowaliśmy do mistrzostw.

A trzeba pamiętać, jak koszmarnym okresem były pierwsze miesiące kadencji trenera Jerzego Engela. Nawet Kazik Staszewski śpiewał, że „polscy piłkarze nie strzelili od kilkuset minut gola". To był piekielnie trudny czas… Choć rozgrywaliśmy całkiem niezłe mecze, jak choćby z Francją w Saint-Denis, brakowało nam wyników. Zdawaliśmy sobie sprawę, że jeżeli start kwalifikacji będzie nieudany, dni trenera będą policzone, a wraz z nim w odstawkę mogłoby pójść także kilku piłkarzy. W mediach odsądzano nas od czci i wiary. Okazało się jednak, że napisaliśmy zupełnie inny scenariusz. Przełamaliśmy niemoc i po 16 latach zapewniliśmy sobie awans na mundial.

Trener Jerzy Engel wprowadzał pewne nowości, jak choćby filmy motywacyjne. Na początku wydawało się, że jest bardzo poważnym człowiekiem. Gdy jednak wyselekcjonował już grupę zawodników, w którą uwierzył, i zdążyliśmy się lepiej poznać, okazało się, że przy całym swoim ogromnym autorytecie potrafi być luźniejszy, pożartować, pośmiać się. Mógłbym go określić jako motywatora, krytyka, ojca. Trener potrafił porozumieć się z każdym podopiecznym, a przecież pogodzenie odmiennych charakterów w drużynie nie jest łatwe. Trzeba wiedzieć, jak rozmawiać, by dotrzeć do konkretnej osoby. Jerzy Engel to umiał i chyba to był klucz do naszego sukcesu. Bo jako zespół byliśmy niesamowitą grupą ludzi, która doskonale się rozumiała. Nikt nie obrażał się za to, że musiał usiąść na ławce rezerwowych. Każdy piłkarz był tak samo doceniany i ważny. Dzięki temu sporo bramek zdobywali

właśnie zawodnicy, którzy wchodzili na murawę w roli zmienników.

Byliśmy fajną ekipą, która w trudniejszych momentach potrafiła się scementować. Gdy wychodziliśmy na piwo, wychodziło 18 piłkarzy. W dzisiejszych czasach to właściwie niemożliwe. Gdy nam nie szło, padały mocniejsze słowa, ale to wszystko tylko nas motywowało. Każdy z nas był bardzo głodny gry w reprezentacji. Kiedy tylko pojawiały się powołania, od razu wszyscy do siebie dzwonili, żyliśmy zbliżającym się spotkaniem. Gra w narodowych barwach wyzwalała w nas olbrzymią adrenalinę.

TOMASZ KŁOS

Data i miejsce urodzenia: 7 marca 1973 r., Zgierz.

W reprezentacji Polski: 69 meczów, 6 goli.

Debiut: 8 lutego 1998, Paragwaj – Polska 4:0.

Osiągnięcia: uczestnik MŚ 2002. Członek Klubu Wybitnego Reprezentanta.

Kariera klubowa: Boruta Zgierz, Włókniarz Aleksandrów Łódzki, Boruta Zgierz, ŁKS Łódź, AJ Auxerre (Francja), 1. FC Kaiserslautern (Niemcy), 1. FC Köln (Niemcy), Wisła Kraków, ŁKS Łódź.

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (1998, 2004, 2005).

KAZIMIERZ
KMIECIK

Fot. Eugeniusz Warmiński / East News

PRZEGRANI JAK ZWYCIĘZCY

3 lipca 1974, Frankfurt
RFN – Polska 1:0 (0:0)

Bramka: Gerd Müller 76.
RFN: Sepp Maier – Berti Vogts, Hans-Georg Schwarzenbeck, Franz Beckenbauer, Paul Breitner – Uli Hoeneß, Rainer Bonhof, Wolfgang Overath – Jürgen Grabowski, Gerd Müller, Bernd Hölzenbein.
Polska: Jan Tomaszewski – Antoni Szymanowski, Jerzy Gorgoń, Władysław Żmuda, Adam Musiał – Henryk Kasperczak (80. Lesław Ćmikiewicz), Kazimierz Deyna, Zygmunt Maszczyk (80. Kazimierz Kmiecik) – Grzegorz Lato, Jan Domarski, Robert Gadocha.
Sędziował: Erich Linemayr (Austria).

Cały występ na mistrzostwach świata w 1974 roku jest dla mnie niezapomnianym przeżyciem. Najważniejszym spotkaniem był chyba jednak mecz z reprezentacją RFN, którego stawką był awans do finału mundialu. Rozegrałem w nim tylko 10 minut, ale miałem swoją okazję bramkową.

To był oczywiście słynny „mecz na wodzie". Trudno było nazwać to grą w piłkę nożną, niemniej było to dla nas niezwykle istotne wydarzenie. Szkoda jedynie, że nie udało się wywalczyć korzystnego dla nas rezultatu. Po meczu było mnóstwo gdybania, ale ostatecznie nic nam to nie przyniosło. Prawdą jest jednak, że nigdy nie spotkałem się z tak trudnymi warunkami na boisku. Przed meczem przeszła potężna ulewa, musieliśmy czekać na decyzję, czy spotkanie w ogóle się odbędzie. Towarzyszyła temu ogromna niepewność, co nie sprzyjało koncentracji. Gdyby starcie zostało przełożone,

musiałyby zostać wydłużone całe mistrzostwa. Pokrzyżowałoby to wiele planów, więc gospodarze robili wszystko, co w ich mocy, by w jak najlepszym stopniu przystosować murawę do gry. Pracowało nad tym mnóstwo ludzi, w akcję zaangażowano nawet straż pożarną. Mimo to efekty tych wysiłków okazały się mizerne.

Trener Kazimierz Górski nie musiał nikogo motywować. Każdy z nas wiedział, o co gra, i był w pełni skoncentrowany na celu. Walczyliśmy przecież o awans do finału mistrzostw świata! Gdybyśmy wówczas wygrali, mówiłby o nas cały świat, choć i tak wykonaliśmy fantastyczną pracę. Trafiliśmy do grupy z Włochami i Argentyną, niemal wszyscy eksperci skazywali nas na pożarcie. Gdy wygrywaliśmy kolejne mecze, uwielbienie kibiców rosło. Odczuliśmy to po powrocie do kraju. Witały nas tysiące ludzi, nie wiem, czy mniej osób nie pojawiało się na pochodach z okazji 1 maja, w których udział był przecież obowiązkowy… Cały kraj był z nas dumny. Ludzie stali na całej trasie od lotniska po centrum Warszawy. Mimo przegranej w półfinale mogliśmy poczuć się jak zwycięzcy.

Przed spotkaniem z RFN cały zespół był maksymalnie skupiony. Każdy, kto znalazł się w kadrze meczowej, chciał udowodnić, że zasługuje na takie zaufanie ze strony trenera Górskiego. Mecze ligowe są rutyną, rozgrywa się je co tydzień, a takie spotkanie jak półfinał mistrzostw świata często ma się okazję rozegrać tylko raz w życiu. Myśli są więc absolutnie skierowane na boisko. Trener Górski był jednak oazą spokoju. Czasami bardziej żywiołowo reagowali asystenci niż on sam. Selekcjoner miał wszystko dokładnie przemyślane. Wiedział, w jaki sposób mamy grać, i był przekonany, że jeżeli będziemy realizować jego założenia, triumfy nadejdą. Nie było w nim żadnej agresji, nerwowości. Nawet gdy ktoś źle zagrał, nasz szkoleniowiec czekał, co będzie dalej, nigdy nie reagował

impulsywnie. Dopiero gdy błędy się powtarzały, dokonywał zmian. Nie miał pretensji do zawodników, każdy miał przy nim równe szanse, trzeba było je tylko wykorzystać. Trener musi umieć przekazać drużynie uwagi w jak najbardziej czytelny sposób. Kazimierz Górski to potrafił, dlatego bardzo dobrze się z nim współpracowało.

Samym meczem z RFN rządził przypadek. Wiadomo było, że drużyna, która zdobędzie pierwszą bramkę, znajdzie się w bardzo komfortowej sytuacji. Nie od dziś przecież wiadomo, że na kiepskiej murawie łatwiej się bronić niż atakować. Niestety, to zawodnicy z RFN jako pierwsi rozerwali nasze szyki obronne i ten rezultat utrzymali do końcowego gwizdka. Gdy musieliśmy gonić wynik, stan boiska na pewno nam tego nie ułatwiał. Szybki bieg z piłką był właściwie niemożliwy, bo ta zostawała w kałużach i trzeba było po nią wracać. Swojej prędkości nie mógł wykorzystać choćby Grzesiek Lato. Moim zdaniem zrobiliśmy wszystko, co możliwe, by osiągnąć cel, ale stan murawy uniemożliwiał lepszą grę. Brakowało nam płynnych akcji, nie można było pograć piłką.

Po meczu wszyscy spuścili głowy i zastanawiali się, jak można było to spotkanie rozegrać lepiej. W szatni panowała totalna cisza. Wszyscy jedynie się wykąpali, przebrali i udali do autobusu. Pamiętam, że po meczu wymieniłem się koszulką z Jürgenem Grabowskim, ale byłem tak przybity, że zostawiłem ją na kaloryferze. Zapomniałem jej zabrać, podobnie jak butów. Ta porażka bardzo zabolała i wiem, że są zawodnicy, którzy do dziś ją rozpamiętują. Uważam, że mogłem zdobyć bramkę, bo miałem ku temu okazję. Gdybym doprowadził do wyrównania, zyskalibyśmy pewną przewagę psychologiczną, nasi rywale bowiem musieliby grać inaczej. Niemniej pokazaliśmy, że w Polsce również potrafią grać w piłkę nożną. Nawet jeśli

mieliśmy status półzawodowców, którzy walczyli z profesjonalistami.

Ale taki właśnie jest sport – można przeważać przez całe spotkanie, a potem nadziać się na jeden kontratak i wszystko kończy się porażką. Gdybyśmy awansowali do finału, kto wie, czy nie sięgnęlibyśmy po tytuł najlepszej drużyny na świecie, bo to był naprawdę kapitalny zespół.

Wszystko zaczęło się od złotego medalu na igrzyskach olimpijskich w Monachium w 1972 roku. Później przyszło trzecie miejsce mistrzostw świata i ogromnym zaskoczeniem było to, że nie udało nam się zwyciężyć na kolejnych igrzyskach, w Montrealu w 1976 roku, gdzie w finale lepsza okazała się drużyna NRD. Tamten finał, podobnie jak starcie z RFN na mundialu, też wiązał się z czekaniem. Wcześniej bowiem rozgrywane były zawody w innej dyscyplinie i musieliśmy czekać, aż rywalizacja dobiegnie końca.

Jeżeli wówczas moglibyśmy swobodnie zmieniać kluby i wyjechać za granicę, z pewnością lwia część kadrowiczów znalazłaby zatrudnienie w najsilniejszych zespołach Europy. Niestety, przepisy tego zabraniały, pojawiało się ograniczenie wieku. Dziś młodzież może wyjeżdżać i rozwijać się bez żadnych problemów. Tego możemy jej zazdrościć.

Po zakończeniu karier spotykaliśmy się dość długo, występując w meczach pokazowych jako Orły Górskiego. Czas jednak płynie, część zawodników z tej drużyny nie ma już nawet na co dzień styczności z futbolem. Gdy jednak się spotykamy, chętnie wspominamy tamten okres. Wszyscy mamy nadzieję, że złota era polskiego futbolu jeszcze powróci.

Data i miejsce urodzenia: 19 września 1951 r., Węgrzce Wielkie.

W reprezentacji Polski: 34 mecze, 8 goli.

Debiut: 30 sierpnia 1972, Ghana – Polska 0:4.

Osiągnięcia: złoty medal IO 1972, srebrny medal IO 1976, III miejsce MŚ 1974.

Kariera klubowa: Węgrzcanka Węgrzce Wielkie, Cracovia, Wisła Kraków, Royal Charleroi SC (Belgia), Wisła Kraków, AE Larisa (Grecja), Stuttgarter Kickers (Niemcy), Offenburger FV (Niemcy).

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (1978), Puchar Grecji (1985), król strzelców ligi polskiej (1976, 1978, 1979, 1980).

ROMAN
KOSECKI

JEDEN PUNKT?
TO ZA MAŁO

14 października 1992, Rotterdam
Holandia – Polska 2:2 (1:2)

Bramki: Peter van Vossen 44., 48. – Marek Koźmiński 19., Wojciech Kowalczyk 21.
Holandia: Stanley Menzo – Berry van Aerle, Ronald Koeman, Frank Rijkaard (80. Henk Fraser), Robert Witschge – Wim Jonk, Dennis Bergkamp, Jan Wouters – Peter van Vossen, Marco van Basten,
Arthur Numan (40. Gerald Vanenburg).
Polska: Jarosław Bako – Piotr Czachowski (40. Marek Rzepka), Roman Szewczyk, Andrzej Lesiak, Marek Koźmiński – Dariusz Adamczuk, Jerzy Brzęczek,
Robert Warzycha, Jacek Ziober – Roman Kosecki,
Wojciech Kowalczyk (68. Włodzimierz Smolarek).
Żółta kartka: Adamczuk.
Sędziował: Arcangelo Pezzella (Włochy).

Trochę meczów w kadrze narodowej na swoim koncie zapisałem, ale w pamięci bardzo mocno utkwiła mi potyczka z Holandią w Rotterdamie, rozegrana w ramach kwalifikacji do turnieju finałowego mistrzostw świata w 1994 roku. W dużej mierze dlatego, że miałem okazję zagrać w jednej drużynie i uczestniczyć w pożegnalnym spotkaniu Włodzimierza Smolarka. Jedyne, czego bardzo żałuję, to fakt, że Włodek nie wykorzystał znakomitej sytuacji po moim podaniu. Gdyby wówczas trafił do siatki, zapewne cieszylibyśmy się ze zwycięstwa... Co ciekawe, Włodek przegrał wtedy sytuację sam

na sam ze Stanleyem Menzo, którego kilka tygodni później pokonał w meczu ligi holenderskiej. Ale po kolei…

Do Holandii pojechaliśmy kilka dni przed spotkaniem. Mieliśmy dzięki temu okazję trochę się wyciszyć, złapać oddech. Pierwszy mecz eliminacji, z Turcją, wygraliśmy 1:0, ale zdaniem wielu obserwatorów nasz styl gry nie porywał. W Rotterdamie na pewno nie byliśmy faworytem, ale wspomniany Włodek Smolarek mocno nam pomagał. Znał doskonale specyfikę holenderskiego futbolu, udzielił nam wielu niezwykle cennych wskazówek. Miałem nawet okazję pojechać na chwilę do niego do domu. Mimo że był ode mnie sporo starszy, lubiliśmy się, złapaliśmy bardzo dobry kontakt. Wypiliśmy kawę, porozmawialiśmy, a dookoła nas biegał z piłką mały Euzebiusz, który później poszedł w ślady ojca i również został świetnym piłkarzem.

Przed spotkaniem z Holendrami w naszych szeregach pojawiło się sporo problemów zdrowotnych. Mnie przytrafił się uraz obojczyka, a lekarz kadry wspominał, że gdybym był bramkarzem, natychmiast wysłałby mnie na operację. Kilku innych piłkarzy było przeziębionych, więc nerwów nie brakowało. Udało nam się ostatecznie jakoś pozbierać, choć na pewno nie byliśmy faworytem zbliżającego się starcia. W składzie reprezentacji Holandii znalazło się wtedy wielu znamienitych piłkarzy. Wystarczy wspomnieć nazwiska Marco van Bastena, Dennisa Bergkampa, Ronalda Koemana czy Jana Woutersa. To była niezwykle silna ekipa.

Moim zadaniem było utrudnianie życia Koemanowi. Nie było mu ze mną łatwo, choć musiałem się sporo napracować. Mimo wściekłych ataków gospodarzy od samego początku spotkania potrafiliśmy ich zaskoczyć dwiema szybkimi akcjami. Tak się złożyło, że przy obu trafieniach miałem swój udział. Najpierw zdecydowałem się na strzał sprzed pola karnego; miałem sporo

miejsca, boisko było grząskie, więc kąśliwy strzał wydawał się jedynym dobrym rozwiązaniem. Menzo „wypluł" piłkę przed siebie, a po chwili świetnie na dobitkę nabiegł Marek Koźmiński i dopełnił formalności. Drugiego gola strzelił Wojtek Kowalczyk, który precyzyjnie uderzył głową po moim dośrodkowaniu. Na trybunach stadionu w Rotterdamie zasiadło wtedy zaledwie kilkanaście tysięcy kibiców, ale i tak satysfakcja z ich uciszenia była ogromna. Być może tak niską frekwencję spowodowała kiepska pogoda, a może pewność wygranej wśród Holendrów była tak duża, że fanom nie chciało się już iść na stadion i wybrali alternatywne zajęcia? Nie wiem.

Jak mogliśmy się spodziewać, przy naszym dwubramkowym prowadzeniu ataki Holendrów tylko przybrały na sile. Jeszcze przed zakończeniem pierwszej połowy zdobyli bramkę kontaktową, co jeszcze mocniej ich napędziło. Wypracowali sobie bardzo dużą przewagę i przyciskali nas coraz mocniej do muru. W przerwie trener Andrzej Strejlau polecił nam jak najdłużej utrzymywać się przy piłce. Chciał zapewne ograniczyć możliwości Holendrów, którzy choć stwarzali sobie dogodne sytuacje, nie potrafili ich wykorzystywać. Bardzo dobrze w bramce spisywał się Jarek Bako, a nasz szkoleniowiec wiedział, że i my będziemy mieli swoje okazje.

Niestety, krótko po wznowieniu gry Holendrzy dopięli swego. Jarek zanotował niezbyt dobrą interwencję, my też nie przypilnowaliśmy rywali i zrobiło się 2:2. Myślę, że na lepszej nawierzchni nasz bramkarz złapałby piłkę bez żadnych kłopotów, niestety, stało się inaczej. Trudno jednak tutaj obwiniać Jarka. Zaliczył naprawdę świetny mecz, ale tak to już w przypadku bramkarzy jest, że za nimi znajduje się już tylko siatka. Błąd zawodnika z pola zawsze można naprawić, golkiper ma dużo trudniej. Trzeba przy tym pamiętać, że akcja zaczęła się dużo wcześniej, można było lepiej zareagować i ją przerwać.

Drużyna jest jednością – wygrywa razem, ale i przegrywa razem. W Rotterdamie padł akurat remis.

Ktoś mógłby powiedzieć, że przy takiej przewadze Holendrów ten jeden punkt musiał nas usatysfakcjonować. Z mojej perspektywy wyglądało to zupełnie inaczej. Zszedłem z boiska piekielnie zdenerwowany. Nie patrzyłem na to, że Jarek wybronił nam sporo sytuacji, że Holendrzy ich wiele zmarnowali. Cały czas miałem przed oczami sytuację Włodka, która mogła dać nam zwycięstwo. Myślę, że gdybyśmy strzelili trzeciego gola, już byśmy tego triumfu nie wypuścili, więc niedosyt pozostał.

Mimo rozegrania prawie 70 meczów w kadrze, nie udało mi się wziąć udziału w żadnym międzynarodowym turnieju. Jasne, jest pewien niedosyt, ale z drugiej strony, gdybyśmy mieli awansować i wracać do domu po trzech meczach... To żadna satysfakcja. Poczucie spełnienia mogą czuć zawodnicy drużyn Kazimierza Górskiego i Antoniego Piechniczka, którzy przywieźli z mistrzostw świata medale. To oni pozostają w pamięci, bo nie tylko uczestniczyli w turnieju, ale także grali na nim z sukcesami.

ROMAN KOSECKI

Data i miejsce urodzenia: 15 lutego 1966 r., Piaseczno.

W reprezentacji Polski: 69 meczów, 19 goli.

Debiut: 6 lutego 1988, Rumunia – Polska 2:2.

Osiągnięcia: członek Klubu Wybitnego Reprezentanta.

Kariera klubowa: RKS Mirków, Ursus Warszawa, Gwardia Warszawa, Legia Warszawa, Galatasaray SK (Turcja), CA Osasuna (Hiszpania), Atlético Madryt (Hiszpania), FC Nantes (Francja),

Montpellier HSC (Francja), Legia Warszawa, Chicago Fire (USA).

Osiągnięcia: mistrzostwo USA (1998), Puchar Polski (1989, 1990), Puchar Turcji (1991), Puchar USA (1998), Superpuchar Polski (1989), Superpuchar Turcji (1991).

KAMIL
KOSOWSKI

REWANŻ ZA „SCHEISSE POLNISCHE”

3 września 2005, Chorzów
Polska – Austria 3:2 (2:0)

Bramki: Euzebiusz Smolarek 13., Kamil Kosowski 24., Maciej Żurawski 69.
– Roland Linz 63., 82.
Polska: Artur Boruc – Marcin Baszczyński, Tomasz Kłos, Jacek Bąk, Tomasz Rząsa – Euzebiusz Smolarek (73. Sebastian Mila), Radosław Sobolewski, Mirosław Szymkowiak (84. Arkadiusz Radomski),
Kamil Kosowski (89. Michał Żewłakow) – Grzegorz Rasiak, Maciej Żurawski.
Austria: Andreas Schranz – Joachim Standfest (46. Roland Linz), Mario Hieblinger, Anton Ehmann (82. Sanel Kuljić), Emanuel Pogatetz – Markus Schopp
(82. Markus Kiesenebner), René Aufhauser, Dietmar Kühbauer, Martin Stranzl,
Andreas Ivanschitz – Christian Mayrleb.
Żółte kartki: Smolarek – Pogatetz, Standfest, Aufhauser, Ivanschitz, Schranz, Schopp.
Sędziował: Massimo De Santis (Włochy).

Nie rozegrałem wymarzonego meczu w reprezentacji Polski. Przynajmniej nie przypominam sobie, żeby któreś spotkanie w biało-czerwonych barwach było super w moim wykonaniu. Uważam, że zawsze można zagrać lepiej, zrobić coś więcej. Bardzo dobry mecz rozegrałem jednak na przykład w Warszawie w potyczce z Włochami. Rywalizowaliśmy z naprawdę silną ekipą, z wieloma gwiazdami w składzie i wygraliśmy zasłużenie 3:1. To był mój dzień, ale niestety nie uświetniłem go bramką. Po piłkarsku mogę powiedzieć, że „fruwałem nad murawą" i wiedziałem, że nikt mnie nie zatrzyma. Ale to było tylko spotkanie towarzyskie, a wiadomo,

że ważniejsze są mecze o punkty. Dlatego chciałbym przybliżyć kulisy meczu z Austrią w eliminacjach mistrzostw świata.

Rewanżowe spotkanie z Austrią w Chorzowie było dla mnie wyjątkowe z kilku przyczyn. Mogłem wystąpić w domu, bo tak traktuję Śląsk. Mieszkam w tym rejonie od 25 lat, przyjechałem tam najpierw do szkoły, wychowywałem się i zacząłem prowadzić dorosłe życie w Zabrzu. Później kontynuowałem karierę w Krakowie, by w końcu wyruszyć w Europę. W pierwszym meczu z Austriakami w Wiedniu byłem jeszcze zawodnikiem 1. FC Kaiserslautern. Mój ówczesny trener Kurt Jara chyba nie chciał, żebym był w optymalnej dyspozycji. Mogę śmiało stwierdzić, że nie miałem u niego dobrych notowań. Nie ze względu na umiejętności piłkarskie, tylko dlatego, że jestem Polakiem. Czekał nas mecz z Austrią i dwa tygodnie wcześniej trener powiedział mi, że muszę być na to spotkanie… zmęczony.

Kurt Jara pół żartem, pół serio zapowiedział mi niemiecki **laufen**. Musiałem biegać z grupą zawodników o wysokiej wytrzymałości. Ordynował nam okrążenia – sześć razy po kilometrze w określonym czasie. Dla mnie to było zabójstwo, bo naprawdę odczuwałem skutki zmęczenia. Pojechałem z reprezentacją Polski do Wiednia i mecz zacząłem na ławce rezerwowych. Trener Paweł Janas wpuścił mnie dopiero na drugą połowę, a ja zaliczyłem ładną asystę przy trafieniu Tomka Frankowskiego – co prawda „Franek” strzelał na raty, ale ostatecznie pokonał Alexa Manningera. Byłem tak szczęśliwy, że po meczu pierwszy raz się wzruszyłem.

Do klubu wróciłem, czując ogromną satysfakcję. Udowodniłem trenerowi, że byliśmy lepsi piłkarsko. Dałem do zrozumienia, że nas, Polaków, wcale nie należy traktować gorzej za nasze pochodzenie. Wcale nie byliśmy gorszym narodem. Trener powiedział niby żartem: „Scheisse Polnische”. W szatni Kaiserslautern wybuchł gromki śmiech, ale czasem

takie żarty to nie żarty. Gdybyśmy przegrali w Wiedniu, zapewne wziąłbym to bardziej do siebie. Wiedziałem też, że mój klubowy trener w środku aż się gotuje. Wiedziałem, że przegrana jego reprezentacji go zabolała. Później powiedział mi jeszcze: „OK, i tak was załatwimy w Polsce". Ale po tym meczu zaczął mnie w końcu wystawiać do pierwszego składu Kaiserslautern i to był chyba mój najlepszy okres w tej drużynie.

Byłem kilka razy na Stadionie Narodowym i uważam, że to przepiękny obiekt, ale dla mnie wyjątkowe są stare stadiony, z duszą, historią, gdzie każdy kamień ma coś w sobie. Taki był też ówczesny Stadion Śląski. Kibicowanie też się trochę zmieniło, jeszcze kilkanaście lat temu stało na zupełnie innym poziomie. Teraz na trybunach podczas meczów kadry jest więcej teatru, zrobiło się podobnie jak w meczach za granicą. Wrzawa wybucha tylko wtedy, gdy coś się dzieje, a przez większość meczu nie słychać dopingu. Wtedy, w rewanżowym spotkaniu z Austrią, był prawdziwy „Kocioł Czarownic". Inna sprawa, że przez prawie cały mecz dawaliśmy kibicom powody do dopingu, bo emocje sięgały zenitu. Strzelaliśmy gole, później je traciliśmy – najpierw euforia, później nerwówka.

Udało mi się zdobyć bramkę na 2:0. Piłkę dośrodkowywał Maciek Żurawski, a głową zgrywał Grzesiek Rasiak. Gdyby „Gregory" podawał mi prawą nogą, to uznałbym to za zdecydowanie przypadkowe zagranie. Lewą? Pewnie też. Ale że zgrywał piłkę głową, to jestem przekonany, że mnie dostrzegł i wiedział, co chcę zrobić. Choć na powtórkach telewizyjnych wcale nie widać, żeby na mnie spoglądał… Wpakowałem piłkę do siatki, a moja radość pokazywała wszystko. Ciężko opisać mi ją słowami.

Pierwsza odsłona meczu przebiegała zdecydowanie pod nasze dyktando, dyktowaliśmy warunki na boisku. Różnica

dwóch goli to był najmniejszy wymiar kary, jaki mogliśmy zafundować Austriakom. Niestety, goście otrząsnęli się z naszej przewagi w drugiej połowie. Mieliśmy jeszcze więcej sytuacji, które powinniśmy wykorzystać. Emocje zaczęły sięgać zenitu i nasza drużyna też zaczęła popełniać proste błędy. Musieliśmy zacisnąć zęby i walczyć.

Mecz z Austrią przypominał walkę bokserską. Rywalizacja toczyła się od bramki do bramki, to była wymiana cios za cios. Nie da się ukryć, że na Stadionie Śląskim trzeba było drżeć o wynik aż do końcowego gwizdka. Austriacy byli bardzo bliscy remisu. Do walki poderwał ich Roland Linz, który w drugiej połowie wszedł z ławki rezerwowych i strzelił dwa gole. Po meczu mogliśmy odczuć wielką ulgę, bo wykonaliśmy kolejny krok w kierunku mistrzostw świata i skomplikowaliśmy w grupie sytuację Austriaków. Był to także mój mały osobisty sukces, bo znowu udowodniłem ówczesnemu trenerowi, że Polacy wcale nie są gorsi.

Czasy występów w kadrze Polski wspominam jako szczególne. Zwłaszcza gdy powoływani byli Wiślacy. Niekiedy ponad pół wyjściowego składu reprezentacji tworzyli gracze Wisły Kraków. Przyjechać do kraju, spotkać kolegów to była przyjemność. Na kadrze było jak w rodzinie. Trzymaliśmy się razem, tworzyliśmy fajną paczkę. W hotelu, na treningu, na meczu. Wracając do klubu, miałem wrażenie, że zarzucam na siebie wielką skorupę i z nikim nie mogę się porozumieć. Trzeba było walczyć, walczyć i jeszcze raz walczyć. To były dwa zupełnie inne światy. Dlatego wyjazdy do kraju i reprezentowanie barw narodowych będę zawsze wspominał z wielką dumą i radością.

KAMIL KOSOWSKI

Data i miejsce urodzenia: 30 sierpnia 1977 r.,
Ostrowiec Świętokrzyski.

W reprezentacji Polski: 52 mecze, 4 gole.

Debiut: 15 sierpnia 2001, Islandia – Polska 1:1.

Osiągnięcia: uczestnik MŚ 2006.

Kariera klubowa: KSZO Ostrowiec Świętokrzyski,
Gwarek Zabrze, Górnik Zabrze, Wisła Kraków,
1. FC Kaiserslautern (Niemcy), Southampton FC (Anglia),
Chievo Werona (Włochy), Wisła Kraków, Cádiz CF (Hiszpania),
APOEL Nikozja (Cypr), Apollon FC (Cypr),
GKS Bełchatów, Wisła Kraków.

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (2001, 2003, 2008),
mistrzostwo Cypru (2009), Puchar Polski (2002, 2003),
Superpuchar Polski (2001),
Superpuchar Cypru (2008),
Puchar Ligi Polskiej (2001).

HUBERT
KOSTKA

Fot. Wikimedia Commons / CC BY-SA 2.0

ŻYCIOWY SUKCES NA OSTATNIEJ PROSTEJ

10 września 1972, Monachium
Polska – Węgry 2:1 (0:1)

Bramki: Kazimierz Deyna 47., 68. – Béla Várady 42.
Polska: Hubert Kostka – Zbigniew Gut, Lesław Ćmikiewicz, Jerzy Gorgoń,
Zygmunt Anczok – Zygfryd Szołtysik, Kazimierz Deyna (77. Ryszard Szymczak),
Zygmunt Maszczyk, Jerzy Kraska – Włodzimierz Lubański, Robert Gadocha.
Węgry: István Géczi – Péter Vépi, Miklós Páncsics, László Szűcs, Péter Juhász – Béla Várady, Lajos Kű (73. Lajos Kocsis), Ede Dunai, László Bálint – Antal Dunai (80. Kálmán Tóth), Mihály Kozma.
Sędziował: Kurt Tschenscher (RFN).

W reprezentacji Polski przez 10 lat rozegrałem ponad 30 spotkań. Gdy zaczynałem, pewne miejsce między słupkami miał Edward Szymkowiak, według mnie najlepszy bramkarz w historii polskiego futbolu. Później pierwszym wyborem selekcjonerów był Konrad Kornek, ja odgrywałem rolę rezerwowego. Dopiero w drugiej połowie lat 60. wskoczyłem do bramki na dłużej. Myślałem, że zakończę karierę w kadrze po przegranym 0:5 meczu z NRD, ale później Kazimierz Górski znów dał mi szansę. Pod jego wodzą rozegrałem sporo udanych spotkań, jak choćby przeciwko Bułgarii.

Trener Ryszard Koncewicz zrezygnował ze mnie po wspomnianym spotkaniu z NRD. Myślałem, że to już koniec mojej reprezentacyjnej przygody. W Górniku Zabrze nadal spisywałem się jednak bardzo dobrze, więc Kazimierz Górski

postanowił powołać mnie ponownie. W trakcie kwalifikacji do igrzysk olimpijskich dostałem zaproszenie na kontrolne spotkanie z niemiecką drużyną klubową w Wałbrzychu. Przyjechałem, zagrałem, a po meczu trener powiedział mi: „Hubert, stawiam na ciebie, będziesz moim bramkarzem". Nie spodziewałem się, że jeszcze spotka mnie tak piękna przygoda.

Przez eliminacje przebrnęliśmy nie bez problemów, bo przydarzyła nam się porażka z Bułgarią w Starej Zagorze, choć przy udziale sędziego. Potrafiliśmy jednak odrobić stratę do Bułgarów i wywalczyć awans. Dla mnie wyjazd na taką imprezę, u schyłku kariery, był czymś absolutnie wyjątkowym. Zawsze o tym marzyłem. Do Monachium nie jechaliśmy jako faworyci, ale na samych igrzyskach pokonywaliśmy kolejne przeszkody. Wśród kandydatów do złotego medalu wymieniany był głównie ZSRR, a my do dziś nie wiemy, jak udało nam się wygrać z nimi spotkanie, którego stawką był finał. To były „wielkoludy", które potrafiły grać w piłkę. Mimo to okazaliśmy się lepsi, a w dużej mierze była to zasługa świetnych zmian przeprowadzonych przez Kazimierza Górskiego. Zyga Szołtysik, który kochał piłkę, odmienił losy meczu. Nigdy nie myślałem, że jeden zawodnik może aż w takim stopniu wpłynąć na przebieg meczu! On to potrafił i chwała mu za to.

W ten sposób awansowaliśmy do finału, a w nim przyszło nam zagrać z Węgrami. To była dość pechowa dla naszej kadry drużyna. Przed naszym meczem ostatnie zwycięstwo nad tą ekipą odnieśliśmy w 1939 roku. Po wojnie ich drużyna narodowa była niesłychanie silna, regularnie wygrywała z Polską. Nic dziwnego, że nie tylko nie uznawano nas za faworytów finałowego starcia, ale wręcz nie dawano nam dużych szans na sukces.

Obawy potwierdziły się w pierwszej połowie, którą przegraliśmy 0:1. Nie ukrywam, że przy straconej bramce

miałem swój udział. Złapałem piłkę, wyrzuciłem ją do Kazia Deyny. On chciał minąć rywala, ale stracił piłkę. Przeciwnik wjechał w pole karne i zaskoczył mnie strzałem z ostrego kąta; byłem przekonany, że będzie dośrodkowywał, niemniej gol stracony po strzale w „krótki" róg zawsze obciąża konto bramkarza.

W drugiej połowie geniusz pokazał Deyna, zdobywając dwie fantastyczne bramki. Najpierw minął kilku obrońców i bardzo precyzyjnie uderzył przy słupku lewą nogą. W drugiej sytuacji, z trzema defensorami na plecach, minął bramkarza i wepchnął piłkę do bramki. Te trafienia dały nam złoty medal olimpijski. Osiągnęliśmy coś, co wydawało się nieprawdopodobne. Trzeba pamiętać, że nie były to drużyny młodzieżowe. Nie było ograniczeń wiekowych dla zawodników, tak jak obecnie, więc konkurencja była jeszcze większa. Oczywiście, państwa bloku wschodniego miały przewagę, bo nie było wówczas zawodowych kontraktów, które wykluczały z udziału w igrzyskach, ale tak było w przypadku wielu krajów.

Zdaję sobie sprawę, że nie da się porównać igrzysk olimpijskich do mistrzostw świata. Cały czas pozostajemy jednak jedyną drużyną piłkarską w historii Polski, która sięgnęła po złoty medal na wielkiej międzynarodowej imprezie. Uważam, że w sporcie zawsze liczy się pierwsze miejsce. Drugi jest pierwszym przegranym. Chodzi o to, by być najlepszym. Dlatego tak bardzo cenię sobie ten sukces. To był dla mnie szczyt, który osiągnąłem w ostatniej fazie kariery. Rok później zakończyłem grę w piłkę. Dzięki temu medalowi mogę być dumny z tego, do czego udało mi się dojść.

Data i miejsce urodzenia: 27 maja 1940 r., Racibórz.

W reprezentacji Polski: 32 mecze.

Debiut: 15 kwietnia 1962, Maroko – Polska 1:3.

Osiągnięcia: złoty medal IO 1972.

Kariera klubowa: LZS Markowice, Unia Racibórz, Górnik Zabrze.

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (1961, 1963, 1964, 1965, 1966, 1970, 1971, 1972), Puchar Polski (1965, 1968, 1969, 1970, 1971, 1972),
finał Pucharu Zdobywców Pucharów (1970).

WOJCIECH
KOWALCZYK

Fot. Tony Marshall / EMPICS / Getty Images

NA CAMP NOU CHCIAŁEM BYĆ JAK BONIEK

8 sierpnia 1992, Barcelona
Hiszpania – Polska 3:2 (0:1)

Bramki: Abelardo 65., Kiko 70., 90. – Wojciech Kowalczyk 45., Ryszard Staniek 75.
Hiszpania: Toni – Albert Ferrer, Lasa Goikoetxea (51. José Amavisca),
Roberto Solozábal, Juan López Martinez – Luis Enrique, Josep Guardiola,
Abelardo, Rafael Berges – Kiko, Alfonso.
Polska: Aleksander Kłak – Tomasz Łapiński, Marek Koźmiński, Tomasz Wałdoch – Ryszard Staniek, Jerzy Brzęczek, Dariusz Gęsior, Andrzej Kobylański, Marcin Jałocha (55. Piotr Świerczewski) – Andrzej Juskowiak, Wojciech Kowalczyk.
Żółte kartki: Wałdoch, Kowalczyk.
Sędziował: José Torres Cadena (Kolumbia).

W reprezentacji Polski rozegrałem 39 spotkań, w tym kilka uznanych za bardzo udane. Udało mi się zdobyć parę bramek, także dość urodziwych. Miałem też na koncie sukcesy z Legią Warszawa, z którą dotarłem do półfinału Pucharu Zdobywców Pucharów. Strzelałem gole wielkiej wtedy Sampdorii oraz na Old Trafford, prowadzonemu przez sir Alexa Fergusona Manchesterowi United. Ale to, co dla mnie najważniejsze, to, do czego stale wracam wspomnieniami, zdecydowanie wiąże się z igrzyskami olimpijskimi w Barcelonie i zdobytym przez Polskę srebrnym medalem.

W eliminacjach zwyciężyliśmy we wszystkich sześciu spotkaniach. Pogoniliśmy Anglików, Irlandczyków i Turków.

Wygrać dwa razy z Anglikami (mecz i rewanż) w tamtych czasach, nawet jeśli chodziło o drużynę młodzieżową, to było coś! Ja niestety w żadnym z tych meczów nie zagrałem. Powołanie dostałem później, gdy eliminacje były już na finiszu. Trener Janusz Wójcik zdecydował, że skorzysta z usług młodego zawodnika – Wojtka Kowalczyka, gracza warszawskiej Legii.

Chociaż w barażach przegraliśmy z Danią 0:5 i zremisowaliśmy u siebie 1:1, to okazało się, że jedziemy na igrzyska. Zadecydował o tym współczynnik punktów grupowych. Co tu kryć, mieliśmy farta. Zostały nam zatem już tylko przygotowania do pierwszej i ostatniej (ze względu na obowiązujący limit wieku) imprezy naszego życia. Widzieliśmy tam największe gwiazdy sportu, staliśmy o krok od Michaela Jordana. Dla większości chłopaków to było niesamowite przeżycie.

W pierwszym spotkaniu ograliśmy Kuwejt 2:0 po bramkach Andrzeja Juskowiaka, ale charakter tej drużyny tak naprawdę dał się poznać w meczu z Włochami. Właśnie ta konfrontacja miała zadecydować o tym, kto po wyjściu z grupy trafi na Hiszpanów, a kto zagra ze słabiutkim Katarem. Gospodarzy obawiali się wszyscy. Jak się później okazało, aż do finału nie stracili nawet jednej bramki…

Trzeba przypomnieć, że Italia w tej kategorii wiekowej, to jest do 23 lat, była ówczesnym mistrzem Europy. Nogi jednak się pod nami nie ugięły. Odprawiliśmy Włochów z kwitkiem 3:0. To był w naszym wykonaniu mecz kompletny, wszyscy zagrali tak, jak powinni. Gdyby Grzesiu Mielcarski był nieco skuteczniejszy, mogliśmy zdobyć dwie, trzy bramki więcej. Grzesiek wszedł na boisko i dostawał od nas tyle podań, że mogliśmy zdeklasować rywala. Ale najważniejsze było, że odnieśliśmy zwycięstwo! A Włosi mogli się cieszyć, że dostali tylko „trójeczkę”.

Ograliśmy Italię, dzięki czemu na Hiszpanów mogliśmy natknąć się dopiero w finale. Potem zremisowaliśmy w Saragossie ze Stanami Zjednoczonymi 2:2, wygraliśmy grupę i spokojnie czekaliśmy na ćwierćfinał w Barcelonie. Naprzeciw nas stanął Katar. Tamten mecz trzeba było po prostu wygrać. Do pierwszej bramki trochę się z nimi męczyliśmy. Niestety, brakowało nam skuteczności, ale do czasu. To w tym spotkaniu rozpocząłem strzelanie na olimpiadzie – byłem pierwszym wyborem trenera, grałem w ataku obok Andrzeja Juskowiaka, ale wcześniej w meczach grupowych nie zdołałem zdobyć ani jednej bramki, zaliczyłem tylko asystę do Grześka Mielcarskiego w meczu z Włochami. Jedna asysta i zero bramek? Coś jest nie tak! Trochę mnie to drażniło. Juskowiak miał już kilka trafień na koncie – dlaczego miałbym być gorszy?

Od tamtej pory szło mi jak z płatka. Może dlatego, że na Camp Nou czułem się wyjątkowo dobrze? Odprawiliśmy z kwitkiem Katar, wygrywając 2:0. W półfinale z Australią strzeliłem pierwszego gola, ale po kilku minutach rywale wyrównali. O nie! Tak być nie może! Jeszcze przed przerwą Andrzej Juskowiak zdobył bramkę po moim dośrodkowaniu. Rywale byli groźni dla wszystkich, ale my mieliśmy Wójcika, który mówił, że przegrana z „Kangurami" byłaby totalnym wstydem dla polskiej piłki.

W drugiej odsłonie spotkania nastąpił koncert jednej drużyny – biało-czerwonej! To był jeden z najlepszych meczów, jakie widziałem, w których Polska grała z kontrataku. A jedno z naszych trafień to według mnie najpiękniejsza akcja w historii polskiego futbolu. Zaczął ją Tomek Łapiński, który wybił piłkę lewą nogą, której właściwie… nie miał. Piłkę przejął Andrzej Juskowiak, który zmylił przeciwnika zwodem i zagrał piętą do Ryśka Stańka. Później już tylko dograniе do mnie, a ja pasówką pokonałem bramkarza. To była dopiero akcja! Tak

wyprowadzonej kontry nigdy wcześniej ani później w wykonaniu naszej reprezentacji nie widziałem. Oglądałem tę bramkę wiele razy. Właśnie tak wtedy graliśmy. Potrafiliśmy dobrze stanąć w tyłach, by następnie w odpowiednim momencie zagrać świetną piłkę do przodu i ruszyć z zabójczym kontratakiem. Nie na zasadzie „kopnij i biegnij", tylko bardzo efektownie. Na naszych meczach kibice skandowali „Polska!!! Polska!!!" i o dziwo, nie byli to polscy fani, lecz w większości Hiszpanie, blisko 50 tysięcy ludzi. Bili nam brawa za ofensywny futbol, po prostu byli zachwyceni naszym stylem. Jeśli chodzi o organizację gry i mobilizację, zbliżaliśmy się do perfekcji.

Po latach myślę sobie, że to było jedno z tych pokoleń piłkarskich, w którym nie oglądano się tylko na jednego zawodnika. Ja nie czułem się gwiazdą, Juskowiak też nie. To była generacja piłkarzy, którzy naprawdę umieli grać w piłkę. Na każdej pozycji mieliśmy zawodników kompletnych: od rozgrywania, od przerywania i bronienia.

Przeszliśmy do historii, zapewniliśmy sobie medal. Teraz czekał nas finał z gospodarzami turnieju. Wiedzieliśmy, że Hiszpanie bardzo się nas obawiają. Przegrać olimpijski finał na własnym terenie, przy komplecie publiczności, z królem Hiszpanii na trybunach? Mieli przecież zawodników, którzy wygrywali Puchar Europy, z Pepem Guardiolą na czele. Barcelona, Real, Atlético, a naprzeciwko Legia, ŁKS, Górnik. Nie przejmowaliśmy się tym jednak, bo wiedzieliśmy, że finał to i tak ogromny sukces. Dobijał nas tylko hiszpański ukrop. Temperatura codziennie osiągała ponad 30 stopni. Nie byliśmy przyzwyczajeni do takich warunków, a do tego dochodziły mordercze treningi. Zdarzało się nawet, że ciężko było nam zasnąć. Ale trener Wójcik bez przerwy nas stymulował. Pamiętam, jak powiedział, że mecz finałowy na pewno

wytrzymamy pod względem kondycyjnym, nawet jeśli trzeba będzie grać 120 minut.

Stadion nie był dla nas obcy, bo rozgrywaliśmy na Camp Nou ćwierćfinał i półfinał. Problemem było ponad 100 tysięcy nastawionych przeciwko nam ludzi na trybunach. Ale my już nic nie musieliśmy, a nasi rywale owszem. Ciążyła na nich zatem ogromna presja. Już na rozgrzewce Wójcik to dostrzegł: „Oni to mają zeza w oczach. Zobaczcie, jak są przestraszeni!".

Pamiętam szatnię Barcelony. Moja pierwsza reakcja: „Jezus Maria, gdzie my jesteśmy!?". To był jeden wielki, cholerny kolos. Jacuzzi, 17 pryszniców, basen, cuda niewidy. Widziałem coś, o czym w Polsce w tamtym czasie można było tylko pomarzyć. Byliśmy gotowi do wyjścia, a „Wujo" wciąż jeszcze klepał nas po plecach i motywował. Wychodziliśmy na ostatni mecz w naszym życiu na tego typu imprezie.

Wiedzieliśmy, że gramy z drużyną lepszą od nas, a do tego w jaskini lwa. Hiszpanie mogli liczyć na przychylność arbitrów. Wszyscy myśleli, że rzucą się na nas i pożrą już w pierwszej połowie. Ale „Wujo" przekonał nas, że nie ma czego się bać, że nie ma sensu się cofać, że powinniśmy zagrać ofensywnie. „Przeczyścić, przeczyścić, przeczyścić" – czyli w jego słowniku: wyjść na murawę i już na samym starcie ich przestraszyć.

W 45. minucie spotkania już ledwo oddychałem, opadałem z sił. Ale po długim wybiciu Alka Kłaka piłka spadła mi wprost pod nogi. Pędziłem z nią ile sił, po drodze jeszcze skopał mnie Juan López Martinez. Ale nie chciałem się przewrócić, tylko strzelić gola! Wpuściłem „szczura" przy prawym słupku. Camp Nou zamarło. Polska prowadzi z Hiszpanią 1:0. Co się dzieje?!

Miałem już dość. Padałem na murawę z wycieńczenia. „Odwieźcie mnie do szpitala! Dajcie mi tlen!" – przechodziło mi przez głowę. W końcu zeszliśmy do szatni na przerwę. Część chłopaków od razu się rozebrała i wskoczyła do basenu.

Posiedzieli tam minutę czy dwie, bo zaraz zawołał ich Wójcik. Zmieniliśmy przesiąknięte potem stroje. Upał spowodował, że getry były cięższe od butów… „Dotrzymamy to! Dotrzymamy to!" – cały czas sobie powtarzaliśmy w szatni.

Koniec przerwy. Czas wyjść na boisko. Coś jednak poszło nie tak… Kilka minut później już przegrywaliśmy. Wrzawa na trybunach. Nie tak miało być. Graliśmy jednak swoje, nie poddawaliśmy się. Dostałem kopa w nogę i musiałem opuścić murawę. Moi koledzy grali w 10 na 11 na Camp Nou, a w tym czasie masażysta przywracał mnie do stanu używalności. Nagle zobaczyłem podanie Jurka Brzęczka do Stańka. Strzał i jest 2:2! Z radości chciałem się wyrwać masażyście. W podświadomości było: „Jezu! My w dziesiątkę jesteśmy w stanie grać w piłkę i nawet strzelić gola". Nie przynosimy wstydu w meczu z wielkimi Hiszpanami!

Spotkanie zbliżało się ku końcowi. Jedna i druga drużyna słaniały się na nogach. My za wszelką cenę chcieliśmy dociągnąć do dogrywki. Poczuliśmy, że jesteśmy lepiej od nich przygotowani fizycznie. Wiedzieliśmy, że jak po 90 minutach będzie remis, to ich nie ma! Nasi rywale bowiem padali. Minuty do końca spotkania. Rzut rożny dla Hiszpanii. Dośrodkowanie, zamieszanie w polu karnym. Piłka spadła pod nogi Kiko. Gdyby Alek Kłak nie był takim szalonym bramkarzem i stałby do końca, to Kiko nie miałby gdzie strzelać i piłka wpadłaby mu w ręce. Przecież mieliśmy dwóch obrońców przy słupkach! Hiszpanie jednak strzelili decydującego gola i zaraz potem sędzia odgwizdał koniec spotkania. Szok, niedowierzanie. Przecież miała być dogrywka, a mecz skończył się wynikiem 2:3…

Są tacy, którzy do dzisiaj za przegrany finał winią Marka Koźmińskiego, bo w tej feralnej 90. minucie wybił piłkę na rzut rożny. Ale zawsze powtarzam: przecież rzut rożny to nie

bramka! Skoro tak, to i na mnie można zwalić winę, bo gdyby Kowalczyk strzelił w pierwszej połowie dwa gole, a nie jednego, to mogłoby być zupełnie inaczej. Miałem dogodną sytuację, ale trafiłem prosto w ręce bramkarza.

Zawsze gdy rozkładam na czynniki pierwsze tę sytuację przy bramce na 2:3, to uważam, że największy błąd popełnił Alek Kłak. Usiadł na tyłku, a że Kiko był wielkim piłkarzem, cwanym lisem, to się zabawił. Byliśmy załamani, ale po chwili smutku przyszła radość i satysfakcja. „Panowie! Przecież mamy medal! Olimpijski medal!" – powtarzaliśmy sobie. Każdy, kto oglądał dekorację, widział jedno: ta drużyna jest naprawdę szczęśliwa. Mimo że przegraliśmy, byliśmy z siebie bardzo dumni. Mogliśmy ten mecz wygrać, ale niestety zabrakło nam skuteczności, bo na pewno nie szczęścia. W piłce nożnej nie ma szczęścia. Można je mieć w totolotku, jak się trafi „szóstkę".

I tak odnieśliśmy wielki sukces. Dostaliśmy jedną szansę i ją wykorzystaliśmy. Po wielu latach wciąż czuję ten finał, ten hiszpański jazgot. Często do tego wydarzenia wracam, oglądam je nawet w całości. Jestem bowiem z tych sportowców, którzy obejrzą porażkę, ale tylko finałową.

Nie było mi dane zagrać później na większej imprezie. Może to dobrze? Uważam, że lepiej wystąpić na jednej imprezie i odnieść sukces niż wystąpić na kilku turniejach bez żadnych dokonań. Gdybym miał wybrać jeszcze raz, co miałbym powtórzyć w swojej karierze, to zdecydowanie wskażę na te igrzyska. Nie ma czegoś bardziej spektakularnego niż spotkać się z tyloma sportowcami. Każda impreza pozostawia po sobie niezapomniane przeżycia, a igrzyska szczególnie. Zawsze gdy spoglądam na olimpijski medal, który trzymam na widoku, mam przed oczami finał z Hiszpanią na Camp Nou – 8 sierpnia 1992 roku. To był tak naprawdę sukces wszystkich Polaków. Medal olimpijski w grze zespołowej.

I na koniec anegdota: każdy z nas przed meczem miał dwie koszulki. Jeszcze przed olimpiadą zarezerwowałem sobie numer 20. Wszyscy dostali swoje, a ja bramkarską z napisem „Kowalczyk” i numerem 20. O co chodzi? Przecież nie będę bronił – śmiałem się. Na szczęście szybko naprawiono ten błąd. Dlaczego wybrałem numer 20? Bo z tym numerem grał Zbigniew Boniek. I ja też chciałem być jak Boniek na Camp Nou. Doskonale pamiętałem jego mecz sprzed 10 lat i hat-trick w meczu z Belgią. Wiedziałem, że jak mam zagrać na Camp Nou, to tylko z numerem 20.

WOJCIECH KOWALCZYK

Data i miejsce urodzenia: 14 kwietnia 1972 r., Warszawa.

W reprezentacji Polski: 39 meczów, 11 goli.

Debiut: 21 sierpnia 1991, Polska – Szwecja 2:0.

Osiągnięcia: srebrny medal IO 1992.

Kariera klubowa: Olimpia Warszawa, Polonez Warszawa, Legia Warszawa, Betis Sewilla (Hiszpania), UD Las Palmas (Hiszpania), Legia Warszawa, Anorthosis Famagusta Larnaka (Cypr), APOEL Nikozja (Cypr), AZS Absolwent UW Warszawa, KTS Weszło Warszawa.

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (1994, 1995, 2002), mistrzostwo Cypru (2004), Puchar Polski (1994), Puchar Cypru (2002, 2003), Superpuchar Polski (1994), król strzelców ligi cypryjskiej (2002).

WOJCIECH
KOWALEWSKI

DOBRA ROBOTA, WOJTEK!

6 września 2006, Warszawa
Polska – Serbia 1:1 (1:0)

Bramki: Radosław Matusiak 31. – Danko Lazović 72.
Polska: Wojciech Kowalewski – Paweł Golański (71. Marcin Wasilewski),
Mariusz Jop, Jacek Bąk, Michał Żewłakow – Ireneusz Jeleń (74. Jakub Błaszczykowski), Mariusz Lewandowski, Arkadiusz Radomski, Jacek Krzynówek – Maciej Żurawski, Radosław Matusiak.
Serbia: Vladimir Stojković – Marjan Marković, Milan Stepanov, Milan Biševac,
Mladen Krstajić – Igor Duljaj (65. Ivan Ergić), Nenad Kovačević, Dejan Stanković, Aleksandar Trišović (61. Danko Lazović) – Marko Pantelić (83. Ognjen Koroman), Nikola Žigić.
Żółte kartki: Golański, Błaszczykowski, Kowalewski – Marković, Stanković,
Stepanov, Krstajić.
Sędziował: Graham Poll (Anglia).

Ktoś może się zdziwić, że za moje najważniejsze 90 minut w kadrze uznaję mecz z Serbią, a nie na przykład zwycięskie starcie z Portugalią. Ale według mnie to właśnie wtedy narodziła się głodna sukcesów drużyna, która ostatecznie zajęła pierwsze miejsce w swojej grupie eliminacyjnej i awansowała na Euro 2008.

Te eliminacje były pierwszymi dla Leo Beenhakkera w roli selekcjonera reprezentacji Polski. Przypominam sobie rozmowę z nim, gdy powiedziałem, że chcę być w tej kadrze bez względu na to, jaką rolę mi przydzieli. Zaakceptowałbym każdą decyzję Holendra.

Pierwszy mecz w Bydgoszczy z Finlandią przegraliśmy 1:3. Bronił Jerzy Dudek, a w rezerwie znaleźliśmy się ja i Artur

Boruc. Cała drużyna wypadła zdecydowanie poniżej oczekiwań sztabu szkoleniowego. W następnym meczu czekał nas bój z Serbią w Warszawie.

Na kilka dni przed tym spotkaniem czułem komfort psychiczny. Od asystenta Leo, Bogusława Kaczmarka, otrzymywałem wyraźne sygnały, że to będzie mój moment, że zagram i dostanę szansę zaistnienia w reprezentacyjnej piłce. Zdawałem sobie sprawę, że to może być jedyna taka szansa w moim życiu.

Jako zespół nie prezentowaliśmy się na treningach zbyt dobrze. Pamiętam doskonale pewną sytuację, gdzie w grze treningowej nie byliśmy w stanie wymienić trzech sensownych podań. Coś się w nas zacięło, coś trzeba było natychmiast zmienić, przede wszystkim w sferze mentalnej.

Bardzo zależało mi na tym, aby moi koledzy z zespołu wiedzieli, że od tyłu wszystko jest odpowiednio zabezpieczone, że ich nie zawiodę. Starałem się być dobrym duchem zespołu. Taką rolę odgrywałem w moich klubowych drużynach – Szachtarze Donieck i Spartaku Moskwa. Myślę, że nie będzie żadną przesadą, jeśli powiem, że w szatni ostatnie słowo przed wyjściem na murawę zawsze należało do mnie. Tylko w Legii Warszawa to zadanie należało do innych.

Przed wejściem na murawę przed starciem z Serbią wykrzyczałem do kolegów: „Zagrajmy ten mecz przede wszystkim dla siebie, dla swoich bliskich. Pokażmy charakter!”. Wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że to może być spotkanie o „być albo nie być” nie tylko dla nas, ale również dla Beenhakkera. Leo – w odróżnieniu od innych szkoleniowców – nie był mówcą. Nie przemawiał do nas godzinami, z dnia na dzień otrzymywaliśmy małe partie informacji taktycznych. Tak naprawdę podczas całych zgrupowań na analizę gry rywala

poświęcaliśmy 15 albo 20 minut dziennie. Taki model pracy w jego kadrze się utrwalił i przypadł nam do gustu.

Na minuty przed wyjściem na murawę zaczęły budzić się we mnie prawdziwe emocje. Gra z orzełkiem na piersi zawsze była dla mnie największym zaszczytem. Zakładając rękawice, pomyślałem sobie, że to moja szansa. Marzyłem o wielkim meczu. Moim meczu! W pierwszych minutach udało mi się w ekwilibrystyczny sposób wybronić strzał jednego z Serbów. A że dla bramkarza zawsze bardzo ważna jest ta pierwsza, udana interwencja, poczułem w sobie moc.

Taktyka Serbów polegała na częstych dośrodkowaniach piłki w pole karne, kierowanych do ich wysokiego środkowego napastnika. Wielokrotnie byłem zmuszony do interweniowania na przedpolu. To bardzo mi pasowało, taki był mój styl gry. W zasadzie cały mecz przebiegał pod naszą kontrolą. Stwarzaliśmy też wiele sytuacji bramkowych, których nie potrafiliśmy wykorzystać. W 70. minucie spotkania nie ustrzegliśmy się jednak błędu. W sytuacji sam na sam wybroniłem strzał Marko Pantelicia, lecz byłem bezradny wobec dobitki z pięciu metrów Danko Lazovicia. Zwycięstwo w tym meczu było bardzo blisko, ale ostatecznie zremisowaliśmy 1:1.

Nieszczęśliwie dla mnie w meczu zarobiłem głupią żółtą kartkę. Serbski zawodnik symulował kontuzję, podałem mu rękę i starałem się podnieść, gdyż moim zdaniem celowo opóźniał grę. Sędzia uznał jednak, że go szarpię, i napomniał mnie żółtą kartką. Po końcowym gwizdku arbiter przyznał, że jego decyzja była zbyt pochopna, bo niezbyt dobrze widział szczegóły tego zajścia. Ta żółta kartka była o tyle istotna, że w meczu z Portugalią również zostałem upomniany „żółtkiem”, tym razem słusznie. Te dwie kary indywidualne spowodowały,

że nie mogłem wystąpić w kolejnym meczu eliminacyjnym, z Belgią.

Po meczu z Serbią, pomimo remisu, Leo był z nas bardzo zadowolony. Przybił każdemu piątkę i powiedział, że dobrze zrealizowaliśmy zadanie. Wszyscy poczuliśmy, że w pewnym stopniu się przełamaliśmy. Nawet trener to widział. Nie powiedział tego na głos, ale on też czuł, że narodziła się drużyna, która może odnosić sukcesy. Dodatkową satysfakcję sprawiło mi, kiedy w hotelu przed kolacją podszedł do mnie i powiedział: „Dobra robota, Wojtek!". To był milowy krok w stronę awansu na mistrzostwa Europy.

WOJCIECH KOWALEWSKI

Data i miejsce urodzenia: 11 maja 1977 r., Białystok.

W reprezentacji Polski: 11 meczów, 0 goli.

Debiut: 10 lutego 2002, Wyspy Owcze – Polska 1:2.

Osiągnięcia: uczestnik ME 2008.

Kariera klubowa: Wigry Suwałki, Legia Warszawa, Dyskobolia Grodzisk Wielkopolski, Legia Warszawa, Szachtar Donieck (Ukraina), Spartak Moskwa (Rosja), Korona Kielce, Iraklis Saloniki (Grecja), Sibir Nowosybirsk (Rosja), Anorthosis Famagusta Larnaka (Cypr).

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (2002), mistrzostwo Ukrainy (2002), Puchar Ukrainy (2002), Puchar Ligi Polskiej (2002).

MAREK
KOŹMIŃSKI

Fot. Stu Forster / Allsport / Getty Images

NIESUBORDYNACJA PRZY RZUCIE KARNYM

2 września 2000, Kijów
Ukraina – Polska 1:3 (1:2)

Bramki: Andrij Szewczenko 12. – Emmanuel Olisadebe 3., 31., Radosław Kałużny 55.
Ukraina: Wiaczesław Kernozenko – Oleg Łużnyj, Aleksandr Hołowko, Władisław Waszczuk, Jurij Dmitrulin – Serhij Popow (73. Witalij Kosowski),
Andrij Gusin, Andrij Worobej (62. Artem Jaszkin),
Anatolij Timoszczuk (46. Gennadij Zubow) – Andrij Szewczenko, Serhij Rebrow.
Polska: Jerzy Dudek – Tomasz Kłos (85. Tomasz Hajto), Jacek Zieliński,
Tomasz Wałdoch, Michał Żewłakow – Tomasz Iwan, Radosław Kałużny,
Piotr Świerczewski, Marek Koźmiński (90. Jacek Krzynówek) – Emmanuel Olisadebe, Andrzej Juskowiak (69. Radosław Gilewicz).
Żółte kartki: Kałużny, Kłos.
Sędziował: José María García-Aranda (Hiszpania).

Czas przed eliminacjami mistrzostw świata 2002 był trudny. Reprezentację Polski po Januszu Wójciku objął Jerzy Engel. Zmienił się sztab szkoleniowy, wszystko się zmieniło. A jak to zwykle bywa przed każdymi eliminacjami, pojawiły się też nowe nadzieje i oczekiwania. Grałem w kadrze w latach 90. i kibice doskonale pamiętają, co działo się, gdy walczyliśmy o wyjazd na wielką imprezę. Mieliśmy bardzo dobrych piłkarzy, ale brakowało nam drużyny. Niepowodzenie goniło niepowodzenie. Wciąż czekaliśmy na udział

w międzynarodowym turnieju. Dlatego też przyjściu nowego szkoleniowca zawsze towarzyszyły pytania. Co zrobi? Jak przygotuje drużynę? Czy reprezentacja będzie liczyła się w walce o wyjazd na mistrzostwa świata? Tym razem jednak w porównaniu z ubiegłymi latami zaczęła się jednak tworzyć drużyna, a organizacyjnie wyglądało to zdecydowanie lepiej niż kilka lat wcześniej, kiedy to panował znacznie większy chaos.

Trener miał pomysł, jak to wszystko sobie poukładać, i zaczął powoływać nowych zawodników. W kadrze pojawił się między innymi Emmanuel Olisadebe, doszli też kolejni gracze. Nasz zespół został scalony po wielu wcześniejszych rozczarowaniach. Poziom gry zaczynał się podnosić, a drużyna była odpowiedzialna i zdyscyplinowana. Nie pozwalaliśmy też sobie na folgowanie, bo dobro reprezentacji było dla nas najważniejsze. Padało hasło: „Panowie, jest pierwszy dzień, to można sobie go potraktować nieco luźniej". Ale gdy ktoś kolejnego ranka był niewyspany, to drużyna wręcz sama go eliminowała. Stawialiśmy sprawę jasno: „No nie, na coś takiego przecież się nie umawialiśmy". Pewnego razu ktoś tę granicę niestety przekroczył. Mieliśmy jednak swoje zasady. Wiedzieliśmy, kiedy i na co możemy sobie pozwolić.

Przed walką w eliminacjach mistrzostw świata reprezentacja Polski rozegrała kilka meczów towarzyskich. Mierzyliśmy się z nie byle kim, bo walczyliśmy z takimi tuzami jak Hiszpanie, Francuzi, Holendrzy. Niestety, ponosiliśmy porażki, które stanowiły pokłosie poszukiwania przez trenera wyjściowej jedenastki. Skład reprezentacji ewoluował. Selekcjoner rozpoczynał pracę z innymi zawodnikami, później sprawdzał kolejnych graczy i tak krok po kroku szykował drużynę do walki o mundial. To zupełnie zrozumiałe, bo każdy selekcjoner chce dobrać sobie grupę ludzi, na którą będzie mógł liczyć w meczach o stawkę. Ostatnim sprawdzianem było spotkanie

z Rumunią. Mecz w Bukareszcie zremisowaliśmy, ale trener już wtedy dostrzegł, że ten skład mu pasuje.

Byliśmy gotowi na eliminacje, które zaczynaliśmy od wyjazdu. W Kijowie czekało nas starcie z Ukrainą. Nie byliśmy faworytami, pewnie niektórzy zastanawiali się, ile przegramy z gospodarzami. Tymczasem na boisku zmierzyło się dwóch godnych siebie przeciwników. Rywalizacja zaczęła nam się układać, a szybko strzelony gol dodał nam skrzydeł. Z takiego meczu lepiej zapamiętuje się te pozytywne fragmenty spotkania, jak wybicie piłki z linii bramkowej przez Tomka Kłosa – to była naprawdę ekwilibrystyczna interwencja, bo zrobił to jak doświadczony karateka. Z upływem czasu zaczęliśmy kontrolować przebieg spotkania, a Ukraińcy groźni byli tylko w pierwszej połowie. Przed przerwą drugie trafienie dołożył Emmanuel Olisadebe i do szatni schodziliśmy z prowadzeniem. Druga połowa wyglądała już inaczej. Ukraińcy próbowali na nas ruszyć, ale walili głową w mur.

Wynik rozstrzygnął Radosław Kałużny, który zdobył trzecią bramkę dla naszego zespołu. Rozmiary naszego zwycięstwa mogły być jeszcze wyższe, ale rzutu karnego nie wykorzystał Andrzej Juskowiak, który uderzał, choć nie był wyznaczony przez trenera do egzekwowania jedenastki. Trener wybrał Michała Żewłakowa, który był wtedy jeszcze żółtodziobem, a przecież był w naszych szeregach chłopak, który umiał to robić. Starszyzna na boisku uznała zatem, że ma być inaczej. Wbrew ustaleniom trenera powiedzieliśmy: „Andrzej, bierz to”. Juskowiak niestety nie strzelił i po latach można powiedzieć, że zapłacił za naszą niesubordynację, bo zaczął mniej grać, a później jego miejsce w kadrze zajął Paweł Kryszałowicz.

Z Ukraińcami wygraliśmy zasłużenie. To było spotkanie, po którym ustabilizował się skład grający praktycznie do samego końca eliminacji. Cenna wygrana w Kijowie dała nam wiarę, że

jesteśmy grupą, która może osiągnąć coś fajnego. Mieliśmy swój mecz założycielski, który pchnął kadrę do kolejnych wyzwań. Trzeba też zaznaczyć, że dla wielu z nas był to ostatni dzwonek w reprezentacyjnej karierze. Mieliśmy bowiem w kadrze pokolenie, dla którego tamte eliminacje były ostatnią szansą, by pojechać na wielki turniej. Gdyby wtedy nam się nie udało, to już nigdy by to nie nastąpiło. A dzięki temu zwycięstwu zdaliśmy sobie sprawę, że przeciwnicy są w naszym zasięgu. O dziwo, lepiej wychodziły nam mecze z silnymi rywalami niż słabszymi, takimi jak Armenia. Tam daliśmy się wciągnąć w wojnę, pozwoliliśmy się sprowokować.

Od pierwszego meczu zaczęliśmy dominować w naszej grupie. Graliśmy fajny i przyjemny futbol. Naszymi atutami w tych kwalifikacjach były przede wszystkim wysoko ustawiona obrona i umiejętność kontrataku. Ciężko było nam strzelić gola, bo trener Engel bardzo dobrze poukładał zespół. A że mieliśmy więcej zawodników defensywnych niż ofensywnych, to selekcjoner czasami miał nawet taki kłopot, że musiał bardzo dobrego środkowego obrońcę posadzić na ławce rezerwowych, bo ten już nie mieścił się w podstawowym składzie. Defensywni zawodnicy byli więc czasami wykorzystywani w pomocy – tak było między innymi ze mną. Zdarzały się jednak także wypadki przy pracy. Po awansie na mistrzostwa świata zebraliśmy oklep od Białorusi, przegrywając 1:4. Mogliśmy te eliminacje spuentować nieco inaczej. Pojechaliśmy tam radośni, wróciliśmy smutni. Takie mecze się jednak zdarzają i są wpisane w piłkę nożną.

Wyjazd na mistrzostwa świata to już zupełnie inna bajka. Byłem na wielkich turniejach czy to jako zawodnik, czy w roli obserwatora i z perspektywy czasu na niektóre rzeczy patrzę zupełnie inaczej. Mogę powiedzieć, że w Korei i Japonii zapłaciliśmy frycowe. Nie mieliśmy doświadczenia. Nie

wiedzieliśmy, jak przygotować się do tego turnieju. Przyjechaliśmy do innej strefy klimatycznej i byliśmy totalnie ugotowani. Przed samym turniejem rozegraliśmy sparingowy mecz z mistrzem Korei. Rywalizowaliśmy z przeciwnikiem i ewidentnie czuliśmy, że coś jest nie tak. To tak jak na mundialu w Rosji: niektórzy kadrowicze przeczuwali, że nogi po prostu nie będą ich nieść. Na mundialową porażkę złożyło się wszystko po trochu. Klimat, lekkie przetrenowanie. Wrzucono nas do jednego kotła. Ten, który grał 40 meczów w sezonie, ćwiczył razem z graczem, który zanotował zdecydowanie mniej minut. Mieliśmy już swoje lata, a przecież pewnych rzeczy nie da się przeskoczyć. Może gdybyśmy mogli rozegrać czwarty, piąty mecz, wyglądałoby to coraz lepiej. Niestety, nie było na to szansy. Chcieliśmy na tym turnieju grać futbol ofensywny, kreować grę, ale absolutnie nie byliśmy na to gotowi. Może gdybyśmy zagrali na przykład tak jak z Ukraińcami i jak graliśmy wszystkie mecze eliminacyjne, czyli podwójna garda, kontratak, walka i czekanie na otwarcie przeciwnika, to coś by z tego było. Na mundialu jednak wyglądało to bardzo słabo. Koreańczycy byli poza naszym zasięgiem, a z Portugalczykami nie stać nas było na otwartą grę.

Po mistrzostwach świata kilkunastu z nas przestało grać w kadrze. Rzadko się zdarza, żeby aż tylu piłkarzy schodziło z reprezentacyjnej sceny. Przede wszystkim decydował o tym jednak wiek. Tak też było w moim przypadku. Ostatnim spotkaniem, w którym zagrałem z orzełkiem na piersi, był wygrany mecz ze Stanami Zjednoczonymi. Szkoda, że już o nic…

EUROPEAN QUALIFIERS
Eq8#
14.10.2014

MAREK KOŹMIŃSKI

Data i miejsce urodzenia: 7 lutego 1971 r., Kraków.

W reprezentacji Polski: 45 meczów, 1 gol.

Debiut: 9 września 1992, Polska – Izrael 1:1.

Osiągnięcia: srebrny medal IO 1992, uczestnik MŚ 2002.

Kariera klubowa: Hutnik Kraków, Udinese Calcio (Włochy), Brescia Calcio (Włochy), Ancona Calcio (Włochy), PAOK FC (Grecja), Górnik Zabrze.

Osiągnięcia: Puchar Grecji (2003).

JERZY
KRASKA

Fot. Eugeniusz Warmiński / East News

MISTRZOSTWO OLIMPIJSKIE ZDOBYTE NA LEŻĄCO

10 września 1972, Monachium
Polska – Węgry 2:1 (0:1)

Bramki: Kazimierz Deyna 47., 68. – Béla Várady 42.
Polska: Hubert Kostka – Zbigniew Gut, Lesław Ćmikiewicz, Jerzy Gorgoń,
Zygmunt Anczok – Zygfryd Szołtysik, Kazimierz Deyna (77. Ryszard Szymczak),
Zygmunt Maszczyk, Jerzy Kraska – Włodzimierz Lubański, Robert Gadocha.
Węgry: István Géczi – Péter Vépi, Miklós Páncsics, László Szűcs, éter Juhász – Béla Várady, Lajos Kű (73. Lajos Kocsis), Ede Dunai, László Bálint – Antal Dunai (80. Kálmán Tóth), Mihály Kozma.
Sędziował: Kurt Tschenscher (RFN).

Podczas igrzysk olimpijskich w Monachium byłem najmłodszym zawodnikiem reprezentacji, myślałem, że mój czas przyjdzie dopiero później. Wydawało mi się, że będę którymś zawodnikiem w kolejce do gry, więc ogromną radość sprawiło mi, gdy już w pierwszym meczu z Kolumbią dostałem od trenera kilka minut. Czułem, że spełniłem swoje wielkie marzenie, ale nie spodziewałem się, że przyjdzie więcej szans. Z Ghaną wyszedłem już jednak na boisko w podstawowym składzie, podobnie jak w starciu z NRD. Mimo to nawet po trzecim meczu nie czułem się podstawowym piłkarzem tej kadry. Trzon zespołu był jasny, kręgosłup musiał istnieć, a zawodnikami rezerwowymi rotowano – i dlatego nie wystąpiłem w meczu z Danią.

Zagrałem za to przeciwko ZSRR, choć spotkanie rozpocząłem na ławce rezerwowych. Przegrywaliśmy 0:1, a kilka minut przed końcem pierwszej połowy Jurek Gorgoń zgłosił kontuzję. Trener Górski spojrzał na mnie i powiedział: „Jurek, wchodzisz!”. Trochę mnie zmroziło. Mecz o wielką stawkę, ja bez rozgrzewki, a miałem wejść na pozycję stopera, na której w reprezentacji nie zagrałem ani razu. W młodzieżówce i w klubie owszem, ale nigdy w seniorskiej kadrze. Wiedziałem, co mam robić na boisku, ale mimo to mocno się zdziwiłem, bo na ławce siedzieli inni, bardziej doświadczeni piłkarze. Wszystko ułożyło się dla nas świetnie, choć sporo nerwów wprowadziła sytuacja z Andrzejem Jarosikiem. Odmówił wejścia na boisko z ławki rezerwowych, obrażony, że nie znalazł się w podstawowym składzie. Na murawie pojawił się więc Zyga Szołtysik i właściwie odwrócił losy spotkania. Wygraliśmy 2:1 i byliśmy praktycznie pewni awansu do finału, nikt bowiem nie dopuszczał do siebie myśli, że w starciu z Marokiem możemy stracić punkty. Zrobiliśmy swoje, rozbiliśmy rywala 5:0 i znaleźliśmy się w decydującej potyczce.

Byliśmy wtedy w bardzo dobrej sytuacji z psychologicznego punktu widzenia. Nikt się tego nie spodziewał, a zapewniliśmy sobie co najmniej srebrny medal igrzysk olimpijskich! Przed wyjazdem do Monachium, a po towarzyskiej potyczce z Polonią Bytom, którą przegraliśmy, czytaliśmy opinie typu: „po co oni tam jadą?”. Pisano, że lepiej wysłać na igrzyska zawodników Polonii niż nas. Pokazaliśmy jednak, na co nas stać, i znaleźliśmy się w finale. To już był ogromny sukces.

W wiosce olimpijskiej mieszkałem z Rysiem Szymczakiem, mieliśmy do dyspozycji całe mieszkanie. Dzieliliśmy je z kilkoma innymi zawodnikami, bo było trzypokojowe. Rozmów było bez liku, ale nie nakręcaliśmy się, podchodziliśmy do wszystkiego z chłodną głową. Przyznam jednak, że w nocy

przed spotkaniem finałowym prawie nie spałem. A u mnie i tak było w miarę spokojnie, bo nie czułem na sobie wielkiej presji. Nie spodziewałem się, że zagram w finale. Trener Górski miał ogłosić skład dopiero w dniu meczu, a rotacje w składzie – poza żelaznym kręgosłupem drużyny – były przecież na porządku dziennym. W zespole znajdowało się mnóstwo zawodników, którzy znaczyli dużo więcej niż ja. Gdy już dowiedziałem się o tym, że wybiegnę na murawę w podstawowym składzie, napięcie znacznie wzrosło. Zawsze jednak byłem typem zawodnika, który im większą czuł adrenalinę, tym lepiej grał. Rozrywała mnie ochota do gry, czułem, jak wszystko się we mnie gotuje. Gdy chciałem zawiązać but i postawiłem stopę na ławce, noga drżała mi z emocji. Nie potrzebowałem żadnego dopingu, żeby dać z siebie absolutnie wszystko.

Wiedziałem doskonale, co mam robić na boisku. Starałem się wywiązać z powierzonej mi roli najlepiej, jak potrafiłem. Stawka meczu była ogromna, przydarzały nam się z nerwów proste błędy. Tak było choćby przy straconej bramce, gdy Kazik Deyna – fenomenalny przecież piłkarz – w niegroźnej sytuacji podał piłkę wprost pod nogi rywala. Liczyliśmy, że może Hubert Kostka zdoła wybronić to uderzenie, ale Béla Várady strzelił niespodziewanie lewą nogą z ostrego kąta i zmieścił piłkę przy bliższym słupku. W przerwie się nie odzywałem, ale dużo do powiedzenia miał w szatni Robert Gadocha. Było trochę nerwowo, ale sytuację uspokoił trener Górski, zapewniając nas, że jesteśmy lepszym zespołem, więc stać nas na odwrócenie wyniku. I tak się właśnie stało, dwa gole Deyny załatwiły sprawę.

W końcówce spotkania sam również nie ustrzegłem się pomyłki. Nie mieliśmy pojęcia, ile czasu pozostało do ostatniego gwizdka. Nie wiedzieliśmy, jak grać. Czy wybijać piłkę do przodu, czy ją przytrzymać. Zagrałem podanie w poprzek

boiska. Rywal przeczytał moje intencje, przejął piłkę, a ja ruszyłem za nim ostatkiem sił. Gdy chciał dośrodkować, wjechałem wślizgiem i zablokowałem tę próbę. W tym momencie złapały mnie skurcze w obu łydkach. Nie mogłem się ruszyć, doktor pobiegł w moim kierunku, a Węgrzy ustawili już piłkę do wykonania rzutu rożnego. Wciąż leżałem, a rywal wykonał stały fragment gry. Gdy dośrodkował, sędzia zakończył mecz. Można więc powiedzieć, że zdobyłem złoty medal igrzysk olimpijskich… na leżąco.

To był niewyobrażalny wysiłek. Graliśmy w ulewnym deszczu, na bardzo grząskim, ciężkim boisku, a nabiegałem się jak wariat. Koszulki też nam nie pomagały. Graliśmy w trykotach z długimi rękawami, które po nasiąknięciu jeszcze się rozciągały. Gdy już wisiały poza dłońmi, zawijałem je. W końcu na wysokości bicepsa miałem potężną bułę ciężkiego, mokrego materiału, co bardzo utrudniało pracę rękami w biegu. Mimo to nie przeszkodziło nam to w osiągnięciu sukcesu.

Po powrocie do kraju staliśmy się dużo bardziej rozpoznawalni. Słuchając na podium Mazurka Dąbrowskiego, czułem, jak duma rozrywa mi serce. Dopiero po latach odsłuchałem, co wówczas mówił o mnie komentujący mecz Jan Ciszewski. „Boże, przecież on dopiero co grał w lidze okręgowej w Płocku, a dziś ma na szyi złoty medal olimpijski”. Rzeczywiście, wszystko to w moim życiu wydarzyło się niezmiernie szybko. Dopiero wtedy mogłem poczuć się prawdziwym piłkarzem i pełnoprawnym członkiem reprezentacji narodowej.

Inna sprawa, że kierownictwo naszej kadry nie do końca wiedziało, jakie są zapisy w regulaminie. Ustalono, że w przypadku zdobycia medalu po jego odbiór wyjdą ci, którzy najwięcej grali. Jednym z takich zawodników był Antek

Szymanowski, który wystąpił w sześciu z siedmiu spotkań, a z gry w finale wykluczyła go kontuzja. Po meczu z Węgrami okazało się jednak, że krążki otrzymają ci piłkarze, którzy grali w decydującym starciu. Na podium dostaliśmy medale z wygrawerowanym nazwiskiem. I tak nagrodzony został Rysiek Szymczak, który miał na koncie łącznie około 20 rozegranych w całym turnieju minut, a Antek nie. Rysio oddał swój krążek, ale wkrótce go odzyskał. Dopiero po pewnym czasie dorobiona została reszta medali i każdy mógł cieszyć się swoim.

Mecz z Węgrami był zdecydowanie najważniejszym spotkaniem w moim życiu. Coś po nim zostało, zapisaliśmy się na kartach historii, jako pierwsza i jak dotąd jedyna reprezentacja Polski, która sięgnęła po złoty medal igrzysk olimpijskich. Tego nie zabierze nam już nikt. Szkoda jedynie, że karierę nieco zahamowały mi kontuzje, jak ta odniesiona niedługo po meczu z Anglią, wygranym przez nas 2:0. Pretensje mogę mieć tylko do losu, bo uciekły mi najlepsze lata kariery, ale mogę czuć się piłkarzem, który coś w życiu zdążył osiągnąć.

JERZY KRASKA

Data i miejsce urodzenia: 24 grudnia 1951 r., Płock.

W reprezentacji Polski: 13 meczów.

Debiut: 16 kwietnia 1972, Bułgaria – Polska 3:1.

Osiągnięcia: złoty medal na IO 1972.

Kariera klubowa: Masovia Płock, Gwardia Warszawa, Kuopion Palloseura (Finlandia), Gwardia Warszawa, Kuopion Palloseura (Finlandia), Gwardia Warszawa.

PAWEŁ
KRYSZAŁOWICZ

Fot. Brian Bahr / Getty Images

GOL CENNIEJSZY OD MISTRZOSTWA POLSKI

14 czerwca 2002, Tedzon
Polska – USA 3:1 (2:0)

Bramki: Emmanuel Olisadebe 3., Paweł Kryszałowicz 5., Marcin Żewłakow 66. – Landon Donovan 83.
Polska: Radosław Majdan – Tomasz Kłos (90. Tomasz Wałdoch), Jacek Zieliński, Arkadiusz Głowacki, Marek Koźmiński – Maciej Żurawski,
Maciej Murawski, Cezary Kucharski (66. Marcin Żewłakow), Jacek Krzynówek – Emmanuel Olisadebe (87. Paweł Sibik), Paweł Kryszałowicz.
USA: Brad Friedel – Anthony Sanneh, Edward Pope,
Jeffrey Agoos (37. DaMarcus Beasley), Frank Hejduk – Ernest Stewart (69. Cobi Jones), John O'Brien, Claudio Reyna, Landon Donovan – Clint Mathis,
Brian McBride (59. Joe-Max Moore).
Żółte kartki: Majdan, Koźmiński, Kucharski, Olisadebe – Hejduk.
Sędziował: Lu Jun (Chiny).

Pierwsze piłkarskie kroki stawiałem w małym klubie, grałem na wszystkich szczeblach rozgrywkowych. Zostałem powołany do reprezentacji Polski, zdobywałem bramki, a tym wyjątkowym trafieniem jest zdecydowanie gol ze Stanami Zjednoczonymi, strzelony na mistrzostwach świata. Nie oddałbym go nawet za tytuł mistrza Polski.

Pochodzę z małego klubu, a to sprawia, że przeszedłem zupełnie inną drogę niż zawodnik, który jest wychowankiem wielkiej drużyny. Podczas kariery grałem od klasy A do ekstraklasy, a później trafiłem do reprezentacji narodowej. Gdy

byłem małym chłopcem, oglądałem mistrzostwa świata z pozycji telewidza. A w 2002 roku już sam mogłem zagrać na wielkiej imprezie. Mecz ze Stanami Zjednoczonymi to więc dla mnie przypieczętowanie wszystkiego, co osiągnąłem jako piłkarz.

W kwalifikacjach do mistrzostw świata nie występowałem od samego początku. Zabrakło mnie w pierwszym wyjazdowym spotkaniu z Ukrainą, bo byłem kontuzjowany i mecz oglądałem z rodziną w Słupsku. Gdy już grałem, to nie zawsze byłem pierwszym wyborem trenera, wchodziłem z ławki rezerwowych, ale dołożyłem swoją cegiełkę do awansu na mundial – zdobyłem cenną bramkę w Cardiff w meczu z Walią, wpisałem się również na listę strzelców z Norwegami. Nasz awans został przypieczętowany w Chorzowie właśnie w starciu z Norwegią i jako pierwsza drużyna z Europy awansowaliśmy na turniej. Na ten moment Polska czekała aż 16 lat.

Na pewno oczekiwania w stosunku do biało-czerwonych były ogromne, bo udanie przeszliśmy kwalifikacje. Balonik rósł i rósł – był dmuchany przez kibiców i media, ale jako drużyna też go pompowaliśmy. Mówiono nawet, że jedziemy po medal. Choć tak naprawdę nie byliśmy przygotowani do tego turnieju, przede wszystkim pod względem psychicznym. Przecież żaden z nas nie miał wcześniej okazji brać udziału w tego typu wydarzeniu.

Jeszcze przed rozpoczęciem mistrzostw świata każdemu z nas przydzielono numer na koszulce. Przez całe kwalifikacje grałem z dziewiątką i również na mundialu chciałem z nią występować. Nie tylko ja, bo tego samego chciał także Maciej Żurawski. Stoczyliśmy o ten przywilej mały, ale zabawny pojedynek – zapadła decyzja, że upragniony numer trafi w ręce tego, kto wpłaci więcej na cele charytatywne. Oczywiście nie będę podawał kwot. Nie licytowaliśmy się, kto da więcej.

Wpłaciliśmy razem, ale „Żuraw” odpuścił i udało nam się osiągnąć porozumienie.

Nie zagrałem w pierwszym meczu na mistrzostwach, z Koreą Południową od początku. Nie wiem, czym to było spowodowane, ale taką decyzję podjął trener Jerzy Engel. Miał swoją koncepcję na to spotkanie i nie mam prawa mieć do niego żalu. Tak już w piłce bywa. Trener miał inny pomysł, widział w jedenastce innych zawodników. W hierarchii napastników byłem jednak zawsze wysoko. Każdy wie, co wydarzyło się w meczach z Koreą Południową i Portugalią – zawiedliśmy po całości. Ale w drugim spotkaniu, z Portugalczykami, nie zagraliśmy wcale tak źle. Powiem więcej: zaprezentowaliśmy się lepiej niż w pierwszym meczu. Zadecydowały jednak błędy indywidualne, wskutek których Jerzy Dudek czterokrotnie wyjmował piłkę z siatki.

Do szatni zeszliśmy ze spuszczonymi głowami, siedzieliśmy w ciszy i pewnie każdy z nas myślał o tym, co poszło nie tak. Przecież miało być zupełnie inaczej, a tu już po dwóch meczach fazy grupowej było pewne, że reprezentacja Polski musi się pakować i wracać do domu. Chcieliśmy jednak pożegnać się z mundialem z honorem. Przed ostatnim meczem, ze Stanami Zjednoczonymi, zeszło z nas całe ciśnienie. Nie czuliśmy już takiej presji. Mimo wszystko nie graliśmy o nic: Amerykanie też nie byli pewni awansu, a nasz zespół chciał coś udowodnić.

Trener Jerzy Engel na nasz ostatni mecz na mundialu wymienił prawie cały skład. „Teraz jest czas dla tych, którzy grali mniej. To czas debiutantów” – mówił w szatni przed wyjściem na murawę. Drużynę ustawił bardzo ofensywnie, bo od początku zagrałem ja, Emmanuel Olisadebe, Maciej Żurawski i Cezary Kucharski. Szybko zaskoczyliśmy Amerykanów. Minęło kilka minut i prowadziliśmy różnicą

dwóch goli. Najpierw Olisadebe pokonał Brada Friedela, potem szybko podwyższyłem rezultat.

Przeciwnik nie dowierzał w to, co się dzieje. W końcu zagraliśmy na takim poziomie jak w eliminacjach. Mieliśmy mecz pod kontrolą, tworzyliśmy sobie kolejne sytuacje. W drugiej połowie trzeciego gola uderzeniem głową strzelił Marcin Żewłakow, który wszedł na murawę z ławki rezerwowych. Amerykanie odpowiedzieli tylko jedną bramką. Wynik mógłby być wyższy, ale rzutu karnego po faulu na mnie nie wykorzystał niestety Maciej Żurawski.

Wygraliśmy, zdobyliśmy trzy punkty i pożegnaliśmy się z turniejem. Amerykanie, mimo porażki z nami, awansowali do fazy pucharowej, bo Korea Południowa wygrała z Portugalią. Zapewne kibice zastanawiali się: „Dlaczego trener Engel nie mógł wcześniej wystawić takiego składu? Przecież bardzo dobrze poradzili sobie z Amerykanami". Myśmy o tym nawet nie rozmawiali. Podchodzę do tego inaczej: jedziesz na wielką imprezę, przegrywasz pierwszy mecz z gospodarzami i… co dalej? Na drugi mecz masz wystawić zupełnie inny skład czy postawić raczej na ten, który nie zawodził w eliminacjach? Zaufać podstawowym zawodnikom czy rezerwowym? Trener na pewno miał wiele pomysłów, koncepcji i ostatecznie postawił na sprawdzonych piłkarzy.

Bardzo pozytywnie zaskoczyło mnie to, co działo się na lotnisku po naszym powrocie. Myślałem, że kibice zrugają nas za nieudany mundial i brak awansu do fazy pucharowej. Było jednak zupełnie inaczej. Poszło, jak poszło, ale fani nas nie zostawili. To było bardzo miłe z ich strony. Może docenili to, że udało nam się awansować na mundial po latach posuchy.

Bramki na mistrzostwach świata nie oddałbym nawet za tytuł mistrza Polski. Zapisałem się w historii reprezentacji Polski golem na mundialu, ale też hat-trickiem ustrzelonym w trzy

minuty w meczu z Wyspami Owczymi. Nie był to wymagający rywal, ale nawet w klasie B ciężko o taki wyczyn. Jestem dumny i szczęśliwy, że moje nazwisko znalazło się na kartach historii polskiej piłki. Moja kariera toczyła się różnie, ale dzięki tym osiągnięciom mogę powiedzieć, że jestem spełnionym zawodnikiem.

PAWEŁ KRYSZAŁOWICZ

Data i miejsce urodzenia: 23 czerwca 1974 r., Słupsk.

W reprezentacji Polski: 33 mecze, 10 goli.

Debiut: 9 października 1999, Szwecja – Polska 2:0.

Osiągnięcia: uczestnik MŚ 2002.

Kariera klubowa: Gryf Słupsk, Zawisza Bydgoszcz, Amica Wronki, Eintracht Frankfurt (Niemcy), Amica Wronki, Wisła Kraków, SV Wilhelmshaven 92 (Niemcy), Gryf 95 Słupsk, Gryf Słupsk.

Osiągnięcia: Puchar Polski (1998, 1999, 2000), Superpuchar Polski (1998).

JACEK
KRZYNÓWEK

Fot. Ian Walton / Getty Images

LEWY, COŚ TY NAROBIŁ?!

8 września 2007, Lizbona
Portugalia – Polska 2:2 (0:1)

Bramki: Maniche 50., Cristiano Ronaldo 74. – Mariusz Lewandowski 43.,
Jacek Krzynówek 88.
Portugalia: Ricardo – José Bosingwa, Bruno Alves, Fernando Meira, Caneira (14. Luis Miguel) – Simão Sabrosa (82. João Moutinho), Petit, Deco,
Maniche, Cristiano Ronaldo – Nuno Gomes (70. Ricardo Quaresma).
Polska: Artur Boruc – Marcin Wasilewski, Mariusz Jop, Michał Żewłakow,
Grzegorz Bronowicki (56. Paweł Golański) – Jakub Błaszczykowski, Mariusz Lewandowski, Jacek Krzynówek, Dariusz Dudka,
Euzebiusz Smolarek (75. Wojciech Łobodziński) – Maciej Żurawski (57. Radosław Matusiak).
Żółte kartki: Boruc, Wasilewski, Bronowicki.
Sędziował: Roberto Rosetti (Włochy).

Naprawdę trudno mi wskazać mój najważniejszy mecz w reprezentacji Polski, bo przecież wybiegałem z orzełkiem na piersi blisko 100 razy, więc wspomnień jest mnóstwo. Po głębszym namyśle wskazałbym jednak spotkanie z reprezentacją Portugalii w Lizbonie w 2007 roku, w ramach kwalifikacji do mistrzostw Europy w 2008 roku. W naszej grupie eliminacyjnej występowały jeszcze reprezentacje Serbii, Finlandii, Belgii, Kazachstanu, Armenii i Azerbejdżanu. Przed tym meczem zgromadziliśmy 19 punktów i zajmowaliśmy pierwsze miejsce w grupie.

W pierwszym spotkaniu z Portugalią, wówczas wicemistrzem Europy, sprawiliśmy sensację, wygrywając 2:1. Dwie szybkie bramki zdobył Euzebiusz Smolarek, rywale potrafili odpowiedzieć w końcówce tylko jednym trafieniem, kontaktowego gola strzelił Nuno Gomes. Reprezentacja Polski stanęła więc przed szansą zakwalifikowania się do finałów mistrzostw Europy po raz pierwszy w historii.

Przygotowania do rewanżowej konfrontacji z Portugalczykami wyglądały inaczej niż zazwyczaj, gdyż trener Leo Beenhakker na zgrupowanie zabrał nas za granicę – do ośrodka szkoleniowego w Niemczech. Selekcjonerowi zależało między innymi na tym, aby odizolować nas od medialnego zgiełku. Poza tym, przebywając we Frankfurcie, mieliśmy komfort logistyczny, a to ze względu na łatwe i szybkie połączenia lotnicze. Poza tym bazy treningowe w Niemczech były na najwyższym poziomie, jeśli chodzi o stan boisk czy warunki zakwaterowania. Mieliśmy tam rzeczywiście spokój, mogliśmy się skupić na czekającym nas meczu.

Treningi wyglądały tak jak zawsze – dużo ćwiczeń z piłką i zajęć taktycznych prowadzonych pod kątem najbliższego rywala. Zdobyliśmy bardzo szczegółową wiedzę, zarówno o całej drużynie portugalskiej, jak i o poszczególnych zawodnikach. Po zgrupowaniu czuliśmy naszą siłę – byliśmy w formie, wiedzieliśmy, że stać nas na dobry mecz w Lizbonie. Naprawdę fajnie prezentowaliśmy się zarówno pod względem fizycznym, jak i mentalnym. Beenhakker nie musiał nas specjalnie motywować. Gdy staje się naprzeciw takich zawodników jak Cristiano Ronaldo, Nani, Deco czy Nuno Gomes, naprawdę nie potrzeba dodatkowej mobilizacji.

W 43. minucie spotkania stadion w Lizbonie ucichł: strzał z drugiej linii oddał Jakub Błaszczykowski i po niezbyt udanej interwencji Ricardo do bramki trafił Mariusz Lewandowski.

Nigdy nie zapomnę, jak wszyscy podbiegliśmy do Mariusza z gratulacjami. Marcin Wasilewski żartobliwie wykrzyknął: „Lewy, coś ty narobił!?”. Można powiedzieć, że podrażniliśmy lwa. W drugiej odsłonie rywalizacji Portugalczycy natarli na nas z impetem: w 50. minucie meczu bramkę na 1:1 zdobył Maniche, po kolejnych 24 minutach rywale wyszli na prowadzenie – tym razem do siatki trafił Cristiano Ronaldo.

Ale my nie zamierzaliśmy się poddawać. W 88. minucie otrzymałem piłkę kilkanaście metrów przed linią pola karnego. Szukałem partnerów i do dziś nie wiem, dlaczego zdecydowałem się na oddanie strzału z ponad 20 metrów. Piłka z ogromną prędkością trafiła w słupek, odbiła się od pleców Ricardo i ugrzęzła w siatce. Jurek Dudek i Tomek Rząsa wiele razy śmiali się ze mnie, że zaliczyli mi samobója zdobytego przez portugalskiego bramkarza. Oczywiście to żarty, bo przyznają też, że gol był wyjątkowej urody.

Notabene nie była to pierwsza bramka zdobyta przeze mnie w taki sposób. Podobnego gola strzeliłem w barwach Bayeru Leverkusen w Lidze Mistrzów przeciwko Realowi Madryt. Piłka po moim strzale odbiła się wtedy od słupka, zatańczyła na plecach Ikera Casillasa i wpadła do bramki.

Z boiska w Lizbonie schodziliśmy bardzo zadowoleni, ale nie popadaliśmy w hurraoptymizm. Zdobyty „na Portugalczykach” punkt przybliżył nas znacznie do upragnionego pierwszego awansu do finałów mistrzostw Europy, ale do końca eliminacji pozostały nam jeszcze cztery spotkania: z Finlandią, Kazachstanem, Belgią i Serbią. Zawsze najważniejszy jest ten najbliższy mecz, a w tym przypadku było to starcie z Finlandią w Helsinkach, zaledwie cztery dni po spotkaniu z Portugalią. Pojechaliśmy tam w bardzo dobrych nastrojach, podbudowani wynikiem i dobrymi recenzjami, ale pamiętaliśmy też, że w pierwszym meczu ulegliśmy Finom 1:3. Tym razem było

inaczej. Chociaż w Helsinkach nie zdobyliśmy bramki, remis 0:0 okazał się dla nas bezcenny. Ostatecznie wyprzedziliśmy w grupie drugą Portugalię o punkt i mogliśmy świętować historyczny awans.

JACEK KRZYNÓWEK

Data i miejsce urodzenia: 15 maja 1976 r., Kamieńsk.

W reprezentacji Polski: 96 meczów, 15 goli.

Debiut: 10 listopada 1998, Słowacja – Polska 1:3.

Osiągnięcia: uczestnik MŚ 2002, 2006, uczestnik ME 2008. Członek Klubu Wybitnego Reprezentanta.

Kariera klubowa: LZS Chrzanowice, RKS Radomsko, Raków Częstochowa, GKS Bełchatów, 1. FC Nürnberg (Niemcy), Bayer 04 Leverkusen (Niemcy), VfL Wolfsburg (Niemcy), Hannover 96 (Niemcy).

Osiągnięcia: mistrzostwo Niemiec (2009).

JANUSZ
KUPCEWICZ

Fot. Peter Robinson / PA Images / Getty Images

BRAMKA DLA TATY

10 lipca 1982, Alicante
Polska – Francja 3:2 (2:1)

Bramki: Andrzej Szarmach 41., Stefan Majewski 45.,
Janusz Kupcewicz 47. – René Girard 13., Alain Couriol 72.
Polska: Józef Młynarczyk – Marek Dziuba, Władysław Żmuda, Paweł Janas,
Stefan Majewski – Grzegorz Lato, Waldemar Matysik (46. Roman Wójcicki),
Janusz Kupcewicz, Andrzej Buncol – Zbigniew Boniek, Andrzej Szarmach.
Francja: Jean Castaneda – Manuel Amoros, Marius Trésor,
Gérard Janvion (64. Christian Lopez), Philippe Mahut – Jean Tigana (82. Didier Six), Jean-François Larios, René Girard, Gérard Soler – Bruno Bellone, Alain Couriol.
Żółte kartki: Buncol, Wójcicki – Soler.
Sędziował: António José da Silva Garrido (Portugalia).

Jadąc na mundial do Hiszpanii w 1982 roku, nie byłem pierwszym wyborem trenera. Zaczynałem jako rezerwowy, i to zasiadający na trybunach. Przełom nastąpił w trzecim spotkaniu z Peru, meczu o nasze „być albo nie być” na turnieju w Hiszpanii. Byłem środkowym pomocnikiem, na tej samej pozycji występował również Włodek Ciołek, który siedział na ławce rezerwowych. Tym większe było moje zaskoczenie, gdy okazało się, że w meczu z Peru nie zagra on, ale ja, mimo że dwa pierwsze spotkania przesiedziałem na trybunach. Trener przesunął Zbigniewa Bońka do przodu, co uważam za słuszną

decyzję, ponieważ na tej pozycji czuł się bardzo dobrze, co udowadniał w kolejnych latach.

Nie mogłem pozwolić sobie na to, żeby wypaść tak, jak w debiucie u trenera Kazimierza Górskiego. Wtedy miałem nogi jak z waty, zjadł mnie stres i dałem plamę. Na Peru wyszedłem na totalnym luzie. Jeśli nie wygralibyśmy tego spotkania, to przecież kto mógłby winić za porażkę lub remis Janusza Kupcewicza? Co więc miałem do stracenia? Nic! Czasem trzeba umieć wyjść na boisko i wykorzystać swoje „pięć minut". Ja swój czas wykorzystałem bardzo dobrze. Wybiegłem w podstawowym składzie, rozegrałem cały mecz i miałem duży udział przy zdobywanych bramkach. Dzięki temu do ostatniego spotkania na turnieju nie oddałem już miejsca w wyjściowej jedenastce.

Przegraliśmy mecz o finał z Włochami i pozostała nam walka o trzecie miejsce. Italia miała większe doświadczenie, wykorzystała swoje atuty i skutecznie nas skaleczyła. Na pewno ogromnym osłabieniem dla nas była absencja Zbigniewa Bońka, który musiał pauzować za kartki. Włosi bali się także Andrzeja Szarmacha, ale zamiast niego trener Antoni Piechniczek włączył do kadry meczowej Andrzeja Pałasza. Po latach przyznał, że to był błąd. To już jednak historia i nie chcę się nad tym rozwodzić. Stało się, jak się stało, ponieśliśmy porażkę. Nie mogliśmy się jednak załamać, bo mieliśmy do wykonania ostatni krok.

O trzecie miejsce przyszło nam zagrać z Francją. Owszem, byliśmy rozczarowani po przegranej z Włochami, ale nasi rywale, Francuzi, których marzeń o finale pozbawiła reprezentacja RFN, też byli rozbici. Przegrali spotkanie po bardzo ciężkim, można nawet powiedzieć, że brutalnym meczu, więc byli zawiedzeni znacznie bardziej niż my. Liczyli, że uda im się znaleźć w finale, ale ich marzenia prysły. Na nas nie

ciążyła taka presja, bo i tak osiągnęliśmy ogromny sukces – byliśmy przecież w czwórce najlepszych zespołów na świecie! W końcu mieliśmy także normalne warunki do mieszkania – hotel z działającą klimatyzacją. Wyszliśmy na luzie na spacer nad morze, zresetowaliśmy głowy, oderwaliśmy się trochę od wszystkiego. Pamiętam też, że przed meczem mogliśmy sobie pozwolić na dwie–trzy godziny porządnego snu. Wielu zawodników tego potrzebowało przy tak morderczym upale.

Na spotkanie z Francuzami wyszliśmy bardzo zmobilizowani i nakręceni, bo stanęliśmy przed ogromną szansą, żeby powtórzyć wyczyn wielkiej drużyny trenera Kazimierza Górskiego. Przeciwnicy, w porównaniu ze swoim poprzednim meczem, dokonali zmian w składzie i zagrało kilku świeżych zawodników, ale na pewno nas nie zlekceważyli, bo im też zależało na medalu. To oni byli faworytem, nawet w rezerwowym składzie, bo poziom ich piłki i potencjał był większy od naszego.

Mecz lepiej ułożył się dla naszych rywali, bo objęli prowadzenie, ale udało nam się odwrócić losy spotkania. Do przerwy schodziliśmy, wygrywając 2:1, a ja zaliczyłem asystę – dośrodkowałem w pole karne z rzutu rożnego wprost na głowę Stefana Majewskiego, który posłał piłkę do siatki. Muszę też wspomnieć o momencie, który mógł sprawić, że losy tego meczu potoczyłyby się zupełnie inaczej. W trakcie spotkania trener Piechniczek nakazał rozgrzewać się Włodkowi Ciołkowi i wszystko wskazywało na to, że jestem do zmiany, bo występowaliśmy na tej samej pozycji. Ktoś na górze chyba jednak nade mną czuwał i zostałem na boisku. Moje szczęście było nieszczęściem kogoś innego, czyli Waldka Matysika. Najbardziej harował w linii pomocy, łatał wszystkie dziury i w przerwie fatalnie się poczuł, był „do odjazdu”, w ogóle nie kontaktował. Musiał zejść, bo okazało się, że jest tak

odwodniony, że nie może kontynuować występu. Temperatura w Hiszpanii nas zabijała i Waldek najdobitniej się o tym przekonał. Nie mógł grać przez następny rok. Dzięki Bogu, że wyszedł z tego i mógł dalej cieszyć się piłką. Teraz coś takiego jest nie do pomyślenia, ale niespełna 40 lat temu nie wzięto pod uwagę, jakie konsekwencje mogą go czekać. Koniec końców zostałem na boisku i grałem do końca, a za Waldka wszedł Roman Wójcicki.

Po zmianie stron strzeliłem gola wyjątkowej urody. Mówiono wówczas, że to jedna z najpiękniejszych bramek na tamtym mundialu. Była rzeczywiście inna, całkiem nietypowa. Czy decydowałem się na dośrodkowanie? Nie, od razu wiedziałem, co chcę zrobić. Zamierzałem uderzać i zaskoczyłem wielu, bo mało kto przypuszczał, że można strzelać z takiego kąta, a co dopiero zdobyć bramkę! W Polsce uznawano, że tylko Kazimierz Deyna wykonywał stałe fragmenty gry lepiej ode mnie. Specjalizowałem się szczególnie w rzutach wolnych i udało mi się to udokumentować. Bramkarz był chyba najbardziej zdezorientowany, bo wyszedł do dośrodkowania, został złapany na wykroku i już nie miał się z czego odbić. Zawinił, bo takiej bramki nie miał prawa puścić.

Radości po tym golu nie można opisać słowami. To był nie tylko mój osobisty sukces, ale również rodzinny. Zawsze podkreślam, że wszystko zawdzięczam rodzicom, bo w rodzinie wszyscy byli związani z piłką nożną, łącznie z psem, który… stał na bramce. Mój tata poświęcał mi mnóstwo czasu, budził o szóstej rano i zabierał na treningi do lasu. Nauczył mnie bardzo wiele. Cierpiał na nieuleczalną chorobę zaniku mięśni i to był jeden z ostatnich momentów, w których miał radość z syna. To właśnie jemu zadedykowałem tę bramkę. Chciałem się nią odwdzięczyć za wszystko, co mi dał.

Francuzi przegrywali, ale obudzili się i zaczynali osiągać przewagę, atakowali nas coraz groźniej. Mieli momenty lepsze i gorsze. Udało im się strzelić drugiego gola, ale tylko na tyle było ich stać. U nas nawarstwiało się zmęczenie, oddychaliśmy już rękawami. Biegaliśmy więcej niż Francuzi, rywale przewyższali nas techniką, zmuszali do jeszcze większego wysiłku. Sytuacja zrobiła się nerwowa, broniliśmy się całym zespołem. Wszystko skończyło się jednak bardzo dobrze, po końcowym gwizdku mogliśmy poczuć się zwycięzcami – wywalczyliśmy trzecie miejsce na mistrzostwach świata. Byliśmy potwornie zmęczeni całym tym turniejem, ale czuliśmy ogromną radość.

Skutki hiszpańskiego ukropu odbiły się także na mnie. Po zejściu do szatni klęczałem nad sedesem i wymiotowałem, plułem śliną. Do tego doszło jeszcze bicie serca z przeraźliwą częstotliwością. Dostałem wezwanie na kontrolę antydopingową. Francuzi byli razem ze mną. Załatwili to, co mieli załatwić, i poszli. U mnie był problem. Nie mogłem oddać moczu i spędziłem trochę czasu, czekając, aż mnie puszczą. Wypiłem jedno piwo i już czułem się pijany. To był jedyny raz, gdy zostałem wezwany na taką kontrolę. Oczywiście wszystko było w porządku. Do Madrytu mieliśmy wracać samolotem, ale… podstawili nam autokar, w dodatku bez klimatyzacji. Jechaliśmy całą noc, niektórzy spali na podłodze.

Po 35 latach ponownie mieliśmy okazję spotkać się całą drużyną, Polski Związek Piłki Nożnej zorganizował bowiem wyjątkowe spotkanie dla piłkarzy i sztabu szkoleniowego. Zabrakło świętej pamięci Włodka Smolarka i kogoś jeszcze. Powspominaliśmy dawne czasy, zobaczyliśmy, jak stare trepy wyglądają, jak się prowadzą. Z niektórymi kolegami do dzisiaj utrzymuję kontakt telefoniczny, składamy sobie życzenia. Z wieloma nie widzieliśmy się szmat czasu, z niektórymi nawet

ani razu od turnieju w Hiszpanii. To bardzo miłe, że się o nas pamięta. Zwłaszcza po tylu latach.

Pamiątki z mistrzostw świata – koszulki, spodenki i getry – rozdałem. Otrzymali je znajomi i kolekcjonerzy, tacy jak Stefan Szczepłek. Trudno mu było nie dać koszulki Teófilo Cubillasa. Ale nie żałuję, że to zrobiłem. Medal oczywiście zachowałem. Kiedyś przekażę go prawdopodobnie dzieciom lub wnukom. Mimo że mieszkają w Stanach Zjednoczonych, w Teksasie, to dumnie chodzą w koszulce z orłem na piersi i tam reprezentują nasz kraj.

JANUSZ KUPCEWICZ

Data i miejsce urodzenia: 9 grudnia 1955 r., Gdańsk.

W reprezentacji Polski: 20 meczów, 5 goli.

Debiut: 24 marca 1976, Polska – Argentyna 1:2.

Osiągnięcia: III miejsce MŚ 1982, uczestnik MŚ 1978.

Kariera klubowa: Warmia Olsztyn, Stomil Olsztyn, Arka Gdynia, Lech Poznań, AS Saint-Étienne (Francja), AE Larisa (Grecja), Lechia Gdańsk, Adanaspor Kulübü (Turcja).

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (1983), Puchar Polski (1979).

MAREK
KUSTO

Fot. Peter Robinson / EMPICS / Getty Images

EGZOTYCZNA PRZEPUSTKA NA MUNDIAL

15 kwietnia 1974, Port-au-Prince
Haiti – Polska 1:3 (0:3)

Bramki: Fritz Leandré 48. – Andrzej Szarmach 13., 38., Marek Kusto 35.
Haiti: Gérard Joseph (40. Jean-Robert Telusma) – Joseph-Marion Leandré,
Fritz André, Serge Ducosté, Gilles Formose (46. Wilfried Louis) – Herbert-Jean Austin, Serge Racine, Guy François – Claude Barthélemy,
Guy Saint-Vil (46. Emmanuel Sanou), Fritz Leandré.
Polska: Andrzej Sikorski – Jerzy Wyrobek, Władysław Żmuda, Henryk Wieczorek, Stanisław Sobczyński – Andrzej Drozdowski, Kazimierz Kmiecik,
Witold Karaś (68. Jerzy Kasalik) – Andrzej Szarmach (78. Roman Ogaza),
Zdzisław Kapka (9. Marek Kusto), Józef Kwiatkowski.
Sędziował: Luis Villarejo Ramírez (Portoryko).

Pamięć ludzka bywa ulotna. Na szczęście o moje wspomnienia doskonale zadbała mama, która przez całą moją karierę archiwizowała każdy wycinek z prasy na mój temat. Dzięki jej tytanicznej pracy mam dziś na półce kilkanaście zeszytów, które przywołują historie z boiska.

Moim zdaniem bardzo duży wpływ na moją reprezentacyjną karierę miał wyjazd z kadrą młodzieżową tuż przed mistrzostwami świata w 1974 roku. Na Haiti polecieliśmy jako łączona drużyna – młodzieżowa i seniorska kadra Polski. Wtedy

dość często się to zdarzało, terminy także się pokrywały. Dla wielu piłkarzy była to szansa, by pokazać się przed turniejem finałowym mistrzostw świata i zapewnić sobie miejsce w kadrze, wskoczyć do tego pociągu. Na Haiti poleciał choćby Andrzej Szarmach, wtedy też wchodzący do drużyny narodowej. Mieliśmy więc o co walczyć – stawką było spełnienie marzeń. Kadra prowadzona przez Kazimierza Górskiego zapewniła sobie awans do mistrzostw świata pierwszy raz po drugiej wojnie światowej. Choć mogło się wydawać, że na Haiti czeka nas wyłącznie towarzyskie spotkanie w pięknych okolicznościach przyrody, wszyscy mieliśmy z tyłu głowy, że gramy o znacznie więcej niż wspomnienia z egzotycznej wyprawy i dobry wpis do statystyk.

Co ciekawe, nie poleciał z nami trener Górski. Na czele zespołu stanął Andrzej Strejlau, jeden z jego najbliższych współpracowników, wówczas prowadzący kadrę młodzieżową. To był zresztą o tyle dziwny wyjazd, że w momencie debiutu nie do końca byłem pewien, czy to mój pierwszy mecz w seniorskiej reprezentacji Polski. Po końcowym gwizdku Haitańczycy wymusili jednak na naszych działaczach uznanie tego spotkania za oficjalne, tak zresztą było od początku zakontraktowane. Żałowałem jedynie, że w premierowym spotkaniu musiałem pogodzić się z porażką.

Lepiej poszło nam dwa dni później. W drugim spotkaniu, rozegranym w Port-au-Prince, okazaliśmy się już lepsi. Wygraliśmy 3:1, a mnie udało się także zameldować na liście strzelców, do tego pokazałem się z dość dobrej strony. Miałem już spore doświadczenie w kadrze młodzieżowej, grałem w niej regularnie, a w kwietniu 1974 roku w starciach z Haiti dołożyłem dwa oficjalne występy w pierwszej drużynie narodowej… Pojawiła się iskierka nadziei, że znajdę się w zespole, który wyjedzie na mundial.

Drużyna trochę się zmieniła po igrzyskach olimpijskich w Monachium. Kilku zawodników z niej wypadło, robiąc tym samym miejsce dla innych. Miałem dużą ochotę, by zająć jedno z nich. Trener Kazimierz Górski był siłą spokoju. Nie było z nim wielkiej dyskusji, sprawiał wrażenie szefa, z którym się nie polemizuje. Potrafił też podejmować dość odważne decyzje tuż przed wielką międzynarodową imprezą lub nawet w jej trakcie. Tak było także przed mundialem w Niemczech, gdzie miejsce na środku obrony zamiast dużo bardziej doświadczonego Mirka Bulzackiego zajął młokos – Władek Żmuda. Trzeba jednak przyznać, że nasz selekcjoner miał doskonałą intuicję.

Po meczach z Haiti zagrałem jeszcze tylko w jednym meczu przed mundialem – towarzyskiej potyczce z Grecją. Chyba nie wypadłem w niej najlepiej, bo trener Górski po końcowym gwizdku powiedział mi, że stać mnie na dużo, dużo więcej. Nadzieje więc wciąż się we mnie tliły, ale bardzo niewielkie. Miałem zaledwie dwadzieścia lat, byłem młokosem, który miał jeszcze czas na wyjazdy. Tym bardziej że rywalizacja w napadzie była w reprezentacji ogromna. Postanowiłem zatem nie zaprzątać sobie głowy rozmyślaniami, chciałem po prostu jak najlepiej prezentować się na boisku.

Marzenie o wyjeździe na mistrzostwa świata udało mi się jednak spełnić! Byłem w gronie wybrańców Kazimierza Górskiego i wyjechałem na mundial do Niemiec. Nie wystąpiłem w żadnym spotkaniu, ale to była dla mnie piękna przygoda. Cztery lata później znów znalazłem się w kadrze i… znów nie pojawiłem się na boisku. Jestem jednym z bardzo nielicznych reprezentantów Polski, którzy w dwóch kolejnych turniejach finałowych mistrzostw świata byli wyłącznie rezerwowymi. Na murawę wszedłem dopiero przy trzecim podejściu, w 1982 roku. Warto było czekać, bo do dorobku

dopisałem drugi medal mistrzostw świata. To zostanie ze mną na zawsze.

MAREK KUSTO

Data i miejsce urodzenia: 29 kwietnia 1954 r., Bochnia.

W reprezentacji Polski: 19 meczów, 3 gole.

Debiut: 13 kwietnia 1974, Haiti – Polska 2:1.

Osiągnięcia: III miejsce MŚ 1974, 1982, uczestnik MŚ 1978.

Kariera klubowa: Wawel Kraków, Wisła Kraków, Legia Warszawa, KSK Beveren (Belgia), KAV Dendermonde (Belgia).

Osiągnięcia: mistrzostwo Belgii (1984), Puchar Polski (1980, 1981), Puchar Belgii (1983), Superpuchar Belgii (1984).

GRZEGORZ
LATO

SIEDEM MECZÓW CHWAŁY

15 czerwca 1974, Stuttgart
Polska – Argentyna 3:2 (2:0)

Bramki: Grzegorz Lato 7., 63., Andrzej Szarmach 9. – Ramón Heredia 61.,
Carlos Babington 67.
Polska: Jan Tomaszewski – Antoni Szymanowski, Jerzy Gorgoń, Władysław Żmuda, Adam Musiał – Henryk Kasperczak, Kazimierz Deyna,
Zygmunt Maszczyk – Grzegorz Lato, Andrzej Szarmach (72. Jan Domarski),
Robert Gadocha (84. Lesław Ćmikiewicz).
Argentyna: Daniel Carnevali – Enrique Wolff, Roberto Perfumo, Ramón Heredia, Francisco Manuel Sá – Miguel Brindisi (46. Rene Houseman),
Ángel Bargas (69. Roberto Telch), Carlos Babington – Agustín Balbuena,
Rubén Ayala, Mario Kempes.
Żółte kartki: Babington, Perfumo.
Sędziował: Clive Thomas (Walia).

Moim przełomowym momentem w reprezentacji Polski było towarzyskie spotkanie w Warnie. Miałem 23 lata, zagrałem kilka razy w kadrze, ale jako napastnik byłem głodny bramek. Z Bułgarią strzeliłem dwa gole, później trafiłem do siatki w meczu kwalifikacji do mistrzostw świata z Walią w Chorzowie. Miałem przyjemność wystąpić na kilku ważnych turniejach i tych szczególnych meczów z orłem na piersi zebrało się naprawdę wiele. Gdybym jednak miał wskazać najważniejsze spotkanie w biało-czerwonych barwach, nie będzie nim ostatni mecz na mundialu, w którym po mojej

bramce pokonaliśmy Brazylijczyków, tylko… pierwsze spotkanie tego turnieju, z Argentyńczykami w Stuttgarcie.

Po wielu latach niepowodzeń naszej reprezentacji w końcu udało się zagościć na wielkiej imprezie. Na ten moment Polacy czekali ponad 30 lat. Na mundialu zadebiutowałem w wieku 24 lat, ale nie ukrywam, że odczuwałem stres. Przecież chodziło o mistrzostwa świata, od 1938 roku żaden Polak nie miał okazji zagrać na turnieju tak wysokiej rangi. Dwa lata wcześniej zostaliśmy mistrzami olimpijskimi, ale mundial i igrzyska to dwie różne sprawy. Na igrzyskach kraje socjalistyczne wystawiały swoje pierwsze reprezentacje, a pozostałe drużyny olimpijskie. Piłkarze o statusie zawodowca nie mogli wystąpić na turnieju, a ze względu na ustrój naszego kraju oficjalnie byliśmy amatorami, zatrudnianymi na fikcyjnych etatach w przedsiębiorstwach wspierających kluby.

Wszystkich nas czekał wielki piłkarski egzamin. Ogromną rolę odegrał Kazimierz Górski, nasz trener. Był nie tylko szkoleniowcem, ale i przybranym ojcem, a momentami kolegą. Mieliśmy czas na żarty, ale gdy musieliśmy pracować, nie było zmiłuj. Każdy czuł przed trenerem respekt i szanował jego zdanie. On, reżyser, musiał przygotować zespół na bój z Argentyną. Trafiał do nas prostymi słowami: „Panowie, to są tacy sami ludzie jak wy. Co z tego, że grają w Atlético Madryt czy w Valencii? To nie ma żadnego znaczenia. Wyjdźcie na boisko i zróbcie swoje!”. To działało, bo przecież wcześniej w eliminacjach wyrzuciliśmy za burtę Walijczyków i Anglików.

Trener nie bał się podejmować ryzyka i potrafił postawić na młodego zawodnika. Wiedział, że wybrańcy go nie zawiodą. Kilka lat przed mistrzostwami świata prowadził jeszcze kadrę młodzieżową. Grali u niego Władek Żmuda, Antek Szymanowski, Adaś Musiał, Leszek Ćmikiewicz, Janek Tomaszewski, Jurek Gorgoń, Andrzej Szarmach. Grałem też ja.

Po przegranej z Niemcami w 1971 roku w eliminacjach do mistrzostw Europy w kadrze została przeprowadzona prawdziwa rewolucja. Zostali między innymi Włodek Lubański i Kaziu Deyna, ale połowa składu została wymieniona, nastąpił „zaciąg" z młodzieżówki trenera Górskiego. Młodzi wykorzystali swoją szansę, bo zaczęli stanowić o sile reprezentacji Polski, która zawędrowała na mundial.

Czekał nas pierwszy mecz na turnieju, z Argentyńczykami. Czułem napięcie, stres. Staliśmy w tunelu skupieni i ciekawi, a serca waliły nam jak młotem. A Argentyńczycy? Pełen luz. Trzeba powiedzieć, że zanim wyszli na boisko, byli już pewni zwycięstwa. Jest jednak taka stara zasada – Polaka nie wolno denerwować i wkurzać, bo się uprze. Cała ta otoczka pierwszego meczu na mistrzostwach świata podziałała na nas bardzo motywująco. Spotkanie z Argentyną zaczęliśmy ostrożnie, ale nie na tyle, żeby cofnąć się do obrony.

Po kilku minutach prowadziliśmy już z wielkimi rywalami. Po dośrodkowaniu w pole karne z rzutu rożnego fatalny błąd popełnił Daniel Carnevali. Bramkarz argentyńskiej drużyny wypuścił piłkę z rąk, a ta spadła mi na nogę. Oddałem strzał i w kapitalnym stylu rozpoczęliśmy turniej. Nie można słowami opisać tej radości. Zapisałem się w historii! Piłka znalazła się na środku boiska. Kilka minut później udało nam się ją przechwycić, zagrałem na wolne pole za linię obrony do Andrzeja Szarmacha, ten wykończył akcję i prowadziliśmy już różnicą dwóch goli. Zszokowani Argentyńczycy nie wiedzieli, co się dzieje. A to był przecież dopiero początek meczu…

W drugiej połowie Argentyńczycy mieli moment przebudzenia, bo zdobyli bramkę kontaktową. Skrzydeł jednak nie rozwinęli. Nie udało im się pójść za ciosem i wyrównać, bo to my ich punktowaliśmy. Minęła chwila i znowu fatalny błąd popełnił Carnevali. Zapomniał chyba, że nie wyrzuca się piłki

w „szesnastkę”. Wyprzedziłem obrońcę, który chciał mnie złapać za koszulkę. Ta jednak na szczęście okazała się zbyt śliska i nie zdołał mnie powstrzymać. Strzeliłem i wpadło! Znowu w biało-czerwonych szeregach nastąpiła olbrzymia radość. Przeciwnik trafił jeszcze raz do siatki Janka Tomaszewskiego, ale zwycięstwo dowieźliśmy do końca. Wielki triumf Polski nad Argentyną, dla której mieliśmy być chłopcami do bicia. Boisko wszystko zweryfikowało – to oni zostali stłamszeni. Stadion w Stuttgarcie opuszczali strasznie przybici.

Nasz sukces odbił się szerokim echem w Polsce, ale i w zagranicznej prasie. Pisali o nas Niemcy, Anglicy. „Polacy będą liczyli się w walce o medal, zajdą daleko na mistrzostwach świata”. Przestano mówić o Argentynie, a zaczęto o nas i Włochach. Oczywiste było, że ten mecz nas podbudował i dał nam większą wiarę w siebie. Zwycięstwo na wielkiej imprezie z takim rywalem zawsze gwarantuje przypływ energii. Bardzo dobrze pamiętam nasz powrót do ośrodka, w którym stacjonowaliśmy. Przywitano nas w królewskim stylu, z największymi honorami. Kelnerzy chodzący z tacami, szampan, kwiaty, mnóstwo mieszkańców miasteczka pod hotelem. Podbiliśmy ich serca. Byliśmy ich drużyną, traktowali nas jak swoich. Ludzie stawali na głowie, żeby nam dogodzić. Mieliśmy wszystko pod ręką, a gdy czegoś brakowało, zaraz nam to załatwiano. Szliśmy do kina w reprezentacyjnych dresach i nie było mowy, żebyśmy musieli płacić za bilety. Piwo w knajpie? Nie ma opcji, nikt nie chciał od nas pieniędzy. Oczywiście, nie można było przesadzać, bo zaraz czekał nas następny mecz.

Każde spotkanie na mistrzostwach świata stawało się coraz ważniejsze. Pokonywaliśmy kolejne przeszkody, odnosiliśmy następne zwycięstwa. Wpakowaliśmy siedem goli Haitańczykom i już było po sprawie. Hucznie

przypieczętowaliśmy awans do kolejnej fazy turnieju po dwóch meczach. Czekał nas jeszcze ostatni bój, z Włochami. Mieli przed nami respekt. Zwłaszcza po ograniu przez nas Argentyńczyków obawiali się tej rywalizacji. Nie będą to słowa przesadzone, jeśli powiem, że nawet się nas przestraszyli.

Dwa szybkie ciosy zadane pod koniec pierwszej połowy dały nam duży komfort. Znakomita wrzutka Henryka Kasperczaka w pole karne, główka Andrzeja Szarmacha i gol dla Polski. Potem znowu asysta Kasperczaka i słynny „rogal" Kazia Deyny, któremu przy tak mocnym uderzeniu… pękł but. Zaraz potem zeszliśmy na przerwę, więc szybko mógł go naprawić. Włochów było stać tylko na jedno trafienie, które zaliczył Fabio Capello. Trzeci mecz i trzecie zwycięstwo reprezentacji Polski na mistrzostwach świata! Włosi finalnie nie awansowali, bo lepszy bilans bramkowy wypracowali sobie Argentyńczycy. Sprawiliśmy wielką sensację. Ówczesny wicemistrz świata zakończył rozgrywki już na fazie grupowej. Wielcy Włosi musieli pojechać do domu ze spuszczonymi głowami.

Znaleźliśmy się w najlepszej „ósemce" drużyn na świecie, trafiliśmy do „grupy śmierci". RFN, Jugosławia, Szwecja i Polska. W drugiej natomiast była Holandia, Brazylia, NRD i Argentyna. Najpierw czekało nas starcie ze Szwedami, z którymi od zawsze grało nam się ciężko. Mieli zawodników o świetnych warunkach fizycznych, wybieganych, technicznych, zdyscyplinowanych. Wymordowaliśmy jednak to zwycięstwo, później ograliśmy natomiast Jugosławię. Ogromnym problemem Jugosłowian była głowa. Oni nie umieli wytrzymać nerwówki, kompletnie nie potrafili sobie z nią poradzić, co było widoczne na boisku – w polu karnym mocno kopnięty bez piłki został Andrzej Szarmach. Dzisiaj byłaby to czerwona kartka i wyjazd z boiska.

Kaziu Deyna strzelił gola z rzutu karnego, później rywale wyrównali, ale ostatnie słowo należało do nas. Wszyscy potem się dziwili, jak mogłem strzelić takiego gola. Po wrzutce z rzutu rożnego siadło na mnie dwóch zawodników, a ja jeszcze między nich łeb wsadziłem i posłałem piłkę do siatki. Został nam tylko jeden mecz, który mógł dać nam finał mistrzostw świata. Wielki „mecz na wodzie", jak przyjęło się nazywać to spotkanie w naszym kraju. Byliśmy na straconej pozycji, bo to spotkanie po prostu musieliśmy wygrać – reprezentacja RFN miała lepszy bilans bramkowy, więc gospodarzom mistrzostw wystarczał remis. Przed samym meczem doszło do oberwania chmury i wszystko opóźniło się o ponad godzinę.

Murawa została dosłownie zalana. Co dalej? Gramy czy nie? Na trybunach tysiące mokrych od deszczu kibiców. Zapadła decyzja, że spotkanie się jednak odbędzie. Warunki do grania były tragiczne, boisko nasiąknęło jak gąbka. Kopałem się z Paulem Breitnerem. Brodziliśmy w błocie jak kaczki, rozgrywaliśmy mecz w piłkę wodną. Sepp Maier wygrał Niemcom to spotkanie. To, co wyjmował, było nieprawdopodobne. Zatrzymał Kazia Kmiecika, wyciągnął strzał Kazimierza Deyny. Rzut karny obronił Janek Tomaszewski, ale to RFN po jedynej bramce Gerda Müllera mogła świętować awans do wielkiego finału.

Nam pozostało spotkanie o trzecie miejsce, z Brazylijczykami. Byliśmy już bardzo zmęczeni. Mieliśmy w nogach sześć meczów, a musieliśmy stanąć do ostatniego starcia, znowu w trudnych warunkach pogodowych. Tym razem nie deszcz, tylko słońce było naszym przeciwnikiem – temperatura wynosiła 33 stopnie w cieniu. Proszę sobie więc wyobrazić, co działo się na boisku. Taka patelnia, że jak biegałem, język przyklejał mi się do podniebienia. Trzeba było wsadzić palec, oderwać go i przepłukać wodą. Nie skończyliśmy jednak jeszcze

roboty na tej imprezie. Minuty upływały, został ostatni kwadrans gry. Wreszcie otrzymałem podanie, wykrzesałem z siebie tyle sił, ile mogłem, pobiegłem i posłałem piłkę do siatki. Wygraliśmy. Sięgnęliśmy po tytuł trzeciej drużyny świata. Podbiliśmy serca kibiców, daliśmy im wiele radości. Tych siedem meczów na mundialu w 1974 roku zawsze będzie dla mnie czymś wyjątkowym i najważniejszym w karierze reprezentacyjnej.

GRZEGORZ LATO

Data i miejsce urodzenia: 8 kwietnia 1950 r., Malbork.

W reprezentacji Polski: 100 meczów, 45 goli.

Debiut: 17 listopada 1971, RFN – Polska 0:0.

Osiągnięcia: złoty medal IO 1972, srebrny medal IO 1976, III miejsce MŚ 1974 (król strzelców turnieju), 1982, uczestnik MŚ 1978. Członek Klubu Wybitnego Reprezentanta. Zawodnik Reprezentacji 100-lecia PZPN.

Kariera klubowa: Stal Mielec, KSC Lokeren (Belgia), CF Atlante (Meksyk), Polonia Hamilton (Kanada).

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (1973, 1976), król strzelców ligi polskiej (1973, 1975).

MARIUSZ

LEWANDOWSKI

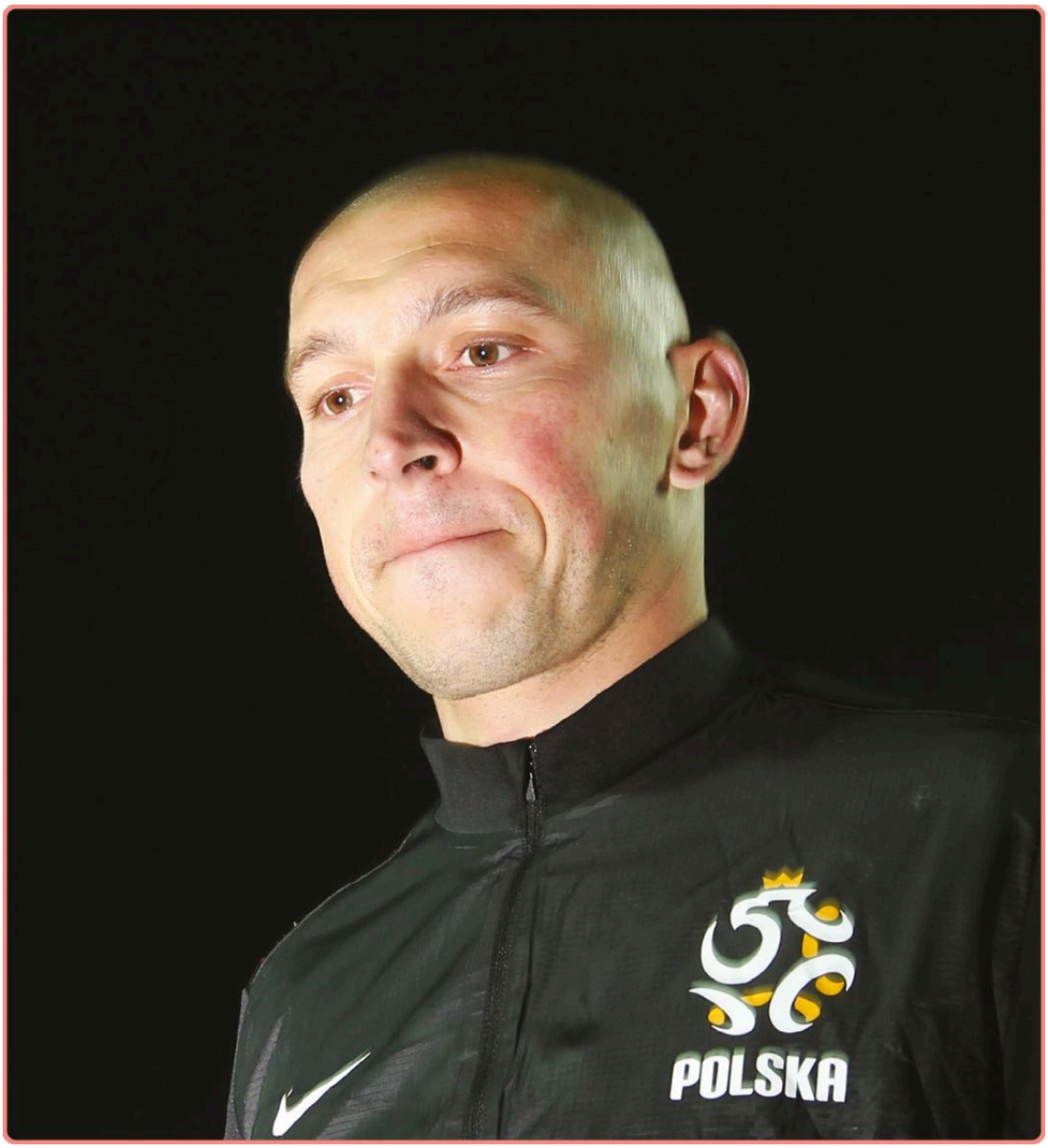

BEENHAKKER DODAŁ MI SKRZYDEŁ

11 października 2006, Chorzów
Polska – Portugalia 2:1 (2:0)

Bramki: Euzebiusz Smolarek 10., 19. – Nuno Gomes 90.
Polska: Wojciech Kowalewski – Paweł Golański, Arkadiusz Radomski,
Jacek Bąk, Grzegorz Bronowicki – Jakub Błaszczykowski (67. Jacek Krzynówek), Radosław Sobolewski, Mariusz Lewandowski,
Euzebiusz Smolarek – Maciej Żurawski, Grzegorz Rasiak (75. Radosław Matusiak).
Portugalia: Ricardo – Luis Miguel, Ricardo Carvalho, Ricardo Rocha, Nuno Valente – Simão Sabrosa, Petit (69. Nani), Deco (84. Maniche), Costinha (46. Tiago), Cristiano Ronaldo – Nuno Gomes.
Żółte kartki: Lewandowski, Kowalewski – Simão Sabrosa, Ricardo Rocha.
Sędziował: Wolfgang Stark (Niemcy).

W kadrze nie ma meczów mniej ważnych. Wszystkie są wyjątkowe. Każdy, kto grał w biało-czerwonych barwach, doskonale o tym wie. Reprezentowało się kraj, nosiło na koszulce swoje nazwisko i trzeba było godnie występować dla narodu. Wszystko po to, żeby kibice wiedzieli, że jest drużyna, która może dostarczać im pozytywnych emocji. Były jednak mecze, które utkwiły w pamięci bardziej i można je traktować jako przełomowe. Tak trzeba określić spotkania z Portugalczykami w kwalifikacjach do Euro 2008. Ważny jest dla mnie mecz wyjazdowy w Lizbonie, gdzie udało mi się zdobyć bramkę, ale wyjątkowo miło wspominam pierwsze starcie z tym rywalem, na Stadionie Śląskim w Chorzowie. Było to szczególne spotkanie nie tylko dla mnie, ale także całej reprezentacji, która była na zakręcie po słabym początku eliminacji.

Start mieliśmy nieudany, bo rozpoczęliśmy od porażki z Finlandią w Bydgoszczy. Później przyszedł remis z Serbią i wymęczone zwycięstwo z Kazachstanem na wyjeździe. Meczu z Kazachami nie wspominam zbyt dobrze, bo szybko zostałem zmieniony przez trenera Leo Beenhakkera. Dostałem „wędkę" w pierwszej połowie, co ogromnie mnie zdenerwowało. Totalnie nie rozumiałem, dlaczego muszę opuścić boisko. Miałem nawet myśli, żeby skończyć z reprezentacją Polski. W pewnym momencie przyszedł do mnie trener Bogusław Kaczmarek i zapytał: „Co ty wyprawiasz!?". Nie przyjmowałem żadnych tłumaczeń. Poczekałem, aż mecz się skończy, i byłem już gotowy zamawiać lot do Doniecka. Miałem mocne argumenty, ale później zrozumiałem, że nie przemyślałem odpowiednio tej sprawy.

Na ziemię sprowadziła mnie żona. Powiedziała mi, żebym przemyślał, co powiedziałem trenerom i drużynie, a następnie wylał sobie kubeł zimnej wody na głowę. Moje zachowanie było niedorzeczne. Mówiła mi, że przecież reprezentacja wygrała z Kazachstanem i powinienem dać sobie na luz, bo zaraz będzie dobrze. Na lotnisku w drodze powrotnej zwołałem całą drużynę i przeprosiłem kolegów za swoją postawę. Odbyłem także rozmowę z trenerem Leo Beenhakkerem. Od razu stwierdził, że nie ma sprawy i nic takiego się nie zdarzyło. Zaraz potem rozgrywaliśmy mecz z Portugalią i sam nie wiem, jak bym się zachował na miejscu trenera – prawdopodobnie wyrzuciłbym gościa z zespołu, żeby uniknąć podobnych incydentów. Z pewnością nie było to przyjemne, że zespół cierpiał przez jednego zawodnika – czyli przeze mnie.

Leo Beenhakker nie wyjaśnił mi, dlaczego postanowił zdjąć mnie z boiska. Nie rozmawialiśmy już na ten temat. Później dowiedziałem się, że nie chodziło o moją słabą dyspozycję, tylko zmiany w taktyce. Poinformował mnie o tym trener „Bobo"

Kaczmarek. Leo następnego dnia zachował się wobec mnie bardzo w porządku. Na kolejnym treningu nawet nie czułem, że taka sytuacja miała miejsce. Podszedł i powiedział: „Nie ma tematu, nic się nie wydarzyło. Jesteś potrzebny na kolejny mecz, który ma być przełomowy". Naprawdę myślałem, że mogę być już skończony w kadrze, a nazajutrz znowu czułem pełne wsparcie i wiarę we mnie. Trener mi zaufał. Bardzo tego potrzebowałem, bo w reprezentacji różnie było z tą wiarą, jeśli o mnie chodzi. Poparcie od trenera Beenhakkera dodało skrzydeł.

Pamiętam, że przed meczem z Portugalią szkoleniowiec powiedział: „Jesteście gotowi, to wasz mecz, wasz wieczór. Gracie w dobrych klubach, więc pokażcie, co umiecie. Róbcie wszystko dla rodzin, kibiców, a przede wszystkim dla samych siebie". Przygotowywaliśmy się do meczu z gwiazdami jak do każdego innego spotkania. Wiedzieliśmy, że nie jesteśmy faworytami, dlatego też nie czuliśmy presji, że musimy coś ugrać. Pewnie fani przychodzili na mecz z myślą, żeby zobaczyć portugalskie sławy, których wówczas nie brakowało: Cristiano Ronaldo, Deco, Nuno Gomes, Maniche, Nani. Te nazwiska na pewno robiły wrażenie na kibicach. Nasz selekcjoner wierzył w zespół i był znakomitym motywatorem, co później przełożyło się to naszą postawę na boisku. Podchodził do zawodników indywidualnie. Czasem nawet wystarczyło mu pół minuty, klepnięcie po plecach. Każdy wie, co tego dnia działo się na boisku. Nie było w naszym zespole słabego ogniwa, jeden szedł za drugiego, bronił i wykonywał swoje obowiązki.

W mecz weszliśmy idealnie, bo szybko strzeliliśmy gola, później poprawiliśmy wynik drugim trafieniem. Przy pierwszej bramce oddałem strzał, a Ebi Smolarek musiał tylko dopełnić formalności. Można więc powiedzieć, że 99 procent tego gola to moja zasługa… Oczywiście żartuję, bo Smolarek miał

niesamowity instynkt prawdziwego napastnika. Z minuty na minutę czuliśmy się coraz pewniejsi, a Portugalczycy zostali przez nas stłamszeni. Byli bezradni, sfrustrowani i momentami chyba zdesperowani, żeby choć oddać strzał na bramkę Wojciecha Kowalewskiego.

Chyba sami byliśmy w szoku, że gramy tak kapitalnie, tym bardziej po wcześniejszych słabszych meczach. Potrafiliśmy zatem w starciu z takim przeciwnikiem wznieść się na wyżyny, zawiesić rywalom wysoko poprzeczkę i nie obniżać tego poziomu. Dlatego to spotkanie pokazało, że jesteśmy w stanie zrobić jako drużyna naprawdę wiele. Zdecydowanie i pewnie utrudnialiśmy grę rywalom. Pokazaliśmy, że nie odstawimy nogi i będziemy walczyć o swoje. W pewnym momencie mocno wpierdzieliłem się Cristiano Ronaldo w nogi, tak że przez resztę meczu tylko kuśtykał. Dostałem żółtą kartkę, ale wielki zawodnik Manchesteru United nie mógł rozwinąć skrzydeł. Dobrze, że nie było wtedy VAR, bo pewnie mogłoby się to skończyć dla mnie trochę inaczej i gralibyśmy w osłabieniu.

W naszych szeregach tego dnia nie było słabych punktów. Portugalczycy nie mieli szans, a my po prostu zagraliśmy mądrze. Potrzebny był czasem jakiś inteligentny faul, zagranie do skrzydeł, przetrzymanie piłki. Wraz z Radkiem Sobolewskim braliśmy na siebie ciężar gry. Naprawdę super to funkcjonowało. Sam się cieszyłem, że gramy w piłkę. W klubie występowałem z Brazylijczykami – Jadsonem, Fernandinho czy Douglasem Costą. Wiedziałem, że jak odbiorę piłkę wślizgiem, zaraz mogę im wrzucić ją „na jaja”, a oni sobie poradzą. Tak samo było w tym meczu z Portugalią – przy zagraniu trudnej piłki nikt nie panikował, tylko potrafił ją opanować i ruszyć dalej z akcją.

W końcówce było trochę nerwówki, bo niepotrzebna strata piłki sprawiła, że Portugalczycy zdobyli bramkę kontaktową,

a pewnie dało się dociągnąć do końca z czystym kontem. Może pojawiło się u nas trochę rozprężenia, że już to mamy? Ale tak naprawdę to była jedyna groźna sytuacja Portugalczyków, innej nie mieli, przynajmniej sobie jej nie przypominam. Żałuję, że sam nie zdobyłem bramki w drugiej połowie. Mieliśmy sytuację, że pędziliśmy we trzech na jednego Ricardo. Przy piłce był Grzegorz Rasiak i zagrywał prawą nogą. Humorystycznie mogę powiedzieć, że gdyby podawał głową, a nie nogą, to pewnie udałoby mi się zamknąć akcję i strzelić trzeciego gola.

Tamtym meczem skradliśmy serca kibiców. Fani w nas uwierzyli. Narodziła się drużyna, którą postrzegano już zupełnie inaczej. Przekonaliśmy ich do tej reprezentacji. Nie myśleli już, że tylko zarabiamy pieniądze, mamy fajne samochody i brylantynę na głowach. Chociaż w moim przypadku to ostatnie z wiadomych przyczyn mi nie groziło… Kibice zobaczyli, że w końcu mają drużynę, którą mogą dopingować. Muszę przyznać, że atmosfera na Stadionie Śląskim była niepowtarzalna. Mimo że trybuny były oddalone nieco od boiska, czułem tę wrzawę, to był prawdziwy „Kocioł Czarownic". Wielu rywalom grało się tam naprawdę trudno.

Na mecz rewanżowy z Portugalią jechaliśmy z myślą, że nie tacy rywale straszni, jak ich malują. Graliśmy z nimi, pokonaliśmy ich już i wiedzieliśmy, że umiemy sobie z nimi poradzić. Oni też na pewno czuli przed nami respekt. Pamiętam, że jadąc na mecz w Lizbonie, zobaczyłem na stadionie reklamę Media Markt. Siedziałem obok Michała Żewłakowa i powiedziałem: „Żewłak, zobacz. Stadion nie dla idiotów". Tam ugraliśmy remis i trochę napsuliśmy krwi Portugalczykom, którzy mieli zapędy na pierwsze miejsce w grupie.

POLSKA
Orange

MARIUSZ LEWANDOWSKI

Data i miejsce urodzenia: 18 maja 1979 r., Legnica.

W reprezentacji Polski: 66 meczów, 5 goli.

Debiut: 10 lutego 2002, Wyspy Owcze – Polska 1:2.

Osiągnięcia: uczestnik MŚ 2006, uczestnik ME 2008.
Członek Klubu Wybitnego Reprezentanta.

Kariera klubowa: Zagłębie Lubin, Dyskobolia Grodzisk Wielkopolski, Szachtar Donieck (Ukraina), PFK Sewastopol (Ukraina).

Osiągnięcia: Puchar UEFA (2009),
mistrzostwo Ukrainy (2002, 2005,
2006, 2008, 2010),
Puchar Ukrainy (2002, 2004, 2008),
Superpuchar Ukrainy (2005).

LESZEK
LIPKA

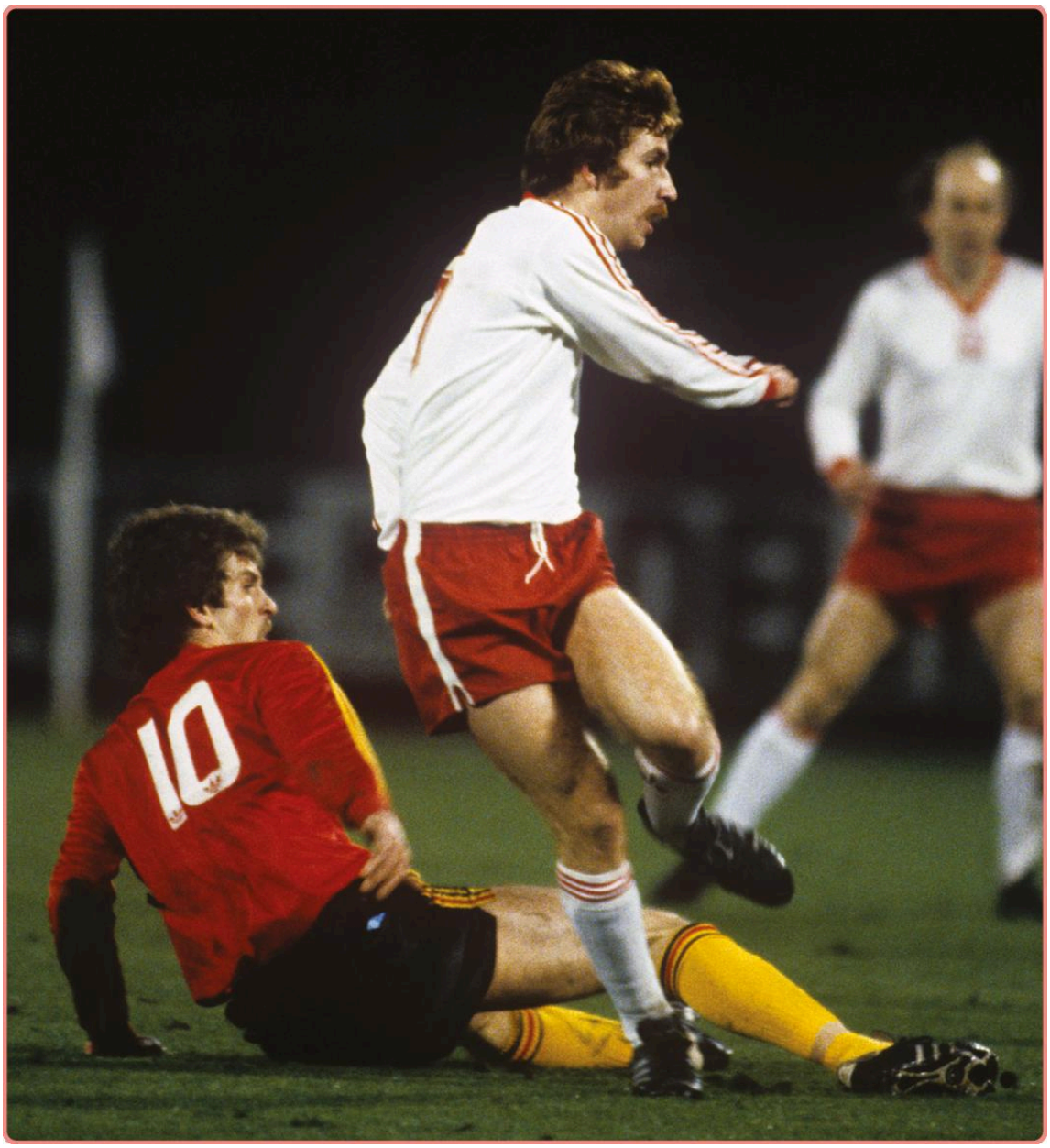

Fot. Peter Robinson / PA Images / Getty Images

UKAMIENOWANI

7 grudnia 1980, La Valletta
Malta – Polska 0:2 (0:0)

Bramki: Włodzimierz Smolarek 57., Leszek Lipka 77.
Malta: John Bonello – Emmanuel Farrugia, John Holland, Norman Buttigieg,
Edwin Farrugia – Emmanuel Fabri, Dennis Fenech,
Joseph Curmi (52. Leonard Farrugia) – Ernest Spiteri-Gonzi (74. Michael Degiorgio), Joseph Xuereb, George Xuereb.
Polska: Piotr Mowlik – Ryszard Milewski, Paweł Janas, Piotr Skrobowski,
Wojciech Rudy – Leszek Lipka, Marek Dziuba,
Włodzimierz Ciołek – Andrzej Pałasz, Andrzej Iwan, Włodzimierz Smolarek.
Żółte kartki: Fenech, Edwin Farrugia – Smolarek, Dziuba.
Sędziował: Dusan Maksimović (Jugosławia).
Mecz przerwany po 77 minutach z powodu awantur na trybunach.

Reprezentacja Polski rozgrywała wiele spotkań w dość egzotycznych warunkach. Mało było jednak takich, które zostały przerwane przed upływem regulaminowego czasu gry. Jednym z nich okazało się starcie z Maltą, w ramach kwalifikacji do turnieju finałowego mistrzostw świata. Z wielu względów był to najdziwniejszy mecz, jaki przyszło mi rozegrać w reprezentacji narodowej. Nie sądzę, żeby jeszcze kiedykolwiek przydarzyło się naszej kadrze coś podobnego.

Przed meczem z Maltą spędziliśmy kilka dni na zgrupowaniu we Włoszech. Sam wylot przebiegał w dość napiętej atmosferze, po słynnej „aferze na Okęciu”. Z kadry zostali wtedy usunięci

czterej zawodnicy: Zbyszek Boniek, Józek Młynarczyk, Staszek Terlecki i Władek Żmuda. To już w znaczny sposób zakłóciło spokój w zespole, bo byli to podstawowi piłkarze reprezentacji. Jestem pewien, że trener podjął decyzję o odsunięciu tej czwórki pod naciskami wyżej postawionych osób. Drużyna stanęła po stronie wykluczonych, ale nie mogliśmy zbyt wiele zdziałać. Dużo dołożyli dziennikarze – jednego wieczoru z kimś pili, by następnie biczować tych, z którymi biesiadowali.

W tak specyficznej atmosferze wylecieliśmy do Włoch. Miałem wtedy okazję przeżyć coś absolutnie wyjątkowego, czyli spotkanie z papieżem Janem Pawłem II. Tak wspaniałej chwili nie da się kupić za żadne pieniądze, byłem ogromnie dumny. To spotkanie dało nam trochę spokoju, pozwoliło się wyciszyć. Ojciec Święty był wielkim fanem futbolu i na pewno trzymał za nas kciuki. Nam pozostało zrobić swoje na boisku. Rywal był od nas teoretycznie dużo słabszy, ale mogło się to skończyć różnie.

Gdy zobaczyliśmy „murawę", na której przyszło nam zagrać z Maltańczykami, byliśmy w szoku. Czuliśmy się jak na szkolnym boisku, wydeptanym do ostatniego źdźbła trawy. Totalne klepisko. Każdy z nas miał dłonie owinięte bandażem, bo upadek niemalże gwarantował bolesne otarcia. Nie mieliśmy też obuwia dostosowanego do takich warunków. Większość z nas zabrała lanki, dość wysokie. Jeździliśmy w nich jak na lodzie, z tym że nawierzchnia bardziej przypominała beton. Gdy zorientowaliśmy się dzień przed meczem, co się dzieje, wszystkie korki zostały zabrane do szewca i pościnane na minimalną wysokość. Gra w wyższych groziła nie tylko upadkiem, ale i odparzeniem stóp.

Wiadomo, że mimo takich kłopotów i tak pozostawaliśmy zdecydowanym faworytem tego starcia. Męczyliśmy się jednak dosyć długo, bo dopiero w drugiej połowie pierwszą bramkę zdobył Włodek Smolarek. Później ja dołożyłem kolejne trafienie

i zaczęła się totalna awantura na trybunach. „Kibice” zaczęli ciskać w nas kamieniami, a sędzia błyskawicznie przerwał mecz. To nie rozwiązywało jednak naszych problemów, bo… nie mieliśmy jak zejść do szatni. Zebraliśmy się na środku boiska, bo tam pociski nie dolatywały. Staliśmy tam dosyć długo i co kilka minut, pojedynczo, unikając fruwających kamieni, uciekaliśmy do budynku.

Całe szczęście, że nikt nie oberwał, chociaż amunicji rozwścieczonemu tłumowi nie brakowało. Obiekt był tak zrujnowany, że kamieni było pod dostatkiem. Na samej ucieczce się jednak nie skończyło. Aby móc opuścić stadion, musieliśmy jeszcze trochę poczekać. Trzeba było ściągnąć konkretne siły porządkowe, żebyśmy mogli wyjść. To cud, że nie porozbijano nam szyb w autokarze. Śmiałem się później, że mam tylko jedną bramkę w kadrze na koncie, bo gdy strzelałem, mecze kończyły się wcześniej. Tak samo zresztą jak moja reprezentacyjna kariera, która dobiegła końca, gdy miałem niespełna 23 lata. Cieszę się jednak, gdy ktoś mnie jeszcze rozpoznaje i czasami podejdzie, by porozmawiać o starych czasach.

LESZEK LIPKA

Data i miejsce urodzenia: 4 czerwca 1958 r., Kraków.
W reprezentacji Polski: 21 meczów, 1 gol.
Debiut: 2 maja 1979, Polska – Holandia 2:0.
Kariera klubowa: Wisła Kraków, Błękitni Kielce.
Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (1978).

WŁODZIMIERZ
LUBAŃSKI

Fot. Peter Robinson / EMPICS / Getty Images

OD EUFORII DO TRAGEDII

6 czerwca 1973, Chorzów
Polska – Anglia 2:0 (1:0)

Bramki: Robert Gadocha 7., Włodzimierz Lubański 47.
Polska: Jan Tomaszewski – Krzysztof Rześny, Mirosław Bulzacki, Jerzy Gorgoń, Adam Musiał – Jerzy Kraska, Lesław Ćmikiewicz, Kazimierz Deyna – Jan Banaś, Włodzimierz Lubański (54. Jan Domarski),
Robert Gadocha.
Anglia: Peter Shilton – Paul Madeley, Robert Moore, Roy McFarland, Emlyn Hughes – Peter Storey, Alan Ball, Martin Chivers,
Colin Bell – Allan Clarke, Martin Peters.
Czerwona kartka: Ball.
Sędziował: Paul Schiller (Austria).

Meczów w narodowych barwach, które zapadły mi mocno w pamięć, jest całe mnóstwo. Niezwykle trudno jest wybrać jedno spotkanie, które można uznać za najważniejsze. Myślę, że stojąc w obliczu takiego wyzwania, muszę wrócić do starcia z Anglią w 1973 roku, które miało ogromny wpływ na całą moją piłkarską karierę.

Spotkanie to mogę podzielić na dwie fazy: ogromnej radości i wielkiego smutku. Rzadko się zdarza, by w ciągu jednego meczu przeżyć tak dużo skrajnych emocji. Dla kogoś tamta potyczka z Anglią może być jedną z wielu w historii naszej reprezentacji, ale dla mnie wiąże się z niesamowitymi przeżyciami i huśtawką nastrojów. To był mecz absolutnie wyjątkowy, który nadał inny bieg mojemu życiu.

Do samego końca nie było wiadomo, czy w ogóle w tym spotkaniu wystąpię. Podczas jednego z treningów w czasie przygotowań do tego meczu doznałem drobnej kontuzji w starciu z Jurkiem Gorgoniem. Miałem rozerwaną skórę nad kolanem, niezbędne było zszycie rany. Mój udział w potyczce z Anglią stanął więc pod wielkim znakiem zapytania, bo zostało bardzo niewiele czasu.

Trzy dni przed spotkaniem usiadłem z panem Kazimierzem Górskim i ustaliliśmy, że spróbuję sił w treningu. Nie miałem pewności, czy wszystko będzie w porządku, ale mecz z Anglikami był na tyle ważny, że nie zamierzałem się poddawać bez walki. Bardzo zależało mi na tym, żeby wyjść na murawę Stadionu Śląskiego. Byłem kapitanem tej reprezentacji, czułem, że zmierzamy do wielkich rzeczy. Decyzja miała zostać podjęta po sesjach treningowych. Na szczęście wszystko okazało się w porządku.

Owszem, na starcie kwalifikacji przegraliśmy z Walią, ale nie zmąciło to mojej pewności co do możliwości tej drużyny. Gdy człowiek trenuje z kimś na co dzień, to łatwo zdać sobie sprawę z umiejętności poszczególnych piłkarzy, dostrzec i realnie ocenić wielki potencjał zespołu. Uległiśmy Walii, ale nie baliśmy się potyczki z Anglią. Nie mieliśmy pełnych portek, na murawę wybiegaliśmy z poczuciem, że nie ustępujemy w niczym rywalom. Wiedzieliśmy, że stać nas na to, aby z nimi powalczyć, a nawet wygrać. I tak się właśnie stało.

Ostateczna decyzja o moim występie zapadła dopiero kilka godzin przed pierwszym gwizdkiem. Byłem strasznie naładowany energią – mam wrażenie, że aż za bardzo. Mecz jednak układał się dla nas doskonale. Kontrolowaliśmy przebieg gry, a Anglicy nie stwarzali sobie dogodnych sytuacji bramkowych. Szybko zdobyliśmy pierwszą bramkę i czuliśmy, że możemy wygrać. Na początku drugiej połowy

wyprowadziliśmy drugi cios, który pozwolił nam grać z jeszcze większym spokojem. Dwie minuty po przerwie nacisnąłem Bobby'ego Moore'a, odebrałem mu piłkę, pognałem w pole karne i strzałem po ziemi posłałem futbolówkę do siatki. Zapanowała olbrzymia radość, bo wiedzieliśmy, że nie damy już sobie wydrzeć tego zwycięstwa.

Później nadszedł moment, w którym euforia zamieniła się w moją osobistą tragedię. Wygrałem pojedynek z Royem McFarlandem, lecz nieszczęśliwie postawiłem stopę na murawie. Usłyszałem trzask w kolanie. Wiedziałem, że to poważna sprawa, ale nie spodziewałem się, że uraz przerwie moją karierę na tak długi czas. Musiałem przejść dwie operacje, wszystko trwało ponad rok. Dla mnie jednak w tamtym momencie najbardziej liczyło się, że wygraliśmy mecz. Nieistotny był ból i pierwsze badania w szpitalu. Cieszyłem się, że mamy na koncie trzy punkty i nadal liczymy się w walce o awans do mistrzostw świata.

Takiej huśtawki nastrojów nie przeżyłem nigdy wcześniej i nigdy później. Przeżyłem mnóstwo chwil radości, tak jak w debiucie w kadrze narodowej, gdy byłem zaledwie dzieciakiem. W meczu z Anglią wszystkie skrajne emocje się przeplatały. Ale silniejsze było szczęście, które przezwyciężało towarzyszący mi ból. To było coś niesamowitego.

Gdy przyjechałem do szpitala, pierwszą rzeczą, która rzuciła mi się w oczy, był fakt, że wszyscy oglądali mecz. Lekarze, pielęgniarki, pacjenci… Wszyscy wlepiali oczy w ekran telewizora. Nagle zostałem wwieziony do budynku, w pełnym stroju meczowym. Zapanowała konsternacja, w końcu podszedł do mnie lekarz dyżurny. Miał nietęgą minę, bo tak naprawdę niewiele mógł zrobić na miejscu. Nie było technologicznych możliwości wykonania prześwietlenia, USG, wielu innych – dziś absolutnie podstawowych – badań. Obejrzał moją nogę,

pokręcił głową i stwierdził: „Wie pan co, panie Włodku, my tu panu tę nogę w taką szynę zawiniemy”. Tak się stało, a potem wróciłem na stadion i zdążyłem jeszcze zobaczyć ostatnie minuty spotkania.

Poczekałem na chłopaków w szatni. Po ogromnej radości wsiadłem z kolegą w samochód i zostałem odwieziony do domu. Tam czekałem na kolejny dzień i następne badania. Przyszedł do mnie klubowy lekarz, który szybko stwierdził bardzo poważny uraz. Cały czas czułem jednak więcej radości niż smutku. Dopiero po pewnym czasie dotarło do mnie, co tak naprawdę się stało. Wszystko to zmieniło moją karierę, ominęły mnie mistrzostwa świata w RFN, miałem długą przymusową pauzę. Po latach najsilniejszym uczuciem towarzyszącym tym wspomnieniom jest jednak radość zwycięstwa.

WŁODZIMIERZ LUBAŃSKI

Data i miejsce urodzenia: 28 lutego 1947 r.,
Gliwice.

W reprezentacji Polski: 75 meczów, 48 goli.

Debiut: 4 września 1963, Polska – Norwegia 9:0.

Osiągnięcia: złoty medal IO 1972, uczestnik MŚ 1978.
Członek Klubu Wybitnego Reprezentanta.
Zawodnik Reprezentacji 100-lecia PZPN.

Kariera klubowa: Sośnica Gliwice, GKS Gliwice,
Górnik Zabrze, KSC Lokeren (Belgia),
US Valenciennes (Francja), Stade Quimpeiros (Francja),
KRC Mechelen (Belgia).

Osiągnięcia:
mistrzostwo Polski (1963, 1964, 1965, 1966, 1967, 1971, 1972),
Puchar Polski (1965, 1968, 1969, 1970, 1971, 1972),

król strzelców Pucharu Zdobywców Pucharów (1970, 1971),
król strzelców ligi polskiej (1966, 1967, 1968, 1969),
finał Pucharu Zdobywców Pucharów (1970).

SŁAWOMIR
MAJAK

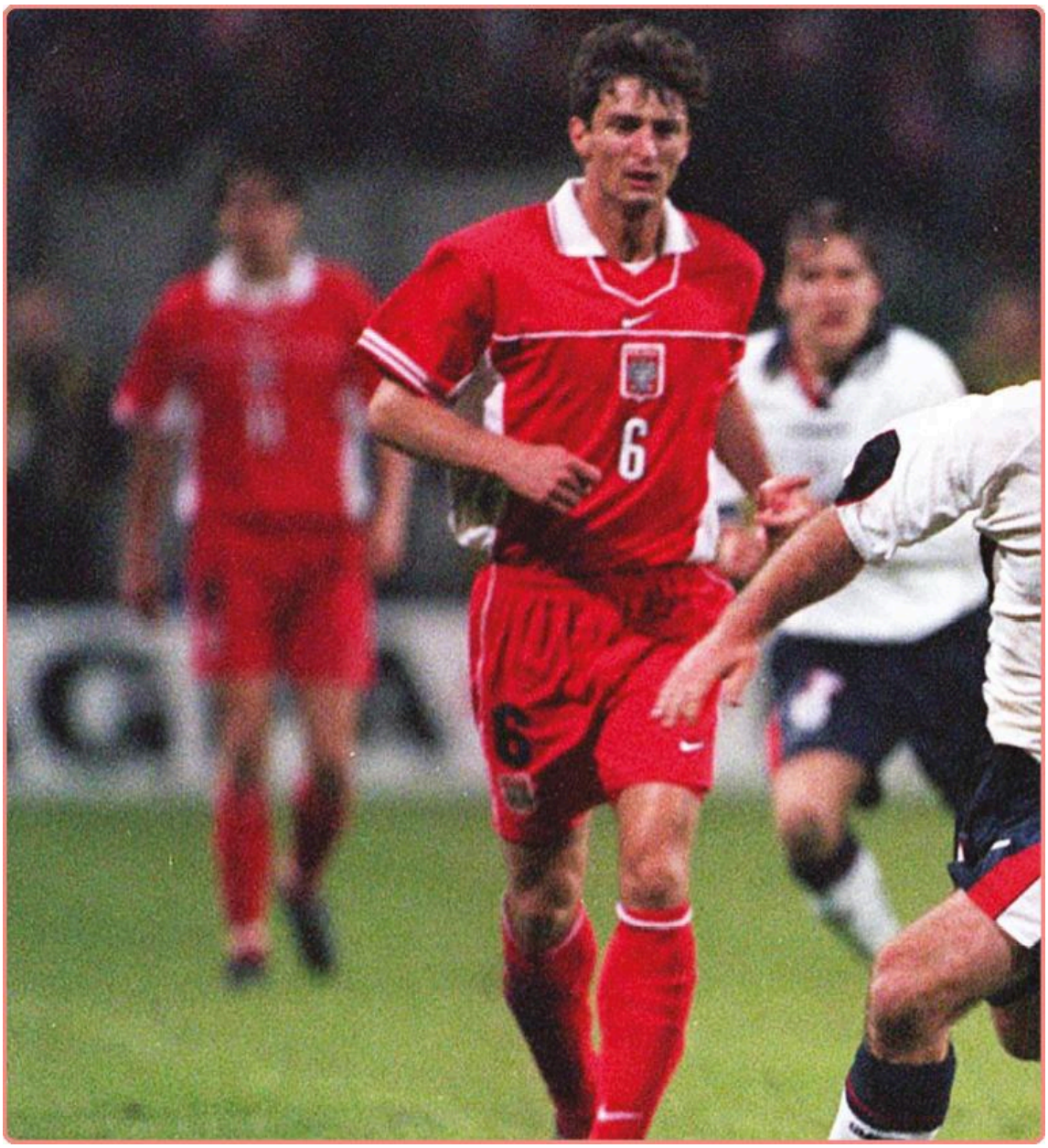

Fot. Adam Butler / PA Images / Getty Images

STRACONE POKOLENIE

31 maja 1997, Chorzów
Polska – Anglia 0:2 (0:1)

Bramki: Alan Shearer 5., Teddy Sheringham 90.
Polska: Andrzej Woźniak – Marek Jóźwiak, Jacek Zieliński, Radosław Kałużny – Adam Ledwoń, Krzysztof Bukalski (46. Piotr Świerczewski),
Tomasz Wałdoch, Piotr Nowak (59. Cezary Kucharski),
Sławomir Majak – Andrzej Juskowiak (52. Waldemar Adamczyk), Jacek Dembiński.
Anglia: David Seaman – Gary Neville, Gareth Southgate, Sol Campbell – Paul Ince, David Beckham (89. Phil Neville), Paul Gascoigne (18. David Batty), Robert Lee, Graeme Le Saux – Alan Shearer, Teddy Sheringham.
Żółte kartki: Jóźwiak, Dembiński, Kałużny, Majak – Ince, Batty.
Sędziował: Urs Meier (Szwajcaria).

W reprezentacji Polski rozegrałem łącznie 22 spotkania. W zależności od tego, jak ktoś na to spogląda, są to tylko lub aż 22 spotkania. Pierwszym meczem z poważnym rywalem, w którym wystąpiłem od pierwszej minuty, było starcie z Anglią w ramach kwalifikacji do turnieju finałowego mistrzostw świata. Po raz pierwszy w potyczce o punkty rozegrałem także pełne spotkanie, więc właśnie walka z wyspiarzami utkwiła mi w pamięci najmocniej.

Tamte eliminacje nie szły nam najlepiej. Na pewno nie byliśmy faworytami, bo musieliśmy mierzyć się z Włochami i Anglią. W ogóle w czasie mojej reprezentacyjnej przygody nigdy nie mieliśmy szczęścia w losowaniach. Trafialiśmy na

topowe europejskie drużyny i trudno było nam się w jakikolwiek sposób przebić na wielką imprezę.

Z Anglią w Chorzowie niestety również przegraliśmy. Był to dla mnie swego rodzaju sprawdzian możliwości, ale także wykładnik siły naszego zespołu. Pomimo trudnej sytuacji w grupie kwalifikacyjnej nie trzeba było nam dodatkowej motywacji na starcie z Anglikami. To była ekipa, w składzie której znajdowali się naprawdę światowej klasy piłkarze. Zdawaliśmy sobie sprawę, że na francuski mundial już się nie zakwalifikujemy, ale sam fakt gry z takim przeciwnikiem na wypełnionym Stadionie Śląskim wyzwalał w nas maksymalne siły. Ja grałem przeciwko Davidowi Beckhamowi, co też było świetną motywacją.

Wiadomo było, że nie jesteśmy faworytem, ale przed meczem nikt z nas nie zakładał przegranej. Zdawaliśmy sobie sprawę z siły przeciwnika, lecz mieliśmy swoje nadzieje. Liczyliśmy, że będziemy w stanie przeciwstawić się Anglikom, a mecz był naprawdę wyrównany. Niestety, szybko straciliśmy bramkę, co wpłynęło na dalszy przebieg gry. Gdy zaczęliśmy łapać rytm, sędzia podyktował rzut karny dla naszych rywali. Alan Shearer trafił jednak w słupek i nasze szanse na pozytywny wynik wciąż pozostawały realne. Wróciliśmy z dalekiej podróży, mogliśmy znów walczyć o odrobienie strat.

Potrafiliśmy stworzyć sobie kilka dogodnych sytuacji. Sam dogrywałem do Andrzeja Juskowiaka, któremu zabrakło dosłownie centymetrów, by wepchnąć piłkę do siatki. W pierwszej połowie mieliśmy swoje okazje, ale nie udało nam się doprowadzić do wyrównania. W przerwie trener nie miał do nas wielkich pretensji. Sami żałowaliśmy, że przespaliśmy pierwsze minuty i straciliśmy bramkę, ale ciągle wierzyliśmy, że zdołamy jeszcze odwrócić losy tego meczu. Końcowe fragmenty

pierwszej połowy pokazały nam, że nie taki diabeł straszny, jak go malują.

Na drugą połowę wyszliśmy z mocnym postanowieniem odrobienia strat. Wiedzieliśmy, że nas na to stać. Po przerwie próbowaliśmy ataków, mając świadomość, że każda nasza kontra czy stały fragment gry mogą przynieść upragnione wyrównanie. Niestety, w ostatnich minutach odkryliśmy się za bardzo i w doliczonym czasie gry to my nadzialiśmy się na kontratak Anglików. Mieliśmy szansę coś ugrać, ale doświadczenie i siły rywala były zbyt duże.

Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że dla Antoniego Piechniczka był to ostatni mecz w roli selekcjonera. Byłem młodym stażem zawodnikiem, który dopiero zaczynał przygodę z reprezentacją. Być może starsi piłkarze mieli informacje na ten temat, ale dla mnie pożegnanie selekcjonera ze stanowiskiem było niespodzianką.

Bardzo żałuję, że nie udało nam się awansować na żadną wielką międzynarodową imprezę. Nie chcę tego tłumaczyć tylko pechowymi losowaniami, bo złożyło się na to mnóstwo czynników. Trochę mnie to dziwiło, bo w futbolu klubowym potrafiliśmy coś osiągnąć, Legia Warszawa i Widzew Łódź awansowały przecież do Ligi Mistrzów. Nie przekładało się to jednak na wyniki reprezentacji. Może miały na to wpływ także częste zmiany na stanowisku selekcjonera, ale na pewno nie jest to łatwo wytłumaczyć. Szkoda, że moje pokolenie nie wywalczyło żadnego awansu.

Brak udziału w mistrzostwach świata czy Europy trochę boli mnie do dziś. Niemniej gdyby dwa lata przed moim debiutem ktoś powiedział mi, że rozegram w reprezentacji Polski 22 spotkania, raczej bym mu nie uwierzył. Szkoda, że w koszulce z białym orłem ani razu nie udało mi się trafić do siatki. Na pewno można było osiągnąć więcej, kilka meczów rozegrać

zdecydowanie inaczej. Karierę w kadrze zamknąłem nieudanym meczem z Hiszpanią, po przejęciu sterów w kadrze przez Jerzego Engela. Wówczas selekcjoner ze mnie zrezygnował, choć w Bundeslidze spisywałem się całkiem nieźle. Nie mogę mieć jednak do niego pretensji, takie prawo trenera, ale na pewno w sercu pozostał żal, że kariery nie było mi dane spuentować udziałem w mistrzostwach świata.

SŁAWOMIR MAJAK

Data i miejsce urodzenia: 12 stycznia 1969 r., Radomsko.

W reprezentacji Polski: 22 mecze.

Debiut: 15 listopada 1995, Azerbejdżan – Polska 0:0.

Kariera klubowa: Start Gidle, RKS Radomsko, ŁKS Łódź, Igloopol Dębica, Köping FF (Szwecja), Zagłębie Lubin, Hannover 96 (Niemcy), Widzew Łódź, Hansa Rostock (Niemcy), Anorthosis Famagusta Larnaka (Cypr), Piotrcovia Piotrków Trybunalski, Anorthosis Famagusta Larnaka (Cypr), RKS Radomsko, Concordia Piotrków Trybunalski, Świt Kamieńsk.

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (1997), Puchar Cypru (2002, 2003).

RADOSŁAW
MAJDAN

Fot. Gary M. Prior / Getty Images

PRZEMYCONE KORALIKI

14 czerwca 2002, Tedzon
Polska – USA 3:1 (2:0)

Bramki: Emmanuel Olisadebe 3., Paweł Kryszałowicz 5., Marcin Żewłakow 66. – Landon Donovan 83.
Polska: Radosław Majdan – Tomasz Kłos (90. Tomasz Wałdoch), Jacek Zieliński, Arkadiusz Głowacki, Marek Koźmiński – Maciej Żurawski,
Maciej Murawski, Cezary Kucharski (66. Marcin Żewłakow), Jacek Krzynówek – Emmanuel Olisadebe (87. Paweł Sibik), Paweł Kryszałowicz.
USA: Brad Friedel – Anthony Sanneh, Edward Pope,
Jeffrey Agoos (37. DaMarcus Beasley), Frank Hejduk – Ernest Stewart (69. Cobi Jones), John O'Brien, Claudio Reyna, Landon Donovan – Clint Mathis,
Brian McBride (59. Joe-Max Moore).
Żółte kartki: Majdan, Koźmiński, Kucharski, Olisadebe – Hejduk.
Sędziował: Lu Jun (Chiny).

W reprezentacji Polski rozegrałem siedem meczów, ale jeśli miałbym wybrać najważniejszy z nich, to wskażę na mundial i starcie ze Stanami Zjednoczonymi w 2002 roku. Bardzo istotny był też dla mnie debiut w kadrze, ale to spotkania o punkty są najistotniejsze.

W Korei Południowej niewiele nam się układało. Gdy straciliśmy szansę na awans po przegranym 0:4 meczu z Portugalią, byliśmy kompletnie załamani. Siedzieliśmy w szatni w całkowitej ciszy chyba z pół godziny... Nikt nic do nikogo nie mówił, każdy zdawał sobie sprawę ze straconej

okazji. Wróciliśmy do hotelu, a następnego dnia spotkaliśmy się z trenerem Jerzym Engelem, który stwierdził, że co prawda nie mamy już szans na awans, ale wciąż możemy obronić honor naszej drużyny na tych mistrzostwach. W ostatnim meczu chcieliśmy w końcu wygrać i pokazać się z dobrej strony. Wiadomo, że drużyna, która przegrywa wszystkie trzy mecze w fazie grupowej, doświadcza ogromnego upokorzenia, więc za wszelką cenę chcieliśmy tego uniknąć.

Przygotowania do ostatniego spotkania wyglądały tak jak wcześniej. Cykl wyglądał cały czas tak samo: analiza gry rywala na materiałach wideo, zwrócenie uwagi na poszczególnych zawodników. Trener uczulał nas, w jakich sytuacjach musimy być czujni. Ale przed tym spotkaniem nie czuliśmy większego napięcia.

Na dzień przed meczem trener przekazał nam wiadomość, kto zagra w ostatnim meczu. Dowiedziałem się, że stanę między słupkami! Bardzo się ucieszyłem, że będę miał możliwość reprezentowania mojego kraju na mistrzostwach świata. Trener postanowił dać szansę tym zawodnikom, którzy na turnieju jeszcze nie wystąpili. Ostatecznie na boisko nie wszedł nawet na minutę jedynie Adam Matysek.

Długo nie mogłem zasnąć. Byłem tak bardzo dumny, że trener daje mi szansę występu. Znajdowałem się wtedy w optymalnej formie, dobrze prezentowałem się na treningach. Byłem po roku regularnej gry w Turcji, w której ciężko pracowałem. Miałem tam bardzo dobrego trenera bramkarzy, więc byłem przekonany, że dam sobie radę. Choć adrenalina we mnie buzowała, to się nie stresowałem. Już w łóżku analizowałem, jak to może wyglądać następnego dnia, wyobrażałem sobie różne scenariusze meczu. I zasnąłem dopiero koło trzeciej albo nawet czwartej nad ranem. Wstałem jednak dość wcześnie, bodajże o dziewiątej, i poszedłem na śniadanie. Potem mieliśmy

lekki rozruch, pierwszą odprawę. Mecz był dopiero wieczorem, więc zdążyłem się jeszcze przez moment zdrzemnąć.

Gdy siedzieliśmy już w autokarze w drodze na stadion, u wszystkich dało się zauważyć bardzo dużą koncentrację. Każdy mobilizował się na swój sposób, a trener Engel starał się jak najlepiej mentalnie wprowadzić nas w ten mecz. Był świetnym specjalistą, potrafił łączyć funkcję selekcjonera z byciem dobrym psychologiem, ojcem, starszym bratem. Dla nas wszystkich był dużym autorytetem. Nasz trener zawsze podkreślał, że zespół to cała kadra, a nie tylko jedenastka meczowa. I w tym momencie wszystkim nam to udowodnił – dał szansę tym, którzy nie mieli okazji się do tej pory wykazać.

Chciałem odizolować się od reszty chłopaków. Rozciągnąłem się, odbyłem lekką gimnastykę, co zawsze robiłem przed meczami, czy to w klubie, czy reprezentacji Polski. Bramkarz musi mocno się skupić już przed samym spotkaniem, więc jeśli na murawę wyjdzie lekko roztargniony, to potem może być już tylko gorzej. Chciałem tego uniknąć.

Na meczach zawsze miałem ze sobą koraliki, bo uważałem, że przynoszą mi szczęście. W tunelu, tuż przed wyjściem na murawę, sędzia spotkania je jednak zauważył i nakazał mi je zdjąć. Zrobiło się małe zamieszanie. Koledzy próbowali mi pomóc, ale im się nie udało. Potem zaczęliśmy szukać nożyczek, by przeciąć sznurek. W końcu zdecydowałem, że ukryję je przed sędzią i ostatecznie przemyciłem swój talizman na płytę boiska.

Wreszcie przyszedł najprzyjemniejszy moment, jakiego doświadczyłem w reprezentacyjnej karierze – rozbrzmiał Mazurek Dąbrowskiego! Gdy byłem małym chłopakiem, marzyłem, żeby być bramkarzem. Zawsze chciałem wystąpić z drużyną narodową na wielkiej imprezie. Udało się! Spełniłem swoje marzenie. Hymn narodowy to taka kropka nad i. Zawsze

powodował u mnie mobilizację, dawał kopa i przypływ adrenaliny na najwyższym poziomie. Czułem wtedy, że mogę góry przenosić! Ogarnęło mnie poczucie spełnienia. Nie mogłem się już doczekać, kiedy sędzia zagwiżdże po raz pierwszy.

Dobrze weszliśmy w mecz. Od razu na samym początku zapakowaliśmy Amerykanom dwie bramki i pokazaliśmy, kto tu rządzi. Najpierw Brada Friedela pokonał Emmanuel Olisadebe, a potem na 2:0 podwyższył Paweł Kryszałowicz, który rozgrywał świetne zawody. Dryblował, dogrywał i strzelał. To my dyktowaliśmy warunki na boisku. Graliśmy kombinacyjnie, kreatywnie, a przede wszystkim skutecznie. Amerykanie, patrząc na nasz skład, byli na pewno zdziwieni. Może trochę się rozluźnili, gdy dowiedzieli się, że na ostatni mecz trener Engel wypuszcza rezerwowych, ale to okazało się dla nich złudne, bo nie daliśmy sobie w kaszę dmuchać.

W drugiej połowie bramkę na 3:0 zdobył Marcin Żewłakow. Byłem już spokojny, wiedziałem, że jest dobrze. Potem jednak to Amerykanie zaczęli dochodzić do głosu i strzelili nam gola. Wiedzieliśmy, że nie możemy się cofnąć i bronić wyniku. Podkręciliśmy tempo, ale w końcówce brakowało nam już trochę sił. Warunki atmosferyczne nie wyglądały zbyt sprzyjająco, było gorąco i wilgotno. Dobrze, że chłopaki wytrzymały to kondycyjnie.

Oczywiście po końcowym gwizdku czuliśmy lekki niedosyt, że nie udało nam się zrealizować planu minimum, czyli wyjść z grupy, ale na pewno byliśmy w lepszych humorach niż po poprzednich meczach. Podeszliśmy do wypełnionego naszymi kibicami sektora i w ramach podziękowań rzuciliśmy im swoje koszulki. Po spotkaniu zostałem wezwany na kontrolę antydopingową. Nawet się nie przebierałem, tylko od razu musiałem stawić się na badaniach. Byłem zmęczony

i odwodniony, dlatego miałem problem z... przekazaniem materiału do analizy. Koledzy już pojechali do hotelu, a ja dołączyłem do nich, gdy jedli kolację. Na strój założyłem dresy reprezentacyjne, zjadłem i poszedłem do pokoju wziąć prysznic.

To był dla nas ostatni dzień turnieju. Musieliśmy się pakować i wracać do kraju. Wszyscy zastanawialiśmy się, jak przyjmą nas na Okęciu kibice. Zdawaliśmy sobie sprawę, jak wielki zawód im zafundowaliśmy. Nie zdziwiłoby nas to, gdyby na lotnisku nas zrugali. Ale nasze powitanie okazało się bardzo miłe. Rozdaliśmy autografy, podziękowaliśmy za wsparcie. Potem pojechaliśmy autokarem do hotelu do Konstancina i zakończyliśmy nasze czterotygodniowe zgrupowanie. Muszę przyznać, że tego meczu nawet po tylu latach nie obejrzałem w całości. Widziałem jedynie bramki. Gdy wróciłem do Szczecina, mama powiedziała mi, że nagrała to spotkanie, ale jakoś specjalnie się tym nie podpalałem. Jeszcze będzie czas, by wspominać...

RADOSŁAW MAJDAN

Data i miejsce urodzenia: 10 maja 1972 r., Szczecin.

W reprezentacji Polski: 7 meczów.

Debiut: 26 stycznia 2000, Hiszpania – Polska 3:0.

Osiągnięcia: Uczestnik turnieju finałowego mistrzostw świata (2002).

Kariera klubowa: Pogoń Szczecin, Göztepe SK (Turcja), PAOK Saloniki (Grecja), Bursaspor Kulübü (Turcja), FC Aszdod (Izrael), Wisła Kraków, Pogoń Szczecin, Polonia Warszawa.

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (2004, 2005),
Puchar Grecji (2003).

STEFAN
MAJEWSKI

MEDAL UKRYTY W SEJFIE

10 lipca 1982, Alicante
Polska – Francja 3:2 (2:1)

Bramki: Andrzej Szarmach 41., Stefan Majewski 45., Janusz Kupcewicz 47. – René Girard 13., Alain Couriol 72.
Polska: Józef Młynarczyk – Marek Dziuba, Władysław Żmuda, Paweł Janas, Stefan Majewski – Grzegorz Lato, Waldemar Matysik (46. Roman Wójcicki), Janusz Kupcewicz, Andrzej Buncol – Zbigniew Boniek, Andrzej Szarmach.
Francja: Jean Castaneda – Manuel Amoros, Marius Trésor, Gérard Janvion (64. Christian Lopez), Philippe Mahut – Jean Tigana (82. Didier Six), Jean-François Larios, René Girard, Gérard Soler – Bruno Bellone, Alain Couriol.
Żółte kartki: Buncol, Wójcicki – Soler.
Sędziował: António José da Silva Garrido (Portugalia).

W karierze żadnego zawodnika mecz, którego stawką jest podium mistrzostw świata, nie jest codziennością. Dlatego nie może dziwić, że i dla mnie najważniejszym spotkaniem rozegranym w narodowych barwach jest potyczka z Francją podczas mundialu w 1982 roku. Starcie to było tym bardziej wyjątkowe, że mnie – obrońcy – udało się także zdobyć bramkę.

Tamte hiszpańskie mistrzostwa były wyjątkowe również ze względu na to, co działo się na politycznej scenie w naszym kraju. Przygotowania do turnieju były mocno zaburzone, ale paradoksalnie nie miało to negatywnego wpływu na naszą postawę na turnieju. Wręcz przeciwnie – ta sytuacja zmobilizowała nas do walki i pokazaliśmy charakter. A tamten zespół miał swoją aurę. Starsi zawodnicy, którzy grali w reprezentacji Polski od wielu lat, bardzo przyjaźnie przyjęli w swoje szeregi „młodych gniewnych", a ci odwdzięczyli się bardzo dobrą postawą na boisku.

Początki na mundialu były jednak trudne. Pierwsze dwa mecze bezbramkowo zremisowaliśmy, choć trzeba pamiętać, że Włosi zostali później mistrzami świata. Kameruńczycy natomiast mieli mnóstwo szczęścia, że z nami nie przegrali. Media atakowały nas z każdej strony, byliśmy niemiłosiernie krytykowani. W drugiej połowie meczu z Peru zagraliśmy jednak koncert, rozwiązał się worek z bramkami. Wtedy wróciła wiara w tę drużynę i w to, że ona coś jednak potrafi. Udowodnił to mecz z Belgią, wygrany przez nas 3:0. Awans do półfinału dał nam „zwycięski remis" z ZSRR. W tamtych czasach wyeliminowanie Związku Radzieckiego było czymś, co smakowało wyjątkowo.

W półfinałowym boju z Włochami zabrakło Zbyszka Bońka, który musiał pauzować za żółte kartki. Wszyscy byli przekonani, że jego miejsce na boisku zajmie Andrzej Szarmach, ale trener Antoni Piechniczek zdecydował się włączyć do kadry meczowej Andrzeja Pałasza. Szarmach zasiadł na trybunach razem ze Zbyszkiem. Nie wiem, czy miało to wpływ na końcowy rezultat, ale faktem jest, że przegraliśmy 0:2. Pierwszą bramkę straciliśmy po stałym fragmencie gry, a drugą po kontrataku. Mecz mógł potoczyć się inaczej, mieliśmy swoje okazje, Janusz Kupcewicz trafił w słupek, ale ostatecznie bramki nie zdobyliśmy.

Mimo porażki w półfinale wierzyliśmy, że z Francją wygramy. Nie byliśmy zespołem gorszym od Włochów. Stać nas było na zwycięstwo z każdym rywalem. Francuzi byli zaś po wyczerpującym meczu z RFN, nieco rozbici porażką w rzutach karnych i koszmarnym faulem na Patricku Battistonie, którego dopuścił się Harald Schumacher. Trener Michel Hidalgo zdecydował się na sporo zmian w składzie, a w pierwszych 20 minutach Francuzi i tak dominowali na boisku. Wyłącznie

dzięki świetnej postawie Józka Młynarczyka przegrywaliśmy tylko 0:1.

W końcu w 41. minucie wracający do składu Zbyszek Boniek sprytnie podciął piłkę, a Andrzej Szarmach uderzył w dalszy róg bramki, dając nam wyrównanie. Tuż przed przerwą wywalczyliśmy rzut rożny. Janusz Kupcewicz dośrodkował piłkę, a ja znalazłem się w polu karnym i uderzeniem głową pokonałem francuskiego golkipera. Chwilę po wznowieniu gry w drugiej połowie Janusz strzelił gola bezpośrednio z rzutu wolnego bardzo sprytnym, chytrym strzałem.

Byłem niesamowicie szczęśliwy. Mimo wielu przeciwności zajęliśmy trzecie miejsce na mistrzostwach świata. To, że strzeliłem jednego z goli, najbardziej odczułem już po powrocie do kraju. Zewsząd docierały do mnie gratulacje. Do dziś większość kibiców pamięta, że dołożyłem swoją cegiełkę do tego triumfu.

Trener Antoni Piechniczek potrafił rozmawiać z zawodnikami. Umiał słuchać i wyciągać wnioski, z których później korzystał. Dużo zarzutów pod jego adresem skierowano po wspomnianej wcześniej sytuacji z Andrzejem Szarmachem, ale trzeba pamiętać, że praca trenera piłkarskiego powiązana jest z podejmowaniem trudnych decyzji. Wszyscy są mądrzejsi dopiero po fakcie.

Sporo mówiło się o warunkach atmosferycznych, które panowały wówczas w Hiszpanii. Oczywiście, ogromne upały dawały się nam we znaki, ale dla nas nie miało to większego znaczenia. Wiedzieliśmy, co chcemy osiągnąć, i takie rzeczy jak pogoda nie mogły nam przeszkodzić. Później mogliśmy pojechać na finał, by obejrzeć go z trybun, ale nie zdecydowałem się na wyjazd. Zmęczenie dało o sobie znać – na mundialu, mimo swojej smukłej sylwetki, schudłem siedem kilogramów. Waldek Matysik odwodnił się natomiast do tego

stopnia, że później długo leżał w warszawskim szpitalu przy ulicy Sobieskiego. Odwiedzałem go regularnie, nie chciał rozmawiać z nikim innym. Gdyby nie był sportowcem, nie wiem, czy jego organizm poradziłby sobie z takim obciążeniem. Nie jestem w stanie opisać słowami, jak Waldek wtedy wyglądał… To była masakra. Zwycięstwo okupił poważnym uszczerbkiem na zdrowiu.

Powrót do kraju też nam się nieco opóźnił. W samolocie, którym mieliśmy lecieć, pojawiły się problemy z podwoziem. „Starszyzna" zespołu w pewnym momencie zaczęła rozważać zakup biletów na połączenie rejsowe, by jak najszybciej wrócić do domu. Na te wydarzenia zareagował jednak ówczesny szef Polskiego Komitetu Olimpijskiego Marian Renke, który pomógł nam w dotarciu do Polski. Wylądowaliśmy w kraju z 12-godzinnym opóźnieniem, a na Okęciu i tak witały nas tłumy ludzi. Na całej trasie do hotelu Victoria ustawili się kibice, trener Piechniczek pozwolił nawet raz czy dwa wejść komuś do naszego autokaru.

Daliśmy im mnóstwo radości, byliśmy bardzo blisko awansu do finału mistrzostw świata. Niestety, nie udało się, ale i tak mogę być dumny z tego, co wówczas osiągnęliśmy. Na ścianie mam koszulki z każdego meczu rozegranego na hiszpańskim mundialu, więc wspomnienia są cały czas żywe. Medal natomiast… schowałem w sejfie. Jakiś czas temu zacięły się jednak do niego drzwi, więc nikt się tam na razie nie dostanie. Jest bezpieczny, to w końcu moja najcenniejsza pamiątka.

Data i miejsce urodzenia: 31 stycznia 1956 r., Bydgoszcz.

W reprezentacji Polski: 40 meczów, 4 gole.

Debiut: 30 sierpnia 1978, Finlandia – Polska 0:1.

Osiągnięcia: III miejsce MŚ 1982, uczestnik MŚ 1986. Członek Klubu Wybitnego Reprezentanta.

Kariera klubowa: Gwiazda Bydgoszcz, Chemik Bydgoszcz, Zawisza Bydgoszcz, Legia Warszawa, 1. FC Kaiserslautern (Niemcy), Arminia Bielefeld (Niemcy), Apollon FC (Cypr), SC Freiburg (Niemcy).

Osiągnięcia: Puchar Polski (1980, 1981).

JOACHIM
MARX

Fot. Eugeniusz Warmiński / East News

MASZYNKA ZA KRYSZTAŁ

7 września 1969, Chorzów
Polska – Holandia 2:1 (0:1)

Bramki: Andrzej Jarosik 58., Włodzimierz Lubański 67. – Hendrik Wery 20.
Polska: Hubert Kostka – Henryk Latocha, Bolesław Szadkowski, Jan Wraży,
Zygmunt Anczok – Kazimierz Deyna, Zygfryd Szołtysik,
Zygmunt Schmidt – Joachim Marx, Włodzimierz Lubański,
Eugeniusz Faber (46. Andrzej Jarosik).
Holandia: Jan van Beveren – Wim Suurbier, Rinus Israël, Hans Eijkenbroek,
Pleun Strik – Nico Rijnders, Willem van Hanegem (75. Wietse Veenstra),
Henk Groot – Hendrik Wery, Johan Cruyff,
Coen Moulijn (63. Josephus Roggeveen).
Żółta kartka: Szadkowski.
Sędziował: Ivan Placek (Czechosłowacja).

W kadrze narodowej rozegrałem 23 spotkania, zdobyłem złoty medal igrzysk olimpijskich, ale wyjątkowym momentem – z kilku powodów – było dla mnie starcie z Holendrami w kwalifikacjach do mistrzostw świata w 1970 roku. Przede wszystkim zależało nam na rewanżu za pechową porażkę w Rotterdamie, gdzie decydującego gola straciliśmy w samej końcówce meczu. Pragnęliśmy tego zwycięstwa, bo w tamtych czasach wygrana z Holandią była jak sięgnięcie po mistrzostwo świata. Był to wtedy przeciwnik absolutnie z najwyższej półki. Prezentował widowiskowy futbol, a na czele drużyny **Oranje**

stał słynny Johan Cruyff, z którym miałem okazję rywalizować jeszcze w europejskich pucharach, gdy Ruch Chorzów trafił na wielki Ajax Amsterdam. Cieszyłem się również, że na kadrę we wrześniu 1969 roku pojechałem już jako zawodnik Ruchu. Bardzo chciałem zagrać na Stadionie Śląskim przed własną publicznością, bo to wielka duma dla chłopaka, który się tam urodził.

Początkowo mecz miał się odbyć w Warszawie, na Stadionie Dziesięciolecia, ale później zapadła jednak decyzja, aby przenieść go do Chorzowa. Tam zawsze grało nam się najlepiej. Kibice tworzyli wspaniałą atmosferę i pomagali biało-czerwonym. Przygotowania do rewanżu rozpoczynaliśmy siedmiodniowym obozem w Wiśle. Na ten czas rozgrywki ligowe wstrzymywano, żeby reprezentacja Polski mogła w spokoju trenować przed starciem z Holendrami. Ówczesny trener naszej drużyny, Ryszard Koncewicz, zdecydował się na ustawienie z trzema napastnikami. Z przodu zagrałem ja, a także Włodek Lubański, z którym znałem się bardzo długo, bo występowaliśmy razem w trampkarzach i juniorach. Szansę dostał również Gienek Faber, mój bardzo dobry kolega.

Wyszliśmy na boisko, na trybunach panowała ogromna wrzawa, kibice śpiewali, to był jeden wielki kocioł. Zrobiło to na nas ogromne wrażenie. Odsłuchaliśmy Mazurek Dąbrowskiego, ale wtedy hymnu narodowego się nie śpiewało. Nie robili tego nawet kibice. Pierwszy kwadrans meczu zdecydowanie należał do nas. Udało nam się przycisnąć drużynę gości, ale brakowało nam bramki. Później przewagę zyskali Holendrzy, którzy dominowali w posiadaniu piłki i strzelili pierwszego gola. W pewnych momentach mocno nas gnietli. Publice nie podobało się to, że przegrywamy, i zaczęła na nas gwizdać. Takie to były czasy, że niezadowolony kibic dawał temu wyraz.

Gwizdy pojawiały się nawet wtedy, gdy piłka minęła słupek o dwa centymetry.

Nie grało się nam łatwo. Było dużo nerwów. W nietęgich nastrojach zeszliśmy do szatni. Każdy z nas przeczuwał, że trener Ryszard Koncewicz ostro nas skrytykuje. Nie będę ukrywał, że momentami się go baliśmy. Krótko mówiąc: nie był łagodnym człowiekiem. Ale wtedy, w szatni, gdy przegrywaliśmy z Holandią 0:1, pokazał inne oblicze. Nie wytykał nam błędów, nie krzyczał, nie wprowadzał jeszcze gorszej atmosfery. Mówił: „Chłopaki! Skupcie się! Mamy jeszcze 45 minut, by odwrócić losy tego meczu". Wpłynęło to na nas bardzo pozytywnie, nie zblokowaliśmy się. Byliśmy nawet zaskoczeni, że trener Koncewicz podszedł do nas „po ludzku". A nieraz zdarzało się w przerwie, że trener wchodził i jechał po każdym, rozstawiał nas po kątach. Efekt jednak jest wówczas najczęściej zupełnie odwrotny do zamierzonego.

Jeszcze chwilę przed wyjściem na boisko porozmawialiśmy między sobą w tunelu chorzowskiego stadionu i z nową energią wybiegliśmy na murawę. Trener Koncewicz zdecydował się po zmianie stron zdjąć z boiska Gienka Fabera i do gry wprowadził Andrzeja Jarosika. Wszystko zaczęło iść w dobrą stronę. Fajne było też zachowanie spikera, który krzyczał przez mikrofon: „Polska gola! Polska gola!". Podłapali to kibice na Stadionie Śląskim i myślę, że ten moment dał nam więcej wiary w siebie. Później Holendrzy chcieli składać zresztą jakieś protesty, bo wydawało im się absurdem, że spiker podczas meczu krzyczy do mikrofonu. Według nich nie powinien się odzywać, gdy trwa rywalizacja.

W miarę szybko udało nam się doprowadzić do wyrównania. Gola strzelił właśnie Andrzej Jarosik, a podawał mu Kaziu Deyna. Drugą bramkę dla naszej drużyny zdobył Włodek Lubański, a ponownie asystował Deyna. Role się odwróciły, bo

to przyjezdni musieli gonić wynik. Grało nam się coraz lepiej i nie przypominam sobie, żebyśmy przy rezultacie 2:1 próbowali za wszelką cenę utrzymać wynik i cofnęli się do defensywy. Atakowaliśmy dalej, szukaliśmy kolejnego gola. Jak dobrze idzie, to nie myślisz, żeby się bronić, tylko atakujesz. Ciągnęliśmy grę do przodu, a każda akcja Holendrów była wygwizdywana przez naszych kibiców.

Nie był to koniec emocji na Stadionie Śląskim. Gorzej zrobiło się za sprawą arbitra z Czechosłowacji, który – w mojej opinii – po prostu nie lubił Polaków. Dużo wtedy było zatargów politycznych między naszymi państwami. Po akcji Holendrów do interwencji ruszył Hubert Kostka. Zawodnik rywala się przewrócił, a sędzia wskazał na rzut karny. A Hubert nawet nie dotknął rywala! Holender wykorzystał jednak sytuację i upadł w polu karnym. Chcieliśmy koniecznie opóźnić wykonanie jedenastki, co nam się udało. Najpierw siedliśmy na sędziego i z nim dyskutowaliśmy. Gdyby zrozumiał wszystkie słowa kierowane pod swoim adresem, to chyba musiałby wyrzucić z boiska pół naszego składu. Gdy piłka została ustawiona, odkopnęliśmy ją, żeby zdenerwować wykonawcę karnego. Z trybun słychać było głośne gwizdy. Jeden wielki chaos, byle tylko zdekoncentrować rywala. I to się udało – na nasze szczęście piłka minęła słupek.

Po tamtym zamieszaniu i nietrafionym karnym chcieliśmy już jedynie dowieźć wynik do końca. Kibice byli z nami i udało się, zwyciężyliśmy ze światową potęgą! W tym meczu można było zobaczyć dwa oblicza reprezentacji Polski. Dźwignęliśmy się z kolan i postawiliśmy wielkim gwiazdom. Wybuchła euforia. Zostaliśmy dłużej na boisku, kibice bili nam brawo. Później nakazano nam wracać do szatni, bo obawiano się, że fani mogą wtargnąć na murawę, co spowodowałoby spore

zamieszanie. A że na trybunach było ze sto tysięcy ludzi, to komuś zawsze mogło udać się prześlizgnąć na boisko.

Świętowanie przeniosło się później do szatni, a potem w kolejne miejsce – do restauracji. Holendrzy wykazali się klasą, bo mimo porażki zaprosili nas na pomeczowy bankiet, na drinka. Wymieniliśmy się upominkami. Od przyjezdnych otrzymaliśmy elektryczne maszynki do golenia, które można było ładować – dla nas to była absolutna nowość. Goście natomiast dostali od nas kryształy. Ale takie, jak to się mówiło w naszych czasach, „bolsze". Daliśmy im kryształowe wazoniki, co wtedy za granicą było całkiem chodliwym towarem. Do dziś miło wspominam to wydarzenie. Amatorzy spotkali się z profesjonalistami z Johanem Cruyffem na czele. Patrzyliśmy na nich z uznaniem, ale tamtego dnia role się jednak odwróciły. To my byliśmy zwycięzcami na pomeczowym bankiecie i to na naszym terenie.

JOACHIM MARX

Data i miejsce urodzenia: 31 sierpnia 1944 r., Gliwice.

W reprezentacji Polski: 23 mecze, 10 goli.

Debiut: 3 grudnia 1966, Izrael – Polska 0:0.

Osiągnięcia: złoty medal IO 1972.

Kariera klubowa: Sośnica Gliwice, GKS Gliwice, Gwardia Warszawa, Wisła Kraków, Ruch Chorzów, RC Lens (Francja), US Noeux-les-Mines (Francja).

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (1974, 1975), Puchar Polski (1975).

RADOSŁAW
MATUSIAK

Fot. Adam Davy / PA Images / Getty Images

SPODZIEWAJ SIĘ NIESPODZIEWANEGO

15 listopada 2006, Bruksela
Belgia – Polska 0:1 (0:1)

Bramka: Radosław Matusiak 21.
Belgia: Stijn Stijnen – Carl Hoefkens, Daniel van Buyten, Philippe Leonard (79. Gaby Mudingayi), Thomas Vermaelen – Anthony Vanden Borre (46. Stein Huysegems), Timmy Simons, Karel Geraerts,
Bart Goor – Émile Mpenza, Kevin Vandenbergh (63. Luigi Pieroni).
Polska: Artur Boruc – Marcin Wasilewski, Michał Żewłakow, Jacek Bąk,
Grzegorz Bronowicki – Jakub Błaszczykowski, Radosław Sobolewski,
Dariusz Dudka (78. Rafał Murawski), Euzebiusz Smolarek – Maciej Żurawski (63. Łukasz Garguła), Radosław Matusiak (88. Przemysław Kaźmierczak).
Żółte kartki: Geraerts, Vermaelen, Leonard, Simons, Goor – Sobolewski, Błaszczykowski.
Sędziował: Stuart Dougal (Szkocja).

Za najlepszy okres w mojej przygodzie z piłką nożną mogę uznać jesień 2006 roku. Byłem w topowej formie, na boisku „żarło" i wszystko miałem poukładane, piłkarsko oraz życiowo. A nie zawsze u mnie tak było, bo wiele razy zdarzało mi się być niepokornym człowiekiem. Szczególnie gdy byłem młody. Wtedy jednak wszystko zaczynało iść w dobrą stronę, ładnie się spinało, a to przekładało się na wyniki sportowe. Docenił to trener Leo Beenhakker, który zaprosił mnie na zgrupowanie reprezentacji Polski. Szkoleniowiec umiał zaskakiwać

powołaniami, ale co najważniejsze – potrafił wydobywać z zawodników to, co najlepsze. Nie tylko ja byłem tego przykładem, ale również kilku innych kolegów z kadry narodowej. Gdy trener na nich stawiał, oni nie zawodzili. Pokazywali, że drzemie w nich ogromny potencjał. Duża w tym zasługa Beenhakkera, który potrafił dotrzeć do swoich podopiecznych w reprezentacji.

W kadrze zadebiutowałem z Serbią, będąc zawodnikiem GKS Bełchatów. Udało mi się zdobyć bramkę, ale później, w kolejnych meczach eliminacyjnych, siadałem na ławce rezerwowych. Wchodziłem dopiero na końcówki spotkań z Kazachstanem i Portugalią. Nie miałem do nikogo pretensji o to, że grzeję ławę. Byłem przecież młodym chłopakiem, który dopiero wchodził do reprezentacji Polski. Strzelanie fochów nic by nie dało. Gdybym się obraził, moje zachowanie byłoby po prostu głupie. A ja byłem dumny, że mogę przyjechać na kadrę, trenować i grać z takimi zawodnikami, jak Jacek Krzynówek czy Jacek Bąk. Pamiętam, że po którymś treningu ten drugi powiedział mi, że rzadko widywał piłkarzy z takimi umiejętnościami technicznymi w grze jeden na jednego. A występował przecież na Zachodzie. Byłem w gazie, wiedziałem o tym. Wierzyłem, że dostanę szansę, i się doczekałem.

Nasz wielki mecz z Portugalczykami nie przeszedł bez echa. Pokonaliśmy światową potęgę i tym spotkaniem udowodniliśmy, że umiemy grać, a nie tylko przeszkadzać przeciwnikowi. Na pewno to zwycięstwo dodało nam pewności siebie i wiary, że stać nas na rywalizację z najlepszymi jak równy z równym. Ponad miesiąc później czekało nas starcie z kolejnym silnym rywalem, faworytem do wygrania grupy, czyli Belgią. Trener Beenhakker nie miał w zwyczaju informować nas o wyjściowym składzie dzień wcześniej. O tym,

że zagram w Brukseli, dowiedziałem się więc dopiero w dniu meczu. Spodziewałem się jednak wcześniej, że będę brany pod uwagę. Czułem to po ustawieniach na treningach, gierkach, stałych fragmentach gry. Potem się to potwierdziło. Pozostało mi zachowanie zimnej krwi i robienie tego, co do mnie należy.

Może nie zabrzmi to zbyt profesjonalnie, ale nigdy nie analizowałem tego, na kogo mam grać. Nie przykładałem dużej wagi do przeciwnika, nie studiowałem gry obrońców pod kątem ich poruszania się po boisku, jakichś zalet i wad. Zawsze uważałem, że mamy grać tak, by rywal dopasowywał się do nas, a nie na odwrót. Gdy jest się w bardzo dobrej formie i robi to, co umie się najlepiej, to obrońca, kimkolwiek jest, musi pogodzić się z tym, że będzie miał problem. Do dziś jednym z najbardziej pamiętnych obrazków z tego spotkania jest sytuacja, gdy wygrałem pojedynek fizyczny z Danielem van Buytenem i zdobyłem tę pamiętną bramkę. A mogłoby się wydawać, że Belg będzie miał wszystko pod kontrolą i nie pozwoli mi stworzyć zagrożenia. Popełnił jednak błąd, bo zapomniał, że każda chwila rozprężenia może oznaczać niebezpieczeństwo. Właśnie tego zawsze uczyli mnie trenerzy: że mam czyhać na swoją szansę, zawsze spodziewać się niespodziewanego.

Przed przerwą udało nam się stworzyć jeszcze kilka sytuacji strzeleckich. Uderzałem po rozegranym rzucie rożnym, ale niestety posłałem piłkę nad bramką. Niewiele zabrakło, żebym do gola dopisał jeszcze asystę. Po moim podaniu „patelnię” miał Euzebiusz Smolarek, ale niestety minimalnie się pomylił i dalej było tylko 1:0. Pierwsza połowa była w naszym wykonaniu bardzo dobra, zresztą w drugiej też sobie radziliśmy. Nie mogliśmy być jednak pewni kompletu punktów. Każda przypadkowa sytuacja mogła przyczynić się do remisu, a nawet porażki. Bardzo gorąco w naszym polu karnym było

w doliczonym czasie gry, gdy siedziałem już na ławce rezerwowych. Gospodarze byli bliscy wyrównania, ale skutecznie interweniował Artur Boruc. Później sędzia odgwizdał koniec spotkania i mogliśmy świętować kolejny sukces, bo ponownie pokonaliśmy silnego rywala. Zwyciężyliśmy po bardzo dobrej grze, takiej, jakiej trener od nas oczekiwał, i pokazaliśmy, że nasza wcześniejsza wygrana z Portugalią nie była przypadkiem.

Po meczu, gdy wszystko się już uspokoiło, wezwano mnie na kontrolę antydopingową. Wróciłem po niej do autokaru i dołączyłem do czekających na mnie kolegów, a wtedy wszyscy wstali i zaczęli klaskać. Nawet ci piłkarze, których wcześniej mogłem oglądać tylko w telewizji. To było coś niesamowitego, wyjątkowego, co zostało mi w głowie do dziś. Poczułem się bardzo doceniony. Pamiętajmy, że byłem kadrowiczem, który dopiero wchodził do reprezentacji Polski. Spotkanie z Belgami było dopiero moim czwartym występem w drużynie narodowej.

Na mistrzostwa Europy jednak nie dane mi było pojechać. Przyczynił się do tego mój zagraniczny transfer. Nie występowałem regularnie w klubie, a mój „top” nagle zamienił się w potężną nagonkę na mnie. W moim kierunku padało dużo oskarżeń: że nie gram, że jestem w kiepskiej dyspozycji. Zawsze jednak, gdy przyjeżdżałem na zgrupowanie reprezentacji Polski, dawałem z siebie wszystko, nie zawodziłem. Moja przygoda z drużyną narodową zakończyła się na piętnastu występach i siedmiu zdobytych bramkach. Myślę, że pod względem średniej jest to niezły wynik.

Data i miejsce urodzenia: 1 stycznia 1982 r., Łódź.

W reprezentacji Polski: 15 meczów, 7 goli.

Debiut: 6 września 2006, Polska – Serbia 1:1.

Kariera klubowa: Widzew Łódź, ŁKS Łódź, Szczakowianka Jaworzno, ŁKS Łódź, Wisła Płock, GKS Bełchatów, US Citta di Palermo (Włochy), sc Heerenveen (Holandia), Wisła Kraków, Widzew Łódź, Cracovia, AGS Asteras Tripolis (Grecja), Widzew Łódź.

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (2008).

ADAM
MATYSEK

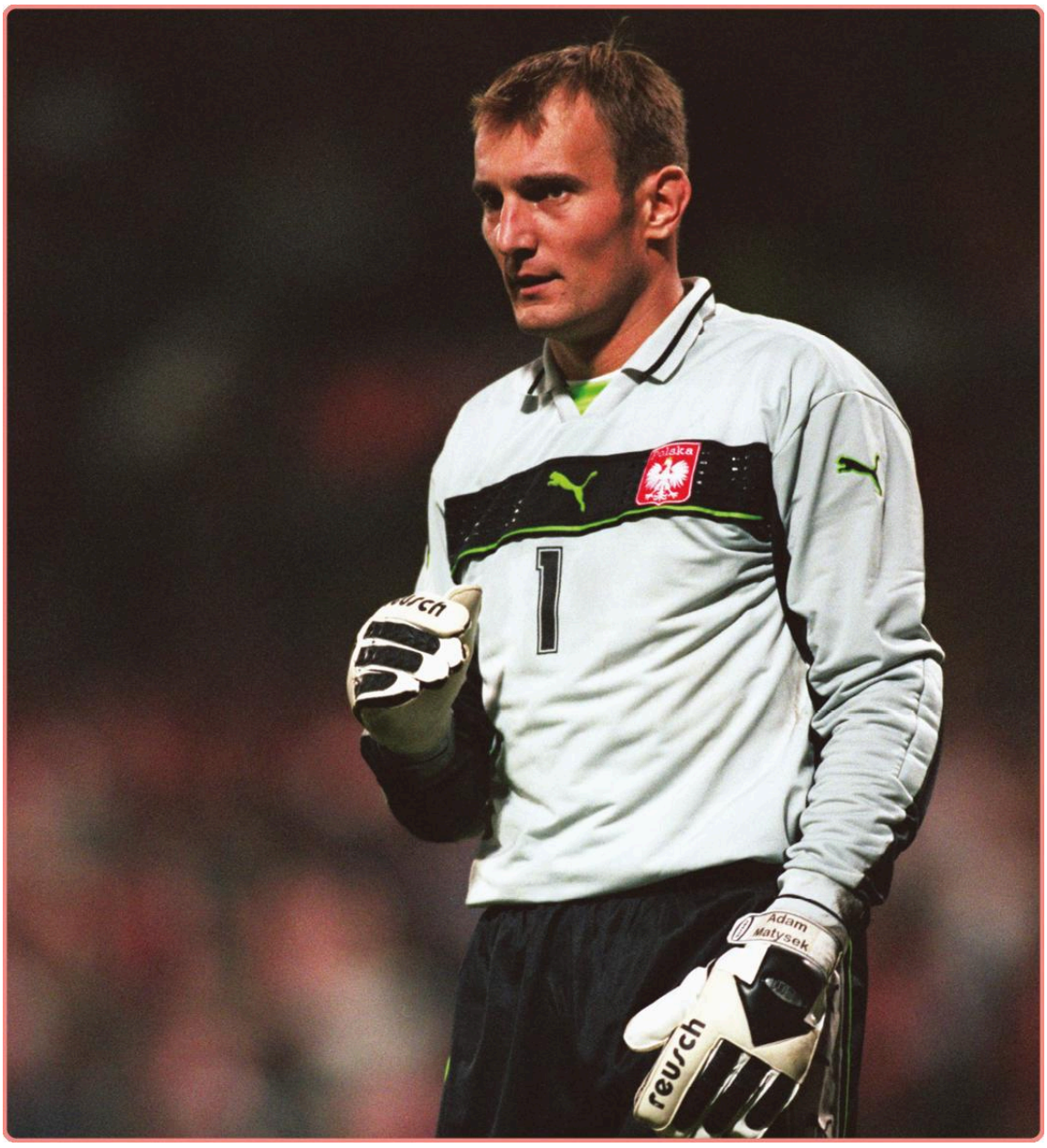

Fot. Michael Steele / EMPICS / Getty Images

BUŁGARIA
W WODZIE PO PAS

4 czerwca 1999, Warszawa
Polska – Bułgaria 2:0 (1:0)

Bramki: Tomasz Hajto 17., Tomasz Iwan 61.
Polska: Adam Matysek – Tomasz Wałdoch, Tomasz Łapiński, Jacek Zieliński – Tomasz Hajto (81. Sławomir Majak), Radosław Michalski,
Krzysztof Nowak (73. Jerzy Brzęczek), Tomasz Iwan, Rafał Siadaczka – Artur Wichniarek (59. Tomasz Frankowski), Mirosław Trzeciak.
Bułgaria: Dimitar Iwankow – Rosen Kiriłow, Zlatomir Zagorčić, Georgi Markow – Radostin Kisziszew, Stilijan Petrow, Milen Petkow, Stanimir Stoiłow, Iwajło Petkow (80. Ilian Iliew) – Christo Stoiczkow (63. Georgi Iwanow),
Christo Jowow (46. Georgi Baczew).
Żółte kartki: Zieliński – Jowow.
Sędziował: Stefano Braschi (Włochy).

Na starcie walki o awans na Euro 2000 rywalizacja o pozycję numer jeden w bramce kadry toczyła się pomiędzy mną a Kazimierzem Sidorczukiem. Przeczuwałem, że to ja będę grał od początku eliminacji, bo przecież występowałem wcześniej w meczach kontrolnych. Trener Janusz Wójcik zmienił jednak zdanie – zaczął rotować golkiperami i nie było do końca jasne, kto zagra w bramce. Miałem bardzo dobry okres w drugiej Bundeslidze, udało mi się wywalczyć z drużyną awans na najwyższy szczebel rozgrywkowy w Niemczech. Zapracowałem sobie nawet na transfer do silniejszego Bayeru Leverkusen.

Argumenty sportowe zdecydowanie przemawiały za mną, więc tym bardziej zaskoczyła mnie ostateczna decyzja selekcjonera. W pierwszym spotkaniu z Bułgarami wystąpił Kaziu, dopiero później, na Luksemburg, wskoczyłem do bramki.

Z wywalczonymi sześcioma punktami i bez straty gola przystąpiliśmy do trzeciego meczu – z Anglikami na Wembley. Przegraliśmy 1:3. Ja trafiłem na ławkę rezerwowych, a w meczu ze Szwedami od pierwszych minut trener Wójcik postawił na Sidorczuka. Co więcej, selekcjoner dokonał zmiany nie tylko między słupkami, ale wystawił też innych graczy w polu. Wydaje mi się, że sam sobie zaszkodził tymi rotacjami w podstawowym składzie. Zanadto kombinował, co odbijało się na zawodnikach. Uważam, że albo ma się zaufanie do piłkarzy, albo nie. A wtedy w poczynaniach Janusza Wójcika nie do końca było je widać. Mieliśmy fajną kadrę z bardzo dobrymi graczami. Moim zdaniem wystarczyło ten zespół scementować i po prostu stawiać na żelazną jedenastkę. Zmiany zresztą nie dały efektu, bo w przemeblowanym ustawieniu przegraliśmy też ze Szwecją.

Zbliżało się spotkanie z Bułgarią, bardzo istotny mecz – nasze ewentualne zwycięstwo mogło przedłużyć nadzieje na awans do mistrzostw Europy. W prasie spekulowano, że jeśli trener Wójcik poniesie porażkę na Łazienkowskiej, może nawet pożegnać się z kadrą. Pamiętam, jak dzień przed meczem szkoleniowiec chodził po pokojach i rozmawiał z zawodnikami. Pytał, jak widzimy jutrzejsze spotkanie, jak się czujemy. Ewidentnie było widać, że jest podenerwowany i szuka kontaktu. Ze mną też dyskutował. Powiedziałem mu: „Trenerze, spokojnie. Jesteśmy mocni i wiem, że spotkanie z Bułgarami wygramy”. Rzadko można było zobaczyć Wójcika w takich emocjach. Zdawał sobie sprawę, że gra o posadę. Ja natomiast byłem bardzo spokojny, choć mecz był o być albo nie być dla

nas wszystkich. Czułem się mocny fizycznie i psychicznie i wiedziałem, że sobie poradzimy.

Pół godziny przed meczem z Bułgarią przez Warszawę przeszła ogromna ulewa. Obfity deszcz zalał stadion i sprawił, że murawa była w katastrofalnym stanie. Dopiero wychodząc z szatni, zobaczyliśmy, co się wydarzyło i w jakich warunkach przyjdzie nam grać. W dzisiejszych czasach to nie do pomyślenia, żeby mecz mógł być rozegrany w takich warunkach, spotkanie z Bułgarią odbyło się jednak zgodnie z planem. Było pewne, że piłka będzie wyprawiała cuda na boisku. Zarówno nam, jak i Bułgarom ciężko było przewidzieć, jak zachowa się po podaniu po ziemi do partnera. Kończyło się na tym, że trzeba było ratować się najprostszymi rozwiązaniami, czyli wybić futbolówkę jak najdalej od własnej bramki i dopiero później szukać szansy na zawiązanie własnej akcji. Zaczynanie akcji od golkipera było po prostu niemożliwe, bo wiązało się ze zbyt dużym ryzykiem. Przecież rywal, ustawiając się wysoko, w momencie przechwytu mógł poważnie zagrozić naszej bramce.

Nasza drużyna nie mogła pozwolić sobie nawet na chwilową dekoncentrację, bo każdy najmniejszy błąd mógł spowodować stratę bramki. Bułgarzy zagrali bardzo odważnie i kilka razy stanęli przed znakomitymi sytuacjami do strzelenia gola. Skutecznie ich jednak powstrzymywałem. Bliski powodzenia był Christo Stoiczkow, bo znalazł się w sytuacji sam na sam, ale po mojej interwencji skończyło się tylko na rzucie rożnym. Goście próbowali wielu wariantów: dośrodkowywali w pole karne, strzelali z dystansu, szukali szansy po stałych fragmentach gry. Starali się mnie ukłuć z różnych stron, ale nie dawałem się pokonać. Tego dnia czułem się bardzo pewnie, co potwierdzałem każdą skuteczną interwencją. Nasza drużyna też tworzyła sobie szanse i wykorzystała dwie sytuacje.

W pierwszej połowie bramkę zdobył Tomek Hajto, a po przerwie wynik ustalił Tomek Iwan. Dalszych okazji nam nie brakowało, ale skończyło się rezultatem 2:0.

Po dwumeczu z Bułgarią i Luksemburgiem wróciliśmy do gry. Przeskoczyliśmy w tabeli Anglików o trzy punkty i ponownie włączyliśmy się do walki o awans na mistrzostwa Europy. „Synowie Albionu" radzili sobie przeciętnie, zmagali się ze sporymi problemami i gubili punkty. Moim zdaniem kluczowym momentem tamtych eliminacji był właśnie mecz z Anglikami w Warszawie. Nie było powtórki z Londynu, lecz wyrównana walka. Rozegraliśmy bardzo dobre spotkanie i mogliśmy je nawet wygrać. Okazję do strzelenia gola miał Radek Gilewicz, bliski powodzenia był też Andrzej Juskowiak. Przeciwnicy rzadko nam zagrażali, a ja nie miałem zbyt wiele pracy. Niestety, skończyło się tylko remisem, a ten wynik trochę podciął nam skrzydła. Gdybyśmy wygrali, bylibyśmy już w barażach ze Szkotami, a Anglicy pożegnaliby się z myślą o grze w turnieju.

Na finiszu rywalizacji o awans na mistrzostwa Europy to od nas zależało, kto weźmie udział w barażach. Przeciwnicy musieli liczyć na nasze potknięcie. Mieliśmy wszystko w swoich rękach i… wypuściliśmy z nich drugie miejsce. Ze Szwecją potrzebowaliśmy „tylko" remisu. Przed meczem rada drużyny rozmawiała z trenerem. Przekazywaliśmy też swoje sugestie odnośnie do starcia ze Szwedami, oczywiście ostatnie słowo zostawiając trenerowi. Selekcjoner jednak nie zgadzał się z naszym zdaniem. Znowu pojawiło się sporo zaskoczeń w składzie. Szwedzi zagrali na luzie, a my mieliśmy nóż na gardle, bo do końca ważyły się nasze losy w grupie. W efekcie ponieśliśmy bolesną porażkę. Pożegnaliśmy się z nadzieją na występ w mistrzostwach, a trener z posadą szkoleniowca reprezentacji Polski.

Nadal jednak liczyłem, że uda mi się pojechać z drużyną narodową na wielką imprezę. Po nieudanych eliminacjach do mistrzostw Europy drużynę przejął selekcjoner Jerzy Engel. Nie będzie przesadą, jeśli powiem, że wykonał kapitalną robotę. Nie rozwalił kadry po Wójciku, tylko ją scalił i uzupełnił luki. Do kadry włączeni zostali bracia Żewłakowowie, w drużynie znalazł się Emmanuel Olisadebe, a także Radek Kałużny. Trzon kadry został zachowany, a drużynę tworzyli zawodnicy z mocnymi charakterami. Trener obdarzył zaufaniem swoich wybrańców, a to spowodowało, że oblicze reprezentacji się zmieniło. W efekcie po wielu latach posuchy polskiej reprezentacji udało się wywalczyć awans na mistrzostwa świata w Korei i Japonii.

Ja w bramce miałem już nowego konkurenta. Zaufanie selekcjonera zyskał Jerzy Dudek i na początku walki o mundial wychodził w podstawowym składzie. Mimo że byłem rezerwowym, nie miałem o to pretensji. Akceptowałem tę rolę i czekałem na swoją szansę. Choć bardzo chciałem uczestniczyć w eliminacjach, to przede wszystkim zależało mi na drużynie, na awansie reprezentacji Polski. W trakcie rywalizacji o udział w mundialu Jurek nie najlepiej się jednak spisywał w klubie, media rozpisywały się, że nie jest w formie. Ja z kolei miałem na koncie bardzo dobre występy w Bayerze Leverkusen. Trener Engel podjął więc odważną decyzję i wystawił mnie między słupkami na spotkanie z Norwegią.

Mecz był bardzo wymagający. Należało walczyć nie tylko z przeciwnikiem, ale i poradzić sobie z całą otoczką towarzyszącą temu spotkaniu. Plac, na którym występowaliśmy, w ogóle nie przypominał boiska. Kilka stopni na plusie, a do tego nisko osadzone słońce też utrudniało grę obydwu drużynom. Sędzia pozwalał czasami na zbyt dużo, jeśli chodzi o walkę w powietrzu, więc gospodarze momentami grali

zbyt brutalnie. Ziemia paliła im się pod nogami i próbowali różnych środków. Gdy prowadziliśmy już 2:0, po nieporozumieniu naszej defensywy kontaktowego gola strzelił John Carew. Zrobiła się nerwówka, ale po bramce Bartka Karwana, który wszedł z ławki rezerwowych, wygraliśmy spotkanie 3:2. Z przebiegu meczu uważam, że zasłużenie. Ta wygrana miała dla mnie jednak słodko-gorzki smak. W trakcie meczu doznałem kontuzji i musiałem zostać zmieniony. To był poważny uraz, który wykluczył mnie z gry w reprezentacji Polski. Gdyby nie moja kontuzja, wydaje mi się, że Jurek miałby problem, żeby znowu wskoczyć do bramki kadry.

Okazało się, że zerwałem mięśnie naramienne i łopatkowe. To nietypowy uraz dla golkipera. Jestem jednak człowiekiem charakternym i zagrałbym nawet z jedną nogą albo jedną ręką. Szybko wróciłem do występów w Bundeslidze. W Leverkusen postawiono mnie na nogi, bo Bayer wówczas liczył się w grze o Ligę Mistrzów. Ale po jednym ze spotkań powiedziałem trenerowi, że muszę jechać na konsultację do Heidelbergu, by zbadał mnie specjalista od łokci i stawów barkowych. Ten zaś stwierdził, że muszę poddać się operacji, bo zebrało się za dużo płynów i krwi. Zabieg przebieg pomyślnie, a mnie zależało, żeby jak najszybciej wrócić do gry. Ciężko pracowałem, żeby dojść do pełnej sprawności. Niestety, nadal odczuwałem dyskomfort w barku. Wszystko działo się po prostu za szybko.

Moje marzenie po latach się spełniło i pojechałem na wielki turniej z drużyną narodową. Trener Engel powołał mnie na mundial w Korei i Japonii. Powiem szczerze, że wyjeżdżając na mistrzostwa świata, nie miałem jakichś większych aspiracji. Twardo stąpałem po ziemi i wiedziałem, że nie mam argumentów sportowych. W bramce istniała hierarchia, którą musiałem zaakceptować. Czy liczyłem, że dostanę szansę od trenera w ostatnim meczu? Nie. To, że Radek Majdan zagrał od

początku z USA, nie było dla mnie żadnym zaskoczeniem. Nie rozegrałem ani minuty na mundialu, ale nie mam o to do nikogo pretensji. Gdybym prezentował poziom sprzed kontuzji, do dziś byłbym niepocieszony. W 2002 roku nie czułem jednak nic takiego, bo po prostu wcześniej się z tym pogodziłem. Szkoda tylko, że mundial potoczył się dla nas tak źle – jedno zwycięstwo to było zdecydowanie za mało.

Bardziej przeżywałem jednak nieudane eliminacje do mistrzostw Europy w 2000 roku. Wówczas czułem, że mamy znakomitą drużynę i stać nas na wiele więcej. Mogliśmy dokonać czegoś wielkiego, i to ze mną w bramce. Z pewnością byłoby to ogromne wydarzenie. Bardzo żałowałem, że skończyło się zupełnie inaczej. Swój dorobek w drużynie narodowej, mimo wszystko, mogę uznać za udany. Przypomnę, że w reprezentacji Polski w latach 90. długo mnie nie było. W 1993 roku wyjechałem do Niemiec i występowałem na drugim szczeblu rozgrywkowym. Powoływano mnie jeszcze za kadencji trenera Andrzeja Strejlaua i Lesława Ćmikiewicza, ale po zakończeniu eliminacji do mundialu w USA to się zmieniło. Trener Henryk Apostel stawiał na innych bramkarzy. Wróciłem do kadry po trzyletniej przerwie, byłem w niej podstawowym golkiperem. Co prawda trochę meczów mi uciekło, mogło być ich więcej. Mimo wszystko mam się z czego cieszyć i co wspominać.

ADAM MATYSEK

Data i miejsce urodzenia: 19 lipca 1968 r., Piekary Śląskie.

W reprezentacji Polski: 34 mecze.

Debiut: 3 grudnia 1991, Egipt – Polska 4:0.

Osiągnięcia: uczestnik MŚ 2002.

Kariera klubowa: Zagłębie Wałbrzych, Górnik Wałbrzych, Zagłębie Wałbrzych, Śląsk Wrocław, SC Fortuna Köln (Niemcy), FC Gütersloh (Niemcy), Bayer 04 Leverkusen (Niemcy), Zagłębie Lubin, RKS Radomsko.

WALDEMAR

MATYSIK

STRZELAĆ CZY NIE STRZELAĆ?

4 lipca 1982, Barcelona
Polska – ZSRR 0:0

Polska: Józef Młynarczyk – Marek Dziuba, Władysław Żmuda, Paweł Janas, Stefan Majewski – Grzegorz Lato, Waldemar Matysik, Janusz Kupcewicz (51. Włodzimierz Ciołek), Andrzej Buncol – Zbigniew Boniek, Włodzimierz Smolarek.
ZSRR: Rinat Dasajew – Tengiz Sułakwelidze, Aleksander Cziwadze, Sergiej Bałtacza, Anatolij Demianienko – Władimir Biessonow, Sergiej Borowski, Jurij Gawriłow (78. Witalij Daraselija), Choren Oganesjan – Ramaz Szengelija (57. Sergiej Andrejew), Oleg Błochin.
Żółte kartki: Boniek, Buncol – Cziwadze, Borowski, Bałtacza.
Sędziował: Robert Bonar Valentine (Szkocja).

Lata 80. ubiegłego stulecia – a zwłaszcza okres, kiedy rozgrywano mistrzostwa świata w Hiszpanii w 1982 roku – były dla naszego kraju czasem szczególnym. Napięta sytuacja polityczna i wprowadzenie stanu wojennego w Polsce spowodowały, że nasze przygotowania do mundialu były mocno zaburzone. Żadna reprezentacja nie chciała grać z nami spotkań towarzyskich, więc nawet nie wiedzieliśmy, czego możemy się po sobie spodziewać, w jakiej formie będziemy podczas hiszpańskiego turnieju.

Zmagania zaczęliśmy od bezbramkowego remisu z Włochami, co było całkiem przyzwoitym wynikiem. Mecz z Kamerunem zakończył się jednak takim samym rezultatem, co przyjęto już z bardzo dużym niezadowoleniem. Dziennikarze powoli zaczęli nas skreślać, spadła na nas niesamowita krytyka. Przed meczem z Peru prezydium naszej reprezentacji zarządziło spotkanie całego zespołu. Nafaszerowano nas motywacyjnymi hasłami, grano sytuacją polityczną. Niemniej w pewnym sensie to na nas podziałało. Pomogło nam też

wyjście na browarek, choć nasi włodarze mieli o to pretensje do drużyny. Tak to jednak jest, gdy ktoś nie czuje szatni. Wypicie jednego piwa dwa dni przed meczem nie spowoduje przecież straty formy, więc tylko ten, kto nie ma zielonego pojęcia o piłce nożnej, może myśleć, że takie wyjście – oczywiście bez wyskoków – może coś zepsuć.

Samo spotkanie z Peru w pierwszej połowie nam się nie układało, znów do przerwy było 0:0. Dopiero pierwsza bramka, zdobyta przez Włodka Smolarka, spowodowała, że zeszło z nas ciśnienie. Worek z bramkami się rozwiązał, wygraliśmy 5:1. Drużyna, która w opinii dziennikarzy miała się pakować i wracać do kraju, została w turnieju. Pokazaliśmy, że w trudnej chwili potrafimy wziąć się w garść i przezwyciężyć problemy. Gdy zapewniliśmy sobie wyjście z grupy, presja znacznie się zmniejszyła. Było to widać na boisku, bo z Belgią zagraliśmy koncertowo.

Aby awansować do półfinału, musieliśmy jeszcze co najmniej zremisować z ZSRR. Biorąc pod uwagę napięcie polityczne, było to spotkanie o niezwykłej wadze. Nie tylko mogliśmy zapewnić sobie medal – wówczas przyznawano je również za czwarte miejsce – to jeszcze mieliśmy okazję wyeliminować znienawidzonego rywala. Osiem lat wcześniej kibicowałem drużynie Kazimierza Górskiego, wszyscy na boisku byliśmy Deyną, Szarmachem czy Gorgoniem. Z kilkoma z nich spotkałem się w szatni reprezentacji narodowej, a w dodatku mogłem być częścią zespołu, który powtórzy ten sukces! Emocje były więc niesamowite, a potyczka z ZSRR stała się dla mnie najważniejszą grą w życiu.

W pierwszej połowie obie drużyny grały dość ostrożnie. My mieliśmy o tyle komfortową sytuację, że wystarczał nam remis, ale to bywa zgubne. Zawsze lepiej grać o zwycięstwo, wtedy zdecydowanie mniej się kalkuluje. Z upływem czasu nasi

rywale musieli się bardziej otworzyć, poszukać swoich szans, ale kontrolowaliśmy przebieg gry. Włodek Smolarek, uciekając z piłką do narożnika, wyprowadzał przeciwników z równowagi. Myślę, że trener ZSRR, Konstantin Bieskow, na to starcie zestawił swój zespół zbyt bojaźliwie, bał się przegrać, a to nie mogło skończyć się dla Sowietów dobrze. W futbolu w każdej chwili trzeba grać o zwycięstwo. U nas nawet na treningach, gdy rywalizowałem jeden na jednego ze Zbyszkiem Bońkiem, wycinaliśmy się tak, jakbyśmy walczyli o najcenniejsze trofea na świecie.

Co ciekawe, mogliśmy wygrać, a ja miałem szansę zdobyć decydującą bramkę. Takie sytuacje właściwie mi się nie zdarzały, ale wtedy byłem praktycznie sam na sam z Rinatem Dasajewem. Podjąłem bardzo ryzykowną decyzję o dryblingu, bo strata piłki w tej strefie boiska mogłaby skończyć się dla nas katastrofą, ale wyszedłem z tego obronną ręką. Niestety, w ostatniej fazie akcji zabrakło mi już sił. Zdołałem tylko „dziugnąć" piłkę szpicem buta i radziecki bramkarz ją złapał. Wtedy podbiegł do mnie Zibi Boniek i powiedział: „Gdybyś to strzelił, zniósłbym cię na rękach do szatni". Wielka szkoda, że nie wpadło, bo to byłby ciekawy obrazek. Z drugiej strony może dobrze się stało, że nie wykorzystałem tej okazji. Przecież gdybyśmy wygrali po mojej bramce z ZSRR, nie wiem, czy mógłbym wrócić do kraju…

POLSKI

WALDEMAR MATYSIK

Data i miejsce urodzenia: 27 września 1961 r., Stanica.

W reprezentacji Polski: 55 meczów.

Debiut: 19 listopada 1980, Polska – Algieria 5:1.

Osiągnięcia: III miejsce MŚ 1982, uczestnik MŚ 1986.
Członek Klubu Wybitnego Reprezentanta.

Kariera klubowa: Orzeł Stanica, Carbo Gliwice,
Górnik Zabrze, AJ Auxerre (Francja), Hamburger SV (Niemcy),
Wuppertaler SV (Niemcy), VfB 1914 Wissen (Niemcy),
SC Rot-Weiss Essen (Niemcy),
FC Germania Dattenfeld 1916 (Niemcy).

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (1985, 1986, 1987).

KRZYSZTOF

MĄCZYŃSKI

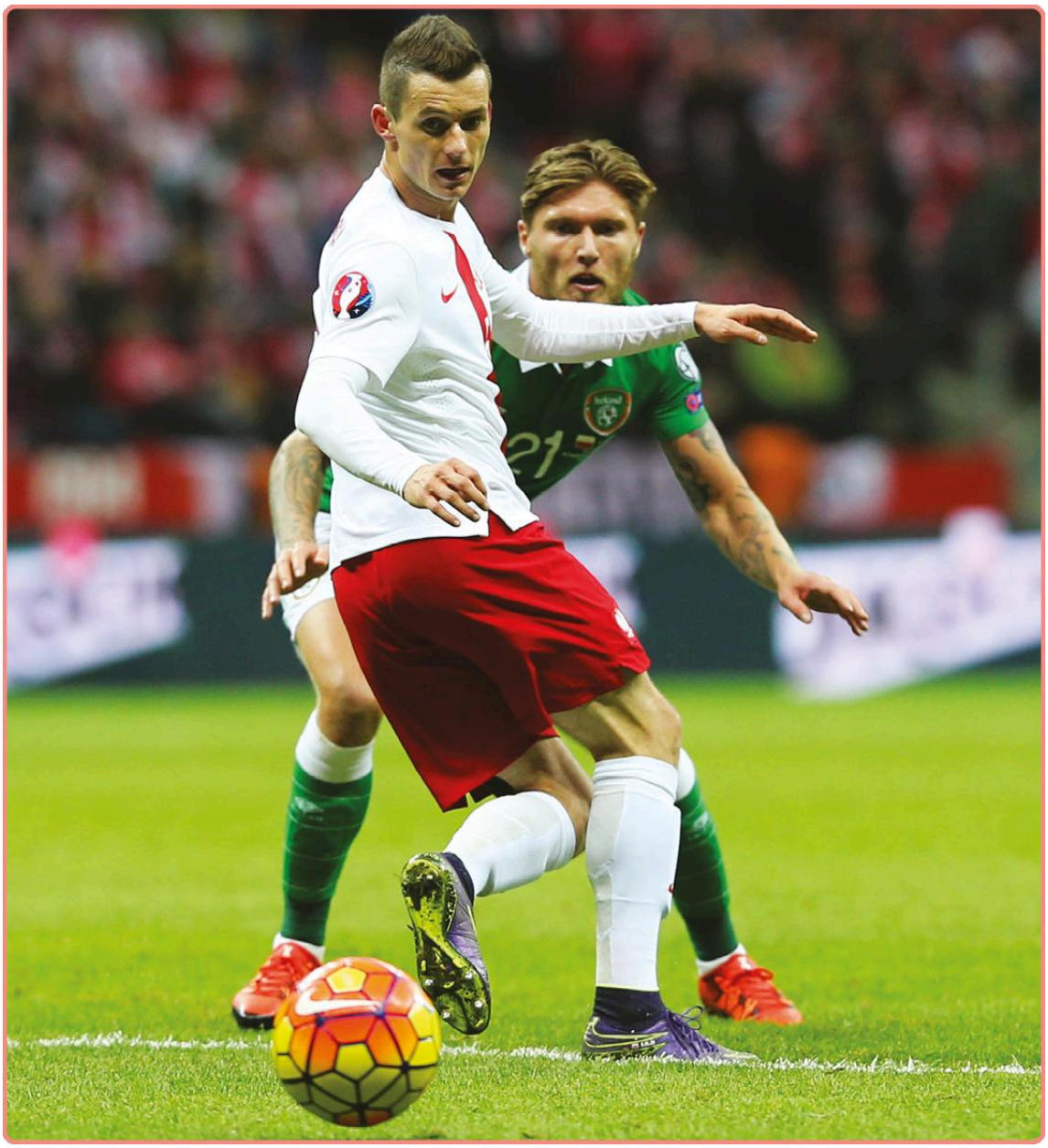

SPÓŹNIONA KOŁYSKA

11 października 2015, Warszawa
Polska – Irlandia 2:1 (2:1)

Bramki: Grzegorz Krychowiak 13., Robert Lewandowski 41. – Jonathan Walters 16. k.
Polska: Łukasz Fabiański – Łukasz Piszczek, Kamil Glik, Michał Pazdan,
Jakub Wawrzyniak – Paweł Olkowski (61. Jakub Błaszczykowski), Grzegorz Krychowiak, Krzysztof Mączyński (75. Łukasz Szukała), Karol Linetty,
Kamil Grosicki (81. Sławomir Peszko) – Robert Lewandowski.
Irlandia: Darren Randolph – Seamus Coleman, Richard Keogh, John O'Shea,
Robert Brady – James McClean (70. Wesley Hoolahan), James McCarthy,
Glenn Whelan (57. Aiden McGeady), Jeffrey Hendrick – Jonathan Walters,
Shane Long (54. Robbie Keane).
Żółte kartki: Glik, Peszko – O'Shea, Whelan, Walters.
Czerwona kartka: O'Shea.
Sędziował: Cüneyt Çakır (Turcja).

W październiku 2015 roku byliśmy już na finiszu walki o awans na mistrzostwa Europy i pozostały nam do rozegrania tylko dwa spotkania – ze Szkocją na wyjeździe i z Irlandią u siebie. Wszystko działo się bardzo szybko, bo moja żona przed zgrupowaniem przebywała w szpitalu i wszyscy z niecierpliwością czekaliśmy na narodziny mojej córki. Rodzinę stawiałem na pierwszym miejscu i zawsze będę powtarzał, że wszystko, co robię, robię tylko dla moich najbliższych. Zależało mi, żeby być wtedy przy żonie i dlatego też dostałem zgodę, żebym mógł spędzić z nią jeden dzień więcej.

Ten, kto zna trenera Adama Nawałkę, doskonale wie, że selekcjoner nie miał z tym żadnego problemu, bo właśnie takie chwile jak przyjście na świat dziecka mogą dodatkowo zmobilizować piłkarza. Tak też było przed październikowymi meczami. Zbudowany i nakręcony tą wspaniałą chwilą pojechałem na zgrupowanie i skupiłem się na meczu ze Szkocją w Glasgow. Nie mogłem zawieść trenerów, ale przede wszystkim siebie. Moje dziecko przyszło na świat, więc też pojawiła się znakomita okazja, by zdobycie bramki celebrować „kołyską".

Nie byłem ulubieńcem mediów i dziennikarze absolutnie nie dawali mi szans na występ. Przecież mało kto wierzył, że z takimi końmi jak Szkoci i Irlandczycy Mączyński w ogóle mógłby sobie poradzić. Udowodniłem jednak wątpiącym, że się mylą, bo nie zawsze decyduje fizyczność. To, że jestem mniejszy, nieco słabszy fizycznie, wcale nie oznacza, że jak dostanę po pęcinach, to nie oddam.

Nigdy nie miałem też problemów z presją na boisku. Jak ktoś mnie wyzywał, nie chowałem głowy w piasek, działało to na mnie raczej mobilizująco. Sprężałem się, motywowałem, żeby móc zagrać na jeszcze wyższym poziomie. Dodatkowo byłem uskrzydlony narodzinami dziecka, a każdy piłkarz może potwierdzić, że takie chwile sprawiają, że człowiek może góry przenosić – grasz o zwycięstwo, chcesz zdobyć bramkę i przede wszystkim dać radość rodzinie.

Na Hampden Park rozegrałem jedno z najlepszych spotkań w reprezentacji Polski. W starciu ze Szkotami prezentowaliśmy się na boisku bardzo dobrze. Szybko udało nam się strzelić gola, a ja podbiegłem do Roberta, żeby przypomnieć mu o zrobieniu kołyski. Niestety, „Lewy" o tym zapomniał i powiedział, że zrobimy ją przy kolejnej bramce. Celebracja mojego osobistego święta została więc przełożona…

Mecz ze Szkocją obfitował w emocje. Kontrolowaliśmy przebieg gry, ale niestety nie ustrzegliśmy się straty bramki. Gospodarze wyrównali po kosmicznym uderzeniu Matta Ritchiego, przy którym Łukasz Fabiański był absolutnie bez szans. To wyrównujące trafienie zmieniło obraz gry i Szkotom zaczęło się grać zdecydowanie lepiej. A otoczka tego meczu – doping kibiców, akustyka stadionu – to było coś niesamowitego. Za każdym razem, gdy rywale ruszali z atakiem, czuło się, jak cały obiekt się trzęsie. Trzeba było być mocnym psychicznie, żeby wytrzymać ciśnienie na tak gorącym terenie.

Szkoci przy takiej atmosferze zaczęli rosnąć i poczuli, że mogą odwrócić losy meczu. Strzelili drugiego gola i za wszelką cenę chcieli wygrać to spotkanie, bo było to dla nich starcie z gatunku „być albo nie być". O remis walczyliśmy do samego końca. Cenny punkt wyszarpaliśmy w ostatnich sekundach gry, gdy Robert wpakował piłkę do bramki. Od razu do niego pobiegłem, żeby raz jeszcze przypomnieć o kołysce. „Lewy" wziął jednak piłkę, pobiegł na środek i powiedział, że nie ma czasu, bo trzeba ten mecz wygrać. Chwilę później sędzia odgwizdał koniec spotkania.

Zamiast cieszyć się z wywalczonego w nieprawdopodobnych okolicznościach remisu, do szatni poszedłem zły, rozczarowany. Powiedziałem Robertowi przy wszystkich, że mieliśmy zrobić kołyskę i wiedział, jak bardzo mi na tym zależało. Następnego dnia podczas rozbiegania powiedział mi, że obiecuje, że zrobimy ją w meczu z Irlandią – na Stadionie Narodowym będzie ogromna widownia, a przed telewizorami miliony kibiców, a kołyska na własnym terenie będzie również miała jeszcze większą wartość.

Cieszynkę w meczu z Irlandią sprowokowałem sam. Asystowałem Robertowi przy trafieniu na 2:1, a on zdobył piękną bramkę. Wtedy już wiedziałem, że się uda. Zbiegliśmy

się w narożnik i celebrując strzelonego gola, zrobiliśmy kołyskę mojej córce. To może wydawać się komuś śmieszne, ale dla mnie to był bardzo ważny moment, bo takie obrazki zostają później na całe życie. Przed wyjazdem na mistrzostwa Europy we Francji ta kołyska pokazywana była wiele razy i przewijała się w różnych teledyskach promujących naszą reprezentację. Razem z żoną pokazujemy córce, że wykonaliśmy ją dla niej. A nie ma nic piękniejszego niż takie chwile w piłce.

Zasłużenie awansowaliśmy na Euro 2016. Miałem w tym swój udział. Radość była ogromna. To było spełnienie marzeń. Stanowiliśmy fajną ekipę, która wywalczyła wyjazd na turniej we Francji. Oczywiście, duży udział miał w tym nasz trener. A Adam Nawałka trafił z dobraniem zawodników i zbudował prawdziwą drużynę. Nie liczyły się dla niego jedynie względy piłkarskie, ale i to, co ktoś może wnieść do drużyny. Jednego chłopa musisz mieć od rzeźbienia, drugiego od atmosfery. W kadrze potrzebni są piłkarze, którzy będą stanowić szkielet zespołu i będą mieli na nią wpływ, ale potrzebujesz też ludzi, którzy wypełniają inne luki.

Gdyby nie Adam Nawałka, nie miałbym okazji pojechać na mistrzostwa Europy i na nich zagrać. Wiele razy zarzucano mi, że w kadrze znalazłem się po znajomości z selekcjonerem, ale wcale tak nie było. Gdy trener odszedł do reprezentacji Polski, miałem za sobą bardzo dobry okres gry w Górniku Zabrze. Moja ówczesna postawa zaowocowała transferem do Chin, ale interesowały się mną także inne zagraniczne kluby. Mimo to została mi przyklejona łatka „synka”, który na kadrę przyjeżdża zupełnie niepotrzebnie. Tymczasem trener kierował się dyspozycją piłkarza w danym momencie. Ale faktem jest, że to on mnie wymyślił w kadrze i za to mogę mu podziękować.

Tak naprawdę przez cały okres gry w reprezentacji Polski miałem pod górę i musiałem walczyć o swoje. Myślę jednak, że

swoimi występami w drużynie narodowej zamknąłem buzię niektórym krytykom. Rozegrałem w reprezentacji 31 spotkań, zaliczyłem dwa awanse na duże imprezy – na mistrzostwa Europy i mundial. Sportowo się obroniłem. Wielu ludzi, którzy na mnie psioczyli, później mnie przepraszało. Zdarzali się jednak i tacy, którzy nie przestali twierdzić, że byłem tej drużynie niepotrzebny. Ale nie ma się co tym przejmować. Po prostu trzeba się odciąć od mediów, krytyki i najlepiej poświęcić czas rodzinie. Przecież żaden dziennikarz nie decyduje, czy będziesz grał w reprezentacji Polski.

Nasza siła polegała wówczas między innymi na znakomitej atmosferze, która stała się jeszcze lepsza po zwycięskim meczu z Niemcami w Warszawie. Nie było u nas podziałów na zawodników lepszych i gorszych. Dla mnie przyjazdy z Chin na reprezentację to była czysta przyjemność. Może nawet pomogło mi to wtedy wprowadzić się do drużyny, bo jak przyjeżdżałem na kadrę, na niektórych robiło to wrażenie. Oczywiście koledzy wypytywali mnie, jak jest w tych Chinach, interesowali się tym, jak się tam gra.

W trakcie eliminacji selekcjoner stworzył fajną drużynę i zbudował silny szkielet reprezentacji. W kadrze pojawiły się także słynne „fusy", czyli zawodnicy, którzy przyjeżdżali z mało znanych klubów – takich, jak wówczas mój. „Fusy" jednak też były potrzebne, bo na murawie robiły swoją robotę. Wyjaśnię może przy okazji, skąd wzięło się to określenie. Otóż siedziałem kiedyś na kawie z Chińczykami, a ponieważ akurat nie zagrałem z kolegą w jakimś meczu, to wziąłem filiżankę do ręki, popatrzyłem na dno i powiedziałem: „Zobacz, my to jesteśmy jak fusy w tej kawie". Potem to się przyjęło na kadrze. Śmiałem się, że skoro jesteśmy niepotrzebni, to może przydamy się do reklamy kawy na stacji benzynowej.

Czasy zgrupowań, występów w reprezentacji Polski wspominam bardzo miło i jestem dumny, że mogłem być częścią drużyny, która dawała wówczas kibicom mnóstwo radości. Były też momenty dla mnie trudniejsze, ale zawsze chciałem udowodnić krytykom, że jestem profesjonalistą. Gdy dostaję od kogoś szansę, muszę dać z siebie 100 procent, żeby się odwdzięczyć. Jestem dumny, że mogłem zadebiutować na mistrzostwach Europy we Francji, gdzie rozegraliśmy bardzo dobry turniej. Przyznam się jednak, że nie obejrzałem powtórki żadnego meczu. Te wspomnienia zostawiłem sobie na później. Kiedyś usiądę z żoną, dziećmi, znajomymi i odtworzę sobie te chwile na nowo.

KRZYSZTOF MĄCZYŃSKI

Data i miejsce urodzenia: 23 maja 1987 r., Kraków.

W reprezentacji Polski: 31 meczów, 2 gole.

Debiut: 15 listopada 2013, Polska – Słowacja 0:2.

Osiągnięcia: uczestnik ME 2016.

Kariera klubowa: Wisła Kraków, ŁKS Łódź, Wisła Kraków, ŁKS Łódź, Górnik Zabrze, Guizhou Renhe (Chiny), Wisła Kraków, Legia Warszawa, Śląsk Wrocław.

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (2008, 2018), Puchar Polski (2018), Superpuchar Chin (2014).

RADOSŁAW

MICHALSKI

JAKA PIĘKNA KATASTROFA

9 października 1996, Londyn
Anglia – Polska 2:1 (2:1)

Bramki: Alan Shearer 25., 38. – Marek Citko 7.
Anglia: David Seaman – Gary Neville, Gareth Southgate (49. Gary Pallister),
Stuart Pearce – Andrew Hinchcliffe, Paul Ince, Paul Gascoigne, Steven McManaman, David Beckham – Alan Shearer, Les Ferdinand.
Polska: Andrzej Woźniak – Paweł Wojtala, Jacek Zieliński, Marek Jóźwiak – Tomasz Hajto, Radosław Michalski, Piotr Nowak, Tomasz Wałdoch, Henryk Bałuszyński – Krzysztof Warzycha (76. Marek Saganowski), Marek Citko.
Żółta kartka: Hajto.
Sędziował: Hellmut Krug (Niemcy).

Czasy, w których miałem okazję grać w reprezentacji Polski, były całkiem inne od obecnych. Zgrupowania kadry narodowej trwały czasem blisko dwa tygodnie, więc bardziej przypominało to wyjazd na obóz z drużyną klubową. Może było to za długo, bo przed meczem z Anglią na Wembley, który chciałbym przypomnieć, doszło do nietypowej sytuacji. Pierwszym bramkarzem był wówczas Maciek Szczęsny, ale pokłócił się z trenerem Antonim Piechniczkiem. W efekcie doszło do roszady na tej pozycji i między słupkami pojawił się Andrzej Woźniak. Przy całej sympatii dla Andrzeja, troszkę nam ten mecz ostatecznie zawalił. Ale tak się zdarza w piłce nożnej, to przecież sport i każdy może popełnić błędy.

Muszę przyznać, że zawsze lubiłem grać przeciwko Anglikom. Oczywiście, to byli świetni piłkarze, ale dosyć prości. Można było ich oszukać zwodem „na zamach", mieli też mało skomplikowaną taktykę. Bazowali na wrzutkach w pole karne, więc dość łatwo można było ich rozszyfrować. Ich wielkim

atutem była oczywiście ambicja i waleczność, ale nie szukali na boisku kwadratowych jaj. Dziś jest już troszkę inaczej, zmienili swoje przyzwyczajenia. Wtedy z grona silnych drużyn to właśnie z nimi grało się najłatwiej. Ze Szwedami, którzy dokładali do swojej nieustępliwości i siły fizycznej także trochę taktyki, szło nam nieco gorzej, byli dla nas piekielnie niewygodnymi przeciwnikami.

W tamtym okresie byliśmy losowani do grup kwalifikacyjnych bodaj z czwartego koszyka. Praktycznie zawsze trafialiśmy na Anglików, do tego dochodziły takie ekipy jak Włochy, Francja, Holandia… Nigdy nie byliśmy faworytami do awansu. Oczywiście, zawsze pojawiały się nadzieje, jak to w narodzie polskim, ale wiadomo, jak się one kończyły. Czasami udawało się ugrać jakiś remis, ale finalnie zazwyczaj lądowaliśmy w okolicach trzeciego miejsca w grupie eliminacyjnej.

Do Londynu nie jechaliśmy więc jako kandydat do zwycięstwa. Jasne, trener zawsze wierzy w swój zespół i stara się go mobilizować. Mieliśmy pewien potencjał i nadzieje. Swoje świetne chwile w Bundeslidze przeżywał Piotrek Nowak, rodził się wielki talent Marka Citki. Mecz z Anglią na Wembley pokazał, że byliśmy w stanie rywalizować z takimi zespołami jak równy z równym, ale finalnie skończył się jednak porażką. To trochę podsumowanie całej mojej kariery – dużo dobrych meczów, ale niewiele zwycięstw. Jaka piękna katastrofa, można byłoby rzec. Z Anglikami graliśmy też później, już za kadencji Janusza Wójcika. Na stadionie Legii w Warszawie zremisowaliśmy 0:0, a również mogliśmy pokusić się wtedy o wygraną.

Spotkanie za kadencji trenera Piechniczka rozgrywaliśmy na starym Wembley. To robiło wielkie wrażenie. Mam wielki szacunek do angielskich kibiców, potrafią zawsze docenić klasę

rywala. Gdy grałem w Legii Warszawa, mierzyliśmy się w Lidze Mistrzów z Blackburn Rovers. Zremisowaliśmy 0:0, a po meczu dostaliśmy oklaski za naszą postawę. Tak samo jest na meczach reprezentacyjnych. Trudno to porównać do zachowania publiczności w jakimkolwiek innym kraju. Poza tym dla nas, Polaków, od 1973 roku Wembley jest czymś absolutnie wyjątkowym. Dawało się to odczuć w każdym momencie.

Mimo to weszliśmy w ten mecz znakomicie. Już po siedmiu minutach prowadziliśmy 1:0, a stadion uciszył Marek Citko. Co ciekawe, jedna osoba przewidziała taki obrót spraw. Na mecz jechał z nami Zbigniew Boniek, który w drodze powiedział Markowi: „Jak już strzelisz tego gola, nie ściągaj koszulki, nie biegaj, nie wskakuj na płot. Zachowuj się tak, jakby to była dla ciebie codzienność, coś normalnego". Marek nie do końca posłuchał, bo jego radość była spora. Miał jednak ku temu powody – dał reprezentacji Polski prowadzenie w meczu z Anglią na legendarnym Wembley!

Niestety, nie dane nam było cieszyć się ze zwycięstwa. Jeszcze w pierwszej połowie dwie bramki zapakował nam Alan Shearer i ostatecznie polegliśmy w Londynie 1:2. Straciliśmy te gole z własnej, boiskowej głupoty. Na pewno mogliśmy im zapobiec. Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego dwóch zawodników takiej klasy jak Jacek Zieliński i Tomek Wałdoch zbiegło do jednego zawodnika, zostawiając drugiego samotnie. Nie musieliśmy się jednak wstydzić naszej postawy. Nie murowaliśmy bramki, tylko staraliśmy się grać otwarty futbol. Stworzyliśmy sobie jeszcze kilka okazji do strzelenia gola, niestety, nic więcej nie wpadło.

Nie przegraliśmy z przypadkową drużyną, ale jednak po meczu był w nas lekki żal i niedosyt. Pamiętam, że duże wrażenie robił na mnie Paul Gascoigne. Zawsze myślałem: „Kurde, ale to jest piłkarz!". Tymczasem gdy wyszliśmy na

boisko, on właściwie walczył o życie, ledwo oddychał. Zaskoczył mnie za to Les Ferdinand. Nie należę do niskich ludzi, na pewno jestem od niego wyższy, ale gdy ten gość skakał do głowy, był pół metra nade mną. Miał kapitalne wyjście do góry. Alan Shearer też napsuł nam sporo krwi. Z resztą sobie radziliśmy, ale ostatecznie polegliśmy. Szkoda, bo może wśród pięknych porażek pojawiłoby się też piękne zwycięstwo...

RADOSŁAW MICHALSKI

Data i miejsce urodzenia: 21 września 1969 r., Gdańsk.

W reprezentacji Polski: 28 meczów.

Debiut: 27 października 1993, Turcja – Polska 2:1.

Kariera klubowa: Stoczniowiec Gdańsk, Legia Warszawa, Widzew Łódź, Maccabi Hajfa (Izrael), Anorthosis Famagusta Larnaka (Cypr), Widzew Łódź, Apollon Limassol (Cypr).

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (1994, 1995, 1997), mistrzostwo Izraela (2001), mistrzostwo Cypru (2006), Puchar Polski (1994, 1995), Puchar Cypru (2002, 2003), Superpuchar Polski (1994).

SEBASTIAN

MILA

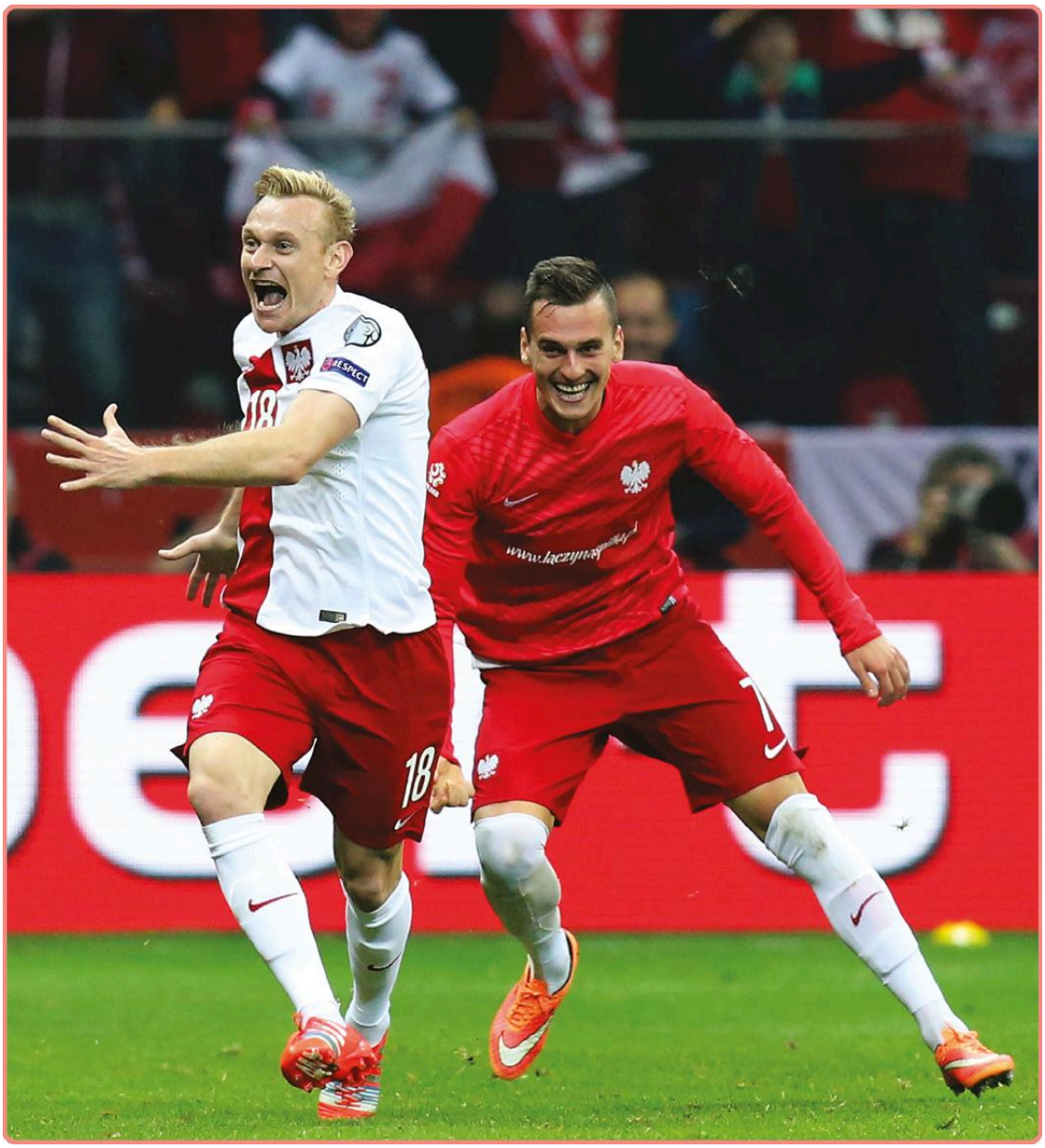

TRZYMANI NA PALNIKU

14 listopada 2014, Tbilisi
Gruzja – Polska 0:4 (0:0)

Bramki: Kamil Glik 51., Grzegorz Krychowiak 70., Sebastian Mila 72., Arkadiusz Milik 89.
Gruzja: Giorgi Łorija – Ucza Łobżanidze, Solomon Krirkwelija, Akaki Chubutija, Gia Griwaława – Aleksandr Kobachidze (85. Nika Dżalamidze), Murtaz Dauszwili, Huram Kaszija, Dżeba Kankawa, Dżano Ananidze (58. Tornike Okriaszwili) – Lewan Mczedlidze (67. Giorgi Czanturija).
Polska: Wojciech Szczęsny – Łukasz Piszczek, Łukasz Szukała, Kamil Glik,
Artur Jędrzejczyk – Kamil Grosicki (68. Maciej Rybus), Grzegorz Krychowiak,
Krzysztof Mączyński (65. Tomasz Jodłowiec), Sebastian Mila (84. Karol Linetty) – Arkadiusz Milik, Robert Lewandowski.
Żółte kartki: Kankawa, Łobżanidze – Glik, Jodłowiec, Linetty.
Sędziował: Paolo Tagliavento (Włochy).

Mecz z Gruzją w ramach kwalifikacji do mistrzostw Europy w 2016 roku przyszedł po zgrupowaniu, które dało zwycięstwo z Niemcami i remis ze Szkocją. Czułem i widziałem, jak dużo te wyniki zmieniły. Kibice zaczęli inaczej postrzegać naszą drużynę, pojawiła się w nich wiara, a nawet ciut euforii. Większe było też zainteresowanie kadrą. To budowało zespół od środka. Widziałem w tej drużynie ludzi, którzy nie tyle uwierzyli, ile zrozumieli, że nasze cele są na wyciągnięcie ręki, że jesteśmy na właściwych torach. Pojawiła się energia, że ta grupa z tym trenerem może zrealizować swoje marzenia.

Moja rola też się zmieniła. Pamiętam, że na pierwszy mecz eliminacji, z Gibraltarem, zostałem powołany za kontuzjowanego Michała Kucharczyka. Przyjechałem,

potrenowałem, przesiedziałem spotkanie na ławce rezerwowych i myślałem, że to koniec z przyjazdami na kadrę. Tymczasem potem wydarzył się ten gol z Niemcami i wejście na boisko również w starciu ze Szkocją. Na każde zgrupowanie przyjeżdżałem z zupełnie innymi oczekiwaniami. Wtedy przed wylotem do Tbilisi czułem już, że mogę tej drużynie pomóc również na boisku, nie tylko w końcówce, ale i od początku spotkania.

Trener Adam Nawałka powtarzał nam ciągle jedną rzecz – „że to będzie najtrudniejszy wyjazd eliminacji". Od jego analityków słyszeliśmy zaś, że Gruzja była najtrudniejszym rywalem dolosowanym do naszej grupy z tego koszyka. To wszystko potwierdziło się w pierwszej połowie spotkania. Nawet niewielka różnica czasu miała znaczenie, w innych godzinach niż zwykle człowiek się kładł, inaczej wstawał. Inna była publiczność, ale i oczekiwania. Wiedzieliśmy, że po spotkaniu z Niemcami kibice zaakceptują z Gruzją tylko trzy punkty.

Może nie było w nas rozluźnienia, ale widać było od pierwszego dnia zgrupowania euforię. Każdy chciał, by to, co stało się miesiąc wcześniej, wciąż trwało. Ale trener od pierwszego dnia wrzucił nas na najwyższe obroty. Dbał o każdy najmniejszy szczegół, pilnował, by przygotowania do meczu z Gruzją nie różniły się niczym od tych do starcia z Niemcami. Wywoływał w nas jednak nie tyle niepokój, co pełną koncentrację. Mówił, że jeśli się zawahamy, to rywal wykorzysta dogodny moment, a to może spowodować stratę bramki. Trzymał nas na palniku, ostrzegał, by nikt nie dopisywał sobie zawczasu trzech punktów.

Pierwsza połowa nam nie wyszła. Pamiętam dwie sytuacje, gdy Gruzja mogła strzelić gola. Szarpaliśmy się z nimi, nie mogliśmy uzyskać spokoju i kontroli, a gospodarzom taki styl

pasował, wiedzieli, że mogą coś na tym ugrać. Najważniejszy był jednak gong tuż przed przerwą. Wtedy gospodarze mieli taką szansę, że powinni wyjść na prowadzenie. Zdaliśmy sobie sprawę, że to ostatni sygnał ostrzegawczy. Schodząc do szatni, wiedzieliśmy, co będzie, jeśli nie poprawimy jakości naszej gry. Tak zbieraliśmy doświadczenie jako zespół – odczuwaliśmy sprawy na własnej skórze.

Wtedy w przerwie pojawiła się też samoodpowiedzialność grupy. Jako drużyna przeżyliśmy już momenty dobre i trudniejsze, gdy mecze się układały i gdy nam nie szło. Dzięki temu wiesz, co może cię czekać, jak możesz reagować. I ja to widziałem – po wszystkich i po sobie. Nikt nie uciekał od odpowiedzialności, każdy zaczynał rozliczenie od siebie. Wszyscy wiedzieliśmy, że jeśli mamy zrobić coś dobrego w tym meczu, to indywidualnie musimy się poprawić.

Gdy drużynie nie idzie, w głowie piłkarza pojawia się obawa, że może zostać zmieniony. Czułem, że zawiodłem w pierwszej połowie. Byłem rozczarowany, bo miałem rzadko piłkę, a gdy już dostałem podanie, to nie potrafiłem z niego zrobić użytku. Grałem bezpiecznie, a jedno prostopadłe podanie było za długie. Nie czułem, że biorę na siebie odpowiedzialność za grę, chociaż taka była moja rola. Miałem odciążyć obrońców, wyciągnąć zespół wyżej. Gdy usłyszałem, że w przerwie nie ma zmian, to był dla mnie sygnał, że muszę natychmiast się poprawić, bo bez tego po pięciu–dziesięciu minutach zejdę z boiska jako pierwszy.

I ta druga połowa była dla mnie dużo lepsza. Zacząłem inicjować akcje, byłem bardziej ruchliwy, pokazywałem się do grania i popełniałem mniej błędów w defensywie. Nie mogłem już myśleć, że kopnę byle jak i piłka dojdzie.

Po kilku minutach po stałym fragmencie gry strzeliliśmy pierwszego gola. Nie można sobie wyobrazić, jakie to było dla

nas ważne. Te akcje zostały nam wpojone: każdy znak, sygnał rozpoczęcia ruchu, kopnięcia – wszystkiego trzeba było być pewnym, nic nie zostało pozostawione przypadkowi. Nawet na treningu Adam Nawałka nigdy nie kończył zajęć nieudanym rzutem wolnym czy rożnym. Musiała paść bramka, by rosła nasza pewność siebie.

Sam strzeliłem gola na 3:0 – to moje najpiękniejsze trafienie w reprezentacji. Arek Milik dostał podanie od Łukasza Piszczka w polu karnym i od razu wydawało się, że będzie chciał odwrócić się z piłką, by samemu uderzyć. Dlatego nie podbiegałem za blisko, by nie ściągać mu na głowę rywali. Widziałem, że opanował podanie, ale że ma zblokowane możliwości… Ja natomiast miałem kawałek miejsca, by wyjść do strzału na swoją lepszą nogę. Arek wyłożył mi idealnie. To była akcja dwóch mańkutów – gdybyśmy próbowali rozegrać piłkę prawymi nogami, to zaraz byłby powrót za kontrą Gruzinów.

Nie zdecydowałbym się zresztą na strzał prawą nogą, a tak mogłem uderzyć bez przyjęcia. Z przedmeczowych analiz Huberta Małowiejskiego wiedziałem, że bramkarz rywali jest wysoki, trzeba było więc strzelić idealnie. I tak właśnie była bita ta piłka. Jak mówili mi dawniej trenerzy: niech najpierw idzie za słupek, a potem sama znajdzie się w bramce. Uderzenie z jak największym ryzykiem, by futbolówka znalazła się poza zasięgiem bramkarza.

Wygraliśmy 4:0 i trudno nie docenić tego, w jakiej sytuacji się znaleźliśmy. Gibraltar mieliśmy odhaczony, dwa następne mecze nas napędziły, do tego doszło wysokie zwycięstwo na trudnym terenie w Tbilisi. To musiało wywołać wiarę, optymizm, że awans już się nam nie wymknie. Przeciwnicy też zaczęli nas szanować.

SEBASTIAN MILA

Data i miejsce urodzenia: 10 lipca 1982 r.,
Koszalin.

W reprezentacji Polski: 38 meczów, 8 goli.

Debiut: 14 lutego 2003, Macedonia – Polska 0:3.

Osiągnięcia: uczestnik MŚ 2006.

Kariera klubowa: Bałtyk Koszalin, Lechia Gdańsk,
Lechia/Polonia Gdańsk, Orlen Płock,
Dyskobolia Grodzisk Wielkopolski, Austria Wiedeń (Austria),
Vålerengens IF (Norwegia), ŁKS Łódź,
Śląsk Wrocław, Lechia Gdańsk.

Osiągnięcia: mistrzostwo Austrii (2006),
mistrzostwo Polski (2012),
Puchar Polski (2005), Puchar Austrii (2005, 2006),
Superpuchar Polski (2012).

JÓZEF
MŁYNARCZYK

MEDAL DLA CAŁEGO KRAJU

10 lipca 1982, Alicante
Polska – Francja 3:2 (2:1)

Bramki: Andrzej Szarmach 41., Stefan Majewski 45.,
Janusz Kupcewicz 47. – René Girard 13., Alain Couriol 72.
Polska: Józef Młynarczyk – Marek Dziuba, Władysław Żmuda, Paweł Janas,
Stefan Majewski – Grzegorz Lato, Waldemar Matysik (46. Roman Wójcicki),
Janusz Kupcewicz, Andrzej Buncol – Zbigniew Boniek, Andrzej Szarmach.
Francja: Jean Castaneda – Manuel Amoros, Marius Trésor,
Gérard Janvion (64. Christian Lopez), Philippe Mahut – Jean Tigana (82. Didier Six), Jean-François Larios, René Girard, Gérard Soler –
Bruno Bellone, Alain Couriol.
Żółte kartki: Buncol, Wójcicki – Soler.
Sędziował: António José da Silva Garrido (Portugalia).

W życiu rozegrałem mnóstwo spotkań o bardzo dużej wadze, z czego jestem bardzo zadowolony. Działo się sporo, ale bardzo trudno jest przypomnieć sobie szczegóły tego, co zdarzyło się kilkadziesiąt lat temu. Jeden mecz był dla mnie jednak szczególny – to spotkanie o trzecie miejsce mistrzostw świata w Hiszpanii w 1982 roku. Tamto zwycięstwo nad Francją dało nam medal wielkiej międzynarodowej imprezy i dlatego w moim przypadku trudno o inny wybór najważniejszego meczu w reprezentacyjnej karierze. To przecież najbardziej prestiżowa i satysfakcjonująca potyczka, jaką rozegrałem w biało-czerwonych barwach.

Na mistrzostwa jechaliśmy w wyjątkowych okolicznościach. W Polsce obowiązywał stan wojenny, mieliśmy olbrzymie problemy organizacyjne. Żadna reprezentacja nie chciała

rozgrywać z nami meczów towarzyskich, więc nasza forma była wielką niewiadomą. Jedynym sprawdzianem naszej dyspozycji były sparingi z drużynami klubowymi, które rozgrywaliśmy w Niemczech i Francji. Tylko w takich warunkach trener Antoni Piechniczek wraz ze sztabem szkoleniowym mógł przyglądać się swoim zawodnikom. Brakowało nam jakiegokolwiek przetarcia w starciu z silniejszym rywalem. Drużyny klubowe nie stały na poziomie reprezentacji narodowych, więc przed turniejem sami nie byliśmy pewni, na co nas stać, w jakim miejscu się znajdujemy.

Nic więc dziwnego, że dość długo trwało, zanim „odpaliliśmy". Naszym pierwszym rywalem byli Włosi i uważam, że bezbramkowy remis nie był złym rezultatem. Kto wie, czy przed meczem nie wzięlibyśmy takiego wyniku w ciemno. Jasne, chcieliśmy wygrać każdy mecz, ale Włosi byli zespołem o ogromnej klasie, co udowodnili później, sięgając po mistrzostwo świata. Kolejny remis, z Kamerunem, był już rozczarowaniem. Udało nam się przełamać dopiero w meczu z Peru, który wygraliśmy 5:1. To nas napędziło, dodało pewności siebie i zaprowadziło do półfinału, gdzie znowu spotkaliśmy się z Włochami. Przegraliśmy 0:2, a moim zdaniem zabrakło nam bardzo Zbyszka Bońka, który musiał pauzować za żółte kartki. Mieliśmy w swoich szeregach świetnych piłkarzy, każdy dawał z siebie wszystko, ale „Zibi" był jednak prawdziwym, naturalnym liderem tej kadry. Włosi zresztą mocno się go obawiali, podobnie jak Andrzeja Szarmacha, który jednak usiadł na trybunach. Brak tych zawodników na pewno dodał animuszu Włochom, którzy ograli nas po dwóch golach Paolo Rossiego.

Pozostała nam walka o trzecie miejsce. Los skojarzył nas z Francuzami, którzy w półfinale przegrali w rzutach karnych z Republiką Federalną Niemiec. Biorąc pod uwagę warunki

atmosferyczne panujące w Hiszpanii, było to naszym atutem. My jednak także odczuwaliśmy już wysokie temperatury, tym bardziej że do spotkania o trzecie miejsce mieszkaliśmy w hotelach bez klimatyzacji. Nie mogliśmy spać, a żeby się schłodzić, okrywaliśmy się wilgotnymi prześcieradłami. Męczyliśmy się okrutnie. Dopiero po przeprowadzce do Alicante mogliśmy się bardziej zrelaksować dzięki lepszym warunkom zakwaterowania.

Trener Francuzów, Michel Hidalgo, nieco zamieszał w składzie swej drużyny. Uważam jednak, że postawił na najsilniejsze możliwe w tamtym momencie zestawienie. Na pewno nasi rywale także odczuwali turniejowe trudy, ale nie zamierzali się przed nami położyć. Aby wygrać, musieliśmy dać z siebie wszystko. Coś o tym wie choćby Waldek Matysik, który bardzo silnie się odwodnił. To była walka o podium mistrzostw świata, więc nikt nie zamierzał odpuszczać. Kto bowiem pamięta tych, którzy zajęli czwarte miejsce? Stawka spotkania wymuszała więc maksymalne zaangażowanie, od pierwszej do ostatniej minuty.

Filozofia trenera Antoniego Piechniczka opierała się zawsze na chęci gry w piłkę. Nie bał się żadnego przeciwnika, nie ustawiał drużyny defensywnie. Potrafił świetnie mobilizować zespół, aby ten był pewny swoich możliwości. To znajdowało odzwierciedlenie na boisku. Byliśmy poukładaną ekipą, która potrafiła wygrywać i zagrażać najlepszym. Przed meczem z Francuzami byliśmy napompowani, każdy z nas czuł się maksymalnie zmotywowany i gotowy, by gryźć murawę. Nie kalkulowaliśmy w najmniejszym stopniu. Liczyło się tylko jedno – zwycięstwo.

Czuliśmy się bardzo mocni i zrobiliśmy to, co do nas należało. Przegrywaliśmy 0:1, ale tuż przed przerwą wyszliśmy na prowadzenie. Wykorzystaliśmy błędy naszych przeciwników,

może ich lekką dekoncentrację. Najpierw pięknym trafieniem popisał się Andrzej Szarmach – przy jego strzale bramkarz nie miał najmniejszych szans na skuteczną interwencję. Chwilę przed gwizdkiem kończącym pierwszą część meczu drugi cios wyprowadził Stefan Majewski. Taka bramka „do szatni" na pewno podcięła skrzydła Francuzom, a nas podbudowała. Gdy chwilę po wznowieniu gry trzeciego gola strzelił Janusz Kupcewicz, nasza wiara w sukces jeszcze się zwiększyła. Cały czas przez głowę przechodziła mi jednak myśl, czy sami zdołamy uchronić się od błędów. Każda minuta powodowała coraz większe zmęczenie, a trzeba było utrzymać maksymalną koncentrację. Straciliśmy jedną bramkę, ale dowieźliśmy do końca korzystny dla nas rezultat.

Została tylko wielka radość. Zawsze z olbrzymim szacunkiem podchodziłem do dokonań kadry prowadzonej przez trenera Kazimierza Górskiego, a w Hiszpanii udało nam się powtórzyć jej sukces na mistrzostwach świata. Nie chcieliśmy być gorsi i to się udało. Marzyliśmy o tym, śniliśmy po nocach. To było niezwykłe szczęście. Nieprzyjemnym zgrzytem był jedynie fakt, że medale musiał wręczać nam Władek Żmuda, ale w naszej olbrzymiej radości przełknęliśmy tę gorzką pigułkę, nie mogło to umniejszyć naszego sukcesu.

To osiągnięcie cieszyło tym bardziej, że w kraju panowała bardzo trudna sytuacja. Tak naprawdę cały naród walczył o wolność i lepsze dni. Nawet w Hiszpanii na trybunach pojawiały się flagi Solidarności, a wsparcie kibiców było fantastyczne. Mogliśmy im się odwdzięczyć, dając wiele radości. O tym, co dzieje się w kraju, jak wszyscy na nas liczą, mogliśmy się przekonać, telefonując do rodzin. Dzięki dziennikarzom – Darkowi Szpakowskiemu i Jankowi Ciszewskiemu – mieliśmy możliwość rozmowy z najbliższymi. Wiedzieliśmy, co dzieje się

w Polsce. To był trudny czas, ale potrafiliśmy go rodakom nieco osłodzić.

JÓZEF MŁYNARCZYK

Data i miejsce urodzenia: 20 września 1953 r.,
Nowa Sól.

W reprezentacji Polski: 42 mecze.

Debiut: 18 lutego 1979, Tunezja – Polska 0:2.

Osiągnięcia: III miejsce MŚ 1982, uczestnik MŚ 1986.
Członek Klubu Wybitnego Reprezentanta.
Zawodnik Reprezentacji 100-lecia PZPN.

Kariera klubowa: Astra Nowa Sól, Dozamet Nowa Sól,
Stal Bielsko-Biała, Odra Opole, Widzew Łódź,
SC Bastia (Francja), FC Porto (Portugalia).

Osiągnięcia: Puchar Europy Mistrzów Krajowych (1987),
Superpuchar Europy (1988), Puchar Interkontynentalny (1987),
mistrzostwo Polski (1981, 1982),
mistrzostwo Portugalii (1986, 1988),
Puchar Portugalii (1988),
Superpuchar Portugalii (1986).

PIOTR
MOWLIK

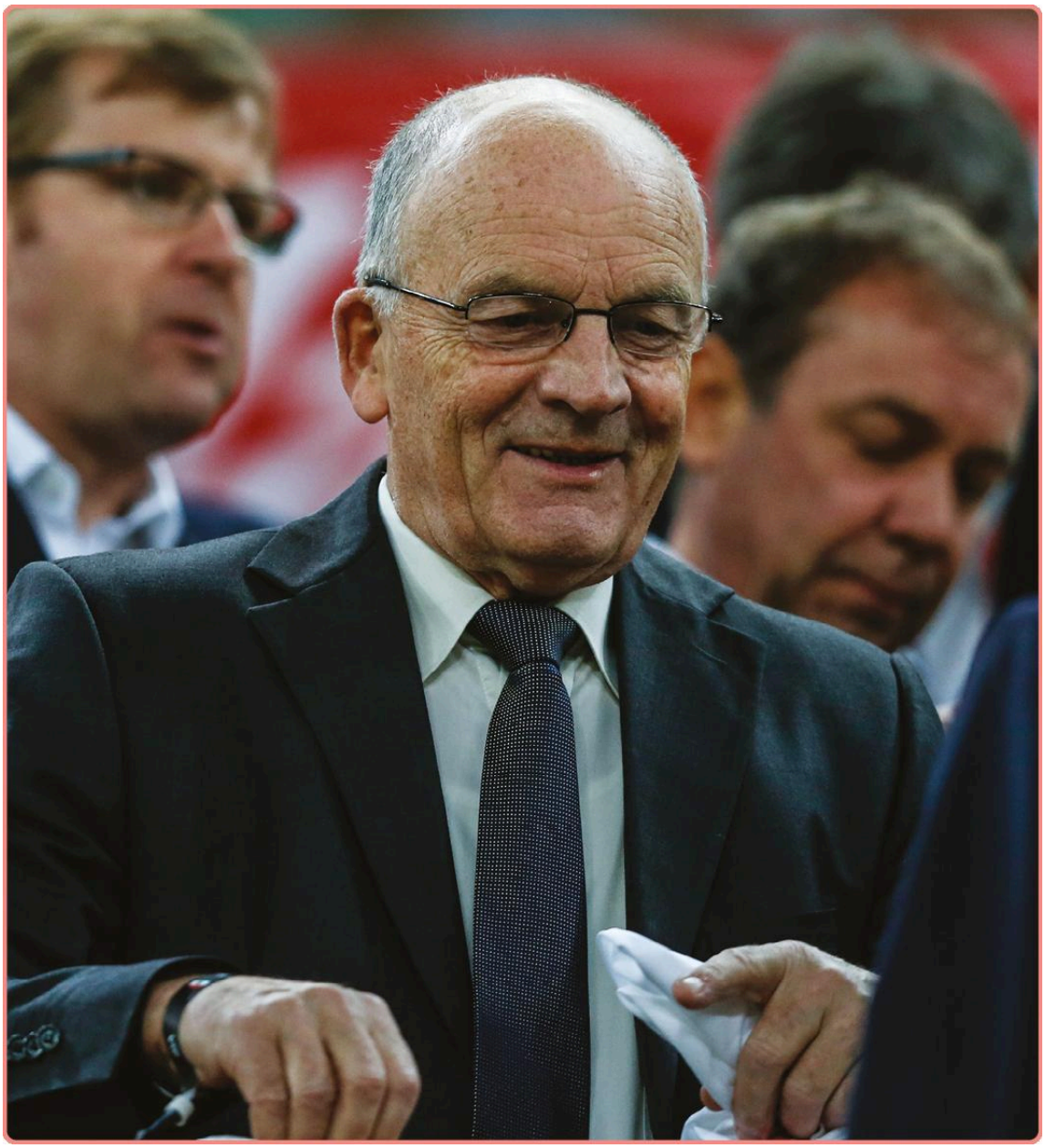

UPOKORZENIE ZA OLIMPIJSKI MEDAL

31 lipca 1976, Montreal
Polska – NRD 1:3 (0:2)

Bramki: Grzegorz Lato 59. – Hartmut Schade 7., Martin Hoffmann 14.,
Reinhard Häfner 85.
Polska: Jan Tomaszewski (20. Piotr Mowlik) – Antoni Szymanowski, Henryk Wieczorek, Władysław Żmuda, Henryk Wawrowski – Henryk Kasperczak, Kazimierz Deyna, Kazimierz Kmiecik, Zygmunt Maszczyk – Grzegorz Lato, Andrzej Szarmach.
NRD: Jürgen Croy – Gerhard Kische, Hans-Jürgen Doerner, Konrad Weise,
Lothar Kurbjuweit – Reinhard Häfner, Reinhard Lauck, Hartmut Schade – Wolfram Löwe (67. Wilfried Gröbner), Hans-Jürgen Riediger (86. Bernd Bransch),
Martin Hoffmann.
Sędziował: Ramón Ivanoes Barreto Ruiz (Urugwaj).

Mój najważniejszy mecz w reprezentacji narodowej zacząłem... na ławce rezerwowych. Rzadko się zdarza, by bramkarz wchodził na boisko już po 20 minutach, gdy podstawowy golkiper nie doznał urazu. Ale tak się właśnie stało w finale igrzysk olimpijskich w Montrealu, gdy zastąpiłem na murawie Janka Tomaszewskiego.

Podczas tamtego turnieju dotarliśmy do finału, choć byliśmy krytykowani za styl, w jakim to osiągnęliśmy. Męczyliśmy się z teoretycznie słabszymi rywalami. Dopiero po zwycięstwie nad Brazylią poczuliśmy się mocni, więc liczyliśmy, że

w decydującym starciu poradzimy sobie z Niemiecką Republiką Demokratyczną. To był złotodajny dzień – wcześniej polscy sportowcy wywalczyli kilka medali w innych dyscyplinach. Wszyscy oczekiwali, że i my dołączymy do tego grona i sięgniemy po zwycięstwo. Niestety, coś się z nami stało i po kilkunastu minutach przegrywaliśmy już 0:2. Gole Hartmuta Schadego i Martina Hoffmanna oglądałem z ławki, nie do końca rozumiejąc i wierząc w to, co się dzieje.

Chwilę później doszło do dziwnej sytuacji. Janek po stracie drugiego gola poprosił Kazimierza Górskiego o zmianę. Wprowadziło to sporą konsternację. Siedziałem tuż obok trenera, który wstał i zaczął… szukać mnie na ławce. W końcu krzyknął: „Piotrek, grzej się", nadal nie zauważając, że jestem tuż obok. To dowód, jak ogromne to były emocje. Serce zabiło mi zdecydowanie mocniej. Wcześniej nie rozegrałem nawet jednego spotkania w kadrze o stawkę, wszystkie mecze, w których wystąpiłem, były grami towarzyskimi. Aż tu nagle miałem wystąpić w finale igrzysk olimpijskich! Adrenalina mi skoczyła, ale musiałem spróbować wykorzystać tę szansę.

Nie powiem, że byłem lepszym golkiperem od Janka, bobym skłamał, ale moje wejście na murawę coś zmieniło w naszej grze. Przed przerwą nie udało nam się doprowadzić do wyrównania, ale zaczęliśmy przeważać. Każdy chciał za wszelką cenę zmienić rezultat, ale w naszej grze pojawiła się jakaś niemoc. Ambicji na pewno nam nie brakowało, wszyscy dawaliśmy z siebie maksimum. Trener przyjmował to na spokojnie. Zaliczył mały „wybuch", ale błyskawicznie stłumił negatywne emocje. Na pewno wewnątrz się gotował, ale nie dał tego po sobie poznać. To był fantastyczny szkoleniowiec, wiedział doskonale, że nerwy mogą podziałać na zespół bardzo źle. Chcieliśmy zrobić wszystko, żeby dać mu ten upragniony, drugi złoty medal igrzysk olimpijskich.

Po zmianie stron kontaktową bramkę zdobył wreszcie Grzesiek Lato, pojawiła się nadzieja na korzystny rezultat. Nacisnęliśmy Niemców jeszcze mocniej, chcąc doprowadzić do wyrównania za wszelką cenę. Stan boiska nam w tym nie pomagał – ulewa, która przeszła nad Montrealem, właściwie zamieniła murawę w gąbkę. Niestety, otworzyliśmy się za bardzo. Na pięć minut przed końcem meczu Niemcy wyprowadzili trzeci cios. Po kontrataku stanąłem oko w oko z Reinhardem Häfnerem i skapitulowałem. Gdy później patrzyłem na tę sytuację, doszedłem do wniosku, że wybiegłem z bramki odrobinę za późno. Mogłem zrobić to nieco wcześniej, miałbym większą szansę na zatrzymanie przeciwnika. Niemcy pokonali nas swoją żelazną konsekwencją. Wykorzystywali wszystkie swoje sytuacje z zimną krwią, byli absolutnie bezlitośni i właściwie bezbłędni. Na pewno nie zlekceważyliśmy rywala. Trochę rozbiły nas te dwie szybko stracone bramki, na przedmeczowej rozgrzewce kontuzję odniósł też Jurek Gorgoń, a była to dla nas niezwykle ważna postać.

Zdobyliśmy ostatecznie srebrny medal, co i tak było świetnym wynikiem. Niestety, przeważało poczucie niedosytu. Mieliśmy być najlepsi! Czuliśmy, że nie wyszło nam na ostatniej prostej, że nie dobiegliśmy do mety w takim tempie, w jakim powinniśmy. Atmosfera zrobiła się bardzo kiepska, tym bardziej że tą porażką pracę z kadrą zakończył trener Kazimierz Górski. Do Polski wracaliśmy jakimiś tanimi liniami lotniczymi. Celnicy zrobili nam totalną rewizję, sprawdzili nam wszystkie bagaże, trwało to bardzo długo. Mieliśmy wrażenie, że chcieli nas w ten sposób upokorzyć za zawód, który sprawiliśmy kibicom. Komuś chyba zależało na tym, żeby do czegoś takiego doszło.

W swojej karierze wywalczyłem także medal mistrzostw świata, ale jednak wicemistrzostwo olimpijskie cenię sobie bardziej. Miałem w końcu okazję wystąpić w turnieju finałowym, a podczas mundialu nie dostałem takiej szansy. Sama atmosfera igrzysk olimpijskich też była fantastyczna. W wiosce spotykało się największych sportowców świata, można było posiedzieć, porozmawiać. Wiadomo, hiszpańskie mistrzostwa też przyniosły nam wielki sukces, ale jednak ten, do którego dołożyło się jakąś cegiełkę, smakuje lepiej. Mogę czuć się zadowolony z tego, co osiągnąłem.

PIOTR MOWLIK

Data i miejsce urodzenia: 21 kwietnia 1951 r., Orzepowice.

W reprezentacji Polski: 21 meczów.

Debiut: 31 października 1974, Polska – Kanada 2:0.

Osiągnięcia: srebrny medal IO 1976, III miejsce MŚ 1982.

Kariera klubowa: Zuch Orzepowice, ROW Rybnik, Unia Racibórz, Legia Warszawa, Lech Poznań.

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (1983), Puchar Polski (1973, 1982).

ADAM

NAWAŁKA

NIKT NAM NIE ZABIERZE MIEJSCA W HISTORII

11 października 2014, Warszawa
Polska – Niemcy 2:0 (0:0)

Bramki: Arkadiusz Milik 51., Sebastian Mila 85.
Polska: Wojciech Szczęsny – Łukasz Piszczek, Łukasz Szukała, Kamil Glik,
Jakub Wawrzyniak (81. Artur Jędrzejczyk) – Kamil Grosicki (69. Waldemar Sobota), Grzegorz Krychowiak, Tomasz Jodłowiec, Maciej Rybus – Arkadiusz Milik
(74. Sebastian Mila), Robert Lewandowski. **Trener:** Adam Nawałka.
Niemcy: Manuel Neuer – Antonio Rüdiger (80. Max Kruse), Jérôme Boateng,
Mats Hummels, Erik Durm – Karim Bellarabi, Christoph Kramer (69. Julian Draxler), Mario Götze, Toni Kroos, André Schürrle (74. Lukas Podolski) – Thomas Müller.
Żółte kartki: Szukała, Lewandowski, Piszczek – Boateng, Bellarabi.
Sędziował: Pedro Proença (Portugalia).

Bardzo trudno jest wskazać mój najważniejszy mecz rozegrany w reprezentacji Polski w roli zawodnika. Bardzo miło wspominam spotkania w barwach Wisły Kraków, gdy w 1976 roku mierzyliśmy się z Celtikiem FC i odprawialiśmy go z kwitkiem, będąc bardzo młodą drużyną. To była grupa świetnych, głodnych sukcesów chłopaków. Po tych spotkaniach zwróciłem na siebie uwagę selekcjonera Jacka Gmocha i otrzymałem pierwsze powołanie do reprezentacji Polski.

Wezwanie na zgrupowanie było dla mnie pewnym zaskoczeniem, w Polsce mieliśmy przecież plejadę fantastycznych zawodników. Przepis związkowy zabraniał piłkarzom wyjazdu za granicę przed ukończeniem pewnego wieku, więc wszyscy najlepsi występowali w naszej lidze. Doskonałych pomocników nie brakowało: Lesław Ćmikiewicz,

Henio Kasperczak, Kazik Deyna, Zygmunt Maszczyk, Bronek Bula, z młodszego pokolenia Janusz Kupcewicz, Zbyszek Boniek… A w odwodzie pozostawali kolejni, może nieco słabsi, ale także świetni piłkarze. Nawet trzecioligowe drużyny były naprawdę silne.

Jacek Gmoch, jak każdy trener, mimo świetnej kadry nie ustawał jednak w poszukiwaniach kolejnych piłkarzy. Chciał wpuścić do reprezentacji nieco świeżej krwi. Wcześniej powołał Zbyszka Bońka, sprawdzał Janusza Kupcewicza. Ja byłem najmłodszy w tym gronie. W swoim debiutanckim meczu byłem jedynym piłkarzem Wisły Kraków. Kontuzja wykluczyła z występu Antka Szymanowskiego, który moim zdaniem był niesamowitym obrońcą, defensorem kompletnym: fantastycznie czytał grę, wyprzedzał rywali, włączał się do akcji ofensywnych.

Wracając do mojego premierowego zgrupowania, kilka dni przed debiutem miałem okazję zagrać w rozgrywanym w Płocku nieoficjalnym meczu przeciwko Rumunii. Wygraliśmy 2:0, a ja zdobyłem jedną z bramek. Tydzień później przyszedł czas na pierwsze oficjalne spotkanie w narodowych barwach. Graliśmy z Węgrami w Budapeszcie, wszedłem na murawę po przerwie i po zaledwie… dwóch minutach ponownie cieszyłem się z gola, tym razem pełnoprawnego, zaliczonego do statystyk. Na pewno było to olbrzymie przeżycie, bo gra w reprezentacji Polski była dla mnie spełnieniem marzeń. Pragnąłem w niej nie tylko „być”, ale też osiągać sukcesy w biało-czerwonych barwach. Czas mi sprzyjał, polska piłka nożna była w fazie rozkwitu, reprezentacja zdobyła dwa medale na igrzyskach olimpijskich i trzecie miejsce na mundialu w Niemczech… To działało na wyobraźnię. Do dziś w Polsce jest wielki głód sukcesu, kibice wciąż z utęsknieniem czekają, by kadra narodowa nawiązała do tego złotego okresu.

Do szatni reprezentacji Polski wszedłem z wielką pokorą, ale także głodem rywalizacji. Czułem się pewnie. Zawodnik musi być świadom swoich umiejętności, wierzyć w swój potencjał. Gdy dołoży do tego ciężką pracę, może osiągnąć sukces. W zespole odnalazłem się bez żadnego problemu, zresztą starsi koledzy przyjęli mnie niezwykle miło. Pozostawało tylko udowodnić swoją przydatność na boisku.

Rozegrałem w kadrze kilka bardzo ważnych spotkań, ale uważam, że do tego najważniejszego nigdy nie doszło, moja kariera piłkarska na poważnym poziomie skończyła się bowiem bardzo szybko. Ostatni mecz w kadrze narodowej rozegrałem, mając niespełna 23 lata, podczas tournée w Ameryce Południowej. Wszystko rozwijało się świetnie, zaliczyłem występ na mistrzostwach świata, zostałem nawet wybrany do jedenastki zawodników z największym potencjałem. Wydawało się, że to dopiero początek. Miałem ogromne nadzieje i marzenia, ale niestety, ze względu na kontuzje, moja przygoda w reprezentacji Polski zakończyła się na 34 meczach.

Ciąg dalszy nastąpił po kilkudziesięciu latach, gdy dostąpiłem zaszczytu prowadzenia kadry narodowej jako selekcjoner. Patrząc z perspektywy czasu, dostrzegam, że zabrakło nam tylko spektakularnego sukcesu. Mam jednak przynajmniej tę satysfakcję, że z 79. miejsca w rankingu FIFA dotarliśmy do czołowej piątki.

Ze względu na szybko zakończoną karierę zawodniczą za swój najważniejszy mecz w reprezentacji Polski uznaję oczywiście spotkanie z Niemcami w kwalifikacjach do mistrzostw Europy w 2016 roku. Losowanie grup eliminacyjnych jest zawsze sygnałem do rozpoczęcia wytężonej pracy. Gdy los skojarzył nas z Niemcami, zaczęliśmy przygotowania i muszę przyznać, że w dużej mierze odbywały się one pod kątem październikowego spotkania z mistrzami

świata. Celem podstawowym jest zawsze awans do turnieju finałowego, ale zdawaliśmy sobie sprawę, że kluczowym momentem może być potyczka z naszymi zachodnimi sąsiadami, mogła ona bowiem otworzyć tej drużynie okno na świat. Raz, że w grę wchodziła historyczna, pierwsza wygrana z Niemcami, a dwa, że nasz rywal był przecież najlepszym zespołem na świecie. Zwycięstwo w tym spotkaniu i takie otwarcie kwalifikacji – bo był to drugi mecz w kampanii o awans do mistrzostw Europy – bardzo podbudowałoby nas psychicznie. Mogliśmy odbić się po latach posuchy i ruszyć z kopyta do przodu. Wiedzieliśmy więc, jak niezwykle istotne będzie to spotkanie.

Już na starcie mojej przygody z reprezentacją Polski w roli selekcjonera otworzyłem się na zawodników z polskiej ekstraklasy. Chciałem, by piłkarze z naszej ligi mieli świadomość, że dobrą grą mogą zasłużyć sobie na powołanie, że nie jest to zamknięty zespół. Wiele osób tego nie rozumiało i moje pierwsze powołania uważało nie tyle za zaskakujące, ile za wręcz niepoważne. Dla mnie miały jednak głęboki sens. Pragnąłem, by piłkarze występujący na co dzień w ekstraklasie dostali sygnał, że z niej także można dostać się do reprezentacji kraju. Dlatego też powołania otrzymywali bardzo młodzi piłkarze, jak Arek Milik, ci nieco starsi, jak Krzysiek Mączyński, a także starszego pokolenia, jak Sebastian Mila. Chciałem, by było to motywacją dla innych, stąd takie decyzje personalne przed rozpoczęciem kwalifikacji. Wiadomo, że kręgosłup zespołu tworzyli najbardziej znani gracze, lecz liczył się także entuzjazm. Wiedzieliśmy, że tej drużynie potrzebne jest też trochę fantazji i polotu. Po niezbyt udanych początkach mojej pracy z kadrą spływało na mnie mnóstwo krytyki, lecz mam wyjątkowo grubą skórę i nigdy nie pękałem, gdy pojawiała się duża presja, więc działało to na mnie wręcz motywująco.

Gdy poznaliśmy naszych rywali w grupie kwalifikacyjnej, od razu rozpoczęliśmy pracę z założeniem, że mecz z Niemcami musimy wygrać. Nie było kalkulacji: a może jakiś remisik, może punkcik. Mieliśmy zwyciężyć! Wierzyłem, że kluczem do sukcesu będzie zaszczepienie w zawodnikach pozytywnego nastawienia, przekazanie im dobrego impulsu. Musieli uwierzyć, że można wygrać z mistrzami świata.

Aby zawodnicy zaufali trenerowi, muszą widzieć, że ma on pomysł na zespół. Szkoleniowiec powinien mieć olbrzymią wiedzę na temat przeciwnika, znać jego słabsze strony i bazując na sile swojego zespołu, starać się je wykorzystywać. Stosując odpowiednią taktykę czy ustawienie, można przy tym ukryć własne słabości. Od samego początku chcieliśmy także wypracować swój styl. Założyliśmy grę dwoma napastnikami w pionie, 1-4-4-1-1.

Musieliśmy oczywiście dopasowywać ustawienie do potencjału ludzkiego, którym dysponowaliśmy. W porównaniu z Hiszpanami, Włochami, Anglikami czy innymi topowymi reprezentacjami nie mieliśmy aż takiej głębi kadrowej, by założyć konkretne ustawienie, a następnie dobierać zawodników pod tym kątem. Do Roberta Lewandowskiego, grającego jako „dziewiątka", nie można było dopasować każdego piłkarza, by grać na najwyższym poziomie efektywności. Zakładaną rolę spełniał idealnie Arek Milik. Jest znakomity w grze kombinacyjnej, rozgrywaniu piłki, świetnie operuje lewą nogą. Gdy Arek był więc w optymalnej dyspozycji, wykorzystywaliśmy jego umiejętności jako drugiego napastnika. Jeżeli go brakowało, szukaliśmy pomocnika w roli nominalnej „dziesiątki". Staraliśmy się stosować takie rozwiązanie od samego początku, by opanowywać pewne automatyzmy. To wiąże się bowiem z powtarzalnością, a czasu na pracę podczas zgrupowań reprezentacji narodowej zbyt

wiele nie ma. Każda godzina jest na wagę złota, więc trzeba maksymalnie ją wykorzystać.

W mediach nie mieliśmy zbyt wysokich notowań, dziennikarze nie dawali nam wielkich szans przed tym spotkaniem. Stawiano na nas krzyżyk. Pojawiały się nawet głosy, że trzeba jak najmniej sił poświęcić na mecz z Niemcami i skupić się na starciu ze Szkocją. Budziło to mój uśmiech, bo im więcej materiałów gromadziliśmy i analizowaliśmy, tym bardziej rosła pewność, że możemy Niemców ograć. Opinia publiczna nie wiedziała, że mieliśmy swoją strategię. Nie zdradzaliśmy jej, bo chciałem, by pewne kwestie zostawały w szatni. Kontakt z mediami jest bardzo ważny i trzeba to rozumieć, ale część informacji musi pozostać wewnątrz drużyny.

Bardzo ważnym momentem, który nam pomógł, było towarzyskie spotkanie z Niemcami rozegrane w Hamburgu kilka miesięcy wcześniej. Mogliśmy wtedy sprawdzić kilka wariantów. Wiadomo, że nasi rywale wyszli na boisko w dużo słabszym składzie personalnym, ale i tam nie zabrakło świetnych, mających olbrzymi potencjał zawodników. Zremisowaliśmy jednak 0:0 i oczywiście oberwało nam się za to. Według niektórych, jeżeli nie potrafiliśmy wygrać z rezerwowym składem Niemców, nie uda nam się to nigdy. Ale wyciągnęliśmy z tego spotkania mnóstwo informacji, które później okazały się niezwykle przydatne. Mogliśmy zaobserwować, jak grają rywale, dostrzec ich silniejsze i słabsze strony. A to przyniosło efekt w październiku.

Pierwszą połowę zremisowaliśmy 0:0. W przerwie podkreśliłem, że mamy cały czas grać swoje i czekać na szansę. Przekazałem drużynie kilka uwag, zwłaszcza dotyczących prostopadłych zagrań Niemców, które kilka razy sprawiły nam trochę problemów. Niezbędna była właściwa asekuracja, na co

uczuliłem zawodników. Każdy musiał wiedzieć, co ma robić, a przede wszystkim utrzymywać dyscyplinę taktyczną w każdej sekundzie meczu.

Niemcy mieli ogromną sumę umiejętności indywidualnych, do tego kapitalną organizację gry. Zauważyliśmy, że mnóstwo bramek zdobywają dzięki stosowaniu wysokiego pressingu. Dlatego zwracaliśmy szczególną uwagę, by nasi piłkarze nie popełnili błędu w środku pola po odbiorze piłki. Niemcy błyskawicznie wtedy do nas doskakiwali i wiedzieliśmy, czym to grozi. Ale dzięki temu, że ich boczni obrońcy także grali bardzo wysoko, za ich plecami otwierały się wolne przestrzenie. Dlatego jednym z naszych pomysłów było jak najszybsze odwrócenie strony ataku po przechwycie. W taki sposób chcieliśmy zaskoczyć przeciwnika. Ćwiczyliśmy to bardzo długo i fantastycznie sprawdziło się to przy pierwszej zdobytej przez nas bramce. Po odbiorze piłki Tomek Jodłowiec przerzucił piłkę na drugą stronę boiska, tam pojedynek przegrał Kamil Grosicki, ale futbolówka trafiła do włączającego się do akcji Łukasza Piszczka. „Piszczu" dośrodkował do wbiegającego z głębi pola Arka Milika, a ten pokonał Manuela Neuera. Ta akcja potwierdziła, że nasza koncepcja była słuszna. Wiedzieliśmy, w jaki sposób chcemy grać, i to się sprawdziło.

Druga bramka padła po strzale Sebastiana Mili, który wszedł na boisko za Arka Milika w drugiej połowie i dał kapitalną zmianę. Po wrzucie z autu Łukasza Piszczka Robert Lewandowski ściągnął na siebie dwóch obrońców i wyłożył piłkę podłączającemu się do akcji Mili, który płaskim strzałem strzelił drugiego gola. Sebastian miał takie właśnie zadanie – wzmocnić środek pola i wbiegać w pole karne, gdy tylko będzie okazja. Zrobił to kapitalnie. Wykorzystał swoje wyszkolenie techniczne i umiejętność gry lewą nogą, bo tak precyzyjne uderzenie nie było wcale łatwe. Zmieścił jednak piłkę idealnie.

Wiedzieliśmy, że jesteśmy już blisko, ale musieliśmy zachować koncentrację do samego końca. Wszyscy pamiętali, że nie tak dawno prowadziliśmy z Niemcami do doliczonego czasu gry, by ostatecznie zremisować 2:2. Na Stadionie Narodowym zachowaliśmy chłodną głowę i już nie pozwoliliśmy wydrzeć sobie tego triumfu.

Ten mecz spowodował, że narodziła się drużyna. Już przed tym starciem czuć było entuzjazm, ale po końcowym gwizdku sięgnął on zenitu. To był przełomowy moment, w którym przeszliśmy do historii. Tego już nikt nigdy nam nie zabierze.

ADAM NAWAŁKA

Data i miejsce urodzenia: 23 października 1957 r., Kraków.
W reprezentacji Polski: 34 mecze, 1 gol.
Debiut: 13 kwietnia 1977, Węgry – Polska 2:1.
Osiągnięcia: uczestnik MŚ 1978.
Kariera klubowa: Orlęta Rudawa, Wisła Kraków,
Polish American Eagles SC (USA).
Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (1978).

ANDRZEJ
NIEDZIELAN

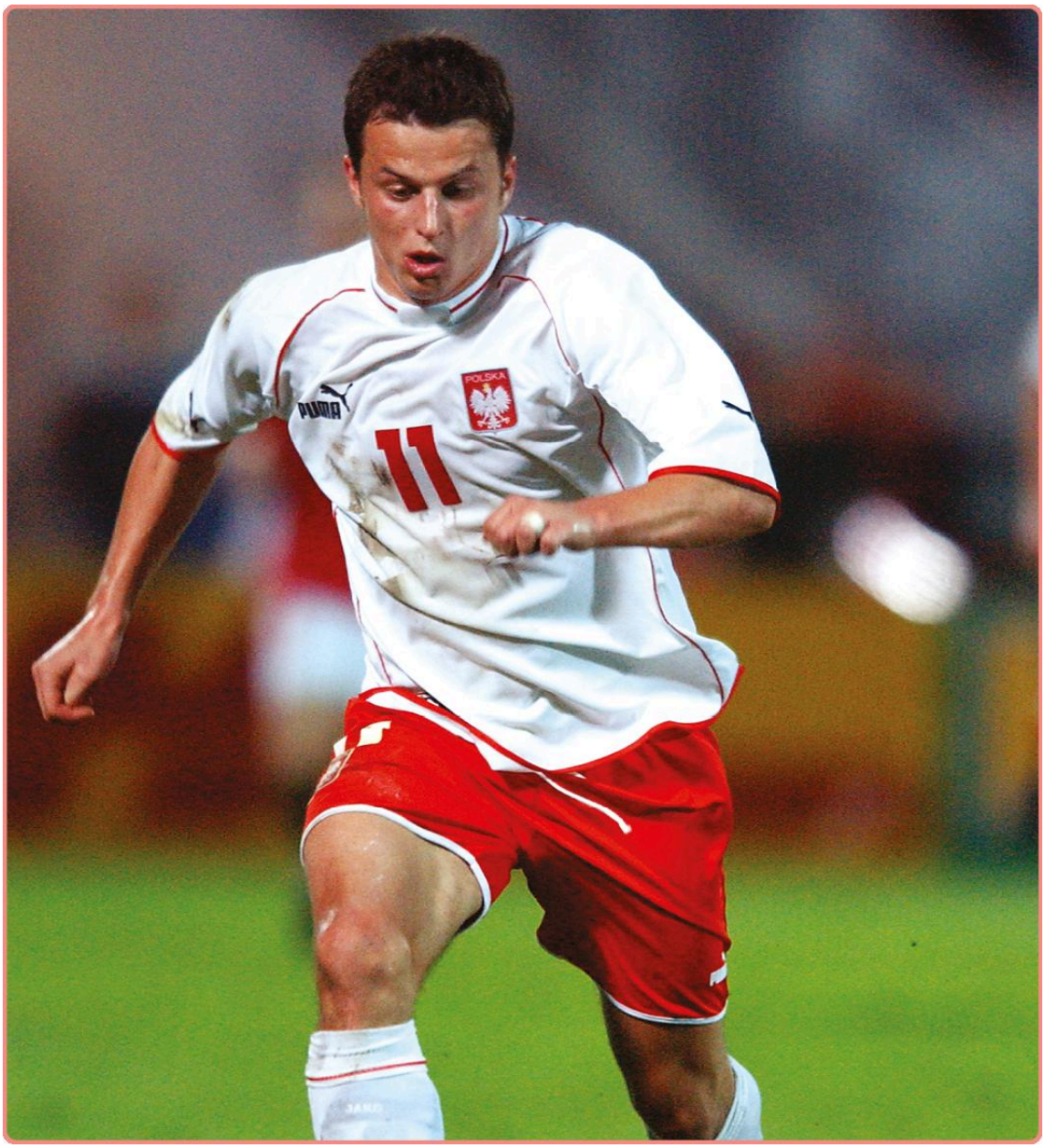

Fot. John Walton / EMPICS / Getty Images

KRWAWE ZWYCIĘSTWO

11 października 2003, Budapeszt
Węgry – Polska 1:2 (0:1)

Bramki: Imre Szabics 49. – Andrzej Niedzielan 11., 62.
Węgry: Gábor Király – Tamás Bódog, Atilla Dragóner, Tomas Juhar – Zoltán Böőr, Krisztián Lisztes, Péter Lipcsei (46. Zoltán Gera), Pál Dárdai, Ákos Füzi – Miklós Fehér (65. Krisztián Kenesei), Imre Szabics.
Polska: Jerzy Dudek – Tomasz Kłos, Jacek Bąk, Tomasz Rząsa – Michał Żewłakow, Radosław Sobolewski, Mirosław Szymkowiak (86. Mariusz Lewandowski), Sebastian Mila (53. Kamil Kosowski), Jacek Krzynówek – Grzegorz Rasiak, Andrzej Niedzielan (88. Marek Saganowski).
Żółte kartki: Lisztes, Juhar, Bódog – Sobolewski.
Sędziował: Manuel Enrique Mejuto González (Hiszpania).

Kwalifikacje do turnieju finałowego mistrzostw Europy w 2004 roku były już na finiszu, ale reprezentacja Polski wciąż miała szansę, by zająć w grupie eliminacyjnej drugie miejsce, które dawało udział w barażach. Mnie początkowo zabrakło w kadrze selekcjonera Pawła Janasa, ale znalazłem się w zespole w ostatniej chwili, bo zostałem dowołany w trybie awaryjnym, kontuzji doznał bowiem Paweł Kryszałowicz. Mojego uczestnictwa w zgrupowaniu mocno dopominała się prasa, która rozpisywała się, że jestem w bardzo dobrej dyspozycji. To prawda, byłem w gazie. Z tego, co pamiętam, pod uwagę brano jeszcze Irka Jelenia, ale selekcjoner postawił jednak na mnie.

Trener dał mi szansę i – jak się później okazało – nie pomylił się.

Jesienią 2003 roku miałem świetny okres w Dyskobolii Grodzisk Wielkopolski. Graliśmy co trzy dni, prezentowaliśmy się bardzo dobrze. Sam czułem, że to moje pięć minut i jestem trudny do zatrzymania. Zdobywałem bramki, pokazywałem przyspieszenie, ciąg na bramkę i przede wszystkim skuteczność. Na zgrupowaniu byłem razem z klubowymi kolegami, bo trener Janas powołał też Grześka Rasiaka, Radka Sobolewskiego i Sebastiana Milę. To pokazywało naszą siłę, ale i bardzo dobrą pracę, jaką wykonywał w Grodzisku trener Dušan Radolský. Śmiało mogę powiedzieć, że w żadnym polskim klubie nie trenowałem nigdy tak ciężko. Zajęcia ordynowane nam przez słowackiego szkoleniowca były katorżnicze. Przygotowywaliśmy się w mikrocyklach i biegaliśmy po lasach pod jego czujnym okiem. To dawało jednak rezultaty, bo byliśmy silni, szybcy, wydolni i wybiegani.

Przed spotkaniem w Budapeszcie nie wszystko było stracone. Naszym najważniejszym zadaniem było zwycięstwo z Węgrami. Musieliśmy przy tym też liczyć na Szwedów, którzy co prawda mieli już awans w kieszeni, ale potrzebowaliśmy ich zwycięstwa nad Łotyszami, byśmy mogli przedłużyć swoje nadzieje na udział w mistrzostwach Europy. Musieliśmy jednak patrzeć na siebie, a dopiero potem oglądać się na innych. Dlatego skupialiśmy się przede wszystkim na tym, żeby wygrać z Węgrami. Wiedzieliśmy, że jeśli nie zrobimy tego, co do nas należy, czyli nie wygramy spotkania, to nie ma sensu patrzeć na przeciwników. Zresztą gdy już wychodzi się na boisko, człowiek w pełni koncentruje się na rywalu i wykonaniu zadania.

Miałem sporo problemów przed meczem z Węgrami. Mocno doskwierały mi pięty, a wszystko przez to, że nie miałem wcześniej odpowiednio przygotowanych butów. Często tak się

działo, gdy nie dopilnowało się zmoczenia obuwia. Wówczas korki zaczynają nagle „palić”, a ze stóp schodzi skóra. Mnie to niestety dopadło, ale za wszelką cenę chciałem zagrać. Zgłosiłem to oczywiście sztabowi medycznemu, bo miałem problemy z chodzeniem, nie mówiąc o bieganiu. Zacisnąłem zęby i modliłem się, żeby wytrzymać. Nie mogłem przecież dopuścić do tego, żeby nie wystąpić w takim spotkaniu. Otejpowałem pięty do momentu, aż przestałem czuć ból. No i wziąłem tabletki przeciwbólowe. Dopiero po meczu, gdy zeszła ze mnie adrenalina, zobaczyłem, co się dzieje: razem z getrami zrywałem z pięt płaty skóry, tak że lała się krew.

Trener Janas dał mi szansę od pierwszej minuty. Chyba o miejscu w wyjściowej jedenastce zadecydował wcześniejszy mecz sparingowy, w którym zdobyłem cztery bramki i zyskałem uznanie selekcjonera. W Budapeszcie ponownie potwierdziłem, że jestem w gazie. W tym okresie dysponowałem mocnym przyspieszeniem i ciężko było mnie dogonić. Zwłaszcza jeśli dostawałem piłkę w tempo, a taką zagrał do mnie Grzesiek Rasiak, z którym rozumiałem się na murawie fenomenalnie. Poza boiskiem w naszych relacjach nie było kolorowo, ale gdy graliśmy, wszystkie niesnaski szły na bok. Z Węgrami też dograł mi super, a ja „depnąłem” i umieściłem piłkę w siatce. Radość była olbrzymia, bo zdobyłem bramkę dla reprezentacji w meczu o punkty.

W przerwie oczywiście docierały do nas informacje, co się dzieje w spotkaniu Szwedów z Łotyszami. To z pewnością był trudny moment, ale szybko trzeba było oczyścić głowę z tych informacji, nie zajmować się nimi. Zdawaliśmy sobie sprawę, że chwila dekoncentracji może poskutkować stratą punktów. Podszedłem do tego na zasadzie: „OK, dzieje się coś złego, nie jest najlepiej, ale jeśli nie wygramy swojego meczu, to i tak nie

będzie o czym rozmawiać". Musieliśmy się skupić na swoim spotkaniu, tych 45 minutach, które pozostały.

Mecz mógł się kibicom podobać. Walka była zażarta, czasem akcja przenosiła się sprzed jednego pola karnego pod drugie. Popełnialiśmy błędy, ale gospodarze mylili się jeszcze częściej. Udało im się wykorzystać chwilę naszej nieuwagi i doprowadzić do wyrównania, ale nie odpuszczaliśmy. Węgrzy prezentowali się bardzo dobrze, zresztą mieli nieźle wyszkolonych technicznie piłkarzy i umieli operować piłką. Chyba jednak nie zdawali sobie sprawy, że z przodu reprezentacji Polski będzie biegał tak szybki gość jak ja. Dlatego gospodarze podchodzili wysoko i zostawiali nam za plecami dużo miejsca, a dla nas to była woda na młyn. Jedna, druga, trzecia akcja i zaczęły się ich problemy. Chyba nie odrobili lekcji z pierwszej połowy, bo kolejny raz udało mi się zdobyć bramkę. Tym razem z trudniejszej pozycji, ale najważniejsze, że wpadło.

Wygraliśmy z Węgrami na ich terenie, ale to zwycięstwo miało dla nas słodko-gorzki smak. Zdawaliśmy sobie sprawę, że wykonaliśmy kawał dobrej roboty. Zwyciężyliśmy na wyjeździe, ale Szwedzi zrobili nam psikusa i wrzucili kamienie do naszego ogródka. Czuliśmy ogromne rozczarowanie, a ja nie ukrywałem złości. Patrzyliśmy z kolegami na urywki ich meczu i moim zdaniem Szwecja przeszła obok tego spotkania, to nie było sportowe zagranie z jej strony. Niestety, musieliśmy obejść się smakiem i mistrzostwa Europy w Portugalii mogliśmy oglądać tylko w telewizji.

Jeśli chodzi o występy w drużynie narodowej, jestem niespełniony. Miałem wiele kontuzji i trochę mi to przeszkodziło, by bardziej zaistnieć w kadrze. Urazy nie zahamowały mocno mojej kariery, ale z pewnością przeszkodziły mi w piłkarskim rozwoju. Niedosyt pozostaje, bo tych meczów i bramek mogło być więcej. Stanęło na

dziewiętnastu występach i pięciu golach. Jestem jednak zadowolony, że dane mi było w ogóle zagrać w drużynie narodowej. Zawsze jako młody chłopak kibicowałem reprezentacji i chciałem w niej wystąpić. I to dziecięce marzenie udało mi się spełnić.

ANDRZEJ NIEDZIELAN

Data i miejsce urodzenia: 27 lutego 1979 r., Żary.

W reprezentacji Polski: 19 meczów, 5 goli.

Debiut: 20 listopada 2002, Dania – Polska 2:0.

Kariera klubowa: Promień Żary, Zagłębie Lubin, Odra Opole, Zagłębie II Lubin, Chrobry Głogów, Zagłębie Lubin, Górnik Zabrze, Dyskobolia Grodzisk Wielkopolski, NEC Nijmegen (Holandia), Wisła Kraków, Ruch Chorzów, Korona Kielce, Cracovia, Ruch Chorzów.

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (2008, 2009).

EMMANUEL
OLISADEBE

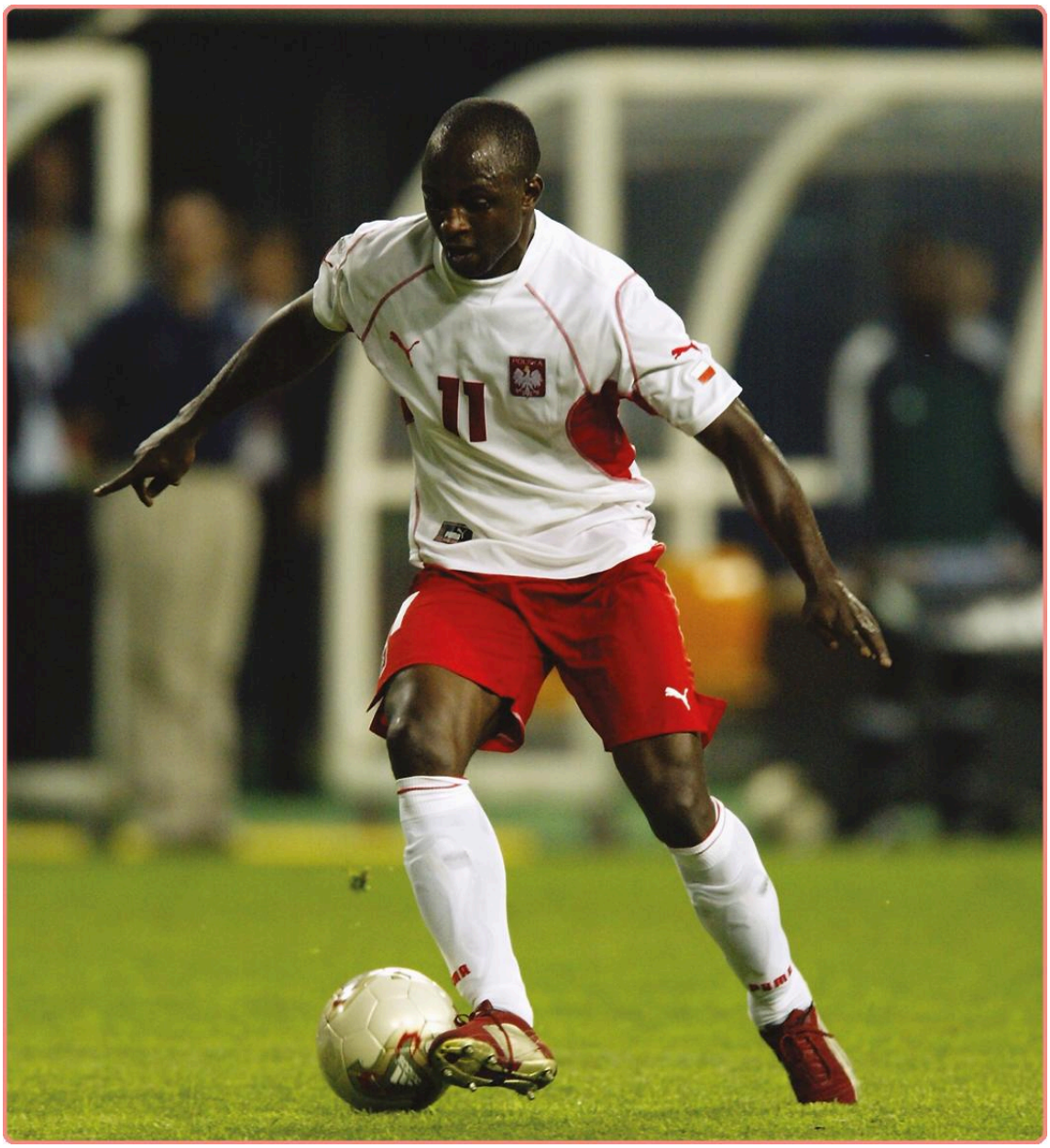

Fot. Brian Bahr / Getty Images

ŚPIEWAJCIE DALEJ, IDIOCI!

2 września 2000, Kijów
Ukraina – Polska 1:3 (1:2)

Bramki: Andrij Szewczenko 12. – Emmanuel Olisadebe 3., 31., Radosław Kałużny 55.
Ukraina: Wiaczesław Kernozenko – Oleg Łużnyj, Aleksandr Hołowko, Władisław Waszczuk, Jurij Dmitrulin – Serhij Popow (73. Witalij Kosowski),
Andrij Gusin, Andrij Worobej (62. Artem Jaszkin),
Anatolij Timoszczuk (46. Gennadij Zubow) – Andrij Szewczenko, Serhij Rebrow.
Polska: Jerzy Dudek – Tomasz Kłos (85. Tomasz Hajto), Jacek Zieliński,
Tomasz Wałdoch, Michał Żewłakow – Tomasz Iwan, Radosław Kałużny,
Piotr Świerczewski, Marek Koźmiński (90. Jacek Krzynówek) – Emmanuel Olisadebe, Andrzej Juskowiak (69. Radosław Gilewicz).
Żółte kartki: Kałużny, Kłos.
Sędziował: José María García-Aranda (Hiszpania).

Mimo udziału w turnieju finałowym mistrzostw świata i zdobytej w nim bramki za swój najważniejszy mecz rozegrany w biało-czerwonych barwach uznaję spotkanie otwierające kwalifikacje do mundialu w 2002 roku przeciwko Ukrainie. Wiedziałem, że muszę zaprezentować się z jak najlepszej strony i dać drużynie coś od siebie. Co więcej, bardzo mocno nakręciła mnie ukraińska publiczność. Tysiące ludzi starało się wyprowadzić mnie z równowagi, słyszałem z trybun odgłosy naśladujące dźwięki wydawane przez małpę za każdym razem,

gdy byłem przy piłce. „Odwdzięczyłem” się za to w najlepszy z możliwych sposobów – zdobywając dwie bramki.

Wcześniej w reprezentacji Polski zagrałem tylko raz, w towarzyskiej potyczce z Rumunią. Pamiętam, że zmagałem się ze sporym bólem ramienia, a trener Jerzy Engel uznał, że powinien mnie zmienić. Poprosiłem go, aby tego nie robił, a następnie spytałem lekarza, czy jest w stanie jakkolwiek uśmierzyć ból. Gdy potwierdził, natychmiast oddałem się w jego ręce i po kilku minutach dyskomfort minął. Strzeliłem w tym spotkaniu gola i zremisowaliśmy ostatecznie 1:1. Nie graliśmy może zbyt dobrze, ale zeszliśmy z boiska z całkiem niezłym wynikiem. To był jednak dopiero przedsmak meczu z Ukrainą, który miał zdecydowanie większą wagę.

Moim celem było rozegrać dobre spotkanie. Wiedziałem, że zawsze gra mi się najlepiej wtedy, gdy czuję presję, a stawka jest wysoka. W Polsce nastroje nie były najlepsze. Wszyscy wypominali nam nieskuteczność, kiepskie wyniki w meczach towarzyskich. Dało się wyczuć, że nikt w nas nie wierzy. Ukraińcy mieli przecież w swoich szeregach takich zawodników jak Andrij Szewczenko czy Serhij Rebrow. My mieliśmy za to coś więcej – drużynę.

Do moich najsilniejszych atutów należała szybkość, kontrola piłki i piłkarska inteligencja. Myślę, że w dużej mierze wzięło się to z faktu, że w niemal każdej drużynie miałem wolną rękę, mogłem poruszać się na boisku, jak chciałem. Zmieniło się to dopiero w reprezentacji Polski, gdzie dostałem konkretne zadania i wytyczne, których musiałem się trzymać. Wywiązywałem się z nich najlepiej, jak potrafiłem, i to przyniosło efekty także podczas meczu w Kijowie.

Początek spotkania był spełnieniem naszych marzeń. Może Ukraińcy na papierze wyglądali lepiej, może mieli bardziej rozpoznawalnych zawodników, ale my byliśmy lepszą drużyną.

Wiedzieliśmy, że więź, która pojawiła się w naszym zespole, jest naszą wielką siłą. Polscy kibice nie widzieli czegoś takiego od bardzo dawna. A do tego w linii ataku występował zawodnik z Afryki, zostawiający na boisku serce dla biało-czerwonych barw. Szybko zdobyliśmy pierwszą bramkę, co uciszyło tysiące ludzi na stadionie. Jak wspomniałem, za każdym razem, gdy dostawałem piłkę, słyszałem z trybun dzikie odgłosy. Gdy dołożyłem gola numer dwa, na stadionie zapanowała jeszcze większa konsternacja. W duchu bardzo się z tego cieszyłem. Myślałem: „Śpiewajcie dalej swoje kretyńskie przyśpiewki, idioci!”.

W przerwie spotkania trener zdecydował się na nieco bardziej defensywne nastawienie zespołu. Prowadziliśmy, więc nie atakowaliśmy już wściekle ukraińskiej bramki. Mimo to potrafiliśmy podwyższyć prowadzenie, gdy spokojem wykazał się Radek Kałużny. Wiedzieliśmy już, że nie stracimy w tym meczu punktów. Mogliśmy wygrać nawet wyżej, ale rzutu karnego nie wykorzystał Andrzej Juskowiak. Mieliśmy do niego bardzo duże zaufanie, ale widzieliśmy też, że nie rozgrywał najlepszych zawodów. Chociaż do rzutu karnego wyznaczony był Michał Żewłakow, postanowiliśmy oddać piłkę Andrzejowi, żeby się trochę przełamał. Niestety, nie wykorzystał tej okazji, na szczęście i tak zeszliśmy do szatni jako zwycięzcy. Ten triumf pozwolił nam, ale także kibicom, uwierzyć w siłę tej drużyny. Sam również czułem, że zaufanie do mnie wzrosło. Wcześniej niewielu wierzyło, że obcokrajowiec może pomóc polskiej reprezentacji.

Dużą rolę w tym sukcesie odegrał trener Jerzy Engel. Wszyscy bardzo go lubiliśmy, a ja osobiście nie chciałem zawieść selekcjonera. To właśnie w dużej mierze za jego sprawą mogłem założyć koszulkę z orłem na piersi i chciałem za wszelką cenę mu się odwdzięczyć, udowodnić, że stawiając na

mnie, dokonał dobrego wyboru. Jerzy Engel był dla mnie swego rodzaju piłkarskim ojcem, więc przypominało to sytuację, w której syn chce, by jego ojciec był z niego dumny.

W drużynie panowała wtedy świetna atmosfera. Mieliśmy w swoich szeregach kilku zawodników, z których każdy mógłby być kapitanem. Marek Koźmiński, Tomek Wałdoch, Tomek Kłos, Piotrek Świerczewski, Jacek Bąk, Tomek Hajto – każdy z nich odgrywał w tym zespole niezwykle ważną rolę. Szkoda, że moja przygoda z reprezentacją Polski skończyła się dość szybko. Gdy trener Engel został zdymisjonowany, moja motywacja znacznie spadła. Dostałem kilka szans od nowego selekcjonera, Pawła Janasa, ale nie czułem się już mile widziany w kadrze. Mimo to z wielką dumą wspominam czas spędzony w polskiej reprezentacji. Gdybym mógł, chciałbym przeżyć to wszystko raz jeszcze.

EMMANUEL OLISADEBE

Data i miejsce urodzenia: 22 grudnia 1978 r., Warri (Nigeria).

W reprezentacji Polski: 25 meczów, 11 goli.

Debiut: 16 sierpnia 2000, Rumunia – Polska 1:1.

Osiągnięcia: uczestnik MŚ 2002.

Kariera klubowa: Jasper United FC (Nigeria), Polonia Warszawa, Panathinaikos AO (Grecja), Portsmouth FC (Anglia), AO Xanthi (Grecja), APOP Kinyras Peyias (Cypr), Henan Jianye (Chiny), AGS Vyzas Megaron (Grecja), AS Veria (Grecja).

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (2000), mistrzostwo Grecji (2004), Puchar Polski (2001),

Puchar Grecji (2004),
Puchar Ligi Polskiej (2000).

STANISŁAW
OŚLIZŁO

SŁOWA UZNANIA OD PELÉGO

21 maja 1961, Warszawa
Polska – ZSRR 1:0 (0:0)

Bramka: Ernest Pol 73 k.
Polska: Edward Szymkowiak – Henryk Szczepański, Stanisław Oślizło,
Jerzy Woźniak – Jan Kowalski, Edmund Zientara – Kazimierz Polok, Engelbert Jarek (65. Erwin Wilczek), Lucjan Brychczy, Ernest Pol, Roman Lentner.
ZSRR: Lew Jaszyn – Aleksandr Medakin, Igor Netto, Giwi Czocheli – Walerij Woronin, Nikołaj Manoszin – Slawa Metreweli, Walentin Iwanow,
Walerij Łobanowski (60. Gienadij Krasnicki), Walentin Bubukin, Micheił Meschi.
Sędziował: Vilmos Kösztner (Węgry).

8 czerwca 1966, Rio de Janeiro
Brazylia – Polska 2:1 (2:0)

Bramki: Wálter Machado da Silva 18., Garrincha 40. – Jan Liberda 62.
Brazylia: Manga – Djalma Santos, Djalma Dias, Altair, Paulo Henrique – Dino Sani, António Lima, Garrincha, Wálter Machado da Silva – Pele, Parana (36. Jairzinho).
Polska: Marian Szeja – Roman Strzałkowski, Walter Winkler, Stanisław Oślizło,
Zygmunt Anczok – Jan Wilim (46. Bernard Blaut), Henryk Brejza, Piotr Suski – Jan Banaś (46. Józef Gałeczka), Włodzimierz Lubański (74. Jerzy Wilim), Jan Liberda.
Sędziował: Archibald Webster (Szkocja).

Założenie koszulki z białym orłem na piersi wzbudziło we mnie ogromne emocje. To niesamowite przeżycie i olbrzymia frajda dla każdego zawodnika. Nie znam piłkarza, który powiedziałby: „Reprezentacja mnie nie interesuje”. Ja ze swojej kariery reprezentacyjnej szczególnie wspominam dwa starcia.

Mój pierwszy mecz w kadrze przypadł na spotkanie ze Związkiem Radzieckim, ówczesnym mistrzem Europy. Rywale mieli wspaniały skład, z Lwem Jaszynem w bramce oraz takimi graczami, jak Igor Netto, Micheił Meschi, Slawa Metreweli czy Walery Łobanowski. Mimo że upłynęło tak wiele lat, wciąż pamiętam te nazwiska. Wielką satysfakcją było więc nasze zwycięstwo 1:0, a także mój udany debiut. To nie tylko moje przechwałki – gratulacje składał mi choćby Roman Korynt, którego miejsce w drużynie zająłem. Nie zazdrościł mi dobrego meczu, cieszył się z tego, jak się zaprezentowałem. Ówczesny trener, Ryszard Koncewicz, też był zadowolony z występu. I tak zaczęła się moja kariera w reprezentacji.

Oczywiście to, że graliśmy z ZSRR, było dodatkowym smaczkiem. Sportowcy z tego kraju w niemal każdej dyscyplinie należeli do światowej czołówki. Zdobywali mistrzostwa olimpijskie, mistrzostwa świata. Wygrana z nimi była więc ogromnym osiągnięciem. Niektórzy do dziś pytają, czy nie pojawiły się żadne polityczne naciski, byśmy wtedy przegrali, ale nikt nawet nie próbował nam tego sugerować. Byliśmy nastawieni na zwycięstwo i tak właśnie się stało.

Nieżyjący już niestety Ernest Pol wykorzystał rzut karny, pokonując Jaszyna. Przypominam sobie, że gdy spojrzałem na tego kapitalnego bramkarza, który właśnie rozłożył ręce, zastanawiałem się, gdzie Ernest zmieści piłkę. Poradził sobie jednak z tym zadaniem bez zarzutu. Ja byłem w nieco uprzywilejowanej sytuacji, bo niewiele wcześniej Górnik rozgrywał mecz towarzyski z Dynamem Kijów. W barwach tej

drużyny na środku ataku występował Walery Łobanowski, miałem więc okazję poznać jego styl gry, mocne i słabsze strony. To też pomogło mi go zatrzymać w meczu reprezentacji.

Drugim starciem, które zapadło mi mocno w pamięć, była potyczka z Brazylią na legendarnej Maracanie w Rio de Janeiro. **Canarinhos** byli wtedy aktualnymi mistrzami świata, przygotowywali się do kolejnego mundialu. PZPN otrzymał wówczas propozycję rozegrania z nimi dwóch starć towarzyskich – pierwsze odbyło się w Belo Horizonte, drugie natomiast na największym stadionie świata, w Rio de Janeiro. Gra przeciwko Pelému czy Garrinchy była ogromnym przeżyciem.

Sama oprawa tego spotkania też okazała się niesamowita. Wiąże się z nią pewna dość niezwykła historia. Przed meczem usłyszeliśmy gwizdek sędziego, wzywający do wyjścia z szatni. Ustawiliśmy się w tunelu, z drugiej strony Brazylijczycy. Staliśmy dość długo, a naszych przeciwników… ubywało, ponieważ jeden po drugim wychodzili z korytarza. Nie wiedzieliśmy, co się dzieje. Zastanawialiśmy się, co jest grane. W końcu został tylko Pelé. Zaciekawieni, przesunęliśmy się bliżej wyjścia na boisko. Patrzymy, a na murawie stoją już nasi rywale. Gdy Pelé wybiegł z tunelu, ponad 130 tysięcy kibiców oszalało, na trybunach zapanowała totalna ekstaza. Bóg ukazał się publiczności. Pomyślałem: „Jak mamy teraz przeciwko niemu grać?”. W pewnym momencie jednak wygrałem z nim pojedynek główkowy. Nie należał do najwyższych zawodników, ale był bardzo skoczny. Ja jednak miałem doświadczenie z gry w siatkówkę, więc skakałem jeszcze wyżej i pokonałem „króla futbolu”. Uśmiechnął się, klepnął mnie z uznaniem w ramię i powiedział: „Bueno, bueno”. Trzeba jednak przyznać, że nie byłem jedynym obrońcą, który wówczas opiekował się

brazylijskim mistrzem. Oprócz mnie takie zadanie miał też Henryk Brejza, na co dzień piłkarz Odry Opole. Trener Antoni Brzeżańczyk zagęścił środek pola, żeby utrudnić zadanie Pelému. Pomysł okazał się trafny, bo gola nam nie strzelił, niestety, zrobili to za niego koledzy. Najpierw Wálter Silva, a następnie Garrincha zdobyli bramki dla gospodarzy. Odpowiedzieliśmy trafieniem Jasia Liberdy. Ostatecznie przegraliśmy 1:2, ale piękne wspomnienia zostały i na pewno będą mi towarzyszyć do końca życia.

STANISŁAW OŚLIZŁO

Data i miejsce urodzenia: 13 listopada 1937 r., Jedłownik.

W reprezentacji Polski: 57 meczów, 1 gol.

Debiut: 21 maja 1961, Polska – ZSRR 1:0.

Osiągnięcia: Członek Klubu Wybitnego Reprezentanta.

Kariera klubowa: Kolejarz Wodzisław Śląski, Kolejarz Katowice, Górnik Radlin, Górnik Zabrze.

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (1961, 1963, 1964, 1965, 1966, 1967, 1971, 1972), Puchar Polski (1965, 1968, 1969, 1970, 1971, 1972),
finał Pucharu Zdobywców Pucharów (1970).

KRZYSZTOF
PAWLAK

Fot. Peter Robinson / PA Images / Getty Images

PIĘĆ KILOGRAMÓW MĘKI

7 czerwca 1986, Monterrey
Polska – Portugalia 1:0 (0:0)

Bramka: Włodzimierz Smolarek 68.
Polska: Józef Młynarczyk – Krzysztof Pawlak, Roman Wójcicki, Stefan Majewski,
Marek Ostrowski – Dariusz Dziekanowski, Waldemar Matysik, Ryszard Komornicki (57. Jan Karaś), Jan Urban – Zbigniew Boniek, Włodzimierz Smolarek (75. Andrzej Zgutczyński).
Portugalia: Vítor Damas – Álvaro Monteiro, Frederico Nobre Rosa, António Oliveira, Augusto Inácio – António André (73. Jaime Fernandes Magalhães), Carlos Manuel, Jaime Moreira Pacheco, António Sousa – Diamantino,
Fernando Gomes (46. Paulo Futre).
Żółte kartki: Wójcicki, Dziekanowski.
Sędziował: Ali Bennaceur (Tunezja).

Podczas mundialu w Meksyku w 1986 roku mieliśmy grupę bardzo dobrych i utalentowanych zawodników. Na każdej pozycji o miejsce w składzie toczyła się duża rywalizacja. Zwłaszcza w środkowej linii, gdzie było kilku solidnych chłopaków, a w dodatku doświadczony Zbyszek Boniek, który mógł grać z przodu i właśnie w środku pola. Nie ukrywam, że również zawodnicy defensywni musieli mocno pracować, aby zaskarbić sobie uznanie ówczesnego selekcjonera, Antoniego Piechniczka. Mnie to się niestety nie udało przed inauguracją turnieju, bo z Marokiem nie zagrałem ani minuty. Już treningi przed meczem utwierdzały mnie w przekonaniu, że na prawej obronie wystąpi Darek Kubicki. Nie robiłem sobie zatem jakichś

wielkich nadziei na występy na mundialu. Na pewno nie było mi wesoło, może nawet trochę przykro, ale taką decyzję podjął trener.

Po bezbramkowym remisie z Marokiem Antoni Piechniczek postanowił dać mi szansę. Może analiza pierwszego spotkania, które obowiązkowo powinniśmy wygrać, dała sztabowi szkoleniowemu do myślenia? Na „mojej" stronie poza Darkiem Kubickim, który doznał urazu, mógł grać również Stefan Majewski, ale w meczu z Portugalią selekcjoner postawił na mnie. Nie ukrywam, że było to dla mnie ogromne wyróżnienie. Czułem wielką radość, bodajże jako pierwszy poznaniak po wojnie mogłem zagrać na mistrzostwach świata. Tym razem już się spodziewałem, że wystąpię z Portugalczykami. Podczas zajęć przedmeczowych czułem, że jestem bardzo bliski podstawowego składu. Trener nie zdradzał jednak dzień czy dwa wcześniej, jak będzie wyglądało ustawienie, o składzie informował nas dopiero na odprawie.

Po remisie z Marokiem znaleźliśmy się w trudnej sytuacji. Tylko zwycięstwo z Portugalią dawało nam szansę na wyjście z grupy, bo ostatni mecz mieliśmy rozegrać z Anglikami, a wiadomo, z jakiej półki był to przeciwnik. Drugie spotkanie zdecydowanie poprawiło nam humory. Byliśmy równym przeciwnikiem dla Portugalii, a w niektórych fragmentach tego starcia prezentowaliśmy się lepiej niż nasz rywal. Rywale mieli w składzie kilku klasowych piłkarzy, ale to reprezentacji Polski udało się wyszarpać cenne zwycięstwo w Monterrey. Śmiałem się, że zaliczyłem asystę któregoś tam stopnia, bo brałem udział w decydującej o wyniku akcji. Zagrałem do przodu, potem koledzy zwiedli rywali, nastąpiło dogranie do Włodka Smolarka i piłka wpadła do siatki.

Rywale starali się odrobić straty, próbowali różnych wariantów. Bardzo gorąco zrobiło się po rzucie wolnym, gdy

Portugalczycy byli o włos od zdobycia bramki. Arbiter liniowy podniósł jednak chorągiewkę, dostrzegłszy spalonego, i akcja skończyła się dla nas szczęśliwie, mogliśmy odetchnąć z ulgą. Udało nam się dowieźć to skromne prowadzenie do ostatniego gwizdka. Zwycięstwo zdecydowanie poprawiło atmosferę w zespole i przedłużyło nasze nadzieje na awans do kolejnej fazy turnieju. Osobiście czułem wielką satysfakcję, że miałem udział w tej wygranej. Zadebiutowałem na mundialu, i to w meczu, który zakończył się naszym zwycięstwem. Nie byliśmy faworytem, ale na boisku zostawiliśmy wszystko, co mogliśmy. Myślę, że nikt nie mógł mieć do nas pretensji za podejście do tej rywalizacji.

Generalnie gra w Monterrey była wielkim wyzwaniem. Panowały tam trudne warunki atmosferyczne, do których w ogóle nie byliśmy przyzwyczajeni. Między 12:00 a 14:00 mieliśmy zakaz wychodzenia z klimatyzowanych pokoi. Na zewnątrz robiło się wtedy takie piekło, że nie szło wytrzymać, a samo granie było wprost katorgą. Trzeba było mieć dobrze przygotowany organizm, aby znieść takie obciążenie i poradzić sobie na boisku. Jeśli nie byłoby się optymalnie przygotowanym, rozegranie 90 minut przy takiej temperaturze graniczyłoby z cudem. Ja w czasie spotkania z Portugalią tak się odwodniłem, że zgubiłem kilka kilogramów. Dotyczyło to też innych graczy. Po meczu wylosowani zawodnicy wzywani byli na kontrolę antydopingową. Mieli różne napoje do dyspozycji, żeby oddać mocz, ale zanim to nastąpiło, mijało trochę czasu, więc do hotelu wracali dopiero po kilku godzinach…

W ostatnim meczu fazy grupowej rywalizowaliśmy z Anglikami. Wiadomo, jak wyglądało to spotkanie. W pierwszej połowie pozamiatał nas Gary Lineker. Mecz do zapomnienia, najlepiej spuścić na niego kurtynę milczenia. Jedyne trafienie Włodka Smolarka z Portugalczykami dało nam jednak

przepustkę do wyjścia z grupy. Można powiedzieć, że awansowaliśmy kuchennymi drzwiami, dopiero z trzeciego miejsca w grupie. Moje występy na meksykańskim mundialu się zakończyły. Po awansie do kolejnej rundy trafiliśmy najgorzej, jak tylko mogliśmy, bo na Brazylię. Sztab szkoleniowy obserwował **Canarinhos** i stwierdził, że mało atakują lewą stroną (czyli naszą prawą), więc możemy zagrać na trzech obrońców. Nie należałem do najgorszych w poprzednich dwóch spotkaniach, a mimo to nie powąchałem murawy.

Udałem się jednak z drużyną do Guadalajary. W tamtych czasach było zupełnie inaczej niż teraz: z 22 zawodników kadry w protokole meczowym mogło znaleźć się tylko 16 piłkarzy. Mnie na mecz z Brazylią zabrano jako tego siedemnastego, ale nie byłem brany pod uwagę przy ustalaniu składu. Znalazłem się co prawda z drużyną w Guadalajarze, ale tak jakby z boku. Muszę przyznać, że dopiero tam można było poczuć atmosferę mistrzostw świata. W Monterrey nie było tej magii mundialu, nie było kibiców, śpiewów, dopingu. Do Guadalajary przyjechało jednak mnóstwo brazylijskich kibiców, którzy robili gorącą atmosferę.

W czwartym meczu zakończyliśmy udział w mistrzostwach świata sromotną klęską i musieliśmy wracać do domu. Nie ma co ukrywać, że zawiedliśmy. Jedna bramka zdobyta na mistrzostwach świata to zdecydowanie za mało, niedosyt więc pozostał. W reprezentacji Polski rozegrałem 31 meczów, ale uważam, że mogłem osiągnąć w niej coś więcej. Niestety, zawsze czegoś mi brakowało. Uczestniczyłem w wielu zgrupowaniach, ale nie było dane mi zbyt często grać. Nieraz prezentowałem lepszą formę niż na mistrzostwach świata, czułem się w optymalnej dyspozycji, ale musiałem akceptować rolę zawodnika rezerwowego.

KRZYSZTOF PAWLAK

Data i miejsce urodzenia: 12 lutego 1958 r., Trzebiechowo.

W reprezentacji Polski: 31 meczów, 1 gol.

Debiut: 7 września 1983, Polska – Rumunia 2:2.

Osiągnięcia: uczestnik MŚ 1986.

Kariera klubowa: Calisia Kalisz, Warta Poznań, Lech Poznań, KSC Lokeren (Belgia), Trelleborgs FF (Szwecja), Warta Poznań.

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (1983, 1984), Puchar Polski (1982, 1984, 1988).

MICHAŁ

PAZDAN

BEZRADNI MISTRZOWIE ŚWIATA

16 czerwca 2016, Saint-Denis
Niemcy – Polska 0:0

Niemcy: Manuel Neuer – Benedikt Höwedes, Jérôme Boateng, Mats Hummels,
Jonas Hector – Thomas Müller, Sami Khedira, Mesut Özil, Toni Kroos,
Julian Draxler (70. Mario Gómez) – Mario Götze (65. André Schürrle).
Polska: Łukasz Fabiański – Łukasz Piszczek, Kamil Glik, Michał Pazdan,
Artur Jędrzejczyk – Jakub Błaszczykowski (78. Bartosz Kapustka), Grzegorz Krychowiak, Krzysztof Mączyński (74. Tomasz Jodłowiec), Kamil Grosicki (84. Sławomir Peszko) – Arkadiusz Milik, Robert Lewandowski.
Żółte kartki: Khedira, Özil, Boateng – Mączyński, Grosicki, Peszko.
Sędziował: Björn Kuipers (Holandia).

W XXI wieku, gdy reprezentacji Polski udawało się awansować na wielką imprezę, scenariusz był właściwie z góry znany: mecz otwarcia, mecz o wszystko i mecz o honor. To była nasza turniejowa zmora. Ten schemat udało nam się przełamać dopiero w czerwcu 2016 roku. Na otwarcie Euro 2016 wygraliśmy z Irlandią Północną po trafieniu Arkadiusza Milika. Tego momentu wyczekiwali nie tylko piłkarze, ale i kibice. Można było powiedzieć: „W końcu, przełamaliśmy złą passę".

To zwycięstwo miało też kluczowe znaczenie z innego powodu – udało nam się w ten sposób zdobyć komfort przed spotkaniem z Niemcami. Dzięki trzem punktom starcie z naszymi sąsiadami nie było już meczem o wszystko. Nie mieliśmy noża na gardle, nie czuliśmy już tak dużej presji przed starciem na Stade de France. Nawet przecież gdybyśmy

przegrali, to tak naprawdę… nic by się nie stało. Kto mógłby nas srogo krytykować za porażkę z ówczesnym mistrzem świata? Ciężar gatunkowy meczu z Niemcami był po prostu mniejszy niż spotkania z wyspiarzami. Po wygranej w meczu otwarcia zeszło z nas ciśnienie, poczuliśmy większy spokój i wewnętrzną siłę, dodatkową mobilizację. Z Niemcami mieliśmy okazję zaprezentować swoje umiejętności i spróbować powalczyć z faworytami jak równy z równym. Nie mieliśmy przecież nic do stracenia. Poza tym wiedzieliśmy, że nasze szanse na awans do fazy pucharowej są bardzo realne, nawet gdybyśmy zeszli w tym meczu z boiska bez punktów.

Na stadionie zasiadło ponad 80 tysięcy kibiców, a my graliśmy jak równy z równym z mistrzami świata. Na takie mecze czeka się całą karierę. Dlatego też tak fajnie wspomina się to spotkanie. Dla mnie starcie z Niemcami na mistrzostwach Europy we Francji było wyjątkowe z dwóch powodów. Po pierwsze, tym meczem reprezentacja Polski przełamała turniejową niemoc, a po drugie, był to jeden z moich lepszych występów w narodowych barwach.

W niemieckim ataku od pierwszej minuty wystąpił Mario Götze. Pełnił funkcję nietypowej dziewiątki, bo często odrywał się od naszej obrony, szukał na boisku wolnych przestrzeni. Tylko na początku nam zagrażał, później grało mu się już zdecydowanie trudniej. Toczyłem jednak pojedynki nie tylko z Götzem, ale i z Thomasem Müllerem czy Mesutem Özilem. Mecz więc nie wyglądał tak, że grałem na jednego napastnika i tylko do niego byłem przyklejony. Niemcy napierali z różnych stron, nie można było koncentrować się tylko na jednym zawodniku, ale również na pozostałych. Wystarczyły nam jednak pierwsze dwa, trzy zagrania – czułem odległość, wiedziałem, że będzie dobrze. Mieliśmy odpowiedni **timing** i było widać pewność w naszej grze. Nie tylko moją, ale całej

polskiej defensywy. Nasze interwencje w obronie były skuteczne, w tempo i bez zbędnych fauli. W tym meczu ustawienie naszej drużyny i przewidywanie przez nas, co zrobi rywal, były na najwyższym poziomie. Jeśli jesteś w rytmie meczowym, spodziewasz się, gdzie spadnie piłka. Przewidujesz, jak rozwinie się akcja, wiesz, jak masz się ustawić – po prostu czytasz grę.

Nie ma co ukrywać, mecz był do jednej bramki. Nie znaczy to jednak, że nie mieliśmy swoich okazji. Ten, kto oglądał spotkanie, doskonale pamięta początek drugiej połowy i sytuację Arka Milika, który był naprawdę bliski pokonania niemieckiego golkipera. To byłaby fantastyczna sprawa, bylibyśmy wówczas bardzo blisko zwycięstwa. Tak czy inaczej, z boiska zszedłem z poczuciem, że wykonaliśmy kawał dobrej roboty. Występując w kadrze, zawsze oceniałem swoją pracę – czy mogłem coś od siebie jeszcze dorzucić, jakie błędy popełniłem. Tym razem jednak wiedziałem, że było dobrze i mogę być z siebie zadowolony. Napędzony tą energią, mogłem jeszcze lepiej przygotowywać się do dalszych meczów.

Po spotkaniu z Niemcami chyba skradliśmy serca kibiców. Zainteresowanie naszą drużyną znacząco wzrosło. Przecież zremisowaliśmy na wielkim turnieju z jedną z najlepszych drużyn na świecie. Po meczu z Irlandią Północną nie było ochów i achów, nie zagraliśmy wtedy jakiegoś wybitnego spotkania. Euforia pojawiła się po meczu z Niemcami. Apetyt rósł w miarę jedzenia. Dopiero po tym boju udowodniliśmy, że możemy grać na wysokim poziomie. Wiara w nas była bardzo duża. Nawet gdy graliśmy z Portugalią. Wcześniej pewnie by mówiono: „Będzie ciężko, bo to Portugalia, a jak Portugalia, to też Ronaldo”. Zawsze było jakieś „ale”. Wówczas patrzyliśmy już tylko na siebie.

Nie zdawałem sobie sprawy, że w naszym kraju panuje coś w rodzaju „pazdanomanii”. Podczas mistrzostw Europy udawało mi się odcinać od towarzyszącej temu turniejowi otoczki. Starałem się nie używać internetu. Bardziej skupiałem się na drużynie, na tym, by spędzać czas z kolegami. Mieliśmy też możliwość spotykania się z rodziną, która była niedaleko. Koncentrowałem się tylko na istotnych sprawach. Starałem się nie zaprzątać sobie głowy rosnącą popularnością. Oczywiście zdarzało się, że znajomy przysłał mi SMS z jakimś filmikiem czy artykułem. Interesowała mnie jednak tylko moja robota.

Myślę, że nasz występ na mistrzostwach Europy był bardzo udany, jeśli chodzi o poczynania w defensywie. Ale nie mam na myśli tylko pracy obrońców, lecz całego zespołu. Jasne, jak jest zero z tyłu, zawsze patrzy się na obrońców, ale pamiętajmy, że na wynik pracuje cała drużyna. Ten turniej był ukoronowaniem tego, jak graliśmy, jak się przygotowywaliśmy i jak trenowaliśmy. Wówczas weszliśmy na najwyższy poziom. Ten zespół cały czas robił postępy. Nie tylko w trakcie eliminacji do Euro, ale również podczas mistrzostw. Napędzaliśmy się z meczu na mecz.

Od mistrzostw Europy minęło już kilka lat. Na pewno zapisaliśmy się na kartach historii i mam satysfakcję, że wspięliśmy się na wyżyny własnych możliwości. Sam jednak nie mam w zwyczaju wracać myślami do tych wydarzeń. Opowiadam o tym dopiero, gdy ktoś mnie zapyta. Póki jestem czynnym piłkarzem, nie wspominam tego, co było. Na refleksje przyjdzie jeszcze odpowiedni czas. Teraz gram dalej, trzeba iść do przodu.

Data i miejsce urodzenia: 21 września 1987 r., Kraków.

W reprezentacji Polski: 38 meczów.

Debiut: 15 grudnia 2007, Bośnia i Hercegowina – Polska 0:1.

Osiągnięcia: uczestnik MŚ 2018, uczestnik ME 2008, 2016.

Kariera klubowa: Hutnik Kraków, Górnik Zabrze,
Jagiellonia Białystok, Legia Warszawa,
MKE Ankaragücü SK (Turcja).

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (2016, 2017, 2018),
Puchar Polski (2016, 2018).

SŁAWOMIR

PESZKO

TIKI-TAKA NIGDY MI NIE PASOWAŁA

29 marca 2015, Dublin
Irlandia – Polska 1:1 (0:1)

Bramki: Shane Long 86. – Sławomir Peszko 25.
Irlandia: Shay Given – Seamus Coleman, John O'Shea, Marc Wilson, Robert Brady – Jonathan Walters, James McCarthy, Glenn Whelan (81. Shane Long), Aiden McGeady (66. James McClean) – Wesley Hoolahan, Robbie Keane.
Polska: Łukasz Fabiański – Paweł Olkowski, Łukasz Szukała, Kamil Glik,
Jakub Wawrzyniak – Sławomir Peszko (84. Michał Kucharczyk), Grzegorz Krychowiak, Tomasz Jodłowiec, Maciej Rybus – Arkadiusz Milik (80. Sebastian Mila),
Robert Lewandowski.
Żółte kartki: Hoolahan, O'Shea, Coleman, Wilson, McCarthy – Glik, Szukała, Peszko.
Sędziował: Jonas Eriksson (Szwecja).

W reprezentacji Polski nigdy nie czułem się gwiazdą, znałem swoje miejsce w szeregu. W okresie gdy byłem powoływany przez selekcjonera Adama Nawałkę, w kadrze błyszczeli inni. Mnie pozostawało odgrywanie roli „zadaniowca", czyli zawodnika, który ma wejść na boisko w końcówce i pomóc kolegom utrzymać wynik. Z tego powodu często słyszałem docinki pod swoim adresem – „zadaniowiec" traktowany był z przymrużeniem oka, ale nie brałem tego do siebie. Były jednak też spotkania, w których wychodziłem w podstawowym składzie. Za ten wyjątkowy dla siebie mecz w biało-czerwonych barwach bezdyskusyjnie uznaję spotkanie z Irlandią w Dublinie w marcu 2015 roku.

Na powrót do kadry drużyny narodowej czekałem wiele miesięcy, dlatego to powołanie smakowało szczególnie. Nie było

jednak tak, że podczas mojej absencji na zgrupowaniach wcale nie rozmawiałem z selekcjonerem, mieliśmy stały kontakt telefoniczny. Trener doskonale wiedział, kto w jego zespole ma odgrywać jaką rolę. A ja zdawałem sobie sprawę, że tylko dobrą grą w klubie mogę sobie zapracować na powołanie. Akurat rozegrałem niezłą rundę wiosenną w Kolonii. Miałem też za sobą bardzo dobry okres przygotowawczy i zaczęto mnie chwalić po przerwie zimowej. Byłem dumny, że w końcu stawiłem się na zgrupowaniu kadry, i wiedziałem, że nie mogę zawieść trenera. Skoro już na mnie postawił, zależało mi na tym, aby odwdzięczyć mu się za tę szansę.

Do rywalizacji z Irlandczykami byłem przygotowany bardzo dobrze. Trzy dni przed meczem ćwiczyłem stałe fragmenty gry, dostawałem również sygnały od trenera Nawałki, że może na mnie postawić w wyjściowym składzie. Zrozumiałem, że selekcjoner pokłada we mnie duże nadzieje. Długo rozmawialiśmy podczas treningów. W ich trakcie pokazywał mi zadania indywidualne, które miałem wykonywać w meczu. Zostawałem dodatkowo po zajęciach, żeby dopracować to, czego oczekiwał ode mnie szkoleniowiec. Na przedmeczowej odprawie nie przeżyłem więc zaskoczenia – spodziewałem się, że zobaczę swoje nazwisko w wyjściowej jedenastce.

Na przygotowaniach do meczu dużo czasu spędzałem również z naszym szefem banku informacji, czyli Hubertem Małowiejskim. To człowiek o ogromnej wiedzy, wyrzucający ją z prędkością karabinu maszynowego. W kadrze żartowaliśmy nawet, że Hubert posiada informacje nie tylko o drużynie, zawodnikach, ale także o ich żonach, braciach, siostrach. Hubert zdobywał ważne wiadomości, a potem przekazywał je drużynie, by rozpracować rywala. Ja zawsze skupiałem się na konkretnych przeciwnikach, bo tylko to mnie interesowało. Nie analizowałem gry środkowego napastnika, pomocnika rywali,

bo bardziej zależało mi, żeby poznać grę obrońców, bramkarzy, czyli zawodników, z którymi mogę mieć najwięcej do czynienia.

Chciałem wiedzieć, jak rywale zachowują się na boisku, bo dobre przygotowanie do meczu to klucz do sukcesu. Musiałem poznać styl Robbiego Brady'ego, bo na niego grałem. Dlatego doskonale wiedziałem, że każdą piłkę będzie przekładał na lewą nogę, a akcje przeprowadzał wzdłuż linii bocznej, rzadko pojawiając się w środku pola. Do moich zadań należało zabezpieczanie defensywy, pomoc kolegom w obronie, więc musiałem ustawiać się tak, żeby umiejętnie go blokować.

Byłem tak podekscytowany, że emocje buzowały we mnie już w hotelu. Około 14:00 zacząłem już żyć meczem. Wracały do mnie również wspomnienia sprzed kilku lat, bo właśnie w Dublinie rozegrałem pierwsze spotkanie w biało-czerwonych barwach. Wtedy, w listopadzie 2008 roku, pokonaliśmy Irlandczyków, a jedną z bramek zdobył Robert Lewandowski. Po kilkuletniej przerwie wróciłem więc do Dublina, ale tym razem już w podstawowym składzie.

Spotkanie ułożyło się dla nas idealnie. Po długim wykopie Łukasza Fabiańskiego piłka poszybowała w mój narożnik. Brałem udział w akcji z Maciejem Rybusem i razem walczyliśmy o odbiór. Wiedziałem, że Irlandczycy mogą popełnić błąd i tak też się stało. Wyłuskałem piłkę przeciwnikowi i doskonale zdawałem sobie sprawę z tego, że nie ma czasu na kombinowanie i drybling – musiałem od razu oddać mocny strzał na bramkę Shaya Givena. Radość była ogromna, od razu wpadłem w objęcia kolegów z drużyny. Nie dość, że wróciłem do reprezentacji, to jeszcze przywitałem się z kadrą w taki sposób. Pamiętam wrzawę i radość polskich kibiców, których na trybunach było mnóstwo.

Emocji w tym meczu nie brakowało. Irlandczycy napierali na nas i grali bardzo twardo, a sędzia pozwalał im na bardzo dużo.

Ja jednak nigdy nie lubiłem tiki-taki i nie odstawiałem nogi, więc taki styl gry bardzo mi pasował. Gospodarze częściej znajdowali się w posiadaniu piłki, ale tak naprawdę nie mieli jakichś rewelacyjnych sytuacji. Bardzo dobrze spisywała się nasza obrona. Środkiem defensywy rządzili Kamil Glik i Łukasz Szukała, którzy bez większych kłopotów zbierali piłki po niezliczonych wrzutkach Irlandczyków.

Mecz w Dublinie zakończył się jednak dla nas ogromnym niedosytem, bo w końcowych minutach straciliśmy bramkę. Trzy punkty były bardzo blisko, a wracaliśmy tylko z jednym. Mimo że „tylko" zremisowaliśmy na trudnym terenie, kibice okazali nam wsparcie. Cieszyli się z naszego wyniku. Ciepło przyjęto nas także w hotelu, gdzie było dużo Polaków, którzy tam pracowali. Cieszyłem się, że zagrałem w meczu, gratulowano mi bramki. Później mówiono, że Peszko wrócił do Niemiec uskrzydlony.

To był bardzo dobry czas, bo powróciłem do reprezentacji Polski. Z Kolonią udało się nam też utrzymać w Bundeslidze. Do tego doszedł wyjazd na mistrzostwa Europy we Francji. Czasy Adama Nawałki wspominam fantastycznie. Oczywiście, zaliczyliśmy też nieudany mundial – wtedy już niestety nie prezentowaliśmy takiego poziomu jak na Euro 2016. Ale we Francji byliśmy w świetnej dyspozycji, a to przełożyło się później na transfery naszych graczy do silnych lig i mocnych klubów. Byliśmy naprawdę fajną, zgraną ekipą. Szkoda tylko tego ćwierćfinału mistrzostw Europy i przegranej po rzutach karnych z Portugalią.

Data i miejsce urodzenia: 19 lutego 1985 r., Jasło.

W reprezentacji Polski: 44 mecze, 2 gole.

Debiut: 19 listopada 2008, Irlandia – Polska 2:3.

Osiągnięcia: uczestnik MŚ 2018, uczestnik ME 2016.

Kariera klubowa: Nafta Jedlicze, Orlen (Wisła) Płock, Lech Poznań, 1. FC Köln (Niemcy), Wolverhampton Wanderers FC (Anglia), 1. FC Köln (Niemcy), Lechia Gdańsk, Wisła Kraków, Lechia Gdańsk, Wieczysta Kraków.

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (2010), Puchar Polski (2006, 2009), Superpuchar Polski (2009, 2019).

WALDEMAR
PRUSIK

Fot. Ben Radford / Allsport / Getty Images

POMARAŃCZOWE GWIAZDY WYŁĄCZONE Z GRY

19 listopada 1986, Amsterdam
Holandia – Polska 0:0

Holandia: Hans van Breukelen – Jan Silooy, Ronald Spelbos, Frank Rijkaard,
Adri van Tiggelen – Jan Wouters, Ronald Koeman, Ruud Gullit (46. John Bosman), John van ’t Schip – Marco van Basten, Simon Tahamata (73. René van der Gijp).
Polska: Jacek Kazimierski – Krzysztof Pawlak, Roman Wójcicki, Paweł Król,
Dariusz Wdowczyk – Waldemar Prusik, Andrzej Rudy (46. Ryszard Tarasiewicz),
Jan Karaś, Zbigniew Boniek – Dariusz Dziekanowski (66. Jan Urban), Włodzimierz Smolarek.
Żółta kartka: Król.
Sędziował: Joël Quiniou (Francja).

Zagrałem w kadrze narodowej 49 meczów. Ominęły mnie wielkie międzynarodowe imprezy, więc teoretycznie najmocniej w pamięć powinien zapaść mi debiut, ale jednak specjalne miejsce w moim sercu zajmują trzy starcia. Być może dlatego, że moje pierwsze spotkanie w koszulce z orzełkiem na piersi to była potyczka towarzyska z Rumunią, a z ZSRR, czyli w moim meczu numer dwa w kadrze, walczyliśmy o punkty w kwalifikacjach do mistrzostw Europy. Moskiewskie Łużniki wypełniły się wtedy publicznością, na trybunach zasiadło ponad 70 tysięcy widzów. Choć był to już październik, panowała gorąca atmosfera. Trzeba jednak pamiętać, że to był trudny

politycznie czas i napięcie dawało się odczuć w każdym meczu z ZSRR.

Spotkanie rozpocząłem na ławce rezerwowych, ale dość szybko zameldowałem się na murawie w miejsce Andrzeja Buncola, który doznał urazu. Ktoś może powiedzieć, że to mecz bez większej historii, w dodatku przegrany przez nas 0:2. Pewnie jest w tym trochę racji, ale dla mnie był niezwykle istotny. Zaprezentowałem się bowiem na tyle dobrze, że trener Antoni Piechniczek zaczął regularnie powoływać mnie do drużyny narodowej. Nie było to oczywiste, bo konkurencja była wtedy ogromna. Rok wcześniej reprezentacja po raz drugi w historii sięgnęła po medal mistrzostw świata. Szkielet zespołu był więc bardzo konkretny. Na pewno podziałała na mnie bardzo pozytywnie i motywująco pochwała od Zbyszka Bońka, który docenił mój występ.

Przez cały mecz toczyłem boje z Anatolijem Demianienką, bardzo szybkim obrońcą. Musiałem zostawiać sobie około 10 metrów zapasu, żeby mieć szansę go dogonić, ponieważ gdy dostawał piłkę i ruszał do przodu, miał niesamowite odejście. Nabiegałem się za nim co niemiara, ale jakoś dawałem radę. To na pewno otworzyło mi drzwi w kadrze na dłużej. Zapracowałem na zaufanie selekcjonera, który regularnie wysyłał mi powołania i dawał szansę gry.

Nieudane kwalifikacje zamknęło spotkanie z Portugalią, do którego bardzo często się wraca, choć także je przegraliśmy. Nie mieliśmy już żadnych szans na awans, o który starały się ekipy ZSRR i właśnie Portugalii. Chyba pierwszy raz w historii kadry narodowej wszyscy na trybunach chcieli, abyśmy… przegrali, zwycięstwo Portugalczyków eliminowało bowiem Sowietów. I to się udało, choć oczywiście nikt z nas, wychodząc na boisko, nie zamierzał przegrywać. Po prostu rywale byli od nas lepsi. Grali w kapitalnym, bardzo charakterystycznym dla siebie

stylu: im nigdy się nie spieszy, usypiają przeciwnika, a potem, wykorzystując obniżoną koncentrację rywala, uderzają. I tak było też z nami – Portugalczycy wygrali 1:0.

Za najlepszy i najważniejszy mój mecz w reprezentacji uważam jednak ten rozegrany w Amsterdamie z Holandią. Zremisowaliśmy wówczas 0:0. Całkiem niedawno w telewizji pokazywano powtórkę tego spotkania, więc ją obejrzałem i byłem zaskoczony, jak wysoki był jego poziom. Holendrzy dwa lata później zdobyli mistrzostwo Europy, to była kadra naszpikowana gwiazdami światowego futbolu. Cały czas mieliśmy szansę na awans, nie mogliśmy przegrać. Najpierw wygraliśmy w Poznaniu z Grecją, więc dobry wynik w Amsterdamie pozwalałby nam realnie myśleć o tym, by walczyć o historyczną promocję.

Zagraliśmy tam naprawdę dobre zawody, przedłużając swoje nadzieje. Potrafiliśmy zresztą stworzyć sobie o wiele lepszą okazję do zdobycia bramki. W pierwszej połowie sam na sam z bramkarzem wyszedł Włodek Smolarek, ale niestety, posłał piłkę obok bramki. Cały mecz toczony był w bardzo trudnych warunkach, bo w Amsterdamie od trzech dni potężnie lało. Nie przeszkadzało to jednak obu zespołom w rozgrywaniu szybkich, bardzo dynamicznych akcji. Nikt nie kalkulował, kibice mogli być zadowoleni.

Holendrzy mieli olbrzymi potencjał w ofensywie. Naszym zadaniem było wyłączenie z gry Marco van Bastena i Ruuda Gullita. Pierwszego z nich indywidualnie krył Paweł Król, za drugiego odpowiedzialny byłem ja. To byli zdecydowanie najgroźniejsi piłkarze Oranje, potrafiliśmy jednak znaleźć na nich sposób. Co ciekawe, doskonale w defensywie spisywał się… Zbyszek Boniek. Teoretycznie grał na lewej stronie pomocy, w wielu meczach nie zajmował się obroną, ale w tamtym starciu dawał z siebie wszystko. Determinacja całego zespołu

była ogromna, ale zatrzymanie holenderskich gwiazd wynagrodziło nam te wysiłki.

Zgrupowanie przed tym meczem rozpoczęło się 10 dni wcześniej, w Bydgoszczy. Zagraliśmy też spotkanie towarzyskie z Irlandią w Warszawie, ale nie wzięli w nim udziału zawodnicy z klubów zagranicznych, którzy dołączyli do nas dopiero w Amsterdamie. Zgrupowanie mieliśmy wypchane odprawami, wiedzieliśmy o Holendrach właściwie wszystko. To wszystko złożyło się na zdobycie jednego punktu. Szkoda jedynie, że trzeba było jeszcze wiele lat poczekać na awans reprezentacji Polski do turnieju finałowego mistrzostw Europy...

WALDEMAR PRUSIK

Data i miejsce urodzenia: 27 lipca 1961 r., Wrocław.

W reprezentacji Polski: 49 meczów, 5 goli.

Debiut: 7 września 1983, Polska – Rumunia 2:2.

Kariera klubowa: Śląsk Wrocław, Alemannia Aachen (Niemcy), KRC Mechelen (Belgia).

Osiągnięcia: Puchar Polski (1987).

ARKADIUSZ
RADOMSKI

Fot. David Cannon / Getty Images

UTARTE NOSY PORTUGALSKICH GWIAZD

11 października 2006, Chorzów
Polska – Portugalia 2:1 (2:0)

Bramki: Euzebiusz Smolarek 10., 19. – Nuno Gomes 90.
Polska: Wojciech Kowalewski – Paweł Golański, Arkadiusz Radomski,
Jacek Bąk, Grzegorz Bronowicki – Jakub Błaszczykowski (67. Jacek Krzynówek), Radosław Sobolewski, Mariusz Lewandowski, Euzebiusz Smolarek – Maciej Żurawski, Grzegorz Rasiak (75. Radosław Matusiak).
Portugalia: Ricardo – Luis Miguel, Ricardo Carvalho, Ricardo Rocha, Nuno Valente – Simão Sabrosa, Petit (69. Nani), Deco (84. Maniche), Costinha (46. Tiago), Cristiano Ronaldo – Nuno Gomes.
Żółte kartki: Lewandowski, Kowalewski – Simão Sabrosa, Ricardo Rocha.
Sędziował: Wolfgang Stark (Niemcy).

Podczas kariery w reprezentacji Polski miałem wiele fajnych momentów. Ogromnym przeżyciem był wyjazd i gra na mistrzostwach świata. Ale dla mnie wyjątkowym spotkaniem w biało-czerwonych barwach pozostaje mecz z Portugalią na Stadionie Śląskim w Chorzowie. Z moją pamięcią nie jest co prawda za dobrze, z czego wszyscy – zwłaszcza w rodzinie – się śmieją, ale takich chwil się nie zapomina.

Mieliśmy wtedy bardzo fajną grupę, nikt nie chodził własnymi drogami, tworzyliśmy całość. W drużynie panowała znakomita atmosfera, każdy z każdym rozmawiał, nikt nie pozostawał na uboczu. Przed spotkaniem na Stadionie Śląskim nie widziałem u nas wahania, strachu i lęku przed gwiazdami

światowego formatu. Przygotowania do meczu z Portugalią nie różniły się specjalnie od tych przed innymi spotkaniami. Kapitalną robotę wykonywał trener Beenhakker, który umiał dotrzeć do każdego z nas. Doświadczeni zawodnicy radzili sobie z presją i całą otoczką, a ich śladem podążyli ci mniej ograni w reprezentacji, jak Paweł Golański, Grzegorz Bronowicki i Jakub Błaszczykowski, który wówczas miał na koncie dopiero kilka meczów w kadrze. Beenhakker powtarzał nam: „Nie bójcie się. Oni mają nazwiska, grają w dobrych klubach, ale zagramy na swoim terenie. Jestem o was spokojny i wiem, że dacie radę". Leo mało mówił, ale jak już to robił, to bardzo konkretnie. Trafiał do wszystkich. Zawsze powtarzał, że jesteśmy przygotowani. Dodawał: „Gracie w dobrych klubach, na wysokim poziomie. Nie mogę z wami za dużo zrobić". Trener namawiał nas: „Bądźcie sobą, grajcie piłką, stać was na dobry mecz. Będziecie mieli wspaniałą publiczność. Nie możecie pęknąć przed Portugalczykami".

Selekcjoner skupiał się na taktyce, o której wiedział naprawdę dużo. Ale nie było jakichś specjalnych treningów, które miały nas przygotować do starcia z Portugalczykami. Pamiętam, że trener wprowadzał wiele elementów charakterystycznych dla szkoły holenderskiej, czyli między innymi ćwiczenia gry pozycyjnej.

Mnie nie trzeba było jakoś specjalnie motywować do tego spotkania. Magia portugalskich nazwisk na mnie nie działała, myślałem raczej: „To ja im teraz pokażę!". Zawsze wolałem zresztą grać z lepszymi, bo taki miałem charakter. Motywowało mnie, że mogłem zagrać z kimś, kto jest na wyższym poziomie. Nawet przez myśl by mi nie przeszło: „Cristiano Ronaldo? Ale on jest super". Nic z tych rzeczy. Chcieliśmy, by nie mógł rozwinąć skrzydeł. I daliśmy radę – zamiast radości z gry widać

było u niego dużo frustracji, bo zatrzymywał go Grzegorz Bronowicki.

Musieliśmy zwracać szczególną uwagę na asekurację. Portugalczycy mieli szybkich skrzydłowych, więc ważne było, aby nie zabrakło wsparcia od stopera, pomocnika czy skrzydłowego, którzy mieli schodzić, zamykać przestrzeń i skracać odległości. Plan nakreślony przez trenera został zrealizowany bardzo dobrze. Nie brakowało momentów, w których Portugalczycy byli zupełnie bezradni i końcowy wynik to zdecydowanie najniższy wymiar kary, bo to my mieliśmy więcej groźnych okazji bramkowych. Gdyby ktoś zapytał mnie, co działo się w mojej głowie, gdy prowadziliśmy już z tak silnym zespołem różnicą dwóch goli, to odpowiedziałbym: „Radość trwała tylko przez chwilę, bo piłka zaraz znowu znalazła się na środku boiska i graliśmy dalej. To nie był koniec meczu". Tak to odbierałem. Przecież każdy kibic wie, że mecz można przegrać w dwie minuty. Dlatego zawsze trzeba być skupionym do końca. Portugalczycy w doliczonym czasie strzelili gola kontaktowego, ale na wyrównanie zabrakło im już czasu.

Zawsze miło będę wspominał magię Stadionu Śląskiego. Na tym obiekcie czuliśmy się znakomicie, jak w domu. Pokonaliśmy Portugalczyków i wróciły piękne chwile polskiego futbolu. Wygrana nam wszystkim pomogła i otworzyła drogę na mistrzostwa Europy. Znowu udało się podbić serca kibiców, którzy tak długo czekali na takie spotkanie w wykonaniu reprezentacji Polski. Radość była ogromna. W szatni śpiewaliśmy, tańczyliśmy i celebrowaliśmy nasz sukces.

Portugalczycy byli wściekli. Porażka tak ich zabolała, że po meczu nie chcieli wymienić się z nami koszulkami. Nasz kierownik poszedł do ich szatni, ale wrócił z tymi samymi trykotami. Koszulek nie udało się zdobyć, ale mieliśmy

satysfakcję, że utarliśmy nosa gwiazdom. Portugalscy zawodnicy zrozumieli później, że zasłużyliśmy na zwycięstwo. Dotarło do nich, że tego dnia byliśmy po prostu lepsi.

Ostatecznie nie znalazłem się w kadrze na mistrzostwa Europy w Austrii i Szwajcarii. Doznałem kontuzji więzadeł, ale wróciłem na boisko po urazie i wiosną rozegrałem kilka spotkań w lidze. Obserwował mnie trener Leo Beenhakker, który przyjeżdżał na mecze, stwierdził jednak, że nie jestem gotowy, i chciał umieścić mnie na liście rezerwowej. Nie zgodziłem się na to, powiedziałem swoje, a selekcjoner swoje. Uszanowałem jego decyzję, stwierdziłem, że w takim razie rezygnuję, i poprosiłem, by dał szansę komuś innemu. Wolałem już, żeby jakiś młodszy zawodnik zajął moje miejsce – może udałoby mu się pojechać na turniej i mieć świetną przygodę.

Wielu może się zdziwić, ale nadal mam kontakt z Leo Beenhakkerem. Odstawił mnie od kadry na mistrzostwa Europy, ale nie mam mu tego za złe. Często bywam w Holandii, w Rotterdamie. Od razu do niego telefonuję i ustawiamy się na kawę. To przyjemne spotkania. Prowadzimy rozmowy o piłce, które dla mnie mogłyby trwać godzinami.

ARKADIUSZ RADOMSKI

Data i miejsce urodzenia: 27 czerwca 1977 r., Gniezno.

W reprezentacji Polski: 30 meczów.

Debiut: 12 lutego 2003, Chorwacja – Polska 0:0.

Osiągnięcia: uczestnik MŚ 2006.

Kariera klubowa: Mieszko Gniezno, Lech Poznań, BV Veendam (Holandia), sc Heerenveen (Holandia), Austria Wiedeń (Austria), NEC Nijmegen (Holandia), Cracovia.

Osiągnięcia: mistrzostwo Austrii (2006), Puchar Austrii (2006, 2007).

GRZEGORZ
RASIAK

Fot. Clive Rose / Getty Images

SKRADZIONE SERCA KIBICÓW

11 października 2006, Chorzów
Polska – Portugalia 2:1 (2:0)

Bramki: Euzebiusz Smolarek 10., 19. – Nuno Gomes 90.
Polska: Wojciech Kowalewski – Paweł Golański, Arkadiusz Radomski,
Jacek Bąk, Grzegorz Bronowicki – Jakub Błaszczykowski (67. Jacek Krzynówek), Radosław Sobolewski, Mariusz Lewandowski, Euzebiusz Smolarek – Maciej Żurawski, Grzegorz Rasiak (75. Radosław Matusiak).
Portugalia: Ricardo – Luis Miguel, Ricardo Carvalho, Ricardo Rocha, Nuno Valente – Simão Sabrosa, Petit (69. Nani), Deco (84. Maniche), Costinha (46. Tiago), Cristiano Ronaldo – Nuno Gomes.
Żółte kartki: Lewandowski, Kowalewski – Simão Sabrosa, Ricardo Rocha.
Sędziował: Wolfgang Stark (Niemcy).

Spośród moich 37 występów w reprezentacji Polski najmilej wspominam trzy spotkania: mecz kwalifikacji do mistrzostw Europy z Węgrami, towarzyską rywalizację z Włochami oraz konfrontację z Portugalią na Stadionie Śląskim w Chorzowie. Wiadomo jednak, że najważniejsze są mecze o stawkę, więc podzielę się moimi wspomnieniami o tym ostatnim starciu. Uważam, że dzięki meczowi z Portugalczykami moja przygoda z piłką nożną potoczyła się w dobrym kierunku – zostałem zawodnikiem angielskich klubów, poznałem też ludzi, którzy zajmowali się moją karierą przez osiem kolejnych lat.

Walka o wyjazd na mistrzostwa Europy zaczęła się na początku września 2006 roku. Z powodów rodzinnych (miałem

chrzciny córki) nie mogłem niestety stawić się na zgrupowaniu reprezentacji Polski i mecze kolegów oglądałem w roli widza przed telewizorem. Miesiąc później otrzymałem jednak powołanie od Leo Beenhakkera i przyjechałem na kadrę. Rozpoczynaliśmy od wyjazdowego spotkania z Kazachstanem w Ałmatach, gdzie wywalczyliśmy skromne zwycięstwo. Podróż powrotna była wyczerpująca, bo do Polski z przesiadką w Niemczech. W hotelu stawiliśmy się około szóstej rano. Tego samego dnia mieliśmy jeszcze rozruch pomeczowy. Wielu z nas odczuwało nieprzespaną noc.

Trzeba było szybko zebrać siły, bo – nie ma co ukrywać – czekał nas mecz o być albo nie być na mistrzostwach. A musieliśmy stanąć do walki z rywalem znajdującym się w czołówce światowego futbolu. Po losowaniu grup skazywano nas na porażkę, a Portugalii z góry przypisywano pierwsze miejsce w tabeli. Naszej kadrze dawano szanse co najwyżej na pozycję wicelidera. Ale po wrześniowych meczach i wymęczonym zwycięstwie z Kazachstanem spadło na nas sporo krytyki. Mając w pamięci poprzednie spotkania, stawka meczu z Portugalią była więc ogromna. Prawdę mówiąc, tylko zwycięstwo mogło dać nam realne szanse na pozostanie w grze o wyjazd na mistrzostwa Europy.

Aby uniknąć blamażu, musieliśmy zagrać mecz życia. Doskonale wiedzieliśmy, z kim będziemy rywalizować na boisku: Cristiano Ronaldo, Nani, Nuno Gomes, Ricardo Carvalho. Dla mnie zdecydowanie numerem jeden u przeciwników był środkowy pomocnik Deco, zawsze go podziwiałem. Jak zatem walczyć z takimi piłkarzami w meczu o wszystko?

Ogromny wpływ na naszą drużynę miał selekcjoner Leo Beenhakker. Tak naprawdę to on był naszą największą gwiazdą. Nie ujmując nikomu – nie graliśmy w topowych

drużynach, jak nasi obecni reprezentanci. Leo miał ogromny posłuch i szacunek w szatni. Niósł nas jego spokój, dawał nam siłę. Przyszedł do nas człowiek, który umiał wydobyć z piłkarzy więcej, niż sami mogą z siebie dać. Każdy z nas wiedział, jakie trener ma doświadczenie, prowadził w końcu między innymi Real Madryt, Ajax Amsterdam, Feyenoord Rotterdam, awansował także na mistrzostwa świata z kadrą Trynidadu i Tobago, drużyną słabszą od naszej. Nie musiał mówić dużo w szatni. Nawet tego nie robił. Wystarczyło mu kilka zdań, by trafić do zawodnika. Do każdego z nas umiał podejść indywidualnie.

Od samego początku mieliśmy jasny przekaz od sztabu szkoleniowego – gramy u siebie, nie mamy nic do stracenia i próbujemy atakować od pierwszego gwizdka arbitra. Trener nie chciał murować bramki i czekać na to, co zrobi przeciwnik. Ustawił nasz zespół bardzo ofensywnie. Z przodu zagrali Euzebiusz Smolarek, Maciej Żurawski i ja. W linii pomocy był Mariusz Lewandowski, Radek Sobolewski i Kuba Błaszczykowski, który dopiero wchodził do reprezentacji. Jednym z naszych założeń taktycznych był atak skrzydłami, a w momencie podania w pole karne miało znajdować się tam kilku zawodników. No i okazało się, że potrafiliśmy stworzyć sobie sytuacje, wiele razy zagroziliśmy w tym meczu bramce Portugalii.

Szkoleniowiec powiedział, że ma optymalny skład, i wybrał zawodników, którzy wówczas byli w najwyższej dyspozycji. Postawił również na mnie. Choć wielu osobom jego decyzje wydawały się kontrowersyjne, wszystkie jego wybory okazały się trafne. Trener postawił na nowicjuszy na bokach obrony. Zagrali tam piłkarze, którzy wcześniej nie byli etatowymi reprezentantami Polski. Grzegorz Bronowicki i Paweł Golański stanęli na wysokości zadania i ze swoich obowiązków

wywiązywali się znakomicie. Do tego nie bali się podejmować ryzyka. Śmiałem się, że Grzesiek jeździł na motorze, a też nie miał łatwego zadania, bo po jego stronie był Miguel, najlepszy defensor mistrzostw świata na swojej pozycji, który wspierał Ronaldo. A mimo to okazało się, że Grześkowi udało się zatrzymać tak klasowego piłkarza.

Reprezentacja Polski w meczu z Portugalią pokazała się od strony, z której w ogóle nie słynęła. Umieliśmy na przykład utrzymać się przy piłce na połowie przeciwnika. Znakomicie funkcjonowało to w pierwszej połowie. Jeden szedł za drugim, każdy walczył do samego końca. Oczywiście, zdarzały się pojedyncze błędy w pojedynkach – ktoś czasem zgubił krycie lub pomylił się z wykonaniem doskoku do przeciwnika. Nie można nam jednak zarzucić, że nie zrealizowaliśmy jakiegoś założenia. Plan został wykonany wzorowo, każdy z piłkarzy zagrał na 100 procent możliwości. To był klucz do sukcesu, bo tego dnia nie mieliśmy słabych stron.

Można powiedzieć, że mecz rozgrywany był pod nasze dyktando. Kontrolowaliśmy jego przebieg i rośliśmy w siłę z każdą kolejną minutą. Objęliśmy prowadzenie, potem podwyższyliśmy wynik, a ja zanotowałem asystę przy drugim trafieniu Euzebiusza Smolarka. Szkoda tylko, że nie udało nam się wykorzystać kolejnych sytuacji, których nie brakowało, zwłaszcza w pierwszej odsłonie spotkania. W drugiej części jednak też kilka razy udało nam się zagrozić bramce Ricardo. W doliczonym czasie gry rywale zdobyli kontaktową bramkę, ale tylko na tyle było stać wtedy naszych przeciwników. Wynik nie był dziełem przypadku, tylko czymś w pełni zasłużonym.

Stadion Śląski okazał się zdecydowanie naszym atutem. Doping był niesamowity, ciarki przechodziły po ciele. Trybuny nas niosły, dzięki czemu mieliśmy jeszcze więcej energii.

Chcieliśmy dać z siebie maksimum. Nie przypominam sobie takiej wrzawy na tym stadionie jak w meczu z Portugalią.

Wygraliśmy, odnieśliśmy olbrzymi sukces i dalej liczyliśmy się w walce o wyjazd na Euro 2008. Wróciła w nas wiara, kibice pokochali tę reprezentację. To był przełomowy moment dla drużyny. W szatni towarzyszyła nam ogromna euforia, a w obozie Portugalii panował ogromny zawód, bo ponieśli porażkę z rywalem, z którym mieli spokojnie zgarnąć trzy punkty. Piłka nożna kolejny raz pokazała, że jest nieprzewidywalna. Choć Portugalczycy na pewno wiedzieli, że nasze zwycięstwo było zasłużone – byliśmy tego dnia po prostu lepszym zespołem. Nasza radość trwała bardzo długo. Zgrupowanie opuszczaliśmy samochodem z Marcinem Wasilewskim, a zwycięski nastrój towarzyszył nam aż do samego Poznania.

GRZEGORZ RASIAK

Data i miejsce urodzenia: 12 stycznia 1979 r., Szczecin.

W reprezentacji Polski: 37 meczów, 8 goli.

Debiut: 10 lutego 2002, Wyspy Owcze – Polska 1:2.

Osiągnięcia: uczestnik MŚ 2006.

Kariera klubowa: Olimpia Poznań, SKS 13 Poznań, MSP Szamotuły, Warta Poznań, GKS Bełchatów, Odra Wodzisław Śląski, Dyskobolia Grodzisk Wielkopolski, Derby County (Anglia), Tottenham Hotspur (Anglia), Southampton FC (Anglia), Bolton Wanderers (Anglia), Watford FC (Anglia), Southampton FC (Anglia), Reading FC (Anglia), AEL Limassol (Cypr), Jagiellonia Białystok, Lechia Gdańsk, Warta Poznań.

TOMASZ
RZĄSA

ŁUKASZ PISZCZEK
NIE BYŁ PIERWSZY

10 grudnia 1994, Rijad
Arabia Saudyjska – Polska 1:2 (1:1)

Bramki: Samil Al-Jaber 45. – Henryk Bałuszyński 11. k., Tomasz Rząsa 57.
Arabia Saudyjska: Al-Sadig – Al-Zuhair (64. Al-Mosa), Al-Holeni, Madani,
Horeis – Al-Subaiey (46. Al-Muainea), Saleh, Al-Dosari (46. Al-Hayei), Al-Abbas (64. Al-Muwallid) – Al-Jaber, Al-Meghawi.
Polska: Maciej Szczęsny (63. Andrzej Woźniak) – Paweł Wojtala, Tomasz Łapiński, Tomasz Wałdoch – Piotr Świerczewski (78. Maciej Stolarczyk),
Dariusz Gęsior, Tomasz Wieszczycki, Sylwester Czereszewski, Tomasz Sokołowski – Jacek Dembiński (46. Tomasz Rząsa), Henryk Bałuszyński (70. Ryszard Czerwiec).
Żółte kartki: Al-Holeni – Wałdoch.
Sędziował: Ibrahim Abdullah Al-Omar (Arabia Saudyjska).

Nigdy nie miałem szczęścia do wielkich meczów w reprezentacji Polski. W jedynym wygranym spotkaniu na mundialu w 2002 roku, przeciwko Stanom Zjednoczonym, nie wystąpiłem. Gdy dość regularnie grałem w kwalifikacjach do kolejnych mistrzostw świata, na sam turniej już nie pojechałem. I choć tych meczów w koszulce z orłem na piersi nazbierało się łącznie 36, a wszyscy kojarzą mnie jako obrońcę, za swoje najważniejsze spotkanie mogę uznać debiutancki bój, w którym zagrałem w roli... napastnika. Wyprzedziłem więc Łukasza Piszczka, jeśli chodzi o zmianę boiskowej pozycji.

Zapewne wielu kibiców nie ma pojęcia, że między moim debiutem a drugim spotkaniem w kadrze narodowej minęło ponad pięć lat. Pierwsze powołanie otrzymałem w 1994 roku. Dobrze spisywałem się w lidze w barwach Sokoła Pniewy, po rundzie jesiennej byłem na czele klasyfikacji najlepszych strzelców najwyższej klasy rozgrywkowej. Zapowiadałem się na całkiem niezłego napastnika, jesienią zapakowałem osiem bramek. Byłem też kapitanem reprezentacji młodzieżowej, nadszedł więc widocznie czas, abym postawił kolejny krok.

Choć z młodzieżówką przegraliśmy kwalifikacje do igrzysk olimpijskich w Atlancie, moja całkiem przyzwoita postawa została dostrzeżona przez ówczesnego selekcjonera, Henryka Apostela. Niejako w nagrodę zaprosił mnie na grudniowe zgrupowanie i towarzyski mecz z Arabią Saudyjską. To było dla mnie wielkie wyróżnienie, ale i zaskoczenie. Istniały ku temu pewne przesłanki, ale jednak w tamtych czasach nie było to normą, że młody chłopak tak szybko dostawał zaproszenie do kadry seniorskiej. Zwykle trzeba było trochę dłużej pograć w piłkę i udowodnić swoją wartość.

Zaskoczenie było tym większe, że występowałem w przeciętnym Sokole Pniewy. Delikatnie mówiąc, nie był to klub, który masowo dostarczał zawodników do reprezentacji Polski. Cieszyłem się ogromnie, że moje marzenia się spełniają, i to tak szybko. Nie dostałem co prawda szansy występu od pierwszej minuty, ale pojawiłem się na boisku po przerwie. Debiut był tym bardziej udany, że wpisałem się na listę strzelców, zdobywając zwycięską bramkę. Jak się później okazało – było to moje jedyne trafienie w narodowych barwach.

Wyjazd był niezwykle egzotyczny. Początek lat 90. obfitował zresztą w takie eskapady. Trochę nie czułem tej atmosfery, w Rijadzie na trybunach było raptem kilka tysięcy widzów. Wiadomo, gra w kadrze narodowej zawsze budzi duże emocje,

w końcu założenie koszulki z orłem na piersi – zwłaszcza po raz pierwszy – jest niezwykłym zaszczytem, ale na pewno jeszcze lepiej smakowałoby na własnym terenie, przy dopingu kibiców, w meczu o stawkę.

Mimo udanego występu zdawałem sobie sprawę, że to jedynie starcie towarzyskie. Nie myślałem o tym, że na stałe zostanę w kadrze. Odebrałem po prostu nagrodę za udany ligowy okres. Zaczęły się jednak mną interesować zagraniczne kluby i wyjechałem do Szwajcarii. Mam wrażenie, że nieco wypadłem z obiegu – wciąż grałem w kadrze młodzieżowej, ale powołań do seniorskiej brakowało. Na kolejny występ w reprezentacji narodowej musiałem czekać do lutego 2000 roku. Dostawałem powołania od trenera Janusza Wójcika, ale nie dostąpiłem zaszczytu dopisania kolejnego meczu do swojego konta. Dopiero później zacząłem grać w kadrze regularnie, pojechałem na mistrzostwa świata. Jedne, bo na drugich zabrakło dla mnie miejsca…

Myślę, że mam prawo czuć pewien niedosyt w kontekście mojej reprezentacyjnej kariery. Z różnych względów nie udało mi się osiągnąć w niej zbyt wiele. Zdecydowanie lepiej szło mi w klubach, grałem przecież w Lidze Mistrzów, zdobyłem Puchar UEFA. I tylko tej kadry żal…

POLSKA

TOMASZ RZĄSA

Data i miejsce urodzenia: 11 marca 1973 r., Kraków.

W reprezentacji Polski: 36 meczów, 1 gol.

Debiut: 10 grudnia 1994, Arabia Saudyjska – Polska 1:2.

Osiągnięcia: uczestnik MŚ 2002.

Kariera klubowa: Cracovia, Sokół Pniewy,
Grasshopper Club Zurych (Szwajcaria), FC Lugano (Szwajcaria),
Grasshopper Club Zurych (Szwajcaria), Young Boys Berno (Szwajcaria),
De Graafschap (Holandia), Feyenoord Rotterdam (Holandia),
FK Partizan (Serbia), sc Heerenveen (Holandia),
ADO Den Haag (Holandia), SV Ried (Austria).

Osiągnięcia: Puchar UEFA (2002),
mistrzostwo Szwajcarii (1995, 1996),
Superpuchar Holandii (1999).

MAREK

SAGANOWSKI

SMUTEK NA MISTRZOSTWACH

12 czerwca 2008, Wiedeń
Austria – Polska 1:1 (0:1)

Bramki: Ivica Vastić 90. k. – Roger Guerreiro 31.
Austria: Jürgen Macho – György Garics, Sebastian Prödl, Martin Stranzl,
Emanuel Pogatetz – Christoph Leitgeb, René Aufhauser (75. Jürgen Säumel),
Andreas Ivanschitz (65. Ivica Vastić), Ümit Korkmaz – Martin Harnik, Roland Linz (65. Roman Kienast).
Polska: Artur Boruc – Marcin Wasilewski, Mariusz Jop (46. Paweł Golański),
Jacek Bąk, Michał Żewłakow – Marek Saganowski (84. Wojciech Łobodziński),
Dariusz Dudka, Roger Guerreiro (85. Rafał Murawski), Mariusz Lewandowski,
Jacek Krzynówek – Euzebiusz Smolarek.
Żółte kartki: Prödl, Korkmaz – Wasilewski, Bąk, Krzynówek.
Sędziował: Howard Webb (Anglia).

Chyba żaden stadion, na jakim przyszło mi grać, nie wywarł na mnie takiego wrażenia, jak legendarne Wembley. Pojechałem do Londynu w 1996 roku jako zaledwie 18-latek, na pierwszy mecz w kwalifikacjach do mistrzostw świata za kadencji trenera Antoniego Piechniczka. Pamiętam, że szkoleniowiec bardzo chciał przynajmniej zremisować. Może dlatego wystawił taki skład, a nie inny, z większą liczbą defensorów. Na Wembley pojechaliśmy z realnymi nadziejami. Trener dysponował niezłą kadrą, kilku zawodników grało już na Zachodzie i miało spore doświadczenie. Mieliśmy również graczy z ówczesnej pierwszej ligi, ale ci wcale nie byli słabsi, jeśli chodzi o umiejętności.

Pierwszego gola strzelił Marek Citko, ale później Anglicy złapali wiatr w żagle i trafiali do siatki Andrzeja Woźniaka. Naszym katem okazał się Alan Shearer, który jeszcze przed przerwą zagwarantował swojej drużynie prowadzenie. Nie brakowało nam szans i wcale nie odstawaliśmy od groźnego rywala, bo też umieliśmy doprowadzić do dużego zagrożenia pod bramką Davida Seamana. Dla mnie spotkanie z Anglikami rozpoczęło się dopiero na kwadrans przed końcowym gwizdkiem arbitra. Dostałem swoją szansę i na murawie zastąpiłem Krzysia Warzychę. Nie będę ukrywał, że było to ogromne przeżycie dla młodzieńca, który dostąpił zaszczytu występu przeciwko światowym gwiazdom, jak choćby wspomniany Alan Shearer.

Pragnąłem pokazać się z jak najlepszej strony i chciałem robić wszystko za wszystkich. Wtedy to chyba było normalne. Niestety, tym występem na Wembley nie zapisałem się jakoś szczególnie w historii. Niemniej właśnie to wydarzenie uświadomiło mi, że warto ciężko pracować i że piłkarska Europa jest naprawdę blisko. Ponieśliśmy porażkę, ale wstydu w Londynie nie było. Udało nam się rozegrać fajne spotkanie z silnym przeciwnikiem na jego terenie. Do wywiezienia punktu z tego piekiełka zabrakło nam naprawdę niewiele. Oprócz wspomnień udało mi się zabrać także bardzo cenną pamiątkę, bo po spotkaniu wymieniłem się koszulką z Garym Neville'em.

Na udział w wielkim turnieju musiałem czekać wiele, wiele lat. Moje marzenie spełniło się dopiero w 2008 roku. Po udanych kwalifikacjach do mistrzostw Europy nie byłem powoływany przez trenera Leo Beenhakkera na spotkania kontrolne. Szczerze mówiąc, w pewnym momencie zwątpiłem, że dostanę szansę wyjazdu na kadrę. Wracając po zakończonym sezonie klubowym do Polski, odebrałem jednak telefon od

szkoleniowca. Powiedział, że zaprasza mnie na zgrupowanie przed Euro 2008. Ucieszyłem się, ale nadal nie byłem taki pewny, że znajdzie się dla mnie miejsce w kadrze na sam turniej. Udałem się na zgrupowanie do Austrii, a później okazało się, że załapałem się do reprezentacji na mistrzostwa!

Otoczka turnieju była fantastyczna. Jechaliśmy na pierwsze mistrzostwa Europy w historii naszej drużyny narodowej. Ze swojej strony nie odczuwałem jednak jakiejś wielkiej presji czy stresu. Nie trafiliśmy na słabą grupę, bo mieliśmy się zmierzyć z Niemcami, Austriakami i Chorwatami. Niestety, na turnieju reprezentacja to nie była już ta sama drużyna, która wywalczyła awans w poprzednim roku. W kadrze zabrakło między innymi Radosława Matusiaka, który w kwalifikacjach był ważnym elementem zespołu, ale nie pojechał na finały, ponieważ nie grał regularnie w klubie. Ze względu na uraz ze składu wypadł też Kuba Błaszczykowski, a jego miejsce zajął Łukasz Piszczek, który przyjechał na mistrzostwa z wakacji. Nie wszyscy zawodnicy byli w optymalnej formie i trener o tym wiedział.

Zawiedliśmy w pierwszym meczu i przegraliśmy z Niemcami, a w kolejnym starciu mieliśmy zmierzyć się z Austriakami na ich terenie, w Wiedniu. W pierwszym meczu wystąpiłem przez kilkanaście minut i spodziewałem się, że w następnym spotkaniu będzie podobnie. Po przegranej z Niemcami trener Beenhakker chciał dokonać kilku zmian w składzie. Do pierwszej jedenastki szykowany był Łukasz Piszczek, który bardzo dobrze prezentował się na treningach, ale na ostatniej gierce przed meczem doznał urazu. W tym momencie tak naprawdę nikt nie wiedział, kto zagra na prawej stronie. Rano na spacerze podszedł do mnie trener Bogusław Kaczmarek i zapytał, czy dam radę zagrać na tej pozycji. Powiedziałem, że

oczywiście, bo grywałem kiedyś na tej flance. No i okazało się, że w meczu z Austrią wyjdę na boisko od pierwszej minuty.

Z Austriakami od początku szło nam jak po grudzie. Co chwilę popełnialiśmy jakiś błąd, co otwierało rywalom drogę do bramki Artura Boruca. Przez pierwsze 20 minut właściwie nie istnieliśmy na boisku i tylko dzięki dyspozycji naszego golkipera nie straciliśmy kilku bramek. Udało nam się jednak przetrwać austriacki napór i sami zaczęliśmy tworzyć sytuacje podbramkowe. Ebi Smolarek wykonał przerzut do mnie, zrobiłem swój klasyczny zwód i oddałem strzał. Myślałem, że zdobędę bramkę, ale zablokował mnie obrońca. Do futbolówki po rykoszecie dopadł jednak Roger, dostawił nogę i strzelił historycznego gola dla reprezentacji Polski. W naszej drużynie wybuchła ogromna radość.

Czas upływał, a emocji nie brakowało, bo Austriacy za wszelką cenę chcieli doprowadzić do wyrównania. W końcówce meczu byłem już na ławce rezerwowych i tylko z niedowierzaniem patrzyłem, co stało się w doliczonym czasie gry. Szok! Dla mnie tego faulu Mariusza Lewandowskiego nie było, przecież zawodnicy często trzymają się w ten sposób w polu karnym. A poza tym Sebastian Prödl nie był na jakiejś czystej pozycji i z tej piłki raczej nic by nie zrobił. Wielka szkoda, że zakończyło się to w taki sposób. Myślę, że z Chorwacją zagralibyśmy inaczej, z innym nastawieniem. Może to zwycięstwo by nas uskrzydliło. Ciężko było przetrawić nam ten remis, można było go traktować jak kolejną porażkę. Sekundy dzieliły nas od wielkiej przygody, od walki o wyjście z grupy, a tymczasem wszystko prysło jak sen.

Zdawaliśmy sobie sprawę, że po tych mistrzostwach reprezentacja zacznie się rozpadać i że dla niektórych zawodników to już koniec przygody z drużyną narodową. Wszystko to było smutne i przygnębiające… Co prawda Leo

Beenhakker poprowadził jeszcze reprezentację w kolejnych eliminacjach, ale to już była zupełnie inna drużyna. Na naszą klęskę w czerwcu 2008 roku złożyło się wiele czynników: problemy reprezentantów z regularnymi występami w klubach, słabsza dyspozycja, może nie wytrzymaliśmy też presji związanej z występami na mistrzostwach mentalnie?

Czego mi zabrakło w przygodzie z reprezentacją Polski? Na pewno żałuję, że nie udało mi się pojechać na mistrzostwa świata do Niemiec. Byłem wówczas w bardzo dobrej formie, grałem w lidze portugalskiej i Pucharze UEFA, zdobywałem bramki. Niestety, trener Janas nie widział mnie w swojej drużynie i zdecydował, że nie powoła mnie na niemiecki mundial. Nie wiem dlaczego, nigdy z nim na ten temat nie rozmawiałem. Szkoda, bo jako reprezentant Polski miałbym zaliczony turniej finałowy mistrzostw świata i mistrzostw Europy.

MAREK SAGANOWSKI

Data i miejsce urodzenia: 31 października 1978 r., Łódź.

W reprezentacji Polski: 35 meczów, 5 goli.

Debiut: 1 maja 1996, Polska – Białoruś 1:1.

Osiągnięcia: uczestnik ME 2008.

Kariera klubowa: ŁKS Łódź, Feyenoord Rotterdam (Holandia), Hamburger SV (Niemcy), ŁKS Łódź, Orlen Płock, Odra Wodzisław Śląski,
Legia Warszawa, Vitória Guimarães (Portugalia), ES Troyes (Francja), Aalborg BK (Dania), Southampton FC (Anglia),
Atromitos Ateny (Grecja), ŁKS Łódź, Legia Warszawa.

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (1998, 2013, 2014, 2016), Puchar Polski (2013, 2015, 2016).

PIOTR
SKROBOWSKI

Fot. Archiwum prywatne autora

IMIENINOWY PREZENT
OD TRENERA

29 czerwca 1980, São Paulo
Brazylia – Polska 1:1 (0:1)

Bramki: Zico 52. – Grzegorz Lato 7.
Brazylia: Carlos – Nelinho, Mauro Pastor, Paulo Amaral, Junior – Batista,
Sócrates (65. Éder), Zico, Paulo Isidoro (46. Renato) – Serginho, Zé Sérgio.
Polska: Piotr Mowlik – Marek Dziuba, Antoni Szymanowski, Paweł Janas,
Hieronim Barczak – Leszek Lipka (82. Janusz Sybis), Piotr Skrobowski,
Kazimierz Kmiecik (74. Henryk Miłoszewicz),
Adam Nawałka (78. Włodzimierz Ciołek) – Grzegorz Lato, Stanisław Terlecki.
Żółte kartki: Éder – Skrobowski.
Sędziował: Romualdo Arppi Filho (Brazylia).

Moja kariera potężnie wystrzeliła w górę w 1980 roku. I właśnie ten okres w przygodzie z futbolem wspominam najlepiej, ponieważ był to dla mnie czas jak z bajki. Czego nie dotknąłem, zamieniało się w złoto. Mając zaledwie 16 lat, zostałem zawodnikiem Wisły Kraków i wkrótce zadebiutowałem w pierwszej drużynie, w której występowali doświadczeni zawodnicy, reprezentanci Polski. Zostałem etatowym graczem Białej Gwiazdy, rozpoczęła się także moja przygoda z młodzieżówkami, z którymi zdobywałem medale. Byłem na ustach całej Polski, czułem, że to moje pięć minut. Wszystko

układało się w piękną, wręcz nieprawdopodobną historię. Po wywalczeniu wicemistrzostwa Europy do lat 18 zadebiutowałem w pierwszej drużynie narodowej w meczu z Irakiem, rozgrywanym na Stadionie Dziesięciolecia przy… 100 tysiącach ludzi.

Po moim debiucie spotkała mnie kolejna niespodzianka. Kilka dni później pojechałem z reprezentacją na tournée po Ameryce Południowej! Dostąpiłem ogromnego zaszczytu. Niedawno byłem „tylko" młodzieżowym reprezentantem, a niespodziewanie znalazłem się w zupełnie innym świecie. Nagle zamiast dostawać dolara kieszonkowego dziennie, bo tak było w zespołach juniorskich, zacząłem otrzymywać większe wynagrodzenie. Nie był to ogromny przeskok, ale różnica była odczuwalna. Zagwarantowano nam takie zakwaterowanie, jakiego nie mieliśmy w kadrach juniorskich. Nie tylko hotel był znakomity, ale i wyżywienie. Gdy pierwszy raz zobaczyliśmy śniadanie, to wszyscy się na nie rzuciliśmy. W Polsce można było o tym tylko pomarzyć.

Nasze tournée rozpoczynaliśmy 29 czerwca, meczem z wielką Brazylią. Wydawało mi się, że nie ma szans, abym zagrał w tym spotkaniu. Przecież w kadrze było wielu doświadczonych zawodników, a ja dopiero wchodziłem do reprezentacji Polski. Poszedłem na przedmeczową odprawę z trenerem Ryszardem Kuleszą. To był świetny człowiek z fantastyczną osobowością, którego zawsze miło wspominam. Umiał dotrzeć do zawodnika i w ten sposób budował swój zespół. Spojrzałem na tablicę – było na niej kilka nazwisk zawodników Wisły Kraków, w tym moje! Skrobowski w pierwszym składzie! Nie mogłem w to uwierzyć. Miałem grać na Sócratesa, profesora futbolu. Coś niesamowitego. W tamtej chwili nogi się pode mną ugięły.

Trener Kulesza powiedział: „Piotruś, dzisiaj masz imieniny, a my chcemy dać ci ten występ w prezencie". Rysiu dodał

jeszcze: „Zagraj tak, jak z każdym innym przeciwnikiem. Nie patrz na to, że będą biegały obok ciebie gwiazdy futbolu. Graj swoje. Obok masz kolegów, którzy ci pomogą". Poszedłem do pokoju i dość długo nie mogłem się uspokoić. Czułem szczęście, ale i nerwy, stres. Miałem wystąpić na jednym z największych stadionów na świecie, który mógł pomieścić kilkadziesiąt tysięcy kibiców więcej niż nasz Stadion Dziesięciolecia.

Otoczka całego wydarzenia była niesamowita, gospodarze przygotowali ogromny show. Nie rozgrzewaliśmy się na boisku, tylko w wielkich, przestronnych szatniach, w których można było się przygotować, pobiegać, rozciągnąć. Słychać było tylko dudnienie kibiców, którzy rozochoceni wyczekiwali swojej drużyny. Przypominało to koncert rockowy. Na murawę weszliśmy dopiero przed hymnami. Gdy znalazłem się już w tunelu prowadzącym na boisko, całe napięcie ze mnie zeszło. Nagle zapomniałem o wszystkim i był tylko mecz z Brazylią. Wierzyłem w swoje umiejętności i możliwości. Trzeba było łapać szczęście, ale i temu szczęściu pomóc. Wiedziałem, że sobie poradzę, i poradziłem. W spotkanie wszedłem bardzo dobrze i solidnie prezentowałem się do końcowego gwizdka. Po bramkach Grzesia Laty i Zico skończyło się wynikiem 1:1.

Cały ten wyjazd do Ameryki Południowej był dla nas wielkim sukcesem. Za naszą postawę postanowiono nas nagrodzić. Związek zarobił na tych meczach, więc też dostaliśmy swoją działkę. Pewien prezes, który cały czas miał przy sobie walizkę z pieniędzmi, dzielił finanse – przypadło nam po kilkadziesiąt dolarów na głowę. Wtedy to było dużo kasy, zwłaszcza w Polsce. Ale nie zabrałem swojej części do domu, bo wszystko wydałem na miejscu. Zainwestowałem w płyty, spodnie, koszulki i kilka innych rzeczy, których u nas wówczas nie można było kupić. Moja bajka trwała nadal, a ja jeszcze nie wiedziałem, że całe to szczęście bardzo szybko się skończy…

W reprezentacji układało mi się fantastycznie. Rozgrywałem kolejne mecze. Brałem na przykład udział w „historycznym” spotkaniu z Maltą, kiedy obrzucono nas kamieniami i interweniowała policja na koniach. Później zaczął się pech, który prześladował mnie przez kolejne lata. Spotkały mnie kompletnie niezrozumiałe rzeczy. Pojechałem na pucharowy mecz ze Stalą Rzeszów i złamałem kość strzałkową. Chodziłem z tą obolałą nogą tydzień, dwa. Nikt nie myślał, żeby włożyć mi ją w gips. Przerażające, jak prowadzono leczenie. Gdy lekarze w końcu mnie zagipsowali, wydawało się, że wszystko będzie w porządku. Niestety, kazano mi zdjąć gips za wcześnie – noga cały czas nie była gotowa, ale zmuszono mnie do grania.

Zbliżały się mistrzostwa świata w Hiszpanii, a w Polsce był stan wojenny. Nikt nie chciał z nami rywalizować i mogliśmy grać tylko z zespołami amatorskimi. Nie wiedzieliśmy, na co nas stać. Organizowano nam różne zgrupowania. Do dziś nie wiem, po co pojechaliśmy na obóz do Francji. To był jeden wielki niewypał, jeździliśmy po prowincji, ludzie robili festyny i zbierali pieniądze do kapelusza. Na jednym ze zgrupowań trener Antoni Piechniczek wymyślił, że zrobi gierkę żonaci na kawalerów, żeby trochę podostrzyć. No i tak się podostrzyło, że Andrzej Szarmach trafił mnie w nogę i uraz mi się odnowił. Ale wtedy jeszcze nie wiedziałem, że jest złamana. Mówiłem otwarcie, że noga cały czas mnie boli. Pojechałem na mundial, ale nie mogłem grać. A media były tak słabo poinformowane, że w niektórych studiach wystawiano mnie do pierwszego składu.

O tym, co mi tak naprawdę dolegało, dowiedziałem się po powrocie do kraju. W Polsce zrobiono mi rentgen, który wykazał, że mam pękniętą kość strzałkową. Nasza medycyna to była wówczas jedna wielka katastrofa. Eksperymentowano na mnie, wożono po lekarzach, bioenergoterapeutach i innych znachorach. To była prawdziwa mordęga. Do dziś nie mogę

uwierzyć, jak mnie prowadzono. Na boisko udało mi się wrócić, ale nie wskoczyłem już na poziom sprzed kontuzji. Moja reprezentacyjna kariera zakończyła się w 1984 roku, zdecydowanie za wcześnie i w zbyt dramatycznych okolicznościach. Z orzełkiem na piersi wystąpiłem zaledwie 15 razy.

PIOTR SKROBOWSKI

Data i miejsce urodzenia: 16 października 1961 r., Kraków.

W reprezentacji Polski: 15 meczów.

Debiut: 22 czerwca 1980, Polska – Irak 3:0.

Osiągnięcia: III miejsce MŚ 1982.

Kariera klubowa: Clepardia Kraków, Wisła Kraków, Lech Poznań, Olimpia Poznań, Hammarby IF (Szwecja).

Osiągnięcia: Puchar Polski (1988).

EUZEBIUSZ
SMOLAREK

Fot. Clive Brunskill / Getty Images

BELGIA?
JACUZZI I PEŁEN RELAKS

17 listopada 2007, Chorzów
Polska – Belgia 2:0 (1:0)

Bramki: Euzebiusz Smolarek 45., 51.
Polska: Artur Boruc – Marcin Wasilewski, Michał Żewłakow, Jacek Bąk,
Grzegorz Bronowicki – Wojciech Łobodziński (46. Jakub Błaszczykowski),
Mariusz Lewandowski, Radosław Sobolewski, Jacek Krzynówek – Euzebiusz Smolarek (86. Kamil Kosowski), Maciej Żurawski (83. Rafał Murawski).
Belgia: Stijn Stijnen – Guillaume Gillet, Vincent Kompany, Daniel van Buyten,
Jan Vertonghen – Steven Defour (62. Luigi Pieroni), Marouane Fellaini,
Faris Haroun (85. Karel Geraerts), Bart Goor – Moussa Dembélé, Kevin Mirallas (78. Stein Huysegems).
Żółte kartki: Bąk, Błaszczykowski.
Sędziował: Claus Bo Larsen (Dania).

Moje nazwisko w reprezentacji Polski zapewne kojarzone jest z pamiętnym meczem z Portugalią, który wygraliśmy w Chorzowie po strzelonych przeze mnie golach. Zdecydowanie był to bardzo ważny moment w mojej karierze, dla pozostałych chłopaków na pewno też. Pokonaliśmy ówczesnego wicemistrza Europy, zespół naszpikowany gwiazdami, z Cristiano Ronaldo na czele. Dokonaliśmy czegoś niesamowitego. Poskromiliśmy rywali, zdominowaliśmy groźnych Portugalczyków na

Stadionie Śląskim. Moim zdaniem właśnie wtedy narodziła się drużyna. I to był punkt zwrotny w kwalifikacjach do Euro 2008.

Dla wielu może być to zaskoczeniem, ale wybierając ten najważniejszy mecz w drużynie narodowej, muszę wskazać rewanżowe spotkanie z Belgią w Chorzowie. Oczywiście, każdy występ z orłem na piersi traktuję wyjątkowo, ale rywalizacja, która decydowała o naszym awansie, utkwiła mi w głowie szczególnie. Fakt, z Portugalią coś pięknego się zaczęło, ale grając przeciw Belgom, mieliśmy szansę przejść do historii, czyli zakwalifikować się na mistrzostwa Europy po raz pierwszy. Awans przypieczętowaliśmy w bardzo dobrym stylu. A ja kolejny raz miałem udział w zwycięstwie biało-czerwonych.

Nie można oczywiście zapominać o pozostałych meczach eliminacyjnych. Mieliśmy przecież kilka trudnych wyjazdów, jak te do Kazachstanu, Azerbejdżanu i Armenii. Trener Leo Beenhakker powiedział, że będąc szkoleniowcem Realu Madryt, tłumaczył swoim piłkarzom, że sukces daje nie tylko zwycięstwo z Barceloną. Mistrzostwo zdobywa się, pokonując także słabsze drużyny. Tak było również w naszym przypadku. Nie można zapominać o innych spotkaniach, bo jak boisko pokazało, wcale nie były łatwe.

Muszę przyznać, że do meczu z Belgią podszedłem jak do każdego innego spotkania w reprezentacji Polski. Nie czułem jakichś większych nerwów. Wiedzieliśmy, o co gramy – chcieliśmy kompletu punktów! Nawet remis mógł dać nam sukces, ale nie byłem piłkarzem, który grał o minimalną stawkę. Widziałem jednak, że u chłopaków pojawiła się presja. Czułem ją i ja, widoczna była nawet u trenera Beenhakkera. Ale to nas w ogóle nie sparaliżowało. Chcieliśmy dać z siebie jak najwięcej i przypieczętować awans na mistrzostwa Europy, bo

patrząc na poprzednie spotkania, zasługiwaliśmy na to jak nigdy dotąd.

W szatni panowała atmosfera pełnej koncentracji. Każdy z nas wiedział, o co gramy, więc nie potrzebowaliśmy jeszcze dodatkowej mobilizacji. Może są piłkarze, którzy lubią się nakręcić poprzez krzyk w stylu: „Dawajcie!", „Walczymy na całego!", ale ja nigdy do nich nie należałem. Wolałem się wyciszyć i posłuchać, co mówi trener. Zazwyczaj było tak, że po prostu zakładałem sobie ręcznik na głowę, zamykałem się i czekałem na wyjście na murawę. W naszej drużynie nie było liderów. Naszą siłą był monolit. Jeden pracował dla drugiego. Każdy uzupełniał się, jak tylko mógł. Właśnie dzięki temu byliśmy wówczas tak mocni.

Do szatni zeszliśmy z jednobramkowym prowadzeniem. Defensywa rywala popełniła duży błąd w końcówce pierwszej połowy. Gdy Jan Vertonghen przyjął piłkę, od razu zauważyłem, że się waha i nie wie, co z nią zrobić. Nie mógł zagrać do najbliższego obrońcy, bo stałem tuż obok niego. Ryzykowne było także podanie do środka boiska, bo był tam Maciek Żurawski. Vertonghen miał więc dwie możliwości – albo rzucić długą piłkę do przodu, albo wycofać ją do bramkarza. Powinien dużo szybciej zareagować i podjąć decyzję, bo byłem przygotowany na sprint w stronę bramki. Belg nieudolnie podał do bramkarza, więc minąłem golkipera i umieściłem piłkę w siatce.

Po zmianie stron nadal nie pozwalaliśmy Belgom na tworzenie groźnych sytuacji pod naszą bramką. Przeciwnicy nic nie mogli zdziałać, nasza defensywa była czujna. I to my wyprowadziliśmy kolejny cios, który jeszcze bardziej podłamał rywali. Kilka minut po rozpoczęciu drugiej połowy przeprowadziliśmy świetną akcję. Po zagraniu Kuby Błaszczykowskiego przed polem karnym w moją stronę

Belgowie wybili piłkę. Chwilę później uderzył Jacek Krzynówek, bramkarz odbił futbolówkę, a ja podciąłem nad nim piłkę. Wiedziałem, że przy strzale Jacka muszę uciekać z pozycji spalonej. Można powiedzieć, że było na styk. Decydowały centymetry.

Po końcowym gwizdku sędziego wybuchła radość na boisku i na trybunach Stadionu Śląskiego. Dopiero wtedy zaczęło do mnie docierać, co się tak naprawdę stało. W tym obiekcie zawsze było coś magicznego, coś szczególnego. Polacy odnieśli na nim wiele ważnych zwycięstw i fajnie, że też mogłem coś takiego tam przeżyć.

Nie ma co ukrywać, że radość w szatni była bardzo duża, ale to nie było jakieś spektakularne świętowanie. Nie zdobyliśmy przecież tytułu mistrzowskiego. Wykonaliśmy krok, zrobiliśmy coś dużego. Przeszliśmy do historii, udało nam się pierwszy raz awansować na mistrzostwa Europy. To zwycięstwo było bardzo ważne nie tylko dla naszej drużyny, ale dla całej Polski.

Jeśli chodzi o mnie, to awans przyjąłem na spokojnie. Nie miałem się za bohatera. Nigdy zresztą nie mówiłem dużo w szatni, chodziłem własnymi ścieżkami. Można powiedzieć, że wolałem przemawiać nogami na boisku. Dałem sobie trochę czasu w szatni. Zeszło ze mnie całe ciśnienie, poszedłem do jacuzzi, czułem pełen relaks. Jako ostatni wyszedłem z szatni i udałem się do hotelu.

Oprócz radości na pewno odczuwaliśmy dumę. Z całej naszej drużyny, bo potrafiliśmy się podnieść w trudnych momentach. Eliminacje rozpoczęliśmy źle, krytykowano nas za początek kwalifikacji do Euro 2008. Później z każdym meczem zdobywaliśmy uznanie kibiców, od przełomowego meczu z Portugalią do spotkania z Belgią, po którym wywalczyliśmy awans.

EUZEBIUSZ SMOLAREK

Data i miejsce urodzenia: 9 stycznia 1981 r., Łódź.

W reprezentacji Polski: 47 meczów, 19 goli.

Debiut: 13 lutego 2002, Irlandia Północna – Polska 1:4.

Osiągnięcia: uczestnik MŚ 2006, uczestnik ME 2008.

Kariera klubowa: Spirit uit Ouderkerk aan den IJssel (Holandia), Feyenoord Rotterdam (Holandia), Borussia Dortmund (Niemcy), Racing Santander (Hiszpania), Bolton Wanderers (Anglia), AO Kavala (Grecja), Polonia Warszawa, Al-Khor SC (Katar), ADO Den Haag (Holandia), Jagiellonia Białystok.

Osiągnięcia: Puchar UEFA (2002).

ROMAN
SZEWCZYK

Fot. Neal Simpson / EMPICS / Getty Images

BRAMKA ZDOBYTA OBROŃCĄ

13 listopada 1991, Poznań
Polska – Anglia 1:1 (1:0)

Bramki: Roman Szewczyk 32. – Gary Lineker 77.
Polska: Jarosław Bako – Piotr Soczyński, Tomasz Wałdoch, Roman Szewczyk (77. Adam Fedoruk) – Robert Warzycha, Piotr Czachowski,
Dariusz Skrzypczak (79. Wojciech Kowalczyk), Jacek Ziober – Roman Kosecki,
Jan Urban, Jan Furtok.
Anglia: Christopher Woods – Lee Dixon, Desmond Walker, Gary Mabbutt,
Stuart Pearce – David Rocastle, Andrew Gray (46. Alan Smith), David Platt,
Geoffrey Thomas, Andrew Sinton (70. Anthony Daley) – Gary Lineker.
Żółte kartki: Warzycha, Kosecki – Rocastle.
Sędziował: Hubert Forstinger (Austria).

Niecodziennie strzela się gola reprezentacji Anglii. Ja miałem to szczęście, że zdołałem pokonać bramkarza „Synów Albionu”, i to w meczu o punkty, który mógł przedłużyć nasze nadzieje na awans na Euro 1992. Atmosfera przed tym spotkaniem była w naszych szeregach bardzo dobra. Wiedzieliśmy, o jaką stawkę gramy: cały czas liczyliśmy się wtedy w walce o awans do mistrzostw Europy. Niestety, ostatecznie jednak nam się nie udało. Ale przez pewien czas mogliśmy czuć się finalistami, bo gdy my prowadziliśmy z Anglią, Irlandczycy przegrywali z Turcją, a te wyniki dawały nam awans. Wiedzieliśmy, co musimy zrobić, ale jednocześnie nie mieliśmy wszystkiego

w swoich rękach, byliśmy niejako zależni od poczynań przeciwników. Anglikom wystarczał remis, nam natomiast potrzebne było zwycięstwo i potknięcie Irlandii.

Wydawało się, że Anglicy są jak najbardziej w naszym zasięgu. Nie mieli wówczas „złotego pokolenia", w ich szeregach nie było jakichś wielkich gwiazd. To poczucie spotęgowało się po objęciu przez nas prowadzenia. Przy rzucie wolnym dostałem krótkie podanie. Byłem dość daleko od bramki, więc rywale nieco zaspali i za późno wyskoczyli z muru. Dopiero po tym, jak przyjąłem piłkę i ją sobie ułożyłem, w moim kierunku ruszył David Platt, ale nie zdążył mnie zablokować, a futbolówka po moim uderzeniu odbiła się jeszcze od jednego z obrońców i wpadła do siatki. Oglądając powtórki tego gola po latach, myślę, że gdyby nie tamten rykoszet, bramkarz by sobie poradził. Nie było to jednak moje zmartwienie. Można powiedzieć, że zdobyłem bramkę obrońcą, ale najważniejszy był efekt. Takiej drużynie nie strzela się goli codziennie. Wtedy mogliśmy się cholernie cieszyć, bo przybliżyliśmy się do osiągnięcia naszego celu. Co ciekawe, dzień po meczu leciałem do Londynu, by tam przejść testy w Chelsea. Może gdybyśmy ostatecznie w Poznaniu wygrali, Anglicy anulowaliby mi bilet.

W przerwie spotkania w szatni panowała spokojna atmosfera. Wiedzieliśmy, że jest dobrze, nie odpuszczaliśmy. Mecze z Anglikami zawsze charakteryzowały się niesamowitą walką, nie były to piękne spotkania. Wtedy trzeba było się z nimi praktycznie lać. Byliśmy na to przygotowani, zdawaliśmy sobie sprawę, jak to będzie wyglądało. W tamtym okresie wyspiarze właśnie tak grali, praktycznie z pominięciem linii pomocy. Zmieniło się to dużo później.

W drugiej połowie wyglądało to podobnie. Trener Strejlau nie przeprowadził zmian taktycznych, a Anglicy ruszyli do

szaleńczych ataków. Udawało nam się przetrwać, a i sami od czasu do czasu straszyliśmy rywala. Austriacki sędzia nieco utrudnił nam sprawę, nie dyktując rzutu karnego za ewidentny faul bramkarza na Jasiu Furtoku. Gdybyśmy prowadzili 2:0, z pewnością już nie wypuścilibyśmy zwycięstwa z rąk, bo Anglicy nie byli na tyle silni, aby odrobić dwubramkową stratę. Niestety, sędzia nie dopatrzył się przewinienia i kilka minut później sytuacja się odwróciła.

Goście wykonywali rzut rożny. Miałem w pobliżu Gary'ego Linekera, do którego piłka trafiła w drugim tempie. Niestety, spóźniłem się do niego o ułamek sekundy, a on takich okazji nie marnował. Odskoczył na dwa kroki i to wystarczyło. Uderzył sytuacyjnie, pod poprzeczkę, a Jarek Bako nie miał najmniejszych szans. Miałem o to do siebie później wielki żal. Inna sprawa, że na tym etapie meczu brakowało mi już nieco sił. Przed spotkaniem zmagałem się z kontuzją kręgosłupa, przez miesiąc nie grałem, a powołanie dostałem na tydzień przed meczem, gdy dopiero wracałem do treningów. Wszedłem więc na boisko właściwie z marszu, bez żadnego przygotowania. Mimo to trener Strejlau na mnie postawił, a do tego powierzył mi krycie Linekera. Po ponad 70 minutach trochę odcięło mi prąd i poprosiłem o zmianę. Adaś Fedoruk już był przygotowany do wejścia, ale nie zdążył mnie zmienić przed utratą bramki. Szkoda…

Byliśmy bardzo blisko, ale ostatecznie musieliśmy obejść się smakiem i do mistrzostw Europy zakwalifikowali się Anglicy. Trzeba przyznać, że w bataliach o awans na międzynarodowe turnieje byliśmy na nich niemal skazani, ciągle trafialiśmy na wyspiarzy. Bardzo żałuję, że nie udało nam się nigdy ich pokonać. Tego awansu brakuje mi w dorobku reprezentacyjnym. Czasy były jednak zupełnie inne, PZPN miał spore problemy organizacyjne. Mówiłem już wtedy, że związek

stoi na glinianych nogach i w końcu runie. Tak też się stało, a odbudowa do dzisiejszego, bardzo dobrego stanu trwała dość długo. Wtedy trudno było nawet wystawić najsilniejszą jedenastkę. Bogatsze kluby zagraniczne wolały czasami zapłacić karę i nie puścić zawodnika na zgrupowanie kadry. Dlatego też w kadrze brakowało stabilizacji, a w efekcie także wyników.

ROMAN SZEWCZYK

Data i miejsce urodzenia: 18 marca 1965 r., Bytom.

W reprezentacji Polski: 37 meczów, 3 gole.

Debiut: 12 kwietnia 1989, Polska – Rumunia 2:1.

Kariera klubowa: Szombierki Bytom, Śląsk Wrocław, GKS Katowice, FC Sochaux (Francja), SV Austria Salzburg (Austria), USV Thalgau (Austria), FC Bergheim (Austria).

Osiągnięcia: mistrzostwo Austrii (1997), Puchar Polski (1991, 1993).

ZYGFRYD
SZOŁTYSIK

Wikimedia Commons / CC BY-SA 4.0

ZMIANA NA WAGĘ FINAŁU

5 września 1972, Augsburg
Polska – ZSRR 2:1 (0:1)

Bramki: Kazimierz Deyna 79. k., Zygfryd Szołtysik 87. – Oleg Błochin 29.
Polska: Hubert Kostka – Antoni Szymanowski, Marian Ostafiński, Jerzy Gorgoń (35. Jerzy Kraska), Zygmunt Anczok – Zbigniew Gut (69. Zygfryd Szołtysik), Lesław Ćmikiewicz, Kazimierz Deyna, Zygmunt Maszczyk – Włodzimierz Lubański, Robert Gadocha.
ZSRR: Jewhen Rudakow – Rewaz Dżodżuaszwili, Murtaz Churciława,
Władimir Kaplicznyj, Jewgenij Łowczew – Wiktor Kołotow, Jożef Sabo,
Oganes Zanazanjan (87. Anatolij Kuksow) – Wiaczesław Siemieniow (80. Władimir Oniszczenko), Gennadij Jerwużychin, Oleg Błochin.
Żółte kartki: Ćmikiewicz – Churciława.
Sędziował: Henry Øberg (Norwegia).

W kadrze rozegrałem prawie 50 meczów, ale dwa szczególnie utkwiły mi w pamięci. Pierwszym z nich był debiut z orłem na piersi: 9 września 1963 roku rozbiliśmy Norwegię w towarzyskiej potyczce aż 9:0, a ja zapisałem na swoim koncie dwa gole. Miałem tylko 20 lat i zaliczyłem świetne wejście do kadry narodowej. Drugim takim spotkaniem było półfinałowe starcie z ZSRR na igrzyskach olimpijskich w Monachium. Mimo że zagrałem zaledwie 20 minut, udało mi się dołożyć cegiełkę do sukcesu.

Był to bardzo trudny dzień nie tylko dla nas, ale i dla całego światowego sportu. W wiosce olimpijskiej doszło bowiem do

zamachu terrorystycznego, w wyniku którego śmierć poniosło kilku izraelskich sportowców. Z pewnością mocno wpłynęło to na każdego z nas, musieliśmy jednak skupić się na potyczce z ZSRR. Choć do końca nie wiedzieliśmy, czy w ogóle wyjdziemy na boisko, istniało bowiem prawdopodobieństwo, że igrzyska zostaną przerwane.

Wiadomość o zamachu dotarła do nas, gdy byliśmy już w drodze do Augsburga. Na początku niewiele z tego rozumieliśmy, bo praktycznie nikt nie znał języka niemieckiego. W rolę tłumacza wcielił się Joachim Marx, który potrafił zrozumieć przekaz niemieckiej telewizji. Gdy dojechaliśmy już na stadion, na rozgrzewkę wychodziliśmy trzykrotnie. W tym czasie podejmowano decyzje, czy zawiesić sportową rywalizację, czy ją kontynuować. Abstrahując od grozy sytuacji, bo ta była oczywista, nie denerwowałem się tą niepewnością. Znalazłem się bowiem na ławce rezerwowych i rytm rozgrzewki nie miał na mnie wielkiego wpływu.

Faworytem tego meczu byli nasi rywale, ale w tym turnieju prezentowaliśmy się na boisku bardzo dobrze, na murawie wychodziło nam praktycznie wszystko. Nie było więc w nas żadnego strachu. Nie obawialiśmy się porażki, bo wiedzieliśmy, że stać nas na wygraną. Absolutnym liderem zespołu był Kazio Deyna, który znajdował się w kapitalnej formie. W Monachium w żadnej drużynie nie było piłkarza mogącego dorównać mu klasą.

Dzięki skuteczności Olega Błochina Sowieci zdobyli bramkę jako pierwsi. Na przerwę zeszliśmy, przegrywając 0:1. Gdy do końca meczu pozostało 20 minut, trener Kazimierz Górski postanowił wprowadzić na boisko Andrzeja Jarosika. Ten jednak, ku konsternacji wszystkich, odmówił wejścia na murawę. Był obrażony, bo nie znalazł się w wyjściowej jedenastce. Dla mnie nie miało wielkiego znaczenia, że

zaczynam mecz w rezerwie. Zawsze chciałem po prostu grać w piłkę. Liczyło się tylko zwycięstwo.

Gdy wszedłem na boisko, zmieniając nieżyjącego już niestety Zbyszka Guta, chciałem dać z siebie wszystko, pomóc drużynie w tak trudnym momencie. Kilka minut później po faulu na Włodku Lubańskim sędzia podyktował rzut karny, który wykorzystał Kazio Deyna. Na kilka minut przed ostatnim gwizdkiem Robert Gadocha zagrał do Włodka, ten wyłożył mi piłkę, a ja zdobyłem drugą bramkę dla naszego zespołu. Wygraliśmy 2:1 i zameldowaliśmy się w finale.

To był niezwykły moment. Nigdy nie przeżyłem czegoś takiego, choć grałem przecież w piłkę wiele lat. Na pewno był to jeden z najpiękniejszych momentów w całym moim życiu. W szatni wszyscy do mnie podchodzili, całowali, dziękowali. Zebrałem mnóstwo gratulacji, co było niesamowicie miłe.

Do kadry wprowadzał mnie Tadeusz Foryś, później stery reprezentacji na dłużej przejął Ryszard Koncewicz, a moim ostatnim trenerem w reprezentacji Polski był Kazimierz Górski. Z nim współpracowało mi się najlepiej, mieliśmy też najsilniejszy zespół. Już od debiutu czułem się w drużynie narodowej bardzo dobrze, nigdy nie miałem żadnych problemów. Przez wiele lat grałem w drużynie z tak fantastycznymi piłkarzami jak Lucjan Brychczy, Robert Gadocha, Kazimierz Deyna, Jacek Gmoch, Jan Liberda, Ryszard Grzegorczyk… A na dodatek w kadrze zawsze było kilku kolegów z Górnika Zabrze. To były wspaniałe czasy. Zawsze byłem maksymalnie skupiony i oddany drużynie narodowej, więc tym bardziej cieszę się, że dane mi było odnieść z nią tak wielki sukces, jakim było wywalczenie złotego medalu igrzysk olimpijskich w Monachium.

ZYGFRYD SZOŁTYSIK

Data i miejsce urodzenia: 24 października 1942 r.,
Sucha Góra.

W reprezentacji Polski: 46 meczów, 10 goli.

Debiut: 4 września 1963, Polska – Norwegia 9:0.

Osiągnięcia: złoty medal IO 1972.
Członek Klubu Wybitnego Reprezentanta.

Kariera klubowa: Zryw Chorzów, Górnik Zabrze,
US Valenciennes (Francja), Górnik Zabrze, Toronto Falcons (Kanada),
Górnik Knurów, SC Eintracht Ham-Hessen 22/45 (Niemcy),
SVA Bockum-Hoevel 1920/37 (Niemcy).

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (1963, 1964, 1965,
1966, 1967, 1971, 1972), Puchar Polski (1965, 1968,
1969, 1970, 1971, 1972).

ANTONI
SZYMANOWSKI

SZEF KAZIMIERZ GÓRSKI I KATORŻNICZE TRENINGI

3 lipca 1974, Frankfurt
RFN – Polska 1:0 (0:0)

Bramka: Gerd Müller 76.
RFN: Sepp Maier – Berti Vogts, Hans-Georg Schwarzenbeck, Franz Beckenbauer, Paul Breitner – Uli Hoeneß, Rainer Bonhof, Wolfgang Overath – Jürgen Grabowski, Gerd Müller, Bernd Hölzenbein.
Polska: Jan Tomaszewski – Antoni Szymanowski, Jerzy Gorgoń, Władysław Żmuda, Adam Musiał – Henryk Kasperczak (80. Lesław Ćmikiewicz), Kazimierz Deyna, Zygmunt Maszczyk (80. Kazimierz Kmiecik) – Grzegorz Lato, Jan Domarski, Robert Gadocha.
Sędziował: Erich Linemayr (Austria).

Nie jest mi z pewnością łatwo wybrać jeden mecz w reprezentacji, który mógłbym uznać za najważniejszy. Nie żyję wspomnieniami, ale chętnie wracam myślami do całych mistrzostw świata w 1974 roku. Spośród siedmiu rozegranych tam spotkań trudno któreś jednak uznać za najistotniejsze. Rozpoczęliśmy meczem z Argentyną, który dał nam powody do satysfakcji i pozwolił uwierzyć we własne możliwości. Później rozbiliśmy Haiti, a następnie przyszło starcie z Włochami, kolejną świetną ekipą. Potem był czas na batalie ze Szwecją, Jugosławią, RFN, a udział w mistrzostwach zakończyliśmy potyczką z Brazylią. Graliśmy z kapitalnymi przeciwnikami, światową czołówką. Każde z tych starć ma swoją historię.

Zawsze byłem szybkim, wybieganym zawodnikiem. Lubiłem też grę bez piłki, starałem się być bardzo mobilnym graczem.

Pamiętam, że Włosi na mnie pomstowali, bo choć grałem w obronie, musieli się za mną sporo nabiegać. W starciu ze Szwecją nie brakowało dramaturgii, ale na szczęście Janek Tomaszewski obronił rzut karny i to też bardzo pomogło nam w zwycięstwie.

Najbardziej w pamięci utkwił mi jednak chyba mecz z RFN. Z pewnością nie musiał zakończyć się naszą porażką. Gdyby to starcie zostało opóźnione jeszcze o godzinę, służby starające się doprowadzić murawę do stanu używalności miałyby czas, by wykonać swoją pracę w 100 procentach. Widzieliśmy to w drugiej połowie, gdy boisko stało się już lepsze, a gra się wyrównała. Pamiętajmy, że byliśmy drużyną, która nie gasła wraz z upływem minut. Na mistrzostwach zdarzyło się to tylko raz, w potyczce ze Szwedami. Trudno nam było się do nich dostosować – rywale byli toporni, konkretni, silni. I totalnie nam nie pasowali. Fizycznie na mistrzostwach czuliśmy się jednak świetnie, gra co kilka dni nie sprawiała nam żadnych kłopotów. Błyskawicznie się regenerowaliśmy i byliśmy gotowi do kolejnego wyzwania. Myślę, że to efekt ciężkich, czasem wręcz katorżniczych treningów, które wcześniej odbywaliśmy w górach. Pracowaliśmy w trudnych warunkach i to przygotowało nas do tych bojów. Wiadomo jednak, że na turnieju może przyjść trudniejszy moment, u nas przypadł on na spotkanie ze Szwecją. Przed bojem z RFN złapaliśmy jednak drugi oddech.

W pierwszej połowie warunki były dla nas fatalne, zwłaszcza dla zawodników ofensywnych. Zazwyczaj wcześniej „ustawialiśmy” sobie mecze, strzelając gole jako pierwsi. Dzięki temu mieliśmy pełną kontrolę nad tym, co działo się na murawie, i mogliśmy skupić się na dobijaniu rywali. W żadnym z poprzednich meczów nie musieliśmy gonić wyniku. Z RFN mieliśmy swoje okazje, ale murawa niesłychanie nam

przeszkadzała. Piłka co chwila grzęzła w błocie, a gdy już dochodziliśmy do sytuacji, świetnie w niemieckiej bramce spisywał się Sepp Maier. Nasi rywale nie mogli rozwinąć skrzydeł, co było widać choćby po sposobie gry Franza Beckenbauera. Legendarny „Cesarz” był cały czas przyczajony z tyłu, nie podłączał się do akcji ofensywnych, skupiał się wyłącznie na defensywie. Mieliśmy po swojej stronie naprawdę wiele atutów.

Byłem nieco zdziwiony, że nasz kapitan, Kazimierz Deyna, który wygrał przedmeczowe losowanie, nie ocenił chyba właściwie sytuacji przy wyborze stron boiska. Powinien raczej nas, obrońców, zostawić na bardziej zalanej części boiska, stwarzając tym samym lepsze warunki graczom ofensywnym. Zdecydował jednak odwrotnie i myślę, że to też miało duży wpływ na wynik końcowy. Piłka przy atakowaniu sprawiała nam mnóstwo psikusów.

Opóźnienie rozpoczęcia meczu miało także wpływ na naszą psychikę. Wszyscy byliśmy już rozgrzani, maksymalnie skoncentrowani, a wszystko się przedłużało. Nie da się drugi raz wejść w ten rytm na takim samym poziomie skupienia. Może w grach indywidualnych, jak na przykład tenis, to możliwe, bo to po prostu kwestia każdego z osobna. W sportach drużynowych nie jest już jednak tak łatwo. W piłce nożnej trzeba dopasować jedenastu zawodników, a jeśli ktokolwiek straci koncentrację choćby minimalnie, to może odbić się na końcowym rezultacie. A my byliśmy wtedy zniesmaczeni całą sytuacją.

Tamten mecz musieliśmy wygrać, to wynikało z regulaminu rozgrywek. Naszym rywalom wystarczał remis, by to oni zameldowali się w finale mundialu. Niestety, na niespełna kwadrans przed końcem straciliśmy bramkę i niewiele już mogliśmy zrobić. Swoją okazję miał Kazimierz Kmiecik, ale

Maier zachował się bez zarzutu. To spotkanie miało sporą dramaturgię. O tym, że stać nas było na zwycięstwo, świadczyć może choćby mecz o trzecie miejsce z Brazylią, wygrany przez nas 1:0, a rozgrywany w normalnych warunkach. W zespole Canarinhos, którzy bronili mistrzostwa świata, grali tacy piłkarze jak Jairzinho czy Roberto Rivelino.

Tym bardziej żal, że nie udało się nam wygrać z RFN. Nigdy nie dowiemy się, co by było gdyby, ale uważam, że gracze RFN mocno się nas obawiali. Na płycie, która nie byłaby zalana, mogłoby być zupełnie inaczej. Niemcy musieli mierzyć się z ogromną presją – grali u siebie, ciążyły im oczekiwania kibiców. My pojechaliśmy na te mistrzostwa na większym luzie. Nie byliśmy uważani za faworytów, ale na pewno sam awans i odprawienie z kwitkiem Walii i Anglii w eliminacjach spowodowało, że znacznie wzrosła nasza samoocena. Uwierzyliśmy w swoje możliwości. Do samego turnieju też przygotowaliśmy się optymalnie.

Presję poczuliśmy dopiero po mundialu, w kolejnych kwalifikacjach do mistrzostw Europy, w których przyszło nam grać z takimi drużynami jak Holandia czy Włochy. Co prawda nie wywalczyliśmy awansu, ale skończyliśmy rywalizację na drugim miejscu w grupie, z takim samym dorobkiem punktowym co Holendrzy. To świadczy o regularności, klasie zespołu, gdy Kazimierz Górski był szkoleniowcem. Zostawił po sobie na pewno dobre pokolenie zawodników.

Trener Górski prezentował filozofię, która bardzo odpowiadała jego podopiecznym. Nie silił się na wielkie strategie. Odprawy były proste, choć czasem nieco długie. Czuło się przed nim ogromny respekt, mógł zrobić właściwie wszystko. Czasem zganił, czasem pochwalił, ale największym wyrazem uznania było powołanie na kolejne zgrupowanie. Oznaczało to, że w jego oczach zawodnik się sprawdził

i właściwie wypełniał powierzone mu zadania. Tworzyło to pełne zaufanie na linii trener – piłkarz, widoczne na każdym kroku. Rozumieliśmy się bez słów. To był prawdziwy szef, obiektywny i sprawiedliwy, który mógł być pewien, że każdy zawodnik odda dla niego na boisku całe serce. Traktował nas bardzo dojrzale. Nawet gdy przychodziło nam wypić piwko, mówił: „Jedno, proszę, nawet dwa, ale nie chcę słyszeć o trzecim czy czwartym". I wszyscy się do tego stosowaliśmy, byliśmy uczciwi i dobrze zorganizowani.

Lata 70. były bardzo trudnym okresem dla całego kraju. Trzeba było być bardzo ostrożnym, uważać na każde słowo. Ja akurat grałem w takich klubach, w których roiło się od zagrożeń, w końcu blisko nas była milicja. Nie można było sobie pozwolić na wszystko, nie brakowało inwigilacji, kontrola samego siebie była więc bardzo istotna. Tym bardziej cieszy, że daliśmy ludziom sporo radości i wytchnienia w tym trudnym czasie. Byliśmy grupą fajnych ludzi, którym chciało się dawać z siebie wszystko, by odnosić sukcesy. Zresztą w ówczesnych realiach jedyną możliwością, by uciec od codziennej szarości, był sport. I my z tego korzystaliśmy. Byliśmy w pełni oddani realizacji celu. To były inne czasy niż dziś, kierowaliśmy się nieco innymi wartościami. Ten okres wspominam zdecydowanie najlepiej z całej swojej kariery.

Kazimierz Górski tworzył naszą drużynę od 1971 roku. Wywalczyliśmy złoty medal igrzysk olimpijskich, po którym nastąpiła pewna zmiana pokoleniowa. Do kadry dołączyło kilku głodnych zwycięstw młodych zawodników. Mistrzostwa świata w RFN były niejako ukoronowaniem tego procesu. Pracy z Kazimierzem Górskim nie da się zapomnieć. Mieliśmy niesamowicie silny zespół. Wiadomo, w 1982 roku drużyna Antoniego Piechniczka powtórzyła nasz sukces i zasługuje na uznanie. Nie ujmując jednak nic tamtej ekipie, to było coś

innego. Zdarzały się jej na mistrzostwach słabsze mecze, remisy, wreszcie mecz o trzecie miejsce z Francją, która wystawiła rezerwowy skład. My przez cały turniej natomiast utrzymywaliśmy wysoką formę.

ANTONI SZYMANOWSKI

Data i miejsce urodzenia: 13 stycznia 1951 r., Tomaszów Mazowiecki.

W reprezentacji Polski: 82 mecze, 1 gol.

Debiut: 22 lipca 1970, Polska – Irak 2:0.

Osiągnięcia: złoty medal IO 1972, srebrny medal IO 1976, III miejsce MŚ 1974, uczestnik MŚ 1978. Członek Klubu Wybitnego Reprezentanta. Zawodnik Reprezentacji 100-lecia PZPN.

Kariera klubowa: Wisła Kraków, Gwardia Warszawa, Wisła Kraków, Gwardia Warszawa, Club Brugge (Belgia).

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (1978).

MIROSŁAW
SZYMKOWIAK

Fot. Paul Gilham / Getty Images

CZUŁEM SIĘ JAK PO WALCE MMA

13 października 2004, Cardiff
Walia – Polska 2:3 (0:0)

Bramki: Robert Earnshaw 56., John Hartson 90. – Tomasz Frankowski 72., Maciej Żurawski 81., Jacek Krzynówek 86.
Walia: Paul Jones – Mark Delaney, James Collins, Daniel Gabbidon, Benjamin Thatcher – Simon Davies, Robert Savage, Gary Speed (79. John Hartson), Jason Koumas (86. Paul Parry) – Robert Earnshaw, Craig Bellamy.
Polska: Jerzy Dudek – Marcin Baszczyński, Tomasz Hajto, Jacek Bąk (46. Tomasz Kłos), Tomasz Rząsa – Kamil Kosowski, Radosław Kałużny (71. Sebastian Mila), Mirosław Szymkowiak, Jacek Krzynówek – Piotr Włodarczyk (61. Tomasz Frankowski), Maciej Żurawski.
Żółte kartki: Savage, Koumas, Bellamy – Szymkowiak.
Sędziował: Alain Sars (Francja).

W reprezentacji Polski wystąpiłem łącznie 33 razy. Brałem udział w mistrzostwach świata w 2006 roku, ale najbardziej pamiętne 90 minut przyszło mi rozegrać prawie dwa lata wcześniej, kiedy to w październiku 2004 roku stoczyliśmy w walijskim Cardiff bój, który znacząco przybliżył nas do awansu na niemiecki mundial.

Grałem na wielu europejskich obiektach, między innymi na stadionie Realu Madryt czy Barcelony, gdzie kultura kibicowania jest jednak trochę inna niż na Wyspach Brytyjskich. Tam fani zazwyczaj zdzierają gardła, gdy ich

drużyna pędzi z atakiem lub zdobywa bramkę. Tak samo jest również w innych krajach. Myślałem, że podobnie będzie na Millenium Stadium. Wychodząc na rozgrzewkę przed meczem z Walijczykami, pomyślałem sobie: „No, to dopiero jest piknik". Szybko jednak zmieniłem zdanie.

Zaczęliśmy się rozgrzewać i jednocześnie spoglądałem na trybuny walijskiego stadionu. A tam, co wydało mi się bardzo dziwne, zasiadała tylko garstka ludzi. Pomyślałem, że chyba jesteśmy mało atrakcyjnym rywalem. Z minuty na minutę jednak sektory zaczęły się zapełniać. Gdy schodziliśmy do szatni, stadion był już pełny. Dla mnie to fenomen, że tuż przed samym meczem można zająć cały obiekt. Przecież w Polsce, gdy w barwach Wisły Kraków rozgrywałem mecze na przykład z Realem albo Barceloną, kibice już godzinę przed pierwszym gwizdkiem siedzieli na swoich krzesełkach, wyczekując pierwszego gwizdka.

Stojąc w tunelu tuż przed wyjściem na murawę, czułem coraz większą ekscytację, ale też zastanawiałem się, jak będzie wyglądała walka w środku pola. Grałem na środku pomocy, przeciwko Robbiemu Savage'owi. Ten, kto go pamięta z czasów klubowych i reprezentacyjnych, doskonale wie, jaki to typ zawodnika. „Przyjemniaczkiem" z pewnością bym go nie nazwał. To był brutalny, nieustępliwy, bardzo twardy piłkarz. Można powiedzieć, że taki „boiskowy bandyta".

Dopiero po odśpiewaniu Mazurka Dąbrowskiego zrozumiałem, co znaczy śpiewanie hymnu, gdy reprezentuje się swoje barwy narodowe. Wspaniała akustyka, głośny ryk kibiców. Później swoją narodową pieśń wykonali Walijczycy. Pierwszy raz w życiu dreszcze przeszły mi od stóp do głów. Od razu po zakończeniu hymnu zaczęliśmy się wzajemnie pytać: „Czujesz to samo? Tobie też przechodzą ciary?".

Byłem typem zawodnika, który wyznawał zasadę: „im głośniej na stadionie, tym lepiej”. Miałem tak, gdy występowałem w klubach i w reprezentacji. Wiedziałem, że będzie dobrze, mówiłem to też chłopakom. Zdecydowanie przyznam, że konfrontacja z Walią to najtrudniejszy mecz w mojej karierze. Przez 90 minut trzeba było wybiegać swoje. Zdarzały się bardzo ciężkie momenty, ale bark w bark dzielnie toczyliśmy boje z silnymi Walijczykami.

Niosła nas ułańska fantazja, bo przecież z kilkoma zawodnikami znałem się doskonale z gry w Wiśle Kraków. Można powiedzieć, że niekiedy graliśmy w ciemno. Wiedziałem, jak porusza się po boisku „Żuraw”. Mogłem spodziewać się sprintu „Franka”. Czy „Kosa” jest szeroko, czy „depnie”, a może zostanie? Takie rzeczy po prostu się czuło i wiedziało. Na boisku rozumieliśmy się doskonale.

Jak już wcześniej wspomniałem, przyszło mi grać na „zabijakę”, czyli Savage’a. Po pierwszym kontakcie z tym graczem wiedziałem, że to będzie bardzo ostra walka. Poturbował mnie kilka razy i jestem przekonany, że zrobił to celowo. Niby gdzieś schodził, niby wracał i tak „przypadkiem” stawał mi korkiem na stopę. Wówczas zrozumiałem, że muszę wytrzymać to ciśnienie. A nie jest to takie proste, bo przy takim napięciu, na obcym terenie, zawodnik może sobie z tym nie poradzić. Łatwo dać się sprowokować, złapać żółtą lub czerwoną kartkę i wylecieć z boiska.

Zawsze będę powtarzał, że tamten zwycięski mecz uświadomił mi wiele rzeczy: że nie wolno spoczywać na laurach, że piłka nożna to nie tylko przyjemna i piękna gra, ale także mordercza walka. Czasem trzeba zacisnąć zęby i dawać z siebie jeszcze więcej, niż pozwala nam na to organizm. Dzięki temu można stawać się jeszcze lepszym piłkarzem.

Walijczycy w większości występowali wówczas w Premier League i byli wybiegani. W Polsce tak nie było. Zwłaszcza grając w tak silnej Wiśle Kraków, gdzie można było strzelić do przerwy ze trzy bramki i później spokojnie wymieniać podania. Ja miałem to szczęście, że mogłem występować w drużynach, którym zawsze chciało się grać i wciąż przeć do przodu, niezależnie od wyniku. Mieliśmy takich piłkarzy jak Żurawski czy Frankowski, którzy nawet po wysokim zwycięstwie byli źli, jeśli nie wpisali się na listę strzelców.

Niedługo po powrocie ze zgrupowania reprezentacji trzeba było rozegrać mecz ligowy. Wróciłem wypruty, miałem trzy „sznyty", ze dwie na twarzy. Gdy zobaczył mnie trener Henryk Kasperczak, zapytał: „Biłeś się czy co? Może byłeś na jakiejś walce MMA?". Byłem tak poobijany, że potrzebowałem nieco czasu, żeby dojść do siebie. Nie powiedziałem jednak trenerowi, że nie dam rady wystąpić w ligowym meczu. Ugryzłem się w język i odparłem, że jestem gotów do kolejnej gry.

MIROSŁAW SZYMKOWIAK

Data i miejsce urodzenia: 12 listopada 1976 r., Poznań.

W reprezentacji Polski: 33 mecze, 3 gole

Debiut: 6 września 1997, Polska – Węgry 1:0.

Osiągnięcia: uczestnik MŚ 2006.

Kariera klubowa: Olimpia Poznań, Widzew Łódź, Wisła Kraków, Trabzonspor Kulübü (Turcja).

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (1996, 1997, 2001, 2003, 2004, 2005), Puchar Polski (2002, 2003), Puchar Ligi Polskiej (2001), Superpuchar Polski (1996, 2001).

PIOTR
ŚWIERCZEWSKI

Fot. Mike Hewitt / Allsport

SREBRNY KOLEKTYW

8 sierpnia 1992, Barcelona
Hiszpania – Polska 3:2 (0:1)

Bramki: Abelardo 65., Kiko 70., 90. – Wojciech Kowalczyk 45., Ryszard Staniek 75.
Hiszpania: Toni – Albert Ferrer, Lasa Goikoetxea (51. José Amavisca), Roberto Solozábal, Juan López Martinez – Luis Enrique, Josep Guardiola, Abelardo, Rafael Berges – Kiko, Alfonso.
Polska: Aleksander Kłak – Tomasz Łapiński, Marek Koźmiński, Tomasz Wałdoch – Ryszard Staniek, Jerzy Brzęczek, Dariusz Gęsior, Andrzej Kobylański, Marcin Jałocha (55. Piotr Świerczewski) – Andrzej Juskowiak, Wojciech Kowalczyk.
Żółte kartki: Wałdoch, Kowalczyk.
Sędziował: José Torres Cadena (Kolumbia).

Finał olimpijski w Barcelonie przeciwko Hiszpanom to bezwzględnie mój najważniejszy mecz w reprezentacji Polski. To było coś fantastycznego, po prostu prawdziwe piłkarskie święto. Na wypełnionym stadionie Camp Nou zasiadło wielu ważnych oficjeli, z królem Hiszpanii na czele. Gospodarze turnieju do meczu z nami nie stracili ani jednej bramki. Nikt nie wyobrażał sobie innego wyniku z Polakami niż zdecydowane zwycięstwo Hiszpanów.

W drużynie olimpijskiej byłem podstawowym zawodnikiem. Ale w meczu poprzedzającym finał przeciwko Australii nabawiłem się kontuzji kości ogonowej. Zażywałem silne leki przeciwbólowe. Mogłem grać, ale nie czułem się w pełni sił. Przyznam się, że trochę też pękałem. Bałem się, że grając

z kontuzją, nie dam rady, zawiodę kolegów. Miałem przecież dopiero 20 lat, a tu taki mecz…

W drugiej odsłonie spotkania, przy stanie 1:0 dla nas, trener Janusz Wójcik zapytał mnie: „Grasz czy nie grasz!?”. Zdecydowanie odpowiedziałem, że wchodzę! Wbiegając na murawę, miałem tak wysoki poziom adrenaliny, że nie odczuwałem bólu. Od razu wszedłem w mecz.

Ostatecznie przegraliśmy po bardzo wyrównanym pojedynku 2:3, ale i tak zdobycie srebrnego medalu olimpijskiego odbierane było przez wszystkich jako ogromny sukces reprezentacji. Nie wiem, czy jestem wystarczająco obiektywny, ale wydaje mi się, że sędzia tego meczu sprzyjał gospodarzom. Chodzi mi głównie o 65. minutę i rzekomy faul Jurka Brzęczka na hiszpańskim zawodniku. W efekcie po rzucie wolnym straciliśmy bramkę. Również i inne decyzje arbitra można było uznać za kontrowersyjne…

Z reprezentacją Polski miałem do czynienia od zawsze. Reprezentowałem kraj w kategoriach U-17, U-18, U-19 i U-21. Występy w koszulce z białym orłem były dla mnie zaszczytem. Do reprezentacji olimpijskiej byłem powołany jako jeden z najmłodszych graczy. Może dlatego tak mocno przeżyłem finał na Camp Nou. Często wracam myślami do tego meczu i całego turnieju.

W Hiszpanii szczególnie doskwierały nam straszliwe upały, przez które nie mogliśmy spać. Nakrywałem się zwilżonym prześcieradłem, co chwilę braliśmy zimny prysznic. Tak sobie myślę, że gdyby finał olimpijski odbywał się w bardziej sprzyjającej nam strefie klimatycznej, zdobylibyśmy złoty medal. Naprawdę byliśmy silni. Świadczy o tym chociażby to, że prawie wszyscy zawodnicy tej kadry mieli potem bardzo udane kariery w kraju i klubach zagranicznych. Była to fala niezwykle uzdolnionej piłkarskiej młodzieży.

Warto też wspomnieć o atmosferze, która panowała w tej drużynie. Byliśmy megazgranym kolektywem. Motywowanym dodatkowo przez trenera Janusza Wójcika w jedyny w swoim rodzaju sposób: „Skocz mu do gardła, dawaj z łokcia, jak nie wsadzisz mu palca w oko, to jesteś dupa, nie facet. Golimy frajerów". Trzeba też koniecznie wspomnieć o roli promotorów tej reprezentacji. Przede wszystkim o panu Zbigniewie Niemczyckim, który zapewnił nam znakomite warunki przygotowań do turnieju. Drużyna ta, dzięki Niemczyckiemu, a także Henrykowi Losce, prezesowi fundacji olimpijskiej, miała tę przewagę nad innymi, że w okresie przygotowawczym mogliśmy trenować m.in. w Arabii Saudyjskiej oraz Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Dlatego jakoś dawaliśmy radę w hiszpańskim upale.

Od zdobycia srebrnego medalu minął kawał czasu, a ja odczuwam to tak, jakbym zszedł z boiska na Camp Nou wczoraj. Igrzyska olimpijskie w Hiszpanii to piłkarska przygoda, która pozostanie w mojej pamięci na zawsze. Był to przecież ostatni naprawdę znaczący sukces polskich piłkarzy.

LOTOS

PIOTR ŚWIERCZEWSKI

Data i miejsce urodzenia: 8 kwietnia 1972 r.,
Nowy Sącz.

W reprezentacji Polski: 70 meczów, 1 gol.

Debiut: 26 listopada 1992, Argentyna – Polska 2:0.

Osiągnięcia: srebrny medal IO 1992, uczestnik MŚ 2002.
Członek Klubu Wybitnego Reprezentanta.

Kariera klubowa: Sandecja Nowy Sącz, Dunajec Nowy Sącz,
GKS Katowice, AS Saint-Étienne (Francja), SC Bastia (Francja),
Gamba Osaka (Japonia), Olympique Marsylia (Francja),
Birmingham City (Anglia), Lech Poznań, Cracovia, Lech Poznań,
Dyskobolia Grodzisk Wielkopolski, Korona Kielce,
Dyskobolia Grodzisk Wielkopolski, Polonia Warszawa,
ŁKS Łódź, Zagłębie Lubin, ŁKS Łódź, Tęcza Płońsk,
Tarnovia Tarnowo Podgórne.

Osiągnięcia: Puchar Polski (1991, 1993, 2004, 2007),
Superpuchar Polski (1991, 2003),
Puchar Ligi Polskiej (2007, 2008).

RYSZARD
TARASIEWICZ

POWOŁANIE Z GAZETY

16 czerwca 1986, Guadalajara
Polska – Brazylia 0:4 (0:1)

Bramki: Sócrates 30. k., Josimar 54., Edinho 78., Careca 82. k.
Polska: Józef Młynarczyk – Kazimierz Przybyś (60. Jan Furtok), Roman Wójcicki,
Stefan Majewski, Marek Ostrowski – Jan Karaś, Ryszard Tarasiewicz, Dariusz Dziekanowski, Jan Urban (84. Władysław Żmuda) –
Zbigniew Boniek, Włodzimierz Smolarek.
Brazylia: Carlos – Josimar, Júlio César, Edinho, Branco – Elzo, Sócrates (70. Zico), Alemão, Junior – Müller (74. Silas), Careca.
Żółte kartki: Boniek, Smolarek, Dziekanowski – Careca, Edinho.
Sędziował: Volker Roth (Niemcy).

W drużynie narodowej zaliczyłem dwa momenty, które uważam za szczególne. Pierwszy z nich to mój początek w reprezentacji Polski i debiut z Norwegią na wyjeździe, w Drammen. Drzwi do kadry otworzyły się przede mną po sezonie 1983/1984. Mieszkałem wówczas kątem u teściowej, czekaliśmy z żoną na odbiór nowego mieszkania, a dopiero co urodził mi się syn. O powołaniu dowiedziałem się w niecodziennych okolicznościach. Informacja przyszła nie z klubu, nie od trenera, tylko od... koleżanki żony. Zadzwoniła rano i powiedziała, że moje nazwisko jest na liście powołanych zawodników na towarzyski mecz z Norwegią.

Powołanie do kadry przepełniło mnie dumą, uznałem to za wielką nobilitację. Byłem bardzo zaskoczony, ale i szczęśliwy. Był 1984 rok, więc w reprezentacji Polski wciąż grało wielu piłkarzy, którzy dwa lata wcześniej wywalczyli trzecie miejsce na mistrzostwach świata. Mieliśmy naprawdę dobrych zawodników, więc tym bardziej cieszyłem się, że mogę dołączyć do elity. A w tamtym czasie w polskich klubach nie brakowało

znakomitych pomocników. Nieśmiało powiem, że przeczuwałem, że prędzej czy później trafię do reprezentacji Polski, aczkolwiek nie miałem na tym punkcie jakiejś obsesji. Po prostu byłem głodny gry. Piłka nożna sprawiała mi ogromną przyjemność. Treningi, rywalizacja, gra dla kibiców. To było coś, co mnie nakręcało.

Pojechałem z reprezentacją do Norwegii, a jako nowicjusz nie zawsze ma się okazję, żeby od razu wystąpić od pierwszych minut. Trafiłem jednak na okres, w którym zespół był budowany pod kątem kolejnych kwalifikacji do wielkich imprez, a do szatni wszedłem bez obaw i strachu.

Słuchanie hymnu narodowego jest wspaniałym uczuciem dla każdego sportowca. Zawsze przy Mazurku Dąbrowskiego czułem ogromną dumę, że mogę reprezentować swój kraj. Wychodziłem na arenę, było współzawodnictwo. Walczyłem dla ludzi, którzy mnie znali, i grałem dla kraju, w którym się urodziłem. Zawsze zależało mi, by zaprezentować się z jak najlepszej strony, i nie chciałem pokazywać słabości w trudnych momentach. W debiucie zostałem zmieniony w końcówce, ale wcześniej moją obecność na boisku udało się udokumentować strzelonym golem. Z Norwegami zremisowaliśmy 1:1.

Ważnym wydarzeniem w mojej karierze jest także występ na mistrzostwach świata. Mundial zawsze budził u wszystkich wielkie emocje. Przecież to impreza rozgrywana raz na cztery lata, a na powołanie trzeba było sobie mocno zapracować. Każdy z zawodników o tym wiedział. Trzeba być po prostu zdrowym i pokazywać wysoki poziom. Dlatego wyjazd na wielką imprezę jest spełnieniem marzeń każdego piłkarza. Trenuje się właśnie po to, żeby doświadczyć takich chwil.

Z Brazylią ponieśliśmy wysoką porażkę, ale nasz zespół też miał swoje sytuacje: piłka odbiła się od poprzeczki po piekielnie

mocnym uderzeniu Janka Karasia, ja również miałem swoją szansę, bo uderzyłem w słupek. Mecz mógłby ułożyć się zupełnie inaczej, gdyby nie postawa niemieckiego sędziego, który podyktował rzut karny dla Brazylijczyków za mój rzekomy faul na Carece w pierwszej połowie. Zderzyłem się z nim bark w bark. Bardziej to on mnie atakował niż ja jego. Myślałem, że będzie rzut wolny dla nas, a arbiter podyktował jedenastkę dla rywali, która potem została wykorzystana przez Sócratesa. Prowadzenie dało przeciwnikowi duży komfort. Oczywiście Brazylijczycy byli zespołem piłkarsko lepszym, to nie ulega wątpliwości, ale gdyby udało nam się wyjść na prowadzenie, losy meczu mogły być zupełnie inne.

Moją pozycją była prawa pomoc. Wiedziałem, co mam robić na boisku i jak się na nim ustawiać. Czułem się bardzo dobrze pod względem fizycznym, a to dawało mi dużą pewność siebie. Zwłaszcza przy takich warunkach atmosferycznych, bo z meksykańskiego nieba lał się niewiarygodny żar. Józek Młynarczyk robił w bramce, co mógł. Wydaje mi się, że przy wyniku 1:0 dla Brazylii powinniśmy grać rozsądniej. Akurat takim piłkarzom jak Brazylijczycy nie można było zostawić zbyt wiele miejsca, bo egzekucja mogła nadejść w każdej chwili. Tak się właśnie stało, rywale wykorzystali nasze błędy i zdobyli kolejne bramki. Nie mieliśmy zbyt wiele do powiedzenia.

Reprezentacja Polski mundial w 1986 roku zakończyła sromotną porażką z Brazylią, a na kolejną tego typu imprezę trzeba było czekać wiele lat. Po meczu Zbigniew Boniek powiedział, że biało-czerwoni nie zakwalifikują się na mundial przez następne 20 lat, co potem niemalże się sprawdziło. Myślę, że w 1986 roku nie mieliśmy słabszej reprezentacji niż ta, która lata wcześniej sięgała po medale mistrzostw świata i igrzysk olimpijskich. Czasami decydują po prostu detale. Różnie przecież mogły potoczyć się losy meczu z Peru na mundialu

w 1982 roku w Hiszpanii. Nie wyglądało to dobrze, potem worek z bramkami się rozwiązał i Polska sięgnęła po trzecie miejsce.

Graliśmy bardzo dobrze, ale czasem brakowało nam po prostu szczęścia. Mieliśmy generację niezłych piłkarzy, a nasz styl opierał się na wysokiej intensywności i niemałych umiejętnościach indywidualnych. Cieszę się i jestem dumny z tego, że miałem przyjemność reprezentować swój kraj i grać dla kibiców. Nie zawsze byłem pierwszym wyborem trenerów. Bywało, że rozgrzewałem się nawet 70–80 minut, a potem nie wchodziłem na boisko. Mój licznik w kadrze Polski zatrzymał się na 58 występach i dziewięciu strzelonych golach. Z tego dorobku mogę być dumny.

RYSZARD TARASIEWICZ

Data i miejsce urodzenia: 27 kwietnia 1962 r., Wrocław.

W reprezentacji Polski: 58 meczów, 9 goli.

Debiut: 29 sierpnia 1984, Norwegia – Polska 1:1.

Osiągnięcia: uczestnik MŚ 1986.

Kariera klubowa: Śląsk Wrocław, Neuchatel Xamax FC (Szwajcaria), AS Nancy-Lorraine (Francja), RC Lens (Francja), Besançon Racing Club (Francja), Étoile Carouge FC (Szwajcaria), Sarpsborg FK (Norwegia).

Osiągnięcia: Puchar Polski (1987).

JAN
TOMASZEWSKI

Fot. Peter Robinson / EMPICS / Getty Images

PAN KAZIMIERZ I BANICJA

10 października 1971, Warszawa
Polska – RFN 1:3 (1:1)

Bramki: Robert Gadocha 28. – Gerd Müller 29., 64., Jürgen Grabowski 70.
Polska: Jan Tomaszewski – Adam Musiał, Stanisław Oślizło, Jerzy Gorgoń,
Zygmunt Anczok – Zygfryd Szołtysik, Bronisław Bula (46. Antoni Kot),
Zygmunt Maszczyk – Jan Banaś (60. Jerzy Sadek),
Włodzimierz Lubański, Robert Gadocha.
RFN: Sepp Maier – Paul Breitner, Franz Beckenbauer, Klaus Fichtel, Hans-Georg Schwarzenbeck – Herbert Wimmer, Horst Köppel, Günter Netzer – Jürgen Grabowski, Gerd Müller, Jupp Heynckes.
Sędziował: Ferdinand Marschall (Austria).

W reprezentacji Polski rozegrałem dwa mecze, które zadecydowały o przebiegu mojej kariery. Pierwsze spotkanie to debiut w kadrze w październiku 1971 roku przeciwko Republice Federalnej Niemiec. Była to dość nietypowa sytuacja. Powołano mnie najpierw do młodzieżówki, a w pierwszej drużynie byli Jasiu Gomola i Piotrek Czaja. Niestety, Jasiu miał problemy z kręgosłupem i ze zgrupowania odesłano go do domu. Pozostał więc tylko jeden zdrowy bramkarz, więc trener Kazimierz Górski dokooptował mnie do reprezentacji Polski. Co więcej, wystawił mnie w pierwszym składzie! Mecz z RFN przegraliśmy 1:3, ale uważam, że to było najważniejsze spotkanie w moim życiu. Po tej porażce zostałem kozłem ofiarnym. Chciano mnie powiesić, skazać na banicję.

Rozegraliśmy pierwszy mecz o punkty z RFN po wojnie i to miał być rewanż za krzywdy wyrządzone w jej trakcie Polsce. Tak w każdym razie potraktowali to spotkanie kibice. Piłka nożna to gra zespołowa, więc wygrywamy razem, przegrywamy razem. Niestety, nie wszyscy tak uważali.

Niemcy mieli fantastycznych, utytułowanych zawodników. Po prostu bawili się grą. Po tym meczu zostałem praktycznie zlinczowany. Gdziekolwiek się pokazałem, od razu pojawiały się gwizdy i buczenie. Janek Tomaszewski był dla wielu synonimem człowieka przegranego. Gwizdano na mnie, gdy grałem w Legii Warszawa. Za każdym razem. Po sromotnej porażce w europejskich pucharach ze Steauą Bukareszt nie grałem już do końca sezonu. Byłem rezerwowym w Legii i wiedziałem, że nie mam już czego szukać w Warszawie. Podczas meczów ligowych rozmawiałem z kierownikami innych drużyn i szukałem nowego klubu. Mówili mi: „Damy ci znać, czy jest u nas wolne miejsce". Nikt jednak nie był mną zainteresowany. Wówczas powiedziałem sobie coś bardzo ważnego: „Będę pluł krwią na treningach i meczach, ale muszę wrócić do reprezentacji Polski".

Oczywiście, że niełatwo było zaakceptować wszystko, co się wokół mnie działo. Zostałem znienawidzony przez kibiców. Pomocną dłoń podał mi jednak ŁKS. W Łodzi trenowałem i ciężko pracowałem z jedną myślą w głowie: „Muszę wrócić do drużyny narodowej". Podczas zimowej przerwy ćwiczyłem z koszykarzami, siatkarzami, piłkarzami ręcznymi, a nawet hokeistami. Dlaczego z koszykarzami? Chciałem poprawić walkę w powietrzu. Nie chciałem rzucać, wolałem rywalizować z tymi „zwierzakami", które miały po dwa metry. Wcześniej myślałem: „Co tam ci koszykarze, paralitycy". Szybko jednak zmieniłem zdanie. Jeden mi przypierdzielił łokciem i znalazłem się w parterze. Potem grałem tak samo jak oni. Trenując

z siatkarzami zależało mi na odbijaniu piłek i bronieniu. W piłce ręcznej przygotowywałem się z Andrzejem Szymczakiem, najlepszym bramkarzem świata. Prosiłem tylko, żeby nie rzucano mi w twarz.

W ŁKS poczułem się potrzebny, zespół zaczął iść w górę. Stałem się ulubieńcem publiczności i znowu zwróciłem uwagę pana Kazimierza. Widział moje zacietrzewienie i wiedział, że haruję na treningach, nie tylko piłkarskich. Zresztą wszyscy wiedzieli, że Tomaszewski gra w koszykówkę, bo pisano o tym w prasie. Trener wyciągnął z tego wnioski i znowu dał mi szansę. Powołał mnie na ważny mecz z Walią. Oczywiście nadal pozostawałem „pupilem" kibiców i mówiono, że jestem najgorszym golkiperem w kraju, bo przegrałem mecz z RFN. Umiałem sobie jednak z tym radzić. Niektórzy pewnie poszliby „w długą", załamaliby się. Ja byłem inny, nie bałem się stawić czoła przeciwnościom losu. Po otrzymaniu powołania odczułem dużą ulgę. Uwierzyłem w siebie, pokonałem swój lęk.

Przed meczem z Walią wystąpiłem jeszcze w towarzyskim spotkaniu z USA w Łodzi. Zagraliśmy po połówce z Marianem Szeją i pogoniliśmy Amerykanów 4:0. Inna sprawa, że pewnie zamiast mnie mogliby na poprzeczce powiesić ręcznik i też byłby taki sam wynik. Pojechaliśmy do Cardiff, gdzie rozpoczynaliśmy eliminacje do mistrzostw świata. Przeczuwałem, że mam szansę zagrać od początku. Mieliśmy treningi taktyczne, można było się domyślić podstawowego składu. Pan Kazimierz jednak nie zdradzał swojego pomysłu aż do odprawy.

W dniu meczu z Walijczykami selekcjoner rzucił: „Panowie, idziecie na spacerek, a ty, panie kolego, zapraszam na chwileczkę do pokoju". Poszedłem, a w środku siedzieli wszyscy najważniejsi ludzie, cały sztab szkoleniowy z trenerem Górskim na czele. Pan Kazimierz przyznał: „Wszyscy wiemy, jaka jest

sytuacja i że przez ten mecz z RFN masz cały czas rzucane kłody pod nogi. Uważam, że to ty powinieneś dzisiaj bronić. Co ty na to?". Przed oczami mignęło mi wszystko, co przeżyłem: mecz z RFN, nienawiść kibiców, harówka na treningach. W jednej sekundzie przeszło mi przez myśl: „Kurwa, jak ta praca ma nie zaprocentować, to pójdę do kamieniołomu". Odpowiedziałem natychmiast, że jestem do dyspozycji. Później dowiedziałem się, że gdybym choć przez chwilę się zawahał, nie dostałbym tej szansy. Pan Kazimierz wiedział, co robi. Przecież to papież polskiej piłki!

W pierwszym meczu eliminacji mistrzostw świata przegraliśmy 0:2, ale ja zebrałem dobre recenzje. Tomaszewski wrócił do bramki. Nie psioczyli już na mnie tak jak wcześniej. Z Walią nie wygrałem, ale też nie przegrałem sam, jak z RFN. Później pokonaliśmy Anglików 2:0 na Stadionie Śląskim w Chorzowie, choć akurat wtedy nie miałem za dużo roboty. Grałem bardziej na przedpolu, ale nie miałem większego udziału w tym zwycięstwie. Nie było jadu ze strony dziennikarzy, ale też specjalnie mnie nie chwalili. Bardziej zaplusowałem u angielskich żurnalistów. Nikt jednak nie chciał mnie wyrzucać z kraju, jak to było dwa lata wcześniej. Później wygrałem rywalizację ze starszym o siedem lat Marianem Szeją i zostałem bramkarzem numer jeden w reprezentacji Polski.

Do dziś nie wiem, co się stało, ale Mariana na Wembley z Anglikami już nie było, a rezerwowym bramkarzem był Zygmunt Kalinowski. Może trener Górski nie chciał, żeby ciążyła na mnie presja, że doświadczony i zasłużony Szeja ma siedzieć na ławce. Zagrałem z Walijczykami i Anglikami. Pan Kazimierz szukał wysokich zawodników, a nie kurdupli. Mieliśmy podjąć walkę i się nie przestraszyć. Tak zaczęła się moja kariera w reprezentacji Polski, bo w kolejnych meczach byłem już wyborem numer jeden pana Kazimierza.

Te 180 minut zmieniło przebieg mojej kariery. To najważniejsze spotkania, jakie rozegrałem. Podkreślam – najważniejsze, a nie najsłynniejsze, bo do dzisiaj wielu kojarzy mnie z meczem na Wembley. Powiem jedno: udowodniłem wszystkim skurwysynom, którzy chcieli mnie wykończyć, że wygrywamy wszyscy i przygrywamy wszyscy. To piłka nożna. Określono mnie mianem człowieka, który zatrzymał Anglię. To nieprawda. Anglię zatrzymali pan Kazimierz i 11 zawodników. Dlaczego o tym mówię? Na Wembley popełniłem wiele błędów. Ale pan Kazimierz ustawił czwórkę silnych obrońców, którzy mieli mnie asekurować. Wiele razy dupę ratowali mi Mirek Bulzacki i Antek Szymanowski. Kilka piłek jednak też wybroniłem. Gdy piłka została zagrana wysoko, to skurczybyki szli na mnie we trzech i faulowali. Walczyłem na przedpolu, jak mogłem, a psim obowiązkiem kolegów było wskakiwanie do bramki, gdy ja wychodziłem. Super wykonali swoją robotę. To był mój najszczęśliwszy mecz w życiu, ale broń Boże nie najlepszy. Zostałem przygotowany do tego, żeby grać w reprezentacji. Nie było dywagacji, czy zagra Kalinowski, Fischer, tylko grał Tomaszewski. W końcu zostałem w Polsce uznanym bramkarzem.

Radość po meczu z Anglią oczywiście była, bo awansowaliśmy na mistrzostwa świata. Nie mogłem świętować sukcesu, bo całą noc nie spałem z bólu. W drugiej minucie meczu chciałem bowiem przetrzymać piłkę w polu karnym, a Anglicy rzucili się jak harty. Zobaczyłem nagle białą plamę. Jeden z zawodników tak mnie pieprznął, że do końca meczu musiałem grać z potwornym bólem. Zmrożono mi rękę i na chwilę puściło. Później w przerwie powtórzono ten zabieg i wytrzymałem do końcowego gwizdka.

Po meczu wszyscy poszliśmy na bankiet, a ja co jakiś czas musiałem szprycować się gardanem, czyli lekiem

przeciwbólowym. Nie było wtedy niczego innego. Ból był jednak nie do wytrzymania. Wszyscy się cieszyli i poszli na imprezę. Jako jedyny zostałem w hotelu. Moim jedynym zajęciem było picie gardanów. Spodziewałem się, że nieprędko zobaczę Leszka Ćmikiewicza, który był razem ze mną w pokoju. O piątej rano zszedłem na dół. Chciałem po prostu się przejść, skoro i tak nie mogłem zasnąć. Szedłem obok recepcji, a tam pobojowisko. Nikogo w pobliżu, a dookoła ogromny bajzel. Wyszedłem w końcu z hotelu, a w kioskach czołówki angielskich gazet oznajmiały, że nastąpił koniec świata. Mówiono i pisano o nas wszędzie. Adrenalina powoli zaczęła ze mnie schodzić i dopiero wtedy zaczęło do mnie docierać, co tak naprawdę się stało. Mecz z Anglią nie był jednak najważniejszy w mojej karierze, przełomem były dla mnie spotkania z RFN i Walią. Gdyby nie one, Wembley by się nie wydarzyło.

JAN TOMASZEWSKI

Data i miejsce urodzenia: 9 stycznia 1948 r., Wrocław.

W reprezentacji Polski: 63 mecze, 0 goli.

Debiut: 10 października 1971, Polska – RFN 1:3.

Osiągnięcia: III miejsce MŚ 1974, srebrny medal IO 1976, uczestnik MŚ 1978. Członek Klubu Wybitnego Reprezentanta.

Kariera klubowa: Śląsk Wrocław, Gwardia Wrocław, Śląsk Wrocław, Legia Warszawa, ŁKS Łódź, Koninklijke Beerschot VAC (Belgia), Hercules CF (Hiszpania), ŁKS Łódź.

JAN
URBAN

PRYWATNYM SAMOLOTEM
PO ZWYCIĘSTWO

30 maja 1985, Tirana
Albania – Polska 0:1 (0:1)

Bramka: Zbigniew Boniek 24.
Albania: Perlat Musta – Hysen Zmijani, Muhedin Targaj, Skënder Hodja,
Bedri Omuri – Fatbardh Jera, Shkëlqim Muça (62. Kristaq Mile),
Sulejman Demollari (81. Stavri Marko), Mirel Josa – Arben Minga, Agustin Kola.
Polska: Józef Młynarczyk – Krzysztof Pawlak, Roman Wójcicki, Kazimierz Przybyś,
Marek Ostrowski – Waldemar Matysik, Andrzej Buncol,
Jan Urban (88. Ryszard Tarasiewicz),
Dariusz Dziekanowski – Zbigniew Boniek, Włodzimierz Smolarek.
Sędziował: Jordan Żeżow (Bułgaria).

Z czasów mojej kariery reprezentacyjnej najbardziej zapadły mi w pamięć kwalifikacje do mistrzostw świata w 1986 roku. Grupa, do której trafiliśmy, była dość wyrównana. Emocji w niej nie brakowało – musieliśmy między innymi wygrać wyjazdowy mecz z Grecją w Atenach, a także z Albanią w Tiranie, bo później czekał nas jeszcze bój z Belgią. Co do Albanii, w pamięci pozostały mi bunkry. Nie byliśmy wtedy specjalnie rozwiniętym krajem, ale w porównaniu z Albanią staliśmy na naprawdę wysokim poziomie. Specyfika tego państwa robiła ogromne wrażenie. Rozglądając się wokół, widzieliśmy, że musiało się tam naprawdę wiele dziać.

Pamiętam, że Zbyszek Boniek doleciał na ten mecz prywatnym samolotem. Niewiele wcześniej rozegrał bowiem spotkanie w barwach Juventusu i bez tego rodzaju transportu z pewnością by nie zdążył. Jak na tamte czasy było to spore wydarzenie. Co więcej, to właśnie gol Zbyszka dał nam zwycięstwo i niezwykle ważne trzy punkty, które sprawiły, że znaleźliśmy się w dużo lepszej sytuacji w grupie eliminacyjnej.

Wcześniej zagraliśmy kapitalne spotkanie w Grecji i wygraliśmy 4:1. O naszym awansie miał zadecydować jednak mecz z Belgią, w którym wystarczał nam remis. I tak się właśnie stało – zremisowaliśmy 0:0 i zapewniliśmy sobie udział w meksykańskich mistrzostwach świata. Ostatni mecz kwalifikacji rozgrywaliśmy przy kapitalnej publiczności – Stadion Śląski wypełnił się po brzegi, trudno byłoby tam wcisnąć choćby szpilkę. Wtedy człowiek sobie wyobrażał – na mistrzostwach świata to dopiero będzie się działo!

Rzeczywistość przyniosła jednak rozczarowanie. Nie tak wyobrażałem sobie mundial w Meksyku. Zamieszkaliśmy w jakimś dziwnym ośrodku poza miastem, nikogo nie było w pobliżu. Byliśmy cały czas pilnowani, tylko raz trener Antoni Piechniczek zgodził się, żebyśmy się stamtąd wyrwali. Siedząc zamknięty w centrum treningowym, nie czuje się jednak atmosfery mistrzostw. Przed wyjazdem człowiek wyobraża sobie, że cały kraj żyje turniejem i będzie mu dane poczuć ten klimat. Tymczasem my zostaliśmy całkowicie od tego odcięci. Jedynym miejscem, w którym mieliśmy do czynienia z mistrzostwami, była Guadalajara. W drodze na mecz z Brazylią widać było, że coś się dzieje. Poza tym kompletnie nic – nawet gdy jechaliśmy na spotkania w fazie grupowej, na trybunach zasiadało tylko kilkanaście tysięcy kibiców. W Meksyku brakowało nam rodaków, bo odległość od Polski była zbyt duża. Boiska też były typowo

południowoamerykańskie – miękkie, przypominające gąbkę podłoże, wysoka trawa. Nie ma co, znacząco różniły się od europejskich „dywanów". Ogółem byłem trochę rozczarowany całymi mistrzostwami, obiecywałem sobie po nich znacznie więcej. Ten mundial nie zapadł mi w pamięć.

W Polsce czuć było wtedy wielki głód sukcesu. To, jak wielką porażką okrzyknięto nasz występ na meksykańskich mistrzostwach świata, wynikało z faktu, że na wcześniejszych mundialach sięgaliśmy po medale. Nadzieje w ojczyźnie były więc ogromne. Mistrzostwa jednak nam nie wyszły, a po nich Zbyszek Boniek rzucił swoją słynną klątwę, która jednak ostatecznie została „skrócona" o cztery lata. Moim zdaniem powinniśmy wygrać mecz z Marokiem. Z grupy wychodziły trzy zespoły i awansowaliśmy do dalszej fazy właśnie z tego miejsca. Pierwszą pozycję zdobyło Maroko, a do domu pojechali Portugalczycy. Trafiliśmy na Brazylię, czyli ekipę z najwyższej półki. Paradoksalnie czuliśmy się wtedy najlepiej, według mnie znajdowaliśmy się w najlepszej dyspozycji w trakcie całego turnieju, ale Canarinhos nas wypunktowali.

Dla mnie mistrzostwa świata były właściwie początkiem kariery reprezentacyjnej. Zadebiutowałem przecież w lutym 1985 roku. Później wskoczyłem do zespołu na kwalifikacje i po półtora roku mieliśmy już mundial. Wydaje mi się, że niektórzy zawodnicy z tamtego zespołu zbyt wcześnie zrezygnowali z występów w kadrze. Przykładem może być Zbyszek Boniek, który miał przecież tylko 30 lat, a po mundialu wystąpił jeszcze tylko w dwóch spotkaniach reprezentacji. Józek Młynarczyk mógł z powodzeniem bronić dalej, zabrakło też Andrzeja Buncola, który skończył grę z powodu zawirowań politycznych. Później nie brakowało młodych piłkarzy mających świetne umiejętności, ale gdyby mieli oni wsparcie tej starszej generacji, zmiany w drużynie narodowej mogłyby nie być tak bolesne.

Czas pokazał, że reprezentacja osiągała słabsze wyniki, niż wskazywałby na to potencjał poszczególnych zawodników. Większość z nich grała już przecież w niezłych klubach silnych lig i radziła sobie w nich bardzo dobrze. Wdowczyk, Furtok, Dziekanowski, Tarasiewicz – to nie były przypadkowe nazwiska, lecz ludzie stanowiący o sile swoich zespołów.

Za kadencji trenera Andrzeja Strejlaua właściwie już nie grałem w kadrze, choć nie wiem dlaczego. Walczyliśmy w kwalifikacjach do mistrzostw Europy, w których miało wziąć udział tylko osiem reprezentacji, sito było więc niebywale gęste. Dziś na tym turnieju gra trzy razy więcej zespołów. Ktoś może powiedzieć, że tamta kadra nie miała sukcesów, ale trzeba pamiętać, jak trudno było wywalczyć awans. Byliśmy blisko awansu, do końca walczyliśmy o osiągnięcie celu. W trakcie ostatniego spotkania z Anglią wyniki tak się układały, że w przerwie byliśmy nawet finalistami, ale ostateczne rozstrzygnięcia wyeliminowały nas z udziału w turnieju.

JAN URBAN

Data i miejsce urodzenia: 14 maja 1962 r., Jaworzno.

W reprezentacji Polski: 57 meczów, 7 goli.

Debiut: 6 lutego 1985, Bułgaria – Polska 2:2.

Osiągnięcia: uczestnik MŚ 1986.

Kariera klubowa: Victoria Jaworzno, Zagłębie Sosnowiec, Górnik Zabrze, CA Osasuna (Hiszpania), Real Valladolid (Hiszpania), CD Toledo (Hiszpania), VfB Oldenburg (Niemcy), Górnik Zabrze.

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (1986, 1987, 1988), Superpuchar Polski (1988).

TOMASZ
WAŁDOCH

ZŁOTY POLONEZ
NA SZCZĘŚCIE

8 sierpnia 1992, Barcelona
Hiszpania – Polska 3:2 (0:1)

Bramki: Abelardo 65., Kiko 70., 90. – Wojciech Kowalczyk 45., Ryszard Staniek 75.
Hiszpania: Toni – Albert Ferrer, Lasa Goikoetxea (51. José Amavisca),
Roberto Solozábal, Juan López Martinez – Luis Enrique, Josep Guardiola,
Abelardo, Rafael Berges – Kiko, Alfonso.
Polska: Aleksander Kłak – Tomasz Łapiński, Marek Koźmiński, Tomasz Wałdoch – Ryszard Staniek, Jerzy Brzęczek, Dariusz Gęsior, Andrzej Kobylański, Marcin Jałocha (55. Piotr Świerczewski) – Andrzej Juskowiak, Wojciech Kowalczyk.
Żółte kartki: Wałdoch, Kowalczyk.
Sędziował: José Torres Cadena (Kolumbia).

Rozegrałem wiele ważnych spotkań z orzełkiem na piersi. Udało mi się awansować z drużyną narodową na mistrzostwa świata, wystąpiłem na mundialu w Korei i Japonii. Ale gdybym miał wybrać mecz, który najbardziej utkwił mi w pamięci, to tak jak kilku moich kolegów z boiska wybiorę finał igrzysk olimpijskich z Hiszpanią w 1992 roku.

Oczywiście, spotkaniu z Norwegią w 2001 roku, po którym awansowaliśmy na mundial, także towarzyszyły ogromne emocje, nobilitacją były również mecze na mundialu, bo mogłem uczestniczyć w wielkiej imprezie piłkarskiej. Ale po wielu latach wracam głównie do tego pamiętnego finału na

Camp Nou. Byłem bardzo młodym zawodnikiem, a miałem przyjemność być w samym centrum tego wszystkiego.

Już sam stadion w Barcelonie robił ogromne wrażenie. My, młode chłopaki, nie mieliśmy w Polsce takich warunków. Dla wielu z nas gra na takim kolosie była dużym wydarzeniem. Frekwencja na trybunach dopisała, na obiekcie pojawiło się około 100 tysięcy kibiców, włącznie z hiszpańskim królem. Do dzisiaj, gdy wracam pamięcią do tamtego dnia, mam gęsią skórkę, gdy przypomnę sobie wrzawę kibiców na Camp Nou.

Pamiętam naszą rozgrzewkę. Nie odbyła się na boisku, przygotowano dla nas specjalne pomieszczenia obok szatni. Wszystko było ogromne i świetnie wyposażone – bieżnie, baseny i tak dalej. Byliśmy jednak już tak mocno nakręceni poprzednimi spotkaniami, że nie musieliśmy jakoś specjalnie się rozgrzewać. Znajdowaliśmy się w transie i to było po nas widać. Głowa odgrywała wówczas ogromną rolę.

Część zawodników siadała gdzieś z boku, zakrywała twarz dłońmi i w ten sposób koncentrowała się przed najważniejszym meczem w życiu. To nie był odpoczynek, tylko przygotowanie mentalne. Oczywiście, każdy motywował się na swój sposób, ale w szatni nie brakowało też słów charyzmatycznego trenera Janusza Wójcika. Mówił rzeczy w stylu: „Aluś, jak ty wychodzisz do wrzutki, to kości muszą pękać". Nie było to dla nas nowością, bo słuchaliśmy podobnych przemów wcześniej. Spodziewaliśmy się takiej odprawy i wiem, że była nam potrzebna. „To już finał! Panowie, cały świat na was patrzy. Jest król Hiszpanii, gramy z gospodarzami. Oni jeszcze nie stracili bramki!" – rzucał hasłami trener Wójcik. Byliśmy tak naładowani, że moglibyśmy pójść za nim w ogień. I tak było później na boisku. Wyszliśmy na murawę, rywalizowaliśmy z Hiszpanami jak równy z równym. Po trafieniu Wojtka

Kowalczyka strzeliliśmy pierwszego gola i zeszliśmy do szatni z jednobramkowym prowadzeniem.

Grę niezwykle utrudniał nam potworny upał. Dokuczał każdemu. Po zejściu do szatni część z nas wskoczyła do zimnej wody, żeby się schłodzić. Ale tylko na chwilę, bo później zawołał nas trener, który miał coś do powiedzenia. Wyszliśmy na drugą połowę, walczyliśmy ostatkami sił. Zostawialiśmy na boisku mnóstwo zdrowia. Ale po zmianie stron sytuacja nie potoczyła się po naszej myśli. Szybko straciliśmy dwie bramki. Strzeliliśmy jednak wyrównującego gola, do siatki trafił Rysiek Staniek. Zdobyliśmy bramkę, grając z jednym zawodnikiem mniej, bo poza linią opatrywany był Wojtek Kowalczyk.

Coś tam w końcu potrafiliśmy, postawiliśmy się Hiszpanii. Okazało się, ze gospodarze nie mają obrony, której nie dałoby się sforsować. To nas uskrzydliło. Dlatego tym bardziej końcówka tego spotkania siedzi wszystkim w głowach do dzisiaj. Myśmy padali, oni też już słaniali się na nogach. Patrzyliśmy na zegar, sprawdzaliśmy, ile czasu zostało do końca spotkania. Zastanawiałem się, jak w ogóle przeżyjemy dogrywkę, bo w grę wchodziło dodatkowe pół godziny morderczej walki.

Dogrywka było blisko, ale ostatnie słowo należało do naszych rywali. Bramkę na 3:2 dla przeciwników zdobył Kiko – zawodnik, którego miałem pilnować przy stałych fragmentach gry. Straciliśmy gola, a nasze marzenie się rozwiało. Koniec meczu – rozczarowanie, padliśmy na murawę, a potem ze spuszczonymi głowami zeszliśmy do szatni. Później z ust Jurka Brzęczka padły słowa: „Panowie, ale przecież wywalczyliśmy medal. Medal na igrzyskach olimpijskich!”. I na naszych twarzach pojawił się uśmiech. Zeszło z nas towarzyszące finałowi napięcie, adrenalina. Mimo wszystko byliśmy bardzo szczęśliwi.

Do kraju mogliśmy wrócić z podniesioną głową. Nikt na nas nie stawiał, nikt na nas nie liczył, a przecież przywieźliśmy medal. W Polsce bardzo miło nas uhonorowano – potraktowano nas jak złotych chłopaków z igrzysk olimpijskich i każdy zawodnik dostał w nagrodę złotego poloneza. Wykorzystaliśmy jedną jedyną szansę, bo wiedzieliśmy, że nigdy więcej nie wystąpimy na takiej imprezie.

Srebrny medal z igrzysk olimpijskich mam do dzisiaj. Po wielu latach trochę zmienił kolor. Przyjdzie moment, że oddam go na aukcję charytatywną – może będzie z niego jeszcze jakiś pożytek. Zawsze, gdy na niego spoglądam, wracają do mnie tamte przeżycia, cudowne wspomnienia, które pozostaną we mnie na zawsze.

TOMASZ WAŁDOCH

Data i miejsce urodzenia: 10 maja 1971 r., Gdańsk.

W reprezentacji Polski: 74 mecze, 2 gole.

Debiut: 21 sierpnia 1991, Polska – Szwecja 2:0.

Osiągnięcia: srebrny medal IO 1992, uczestnik MŚ 2002. Członek Klubu Wybitnego Reprezentanta.

Kariera klubowa: Stoczniowiec Gdańsk, Górnik Zabrze, VfL Bochum, Schalke 04 Gelsenkirchen, Jagiellonia Białystok.

Osiągnięcia: Puchar Niemiec (2001, 2002).

JÓZEF

WANDZIK

MORZE IRLANDZKICH GŁÓW

1 maja 1991, Dublin
Irlandia – Polska 0:0

Irlandia: Patrick Bonner – Dennis Irwin, Kevin Moran, David O'Leary, Stephen Staunton – Raymond Houghton, Kevin Sheedy, Paul McGrath,
Andrew Townsend – Niall Quinn (72. Anthony Cascarino), John Aldridge (69. Bernard Slaven).
Polska: Józef Wandzik – Dariusz Kubicki, Czesław Jakołcewicz, Piotr Soczyński,
Dariusz Wdowczyk – Robert Warzycha, Ryszard Tarasiewicz, Piotr Czachowski,
Roman Szewczyk – Jan Urban (87. Michał Gębura), Jan Furtok (89. Roman Kosecki).
Żółte kartki: Soczyński, Tarasiewicz, Warzycha.
Sędziował: John Blankenstein (Holandia).

Trochę meczów w reprezentacji narodowej rozegrałem, zebrało się ich łącznie ponad 50. W mojej pamięci najmocniej utkwiło chyba zremisowane 0:0 spotkanie z Irlandią w Dublinie, w ramach kwalifikacji do turnieju finałowego Euro 1992. Tym występem wzbudziłem zainteresowanie angielskich klubów, pozytywnie wypowiadał się na mój temat także legendarny Jack Charlton, ale niestety, nic ostatecznie z tego transferu nie wyszło.

Aby zagrać w Dublinie, musiałem wygrać walkę o miejsce w bramce z Jarkiem Baką, z którym rywalizowaliśmy właściwie już od juniorów. Można powiedzieć, że w pewnym sensie byliśmy na siebie skazani. Gdy seniorska reprezentacja rozgrywała mecze towarzyskie, w wielu z nich graliśmy po 45 minut. Tego typu konkurencja zawsze nakręca, pozwala wejść na wyższy poziom. W Panathinaikosie, w którym

występowałem na co dzień, takiej rywalizacji nie było. W Atenach miałem młodszych konkurentów, jeden z nich zdobył później nawet mistrzostwo Europy z Grecją, ale w tamtym czasie byłem zdecydowanie numerem jeden w bramce zespołu. Wracając do reprezentacji: dużo mówiło się, że kadra była podzielona na dwie grupy – śląską i warszawską. To nieprawda, wymysły dziennikarzy. Wszyscy trzymaliśmy się razem, nie miało znaczenia, skąd ktoś jest. Cieszyłem się z tej atmosfery, a także z faktu, że w reprezentacji mam okazję z kimś porywalizować, bo to zawsze rozwija. Walka o miejsce w składzie przebiegała na zdrowych warunkach, atmosfera w zespole i między bramkarzami była bardzo pozytywna. Tak się złożyło, że przed starciem z Irlandią to ja zostałem tym wygranym i znalazłem się w wyjściowym składzie.

Trener Andrzej Strejlau postawił w tym spotkaniu na dość ofensywny wariant. W przodzie zdecydował się na Jasia Urbana i Jasia Furtoka. Obaj byli akurat w sporym gazie, więc liczyliśmy, że pomogą nam wywieźć z Irlandii korzystny dla nas rezultat. Gospodarze znajdowali się jednak też w bardzo dobrym momencie. W bramce mieli Pata Bonnera, w obronie Irwina, w ataku Quinna. Urywali punkty najlepszym, rozwijali się w szybkim tempie. To właśnie oni przeważali, choć my także mieliśmy swoje sytuacje. Zresztą szkoleniowiec Irlandczyków po meczu powiedział, że nie spodziewał się, iż będziemy w stanie nawiązać równorzędną walkę.

Nie byliśmy na pewno faworytem, ale zaprezentowaliśmy się z dobrej strony. Duże wrażenie zrobił na nas sam obiekt, na którym przyszło nam grać. To był stadion w starym angielskim stylu. Wypełnił się po brzegi, na trybunach było wielkie morze ludzkich głów. Zresztą już dzień przed meczem całe miasto żyło tym spotkaniem. Bary i puby były pełne kibiców, dało się odczuć, że to niezwykle ważne dla Irlandczyków wydarzenie.

Polska grupa też się tam oczywiście przewijała, więc łatwo było poczuć atmosferę piłkarskiego święta. Kibice z Wysp Brytyjskich bardzo żywiołowo reagują na boiskowe wydarzenia, można się błyskawicznie nakręcić. Co ciekawe, potrafili też docenić umiejętności rywala, niektóre zagrania nagradzając nawet brawami. To bardzo pozytywne i rzadko spotykane zachowanie. Byliśmy bardzo zmobilizowani, a ja po dwóch udanych interwencjach nabrałem dużej pewności siebie.

Irlandczycy w tym spotkaniu zagrali niezwykle twardo. Nie oszczędzali nas, sam przy próbie interwencji oberwałem łokciem w głowę. Dziś sędziowie bardzo restrykcyjnie podchodzą do takich przewinień, w tamtym czasie bywało, że nawet nie odgwizdywali faulu. Taktyka Irlandczyków była w sumie dość prosta – Pat Bonner wybijał piłkę jak najdalej, czasem nawet w obręb naszego pola karnego, i trzeba było walczyć. Na szczęście mieliśmy wysokich środkowych obrońców, więc mogliśmy im się postawić. Zanim się jednak połapaliśmy, gospodarze stworzyli sobie w ten sposób okazję bramkową. Może dobrze się złożyło, że już na samym początku miałem okazję się wykazać – dzięki temu podbudowałem swoją pewność siebie, wszedłem w rytm i złapałem pełną koncentrację. Nie dałem się i zachowałem czyste konto.

Nie da się ukryć, że trochę sprzyjało nam też szczęście. Brytyjczycy mają to do siebie, że najpierw przestrzegają nakreślonej przed meczem taktyki, a później, już na fantazji, rozpoczynają szturm. Z takimi rywalami gra się bardzo trudno, są niezwykle wymagający i nieprzewidywalni. Raz uratował mnie Darek Kubicki, wybijając piłkę z linii bramkowej. Czułem się jednak bardzo pewnie. A gdy bramkarz ma swój dzień, trudno go pokonać. Przyciąga piłki niczym magnes i tak też chyba było w moim przypadku w Dublinie. Z każdą kolejną udaną interwencją rosłem.

Remis wywieziony z Dublina pozwolił nam pozostać w grze o awans do turnieju finałowego Euro 1992. Wywalczyliśmy jeden punkt na piekielnie trudnym terenie, mogliśmy się z tego cieszyć. Później nawet przez chwilę mogliśmy czuć się finalistami, ale ostatecznie się nie udało, czegoś zabrakło. O naszym niepowodzeniu zadecydowało chyba rewanżowe spotkanie z Irlandią. Gdybyśmy u siebie wygrali, zapewne zaliczylibyśmy awans. Teraz można jedynie gdybać, ale prawda jest taka, że każda dekada w futbolu reprezentacyjnym ma swoją charakterystykę. W latach 90. ubiegłego stulecia nie szło nam najlepiej, nie zakwalifikowaliśmy się na żaden międzynarodowy turniej, choć czasami było blisko.

Sam poczułem smak mistrzostw świata w 1986 roku. Trochę gier w kadrze zaliczyłem, ale na pewno w historii reprezentacji byli ode mnie lepsi, którzy zagrali w reprezentacji mniej spotkań. Nie uważam się za czołówkę polskich bramkarzy na przestrzeni lat, choć jakiś – wcale nie taki najsłabszy – poziom reprezentowałem. Mogę jednak być zadowolony, bo trafiłem na wspaniałych kolegów i dobrych trenerów. Takie przyjaźnie zostają na lata i to jest chyba największe zwycięstwo.

JÓZEF WANDZIK

Data i miejsce urodzenia: 13 sierpnia 1963 r., Tarnowskie Góry.

W reprezentacji Polski: 52 mecze.

Debiut: 8 grudnia 1985, Tunezja – Polska 1:0.

Osiągnięcia: uczestnik MŚ 1986.

Kariera klubowa: Rodło Górniki, Ruch Chorzów, Górnik Zabrze, Panathinaikos AO (Grecja), Apollon Smyrnis (Grecja),

Athinaikos AS (Grecja).

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (1985, 1986, 1987, 1988),
mistrzostwo Grecji (1991, 1995, 1996),
Puchar Grecji (1993, 1994, 1995),
Superpuchar Polski (1988).

ROBERT
WARZYCHA

Fot. Eugeniusz Warmiński / East News

POLAKÓW NIE WOLNO LEKCEWAŻYĆ

14 października 1992, Rotterdam
Holandia – Polska 2:2 (1:2)

Bramki: Peter van Vossen 44., 48. – Marek Koźmiński 19., Wojciech Kowalczyk 21.
Holandia: Stanley Menzo – Berry van Aerle, Ronald Koeman, Frank Rijkaard (80. Henk Fraser), Robert Witschge – Wim Jonk, Dennis Bergkamp, Jan Wouters – Peter van Vossen, Marco van Basten,
Arthur Numan (40. Gerald Vanenburg).
Polska: Jarosław Bako – Piotr Czachowski (40. Marek Rzepka), Roman Szewczyk, Andrzej Lesiak, Marek Koźmiński – Dariusz Adamczuk, Jerzy Brzęczek, Robert Warzycha, Jacek Ziober – Roman Kosecki, Wojciech Kowalczyk (68. Włodzimierz Smolarek).
Żółta kartka: Adamczuk.
Sędziował: Arcangelo Pezzella (Włochy).

W mojej pamięci szczególne miejsce do dziś zajmuje spotkanie z Holandią, rozegrane w ramach kwalifikacji do turnieju finałowego mistrzostw świata w 1994 roku. Prowadziliśmy 2:0 z kapitalnym zespołem, rywale doprowadzili do wyrównania, a w ostatnich minutach Włodzimierz Smolarek mógł zdobyć bramkę, która dałaby nam zwycięstwo. Wielkich emocji z pewnością wtedy nie brakowało.

Pamiętam, że mimo udanego początku eliminacji i zwycięstwa z Turcją trener Andrzej Strejlau był dość mocno krytykowany. Taka jednak jest już praca selekcjonera reprezentacji narodowej – niezależnie od wyników drużyny znajdą się tacy, którym wiecznie coś się nie podoba. Człowiek

pełniący taką funkcję nigdy nie ma łatwo, każdy szkoleniowiec na tym stanowisku musi się z tym liczyć. Wewnątrz kadry nie było jednak dramatu, nikt nie przejmował się tym, co pisano w mediach. Pod ostrzałem i presją, ale niezwiązaną bezpośrednio z meczem, znalazł się Romek Kosecki. Pan Włodzimierz Lubański prowadził z nim rozmowy, trwała saga transferowa z udziałem „Kosy". On sam był poobijany, miał problemy z obojczykiem. Każdy chce jednak grać, więc Romek znalazł się w wyjściowym składzie na mecz z Holandią. Nic w tym dziwnego – trener zawsze chce mieć do dyspozycji jak najsilniejszy skład. Jak się okazało, była to słuszna decyzja, bo Roman znacząco pomógł nam zremisować ten mecz.

Nasza reprezentacja nie należała wówczas do europejskiej czołówki. Indywidualnie zawodnicy w swoich klubach prezentowali się bardzo dobrze, ale w oczach holenderskich kibiców to spotkanie miało być dla ich ulubieńców spacerkiem. W związku z tym na trybunach stadionu w Rotterdamie zasiadło zaledwie kilkanaście tysięcy osób. Dla odmiany w rewanżowym spotkaniu, rozegranym w Poznaniu, holenderską kadrę wspierała potężna grupa kibiców, która przyjechała do Polski. Może po pierwszym starciu zauważyli, że nie można nas lekceważyć…

Nazwiska holenderskich piłkarzy robiły wrażenie: Marco van Basten, Dennis Bergkamp czy Ronald Koeman byli gwiazdami futbolu. Mimo to wyszliśmy na murawę bez żadnych kompleksów, nie było przecież sensu roztrząsać tego, z kim przyjdzie nam się zmierzyć. Gospodarze przycisnęli nas od pierwszych minut, ale spotkanie ułożyło się dla naszego zespołu świetnie. Najpierw do siatki trafił Marek Koźmiński, a następnie Wojtek Kowalczyk. Objęliśmy prowadzenie 2:0, co dla Oranje musiało być nie lada szokiem.

Holendrzy ruszyli na nas z jeszcze większą wściekłością. Niestety, tuż przed przerwą straciliśmy bramkę. Myślę, że to był kluczowy moment tego spotkania. Gdybyśmy dowieźli do przerwy wynik 2:0, nie wypuścilibyśmy już tego zwycięstwa z rąk. Stracony gol zachwiał jednak nieco naszym poczuciem pewności siebie. Zaraz po wznowieniu gry zrobiło się 2:2, a po raz drugi ukąsił nas Peter van Vossen. Przez cały mecz się broniliśmy, założenia bowiem były takie, że będziemy grać z kontrataku. Nie było sensu podchodzić do Holendrów wyższym pressingiem, bo mogłoby się to dla nas skończyć fatalnie. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, ale ostatecznie nie zdołaliśmy zapisać na swoim koncie trzech punktów. Gdyby przed meczem ktoś zaproponował nam wynik 2:2, wzięlibyśmy go w ciemno. Holendrzy razili jednak nieskutecznością, a my wycisnęliśmy z tego starcia prawie wszystko, co mogliśmy. Szkoda jedynie, że Włodkowi Smolarkowi nie udało się trafić na 3:2, ponieważ miał wyśmienitą sytuację.

Niestety, finalnie nie awansowaliśmy na turniej finałowy mistrzostw świata w USA. Pamiętajmy, że losowano nas z trzeciego koszyka, więc trafialiśmy niemal w każdych kwalifikacjach na co najmniej dwie potęgi europejskiej piłki. Droga na wielkie międzynarodowe imprezy była niezwykle skomplikowana. Inna sprawa, że jako reprezentacja funkcjonowaliśmy w bardzo trudnych warunkach. Nie jeździliśmy na zgrupowania do Arłamowa, lecz docieraliśmy na nie za własne pieniądze. Dochodziło do tego, że gdy dostawałem powołanie jako zawodnik Górnika Zabrze, koledzy z drużyny śmiali się ze mnie, że jadę na kadrę. Wszystko to złożyło się na fakt, że nie osiągaliśmy najlepszych wyników.

Mimo to wspominam czas spędzony w reprezentacji bardzo dobrze. Co prawda do dziś ludzie pytają mnie, co słychać u brata, mając na myśli Krzysztofa Warzychę, ale się nie

obrażam. Nie każdy musi wiedzieć, że nie jesteśmy spokrewnieni. Dziennikarze powinni jednak takie fakty znać, a mimo to jeden z nich chciał kiedyś polecieć na wywiad ze mną do... Grecji. Potraktowałem to oczywiście z humorem. Nie szukam za wszelką cenę kontaktu z mediami, nigdy za tym nie tęskniłem i raczej nie będę. Osiadłem w Stanach Zjednoczonych, znalazłem tutaj swoje miejsce i dobrze mi z tym. Powspominać oczywiście miło, cieszę się, gdy ktoś jeszcze o mnie pamięta, ale nie szukam popularności na siłę.

ROBERT WARZYCHA

Data i miejsce urodzenia: 20 sierpnia 1963 r., Siemkowice.

W reprezentacji Polski: 47 meczów, 7 goli.

Debiut: 11 listopada 1987, Cypr – Polska 0:1.

Kariera klubowa: Budowlani Działoszyn, Warta Sieradz, Górnik Wałbrzych, Górnik Zabrze, Everton FC (Anglia), MSC Pécs (Węgry), Kispest-Honvéd FC (Węgry), Columbus Crew (USA).

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (1988), Puchar Węgier (1996), Puchar USA (2002), Superpuchar Polski (1988).

HENRYK
WAWROWSKI

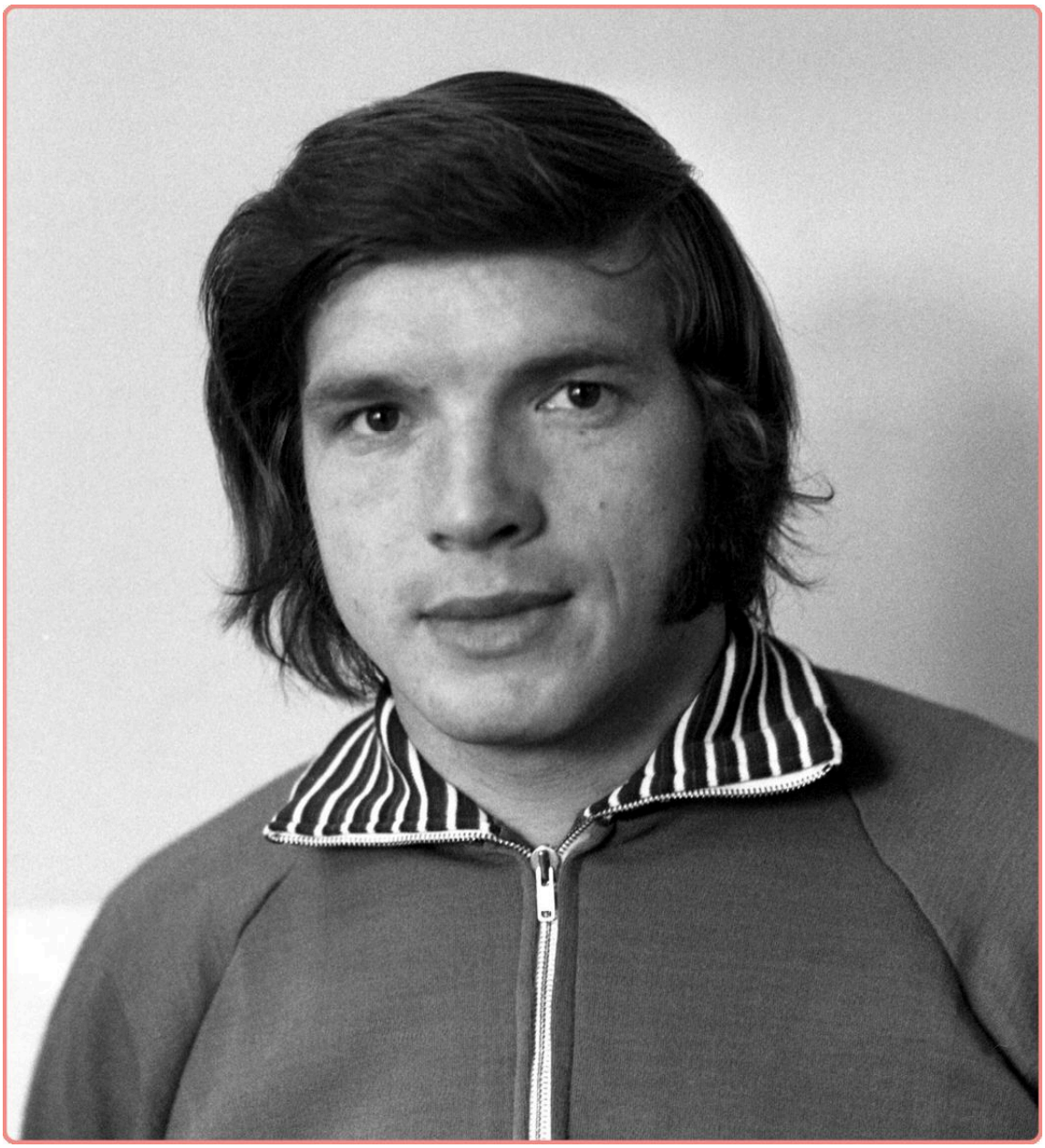

Fot. Mieczysław Świderski / Reporter / East News

SUKCES I PORAŻKA W JEDNYM

31 lipca 1976, Montreal
Polska – NRD 1:3 (0:2)

Bramki: Grzegorz Lato 59. – Hartmut Schade 7., Martin Hoffmann 14.,
Reinhard Häfner 85.
Polska: Jan Tomaszewski (20. Piotr Mowlik) – Antoni Szymanowski, Henryk Wieczorek, Władysław Żmuda, Henryk Wawrowski – Henryk Kasperczak, Kazimierz Deyna, Kazimierz Kmiecik, Zygmunt Maszczyk – Grzegorz Lato, Andrzej Szarmach.
NRD: Jürgen Croy – Gerhard Kische, Hans-Jürgen Doerner, Konrad Weise,
Lothar Kurbjuweit – Reinhard Häfner, Reinhard Lauck,
Hartmut Schade – Wolfram Löwe (67. Wilfried Gröbner),
Hans-Jürgen Riediger (86. Bernd Bransch), Martin Hoffmann.
Sędziował: Ramón Ivanoes Barreto Ruiz (Urugwaj).

Mecz o największą stawkę w barwach reprezentacji Polski rozegrałem w Montrealu na igrzyskach olimpijskich w 1976 roku. Niestety, nie udało nam się powtórzyć sukcesu sprzed czterech lat i wywalczyliśmy „tylko” drugie miejsce. Dlaczego tak się stało?

Wszystko zaczęło się jeszcze przed naszym wyjazdem za ocean. Pojawiło się sporo kontrowersji, jeśli chodzi o powołania na igrzyska. Dziennikarze rozpisywali się, dlaczego jedzie ten zawodnik, a tamten już nie. Działacze też usilnie próbowali podsuwać pod nos trenerowi Kazimierzowi Górskiemu swoich ludzi. Nasz selekcjoner był jednak nieugięty i zawsze stawiał na swoim. Krótko zakomunikował: „Pojadą tylko ci, którzy grali i

których na chwilę obecną uważam za najlepszych w tym kraju". Zresztą za jego kadencji zawsze tak było. Dlaczego grasz w kadrze? Nie za zasługi, tylko dlatego, że na dziś jesteś najlepszy! Nie było żadnych układów, układzików.

Pierwsze spotkanie bezbramkowo zremisowaliśmy z Kubańczykami. Oczywiście po tym rozczarowującym rezultacie zaczęto na nas psioczyć, że jesteśmy słabi. Później pokonaliśmy Iran, wyszliśmy z grupy, a w ćwierćfinale wysoko wygraliśmy z Koreą Północną. Trafiliśmy na Brazylijczyków i nie ma co ukrywać, że to oni byli faworytami. Co ciekawe, do Toronto polecieliśmy razem z drużyną Canarinhos. Naszym rywalom też się wydawało, że finał jest ich. Humorki im dopisywały, były krzyki, śpiewy. Może nas zlekceważyli, bo ograliśmy ich po bardzo dobrym meczu i dwóch bramkach Andrzeja Szarmacha. U nas potem była oczywiście euforia, duma i zadowolenie. A u nich? Jeden wielki dramat.

Już na 100 procent byliśmy medalistami igrzysk olimpijskich. Może właśnie ten fakt nas trochę rozluźnił? Może teraz to my staliśmy się zbyt pewni siebie? W finale czekała nas konfrontacja z reprezentacją Niemieckiej Republiki Demokratycznej, która w półfinale wygrała z ZSRR. Nie podeszliśmy do tego meczu skoncentrowani tak, jak powinniśmy.

Złożyło się jednak na to kilka czynników. Wyszliśmy na rozgrzewkę, ale nagle kazano nam zejść z boiska, bo właśnie kończył się jakiś maraton. Wyszliśmy drugi raz i ponownie cofnięto nas do szatni. Spotkanie nieco się opóźniło i to wybiło nas z rytmu. Do tego kontuzję złapał Jurek Gorgoń, który nie mógł zagrać w finale. W mecz weszliśmy bardzo słabo, bo rywale ruszyli na nas z impetem i Jasiu Tomaszewski dwukrotnie wyjmował piłkę z siatki, a chwilę później zszedł z boiska. Z tego, co pamiętam, jeszcze przed meczem mówił, że

nie czuje się najlepiej. Nastąpiła zmiana w bramce i trener Górski zastąpił go nierozgrzanym i podenerwowanym Piotrem Mowlikiem.

Do przerwy przegrywaliśmy 0:2. W szatni oberwało się nam od trenera Górskiego, który srogo na nas nakrzyczał za słaby występ. Może to podziałało, bo w drugiej połowie zaczęliśmy grać lepiej i wyglądało to już całkiem nieźle. Siedzieliśmy na rywalach cały czas i szukaliśmy drogi do ich bramki. Dużo nadziei dało nam trafienie Grzesia Laty, ale niestety po naszym bardzo prostym błędzie rywale wyszli z kontratakiem. Strzelili trzeciego gola i w tym momencie totalnie się rozkleiliśmy. Było pozamiatane. Chyba nie wytrzymaliśmy tego psychicznie. Czułem żal, bo złoty medal był naprawdę w naszym zasięgu.

Mimo finałowej porażki dla mnie był to spory sukces, bo zagrałem na swoich pierwszych i ostatnich igrzyskach olimpijskich, w dodatku zdobyłem srebrny medal. Rozczarowani byli pewnie ci zawodnicy, którzy kilka lat wcześniej byli złotymi medalistami w Monachium. Nasz udział w igrzyskach olimpijskich jako zdecydowaną porażkę ocenili za to dziennikarze. Znowu zaczęło się narzekanie na skład. Selekcjoner powiedział wówczas: „Zobaczymy, za ile lat reprezentacja Polski powtórzy to osiągnięcie”. Czas pokazał, że jego słowa były prorocze, bo dopiero 16 lat później Polska wróciła z Barcelony ze srebrem. Dla trenera Kazimierza Górskiego mecz z NRD był ostatnim w charakterze selekcjonera. Nie wiem, dlaczego podjął taką decyzję. Nie zapowiadał wcześniej, że zrezygnuje, a przynajmniej ja o niczym takim nie wiedziałem.

Powrót z Montrealu był bardzo męczący. Nie odlecieliśmy od razu po finale, ale musieliśmy zaczekać kilka dni, bo nie było miejsc w samolotach. Po przylocie do Polski na lotnisku przetrzepano nam bagaże. Innych pasażerów tak dokładnie nie

przeszukiwano; celnicy porozwalali nam rzeczy, kilku kolegów zostało wezwanych do kontroli osobistej. Mnie się też dostało, bo jeden z celników zaczął grzebać w mojej torbie. Powiedziałem mu: „Niech pan powie, czego szuka, to powiem, czy to mam, czy nie”. Może to był jakiś rodzaj rewanżu za naszą postawę w Montrealu? Nie mam pojęcia. Szkoda, że w kraju potraktowano nas jak przegranych. Wcześniej kadra przywiozła złoto z igrzysk olimpijskich, później zdobyła trzecie miejsce na mistrzostwach świata – chyba dlatego srebrny medal na olimpiadzie dwa lata później nie był już powodem do radości…

HENRYK WAWROWSKI

Data i miejsce urodzenia: 25 września 1949 r., Szczecin.

W reprezentacji Polski: 25 meczów.

Debiut: 31 października 1974, Polska – Kanada 2:0.

Osiągnięcia: srebrny medal IO 1976.

Kariera klubowa: Arkonia Szczecin, Gwardia Warszawa, Pogoń Szczecin, Iraklis Saloniki (Grecja), Arkonia Szczecin, Esbjerg fB (Dania).

JAKUB

WAWRZYNIAK

KAWA PRZED AWANSEM

11 października 2015, Warszawa
Polska – Irlandia 2:1 (2:1)

Bramki: Grzegorz Krychowiak 13., Robert Lewandowski 41. – Jonathan Walters 16. k.
Polska: Łukasz Fabiański – Łukasz Piszczek, Kamil Glik, Michał Pazdan,
Jakub Wawrzyniak – Paweł Olkowski (61. Jakub Błaszczykowski), Grzegorz Krychowiak, Krzysztof Mączyński (75. Łukasz Szukała), Karol Linetty,
Kamil Grosicki (81. Sławomir Peszko) – Robert Lewandowski.
Irlandia: Darren Randolph – Seamus Coleman, Richard Keogh, John O'Shea,
Robert Brady – James McClean (70. Wesley Hoolahan), James McCarthy,
Glenn Whelan (57. Aiden McGeady), Jeffrey Hendrick – Jonathan Walters,
Shane Long (54. Robbie Keane).
Żółte kartki: Glik, Peszko – O'Shea, Whelan, Walters.
Czerwona kartka: O'Shea.
Sędziował: Cüneyt Çakır (Turcja).

Każdy pamięta, w jakich okolicznościach zremisowaliśmy ze Szkocją w kwalifikacjach do Euro 2016. Dzięki „świetnemu" dośrodkowaniu Kamila Grosickiego wyrwaliśmy gospodarzom punkt i wyrzuciliśmy ich z gry o mistrzostwa Europy. Ale co ciekawe, już dużo wcześniej wiedziałem, że wejdę wtedy na boisko w końcówce. Trener Adam Nawałka zawsze miał plan, pomysł na mecz. Nawet przed spotkaniem zakładał, jakich dokona zmian. Przed pierwszym gwizdkiem powiedział mi, że w okolicach 60.–70. minuty wprowadzi mnie na boisko. I zmieniłem Macieja Rybusa w momencie, gdy przegrywaliśmy 1:2. Dla wielu może być to dziwne, że wprowadza się obrońcę

za obrońcę w tak ważnym spotkaniu, trener jednak doskonale wiedział, co robi.

Czasu na przygotowania do ostatniego meczu było bardzo niewiele. Wróciliśmy do Warszawy i zaczęliśmy się koncentrować na Irlandczykach. Dla tych, którzy grali ze Szkotami, nie było treningów na wysokiej intensywności, a raczej zajęcia rozruchowe i taktyczne. Pozostali zawodnicy odbyli natomiast trening wyrównawczy. Dużo uwagi poświęcaliśmy stałym fragmentom gry. Dzień przed spotkaniem z Irlandią na wyższych obrotach zagraliśmy na treningu pięć, może sześć minut. O swój występ z Irlandią byłem spokojny i wiedziałem, że tym razem zagram w podstawowym składzie, takie bowiem były wcześniejsze ustalenia z trenerem Nawałką.

W dniu meczu odwiedzili mnie w hotelu znajomi, z którymi spotkałem się na piętrze, gdzie wstęp mieli tylko nasi goście. Kolega zapytał mnie: „Jak możesz sobie tak normalnie siedzieć ze mną przy kawce? Przecież zaraz jest mecz!”. Odpowiedziałem mu: „I co w tym dziwnego? To dopiero za cztery godziny. Nie mogę napić się kawy?”.

Niewątpliwie mecz w Warszawie wywoływał wśród kibiców ogromne poruszenie. Wcale im się nie dziwię, bo byli na pewno spragnieni sukcesu polskiej reprezentacji. Czasy Leo Beenhakkera zostały już nieco zapomniane, a później był nieudany turniej w Polsce. Za czasów trenera Nawałki odzyskaliśmy zaufanie fanów, zwyciężyliśmy z Niemcami i zbudowaliśmy wokół naszej kadry znakomitą atmosferę.

Nawet remis dawał nam awans na turniej, ale nie chcieliśmy grać o podział punktów, tylko o zwycięstwo. Zawsze zresztą wychodziłem na boisko z założeniem, że gram o pełną pulę. Poza tym awans smakuje inaczej, gdy się wygrywa i zwycięsko kończy eliminacje.

Poruszenie przed meczem w Warszawie było zatem duże. Kibice po prostu oczekiwali od nas awansu na mistrzostwa Europy we Francji. Ja starałem się od tego wszystkiego odcinać, żeby móc w spokoju skoncentrować się na przeciwniku. Nie byłem już młodym zawodnikiem, nabrałem doświadczenia i wiedziałem, jak radzić sobie w takich chwilach – po prostu trzeba wyjść na boisko i zrobić swoje najlepiej, jak się potrafi.

Z Irlandczykami zagraliśmy bardzo dobre spotkanie i uważam, że mieliśmy je pod kontrolą. Z wyjątkiem rzutu karnego, który sprokurował Michał Pazdan – źle obliczył lot piłki i niestety sfaulował rywala, a arbiter podyktował jedenastkę dla Irlandczyków. To była przedziwna sytuacja, bo dopiero co wyszliśmy na prowadzenie, na stadionie panowała euforia. Na szczęście mieliśmy w składzie „Lewego", który był w niesamowitej formie i jeszcze przed końcem pierwszej połowy dał nam prowadzenie kapitalnym strzałem głową.

W przerwie w naszej szatni panował absolutny spokój. Nie było żadnych głośnych krzyków i nerwówki. Trener Nawałka dał nam wskazówki, co mamy poprawić w drugiej połowie. Zresztą selekcjoner nigdy nie krytykował nas na forum publicznym, wysuwał raczej argumenty. Wyszliśmy na drugą połowę i kontynuowaliśmy nasz bardzo dobry występ. Tak naprawdę poza tym przypadkowym rzutem karnym Irlandczycy jakoś spektakularnie nam nie zagrażali – mocno wrzucali piłkę w pole karne, ale kończyło się to na zbieraniu piłek przez naszą obronę. Może wyglądało to niebezpiecznie dla kibiców na trybunach i przed telewizorami, ale z mojej perspektywy czułem, że mamy mecz pod kontrolą. Pamiętam nawet taką sytuację, gdy już zbliżał się końcowy gwizdek, że uśmiechnęliśmy się do siebie z Kamilem Glikiem. Pełen luz. To był nasz dzień, nic nam nie groziło. Uważam, że to było moje

najlepsze spotkanie w kadrze – nie tylko zagrałem dobrze, ale do tego wywalczyliśmy awans na wielki turniej.

Cieszę się, że miałem okazję być w drużynie, która wówczas prezentowała bardzo wysoki poziom. Zagrało wtedy naprawdę wszystko, a na nasz sukces złożyło się wiele czynników. Przede wszystkim przyczynił się do tego Robert Lewandowski. Wcześniej mieliśmy przecież wielu zawodników, którzy błyszczeli w klubach, a zawodzili w meczach reprezentacji. Robert przełamał tę barierę. Nie było też problemów z obsadą bramki, bo bronili u nas Łukasz Fabiański i Wojciech Szczęsny. Słowa uznania należą się też Arkowi Milikowi, który był jednym z liderów tej drużyny. To tytan pracy, wykonywał niesamowitą robotę; potrafił wrócić na 30. metr i rozpoczynać akcję ofensywną. Wielu zawodników znajdowało się zresztą wówczas w szczytowej formie.

Ten okres za kadencji trenera Adama Nawałki był najważniejszy w mojej przygodzie z piłką reprezentacyjną. Zagrałem połowę spotkań na swojej pozycji i miałem duży wkład w awans na mistrzostwa Europy. Pojechałem na turniej, ale na nim nie dane mi było już zagrać. Na pewno brakowało mi występu, ale w świetnej formie był „Jędza", który rozgrywał kapitalne mecze. Jedyne, co mogłem wtedy zrobić, to obserwować i powiedzieć mu: „Baw się dobrze, ja nie będę ci przeszkadzał".

JAKUB WAWRZYNIAK

Data i miejsce urodzenia: 7 lipca 1983 r., Kutno.

W reprezentacji Polski: 49 meczów, 1 gol.

Debiut: 6 grudnia 2006,
Zjednoczone Emiraty Arabskie – Polska 2:5.

Osiągnięcia: uczestnik ME 2008, 2012, 2016.

Kariera klubowa: Sparta Złotów, MSP Szamotuły, Sparta Oborniki,
Sparta Brodnica, Błękitni Stargard (Szczeciński),
Świt Nowy Dwór Mazowiecki, Widzew Łódź, Legia Warszawa,
Panathinaikos AO (Grecja),
Legia Warszawa, Amkar Perm (Rosja),
Lechia Gdańsk, GKS Katowice.

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (2013, 2014),
Puchar Polski (2008, 2011, 2012, 2013),
Superpuchar Polski (2008).

HENRYK
WIECZOREK

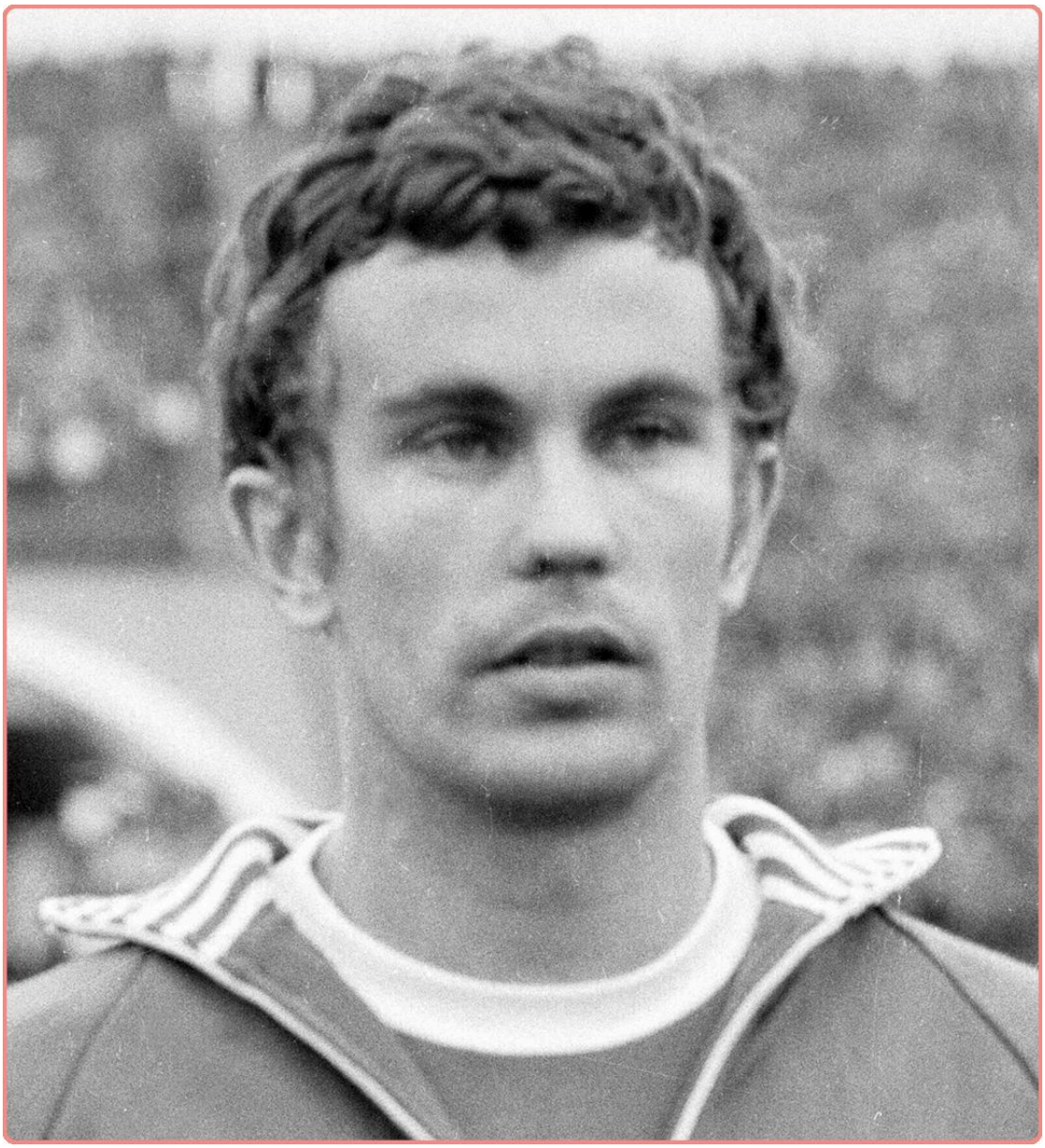

Fot. Eugeniusz Warmiński / East News

ZŁOTA GŁÓWKA HENIA

26 września 1979, Chorzów
Polska – NRD 1:1 (0:0)

Bramki: Henryk Wieczorek 77. – Reinhard Häfner 62.
Polska: Zygmunt Kukla – Marek Dziuba (70. Włodzimierz Mazur), Antoni Szymanowski, Paweł Janas, Wojciech Rudy – Leszek Lipka, Zbigniew Boniek, Adam Nawałka (74. Henryk Wieczorek) – Grzegorz Lato,
Roman Ogaza, Stanisław Terlecki.
NRD: Hans-Ulrich Grapenthin – Gerhard Kische, Gerd Brauer, Hans-Jürgen Dörner, Konrad Weise, Rüdiger Schnuphase – Reinhard Häfner, Lutz Lindemann,
Gerd Weber – Hans-Jürgen Riediger, Martin Hoffmann.
Sędziował: Patrick Partridge (Anglia).

Zawsze byłem przywiązany do swojej rodzinnej miejscowości – Chorzowa, a także Stadionu Śląskiego. Tak pozostało do dzisiaj. Do legendarnego obiektu mam tylko 200 metrów, widzę go, spoglądając przez kuchenne okno. Gdy byłem reprezentantem kraju, mecze rozgrywaliśmy w różnych polskich miejscowościach, ale dla mnie najważniejsza była możliwość pokazania się u siebie, przed swoją publicznością, we własnym domu, bo tak zawsze nazywałem Stadion Śląski. Wiele mu zawdzięczam, grałem na nim, będąc trampkarzem czy juniorem. Zaszczytu występu na Stadionie Śląskim w kadrze dostąpiłem jednak dopiero w przedostatnim meczu w drużynie narodowej. Mój występ trwał zaledwie kilkanaście minut, ale ze wszystkich spotkań rozegranych w kadrze to z NRD jest dla mnie wyjątkowe i będę je miał w pamięci do końca życia.

W latach 70. i 80. w drużynie narodowej była potężna rywalizacja. Na każdej pozycji mieliśmy zawodników kompletnych, a reprezentacja mogłaby w tamtych czasach wystawić co najmniej dwie równorzędne jedenastki. Mnie na środku obrony przyszło rywalizować z dwoma tuzami, czyli Władkiem Żmudą i Jurkiem Gorgoniem. W kolejce do składu byłem może trzecim, może czwartym zawodnikiem, bo był jeszcze przecież Heniek Maculewicz. Zaczynałem w maju 1973 roku i w drużynie byłem do października 1979 roku, ale głównie odgrywałem rolę rezerwowego. Nie miałem o to cienia żalu do trenerów. Za co miałbym się obrażać? Że grają lepsi ode mnie? Tych dryblasów ciężko było przeskoczyć i zbliżyć się do ich poziomu.

Swoje szanse jednak dostawałem i ze Szwajcarią rozegrałem całe spotkanie, a drużyna pod wodzą Ryszarda Kuleszy wygrała w Lozannie 2:0. Zbliżał się kolejny mecz, z NRD, i po cichu liczyłem, że ponownie pojawię się w podstawowym składzie. Trener zdecydował jednak, że posadzi mnie na ławce rezerwowych. Widział skład inaczej i musiałem to uszanować.

Czekało nas bardzo trudne spotkanie z nieprzewidywalnym przeciwnikiem. Poza tym miałem w pamięci naszą przegraną w Montrealu na igrzyskach olimpijskich, gdzie zdobyliśmy „tylko” srebrny medal. W kadrze panowała dość nerwowa atmosfera, bo cały czas mieliśmy szansę wyjazdu na mistrzostwa Europy. Ale żeby przedłużyć te nadzieje, musieliśmy wygrać z NRD w Chorzowie.

Rozgrywaliśmy niezłe spotkanie, stwarzaliśmy sobie sytuacje podbramkowe, mieliśmy co najmniej pięć znakomitych okazji, golkiper rywali wciąż jednak zachowywał czyste konto. W drugiej połowie nie ustrzegliśmy się błędu i to goście strzelili pierwsi gola. Trzeba było gonić wynik, a trener Ryszard Kulesza zdecydował się na zmianę – wszedłem za Adama Nawałkę, nie

grałem jednak w obronie, tylko w pomocy, tak jak kiedyś w klubach.

Szkoleniowiec przed wejściem na murawę powiedział mi: „Heniek, ty masz szczęście do zdobywania bramek, to będziesz grał w środku pola". Przy stałych fragmentach gry miałem ruszać do przodu. Dosyć dobrze grałem głową i to był mój atut, więc może dlatego trener Kulesza wprowadził mnie na boisko. Po trzech minutach od mojego wejścia Stadion Śląski eksplodował z radości. Znakomitym dośrodkowaniem popisał się Leszek Lipka, a ja oddałem strzał głową i umieściłem piłkę w siatce. Nie ma słów, by opisać moje uczucie. Remis nas jednak nie zadowalał, musieliśmy wygrać ten mecz. Niestety, obudziliśmy się za późno, zabrakło nam czasu i mecz z NRD zakończył się wynikiem 1:1. Remis uznaję za rezultat sprawiedliwy. Szkoda, że nie udało nam się wycisnąć więcej z tego spotkania, ale widocznie tak musiało być...

HENRYK WIECZOREK

Data i miejsce urodzenia: 14 grudnia 1949 r., Chorzów.

W reprezentacji Polski: 17 meczów, 2 gole.

Debiut: 13 maja 1973, Polska – Jugosławia 2:2.

Osiągnięcia: III miejsce MŚ 1974, srebrny medal IO 1976.

Kariera klubowa: Stadion Śląski Chorzów, ROW Rybnik, Górnik Zabrze, AJ Auxerre (Francja), US Melunaise (Francja).

ROMAN
WÓJCICKI

KOGO INTERESUJE CZWARTE MIEJSCE?

10 lipca 1982, Alicante
Polska – Francja 3:2 (2:1)

Bramki: Andrzej Szarmach 41., Stefan Majewski 45., Janusz Kupcewicz 47. – René Girard 13., Alain Couriol 72.
Polska: Józef Młynarczyk – Marek Dziuba, Władysław Żmuda, Paweł Janas, Stefan Majewski – Grzegorz Lato, Waldemar Matysik (46. Roman Wójcicki), Janusz Kupcewicz, Andrzej Buncol – Zbigniew Boniek, Andrzej Szarmach.
Francja: Jean Castaneda – Manuel Amoros, Marius Trésor, Gérard Janvion (64. Christian Lopez), Philippe Mahut – Jean Tigana (82. Didier Six), Jean-François Larios, René Girard, Gérard Soler – Bruno Bellone, Alain Couriol.
Żółte kartki: Buncol, Wójcicki – Soler.
Sędziował: António José da Silva Garrido (Portugalia).

Najważniejszym meczem w mojej karierze reprezentacyjnej było dla mnie starcie z Francją o medal mistrzostw świata podczas mundialu w 1982 roku. Dzięki temu spotkaniu osiągnąłem największy sukces w całej karierze.

Mecz rozpocząłem na ławce rezerwowych. Wraz z upływem minut byłem coraz bardziej nakręcony, aż w końcu – w przerwie – dostałem sygnał do wejścia. Zmieniłem skonanego już Waldka Matysika, który był totalnie odwodniony. Dla mnie było to niesamowite przeżycie. Nie dość, że stanęła przed nami szansa powtórzenia wyniku drużyny Kazimierza Górskiego

z 1974 roku, to w dodatku miałem brać w tym czynny udział! We wcześniejszych spotkaniach podczas mundialu nie dostałem szansy choćby przez minutę, a tymczasem miałem wyjść na murawę i powalczyć w ostatnim spotkaniu, którego stawką było trzecie miejsce na świecie. Dołożenie swojej cegiełki do tego sukcesu było dla mnie wielkim szczęściem.

Cały turniej w Hiszpanii był niewyobrażalnie wyczerpujący. Temperatury, które panowały wówczas na Półwyspie Iberyjskim, potrafiłyby wykończyć każdego. Już kibice mieli z nimi olbrzymie problemy, a co dopiero my, którzy musieliśmy wychodzić na murawę i walczyć z całych sił przez 90 minut. Nic dziwnego, że przed meczem z Francją pojawiły się obawy, czy będziemy w stanie wytrzymać fizycznie kolejny bój. Mobilizacja, by osiągnąć cel, była jednak ogromna. Nikt z nas nie kalkulował, nie oszczędzał sił. W takich chwilach zapomina się o warunkach atmosferycznych, o lejącym się z nieba żarze i pocie spływającym po plecach. Przed oczami mieliśmy tylko jedno – medal mistrzostw świata. Za czwarte miejsce również otrzymalibyśmy krążki, bo taki był wówczas zwyczaj, ale nas interesowało podium. Pozycja numer cztery oznacza, że turniej kończy się dwoma porażkami – w półfinale, a także w „finale pocieszenia".

Wszyscy byliśmy więc cholernie zmobilizowani. Trener Antoni Piechniczek nie musiał nas dodatkowo nakręcać. Mógł skupić się na założeniach taktycznych. W jaki sposób zagra przeciwnik? Jak możemy mu się przeciwstawić? Jakie własne atuty wykorzystać, by pokonać Francuzów? Szukanie odpowiedzi na te pytania należało do naszego szkoleniowca, a my zadbaliśmy o odpowiednią motywację. Każdy z zawodników tamtej drużyny wiedział, o co toczy się bój. Nie po to dotarliśmy tak daleko, żebyśmy teraz mieli przegrać.

Francuzi wyszli na boisko w dość eksperymentalnym składzie, ale jestem pewien, że nie była to absolutnie żadna oznaka lekceważenia czy „oddania” meczu. Uważam, że po prostu im również upały dały się mocno we znaki, więc musieli szukać alternatywy dla kilku podstawowych zawodników. Był to jednak zespół, który w swoich szeregach miał graczy, którzy mogli wejść z ławki rezerwowych i grać na takim samym poziomie. Im też zależało na tym, by mundial zakończyć zwycięstwem.

Reprezentacja Polski wygrywała wiele spotkań, także przy moim udziale. Występowałem w meczach towarzyskich, a także w kwalifikacjach do mistrzostw świata. W kadrze narodowej przeżyłem piękne momenty, ale nic nie mogło się równać z samym mundialem. Wcześniej miałem okazję brać udział w mistrzostwach świata w Argentynie, tam jednak nie dotarliśmy do strefy medalowej. W Hiszpanii to się udało, dlatego jest to dla mnie tak specjalny moment. To zresztą wyjątkowe chwile dla całego polskiego futbolu, przecież tylko dwa razy w historii nasza reprezentacja sięgnęła po medal mistrzostw świata. Ogromnie więc cieszę się z tego, że byłem częścią jednej z tych ekip. Takich chwil się nie zapomina.

ROMAN WÓJCICKI

Data i miejsce urodzenia: 8 stycznia 1958 r., Nysa.

W reprezentacji Polski: 62 mecze, 2 gole.

Debiut: 12 kwietnia 1978, Polska – Irlandia 3:0.

Osiągnięcia: III miejsce MŚ 1982, uczestnik MŚ 1978, 1986. Członek Klubu Wybitnego Reprezentanta.

Kariera klubowa: Stal Nysa, Odra Opole, Śląsk Wrocław, Widzew Łódź, FC 08 Homburg (Niemcy), Hannover 96 (Niemcy), TSV Havelse 1912 (Niemcy).

Osiągnięcia: Puchar Polski (1985), Puchar Niemiec (1992), Puchar Ligi Polskiej (1977).

JACEK

ZIELIŃSKI

AKUMULATOR NAŁADOWANY NA MAKSIMUM

14 czerwca 2002, Tedzon
Polska – USA 3:1 (2:0)

Bramki: Emmanuel Olisadebe 3., Paweł Kryszałowicz 5., Marcin Żewłakow 66. – Landon Donovan 83.
Polska: Radosław Majdan – Tomasz Kłos (90. Tomasz Wałdoch), Jacek Zieliński, Arkadiusz Głowacki, Marek Koźmiński – Maciej Żurawski,
Maciej Murawski, Cezary Kucharski (66. Marcin Żewłakow), Jacek Krzynówek – Emmanuel Olisadebe (87. Paweł Sibik), Paweł Kryszałowicz.
USA: Brad Friedel – Anthony Sanneh, Edward Pope, Jeffrey Agoos (37. DaMarcus Beasley), Frank Hejduk – Ernest Stewart (69. Cobi Jones), John O'Brien, Claudio Reyna, Landon Donovan – Clint Mathis,
Brian McBride (59. Joe-Max Moore).
Żółte kartki: Majdan, Koźmiński, Kucharski, Olisadebe – Hejduk.
Sędziował: Lu Jun (Chiny).

W trakcie wieloletniej przygody z piłką na każdy sukces wyczekiwałem bardzo długo. Grając w Legii Warszawa, byłem mocnym punktem drużyny, ale mimo to na powołanie do kadry musiałem czekać niemal bez końca... Nawet moi koledzy z zespołu mówili: „Jacek, wszyscy zagrali już w kadrze, tylko ciebie tam jeszcze nie było". Dziwili się, bo grałem dobrze i zbierałem pozytywne opinie od trenera i sztabu szkoleniowego. Musiałem być jednak bardzo cierpliwy. Po latach... w końcu się doczekałem.

W pierwszym zespole reprezentacji Polski zadebiutowałem w 1995 roku, w wieku niespełna 28 lat. Wygraliśmy wtedy ze Słowacją 5:0. Od premierowego występu z orłem na piersi marzyłem, aby coś z tą reprezentacją osiągnąć. Po kolejnych

nieudanych eliminacjach, mimo że byłem w zaawansowanym jak na piłkarza wieku, wciąż nie traciłem nadziei, że wystąpię jeszcze na wielkiej imprezie, bo od zawsze było to moim marzeniem.

W eliminacjach mistrzostw świata w Korei i Japonii konkurowaliśmy z Ukrainą, Białorusią, Norwegią, Walią i Armenią. Szliśmy jak burza. W grupie zajęliśmy pierwsze miejsce z dorobkiem 21 punktów, wyprzedzając Ukrainę o cztery oczka i trzecią Białoruś o sześć punktów. Ja wystąpiłem w pierwszych pięciu meczach. Byłem w świetnej formie, co udowadniałem także występami w warszawskiej Legii.

Niestety, w końcówce eliminacji dopadła mnie kontuzja ścięgna Achillesa, z którym od dawna miałem spore problemy. Pomyślałem sobie, że mistrzostwa świata mam już z głowy. Pocieszał mnie wtedy trener Jerzy Engel: „Jacek, nie martw się. Tyle zrobiłeś dla tej reprezentacji, że jeżeli zdążysz się wyleczyć, to na pewno zabiorę cię na mundial".

Rehabilitację przechodziłem więc pełen optymizmu. I udało się – wróciłem do pełnej formy. Na początku nie byłem w optymalnej dyspozycji, bo miałem dosyć długą przerwę i chociaż w lidze spisywałem się całkiem nieźle, zdawałem sobie sprawę, że będę miał problem, by zagrać na tych mistrzostwach. Chociaż z drugiej strony już sam fakt, że zostałem członkiem tej ekipy, uważałem za spory sukces.

Przed wyjazdem na finały mistrzostw świata atmosfera w kadrze była znakomita. Wierzyliśmy, że na mundialu wyjdziemy z grupy, w której mieliśmy rywalizować z Koreą Południową, Portugalią i Stanami Zjednoczonymi. Niestety, w pierwszym meczu ulegliśmy 0:2 Koreańczykom, którzy potem okazali się czarnym koniem turnieju. W drugim starciu bezdyskusyjnie przegraliśmy 0:4 z Portugalią. Można powiedzieć o wielkim rozczarowaniu, straconych nadziejach.

Tym dwóm pierwszym meczom przyglądałem się z ławki rezerwowych, ponieważ na środku obrony występowali Tomasz Hajto oraz Tomasz Wałdoch.

W ostatnim meczu, już tylko o pietruszkę, graliśmy przeciwko Stanom Zjednoczonym, które jeszcze walczyły o awans do fazy pucharowej. Na Amerykanów trener Jerzy Engel wypuścił zawodników odgrywających do tej pory rolę rezerwowych. Przed meczem powiedział do nas w szatni: „Jesteśmy na tej imprezie dzięki pracy wielu zawodników. Teraz czas na debiutantów, na zawodników, którzy grali mniej. To jest wasza chwila!”.

Dostałem swoją szansę. Na boisko wybiegłem z opaską kapitana. W środku obrony wystąpiłem wraz z 23-letnim wówczas Arkadiuszem Głowackim. Trybuny były pełne, rozbrzmiał hymn Polski – w takich momentach człowiek czuje, że może góry przenosić. To fajne uczucie, bo w trakcie meczu przełamuje się wtedy bariery możliwości własnego organizmu. Ładunek emocjonalny powoduje, że pokłady energii są jakby niewyczerpalne.

Mecz od początku układał się dla nas bardzo dobrze. W trzeciej minucie bramkę zdobył Emmanuel Olisadebe, a chwilę później na 2:0 poprawił Paweł Kryszałowicz, który zaliczył tamtego dnia znakomity występ i Amerykanie zupełnie nie potrafili sobie z nim poradzić. To, co wyprawiał, było dla mnie niepojęte. Dryblował, dogrywał i strzelał. Ostatnie trafienie dla nas zanotował Marcin Żewłakow i mecz zakończył się wynikiem 3:1.

Młody Arek Głowacki u mojego boku spisywał się bez zarzutu, grał odważnie i ambitnie. Wydawało się, że Amerykanie czują przed nim respekt. Po meczu schodziłem do szatni usatysfakcjonowany, bo jednak udało nam się wyjść z twarzą z tego turnieju.

Przez te wszystkie lata, gdy byłem powoływany do kadry narodowej Polski, czułem rodzaj euforii, bo reprezentowałem swój kraj – zapisywałem się na kartach polskiego futbolu. Nawet gdy czułem, że nie jestem w najwyższej formie, to w meczach reprezentacyjnych dawałem się z siebie wszystko i zazwyczaj nie zawodziłem.

Rozegrałem, przede wszystkim w Legii Warszawa, zarówno na podwórku krajowym, jak i na arenie międzynarodowej wiele meczów, po których bardzo dobrze mnie oceniano. Niemniej właśnie mecz z USA uważam za swoje najważniejsze 90 minut w karierze. Zawsze marzyłem o reprezentowaniu Polski na wielkiej piłkarskiej imprezie. I to moje marzenie spełniło się po ponad 20 latach przygody z futbolem, w wieku niemal… 35 lat.

JACEK ZIELIŃSKI

Data i miejsce urodzenia: 10 października 1967 r., Wierzbica.

W reprezentacji Polski: 60 meczów, 1 gol.

Debiut: 7 czerwca 1995, Polska – Słowacja 5:0.

Osiągnięcia: uczestnik MŚ 2002. Członek Klubu Wybitnego Reprezentanta.

Kariera klubowa: Orzeł Wierzbica, Igloopol Dębica, Legia Warszawa.

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (1994, 1995, 2002), Puchar Polski (1994, 1995, 1997).

MARCIN
ŻEWŁAKOW

ŚCIĘTA GŁOWA WIKINGA

1 września 2001, Chorzów
Polska – Norwegia 3:0 (1:0)

Bramki: Paweł Kryszałowicz 45., Emmanuel Olisadebe 77., Marcin Żewłakow 88.
Polska: Jerzy Dudek – Tomasz Kłos, Tomasz Hajto, Tomasz Wałdoch,
Michał Żewłakow – Bartosz Karwan, Radosław Kałużny,
Piotr Świerczewski (89. Arkadiusz Bąk), Marek Koźmiński (82. Jacek Krzynówek) – Emmanuel Olisadebe, Paweł Kryszałowicz (75. Marcin Żewłakow).
Norwegia: Thomas Myhre – Christer Basma, Ronny Johnsen, Henning Berg,
André Bergdølmo – Roar Strand (63. John Arne Riise), Petter Rudi, Øyvind Leonhardsen (80. Sigurd Rushfeldt),
Steffen Iversen (89. Pål Strand) – Ole Gunnar Solskjær, Jan-Derek Sørensen.
Żółte kartki: Hajto, Kałużny.
Sędziował: Miroslav Liba (Czechy).

Z wielu meczów, które rozegrałem w reprezentacji Polski, najbardziej zapadła mi w pamięć konfrontacja z Norwegami na Stadionie Śląskim w 2001 roku. Było to spotkanie kwalifikacji do mistrzostw świata. Do końca zostały nam trzy mecze, ale zwycięstwo już w pierwszym z nich, z Norwegią, zapewniało nam awans na mundial.

Mecz wyznaczony był na sobotę, a ja już od środy szukałem wewnętrznej koncentracji. Podczas treningów z trenerem Jerzym Engelem wyczuwało się atmosferę podniosłości. Dla nas każdy element był niezwykle ważny. O detale troszczyli się najstarsi zawodnicy. Mogę powiedzieć, że cała ekipa dbała o to, by podczas przygotowań nie było niedociągnięć sportowych

i organizacyjnych. Od samego początku wszystko było podporządkowane jak najlepszemu przygotowaniu fizycznemu i emocjonalnemu. Nakręcaliśmy się nawzajem.

Podczas treningów wiele czasu poświęcaliśmy stałym fragmentom gry. Gdy nie było efektu, jaki zakładaliśmy, prosiliśmy nawet trenera Engela, aby przedłużał te ćwiczenia o kilka minut, aż zacznie nam wychodzić… Mówiliśmy mu: „Trenerze, chcemy poczuć, że wszystko działa jak w szwajcarskim zegarku".

Jaki był trener Engel? Miał ojcowskie podejście do każdego z nas. Był surowy, stanowczy, ale i sprawiedliwy, a do tego potrafił rozmawiać. Sami też na każdym kroku wymagaliśmy od siebie jakości, trener nie musiał nas mobilizować, a to przekładało się na doskonałą atmosferę w całej ekipie.

Byliśmy grupą ludzi, którym zależało na reprezentowaniu barw narodowych. W drużynie, która była jednością, obowiązywała jednak oczywiście pewna hierarchia, którą każdy z nas uznawał. Niekwestionowanymi przywódcami tej kadry byli Tomek Wałdoch, Tomek Hajto, Marek Koźmiński, Piotrek Świerczewski i Tomek Iwan, którzy uczyli młodszych zawodników dumy z reprezentowania naszego kraju.

W takim teamie akceptowałem bez zastrzeżeń rolę rezerwowego. Wiedziałem, że Emmanuel Olisadebe i Paweł Kryszałowicz są na fali. Nigdy nie kwestionowałem decyzji trenera Engela. Dla barw narodowych trzeba schować ego do kieszeni, nawet jeśli odczuwa się pewien zawód, że jest się tylko rezerwowym. Ja zawsze siadałem na brzegu ławki. Chłopaki śmiały się ze mnie i pytały: „Dlaczego zawsze ostatni zajmujesz miejsce i uciekasz do samego boku?". A ja, siedząc w kącie, przeżywałem ten mecz po swojemu. I to siedzenie „w kącie" po kadrze Engela mi zostało. Jeśli któryś z trenerów klubowych odsyłał mnie na ławkę, zawsze siadałem na samym jej brzegu.

W meczu z Norwegią grałem od 75. minuty, gdy prowadziliśmy już 1:0. Wbiegając na boisko, odczuwałem wielką radość, jednocześnie zaś Stadion Śląski i te tysiące kibicowskich gardeł bardzo mnie mobilizowały. Pierwszy raz grałem przy tak licznej polskiej publiczności. Miałem zakodowane, że moja gra musi coś chłopakom dać. Na boisku była nerwówka, mecz wywoływał intensywne bicie serca. Wchodząc na murawę, wiedziałem, że trzeba odciążyć drużynę w defensywie, bo na naszą bramkę co i rusz sunęły ataki rywali.

Po dwóch minutach od mojego pojawienia się na boisku rezultat na 2:0 podwyższył Olisadebe. Wtedy poczuliśmy wewnętrzny spokój, wiedzieliśmy już bowiem, że awans mamy w garści. W 88. minucie zrobiło się 3:0! To ja dokonałem dzieła zniszczenia, ściąłem głowę norweskiemu wikingowi.

Spotkanie dobiegało końca. Pewni siebie bawiliśmy się piłką. Norwedzy byli bezradni. Pierwszy raz poczułem wtedy, jak wielkie spełnienie daje piłka nożna, jakie szczęście oferuje piłkarzowi. Sędzia wreszcie odgwizdał koniec meczu. Byliśmy przeszczęśliwi! Chciałem, by ta piłkarska chwała trwała wiecznie…

Po meczu odebrałem wiele telefonów od ludzi, których w ogóle nie znałem. „To, czego dokonaliście, jest takie wielkie i niezwykłe, że musiałem do ciebie zadzwonić i powiedzieć: dziękuję”. Na trybunach, wśród tysięcy kibiców, siedzieli moi rodzice. Byli dumni, że na boisku w tak ważnym meczu grają ich dzieci. Michał wystąpił od pierwszej minuty, a ja w końcówce, ale za to zdobyłem bramkę.

Dlaczego wybrałem mecz z Norwegią, a nie na przykład ze Stanami Zjednoczonymi już na mundialu, w którym również strzeliłem gola? Dlatego że po meczu na Stadionie Śląskim po raz pierwszy poczułem, że zrobiłem coś istotnego w kadrze.

Trafiając do siatki, miałem poczucie bezpośredniego wkładu w sukces polskiej piłki nożnej. W końcu awansowaliśmy na mistrzostwa świata po 16 latach posuchy.

MARCIN ŻEWŁAKOW

Data i miejsce urodzenia: 22 kwietnia 1976 r., Warszawa.

W reprezentacji Polski: 25 meczów, 5 goli.

Debiut: 23 lutego 2000, Francja – Polska 1:0.

Osiągnięcia: uczestnik MŚ 2002.

Kariera klubowa: Drukarz Warszawa, Marymont Warszawa, Polonia Warszawa, Hutnik Warszawa, Polonia Warszawa, KSK Beveren (Belgia), Royal Excelsior Mouscron (Belgia), FC Metz (Francja), Royal Excelsior Mouscron (Belgia), KAA Gent (Belgia), FCV Dender EH (Belgia), APOEL Nikozja (Cypr), GKS Bełchatów, Korona Kielce.

Osiągnięcia: mistrzostwo Cypru (2009), Superpuchar Cypru (2009).

MICHAŁ ŻEWŁAKOW

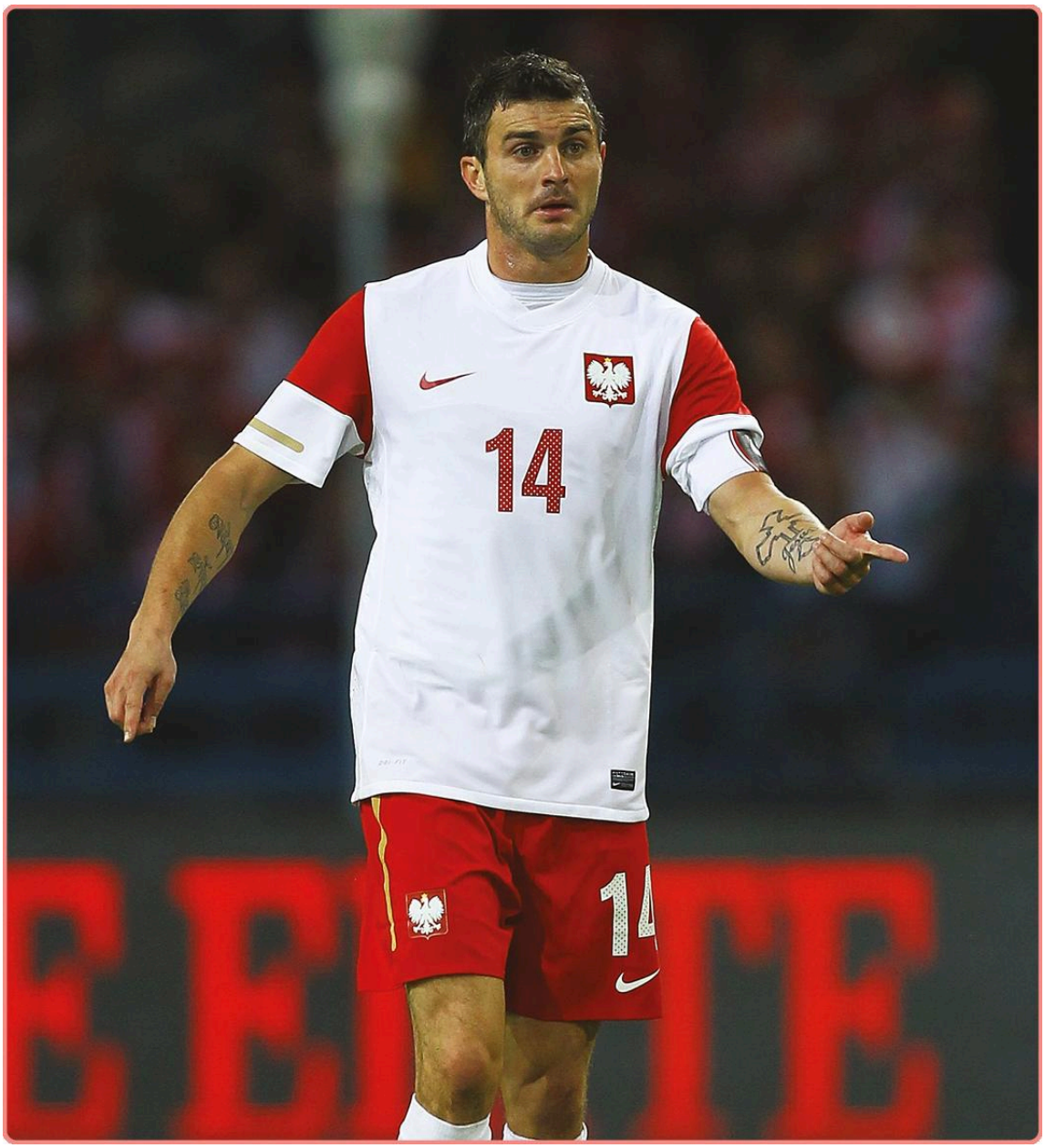

Fot. Matthew Lewis / Getty Images

PODCIĘTE SKRZYDŁA BELGÓW

17 listopada 2007, Chorzów
Polska – Belgia 2:0 (1:0)

Bramki: Euzebiusz Smolarek 45., 51.
Polska: Artur Boruc – Marcin Wasilewski, Michał Żewłakow, Jacek Bąk,
Grzegorz Bronowicki – Wojciech Łobodziński (46. Jakub Błaszczykowski),
Mariusz Lewandowski, Radosław Sobolewski, Jacek Krzynówek – Euzebiusz Smolarek (86. Kamil Kosowski), Maciej Żurawski (83. Rafał Murawski).
Belgia: Stijn Stijnen – Guillaume Gillet, Vincent Kompany, Daniel van Buyten,
Jan Vertonghen – Steven Defour (62. Luigi Pieroni), Marouane Fellaini,
Faris Haroun (85. Karel Geraerts), Bart Goor – Moussa Dembélé, Kevin Mirallas (78. Stein Huysegems).
Żółte kartki: Bąk, Błaszczykowski.
Sędziował: Claus Bo Larsen (Dania).

Reprezentując barwy narodowe przez wiele lat, rozegrałem w kadrze ponad 100 spotkań, ale szczególne pozostają dla mnie dwa z nich. Pierwszym wyjątkowym meczem w kadrze była dla mnie rywalizacja z Francją w 2000 roku pod wodzą selekcjonera Jerzego Engela. Wówczas byłem młodym, niezbyt doświadczonym piłkarzem, tak naprawdę nie wiedziałem jeszcze, czym jest gra w reprezentacji. Trzeba było się z tym oswoić, żeby to zrozumieć. W meczu z Francją wyszedłem w podstawowym składzie razem ze swoim bratem bliźniakiem

Marcinem. Czuliśmy, że obaj wskoczyliśmy na wysoki poziom. Zagraliśmy z orłem na piersi i mieliśmy świadomość, że poprzeczka jest podniesiona jeszcze wyżej. Zaczęło się coś ważnego, przełomowego…

Drugim meczem, który utkwił mi w pamięci, jest spotkanie z Belgią na Stadionie Śląskim w Chorzowie w ramach kwalifikacji do Euro 2008. Wiadomo, jak rozpoczęliśmy eliminacje do mistrzostw Europy. Najpierw doznaliśmy sromotnej porażki z Finlandią, później zremisowaliśmy z Serbią. Nasza przyszłość stała pod znakiem zapytania: w jakim składzie mamy zagrać, czy trener, który nas prowadzi, podoła temu wszystkiemu? A przecież nasza grupa wcale nie była taka łatwa. Zapewne wiele osób postawiło na nas krzyżyk, ale udowodniliśmy, że umiemy podnieść się w trudnych chwilach. Każdym kolejnym meczem odpowiadaliśmy wątpiącym. Chcieliśmy pokazać, że umiemy jeszcze zaskoczyć. Musieliśmy wiele udowodnić przede wszystkim samym sobie, między innymi to, że stać nas, żeby rywalizować z teoretycznie silniejszymi przeciwnikami. Tak było właśnie z Portugalią i Belgią. Dlatego rewanżowe spotkanie z Belgami uważam za najważniejszy mecz w kadrze.

Kończyły się eliminacje do Euro 2008, a Polska była w najkorzystniejszej sytuacji w grupie. Pozostały nam do rozegrania zaledwie dwa spotkania, a my w przedostatnim meczu stanęliśmy przed szansą, żeby przypieczętować awans na wielki turniej. Wcześniej mistrzostwa Europy były dla nas rozgrywkami przeklętymi, bo ani razu w nich nie uczestniczyliśmy. Jeździliśmy na wielkie imprezy piłkarskie, takie jak mistrzostwa świata czy igrzyska olimpijskie, ale wyjazd na Euro był zawsze problemem. Czy przed meczem na Stadionie Śląskim ciążyła na nas presja? Uważam, że piłkarz musi od niej umieć uciec i przede wszystkim powinien

koncentrować się na meczu. Czasami otoczka spotkania może spowodować, że zawodnik będzie za bardzo zmotywowany lub po prostu sparaliżowany. Dojrzałość piłkarska i doświadczenie pozwalają sobie z tym poradzić. I w meczu z Belgią to nam się udało. Zagraliśmy tak, jak chcieliśmy, według scenariusza napisanego przez Leo Beenhakkera.

Nie będzie przesadą, jeśli powiem, że mecz z Belgami mieliśmy zdecydowanie pod kontrolą. Spotkanie układało się bardzo dobrze dla naszej drużyny. Nie pozwalaliśmy rywalom na zbyt wiele, nie mieli jakichś klarownych sytuacji. Może rywale byli zszokowani atmosferą na stadionie i donośnym dopingiem naszych kibiców? Wypadliśmy o wiele lepiej od gości, co później udokumentowaliśmy dwoma trafieniami Euzebiusza Smolarka. Belgowie popełniali błędy w rozegraniu piłki, mieli problemy z porozumieniem na murawie i piłka dwukrotnie znalazła się w bramce Stijna Stijnena. Te dwa ciosy spowodowały, że skrzydła Belgów zostały podcięte.

Trzeba pamiętać, że w drużynie przeciwnika były mocne nazwiska, które zostały w reprezentacji Belgii na kolejne lata. Rywalizowaliśmy przecież między innymi z Janem Vertonghenem, Vincentem Kompanym czy Marouane'em Fellainim. Mimo to rywale nie wyszli z naszej grupy. To takie fajne, osobiste przeżycie, bo udało nam się Belgom, w których lidze przecież grałem, dać prztyczka w nos. Wracając ze zgrupowania do klubu, można było się trochę pośmiać, pożartować i podocinać kolegom w szatni. Ten awans na mistrzostwa Europy sprawił, że zdałem sobie sprawę, że dokonałem czegoś ważnego. W tamtym okresie bowiem dużym osiągnięciem kadry był już sam awans na wielki turniej. A awans na mistrzostwa Europy smakował podwójnie.

W tym meczu daliśmy mnóstwo radości nie tylko sobie, ale również kibicom, którzy wypełnili trybuny Stadionu Śląskiego.

Udowodniliśmy, że potrafimy podnosić się w ciężkich chwilach. Zrobiliśmy coś, czego nie dokonali nasi poprzednicy. To był piłkarski egzamin dla reprezentacji. Cieszę się, że został zdany. Fajne było też to, że rozegrałem niezły mecz – dawało mi to przepustkę do gry na kolejne miesiące. Wszystkich nas motywowało każde spotkanie w reprezentacji Polski. Chcieliśmy grać w tej drużynie, zostać w niej na dłużej i przede wszystkim być jej podstawowymi zawodnikami. Miło było też przyjmować ciepłe słowa od trenera Leo Beenhakkera, który dużo przecież osiągnął w futbolu. Każdy z nas mógł wpisać sobie w CV „awans na mistrzostwa Europy". Sukces daje radość, a awans na wielki turniej był potwierdzeniem, że to, co robiliśmy w reprezentacji Polski, idzie w dobrym kierunku.

MICHAŁ ŻEWŁAKOW

Data i miejsce urodzenia: 22 kwietnia 1976 r., Warszawa.

W reprezentacji Polski: 102 mecze, 3 gole.

Debiut: 19 czerwca 1999, Nowa Zelandia – Polska 0:0.

Osiągnięcia: uczestnik MŚ 2002, 2006, uczestnik ME 2008. Członek Klubu Wybitnego Reprezentanta.

Kariera klubowa: Drukarz Warszawa, Marymont Warszawa, Polonia Warszawa, Hutnik Warszawa, Polonia Warszawa, KSK Beveren (Belgia), Royal Excelsior Mouscron (Belgia), RSC Anderlecht (Belgia), Olympiakos SFP (Grecja), MKE Ankaragücü SK (Turcja), Legia Warszawa.

Osiągnięcia: mistrzostwo Belgii (2004, 2006), mistrzostwo Grecji (2007, 2008, 2009), mistrzostwo Polski (2013), Puchar Grecji (2008, 2009),

Puchar Polski (2012, 2013),
Superpuchar Grecji (2007).

JANUSZ
ŻMIJEWSKI

Fot. Leszek Łożyński / Reporter / East News

HAT-TRICK ZA NAMOWĄ KOLEGÓW

8 października 1967, Bruksela
Belgia – Polska 2:4 (2:2)

Bramki: Johannes Devrindt 15., 35. – Janusz Żmijewski 26., 52., 70., Lucjan Brychczy 45.
Belgia: Jean Nicolay – Georges Heylens, Pierre Hanon, Jean Plaskie, Yves Baré – Paul Vandenberg, Johnny Thio, Alfons Haagdoren – Johannes Devrindt, Paul Van Himst, Wilfried Puis.
Polska: Hubert Kostka – Antoni Piechniczek, Jacek Gmoch, Stanisław Oślizło, Stefan Szefer – Henryk Brejza, Lucjan Brychczy, Zygmunt Schmidt – Janusz Żmijewski, Włodzimierz Lubański, Eugeniusz Faber.
Sędziował: Juan Gardeazabal Garay (Hiszpania).

Karierę reprezentacyjną zacząłem od przegranego aż 1:6 meczu z Włochami. Sam czułem, że mimo tak wysokiej porażki nie zaprezentowałem się w tym spotkaniu tragicznie, mogłem nawet zdobyć bramkę. Rezultat końcowy był zaskakujący dla wszystkich, ale to było dla nas bardzo trudne starcie. Po pierwsze, po przylocie do Włoch przeżyliśmy szok termiczny. Było niemal trzydzieści stopni, podczas gdy w Polsce temperatura oscylowała w okolicach zera. To nas zamordowało, byliśmy ugotowani, a mierzyłem się z legendarnym Giacinto Facchettim. W efekcie pierwszy raz piłkę kopnąłem w okolicy 30. minuty. Widząc, co się dzieje, trener przesunął mnie na lewą stronę, gdzie walczyłem z Tarcisio Burgnichem i zacząłem prezentować się lepiej. W dodatku w przerwie dwóch naszych piłkarzy miało już urazy, ale nie mogli zejść z boiska, gdyż ówczesne przepisy nie przewidywały zmian. Wszystko to razem

złożyło się na tak wysoką porażkę. Nic więc dziwnego, że na kolejny występ w reprezentacji musiałem trochę poczekać.

To, że znalazłem się w kadrze na mecz z Belgią w ramach eliminacji do mistrzostw Europy, było zresztą nieco dziełem przypadku. Miałem jechać na spotkanie reprezentacji młodzieżowej, ale dostałem informację, że mam się stawić na zgrupowaniu zespołu seniorów. Drużyna narodowa bazowała wówczas na zawodnikach Górnika Zabrze. Nie obowiązywały jednak terminy UEFA i FIFA, jak obecnie, więc gdy zespół z Zabrza miał mecze w europejskich pucharach, tamtejsi piłkarze nie przyjeżdżali na reprezentację od pierwszego dnia. Trener Michał Matyas potraktował mnie niejako jak opcję rezerwową i otrzymałem powołanie.

Podczas zgrupowania rozegraliśmy kilka sparingów. Byłem w nich bardzo skuteczny, prezentowałem się na pewno co najmniej solidnie. W tym czasie do zespołu dołączyli piłkarze Górnika, którzy rozegrali już swój mecz w pucharach. Rozpoczęła się dyskusja, czy powinienem pojechać z kadrą do Belgii. Co ciekawe, nie miałem nawet paszportu. Wiadomo, że byłem kimś w rodzaju zapchajdziury, a tymczasem pokazałem się z na tyle dobrej strony, że trener Matyas zwołał spotkanie ze starszyzną zespołu. Skończyło się tym, że nie tylko znalazło się dla mnie miejsce w kadrze meczowej, ale i w wyjściowym składzie.

O tym, że zagram, trener poinformował mnie w dniu spotkania. Nie miałem zielonego pojęcia, że w mojej sprawie Michał Matyas radził się innych zawodników. Spodziewałem się, że mecz obejrzę z ławki rezerwowych albo z trybun, choć nie ukrywam, że byłem wtedy w gazie. Selekcjoner chciał zagrać z Belgami otwarty futbol, więc ostateczny wybór padł na mnie. Gdyby chciał ustawić drużynę bardziej defensywnie, zagrałby zapewne Zyga Szołtysik. Obecność w podstawowym

składzie zawdzięczam zatem w dużej mierze kolegom z zespołu. Jak się okazało, nie pomylili się w ocenie sytuacji…

Nasza sytuacja w grupie kwalifikacyjnej przed tym meczem była już jasna. Nie mieliśmy szans na awans, ale Belgowie wciąż walczyli o niego z Francuzami. Musieli z nami wygrać, by zakwalifikować się do turnieju, i byli pewni swego. O naszą motywację nie trzeba było się jednak martwić. Każdy mecz w reprezentacji narodowej traktowaliśmy jako coś absolutnie wyjątkowego, wyzwalającego dodatkowe siły. Sam stadion Heysel nie zrobił na mnie wielkiego wrażenia. Graliśmy na zdecydowanie większych obiektach, choć atmosfera w Brukseli była bardzo podniosła. Dla Belgów mecz z nami miał przecież niebagatelne znaczenie.

Gospodarze po kwadransie gry wyszli na prowadzenie. Miałem jednak swój dzień i strzelałem jak na zawołanie. Pierwszego gola zapisałem na swoim koncie po precyzyjnym uderzeniu z okolic linii pola karnego. Bramkarz leżał na ziemi, więc wystarczyło odpowiednio przymierzyć. Przy drugim trafieniu minąłem obrońcę, później golkipera i wcisnąłem piłkę do pustej bramki. Hat-tricka skompletowałem 20 minut przed końcem meczu. Dostałem piłkę, obróciłem się i dopełniłem formalności. Mogłem nawet zdobyć czwartą bramkę, ale posłałem futbolówkę minimalnie nad poprzeczką. Wygraliśmy 4:2, a trzy gole strzelone w reprezentacji Polski były dla mnie niesamowitym przeżyciem. Od tamtej pory powołania dostawałem już dość regularnie, a nie w trybie awaryjnym.

Chyba nawet dla selekcjonera nasze zwycięstwo było pewnym zaskoczeniem. Wygrać w Brukseli nie było łatwo, zdecydowanym faworytem wydawali się gospodarze, a jednak tego dokonaliśmy. Co ciekawe, Belgowie byli na tyle wściekli po przegranym meczu, że na tradycyjnym pomeczowym bankiecie nie stawił się żaden zawodnik gospodarzy. To było kiepskie

zachowanie, ale spotkaliśmy się z tym nie po raz pierwszy. Przegrywać też trzeba umieć...

Szkoda, że moja reprezentacyjna kariera zakończyła się na 15 występach. Mój bilans z pewnością nie jest zły, bo zdobyłem w nich siedem bramek, ale na pewno mogło być tych gier więcej. Inna sprawa, że przez cztery lata występowałem z uszkodzoną łąkotką. W podobnym czasie tej samej kontuzji doznał Franek Smuda, ale on od razu postawił na leczenie. Gdybym poszedł na operację wcześniej, opuściłbym kilka miesięcy, ale może pograłbym w piłkę dłużej. A wszystko przez to, że kadra miała w planach wylot do Ameryki Południowej. Jako młody chłopak bardzo chciałem tam polecieć, bo w tamtych czasach było to coś absolutnie wyjątkowego. Udało mi się, ale zapłaciłem za to sporą cenę.

JANUSZ ŻMIJEWSKI

Data i miejsce urodzenia: 4 marca 1943 r., Radzymin.

W reprezentacji Polski: 15 meczów, 7 bramek.

Debiut: 1 listopada 1965, Włochy – Polska 6:1.

Kariera klubowa: Kolejarz Otwock, Legia Warszawa, Ruch Chorzów, Avia Świdnik, AAC Eagles Chicago (USA), Avia Świdnik, Polonia Warszawa, Pogoń Siedlce, Elektronik Piaseczno, Toronto Falcons (Kanada), Polonia Hamilton (Kanada), Legion Hamilton (Kanada), Polonia Mississauga (Kanada).

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (1969, 1970), Puchar Polski (1964, 1966).

WŁADYSŁAW
ŻMUDA

Fot. Peter Robinson / PA Images / Getty Images

Z ZIMNĄ KRWIĄ PO MEDAL

15 czerwca 1974, Stuttgart
Polska – Argentyna 3:2 (2:0)

Bramki: Grzegorz Lato 7., 63., Andrzej Szarmach 9. – Ramón Heredia 61.,
Carlos Babington 67.
Polska: Jan Tomaszewski – Antoni Szymanowski, Jerzy Gorgoń, Władysław Żmuda, Adam Musiał – Henryk Kasperczak, Kazimierz Deyna,
Zygmunt Maszczyk – Grzegorz Lato, Andrzej Szarmach (72. Jan Domarski),
Robert Gadocha (84. Lesław Ćmikiewicz).
Argentyna: Daniel Carnevali – Enrique Wolff, Roberto Perfumo, Ramón Heredia, Francisco Manuel Sá – Miguel Brindisi (46. Rene Houseman),
Ángel Bargas (69. Roberto Telch), Carlos Babington – Agustín Balbuena,
Rubén Ayala, Mario Kempes.
Żółte kartki: Babington, Perfumo.
Sędziował: Clive Thomas (Walia).

Trudno powiedzieć, który mecz rozegrany w barwach reprezentacji Polski jest dla mnie najważniejszy. Nazbierało się ich ponad 90, wystąpiłem w czterech turniejach finałowych mistrzostw świata, zdobyliśmy na nich dwa medale. Do tego dochodzą igrzyska olimpijskie w Montrealu i wywalczone na nich wicemistrzostwo. Choć ważnych potyczek nie brakowało, najcieplej myślę chyba jednak o spotkaniu otwierającym naszą

batalię podczas mundialu w RFN, w którym zmierzyliśmy się z faworyzowaną Argentyną.

Nikt nie spodziewał się, że trener Kazimierz Górski postawi na młodziana, jakim wówczas byłem. Tym bardziej że gra na pozycji stopera wiąże się z ogromną odpowiedzialnością. Nie występowałem przecież w meczach kwalifikacyjnych, a w dorobku miałem zaledwie trzy spotkania towarzyskie rozegrane z orłem na piersi. Tymczasem przed starciem otwierającym walkę na mundialu dowiedziałem się, że to właśnie ja będę partnerem Jurka Gorgonia na środku defensywy.

Gdy trener poinformował mnie o swojej decyzji, ogromnie się zestresowałem. Byłem przecież zupełnie niedoświadczonym zawodnikiem! Kazimierz Górski swoim wyborem wiele ryzykował. Kto wie, może gdybym popełnił błędy, które poskutkowałyby porażką z Argentyną, nie byłoby Władysława Żmudy w kadrze na kolejne zgrupowania? A gdybyśmy wówczas nie dotarli tak daleko na mundialu, być może także sam Górski nie stałby się „trenerem tysiąclecia”? Z perspektywy czasu widzę, jak ogromne to było ryzyko ze strony selekcjonera.

W parze ze mną występował dużo bardziej doświadczony Jurek Gorgoń. To dla mnie, jako młodego chłopaka, było niezwykle istotne. Wiedziałem, że mogę na niego liczyć. Był złotym medalistą olimpijskim, z Górnikiem Zabrze odnosił sukcesy na arenie międzynarodowej. Na mistrzostwach świata wszyscy byli debiutantami, ale ja byłem wyjątkowym „szczawikiem”. Miałem przecież tylko 20 lat i ledwie kilkaset minut rozegranych w barwach reprezentacji Polski.

O tym, że znajdę się w podstawowym składzie na mecz z Argentyną, oficjalnie dowiedziałem się na odprawie, ale czułem to już wcześniej. Piłkarze są w stanie odczytywać pewne sygnały. Grałem we wszystkich meczach kontrolnych

i podświadomie mogłem się tego spodziewać, choć nie do końca sam w to wierzyłem. To był zbyt piękny scenariusz, by był prawdziwy, ale jednak się ziścił…

Tuż przed wyjściem na boisko poczułem ogromną presję. Gra w reprezentacji Polski, a co dopiero na mistrzostwach świata, to olbrzymie wyzwanie. Na odprawach zawsze padały słowa: musicie wygrać! Nie „możecie", nie „powinniście", ale MUSICIE! Nie było żadnych kalkulacji, w grę nigdy nie wchodził nawet remis. Naszym obowiązkiem było wygrywać w biało-czerwonych barwach.

Przed rozpoczęciem mundialu nie byliśmy jednak faworytami do wyjścia z grupy. Ba, nikt nawet nie brał pod uwagę, że będziemy w stanie cokolwiek ugrać na turnieju. Z grupy miały wyjść Włochy i Argentyna, a Polska i Haiti były sprowadzane do roli dostarczyciela punktów. Nie mogliśmy na to pozwolić. Oczywiście, mieliśmy ogromny szacunek do naszych rywali, bo były to drużyny o świetnej renomie, z szeregiem kapitalnych zawodników. Na mistrzostwa świata nie jedzie się jednak nigdy tylko po to, żeby po trzech meczach wracać do domu. Wychodziliśmy na murawę z nastawieniem, że stać nas na sprawianie niespodzianki.

Duża w tym zasługa Kazimierza Górskiego. Podkreślał, że nasi rywale są takimi samymi ludźmi jak my. Zaznaczał, że mecz zaczyna się od wyniku 0:0 i nikt nie ma żadnej przewagi. Dopiero po 90 minutach można powiedzieć, kto był lepszy i komu należy się chwała. To na nas działało. Selekcjoner był dla nas trenerem, partnerem do rozmów, psychologiem. Powtarzał, żebyśmy atakowali od samego początku, dopóki mamy jeszcze dużo sił. To sprawdziło się w meczu z Argentyną. Zanim nasi przeciwnicy zorientowali się, co jest grane, mieli już dwie bramki straty. Najpierw do siatki trafił Grzesiek Lato,

a dwie minuty później podwyższył Andrzej Szarmach. Te ciosy oszołomiły Argentyńczyków.

A to nas tylko nakręcało. Stwarzaliśmy kolejne sytuacje, ale nic nie chciało wpaść. W drugiej połowie zrobiło się bardziej nerwowo, rywale zdobyli bramkę kontaktową. Doszło do wymiany ciosów. Wynik na 3:1 podwyższył Grzesiek Lato, po chwili jednak było już tylko 3:2. Emocje dawały się nam we znaki, ale byliśmy w stanie je opanować. Zachowaliśmy zimną krew, co później udowadnialiśmy w kolejnych spotkaniach. To zaprowadziło nas na podium mistrzostw świata.

Tego sukcesu by jednak raczej nie było, gdyby nie świetny początek rywalizacji i triumf nad Argentyną. Udane otwarcie turnieju przyniosło bardzo pozytywny impuls, wygrana dała nam wiarę we własne możliwości. Zbudowała się odpowiednia atmosfera w zespole, byliśmy nastawieni bojowo w każdym kolejnym meczu. W efekcie zaś zdobyliśmy medal mistrzostw świata. I choć osiem lat później byłem częścią zespołu, który osiągnął taki sam sukces, najmilej wspominam właśnie mundial w RFN.

WŁADYSŁAW ŻMUDA

Data i miejsce urodzenia: 6 czerwca 1954 r., Lublin.

W reprezentacji Polski: 91 meczów, 2 gole.

Debiut: 21 października 1973, Irlandia – Polska 1:0.

Osiągnięcia: III miejsce MŚ 1974, 1982, srebrny medal IO 1976, uczestnik MŚ 1978, 1986. Członek Klubu Wybitnego Reprezentanta, Zawodnik Reprezentacji 100-lecia PZPN.

Kariera klubowa: Motor Lublin, Gwardia Warszawa, Śląsk Wrocław, Widzew Łódź, Hellas Werona (Włochy), New York Cosmos (USA), US Cremonese (Włochy).

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (1977, 1981, 1982), Puchar Polski (1976).

MACIEJ

ŻURAWSKI

CRISTIANO RONALDO I... CIACH!

11 października 2006, Chorzów
Polska – Portugalia 2:1 (2:0)

Bramki: Euzebiusz Smolarek 10., 19. – Nuno Gomes 90.
Polska: Wojciech Kowalewski – Paweł Golański, Arkadiusz Radomski,
Jacek Bąk, Grzegorz Bronowicki – Jakub Błaszczykowski (67. Jacek Krzynówek), Radosław Sobolewski, Mariusz Lewandowski,
Euzebiusz Smolarek – Maciej Żurawski, Grzegorz Rasiak (75. Radosław Matusiak).
Portugalia: Ricardo – Luis Miguel, Ricardo Carvalho, Ricardo Rocha, Nuno Valente – Simão Sabrosa, Petit (69. Nani), Deco (84. Maniche), Costinha (46. Tiago), Cristiano Ronaldo – Nuno Gomes.
Żółte kartki: Lewandowski, Kowalewski – Simão Sabrosa, Ricardo Rocha.
Sędziował: Wolfgang Stark (Niemcy).

Przy takiej liczbie meczów w reprezentacji Polski przeżyłem wiele ważnych momentów. Bardzo miło wspominam kwalifikacje do mistrzostw świata w 2006 roku, a także kolejne, do mistrzostw Europy. Wyjątkowym meczem, i tym najważniejszym, jest jednak dla mnie pamiętne spotkanie z Portugalią w Chorzowie, które niespodziewanie wygraliśmy po dublecie Euzebiusza Smolarka. To była przełomowa chwila, po tym zwycięstwie każdy z nas urósł pod względem mentalnym. Zawsze przecież mieliśmy problem, żeby grać jak równy z równym z o wiele silniejszym przeciwnikiem, wówczas dokonaliśmy jednak czegoś niemożliwego. Wygrana dodała nam pewności siebie na kolejne mecze kwalifikacyjne.

Zwycięstwo z Portugalią przyszło w idealnym momencie. Przecież wcześniej spadła na nas ogromna fala krytyki za początek kwalifikacji. Przegraliśmy najpierw z Finlandią,

potem zremisowaliśmy z Serbią. Podczas kolejnego zgrupowania ledwo wygraliśmy z Kazachstanem. Przed meczem z Portugalczykami nikt na nas nie stawiał. Ponieważ nie zachwycaliśmy grą, to nawet gdybyśmy przegrali z Portugalią, każdy przyjąłby tę porażkę ze zrozumieniem. Przecież naprzeciw nas stanęła Portugalia, ówczesny wicemistrz Europy, z takimi gwiazdami jak Cristiano Ronaldo, Deco czy Ricardo Carvalho w składzie.

Do meczu podeszliśmy bez zbędnej „napinki", nie czuliśmy jakiegoś wielkiego stresu. Ogromna w tym rola charyzmatycznego trenera Leo Beenhakkera. Miał doniosły głos, ale nie musiał go podnosić. Nie krzyczał na nas, wszystko przekazywał na spokojnie. Potrafił przemówić do zawodnika, przekonać go. Miał w sobie coś takiego, że potrafił „nakręcić" piłkarza. Przed spotkaniem był bardzo pewny siebie i spokojny. Trafił do Pawła Golańskiego, trafił do Grzegorza Bronowickiego. Trafił do nas wszystkich. Tchnął w nas wiarę, przygotował mentalnie do konfrontacji z silniejszym rywalem.

Na pewno nikt nie spodziewał się, że już po niespełna 20 minutach meczu będziemy prowadzić różnicą dwóch goli. Ja, jako napastnik, zawsze czułem presję zdobywania bramek. Ale tego dnia na moment odłożyłem cele indywidualne na bok, tym razem nie to było najważniejsze. Podszedłem do tego na zasadzie: „Fajnie byłoby zrobić dobry wynik, nawet remis byłby sukcesem". Skoncentrowałem się na realizacji założeń taktycznych. I muszę przyznać, że ze swoich zadań wywiązywaliśmy się bezbłędnie.

Portugalczycy byli zdecydowanie zszokowani naszą znakomitą dyspozycją i tym, jak bardzo jesteśmy zdyscyplinowani taktycznie. Zagęszczaliśmy strefę, żeby brakowało im miejsca na boisku, nie mogli do nas doskoczyć, zbliżyć się do naszej bramki, a do tego mieli ogromne trudności

przy naszych atakach. OK, zdarzały się momenty, że jeden z nas popełnił mały błąd, ale chwilę później ktoś inny go naprawiał. Rywale nie mogli się rozkręcić, a u nas każdy piłkarz miał swoją strefę pod kontrolą i robił to, co do niego należało.

Podziałały także słowa Bogusława Kaczmarka, który znajdował się w sztabie szkoleniowym Leo Beenhakkera. Mówił coś na zasadzie: „Ronaldo? No jak to co musisz zrobić? I ciach! I ciach! I ciach!". Konkretnie, zrozumiale i skutecznie. W efekcie portugalski gwiazdor nie mógł rozwinąć skrzydeł. Gra ewidentnie mu nie szła, nerwowo machał rękami, chciał dyskutować z sędzią. A ta niemoc, nie tylko Ronaldo, ale całego zespołu rywali, tylko nas napędzała. Cenne minuty mijały, kontrolowaliśmy przebieg gry. Widzieliśmy, że Portugalczycy coraz bardziej się denerwują. Popełniali błędy przy rozegraniu piłki, a my tylko na tym zyskiwaliśmy. Szkoda, że nie udało się wygrać wyżej i pewniej. Nawet ja miałem sytuację, gdy prowadziliśmy 2:0, po zagraniu Kuby Błaszczykowskiego uderzyłem jednak w słupek. Najważniejsze jednak, że z boiska zeszliśmy ze zwycięstwem.

Po meczu z Portugalią dałem kierownikowi swoją koszulkę i poprosiłem go, żeby poszedł do szatni rywali, żeby ją wymienić. Nie miałem na myśli trykotu żadnego konkretnego zawodnika, po prostu chciałem mieć pamiątkę. Niestety, porażka w Chorzowie tak musiała zaboleć Portugalczyków, że nie chcieli wymiany koszulek. Zdenerwowałem się trochę: OK, przegrali mecz, ale mogliby się zachować inaczej. Pojawiło się u mnie więcej sportowej złości i satysfakcji, że utarliśmy nosa rywalowi takiej klasy. I tylko utwierdziło mnie to w przekonaniu, jak duży osiągnęliśmy sukces.

Mecz z Portugalią z pewnością nas zbudował. Nie nastawialiśmy się jednak, że awansujemy z pierwszego miejsca w grupie. Braliśmy przecież pod uwagę, że do końca

kwalifikacji zostało jeszcze sporo meczów, że możemy się potknąć. Choć w kolejnych starciach nie graliśmy już tak fantastycznie jak z Portugalią, to punktowaliśmy regularnie i wywalczyliśmy awans z pierwszego miejsca na mistrzostwa Europy. Awans historyczny, bo żaden nasz zespół nigdy wcześniej nie potrafił tego dokonać.

Na koniec chciałbym jeszcze wspomnieć o innym okresie w reprezentacji Polski – o kwalifikacjach do mistrzostw świata i meczu z Anglią, również w Chorzowie, dwa lata wcześniej. Ten, kto oglądał to spotkanie, doskonale pamięta, w jakich okolicznościach doprowadziliśmy do wyrównania. Znakomite podanie Kamila Kosowskiego, moje wyjście na pozycję i Paul Robinson został pokonany pięknym strzałem pod poprzeczkę. Przyznam się, że... wcale nie zamierzałem uderzać tak wysoko. Moim zamiarem było posłanie piłki pasówką tuż przy słupku, ale tuż przed uderzeniem futbolówka mi podskoczyła. Zamarłem, zrobiło mi się słabo, byłem przekonany, że spudłuję. Ale wpadło!

MACIEJ ŻURAWSKI

Data i miejsce urodzenia: 12 września 1976 r., Poznań.

W reprezentacji Polski: 72 mecze, 17 goli.

Debiut: 10 listopada 1998, Słowacja – Polska 1:3.

Osiągnięcia: uczestnik MŚ 2002, 2006, uczestnik ME 2008. Członek Klubu Wybitnego Reprezentanta.

Kariera klubowa: Warta Poznań, Lech Poznań, Wisła Kraków, Celtic FC (Szkocja), AE Larisa (Grecja), Omonia Nikozja (Cypr), Wisła Kraków, Poroniec Poronin.

Osiągnięcia: mistrzostwo Polski (2001, 2003, 2004, 2005, 2011), mistrzostwo Szkocji (2006, 2007, 2008), mistrzostwo Cypru (2010), Puchar Polski (2002, 2003), Puchar Szkocji (2007), Superpuchar Polski (2001), król strzelców ligi polskiej (2002, 2004).

Moje najważniejsze 90 minut

Copyright © by Polski Związek Piłki Nożnej 2021
Copyright © for the text by Jacek Janczewski, Emil Kopański 2021
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2021

Redakcja – Grzegorz Krzymianowski
Korekta – Maciej Cierniewski
Projekt typograficzny i skład – Joanna Pelc
Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Jeżeli nie zaznaczono inaczej, fotografie w książce pochodzą z archiwum Łączy nas piłka.

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.
Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana
elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu
bez pisemnej zgody wydawcy.
Drogi Czytelniku,
niniejsza książka jest owocem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego i grafików. Prosimy, abyś uszanował ich zaangażowanie, wysiłek i czas. Nie udostępniaj jej innym, również w postaci e-booka, a cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści. Podawaj źródło ich pochodzenia oraz, w wypadku książek obcych, także nazwisko tłumacza.
Dziękujemy!
Ekipa Wydawnictwa SQN

Wydanie I, Kraków 2021
ISBN EPUB: 9788382104196
ISBN MOBI: 9788382104189

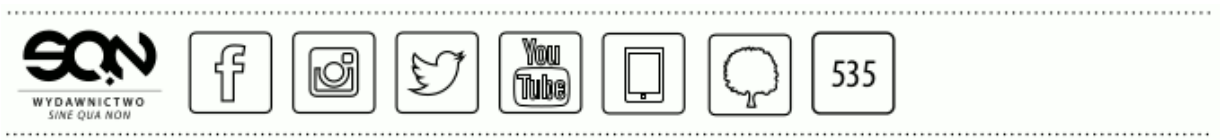

Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas, energię i zaangażowanie w przygotowanie niniejszej książki:

Produkcja: Kamil Misiek, Joanna Pelc, Joanna Mika, Dagmara Kolasa, Grzegorz Krzymianowski
Design i grafika: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Agnieszka Jednaka
Promocja: Piotr Stokłosa, Aldona Liszka, Szymon Gagatek, Łukasz Szreniawa, Aleksandra Parzyszek, Karolina Prewysz-Kwinto
Sprzedaż: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga
E-commerce: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Marta Tabiś, Paweł Kasprowicz
Administracja: Klaudia Sater, Monika Kuzko
finanse: Karolina Żak, Honorata Nicpoń
Zarząd: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnierz, Michał Rędziak

www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl
www.labotiga.pl

Spis treści

Okładka
Strona tytułowa

Wstęp

Zygmunt Anczok
Jarosław Bako
Jan Banaś
Marcin Baszczyński
Jacek Bąk
Zbigniew Boniek
Bartosz Bosacki
Jerzy Brzęczek
Krzysztof Bukalski
Mirosław Bulzacki
Andrzej Buncol
Piotr Czachowski
Sylwester Czereszewski
Lesław Ćmikiewicz
Jan Domarski
Jerzy Dudek
Dariusz Dudka
Dariusz Dziekanowski
Marek Dziuba
Tomasz Frankowski
Jan Furtok
Dariusz Gęsior
Jacek Gmoch
Paweł Golański
Jerzy Gorgoń
Roger Guerreiro
Tomasz Hajto
Andrzej Iwan

Tomasz Iwan
Paweł Janas
Mariusz Jop
Andrzej Juskowiak
Zbigniew Kaczmarek
Radosław Kałużny
Henryk Kasperczak
Jacek Kazimierski
Tomasz Kłos
Kazimierz Kmiecik
Roman Kosecki
Kamil Kosowski
Hubert Kostka
Wojciech Kowalczyk
Wojciech Kowalewski
Marek Koźmiński
Jerzy Kraska
Paweł Kryszałowicz
Jacek Krzynówek
Janusz Kupcewicz
Marek Kusto
Grzegorz Lato
Mariusz Lewandowski
Leszek Lipka
Włodzimierz Lubański
Sławomir Majak
Radosław Majdan
Stefan Majewski
Joachim Marx
Radosław Matusiak
Adam Matysek
Waldemar Matysik
Krzysztof Mączyński
Radosław Michalski
Sebastian Mila
Józef Młynarczyk

Piotr Mowlik
Adam Nawałka
Andrzej Niedzielan
Emmanuel Olisadebe
Stanisław Oślizło
Krzysztof Pawlak
Michał Pazdan
Sławomir Peszko
Waldemar Prusik
Arkadiusz Radomski
Grzegorz Rasiak
Tomasz Rząsa
Marek Saganowski
Piotr Skrobowski
Euzebiusz Smolarek
Roman Szewczyk
Zygfryd Szołtysik
Antoni Szymanowski
Mirosław Szymkowiak
Piotr Świerczewski
Ryszard Tarasiewicz
Jan Tomaszewski
Jan Urban
Tomasz Wałdoch
Józef Wandzik
Robert Warzycha
Henryk Wawrowski
Jakub Wawrzyniak
Henryk Wieczorek
Roman Wójcicki
Jacek Zieliński
Marcin Żewłakow
Michał Żewłakow
Janusz Żmijewski
Władysław Żmuda
Maciej Żurawski

Strona redakcyjna

PZPN BIBLIOTEKA

fot. PAP

CAŁY FUTBOL
W JEDNYM MIEJSCU

www.LaczyNasPilka.pl/**Biblioteka**

UNIKATOWE TREŚCI \ WIDEO \ ZDJĘCIA \ CIEKAWOSTKI

SKLEP KIBICA REPREZENTACJI POLSKI

A JAKIE JEST TWOJE NAJWAŻNIEJSZE 90 MINUT?

PRODUKTY Z REPREZENTACJĄ POLSKI ZNAJDZIESZ W SKLEPIE KIBICA!

PGE NARODOWY
WARSZAWA | AL. PONIATOWSKIEGO 1

CENTRUM PIŁKARSKIE R-GOL
WARSZAWA | UL. PUŁAWSKA 255

SKLEP.LACZYNASPILKA.PL

PZPN SKLEP KIBICA

REPREZENTACJA POLSKI

REPREZENTACJA POLSKI

SKLEP KIBICA REPREZENTACJI POLSKI

Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy za zakup naszej książki. Jesteście czytelnikami *sine qua non*, warunkiem koniecznym istnienia dobrych książek, a Wydawnictwo SQN istnieje dzięki ludziom takim jak Wy. Mamy nadzieję, że wkrótce spotkamy się ponownie!

Ekipa Wydawnictwa SQN

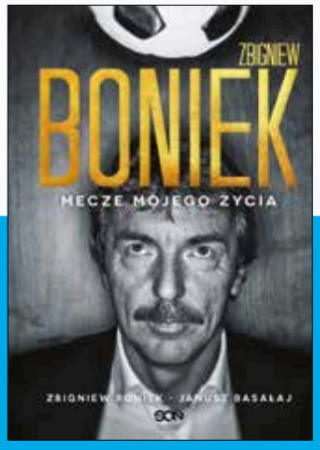

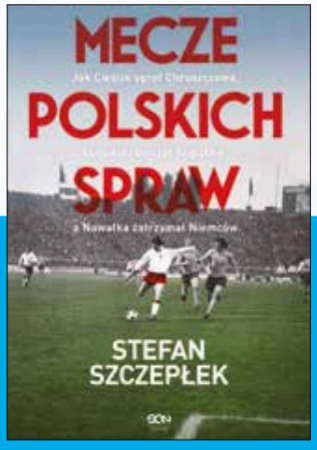

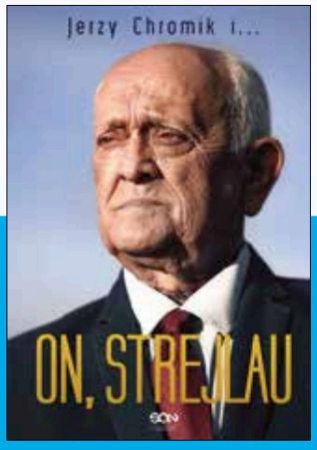

SQN
WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

SQNSTORE.PL labotiga.pl